

WILLIAM EDWARD DODD



DZIENNIK AMBASADORA

1933-1938

EDYCJA KOMPUTEROWA: WWW.ZRODLA.HISTORYCZNE.PRIV.PL

MAIL: HISTORIAN@Z.PL



MMIV©

Tytuł oryginału
AMBASSADOR DODD'S DIARY
1933-1938
London Victor Gollancz Ltd. 1941

PRZEŁOŻYŁ:
MARIUSZ GINIATOWICZ

OD WYDAWNICTWA PAX

Profesor William Edward Dodd, autor *Dziennika ambasadora*, zmarł nagle na serce na swej farmie w Round Hill w stanie Wirginia dnia 9 lutego 1940 roku. Profesor nosił się z zamiarem napisania wspomnień z okresu, kiedy pełnił funkcję ambasadora w Berlinie, nie zdążył go jednak urzeczywistnić. Pozostawił jedynie notatki, które robił z dnia na dzień, na gorąco, dla siebie i które zamierzał opracować i uzupełnić dodatkowym materiałem. Miał ten materiał zgromadzony w postaci wycinków prasowych, listów i fotografii.

Dzieci profesora Dodda po jego śmierci przygotowały do druku pozostawione notatki. Pracy tej dokonały tak szybko, że już na jesieni 1940 roku prof. Charles E. Beard napisał przedmowę do *Dziennika*, a w 1941 roku *Dziennik* został wydany w Londynie.

Ten pośpiech w przygotowaniu i wydanie książki w czasie wojennym sprawiły, że pozostały w niej pewne drobne niedokładności, które pracujący bez pośpiechu w normalnych warunkach wydawcy na pewno by dostrzegli i usunęli. Wobec tego jednak, że pozostały, Wydawnictwo uważało za stosowne umieścić w niektórych przypadkach odpowiednie sprostowanie w postaci przypisów oznaczonych gwiazdką.

Warszawa 1972

Przedmowa WSPOMNIENIA

Ze wszystkich przedstawicielstw dyplomatycznych, jakimi rozporządzał prezydent Roosevelt na wiosnę 1933 r., żadne nie miało tak wielkiego znaczenia dla Stanów Zjednoczonych jak ambasada w Berlinie. Nigdzie nie było tylu delikatnych i skomplikowanych problemów, dotyczących linii politycznej, podejścia do strony przeciwnej, tematyki rokowań i ogólnego nastawienia. Od chwili gdy u schyłku XIX wieku między Niemcami a Stanami Zjednoczonymi rozgorzała rywalizacja gospodarcza, stosunki dyplomatyczne między obu krajami były stale zakłócanie przez różne zatargi i kontrowersje. Udział Ameryki w wojnie światowej po stronie przeciwników Niemiec przyczynił się do pogłębienia dawniejszych uraz, a wysiłki zmierzające do odbudowy normalnych stosunków między obu krajami udaremnił kryzys gospodarczy z 1929 r. W wyniku tego kryzysu władze, banki i przedsiębiorstwa niemieckie stwierdziły, że znalazły się w sytuacji, która im utrudniła lub wręcz uniemożliwiła ponoszenie ciężaru kolosalnych długów zaciągniętych w poprzednich latach w Ameryce. Wszystkie te trudności pogłębione zostały wreszcie przez napięcie wywołane krachem bankowo-przemysłowym w obu krajach oraz dojściem do władzy w Niemczech Adolfa Hitlera; poważne konsekwencje, jakie miały wyniknąć z tej „rewolucji nihilizmu”, nie były początkowo łatwe do przewidzenia.

Chociaż po upływie siedmiu lat trudno jest odtworzyć dokładnie stan umysłów z 1933 r., pewne fakty pozostawiły swój ślad w dokumentach i ludzkiej pamięci. W styczniu tego roku pan Hitler został mianowany kanclerzem, stał się szefem rządu koncentracji narodowej w rozbitym wewnątrz i zdezorientowanym kraju. Przez wiele miesięcy los jego misji był niepewny. Otoczony przez potężnych współników, pragnących go utrzymać w korbach i wykorzystać dla swoich celów, zmuszony posługiwać się aparatem urzędniczym, wychowanym w starych tradycjach i zażarcie przeciwstawiającym się jego reformom i metodom postępowania, nowy kanclerz, podobnie jak wszyscy mu współcześni, nie wiedział jeszcze, jakie czekają go losy. Mógł pozostać narzędziem w rękach reakcyjnych konserwatystów, ale mógł również stać się absolutnym władcą Niemiec, opierając się na prawym lub lewym skrzydle swojej własnej partii. Na wiosnę 1933 r. było już rzeczą powszechnie wiadomą, że jest to człowiek niebezpieczny i nie cofający się przed niczym, ale ponieważ nie można było uchylić zasłony kryjącej przyszłość, w kołach dyplomatycznych świata, nie wyłączając Departamentu Stanu w Waszyngtonie, uważano, iż w stosunkach z jego rządem możliwe są różne warianty polityczne.

W tej zagmatwanej, niesłychanie napiętej i wciąż pogarszającej się sytuacji prezydent Roosevelt stanął wobec konieczności mianowania nowego amerykańskiego ambasadora w Niemczech. Mógł powołać na to stanowisko jednego z bogaczy, którzy ofiarowali poważne kwoty na fundusz wyborczy par-

tii demokratycznej w 1932 r. Wybór jednak człowieka z tego środowiska oznaczałby wybór jakiegoś finansisty lub zamożnego adwokata, lub bogatego wojskowego, a więc człowieka mało zorientowanego w historii politycznej Europy, który z ambasady zrobiłby prawdopodobnie biuro ściągania należności i ratowania interesów amerykańskich wierzycieli lub też biuro sprzedaży surowców dla niemieckiego przemysłu zbrojeniowego; popisywałyby się przy tym wydawaniem wystawnych obiadów i przyjęć.

Do drugiej kategorii potencjalnych kandydatów na stanowisko ambasadora należeli tzw. zawodowcy w dyplomatycznej i konsularnej służbie Stanów Zjednoczonych, czyli urzędnicy etatowi, lepiej lub gorzej „wytrenowani” w załatwianiu spraw wchodzących w zakres stosunków międzynarodowych. Byli to ludzie „nienaganni”, jeżeli chodzi o takie sprawy protokolarne jak: priorytet, właściwość, formalność i tradycja; nie wszyscy oni jednak byli tylko biurokratami. Faktem jest, że zawodowcy, którzy najlepiej nadawali się na ambasadora w Berlinie, byli ludźmi bogatymi albo też mieli bogate żony; mieli duże ambicje albo też mieli równie ambitne żony. Trzeba było być bardzo naiwnym, żeby sobie wyobrazić, że ludzie tego rodzaju mogą obiektywnie reprezentować interesy swego kraju.

Pomijając hojnych ofiarodawców funduszy wyborczych i dyplomatów zawodowych, prezydent Roosevelt miał przed sobą jeszcze inne możliwości wyboru. Zważywszy szczególne trudności związane z misją w Berlinie prezydent czuł się moralnie zobowiązany powierzyć ją obywatelowi amerykańskiemu, który by znał język niemiecki, a także historię, literaturę, poglądy polityczne, organizację polityczną, tradycje i życie narodu niemieckiego. Oznaczało to wybór człowieka mającego jakieś osiągnięcia naukowe w Niemczech, gdyż znajomość historii, tradycji, polityki i życia Niemiec mogła być zdobyta tylko przez studia i dłuższy pobyt w tym kraju.

Istniały w tym zakresie precedensy znane prezydentowi Rooseveltowi. George Bancroft, historyk, doktor filozofii uniwersytetu w Getyndze, był posłem amerykańskim w Berlinie w krytycznym okresie wojny prusko-francuskiej i powstania Niemieckiego Cesarstwa. Andrew D. White, autor *History of the Warfare of Science and Theology* (Historia wojny pomiędzy nauką a teologią) i pierwszy prezes Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego, studiował przez pewien czas w Niemczech i reprezentował Stany Zjednoczone w cesarskim Berlinie w okresie wielkiego napięcia wywołanego wojną hiszpańsko-amerykańską.

W chwili gdy w kraju szerzył się kryzys gospodarczy, a w stosunkach międzynarodowych nastąpił całkowity impas, prezydent Roosevelt, opierając się na wspomnianych precedensach i idąc za radą, chyba ministra handlu Daniela C. Ropera, wybrał ponownie naukowca na reprezentanta Stanów Zjednoczonych w Niemczech; został nim William E. Dodd, profesor historii na Uniwersytecie Chicago. Pan Dodd nie brał wprawdzie tak czynnego udziału w życiu politycznym jak Bancroft lub White, uważany był jednak przez kompetentnych w tych sprawach ludzi za jednego z najzdolniejszych historyków amerykańskich, za wybitnego autora prac historycznych i znakomitego wykładowcę. Był desygnowany na stanowisko prezesa Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego w 1934 r.

Kto przypadkowo dowiedział się z prasy o mianowaniu profesora Dodda ambasadorem w Niemczech, ten nie przywiązywał zapewne większej wagi do jego naukowej przeszłości; wybór ten jednak był wyraźną wskazówką, że prezydent Roosevelt zdecydował się zastosować specjalną linię polityczną nawiązując stosunki z nowym rządem niemieckim.

Tą linią, która miała niestety zawieść pokładane w niej nadzieje, miało być odwołanie się do najszlachetniejszych elementów starodawnej niemieckiej kultury. W. E. Dodd wybitnie nadawał się do spełnienia tej roli, będąc jednocześnie reprezentantem najlepszych demokratycznych tradycji narodu amerykańskiego. Pochodził ze starej angielskiej rodziny, urodził się w Clayton w Północnej Karolinie w 1869 r., ukończył Virginia Polytechnic Institute, doktoryzował się na uniwersytecie w Lipsku w 1900 r. po trzech latach wyężonej pracy uwieńczony rozprawą doktorską o powrocie Thomasa Jeffersona do życia politycznego w 1796 r. (*Jefferson's Rückkehr zur Politik*). Po ośmioletniej pracy w charakterze wykładowcy w Randolph Macon College został w 1908 r. profesorem na Uniwersytecie Chicago, gdzie poświęcił się badaniom naukowym, kształceniu młodzieży i pisaniu prac z dziedziny historii Ameryki, nie rezygnując przy tym ze swoich wcześniejszych zainteresowań sprawami europejskimi.

Wychowany w Kościele baptystów Dodd należał do tego skrzydła tej sekty, które głosi śladem Rogera Williamsa* rozdział Kościoła od państwa, wolność religijną i wolność sumienia. Ten kierunek jego przekonań umocniony został przez małżeństwo zawarte w 1901 r. z Martha Johns z Auburn w Północnej Karolinie, kobietą o podobnym charakterze, nastawioną idealistycznie, pełną optymizmu, uprzejmą i inteligentną. Umiłowanie wolności, datujące się jeszcze z czasów, gdy był młodym człowiekiem, i potęgowane przez pokrewne uczucia silnie do niej przywiązanej małżonki, pan Dodd wciąż rozniecał na nowo studiując z umiłowaniem, a jednak krytycznie, życie i pisma Thomasa Jeffersona (którego imieniem nawiasem mówiąc, został ochrzczony ojciec pani Dodd). Tak więc z usposobienia i wykształcenia profesor Dodd należał do specyficznej szkoły politycznej w Ameryce, ale będąc uczonym specjalizującym się w historiografii, nie łudził się, żeby jego szczególne upodobania wyczerpywały tematykę historyczną. Nie twierdził również, że postęp demokracji kończy się na Thomasie Jeffersonie, Andrew Jacksonie, Woodrowie Wilsonie lub Franklinie D. Rooseveltcie. Był w tym zakresie wyjątkowo „obiektywny”, żeby użyć terminu z jego specjalności.

O tym, że William Dodd posiadał dar patrzenia na wydarzenia historyczne, siebie samego i swoją pracę bez pasji i z odpowiedniej perspektywy, mogę poświadczyć na podstawie naszej znajomości, która trwała ponad trzydzieści lat. Jedną z ulubionych naszych rozrywek, gdyśmy się od czasu do czasu spotykali, było roztrząsanie naszych „inklinacji”. Gdy raz wytknąłem mu łagodnie jego słabość do Jeffersona, zareagował pytaniem, czy ktoś jak ja wychowany w federalistycznej szkole republikańskich wigów posiada należyte kwalifikacje, żeby wydać bezstronny sąd w tej sprawie. Wypowiedziawszy się w żartobliwej formie, z typową dla niego lodowatą ironią, na temat „plutokratycznych” koligacji partii moich przodków, wysłuchał z pogodą ducha moich szyderczych dociekań na temat „rządów niewolników”, które przez długi czas kierowały demokratycznym państwem Jeffersona. Po ustaleniu w ten sposób pozycji wyjściowych pan Dodd z całą znajomością rzeczy rozprawiał beznamiętnie o partiach i interesach, które podzieliły społeczeństwo republiki od czasów Hamiltona i Jeffersona. Swoją pogodą ducha w dociekaniach historycznych zawdzięczał niewątpliwie w dużym stopniu przekonaniu, że proces demokratyzacji nie został jeszcze zakończony, że największa praca

* Roger Williams (ok. 1603—1682) duchowny angielski; wyemigrował z Anglii w 1631 r. Założył w Rhode Island pierwszą osadę, którą nazwał Providence. Nawiązał przyjazne stosunki z Indianami, wśród których cieszył się wielkim autorytetem. Zwolennik pełnej tolerancji religijnej i rozdziału władzy duchownej od świeckiej.

nas jeszcze czeka. Jego ulubionym powiedzeniem w tym względzie były słowa, że „demokracji nikt jeszcze naprawdę nie próbował wprowadzić w życie”.

Wśród najrozmaitszych artykułów, szkiców, rozprawek i dzieł o zagadnieniach i osobistościach historycznych, obejmujących szeroki zakres zainteresowań, największy wkład naukowy profesora Dodda dotyczy historii dawnego Południa. Oto wybrane tytuły jego poważniejszych prac świadczących o tym kierunku jego zainteresowań: *Life of Nathaniel Macon* (1905), *Life of Jefferson Davis* (1907), *Statesmen of the Old South* (1911), *Expansion and Conflict* w serii Riverside o historii Ameryki (1915), *The Cotton Kingdom* (1919) i *The Old South*, którego pierwszy tom *Struggles for Democracy* Dodd wydał w 1937 r., ukończywszy go w okresie duchowej rozterki i zmartwień spowodowanych pracą w Berlinie. Jego książka *Woodrow Wilson and his work* (1920) i współpraca z Ray Stannard Bakerem przy redagowaniu książki *The Public Papers of Woodrow Wilson* (1924—1926), choć stanowiły odchylenie od zainteresowania Południem, były jednak utrzymane w duchu tradycji Południa, która obecnie stała się własnością całego narodu.

Fakt, że najwyższym osiągnięciem w całej karierze historycznej Dodda miało być *Dawne Południe* (planowane w czterech tomach), do chwili śmierci autora nie zakończone, jest wymownym świadectwem jego trwałego przywiązania do tego tematu. Miało to być, jak zamierzał, monumentalne dzieło, opisujące i wyjaśniające gospodarcze, kulturalne i polityczne znamiona ówczesnego porządku społecznego Południa.

W. E. Dodd w ciągu swej długiej kariery uniwersyteckiej jeszcze więcej energii niż pisaniu prac historycznych poświęcił nauczaniu i instruowaniu studentów. Miał wyjątkowy dar nauczania. W przeciwieństwie do niektórych swoich kolegów nigdy nie uważał studentów za element przeszkadzający mu w pracy, kolidujący z jego osobistymi zainteresowaniami i planami, za jakieś nieznośne, choć konieczne utrapienie. Wprost przeciwnie, swój czas dzielił wielkodusznie między zajęcia interesujące i nudne, przy czym nie budziło to w nim żadnych zastrzeżeń lub przekonania, że jest to z jego strony jakieś poświęcenie. Rozbudzał i rozwijał wrodzone zdolności swoich studentów, zdobywając sobie ich przywiązanie łagodnością charakteru i kształcąc ich umysły za pomocą pomysłowych metod nauczania. Posiadał niezrównany dar opisywania wydarzeń historycznych w taki sposób, że wydawały się wydarzeniami aktualnymi, bliskimi i pełnymi życia. W jego naturze leżało bezgraniczne oddanie się pracy i ani wielki jej nawał, ani upływające lata tej ofiarności w niczym nie zmniejszyły.

Mimo że był wielkim nauczycielem, przez wszystkich serdecznie wspominanym, nie zabiegał o to, żeby studenci stali się uczniami jego naukowej szkoły; wolał, żeby byli niezależnymi mistrzami w swoim zawodzie, wybierali sobie zainteresowania i metody pracy i ustosunkowywali się krytycznie do tego, co im oferują starzy mistrzowie. Te liberalne tendencje były również głęboko zakorzenione w naturze profesora Dodda. Nie był i nie potrafił być dogmatykiem na katedrze, chociaż był nieugięty, jeżeli chodzi o własne przekonania. Potrafił upierać się przy swoim, gdy go do tego zmuszało życie, ale z natury był człowiekiem tolerancyjnym, zdającym sobie sprawę z ograniczoności i słabości natury ludzkiej, gotowym w szerokim zakresie przyznawać swoim oponentom prawo posiadania własnego zdania. Niezachwiany w swej duchowej niezależności, niestrudzony w pracy, umiłował sobie chyba te słowa Goethego:

Das wenige verschwindet leicht dem Blicke,
Der vorwärts sieht, wie viel noch übrig bleibt.*

W stosunkach ze wszystkimi ludźmi, czy to swymi kolegami, studentami, rodziną, czy wysokimi urzędnikami państwowymi, profesor Dodd był zawsze demokratą w prawdziwym amerykańskim znaczeniu tego słowa. Nie urodził się po to, żeby chodzić w purpurze, nie pragnął zaszczytów i nie przyłączył się do szerokich rzesz walczących o ich zdobycie. Wartość człowieka mierzył jego wartością duchową, a nie zamożnością. Obcowanie z ludźmi bogatymi lub dysponującymi władzą w niczym nie wpływało na jego charakter, nie robiło na nim żadnego wrażenia. Ostentacyjne popisywanie się szafowaniem pieniędzmi, parweniuszowskie chlubienie się posiadaniem majątkiem obrażało jego poczucie szacunku dla bezcennych wartości tkwiących w ludzkim umyśle i pożytecznym dla społeczeństwa trybie życia. Wielka koncentracja kapitału, cechująca jego czasy, wzbudziła w nim obawy o trwałość Republiki i skłoniła do poszukiwania dróg i środków sprawiedliwszego rozdziału dóbr materialnych, co, jak to już dawno stwierdził Daniel Webster, stanowi właściwą podstawę każdego rządu ludowego.

Mając dużo demokratyczniejsze nastawienie i bardziej giętki umysł od Woodrowa Wilsona, profesor Dodd był mimo to przywiązany do idei i kierunku politycznego tego męża stanu. Wraz z topniejącymi szeregami jego wiernych zwolenników trzymał się wytrwale poglądu, że pokój i demokracja mogą stać się podstawą życia na świecie. Żadna inna filozofia nie mogła wzbudzić w nim tak wielkiego zaufania i entuzjazmu do pracy.

Tak wygląda w tym bardzo krótkim i fragmentarycznym zarysie życie człowieka, którego wiosną 1933 r., w początkowym okresie rządów Adolfa Hitlera, prezydent Roosevelt wybrał sobie na ambasadora Stanów Zjednoczonych w Berlinie. Z uwagi na swoje studia, doświadczenie i usposobienie Dodd w szczególnym stopniu nadawał się do podjęcia tej ryzykownej dyplomatycznej misji. Jego lojalność w stosunku do humanistycznych tradycji amerykańskiej demokracji nie mogła być kwestionowana. Jego szacunek dla pięknych cech dawnych Niemiec i serdeczność uczuć do narodu niemieckiego były głęboko zakorzenione w jego osobowości.

Będąc tylko zwykłym śmiertelnikiem, Dodd mógł popełnić błędy, ale nie były to w żadnym razie błędy wynikające z polityki ugłaskiwania (appeasement) dla zdobycia miski soczewicy w postaci sporadycznych wpłat na poczet zaległych długów. Być może inny ambasador, interesujący się bardziej „praktycznymi sprawami” wydusiłby może przejściowo od niemieckich bankierów i niemieckiego rządu jakieś większe kwoty na pokrycie zadłużenia wobec Stanów Zjednoczonych, chociaż i to jest wątpliwe; ale misja Dodda była inna: chodziło w niej o skupienie i umocnienie umiarkowanych elementów niemieckiego społeczeństwa, wprawdzie już zdeorientowanego, ale jeszcze przez drakońskie rządy kanclerza Hitlera i jego partii całkowicie nie zintegrowanego, jeszcze nie „zglajchsztaltowanego”. Być może, że już od początku było to zadanie beznadziejne. Znajomość faktów historycznych nie wystarcza do wyrobienia sobie zdecydowanego sądu o tym problemie wchodzącym w zakres zarówno polityki, jak i moralności. W każdym razie William E. Dodd umiał przemawiać do przywódców niemieckiego życia intelektualnego i do doktorów filozofii zatrudnionych w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagra-

* Te trochę, co już zrobiliśmy, wydaje się nam niczym, gdy patrzymy w przód i widzimy, jak wiele jeszcze pozostało nam do zrobienia.

nicznych i innych urzędach językiem utrzymanym w duchu, który mogli zrozumieć, gdyby sobie tego życzyli, mimo że ważyły się już ich losy.

Ścisłość historyczna nakazuje przyznać, że działalność W. E. Dodda spotkała się z krytyką; dotyczyła ona zarówno wielkich, jak drobnych problemów. Niektóre osobistości ze sfer dyplomatycznych w Ameryce i za granicą uważały, że prostota obranego przez niego stylu życia, bezpośredniość, łagodność i otwartość jego wypowiedzi, wrodzony demokratyczny sposób myślenia i postępowania, oburzenie, jakim go przejmowało zniewolenie Niemiec, a wreszcie lekceważenie rygorów protokolarnych — były okolicznościami nie sprzyjającymi osiągnięciu pomyślnego wyniku w rokowaniach z Niemcami.

Z tym, że William E. Dodd, mimo iż stale zalecał Niemcom umiarkowanie, nie zapobiegł wzrostowi władzy kanclerza Hitlera, można się zgodzić. To, że mimo uporczywych wysiłków nie położył kresu prześladowaniom Żydów, jest rzeczą oczywistą. To, że nie potrafił doprowadzić do spłaty całego niemieckiego zadłużenia wobec amerykańskich wierzycieli, stwierdzają fakty. To, że mimo wciąż powtarzanych prób, nie przełamał impasu w handlu niemiecko-amerykańskim i nie zapoczątkował ery dobrej koniunktury, która by przyniosła odprężenie we wzajemnych stosunkach, jest faktem dowiedzionym. To, że nie przełamał politycznego kryzysu w Europie, nie odbudował jedności wielkich mocarstw i nie zapobiegł wojnie, którą zawczasu przewidział i przepowiedział, nie wymaga udokumentowania. Nie zadowolił również niektórych Amerykanów, którzy szukali u niego pomocy i oficjalnego poparcia dla prowadzonej przez nich na terenie Niemiec tego rodzaju działalności, której nie uważał za zgodną z zasadami tradycyjnej amerykańskiej demokracji.

Czy mógł jakiś amerykański dyplomata, zawodowy lub inny, osiągnąć cele, o które nam chodziło w stosunku do hitlerowskich Niemiec? Od lat, poczynając jeszcze na długo przed wybuchem pierwszej wojny światowej, pertraktacje z rządami państw europejskich były prowadzone przez zawodowców, nienagannych pod względem wymagań protokolarnych i mających do swojej dyspozycji kosztowny aparat wykonawczy. Czy ta dyplomacja przyniosła jakiś sukces? Sytuacja w Europie od 1914 r. daje na to odpowiedź chyba całkiem niedwuznaczną. Wielu bogatych Amerykanów pracowało dla Stanów Zjednoczonych w różnych stolicach, podczas gdy Dodd urzędował w Berlinie. Czy ich osiągnięcia wskazują, że zdziałaliby więcej na jego miejscu? I na to pytanie znana jest odpowiedź Historii.

Z takiej to perspektywy oceniamy działalność i mądrość polityczną W. E. Dodda. Lepiej niż większość jego amerykańskich lub zagranicznych kolegów w służbie zagranicznej orientował się, że bieg wypadków zmierza nieubłaganie w kierunku tragedii, jaką miały przynieść najbliższe lata. Nie zważając na epitety „panikarza” i „łowcy sensacji”, którymi obdzielali go różni złośliwi krytycy, Dodd wielokrotnie przepowiadał, że Niemcy, Włochy i Japonia nieuchronnie wejdą na drogę stosowania brutalnej przemocy, o ile nie zostaną zawczasu powstrzymane przez skoordynowaną akcję swych sąsiadów. Przewidywał tę straszną katastrofę, jaka musiała wyniknąć z polityki ugłaskiwania, intrygowania i niezdecydowania, i niestrudzenie w miarę swoich możliwości starał się jej zapobiec. Z tego, że stanowisko Rosji wywrze decydujący wpływ na położenie Zachodu, W. E. Dodd zdawał sobie sprawę od samego początku swojej misji. W tych wszystkich sprawach czas bez żadnych niedomówień potwierdził słuszność poglądów Dodda. Z drugiej strony profesor Dodd w obliczu wydarzeń, na które nie miał żadnego wpływu, nie budził w nikim fałszywych nadziei na pomoc Ameryki w przypadku prowadzenia

przez jakieś państwo mocarstwowej polityki w dawnym stylu; nie robił błyskotliwych obietnic wprowadzających w błąd ludzi lekkomyślnych i nieostrożnych.

Przede wszystkim zaś nie zawinił wobec Europy i Stanów Zjednoczonych w tym, w czym zawiniли tak często inni reprezentanci amerykańskiej polityki zagranicznej: nie pozwalał sobie na zbyt swobodne i nieodpowiedzialne wypowiedzi, które by mogły zachęcić członków korpusu dyplomatycznego w Berlinie do podejmowania fałszywych, a może nawet zgubnych kroków, opartych na lekkomyślnym założeniu, że gdy nadejdzie jakiś kryzys i godzina próby, Stany Zjednoczone w każdym wypadku natychmiast uruchomią cały aparat swej militarnej i gospodarczej potęgi. I pod tym względem William Dodd służył z wielkim oddaniem interesom ogromnej większości narodu amerykańskiego, a tym samym, jak należy przypuszczać, interesom obciążonych brzemieniem długiej przeszłości narodów europejskich.

Jako materiał, dający świadectwo prowadzonej przez niego polityce, stosowanych metod i wykonanej pracy, W. E. Dodd pozostawił po sobie ten dziennik obejmujący cały okres jego misji. Ale dziennik ten ma jeszcze inne znaczenie. Używając przenośni można powiedzieć, że rzuca on snop światła na niejasne wydarzenia, jakie miały miejsce w czasie, należącym już do przeszłości, w okresie od lipca 1933 do końca 1937 r., gdy Hitler utwierdzał i rozszerzał swoje panowanie nad Niemcami. W odróżnieniu od wielu autorów, którzy zajmowali się problemem tego historycznego kryzysu, ambasador Dodd przebywając w Berlinie, który był strategicznym centrum ruchu narodowosocjalistycznego, zapoznał się również z kulisami tych wydarzeń. Znał osobiście przywódców hitlerowskiego przewrotu, rozmawiał z nimi i miał okazję do wyrobienia sobie o nich sądu na podstawie bezpośredniej obserwacji. Był w stałym kontakcie z przedstawicielami niemieckiego rządu, z członkami korpusu dyplomatycznego reprezentującymi inne rządy, z przyjeżdżającymi do Berlina wybitnymi cudzoziemcami, z obywatelami Stanów Zjednoczonych różnego autoramentu, prowadzącymi w Niemczech działalność polityczną, gospodarczą lub dziennikarską. Biorąc udział w opisywanych przez siebie wydarzeniach, miał lepsze możliwości ich właściwego analizowania i interpretowania niż niejeden obserwator związany z bohaterami tych wydarzeń zażyłymi stosunkami urzędowymi i towarzyskimi.

We wszystkich tych sytuacjach W. E. Dodd nigdy nie był tylko powierzchownym obserwatorem, przypadkowym świadkiem kolizji różnych ambicji, animozji, plotek i intryg, tak charakterystycznych dla działalności dyplomatycznej od samego początku oficjalnych stosunków między narodami. Przez całe życie studiował dzieje wielkiej polityki europejskiej i amerykańskiej, przeszedł szkołę Lamprechta i Rankego i zawsze dochodził istoty zjawisk, które obserwował. Choć brzmi to jak ironia, faktem jest, że miał szerszą i głębszą znajomość historii Niemiec niż czołowe osobistości rządzące tym państwem. Nie oznacza to bynajmniej, że ścisłość wypowiedzi Dodda nie może być kwestionowana w pewnych szczegółach lub też że konieczność podjęcia natychmiast jakiejś decyzji nigdy nie wpływała ujemnie na jasność jego sądu.

Absolutna nieomyślność nie jest udziałem żadnego człowieka na świecie. Ale erudycja i doświadczenie w prowadzeniu badań i pisaniu dzieł historycznych, którymi Dodd posłużył się przy pisaniu swego dziennika, ujawniają się w nim w całej pełni i odróżniają go od setek innych wspomnień dyplomatycznych skompilowanych przez zawodowych plotkarzy. Te zalety nadają

dziennikowi wartość szczególnie ważnego dokumentu pozwalającego zrozumieć wydarzenia dnia dzisiejszego.

Dodajmy, że gdy w dalekiej przyszłości pisana będzie historia naszej niespokojnej epoki, dziennik ten będzie bezcennym źródłem informacji z pierwszej ręki i żywym dokumentem ilustrującym charakter Amerykanina owych czasów. Chociaż na pewno wiele jego fragmentów zostanie uzupełnionych, a może i zmodyfikowanych na podstawie danych z innych źródeł, dziennik ten zapewne przetrwa niepewności naszego życia.

Można więc, parafrazując powiedzenie Chateaubrianda, powiedzieć o Williamie E. Doddzie, uczonym, nauczycielu, pisarzu i słudze Republiki, że „będzie żył w pamięci świata dzięki temu, co dla świata uczynił”. Mogę zareczyć, że W. E. Dodd, nieubłagany wróg wszelkiego blichtru, nie pragnąłby dla siebie lepszej opinii. Na tym możemy więc nasze rozważania zakończyć, gdyż nic już w tej sprawie więcej powiedzieć nie można.

CHARLES A. BEARD
NEW MILFORD, CONNECTICUT
JESIEŃ 1940

I. OD 8 CZERWCA 1933 DO 11 PAŹDZIERNIKA 1933 ROKU

8 czerwca 1933. Czwartek.

O godzinie 12 w moim gabinecie w gmachu Uniwersytetu Chicago zadzwonił telefon. „Tu Franklin Roosevelt — pragnę wiedzieć, czy byłby Pan skłonny oddać rządowi usługę szczególnego rodzaju. Chciałbym wysłać pana do Niemiec w charakterze ambasadora”.

Byłem mocno zaskoczony i powiedziałem, że chciałbym mieć trochę czasu na zastanowienie. Odrzekł: „Dwie godziny — czy może pan w tym terminie powziąć decyzję?” Powiedziałem: „Myślę, że tak, ale muszę przedtem porozumieć się z władzami uniwersytetu. Liczę również na to, że zechce pan się upewnić, czy rząd niemiecki nie czuje do mnie urazy za moją książkę o Woodrowie Wilsonie”.

Odpowiedział: „Jestem pewien, że nie. Wspomniana przez pana książka, pańskie osiągnięcia jako humanisty i uczonego oraz studia na niemieckim uniwersytecie — to główne powody, dla których pragnę powołać pana na to stanowisko. To trudna placówka; pańskie podejście jako przedstawiciela świata kultury powinno ułatwić panu pracę. Chcę mieć w Niemczech amerykańskiego liberała, który by był przykładem dla Niemców”. Na zakończenie powiedział: „Zatelefonuję do niemieckiej ambasady i dowiem się, co o tym myślą, a pan niech zadzwoni do mnie o drugiej”.

Zatelefonowałem do żony i powiedziałem jej, co się stało. Poszedłem do rektora Hutchinsa. W biurze go nie było. Udałem się więc do dziekana Woodwarda, ówczesnego zastępcy rektora uniwersytetu. Powiedział, że zatelefonuje do Hutchinsa (który był wówczas chyba w Lake Geneva, w stanie Wisconsin) dodając: „Musi pan się zgodzić, nawet gdyby to miała być bardzo trudna placówka; a uniwersytet musi znaleźć dla pana zastępcę na lato i następną zimę”. Bo Roosevelt powiedział: „Może pan ewentualnie wrócić na zimę 1934 roku, jeżeli uniwersytet będzie się tego domagał”.

Potem poszedłem do domu na obiad i omówiłem sprawę z żoną. Zdecydowaliśmy, że misji się podejmę. O godzinie 2.30 połączyłem się z Białym Domem. Właśnie odbywało się posiedzenie gabinetu. Sekretarz Prezydenta (nazwiska jego nie znałem) przekazał moją pozytywną odpowiedź Prezydentowi, który niezwłocznie podał ją do wiadomości gabinetu. Dowiedziałem się później od zaprzyjaźnionego ze mną Daniela C. Ropera, że nikt z członków gabinetu nie miał zastrzeżeń, a Harold Ickes z Chicago i Claude Swanson z Wirginii gorąco mnie popierali.

Z nominacją zaczekano, póki niemiecki ambasador w Waszyngtonie, dr Hans Luther, nie upewnił się co do stanowiska Berlina. Okazało się przychylne i gdy sprawa nominacji znalazła się 12 czerwca w Senacie, przeszła bez sprzeciwu. W wywiadzie prasowym ambasador poinformował dziennikarzy, że uzyskałem doktorat w Lipsku, że wydałem w języku niemieckim

książkę o Thomasie Jeffersonie i że mówię płynnie po niemiecku. 13 czerwca prasa berlińska opublikowała dokładne streszczenie mojej pracy doktorskiej *Powrót Jeffersona do życia politycznego w 1796 r.*

Poczynając od 13 czerwca ani chwili spokoju nie dawali mi dziennikarze i fotoreporterzy. W całej prasie krajowej ukazały się na mój temat najprzeróżniejsze mniej lub więcej niepoważne notatki i zdjęcia. O takim rozgłosie nie śniło mi się nigdy. Wszyscy moi przyjaciele, zwłaszcza moi byli słuchacze, byli zachwyceni. Na mój adres domowy i do uniwersytetu napłynęło co najmniej 500, a może nawet 700 listów i telegramów.

16 czerwca 1933. Piątek.

Na prośbę Prezydenta udałem się do Waszyngtonu. Roosevelt siedział przy dużym biurku; o pierwszej służący przyniósł nam lunch.

Rozmowa przeszła od razu na sprawy niemieckie. Prezydent opowiedział mi o aroganckim zachowaniu dr. Hjalmara Schachta, prezesa Reichsbanku, który w maju zagroził mi, że wstrzyma obsługę długów zaciągniętych w Ameryce na kwotę przeszło jednego miliarda dolarów (najbliższy termin płatności odsetek i rat kapitałowych przypada w sierpniu). Prezydent kazał potem przyjąć Schachta Cordell Hullovi, ale polecił mu udawać przez trzy minuty, że jest pochłonięty szukaniem jakiegoś dokumentu i nie dostrzega stojącego przed nim Niemca; przez ten czas sekretarz Hulla miał obserwować, jak Schacht na to reaguje. Następnie Hull miał odnaleźć notę, w której Prezydent zastrzegł się stanowczo przeciwko wszelkim próbom niewywiązywania się niemieckich dłużników ze swych zobowiązań. Zwróciwszy się do Schachta miał mu wręczyć ten dokument i w chwili powitania zaobserwować, jak Niemiec mieni się na twarzy. Chodziło o to, powiedział Prezydent, żeby ukrócić arogancję Niemca, i dodał, że zdaniem Hulla wynik przeszedł wszelkie oczekiwania. Było to powtórzeniem przyjęcia, jakie zgotował poprzednio Schachtowi sam Roosevelt.

Opisawszy metodę, za pomocą której starał się przywieść tego wielkiego finansistę do ugody lub co najmniej do rozsądku, jeżeli chodzi o sprawę niemieckiego długu, Prezydent powiedział mniej więcej tak: „Wiem, że nasze banki zarobiły niesłychane sumy, gdy w 1926 roku pożyczyły kolosalne kwoty niemieckim przedsiębiorstwom i instytucjom komunalnym i gdy udało im się sprzedać sześć- i siedmioprocentowe obligacje tysiącom obywateli amerykańskich. Jednakże nasi obywatele mają prawo domagać się spłaty tej pożyczki i choć sprawa leży całkowicie poza kompetencją rządu, chcę, aby pan uczynił wszystko, co będzie w pańskiej mocy, żeby nie dopuścić do moratorium. Przyczyniłoby się ono do opóźnienia procesu uzdrowienia naszej gospodarki.

Następnym tematem naszej rozmowy był problem żydowski. Prezydent powiedział: „Władze niemieckie traktują Żydów w sposób po prostu skandaliczny i Żydzi w naszym kraju są tym ogromnie oburzeni. Ale ta sprawa również nie leży w kompetencji rządu. Nic tu nie możemy zrobić, chyba że ofiarami prześladowań byłiby obywatele amerykańscy, którym musimy zapewnić naszą ochronę. Poza tym należy uczynić wszystko, co tylko będzie można, żeby pohamować prześladowania w drodze nieoficjalnych i osobistych kontaktów”.

Wysłałem poprzednio do Prezydenta depezę, iż zgadzam się na nominację

zakładając, że władze nie będą mi miały za złe, jeżeli koszty mego pobytu w Berlinie ograniczę do wysokości mego uposażenia, to znaczy 17 500 dolarów. Gdy poruszyłem teraz ten problem (szeroko dyskutowany w Chicago), Prezydent z miejsca odpowiedział: „Ma pan całkowicie rację. Poza dwoma czy trzema oficjalnymi przyjęciami, nie musi pan ponosić żadnych większych wydatków na życie towarzyskie. Wskazane jest, żeby pan pamiętał o Amerykanach przebywających w Berlinie, a od czasu do czasu przyjmował również Niemców interesujących się stosunkami panującymi w Ameryce. Sądzę, że będzie pan w stanie zmieścić swoje wydatki w granicach otrzymywanych poborów, nie zaniedbując przez to żadnej ze swych podstawowych funkcji”.

W dalszym ciągu rozmowa zeszła na temat ustępstw w obrocie handlowym pomiędzy obu państwami i Prezydent powiedział: „Należałoby porozumieć się co do pewnych punktów i pozwolić Niemcom na zwiększenie eksportu ułatwiając im przez to spłatę ich zadłużenia. Ale w Londynie na konferencji gospodarczej widać wyraźną tendencję w kierunku gospodarczego nacjonalizmu. Co pan sądzi o tej tendencji u nas?” Wyraziłem pogląd, że koncentracja gospodarki w Stanach Zjednoczonych doprowadzi nas szybko do jakiegoś neofeudalizmu, który zamieni farmerów w chłopów i najemników, a niezorganizowanych robotników w miastach — w proletariuszy. Zgodził się z tym, ale dodał: „Jeżeli kraje europejskie nie zgodzą się na obniżenie taryf celnych, będziemy musieli zawrzeć specjalne porozumienie z Kanadą i Ameryką Łacińską i podjąć taką politykę handlową, która zapewni nam rynki zbytu dla naszych nadwyżek produkcyjnych”.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o pułkowniku Edwardzie M. House i o inicjatywie Prezydenta w sprawie redukcji zbrojeń ofensywnych we Francji. „Ograniczenie zbrojeń jest koniecznością, jeżeli świat ma uniknąć wojny. Sprawą tą zajmuje się Norman Davis. Nie jestem pewny, czy mu się to uda. Przysłał telegram, że chciałby wziąć udział w londyńskiej konferencji gospodarczej. Odpowiedziałem mu: »Wracaj« i wkrótce tu będzie. Chciałbym, żeby pan z nim przed wyjazdem porozmawiał”.

O drugiej pożegnałem się z Prezydentem i udałem się do Departamentu Stanu, żeby przestudiować raporty z Niemiec od czasu objęcia władzy przez Hitlera. Tego samego dnia o 8 wieczorem byłem na przyjęciu u ambasadora Luthera. Po wypiciu wyszukanych coctaili (ja ich nie piłem), około dwudziestu osób zasiadło do wystawnego obiadu. Choć trwało to do 12 w nocy, nic ciekawego nie usłyszałem.

17 czerwca 1933. Sobota.

W Departamencie Stanu spotkałem prof. Raymonda Moleya, który zaprosił mnie do swego gabinetu. Rozmawialiśmy przez pół godziny; doszedłem do wniosku, że ma całkowicie odmienne poglądy od Prezydenta, jeżeli chodzi o stanowisko Ameryki wobec sytuacji Żydów w Niemczech; poza tym mówił jak zdecydowany „ekonomiczny nacjonalista”, również całkowicie odmienne od poglądów Prezydenta. Gdy mowa była o taryfach celnych, stwierdziłem, że nie wie właściwie nic o tym, jak funkcjonowały ustawy Walkera i Peela z 1846 r.* i do jakiej sytuacji gospodarczej doprowadziły. Był na tyle szczery,

* Ustawy Roberta Walkera (ministra finansów) i Peela wprowadzały znaczną obniżkę ceł (15—30%) na wwożone do Stanów Zjednoczonych towary. Było to ustępstwo wobec panujących wtedy dążeń do liberalizacji handlu. Mimo tej obniżki cła wwozowe pozostały nadal wysokie.

że wyznał, iż nigdy tym tematem się nie zajmował — on, profesor ekonomii i ekonomiczny doradca Prezydenta! Powiedziałem o tym mojemu przyjacielowi Roperowi i doszliśmy do wniosku, że Moley nie będzie mógł długo cieszyć się zaufaniem Roosevelta.

Następnie pojechałem z moim synem Williamem na parę dni do mojej małej farmy u stóp Niebieskich Wzgórz w stanie Wirginia.

21 czerwca 1933. Środa.

Z powrotem w Chicago. Pracownicy wydziału historii i innych wydziałów uniwersytetu wydali na cześć mojej żony, mojej córki Marty i mnie obiad w Judson Court, jednym z nowych domów akademickich. Obecnych było około 200 osób, w tym Carl Sandburg, Harold McCormick, pani Andrew MacLeish (której mąż, obecnie już nieżyjący, był fundatorem piastowanej przeze mnie katedry), rektor Robert M. Hutchins i inni. Była to smutna uroczystość, gdyż było mi bardzo przykro rozstawać się z kolegami, z którymi współpracowałem od dwudziestu pięciu lat, jak np. z A. C. McLaughlinem i C. E. Merriamem, wybitnymi uczonymi w dziedzinie swoich specjalności. Wyszliśmy o 11-ej, po uściśnięciu rąk większości obecnych.

23 czerwca 1933. Piątek.

W tak zwanej złotej sali Hotelu Kongresowego odbył się wielki obiad zorganizowany przez Amerykanów niemieckiego pochodzenia, demokratów, republikanów i ugrupowania postępowe.

Wieczór zakończył się przemówieniem Charles E. Merriama około godziny 11.30. Następnego dnia prasa zamieściła fragmenty mojego przemówienia pożegnalnego. Obecny na przyjęciu Carl Sandburg z żoną przesłał mi po paru dniach wiersz poświęcony tej smutnej uroczystości. Wiedział, jak bardzo lękam się wyjazdu.

30 czerwca 1933. Piątek.

Od wtorku do piątku po południu przeglądałem w Departamencie Stanu raporty z Berlina do daty 15 czerwca włącznie.

W środę wraz z synem Williamem byłem na obiedzie u państwa Danielostwa C. Roperów. Po obiedzie pojechaliśmy z Roperem na dworzec kolejowy, żeby pożegnać prezydenta Roosevelta wyjeżdżającego na urlop. Padał dość silny deszcz, ale weszliśmy do salonki i pan Roosevelt posadziwszy mnie obok siebie poradził mi, żebym wyruszył do Hamburga na okręcie „Washington”, który odpływa z Nowego Jorku 5 lipca. Prosił mnie bardzo, żebym odbył przedtem rozmowę z Normanem Davisem, który miał właśnie wrócić z Genewy z raportem o konferencji rozbrojeniowej.

1 lipca 1933. Sobota.

Pojechaliśmy z żoną sleepingiem do Raleigh w Północnej Karolinie, dokąd przybyliśmy dziś wczesnym rankiem. Stamtąd samochodem pojechałem do Fuquay Springs, żeby odwiedzić mojego 86-letniego ojca. Po powrocie złożyłem wizytę gubernatorowi Ehringhausowi, którego dotychczas nie znałem osobiście. Nie orientując się, z kim rozmawia, gubernator — w związku z jakimś moim spostrzeżeniem na temat Niemiec — nagle zawołał: „Czyżby pan profesor Dodd?” Powstało małe zamieszanie i obecni przy naszej rozmowie dziennikarze zaraz to wykorzystali. Południowa prasa pokazała, jak z takiego incydentu można zrobić całą historię.

Po południu odwiedziłem nasz cmentarz rodzinny i oglądałem na nim ślady tragicznej Wojny Domowej. Pochowany jest tam mój stryjeczny dziadek, który zginął w dolinie Wirginii w 1862 r., a także dwaj inni dziadkowie, którzy poddali się wraz z generałem Lee pod Appomattox. W 1909 r. została tam pochowana moja matka. Była to smutna wizyta złożona pomnikom rodzinnych tragedii.

Odwiedziłem także mojego wuja Louis Creecha, właściciela majątku Creech nad rzeką Neuse, gdzie się urodziłem; dom, w którym to nastąpiło, już nie istnieje: został rozebrany. Przypomniały mi się sceny z mojego dzieciństwa. Krajobraz był niemal identyczny: na wzgórzu, na którym stał niegdyś dom i stajnia należące do mego dziadka, widać było dwa czy trzy na wpół uschłe dęby, a na starym cmentarzu w Horne rosły drzewa grube na jedną stopę.

Dość smutny dzień, chociaż nasi krewni robili, co mogli, żeby nam uprzyjemnić pobyt.

3 lipca 1933. Poniedziałek.

Okolo 9-ej przyjechaliśmy do Nowego Jorku. O 10-ej udałem się na konferencję do National City Bank, na której zgodnie z życzeniem Departamentu Stanu miałem zapoznać się z problemami finansowymi banków amerykańskich pracujących z Niemcami. Chodzi tu głównie o spłatę pożyczki w wysokości jednego miliarda dwustu milionów dolarów, której wprowadzeniu w błąd przez bankierów obywatele amerykańscy udzielili niemieckim przedsiębiorstwom. Zebraniu przewodniczył wiceprezes Floyd Blair. Obecnych było jeszcze około dziesięciu innych bankierów.

Wszyscy oni byli zaniepokojeni skutkami porozumienia zawartego z prezesem Reichsbanku, Schachtem, na podstawie którego spłata pożyczki amerykańskiej jest wprowadzie kontynuowana, ale w zdeprecjonowanych markach niemieckich; w związku z tym amerykańscy posiadacze niemieckich obligacji sprzedając je mogą dostać najwyżej 30 centów za nominalnego dolara. Dyskusja była długa, ale uzgodniono tylko jedno: że powinienem uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy, aby nie dopuścić do całkowitej niewypłacalności Niemiec, gdyż mogłoby to wpłynąć ujemnie na sytuację finansową Stanów Zjednoczonych. National City Bank i Chase National Bank posiadają niemieckich obligacji na przeszło sto milionów dolarów! Zadowolilyby się gwarancją, że będą otrzymywały, zamiast dotychczasowych siedmiu procent, cztery procent odsetek.

Następnie odbyła się przygotowana zawczasu konferencja, w której wzięli

udział sędziego Julian W. Mack, Felix Warburg, sędziego sądu apelacyjnego w Nowym Jorku Irving Lehman (brat gubernatora Lehmana), rabin Stephen S. Wise i Max Kohler, który pisze biografię nowojorskiej rodziny Seligmanów. Konferencję zorganizował adwokat George Gordon Battle.

Przez półtorej godziny mówiono o tym, że Niemcy wciąż zabijają Żydów; że prześladowanie Żydów osiągnęło takie rozmiary, iż zwykłą rzeczą stały się samobójstwa (jak słyhać miały one miejsce również w rodzinie Warburgów); że Żydom konfiskuje się cały ich majątek. Takie były w skrócie tematy tej dyskusji. Ode mnie, jako człowieka wyznającego poglądy liberalne i idee miłości bliźniego, domagano się spowodowania w tej sprawie interwencji amerykańskiego rządu. Podkreśliwszy, że rząd nie może interweniować w drodze oficjalnej, zapewniłem uczestników konferencji, że osobiście zrobię co tylko będę mógł, żeby przeciwdziałać niesprawiedliwemu traktowaniu Żydów niemieckich, no i oczywiście będę oficjalnie protestował przeciwko maltretowaniu Żydów amerykańskich. Zakończyliśmy konferencję o godzinie 10, a o godzinie 11 wyjechałem pociągiem do Bostonu, żeby złożyć wizytę pułkownikowi House w Beverly Farms, miejscowości położonej nad morzem w odległości 30 mil na północ od Bostonu.

4 lipca 1933. Wtorek.

Gdy wyszedłem ze stacji, czekał na mnie samochód pułkownika House'a. W godzinę później jadłem z nim śniadanie i stwierdziłem, iż pomimo swych 75 lat jest stosunkowo rześki fizycznie, a umysł ma bardzo żywy. Rozmawialiśmy o mojej „trudnej misji” przez dwie godziny.

Powiedział mi otwarcie: „Zaproponowałem Prezydentowi dwie kandydatury: pańską i Nicholasa Murray Butlera, ale uważałem, że pan powinien mieć pierwszeństwo. Ze względu jednak na stosunki łączące mnie z rodziną Butlerów zaznaczyłem, że w razie gdyby pańska kandydatura nie została uwzględniona, będę popierał z całych sił Butlera”. Nie miałem mu tego za złe, bo jeszcze w końcu maja, gdy zapytano mnie w Waszyngtonie, czy przyjąłbym nominację na jakąś placówkę dyplomatyczną, oświadczyłem stanowczo, że nie chciałbym nigdy pojechać do Berlina, bo czuję odrazę do hitleryzmu, a poza tym żyłbym tam w atmosferze nieustannego napięcia, zbyt silnego jak na moje usposobienie. Gdyby chciano — dodałem — zaproponować mi jakąś placówkę dyplomatyczną, wybrałbym Holandię, gdzie mógłbym spokojnie pisać moje prace historyczne. Takie oświadczenie złożyłem Danielowi C. Roperowi, a także jego bliskiemu współpracownikowi, dr. Walterowi Splawnowi.

W tych warunkach słowa pułkownika House'a o Butlerze bynajmniej mnie nie uraziły. Za Butlerem istotnie przemawiały szczególne względy, moim jednak zdaniem nie byłby on odpowiednim człowiekiem na żadnej placówce w Europie, z wyjątkiem chyba tylko Londynu. Jest arbitralny i dyktatorski, a jego kolosalne wydatki reprezentacyjne nie zawsze dawały odpowiednie rezultaty. Niezależnie od tego, co mi powiedział House, już od Ropera słyszałem, że Rooseveltowi usilnie zalecano kandydaturę Butlera. Z drugiej strony, jak powiedział mi House, propozycję nominacji do Berlina odrzucił Newton Baker. Tak więc moja ambicja nie została zbyt urażona przez pułkownika House'a.

Gdy mówiliśmy o czekającej mnie w Berlinie pracy, House powiedział: „Dostał pan najtrudniejszą placówkę w Europie, ale moim zdaniem, łatwiej

panu będzie niż komukolwiek innemu znaleźć właściwe podejście do problemów trapiących dzisiejsze Niemcy". House uważa, że zawdzięczam to swym kontaktom uniwersyteckim; wydaje mu się również, że liberał w typie Wilsona będzie w Berlinie mile widziany, pomimo nienawiści żywionej do naszego prezydenta z czasów wojny. House powiedział: „Powinien pan starać się o złagodzenie cierpień ludności żydowskiej. Żydom dzieje się stanowczo potworna krzywda, nie można jednak pozwolić na to, żeby Żydzi dominowali w gospodarczym i intelektualnym życiu Berlina, jak to się działo przez wiele lat”.

Po omówieniu gabinetu Roosevelta i ustawy o uzdrowieniu gospodarki* oraz odczytaniu kilku interesujących listów otrzymanych od wybitnych osobistości House zawołał szofera i pojechaliśmy do Bostonu, skąd o 12-ej odjechałem pociągiem do Nowego Jorku. Nie mam wątpliwości, iż dobrze zrobiłem, że pojechałem go odwiedzić.

Do Nowego Jorku wróciłem o 5-ej; poszliśmy potem całą rodziną na wizytę do Charles R. Crane'a na Park Avenue. Ma on w swoim mieszkaniu cudowną kolekcję rosyjskich i azjatyckich dzieł sztuki. Pan Crane jest fundatorem katedry, którą przez ostatnie siedem czy osiem lat prowadził Samuel Harper, profesor historii na Uniwersytecie Chicogo: katedry historii Rosji i jej instytucji. Ofiarował również milion dolarów Instytutowi Bieżących Spraw Międzynarodowych, którego kierownikiem jest Walter Rogers, organizacji prowadzącej badania we wszystkich częściach świata i składającej o nich sprawozdania naszemu rządowi. Crane ma 75 lat, jest dość wątłego zdrowia, objechał przez ostatnie dwadzieścia lat wszystkie części świata.

Pasjonuje się swoją pracą, jest nadal ząartym przeciwnikiem radzieckiej rewolucji w Rosji i entuzjastą reżymu hitlerowskiego w Niemczech. Żydzi dla niego to przekleństwo ludzkości; ma nadzieję, że doczeka się poskromienia ich pychy. Mnie oczywiście dał taką radę: „Pozwól pan Hitlerowi zrobić swoje”.

5 lipca 1933. Środa.

George Sylvester Viereck, autor książki *Najdziwniejsza przyjaźń w historii świata* (Wilson i House), przyszedł do mnie o 9-ej do hotelu. Mówił o Niemczech i niemieckich długach. Zrobił na mnie wrażenie dziennikarza dziwnego gatunku, z którym lepiej nie rozmawiać zbyt szczerze.

Po Vierecku na chwilę rozmowy o niemieckich sprawach przyszedł dr Otto Kiep, przystojny Prusak, niemiecki konsul generalny w Nowym Jorku. Po tej wizycie wyszliśmy z żoną na miasto, żeby kupić parę słowników dla całej naszej rodziny.

O 11-ej taksówka zawiozła nas do portu, gdzie spotkaliśmy panią Roosevelt; właśnie przed chwilą pożegnała syna, Franklina D. juniora, odpływającego na „Washingtonie” w podróż do Europy. Otoczyło nas od razu z tuzin reporterów, których jak dotychczas udało mi się unikać. Operowałem ogólnikami. Wywiadu nie udzieliłem. Błagali nas, żebyśmy pozwolili się sfotografować na przednim pokładzie. Ustąpiliśmy niechętnie i nie zdając sobie sprawy z podobieństwa tego gestu do nie znanego nam jeszcze pozdrowienia hitlerowców, podnieśliśmy z żoną i synem ręce do góry.

* Ustawa o uzdrowieniu przemysłu — National Industrial Recovery Act (NIRA) — uchwalona 16 czerwca 1933 r. przede wszystkim do walki z bezrobociem. Uznana przez Sąd Najwyższy za niezgodną z konstytucją, uchylona 1 stycznia 1936 r.

6 lipca 1933. Czwartek.

Spacerując po pokładzie dostrzegłem wśród pasażerów rabina Wise. W czasie lunchu poznaliśmy się z panią Breckinridge Long, żoną ambasadora w Rzymie, potomką słynnej rodziny Blair z Kentucky, Waszyngtonu i St. Louis; pani ta daje to po sobie wyraźnie poznać. Norman Davis, z którym udało mi się widzieć przez godzinę w Nowym Jorku, zarezerwował dla nas dwupokojowy apartament z salonem, zaproponowany przez kierownictwo statku jako coś odpowiedniego dla ambasadora. Z tego apartamentu zrezygnowaliśmy, gdyż woleliśmy pomieszczenie skromniejsze, jak również dlatego, że nie było tam miejsca dla naszych dwojga dzieci.

13 lipca 1933. Czwartek.

Wczesnym popołudniem „Washington” przybył do Hamburga. Reporterzy bezskutecznie starali się uzyskać ze mną wywiad, najbardziej natarczywy był przedstawiciel „Hamburger Israelitische Familienblatt”. Pozwoliliśmy się natomiast sfotografować z całą rodziną przez okrętowego fotografa. Gdy zeszliśmy z okrętu, powitał nas radca ambasady w Berlinie, George Gordon, i amerykański konsul generalny w Hamburgu. Przeszliśmy się trochę po mieście a potem zajęliśmy miejsca w staroświeckim wagonie pociągu idącego do Berlina. Gordon przez całą godzinę opowiadał nam o sytuacji w Niemczech i pracownikach Departamentu Stanu.

W Berlinie powitali nas przedstawiciel protokołu dyplomatycznego, paru innych funkcjonariuszy państwowych i amerykański konsul generalny George S. Messersmith. Zostaliśmy sprawnie zakwaterowani w hotelu „Esplanade”, do którego wysłałem telegram „Zarezerwujcie nam trzy pokoje sypialne i salon”. Ulokowano nas w tzw. apartamencie królewskim, sześciu zenująco eleganckich pokojach, ślicznie umeblowanych. Kosztowało to tylko 40 marek dziennie, więc nie można było się uskarżać. Zeszliśmy do restauracji, gdzie rozmawialiśmy trochę po niemiecku i zjedliśmy doskonały obiad. Nasza misja dopiero się zaczyna. Wydaje się, że Niemcy są dla nas bardzo życzliwi.

14 lipca 1933. Piątek.

W ambasadzie o 11-ej; krótkie przemówienie o mojej misji do amerykańskich korespondentów: w bardzo oględnej formie wyrażam myśl nawiązania kontaktów z przedstawicielami starodawnej niemieckiej kultury. Padły pytania o wydaną przez Prezydenta ustawę o uzdrowieniu przemysłu; były aluzje na temat ewentualnych trudności. Moje odpowiedzi miały charakter czysto formalny. Na zakończenie podszedł do mnie i przywitał się Edgar A. Mowrer; powiedziałem mu, że z zainteresowaniem przeczytałem jego książkę *Niemcy cofają wskazówki zegara*, ale pominąłem milczeniem fakt, że książka została w Niemczech zakazana i że rząd niemiecki zażądał jego rezygnacji ze stanowiska przewodniczącego Stowarzyszenia Dziennikarzy Zagranicznych w Berlinie. Przedstawiła mi się również Sigrid Schulz, która reprezentuje „Chicago Tribune”; powiedziała mi, że otrzymała od jej właściciela, pułkownika R. R. McCormicka, list w sprawie Marty.

Następnie przyjąłem przedstawicieli prasy niemieckiej, było ich około dwudziestu. Odczytałem im krótkie oświadczenie w języku niemieckim, które następnego dnia zostało wydrukowane we wszystkich czołowych pismach niemieckich. Przypadek chciał, że na krótko przedtem przeczytałem bardzo rozsądne oświadczenie ministra gospodarki, Kurta Schmitta, na temat uzdrowienia życia gospodarczego w Niemczech; było to oświadczenie godne prawdziwego męża stanu, odpowiadając więc na pytania dziennikarzy, powoływałem się na działalność Schmitta jako bardzo zbliżoną do programu uzdrowienia gospodarki w Stanach Zjednoczonych. Gdy padło pytanie, czy czytałem oświadczenie „Familienblatt” z Hamburga, że przyjechałem do Niemiec po to, aby naprawić krzywdy wyrządzone Żydom, odczytałem krótkie zaprzeczenie, którego pełny tekst również został wydrukowany w prasie.

15 lipca 1933. Sobota.

Złożyłem dziś wstępną wizytę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i odbyłem rozmowę z ministrem, baronem Konstantinem von Neurathem, który zrobił na mnie bardzo sympatyczne wrażenie. Prezydent Paul von Hindenburg, który jest podobno niedysponowany, przebywa w swojej posiadłości ziemskiej koło Neudeck w Prusach Wschodnich; jego powrót do Berlina nie jest spodziewany przed 1 września. Ta wstępna wizyta w Ministerstwie Spraw Zagranicznych umożliwiła mi podjęcie oficjalnej działalności i podpisywanie dokumentów oraz raportów wysyłanych do Waszyngtonu. Woląłem to od natychmiastowego złożenia listów uwierzytelniających, gdyż praca w Berlinie jest oczywiście dla mnie czymś nowym, a sytuacja dość naprzężona.

Zatelefonował do mnie niejaki pan Rowe, pełnomocnik Irving Trust Company z Nowego Jorku, i prosił, a właściwie żądał, żebym przez interwencję w Reichsbanku zapobiegł możliwemu czy też prawdopodobnemu pokrzywdzeniu International Match Company, która pożyczyła 100 milionów dolarów niemieckim koncernom przemysłowym. Niemcy mieli zaproponować spłatę swoich zobowiązań w kwotach odpowiednio zmniejszonych, tak że amerykańscy wierzyciele otrzymaliby przypuszczalnie jedną trzecią kwot pożyczonych.

Odpowiedziałem mu krótko, że rząd Stanów Zjednoczonych nie ma nic wspólnego z tymi pożyczkami i że tu na miejscu możemy najwyżej przestrzec nieoficjalnie władze niemieckie, iż złamanie umowy zawartej przez Reichsbank zaszkodziłoby prestiżowi niemieckiej gospodarki. Był bardzo niezadowolony i oświadczył, że po południu leci do Londynu. Obiad jedliśmy u Gordonów, było około 20 osób. Było bardzo nudno.

17 lipca 1933. Poniedziałek.

Przyszedł złożyć mi swoje uszanowanie Louis P. Lochner z Associated Press. Oświadczył, iż pewien przyjaciel kanclerza Adolfa Hitlera zwrócił się do niego z prośbą o przyrowadzenie mnie w tajemnicy na lunch w ścisłym gronie, podczas którego mógłbym odbyć rozmowę z Führerem, jak wszyscy tu nazywają dyktatora.

18 lipca 1933. Wtorek.

W zakietach i cylindrach — jak każe etykieta — przyszli złożyć mi swoje uszanowanie podpułkownik Jacob Wuest, kapitan Hugh Rowan, kapitan Chester Keppler i komandor Howard Bode, oficerowie sztabowi armii lądowej i marynarki. O 5-ej przyjechał z oficjalną rewizytą von Neurath z szefem protokołu dyplomatycznego; rozmawialiśmy przez dłuższą chwilę o niepowodzeniu prowadzonej przez rząd niemiecki walki z bezrobociem. Neurath powiedział, że różne próby osiedlenia ludzi z miasta na wsi nie powiodły się. Wybiera się właśnie do Bawarii dla odwiedzenia tam Führera. W ambasadzie krąży pogłoska, że minister spraw zagranicznych ma być zdjęty ze stanowiska.

22 lipca 1933. Sobota.

Niemiecki ambasador Hans Luther, o którym mówi się, że ma być odwołany z Waszyngtonu, przyszedł się pożegnać o 11-ej. Powiedział, że wraca do Waszyngtonu i prosił o wizy dla dwóch swoich gości, którzy zamierzają spędzić rok w Ameryce.

Mówił dużo o podjętym przez Hitlera dziele odnowy gospodarczej kraju; akcja ta nie może się powieść, jeżeli nie uzyska się wolnych obszarów dla emigracji. Jego zdaniem, równiny Wschodniej Afryki czy też wyżyny Brazylii powinny zostać otwarte dla wszystkich bezrobotnych Niemców, tych niecierpliwych i ambitnych, którzy pragną wyemigrować; byłaby ich, jak sądzi, znaczna ilość. Utrzymywał także, że obniżenie barier celnych pomiędzy Niemcami i Stanami Zjednoczonymi przyczyniłoby się do ożywienia produkcji przemysłowej. Nie wykazywał wrogiego nastawienia do Francji i nie wspominał o polskim Korytarzu*.

Wiliamowie A. Nitze (on był moim kolegą w Chicago) napisali do nas list z usilną prośbą, żebyśmy odwiedzili ich przyjaciół, panią Henry Wood i jej dzieci, mieszkających w Poczdamie. Pani Wood była żoną słynnego profesora na uniwersytecie im. Johna Hopkinsa, gdy państwo Nitze mieszkali w Baltimore. Pojechaliśmy więc wszyscy dziś po południu do Poczdamu z wizytą do rodziny Wood. Mieszkają w pięknej willi. Przyjechaliśmy trochę po godzinie czwartej. Odbywało się popołudniowe przyjęcie. Wszyscy, jak nakazywał dobry wilhelmiński obyczaj, rozmawiali stojąc; potem poprowadzono nas do dużego pokoju jadalnego z gobelinami na ścianach. Do stołu usiadło około 20 osób. Jedliśmy kanapki itp. i rozmawialiśmy mieszając słowa angielskie i niemieckie; było szereg przedstawicieli starych arystokratycznych rodzin. Rozmowa była przyjemna, ale niezbyt uczona; w tonie czysto hitlerowska.

24 lipca 1933. Poniedziałek.

Członek Izby Reprezentantów, McReynolds z Tennessee, który wchodził w skład amerykańskiej delegacji na konferencję gospodarczą w Londynie, poprowadził nas w grupie obejmującej George Messersmitha, George A. Gordona i innych pracowników ambasady, do tzw. pałacu Blüchera — ogromnej, staroświeckiej budowli, zakupionej przez Departament Stanu za cenę jednego

* Autor wszędzie posługuje się wyrażeniem „Korytarz”, stworzonym przez Niemców. Chodzi tu o polskie ówczesne województwo pomorskie.

miliona siedmiuset tysięcy dolarów na podstawie zalecenia jednej z komisji Kongresu, której przewodniczył członek Izby Reprezentantów Porter. Budynek ten, podobnie jak w Paryżu, miał pomieścić wszystkie biura ambasady i mieszkania prywatne jej pracowników. Mój poprzednik, Frederic M. Sackett junior, korzystając z poparcia senatora Swansona, odrzucił rok temu propozycję dawnych właścicieli budynku, którzy zgadzali się na anulowanie umowy kupna-sprzedaży pod warunkiem, że otrzymają od towarzystwa ubezpieczeń odszkodowanie za spowodowane przez pożar zniszczenie dużej części dachu. Pomimo nalegań całego personelu ambasady, żeby zrezygnować z tego pałacu i oszczędzić rządowi wielkiej sumy pieniędzy, Sackett i Swanson uparli się, żeby sfinalizować transakcję.

Ten to budynek obejrzelśmy teraz z McReynoldsem, mając na uwadze możliwość zbadania sprawy przez Kongres w toku najbliższej sesji. Przez godzinę chodziliśmy po zrujnowanym domu i doszliśmy do wniosku, że rząd dobrze zrobi, jeżeli sprzeda go za pięćset tysięcy dolarów, tracąc milion dwieście tysięcy. Taka była jednomyślna opinia wszystkich zainteresowanych.

Po południu pan Messersmith zaprosił mnie do swego biura na rozmowę, w której mieli wziąć udział McReynolds i Gordon. Po paru minutach zadzwonił tam Gordon, mówiąc mi, że nie może przyjść. Z jego słów wyraźnie wynikało, że był oburzony faktem, iż Messersmith chce zorganizować oficjalną konferencję w swoim biurze. Później całkiem otwarcie Gordon powiedział mi, że wzięcie udziału w rozmowie poza terenem ambasady uważał dla mnie za poniżające. Gordon to przykładający się do pracy zawodowy dyplomata, ale formalista do n-tej potęgi.

26 lipca 1933. Środa.

Dziś rano Frederick Oechsner, korespondent United Press, ujawnił w rozmowie głęboką niechęć do nowego rządu niemieckiego, typową dla większości amerykańskich dziennikarzy. Nieco później przyszli dwaj przedstawiciele Chase National Bank, żeby omówić niemieckie zobowiązania w sprawie spłaty amerykańskich kredytów. Przyznali, że pożyczki z 1926 r. bazujące na nadziejach związanych z planem Dawesa, były szaleństwem; pożyczono miliardy bez odpowiedniego zabezpieczenia.

O 12-tej przyszedł Edgar Mowrer i zaprosił mnie do siebie na całkiem prywatny lunch, w czasie którego poznałem młodego von Moltke, wnuka słynnego generała, i Rosenstocka, Żyda, który jest profesorem na uniwersytecie wrocławskim, ale obecnie pracuje w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ponieważ obaj byli wyjątkowo dobrze zorientowani w zagadnieniach historycznych, skierowałem rozmowę na tematy naukowe; unikałem wyraźnego krytykowania polityki rządowej, gdyż obawiałem się, że słowa moje mogą być powtórzone.

Po południu przyszedł profesor Otto Hoetzsch z uniwersytetu berlińskiego, były poseł do Reichstagu i wybitny znawca spraw międzynarodowych. Mówił o swojej podróży do Wiliamstown w 1928 r. (a może w 1929 r.) i o wizycie złożonej panu Hooverowi w Białym Domu. Powiedział, że z rządów Hitlera jest stosunkowo zadowolony. Jak dotychczas wydaje się, że niemal wszyscy profesorowie uniwersyteccy pogodzili się z ograniczeniem swobód akademickich, choć widać, że chodzi tu raczej o strach przed utratą pracy niż o podporządkowanie się z własnej woli.

Jedna z tych pracownic społecznych, które zawsze widzą tylko jedną stronę danego problemu, przyszła do mnie, żeby mi opowiedzieć o swych doświadczeniach w zakresie badań nad niemieckimi osiedlami (Siedlungen) dla bezrobotnych, budowanymi na peryferiach ośrodków przemysłowych. Uważa je za niemal idealne rozwiązanie problemu bezrobocia.

28 lipca 1933. Piątek.

Dr Fritz Haber, najwybitniejszy chyba niemiecki chemik, przyszedł z listem od Henry Morgenthaua juniora z Nowego Jorku i opowiedział mi o tak ponurym przypadku prześladowania Żydów, o jakim jeszcze nie słyszałem. Haber ma 65 lat, jest poważnie chory na serce i został zwolniony z pracy bez emerytury, do której miał prawo na mocy przepisów obowiązujących przed rządami Hitlera. Przyszedł się dowiedzieć, jakie są możliwości w Ameryce dla emigrantów z wybitnymi osiągnięciami naukowymi. Mogłem mu tylko odpowiedzieć, że obecnie nikt nie ma prawa emigrować do Ameryki, gdyż odnośny kontyngent został wyczerpany. Obiecałem napisać do Ministerstwa Pracy i zapytać, czy dla tego rodzaju ludzi nie można by uczynić jakiegoś wyjątku. Żegnając się prosił, żebym zachował ostrożność poruszając jego sprawę, gdyż konsekwencje ewentualnej niedyskrecji mogłyby być dla niego bardzo niedobre. Biedny staruszek, pomyślałem o nim, choć jest tylko rok starszy ode mnie. Miał zamiar wyjechać do Hiszpanii, żeby się dowiedzieć, czy tam nie ma dla niego jakichś możliwości*. Rząd, który posuwa się do takich okrucieństw, sam sobie tylko szkodzi.

31 lipca 1933. Poniedziałek.

Wysłałem list do Daniela C. Ropera, w którym opisuję mu dość szczegółowo charakterystyki pewnych ludzi w służbie dyplomatycznej; mają oni fałszywe wyobrażenie o powierzonych sobie funkcjach. Napisałem mu również o skutkach urzędowania szeregu bogatych ludzi na stanowisku ambasadora w Berlinie oraz przybierającej ostre formy rywalizacji pomiędzy radcami ambasady i konsulami generalnymi.

1 sierpnia 1933. Wtorek.

O 11-ej zgłosił się Joseph E. Ridder, syn człowieka tego samego nazwiska, który był właścicielem i redaktorem nowojorskiej „Staatszeitung” za czasów Wilsona. „Staatszeitung” należy teraz do niego. Opisał mi trudną sytuację tego dziennika w 1914 r., gdy Amerykanie pochodzenia niemieckiego domagali się od redakcji popierania polityki Wilhelma II, a mieszkańcy Nowego Jorku skłaniali się coraz bardziej na stronę aliantów. Ostatecznie „Staatszeitung”

* Fritz Haber (1868—1934) był kierownikiem instytutu chemii fizycznej Kaiser Wilhelm Institut (zob. przypis str. 368) od 1911 r.; laureat nagrody Nobla w dziedzinie chemii w 1918 r. Wyemigrował z Niemiec w 1933 r. do W. Brytanii, gdzie wykładał w Cambridge.

podporządkowała się Wilsonowi i jego rządowi. Zapytałem Riddera o George Sylvester Vierecka i jego powiązania z niemieckimi propagandzistami. „Rząd niemiecki — odpowiedział — dał Viereckowi sto tysięcy dolarów, żeby popierał sprawę niemiecką”; dodał, że odbiorca tej kwoty w gruncie *rzeczy* nie oddał Niemcom żadnej poważniejszej usługi. Ridderowie nie czują sympatii do Vierecka. Są teraz entuzjastycznymi stronnikami prezydenta Roosevelta.

Następnym interesantem był Walter S. Rogers. Chodziło mu przede wszystkim o zgodę ambasady na to, żeby jeden z członków Instytutu Bieżących Spraw Międzynarodowych, którego Rogers jest dyrektorem, przeprowadził studia nad zjawiskiem niezwykle emocjonalizmu w życiu narodu niemieckiego i złożył na ten temat sprawozdanie, które będzie przechowywane jako poufny dokument w nowojorskim biurze Rogersa, z tym, że jedna kopia przeznaczona dla władz państwowych zostanie przesłana do wiadomości Departamentu Stanu. Jestem zbyt krótko na moim stanowisku, żebym mógł cokolwiek mu obiecać, nie wyobrażam sobie również, żeby tego rodzaju naukowiec mógł dokonać czegoś więcej niż zwykły historyk; władzom niemieckim na pewno nie przyjdzie do głowy, żeby swoim przeciwnikom politycznym umożliwić dostęp do dokumentów urzędowych, czy obozów (pracy lub innych). Gazety nie zdradzają niczego, chyba że w formie pośrednich aluzji. Wszystkie są kontrolowane przez władze. Powiedziałem jednak Rogersowi, że pomyślę nad tą sprawą i napiszę do niego.

2 sierpnia 1933. Środa.

Przeziębiony leżę w łóżku. Ale przyszedł konsul generalny, żeby mi zameldować o nowym wypadku: młody chłopiec z Nowego Jorku, studiujący na jednym z niemieckich uniwersytetów, który nie ukrywał, że jest komunistą, został aresztowany około 1 lipca i był trzymany w całkowitej izolacji, pomimo energicznych interwencji konsula generalnego. Dopiero około 24 lipca jeden z pracowników Messersmitha odwiedził aresztowanego i ustalił stan faktyczny. Większość szczegółów tej sprawy przedostała się do wiadomości dziennikarzy, którzy chcą je opublikować w amerykańskiej prasie.

Po południu przyszli do mnie Edgar Mowrer i młody H. R. Knickerbocker i prosili o zezwolenie na opisanie tej historii w „Chicago Daily News” i „New York Post”. Nic mi nie mówili (dowiedziałem się o tym później), że już przedtem przetelegrafowali redakcjom tych dzienników swoje reportaże. Messersmith też mi nic nie powiedział o tym, że im na to zezwolił.

Następnego dnia chłopca przywieziono na badanie do Berlina; okazało się niebawem, że jest winien zarzucanych mu czynów, a poza tym, że jest wyjątkowo niepoważny. Wypuszczono go na wolność i odesłano po cichu do Nowego Jorku. Gdy fakty te stały się wszystkim wiadome, pisma, które tak bardzo interesowały się tą sprawą, zrezygnowały z jej opisywania i o chłopcu przestało się w ogóle mówić. Incydent bardzo charakterystyczny.

3 sierpnia 1933. Czwartek.

Przyszedł mnie odwiedzić pan Gustav Oberlaender, założyciel Fundacji Oberlaendera*, który corocznie wysyła grupę młodych stypendystów do Niemiec, celem zapoznania ich z życiem i instytucjami narodu niemieckiego. Powiedział, że zgodnie z zaleceniem rady nadzorczej Fundacji nosi się z zamiarem zaniechania tej akcji. Powodem tej decyzji jest okrutne traktowanie Żydów przez władze w Niemczech. Prosił mnie o radę.

Powiedziałem: „Nie wstrzymujcie waszej działalności, bo teraz jest właśnie odpowiedni czas, żeby badać stosunki w Niemczech; zresztą kłopoty Żydów mogą się wkrótce skończyć”. Wyszedł nie przekonany. Jechał właśnie na spotkanie z Hitlerem i po tym miał się ostatecznie zdecydować. Jest on jednym z tych bogatych Żydów, którzy w czasie wojny światowej byli bardziej niemieccy od samych Niemców i ofiarowali kolosalne sumy na różne publiczne cele. Teraz jest oczywiście bardzo przejęty tym, że przedstawiciele jego rasy są tak bezlitośnie prześladowani. Ale dlaczego miałyby się z tego powodu nie pozwolić młodym Amerykanom studiować życia i zwyczajów narodu niemieckiego za pieniądze pochodzące z zysków na milionowych inwestycjach?

O 11.30 przyszedł Karl von Wiegand, od 25 lat korespondent Hearsta w Niemczech, a ostatnio na całą Europę. Otrzymałem swego czasu na jego temat list od pułkownika House'a. Zrobił na mnie bardzo dodatnie wrażenie. Jest dość bliskim przyjacielem byłego Kaisera; utrzymywał kiedyś zażyłe stosunki z czołowymi działaczami Republiki Weimarskiej; ostatnio sympatyzuje z ruchem hitlerowskim, zna dobrze Hindenburga. Opowiedział mi, że gdy w kwietniu 1918 r. Niemcy byli tak blisko Paryża, a nieco później zastrajkowało 400 tysięcy francuskich robotników, Wiegand otrzymał amerykańską wizę wyjazdową i został upoważniony przez pułkownika House'a do wyjazdu do Szwecji, aby stamtąd udać się do Niemiec celem przygotowania wstępnych warunków odrębnego pokoju. Telegram o zgodę został wysłany, ale pułkownik House czekał na dalszy rozwój wydarzeń i na razie wstrzymał wyjazd Wieganda. Zmiana sytuacji sprawiła, że do misji tej w ogóle nie doszło. Clemenceau zlikwidował strajk i przywrócił morale francuskiej armii.

O tego rodzaju planach nie wspomina żadna ze znanych mi historii wojny światowej; nie ma też żadnej wzmianki na ten temat w *Dzienniku* pułkownika House'a. W ścisłość opowieści Wieganda wątpię. Ale on sam zrobił na mnie wrażenie człowieka dobrze poinformowanego i sądzę, że warto będzie w pewnych sytuacjach skorzystać z jego rady.

5 sierpnia 1933. Sobota.

Przyszedł prof. R. G. Harrison z uniwersytetu w Yale. Ma chyba około 70 lat. Powiedział mi, że wybitny profesor uniwersytetu berlińskiego, kobieta, która w czasie wojny była w Yale bacznie obserwowana przez władze amerykańskie, jako podejrzana o szpiegostwo na rzecz Niemiec, teraz jako Żydówka została aresztowana i zwolniona z pracy. Harrison tak wysoko ją ceni, że zapytał, czy mógłbym w tej sprawie interweniować. Odpowiedziałem,

* Gustav Oberlaender, amerykański przemysłowiec z Pensylwanii pochodzenia niemieckiego (przemysł pończoszniczy), założył w 1930 r. Fundację Oberlaendera (Oberlaender Trust) z kapitałem 1 mln dolarów, dla „pogłębienia wzajemnego zrozumienia między Niemcami a Amerykanami”.

że ponieważ jest obywatelką niemiecką, niczego uczynić nie mogę. Według Harrisona za dwa tygodnie ma się odbyć w Oksfordzie wielka konferencja naukowa (zdaje się, że biologów). Ta pani jest członkiem sekretariatu konferencji, i gdyby jej nie wypuszczono, Niemcy spotkałyby się z tego powodu z krytyką na całym świecie. „Czy może pan mnie skontaktować z jakąś osobą urzędową, której mógłbym przedstawić tą sprawę?” Posłałem go do konsula generalnego Messersmitha. Po południu konsul przedstawił sprawę Harrisona telefonicznie szefowi tajnej policji, Rudolfowi Dielsowi. Messersmith dodał: „To nie nasza sprawa. Chciałbym tylko, żeby pan wiedział, jakie są jej okoliczności i ewentualne konsekwencje”. Diels odpowiedział: „Proszę powiedzieć profesorowi, żeby przyszedł do mnie jutro wieczorem na obiad — zobaczymy, co można będzie w tej sprawie zrobić”.

O 11.30 zjawiała się dziwna postać: prof. John F. Coar, według *Who is who* wybitny profesor niemieckiej literatury i filozofii w Kanadzie, ale urodzony 72 lata temu, z amerykańskich rodziców, w Berlinie. Jest teraz na emeryturze i mieszka niedaleko Bostonu. Utyka na jedną nogę, zachowuje się z godnością, jest sympatyczny.

Życzył sobie, żebym rozmowę z nim potraktował jako ściśle poufną. Oświadczył, że jest osobistym przyjacielem Adolfa Hitlera i że w 1923 r. odradzał mu dokonania monachijskiego puczu. Hitler w dalszym ciągu go przyjmuje i Coar wybiera się za parę dni do letniej rezydencji kanclerza Rzeszy w Bawarii. Oświadczył, że gotów jest przywieźć dokładne sprawozdanie z rozmowy z Hitlerem, jeżeli dam mu list polecający do prezydenta Roosevelta, któremu chciałby złożyć końcowy raport.

9 sierpnia 1933. Środa.

Prof. Coar przyszedł jeszcze raz i powiedział, że wyjeżdża do Hitlera w piątek 11-go lub sobotę 12-go. Zabierze go tam samolotem główny konsultant partii hitlerowskiej Rudolf Hess*. Przedłożył mi krótkie pismo do prezydenta Roosevelta, prosząc, żebym je przeczytał i odesłał najbliższą pocztą dyplomatyczną do Waszyngtonu, na co wyraziłem zgodę. Wyszedł ode mnie bardzo zaniepokojony obecnym kierunkiem niemieckiej polityki zagranicznej, ale w nadziei, że uda mu się jakoś wpłynąć na kanclerza. Powiedziałem mu, że problem żydowski musi być rozwiązany w zupełnie inny sposób, że eksport z Niemiec będzie się nadal kurczyć, jeżeli nie ustanie okrutne traktowanie Żydów; że prowokujące postępowanie władz niemieckich z pewnością doprowadzi do międzynarodowego bojkotu Niemiec. Wydaje mi się, powiedziałem na zakończenie, że hitlerowcy nie zdają sobie zupełnie sprawy z konsekwencji, jakie muszą wyniknąć z ich brutalnego postępowania. Coar zgodził się z tym całkowicie.

10 sierpnia 1933. Czwartek.

Przyszedł do mnie David Levinson, adwokat, Żyd z Filadelfii o typowo żydowskim wyglądzie, który odegrał pewną rolę w walce o prawa obywatelskie w Stanach Zjednoczonych. Posiada pełnomocnictwo do wystąpienia w cha-

* Rudolf Hess był w l. 1926—1941 kierownikiem organizacyjnym NSDAP, a w latach 1933—1941 zastępcą Hitlera do spraw partyjnych i ministrem bez teki.

rakterze obrońcy w procesie o podpalenie Reichstagu, który rozpoczyna się w Lipsku 21 września. Chciał otrzymać ode mnie pismo polecające do władz niemieckich, którym mógłby się posłużyć, gdy będzie prosił o dopuszczenie go w charakterze obrońcy w tym procesie. Takiego pisma dać mu nie mogłem, ale poradziłem, żeby zwrócił się w tej sprawie do Louisa P. Lochnera, korespondenta Associated Press.

11 sierpnia 1933. Piątek.

Brat pewnego byłego wysokiego urzędnika państwowego przyszedł do mnie, żeby porozmawiać w sprawie planowanego przez Fundację Carnegiego utworzenia nowej katedry na uniwersytecie berlińskim oraz planów tej Fundacji w dziedzinie pogłębienia wzajemnego zrozumienia między narodami. Wyraziwszy na wstępie obawę o własne bezpieczeństwo, mówił mi o możliwości nawiązania kontaktu z wybitnymi niemieckimi uczonymi, których wcale nie załamało zniewolenie życia uniwersyteckiego przez hitlerowców. Jego zdaniem ci ludzie, gdy nadejdzie odpowiedni czas, staną w obronie podeptanej niemieckiej kultury. Było mi naprawdę przykro, że taki zdolny i wykwalifikowany młody naukowiec znajduje się w takiej opresji.

O 11.30 przyszedł Winthrop W. Aldrich, prezes Chase National Bank w Nowym Jorku i wyraził zadowolenie z tego, że niemiecki plan finansowy nie przewiduje formalnego unieważnienia niemieckich obligacji zakupionych przez Amerykanów. Całkowicie nie był zadowolony, ale w dużym stopniu. Powiedział: „Co za pech z tymi pożyczkami!” Wybierał się właśnie do kwatery Hitlera z prezesem Reichsbanku Schachtem i ministrem gospodarki Schmittem. Da mi później znać, jakie są zamierzenia kanclerza Rzeszy.

Pod wieczór przyszedł Messersmith z członkami zarządu United States Lines. Okazuje się, że finansowana przez rząd niemiecka linia okrętowa do Ameryki wydała idiotyczne zarządzenie, w myśl którego nikomu, kto wyjeżdża z Niemiec, nie wolno kupić biletu okrętowego droższego niż za 200 marek, a to w praktyce oznacza, że można kupić bilet tylko na statek niemiecki. Zmuszając w ten sposób wszystkich podróżnych do korzystania wyłącznie z linii niemieckich zarządzenie z miejsca uniemożliwia działalność przedsiębiorstw amerykańskich i brytyjskich. Wysłałem natychmiast telegram do Waszyngtonu. Departament Stanu nie śpieszył się, ale towarzystwa okrętowe w Nowym Jorku wydały podróżnym amerykańskim zalecenie omijania niemieckich linii okrętowych. Po paru dniach pod jakimś błahym pretekstem rząd niemiecki uchylił to zarządzenie. Jeszcze jeden przykład niemieckiej niezręczności w stosunkach międzynarodowych.

13 sierpnia 1933. Niedziela.

Wybraliśmy się dzisiaj samochodem szosą poczdamską na południe, do Wittenbergi i Lipska. O 11-ej stanęliśmy przed kościołem Lutra. Nie mogliśmy wejść do środka, gdyż dla turystów wstęp był wzbroniony. Gdy odwiedzałem to stare miasto Reformacji w latach 1898 i 1899 było inaczej. Wówczas brałem udział w nabożeństwie albo też zasiadałem wśród wiernych.

Niewiele pozostało tu z atmosfery z czasów Lutra. Miasto jest dziś cztery

razy większe niż w 1899 — stało się ośrodkiem przemysłowym. Obserwując przemarsz kolumny hitlerowców, dostrzegłem przypadkowo przyglądającego się im również policjanta. Jego twarz nie wyrażała zachwytu. Pokręciliśmy się z godzinę po starym mieście, a potem ruszyliśmy dalej w kierunku Lipska. Przybyliśmy tam o 1-ej i pojechaliśmy na Stary Rynek, a następnie na obiad do restauracji „Auerbachs Keller” — doskonałe jedzenie za 3 marki bez wina, którego zresztą nigdy nie piję, chyba że na oficjalnych przyjęciach, i to bardzo niewiele.

William i Marta pojechali później dalej do Monachium, razem z nimi młody dziennikarz, Quentin Reynolds, z koncernu Hearsta. Mattie, tzn. moja żona, i ja odpoczywaliśmy przez parę godzin w hotelu, a na kolację poszliśmy do restauracji na Starym Rynku, gdzie zjedliśmy sobie dobrze za 2 marki. Następnie odbyliśmy spacer po starych wąskich uliczkach aż do Starego Teatru, gdzie kiedyś, gdy byłem studentem, oglądałem sztuki Lessinga, Schillera i Goethego, ale w adaptacjach dla dzieci. To był mój sposób uczenia się języka niemieckiego. Przeszliśmy się jeszcze po słynnej Brühlstrasse, będącej od wieków centrum żydowskich hurtowni i aukcji futrzanych, i powróciwszy w doskonałym nastroju do naszego hotelu, nie rozpoznani przez nikogo, udaliśmy się na spoczynek.

14 sierpnia 1933. Poniedziałek.

Przyłączyliśmy się do zwiedzających miasto, obwożono nas po ulicach do 12.30. Obejrzelśmy różne wydziały uniwersytetu i szereg pałaców opuszczonych przez bogaczy, którzy potracili swoje fortuny w czasie wojny światowej lub zaraz po niej. To bardzo ponura dzielnica miasta. Coraz to jakaś wspaniała opustoszała rezydencja przypominała nam o szaleństwie, którego dopuścili się wielcy ludzie w 1914 roku.

Najbardziej imponującą budowlą w mieście jest ogromny pomnik niemieckiego zwycięstwa nad Napoleonem w bitwie pod Lipskiem w październiku 1813 r.; zginęło wówczas 80 tysięcy żołnierzy, których ciała pochowano lub wrzucono do rzeki Plissy. Ta kolosalna kamienna wieża wzniesiona została przez rząd cesarski w 1913—1914 r. Ogromnymi schodami dochodzi się do podestu, następnie schodami wewnątrz wieży wchodzi się jeszcze około 50 stóp wyżej aż do wewnętrznej galerii pod kopułą budowli. Tam nasza wycieczka przystanąła, żeby wysłuchać frazesów hitlerowskiej i cesarskiej propagandy o potędze i bohaterstwie niemieckiego narodu. Cztery stojące tu ogromne kamienne figury mają alegoryczne znaczenie. Jedna z nich przedstawia matkę karmiącą ogromną piersią dwoje bliźniaków; druga — filozofa-nauczyciela z grupą siedzącej u jego stóp niemieckiej młodzieży; trzecia przedstawia boga wojny; czwarta — to jakaś litościwa dusza wspomagająca biednych i bezradnych. Było to wszystko bardzo interesujące dla kogoś, kto znał historię aspiracji i błędów narodu niemieckiego. Sugestywne objaśnienia przewodnika miały charakter wyraźnie hitlerowski.

Po zakończeniu wycieczki po mieście i odwiedzeniu jeszcze głównej auli uniwersyteckiej, zapłaciliśmy rachunek w hotelu i wyjechaliśmy pociągiem do Berlina, gdzie przybyliśmy około 5-ej.

16 sierpnia 1933. Środa.

Prof. Coar przyszedł znowu, żeby opowiedzieć o swojej wizycie u Hitlera. Spędził u kanclerza dwie godziny, świadkiem rozmowy był Hess. Hitler mówił z pasją o tym, że zniszczy wszystkich Żydów; twierdził, że żadne państwo nie ma prawa przeciwko temu protestować, że Niemcy dają przykład całemu światu, jak się pozbyć tej okropnej plagi. Siebie uważa za swego rodzaju Mesjasza. Uzbroi na nowo Niemcy, przyłączy Austrię i przeniesie stolicę do Monachium. Była mowa jeszcze o innych, równie ważnych sprawach, ale Coar nie był upoważniony do ich ujawniania. Jego zdaniem Hitler nie docenia reakcji zagranicy i gospodarczych skutków swego antyżydowskiego programu.

Przy obiedzie przyjemna rozmowa z James McDonalodem i jego żoną. Obecni byli również państwo Messersmith i państwo Mowrer. Była mowa o przykrości, jaka spotkała Mowrera z powodu jego reportaży, w których opisywał, jak hitlerowcy zachowują się wobec cudzoziemców, którzy ich nie pozdrawiają po hitlerowsku lub wyglądają na Żydów. Kazano mu opuścić Niemcy do 6 września. Uważam, że Mowrer jest na swój sposób równie nieopanowany jak hitlerowcy, ale rozumiem jego punkt widzenia.

18 sierpnia 1933. Piątek.

Czterdzieści pań, reprezentujących berliński Klub Amerykanek, przyszło złożyć mi swoje uszanowanie i wysłuchać krótkiej pogadanki pana Gordona na temat sytuacji w Niemczech pod rządami Hitlera.

O 9-ej Fritz, kamerdyner w naszym nowym domu — ściśle mówiąc starym domu, w którym prowadzimy egzystencję na stopie wymagającej posiadania kamerdynera — zameldował, że jakiś profesor Langbeine prosi mnie do telefonu. Gdy podniosłem słuchawkę, poznałem głos prof. Coara: ma on faktycznie długie nogi!* Oświadczył, że jego przyjaciel wrócił z Hessem od Führera, ale mówiąc to Führera zaszyfrował jako nr 1, Hessa jako nr 2, a swego przyjaciela jako nr 3. Powiedział, że stanowisko Hitlera nie uległo zmianie. Mówił w ten sposób, że nikt, kto by go podsłuchiwał, nie mógłby się domyślić znaczenia jego słów, ani też kogo one dotyczą. Zastanawiam się, co to za gra, którą prowadzi. Tak wygląda obecnie sytuacja w Niemczech, a ja się wciąż uczę.

19 sierpnia 1933. Sobota.

Otrzymałem dziś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych pismo zapraszające mnie, jak również wszystkich pozostałych członków korpusu dyplomatycznego, do wzięcia udziału w wielkim manifestacyjnym spotkaniu partii narodowosocjalistycznej z jej Wodzem w dniach 2 i 3 września w Norymberdze. Rząd zapewnia komfortowe warunki przejazdu i pobytu. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że zaproszenie wysłane zostało na polecenie kierownictwa partyjnego: słowo „Partei” (partia) użyte było trzy razy w pierwszym akapicie pisma. Zorientowałem się od razu, że obecność tam byłaby dla mnie kłopotliwa i powiedziałem sobie, że nie pojedę, chyba że pojedą inni ambasadorowie. Zapro-

* Lange Beine po niemiecku = długie nogi.

ponowałem Gordonowi, żeby się dowiedział, jakie jest stanowisko francuskiego ambasadora, sam zaś zastanawiam się obecnie, czy nie odrzucić zaproszenia, nawet gdyby wszyscy pozostali dyplomaci mieli pojechać.

21 sierpnia 1933. Poniedziałek.

Dr Hans Dieckhoff zaprosił mnie na lunch w hotelu „Adlon” przy Unter den Linden. Na honorowym miejscu siedział Rufus von Kleinsmid, rektor uniwersytetu Południowej Kalifornii. W tym wykwintnym śniadaniu z trzema gatunkami wina (którego ja wypilem tylko 1—2 małe łyki) wzięło udział około dwudziestu przedstawicieli kół rządowych.

Po lunchu otoczyło mnie kilku urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych, starając się wysondować moje poglądy. Szczególnie interesował się moją osobą minister oświaty, Bernhard Rust*, nie mówiący zresztą po angielsku. Rozmawiałem z nim o niemieckich historykach: Mommsenie, von Ranke i innych. Rust powiedział, że Żydzi zmusili Mommsena do skreślenia pewnych ustępów z jego *Historii Rzymu*, gdyż przedstawiały one „wybrany naród” w ujemnym świetle. Przyjąłem jego uwagę w milczeniu. Powiedział, że zmusili go do tego wydawcy. I tę uwagę przyjąłem w milczeniu. Poza dyskusją historyczną niewiele powiedziałem takiego, co warte byłoby zapisania, ale przyznałem wyraźnie, że na ogół odpowiadają mi bardzo kulturalne Niemcy z 1900 roku. Pożegnałem się z towarzystwem o godz. 4-ej. Gdy wychodziłem z hotelu, wybiegł za mną starszy kamerdyner, żeby mi pomóc wsiąść do samochodu. Zdziwiło go, a może nawet przejęło niesmakiem, gdy zobaczył, że szybkim krokiem oddalam się w stronę mojej ambasady.

O 4.30 przyszedł ambasador hiszpański [Luis de Zulueta] (bardzo przyjemny, bo wolny od konwenansów, jako że obaj nie zostaliśmy jeszcze oficjalnie akredytowani), żeby przedyskutować sprawę ewentualnego wyjazdu na imprezę norymberską. Dałem mu do zrozumienia, że nie pojadę i dodałem, że wszystkie dotychczasowe precedensy w historii Stanów Zjednoczonych przemawiają przeciwko wyjazdowi. Powołałem się w związku z tym na incydenty z lordem Sackville i Jacksonem (pierwszy za Clevelanda w 1888 r., drugi za Madisona w 1811 r.). Ambasador hiszpański mówił po niemiecku mniej więcej tak samo dobrze — czy źle — jak ja. Przedyskutowaliśmy sprawę bardzo dokładnie i doszliśmy do porozumienia; nie powiedziałem mu jednak stanowczo, jak ostatecznie postąpię, gdyż było to moje pierwsze z nim spotkanie.

22 sierpnia 1933. Wtorek.

Zwróciłem się o instrukcje do Departamentu Stanu i otrzymałem dyplomatyczną odpowiedź, że rząd amerykański nie chce mnie w tej sprawie wiązać i poprze każde rozwiązanie, które uznam w danej sytuacji za odpowiednie. Natychmiast powziąłem decyzję, żeby nie jechać, nawet gdyby pojechali wszyscy pozostali ambasadorowie.

O 10.45 przyszedł Edgar Mowrer w sprawie osobistej: Departament Stanu

* Bernhard Rust był od kwietnia 1933 r. ministrem oświaty i wyznań Państwa Pruskiego. Powołał go na to stanowisko Göring. Od 1 maja 1934 r. był ministrem nauki Rzeszy (Reichsminister für Wissenschaft, Erziehung und Volksbildung).

zalecił mu rezygnację. O 11.15 zjawił się dr Dieckhoff z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zażądał niezwłocznego wyjazdu Mowrera. Mówił o wielu różnych sprawach, zanim doszedł do najważniejszego: że istnieje niebezpieczeństwo fizycznej napaści na Mowrera, szczególnie gdyby pojechał do Norymbergi dla napisania reportażu o zjeździe partii. Władze już teraz ustawiły posterunki policyjne przed jego domem i biurem. Z uwagi na zaognienie sprawy i możliwość nowego „okrutnego wyczynu” hitlerowców, zgodziłem się zalecić Mowrerowi, aby wyjechał w terminie do 1 września. Dieckhoff powiedział, że do tego czasu zapewni mu maksymalną ochronę.

Po wyjściu Dieckhoffa zjawił się Gruppenführer Karl Ernst z berlińskiej SA, żeby mnie przeprosić za napad na dr. Mulvihilla, lekarza-specjalistę studiującego w Niemczech problem chorób płucnych. Mulvihilla, który stojąc na skraju chodnika na Unter den Linden, nie pozdrowił maszerujących oddziałów SA, pobito i wyniesiono z miejsca wypadku nieprzytomnego. Messersmith zażądał bezzwłocznego ukarania sprawcy, którego zaraz wsadzono do więzienia, a szef tajnej policji, Rudolf Diels, kazał Ernstowi wyrazić mi swoje ubolewanie.

Gdy młody oficer stuknął obcasami i pozdrowił mnie po hitlerowsku, wstałem i odpowiedziałem na jego pozdrowienie w sposób, jaki uważałem za najbardziej odpowiedni, wysłuchałem jego oświadczenia w języku niemieckim, w którym wyraził swój żal i przyrzekł mi, że tego rodzaju rzecz więcej się nie powtórzy. Gdy skończył, poprosiłem go, żeby usiadł i przemówił mi do rozumu, ostrzegając go przed groźnymi skutkami tego rodzaju postępowania jego podkomendnych. Zapewnił mnie uroczyście, że szczerze i stanowczo pragnie dotrzymać obietnicy położenia kresu napaściom na cudzoziemców. Podniósł się, stanął na baczność, zsalutował, skinął po wojskowemu głową i wyszedł. Bardzo mnie to wszystko ubawiło. O 1-ej powiadomiłem Messersmitha, że przeprosiny odbyły się jak należy. Odpowiedział: „Incydenty się nie skończą”.

23 sierpnia 1933. Środa.

Po pracowitym ranku złożyłem wizytę wiceministrowi von Bülowowi w jego biurze na Wilhelmstrasse. Towarzyszył mi radca Gordon, który będąc persona non grata w tym Ministerstwie, oświadczył: „Spodziewam się, że każą mi czekać pod drzwiami pół godziny”. Ale von Bülow wszedł do pokoju recepcyjnego po dwóch minutach. Usiedliśmy przy okrągłym stole i przez piętnaście minut rozmawiało się z nim w zgodnym duchu o walce z bezrobociem i stosunkach międzynarodowych. Zrobiłem ruch, że chcę już iść, ale powiedziałem jeszcze parę słów o stryju von Bülowa; pozostawił on po sobie znakomitą autobiografię, ja jednak wspominałem tylko o jego *Deutsche Politik*, którą wydał w 1916 r. Jest to doskonała analiza niemieckiej polityki zagranicznej do 1914 r., a zarazem krytyka niemieckiej niezręczności w stosunkach międzynarodowych.

Tego samego dnia o godz. 4.30 von Bülow przyszedł do mnie z rewizytą i siedział blisko godzinę. Co do większości poruszonych spraw poglądy nasze były zgodne. Powiedziałem mu o przeprosinach Ernsta, obiecał, iż uczyni wszystko, co tylko będzie w jego mocy, żeby Ministerstwo Policji nie dopuściło do powtórzenia się tego rodzaju wykroczeń. Powiedział, że stosunki między Niemcami i zagranicą są bardzo napięte, i że „dużo szkody wyrządziło wrogie nastawienie Żydów w Stanach Zjednoczonych”.

Zapytałem go, czy może być mowa o jakimś problemie, który by uzasadniał naruszenie granic Francji lub Austrii. Odpowiedział: „Nie dokonamy żadnego agresywnego kroku; jeżeli jednak Francja będzie kontynuować swoje ofensywne zbrojenia, to bez względu na postanowienia traktatu wersalskiego, będziemy musieli zorganizować obronę przeciwlotniczą i przeciwczołgową. Niemcy mają pełne prawo się zbroić, jeżeli inne państwa naruszają postanowienia traktatu i same się zbroją. W tej sprawie całe Niemcy są jednomyślne, ale niech pan sobie nie wyobraża, że ci wszyscy, co maszerują ulicami, chcą po prostu wojny. To tylko niezbędna musztra, żeby utrzymać w ryzach naszych bezrobotnych!” Nic na to nie powiedziałem. Rozmawialiśmy następnie na mniej ważne tematy, ale później von Bülow powrócił do poruszonej poprzednio sprawy i powiedział: „Przemówienie kanclerza w Norymberdze będzie miało charakter pokojowy”. Odpowiedziałem, że mnie to bardzo cieszy, ale nie wspominałem o moich wątpliwościach ani też o mojej decyzji nieuczestniczenia w tym spotkaniu. Rozstaliśmy się w bardzo miłym nastroju.

25 sierpnia 1933. Piątek.

Dr Karl Wehner z „Berliner Tageblatt”, który niedawno wydrukował w swoim dzienniku bardzo obszerną recenzję o moim *Królestwie bawelny*, przyszedł porozmawiać ze mną na temat ewentualnych recenzji innych moich książek. Dałem mu egzemplarz książki *Woodrow Wilson*, ale nie dla recenzji, lecz żeby go zapoznać z moimi poglądami na gospodarcze i międzynarodowe problemy czasów Wilsona. Powiedział, że przyjdzie znowu, jak tę książkę przeczyta. Ciekawy jestem, czy przyjdzie.

O 12-ej przyszedł George Sylvester Viereck z pismem od pułkownika House'a. Zrobił na mnie wrażenie człowieka chwiejnego, ale wyraźnie sympatyzującego z hitleryzmem; przyjechał tu na rozmowy z oficjalnymi czynnikami. Był u nas na lunchu i w dalszym ciągu wyczuwałem, że zbyt szczerą rozmowa z nim nie jest wskazana. W jego towarzystwie czuję się nieswojo. Sądzę, że pułkownik House dał się wprowadzić w błąd. Powinien był się na nim poznać. Viereck oświadczył, że wybiera się do Norymbergi, a po powrocie przyprowadzi do nas — o ile nam to będzie odpowiadać — młodego Hohenzollerna, księcia Fryderyka.

26 sierpnia 1933. Sobota.

Wysłałem odpowiedź na zaproszenie do Norymbergi. Zaproszenia nie przyjąłem, tłumacząc się nawałem pracy; głównym jednak powodem była dezaprobata zaproszenia mnie przez rząd na zjazd partyjny. Byłem poza tym przekonany, że przywódcy ruchu będą się zachowywali na zjeździe w sposób, który mógłby wprowadzić mnie w zakłopotanie.

28 sierpnia 1933. Poniedziałek.

Przyszedł H. C. McLean, urzędujący w Paryżu szef amerykańskich attachés handlowych w Europie. Przeprowadziliśmy wspólnie rozmowę z attaché han-

dlowym ambasady Douglasem Millerem, który mówi płynnie po niemiecku i jest żonaty z Niemką. Z poziomem jego pracy zapoznałem się dopiero parę dni temu, gdy na moim biurku znalazła się napisana przez niego doskonała, wyjątkowo udana analiza sytuacji gospodarczej Niemiec pod rządami Hitlera. Bardziej interesująca od McLeana była wizyta K. V. Kaltenborna, komentatora radiowego problemów europejskich w Columbia Broadcasting System. Pracuje on obecnie nad zagadnieniem hitleryzmu oraz narodowego socjalizmu i przygotowuje materiały do audycji, które poinformują społeczeństwo Stanów Zjednoczonych o dzisiejszych Niemczech.

29 sierpnia 1933. Wtorek.

Zjawił się ponownie Karl von Wiegand. Właśnie wrócił z podróży do Wiednia, Genewy, Paryża i Londynu. Opowiadał zdumiewające rzeczy. Miał sześciogodzinny wywiad z kanclerzem Engelbertem Dollfussem w czasie wspólnej przejażdżki po austriackich górach. Dollfuss udaremnił planowany przez Hitlera zamach na niepodległość Austrii, który miał nastąpić 6 września. Pucz został odwołany wobec wzrastającej w Austrii niechęci do narodowego socjalizmu i poparcia udzielonego Dollfussowi przez Mussoliniego*. Według Wieganda Dollfuss powiedział: „Nie będzie żadnego puczu po wrześniowym zjeździe partii w Norymberdze”. Moim zdaniem, do odwołania puczu przyczynił się również fakt, że przedstawiciele Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych i Hiszpanii nie wezmą udziału w zjeździe hitlerowskiej partii w Norymberdze.

Von Wiegand powiedział, że Francja chce rozszerzyć swój pakt z Rosją (Edward Herriot pojechał właśnie po to do Moskwy), żeby Rosja była zobowiązana udzielić Francji poparcia w każdym wypadku jej wystąpienia przeciwko Niemcom. Wkrótce dowiemy się również o tym, że Niemcy zakupiły w Rosji wielkie ilości sprzętu lotniczego, i że Francja położyła na nim areszt, gdyż zakup ten był naruszeniem traktatu wersalskiego. Francja i Anglia działają w porozumieniu i utworzą jednolity front w wypadku, gdyby Niemcy zaczęły zdradzać jakieś agresywne zamiary. Naprzód jednak zastosowany będzie bojkot gospodarczy i blokada.

Na zakończenie von Wiegand oświadczył, że wczoraj wieczorem przekazał telegraficznie, czy raczej telefonicznie, do biura prasowego Hearsta w Londynie treść testamentu prezydenta Hindenburga: 1) Hohenzollern ma stanąć na czele narodu niemieckiego; 2) władza kanclerza Hitlera ma być ograniczona; i 3) przywrócony ma być udział społeczeństwa w rządzeniu państwem.

Zapytałem go, czy nie uważa, iż naraził się na niebezpieczeństwo przekazując treść testamentu zwykłą drogą. Odpowiedział: „Mam pewność, że to prawda: moje informacje pochodzą od jednego z bliskich przyjaciół Hindenburga; uważam, że świat powinien o tym wiedzieć. Oczywiście tajna policja niemiecka wie, co zrobiłem. Dano mi do zrozumienia, że będę wkrótce wezwany przed oblicze szefa tajnej policji Dielsa”. Oświadczyłem, że nie powinien pozwalać sobie na rzeczy, za które może być wydalony z Niemiec. Pod tym względem mieliśmy już nauczkę, gdy wydalono Mowrera. Mam wrażenie, że

* W dniach 10 i 20 sierpnia 1933 r. odbyły się spotkania Dollfussa z Mussolinim w Riccione. Kanclerz austriacki uzyskał wówczas zapewnienie, że rząd włoski udzieli Austrii pomocy w walce o utrzymanie niepodległości. Mussolini miał także zapewnić, że w razie zbrojnego wtargnięcia bojówek hitlerowskich na terytorium Austrii Włochy również przyjdą z pomocą.

von Wiegand nie jest od tego, żeby odegrać rolę męczennika. Jego relacja trochę mnie jednak zaskoczyła.

30 sierpnia 1933. Środa.

Pojechałem dziś wraz z personelem ambasady (wszyscy w żakietach, cylindrach itp.) złożyć listy uwierzytelniające prezydentowi Hindenburgowi. Odczytałem trzystronicowe konwencjonalne oświadczenie, z tym jednak, że jako przedmiot mojej misji wymieniłem również „naród niemiecki” i podkreśliłem, że życie intelektualne w Niemczech budzi wielkie zainteresowanie narodu amerykańskiego. Prezydent odpowiedział językiem pełnym wigoru, kładąc szczególny nacisk na to, co powiedziałem o narodzie niemieckim i jego kulturze. Usiedliśmy z Prezydentem na „honorowej kanapie”, a przy stojącym przed nami stole zasiedli najwyżsi przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych Neurath i Bülow oraz sekretarz Prezydenta Hans Otto Meissner.

Rozmawialiśmy o prezydencie Rooseveltcie i problemach gospodarczych Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Powiedziałem, że na temat Prezydenta opinia w Waszyngtonie jest bardzo podzielona. Wypowiedział się on w każdym razie przeciwko polityce gospodarczego nacjonalizmu, której się od niego ostatnio domagano. Hindenburg w mocnych słowach wyraził swoje zastrzeżenia co do skuteczności polityki gospodarczego nacjonalizmu w krajach dotkniętych biedą i bezrobociem. Jego uszczypliwe uwagi na temat stosunków międzynarodowych zrobiły na mnie wrażenie, że chodzi mu pośrednio o skrytykowanie partyjnych ekstremistów.

Po kwadransie miłej rozmowy, w czasie której padły pytania na temat moich studiów uniwersyteckich w Niemczech i ludzi, którzy uczyli mnie historii, poruszyłem się lekko, uważając, że czas się pożegnać, po czym wstałem i przeszedłszy z Prezydentem do sąsiedniego pokoju przedstawiłem mu tam członków mojej ambasady. Po zakończeniu tej ceremonii wycofałem się do hallu wejściowego i statecznym krokiem wyszedłem na ulicę, mając po lewej ręce umundurowanego von Bassewitz, a z tyłu orszak moich współpracowników. Gdy odjeżdżaliśmy, po dwu stronach ulicy stało na baczność kilka kompanii Reichswehry. Było, już więc po wszystkim i stałem się wreszcie należycie upełnomocnionym przedstawicielem Stanów Zjednoczonych w Berlinie.

O 5-ej złożyłem wizytę Nuncjuszowi [Cesare Orsenigo], który mieszka we wspaniałym pałacu, nie bardzo licującym z jego kapłańskim strojem i ascetycznym wyglądem. Rozmawiało się nam całkiem dobrze po niemiecku przez piętnaście minut. Oświadczył, że nie może pojechać do Norymbergi, gdyż musi być obecny na konferencji duchownych katolickich w Trewirze. Zapytałem, czy jego zdaniem są jeszcze chrześcijanie na świecie. Wzruszył ramionami, ale powiedział: „Tak”. Gdy go zapytałem o konkordat z Hitlerem*, pochwalił go. Na zakończenie rozmowy wyraził entuzjastyczne poparcie dla idei absolutnej wolności religijnej i rozdziału Kościoła od państwa! Coś takiego w ustach prawowiernego katolika!

* Konkordat został podpisany w Rzymie 20 lipca 1933 r. przez F. von Papena, jako przedstawiciela Rzeszy, i kardynała E. Pacellego. Był to pierwszy układ międzynarodowy zawarty przez rząd Hitlera; ratyfikowany 10 września 1933 r.

31 sierpnia 1933. Czwartek.

Jedliśmy lunch w towarzystwie przemyślnych niemieckich naukowców. Rozmowa prowadzona po niemiecku i angielsku była na bardzo wysokim poziomie. Obecnych było także kilku partyjnych dygnitarzy. Opowiedziałem Niemcom, jak prezydent Roosevelt zdobył sobie opinię publiczną w Ameryce i uporał się ze swymi przeciwnikami politycznymi bez uciekania się do drastycznych środków. Jeden z hitlerowców powiedział: „Roosevelt jest mądry, że nie żąda pełnomocnictw na zbyt długi okres czasu.” Na ogół wszyscy pośrednio przyznawali, że Hitler wziął na siebie zbyt wielką odpowiedzialność i na zbyt długi okres czasu. Gdybym był od początku wiedział, że na przyjęciu są partyjni dygnitarze, nadałbym zapewne nieco inny kierunek moim wypowiedziom.

1 września 1933. Piątek.

Henry Mann z National City Bank opowiedział mi o rozmowie, jaką wspólnie z panem Aldrichem przeprowadził jakieś dziesięć dni temu z Kanclerzem w jego letniej rezydencji. Koncepcje wysunięte przez Hitlera były identyczne z tymi, o których mówił z profesorem Coarem. Na punkcie Żydów jest po prostu zwariowany. Nie ma żadnej koncepcji na temat stosunków międzynarodowych. Uważa siebie za niemieckiego Mesjasza. Poglądy Hitlera nie przeszkadzają tym bankierom uważać, że współpraca z nim jest możliwa.

5 września 1933. Wtorek.

Przyszedł majestatyczny Nuncjusz. Rozmawialiśmy sobie miło po niemiecku, jedynym języku, w którym możemy się porozumieć. O 5-ej po południu odbyłem swoją drugą oficjalną wizytę; złożyłem ją francuskiemu ambasadorowi, panu André François-Poncet, który mieszka w pięknym pałacyku na Unter den Linden, obok Bramy Brandenburskiej (pomnika postawionego dla upamiętnienia zwycięstwa Niemiec nad Francją!). Porozmawialiśmy przez chwilę po angielsku na tematy dość konwencjonalne. Byłem u niego dokładnie 12 minut.

6 września 1933. Środa.

O 11-ej przyszedł von Prittwitz, były niemiecki ambasador w Waszyngtonie. Mówił dość ostrożnie o problemach stojących przed rządem Hitlera. Słyszałem od Roberta Bacona, posła do Kongresu z Nowego Jorku, że groziło mu aresztowanie, tymczasem Prittwitz powiedział mi, że niedawno został przyjęty przez Kanclerza, który rozmawiał z nim w pojednawczym duchu. Były ambasador chce obecnie otworzyć biuro handlowe w Berlinie, mając na widoku możliwość wykorzystania swych amerykańskich kontaktów. Mam wrażenie, że to dobry dyplomata, ale jego sytuacja wobec rządu jest dość niewyraźna.

Pojechałem na oficjalny lunch do dr Dieckhoffa w Daniem. Razem ze mną pojechały moja żona i Marta. Wśród różnych osób ze sfer rządowych zauważyłem prezesa Reichsbanku dr. Schachta i berlińskiego burmistrza Sahma. Sahm ma wzrostu ze siedem stóp, a jego żona ze sześć i jest przy tym dość otyła. Gdy wstaliśmy od stołu, Schacht opowiedział mi o rozmowie, jaką w maju przeprowadził z prezydentem Rooseveltem, którego, jak twierdzi, jest gorącym wielbicielem. Zapytał wówczas Prezydenta, dlaczego nie wysła do Berlina swego ambasadora. Prezydent odpowiedział, że ma kłopoty ze znalezieniem człowieka, który by znał dobrze życie Niemiec, rozumiał trudne problemy, wobec których stoi naród niemiecki, i umiał mówić po niemiecku.

Nieco później Schacht wyraził żal, że nie mogłem pojechać do Norymbergi. Odrzekłem, że było to zaproszenie na czysto partyjne zebranie i że udział ambasadora lub posła w takim zgromadzeniu uważa się powszechnie w Stanach Zjednoczonych za rzecz w najwyższym stopniu niewłaściwą. Dla uzasadnienia mojej decyzji powołałem się na sprawę lorda Sackville w 1888 roku i inne tego rodzaju incydenty. O tym chyba Schacht nie pomyślał, podobnie jak inne osoby, które się na ten temat w rozmowie wypowiadały. Przyjęcie było udane; rozmowa toczyła się głównie po niemiecku. Jedliśmy kaczkę z kiszoną kapustą.

7 września 1933. Czwartek.

Dowiedziałem się od pracowników ambasady, będących autorytetami w zakresie etykiety, że wkrótce po oficjalnym uznaniu moich funkcji przez prezydenta Niemiec, będę musiał wydać przyjęcie dla całego korpusu dyplomatycznego. Powiedziano mi, że chodzi o jakieś czterdzieści do pięćdziesięciu osób. Ale zanim nadszedł dzień przyjęcia, i już po wysłaniu zaproszeń, poinformowano mnie, że każdy z dyplomatów przyprowadzi ze sobą swój personel.

Impreza zaczęła się dzisiaj o 5-ej. Pokoje ambasady zostały odpowiednio przygotowane, wszędzie było pełno kwiatów, wielka ponczowa waza napełniona została trunkami zgodnie z przyjętą recepturą. Pan Gordon i ja, wraz z szefem protokołu dyplomatycznego hr. Bassewitzem, przedstawialiśmy obecnym przybywającym ambasadorów i posłów. Przybyło wiele wybitnych osobistości, wśród nich Neurath, Schacht i ambasador Francji. Było trochę konwersacji, była dyplomatyczna mieszanka, było ponad dwieście nazwisk w księdze gości. Wypadło to nieźle, kosztowało 700 marek.

8 września 1933. Piątek.

Przyszedł hiszpański ambasador Luis de Zulueta i rozmawialiśmy ze sobą po niemiecku przez pół godziny. Zrobił na mnie wrażenie bardzo rozsądnego i mądrego człowieka. Był poprzednio profesorem filozofii na uniwersytecie madryckim — a więc trochę człowiek mego pokroju.

11 września 1933. Poniedziałek.

Byłem z rewizytą u posłów Irlandii i Węgier, ten ostatni mieszka bardzo skromnie na trzecim piętrze w starym czynszowym domu. Ale był bardzo sympatyczny i inteligentny — większość dyplomatów takimi się właśnie wydaje. Mówił, że Węgry powinny być przyłączone z powrotem do Austrii, a oba kraje gospodarczo podporządkowane Niemcom. Takie wykładanie kart na stół nie było chyba posunięciem dyplomatycznym.

Następnie pojechałem z rewizytą do ambasadora hiszpańskiego, który mieszka w eleganckim pałacyku, zbudowanym i umeblowanym w okresie największego rozkwitu niemieckiego imperializmu, stanowczo zbyt luksusowym jak na tego skromnego intelektualistę, który reprezentuje w Berlinie nowoczesną Hiszpanię (jeżeli coś takiego jak nowoczesna Hiszpania w ogóle istnieje). Okazuje się, że wiąże nas większe pokrewieństwo duchowe, niż można było się tego spodziewać, skoro on jest Hiszpanem, a ja Amerykaninem.

Wieczorem poszliśmy wszyscy na obiad do profesora Ericha Marcksa, który był promotorem mojej pracy doktorskiej na lipskim uniwersytecie. Towarzystwo było przemile: dwóch młodych synów, oficerów Reichswehry, niejaki pan Drexler, urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z żoną — Holenderką, kobietą mającą poczucie humoru i gęste włosy, poza tym pani Marcks i inni członkowie rodziny. Rozmawiało się o historii, polityce, i to z dużym ożywieniem, bo Marcks jest również obdarzony dużym poczuciem humoru. Rozmawialiśmy pół na pół po niemiecku i angielsku.

12 września 1933. Wtorek.

O godzinie 12, na pół godziny przed umówionym czasem, przyszedł monsieur François-Poncet i był u mnie czterdzieści minut. Zaczęliśmy naszą rozmowę po angielsku. Wkrótce przeszliśmy na niemiecki, którym ambasador włada wspaniale, jako że studiował przed wojną światową w Berlinie. Od początku było widać, że jest zdenerwowany. Powtórzył mi rozmowę, jaką przeprowadził poprzedniego dnia z baronem Neurathem. Było jasne, że absolutnie się ze sobą nie zgadzali i ambasador chciał, żebym wiedział, jak naprężone są stosunki między Francuzami i Niemcami.

„Ubiegłej niedzieli — powiedział — licznie zgromadzonej publiczności pokazano widowisko, w którym Niemcy przedstawione były jako wielki obszar, od którego odcięte były dwa człony, błagające o przyłączenie ich z powrotem do macierzy. Naród niemiecki wyobrażała grupa więźniów w brunatnych koszulach, zaszarganych, bezbronnych i bezradnych. Żołnierze francuscy uzbrojeni byli po zęby. Anglicy i Amerykanie stali obok obserwując ich z zadowoleniem. Całe to widowisko miało na celu wywołać uczucie głębokiej nienawiści do Francji, jak również do reszty świata. Złożyłem energiczny protest ministrowi spraw zagranicznych, który wzruszył na to tylko ramionami. Obiecał wprawdzie położyć kres tego rodzaju obraźliwym wystąpieniom, ale jest rzeczą oczywistą, że nie jest w jego mocy cokolwiek tu zmienić, nawet gdyby sam sobie tego życzył”.

Monsieur François-Poncet, postawny, przystojny mężczyzna, był bardzo zdenerwowany. Twierdził, że prawie na pewno dojdzie do wojny. Moim zdaniem sytuacja gospodarcza Niemiec jest lepsza niż kiedykolwiek od czasu jak tu przyjechałem. Narodowi socjaliści utrzymują prasę i swój aparat kierowni-

czy w takiej karności, że przez pewien czas, może przez rok, nie powinno dojść do żadnego kryzysu. Jeżeli chodzi o stosunki międzynarodowe, to sytuacja jest zbyt skomplikowana, żeby stawiać jakieś horoskopy.

Zapytałem, czy czytał tłumaczenie artykułu Lloyd George'a w „Vossische Zeitung” z ubiegłej niedzieli. Odpowiedział, że nie. Przytoczyłem mu wobec tego najważniejsze punkty artykułu wraz z końcowym wnioskiem na temat wojny: „Gdyby trzeba było zaczynać wszystko od początku, postąpiłbym dokładnie tak samo jak wówczas”. Ambasador powiedział: „Tak jest, Anglicy zaczynają się znowu orientować, jakim niebezpieczeństwem dla pokoju w Europie są Niemcy”. Potem powtórzył jeszcze swoją dawniejszą przestrożę, że o ile Ameryka i Anglia nie udzielą znowu Francji swego poparcia, będziemy mieli nową wielką wojnę. I dodał: „Niemcy igrają z ogniem jak w 1914 roku, powiedziałem to wczoraj Neurathowi”.

Zapytałem go wówczas, czy słyszał coś o tym, jakie stanowisko zajmuje Hindenburg. Powiedział mi dokładnie to samo, co Karl von Wiegand tydzień czy dwa tygodnie temu: że istnieje testament Prezydenta, który przewiduje powołanie na tron jednego z Hohenzollernów, pozostanie Hitlera na stanowisku kanclerza i utworzeniu swego rodzaju zgromadzenia narodowego. Monsieur François-Poncet dodał: „Ale to nie będzie Hohenzollern. Nikt z tej rodziny się nie nadaje. Kronprinz to próżniak i rozpustnik, człowiek bez charakteru, a jego synowie są za młodzi i nie zapowiadają się zbyt dobrze. Poza tym na testament Hindenburga nie zgodzi się Goebbels. On chce posadzić na tronie księcia heskiego, a sobie rezerwuje pozycję faktycznego szefa”. Wyraziłem zdanie, że naród niemiecki jest chyba bardziej skłonny liczyć się z wolą Prezydenta i że prawdopodobniejszy jest wybór jednego z Hohenzollernów niż księcia heskiego, który jest zajadłym antysemitą.

14 września 1933. Czwartek.

Posel belgijski, hrabia de Kherchove, wyjaśniał mi przez pół godziny, jakie niebezpieczeństwa kryje w sobie, jego zdaniem, ewentualna remilitaryzacja Niemiec. Powiedział, że Belgia powinna raczej liczyć na pomoc brytyjską niż francuską.

O 12.15 pojechałem omówić szereg spraw z baronem Neurathem i byłem u niego do godziny 1-ej. Von Neurath zgodził się ze mną, że nasz zwrot w stronę Ameryki Łacińskiej, ujawniony na konferencji w Montevideo*, odbija się poważnie na położeniu Niemiec, jeżeli będzie oznaczać, że następna konferencja gospodarcza nie zrealizuje planów opracowanych na konferencji londyńskiej. Na przykładzie Norddeutscher Lloyd wykazałem Neurathowi, jak dalece nieudolna jest niemiecka polityka zagraniczna w dziedzinie gospodarczej. Przypomniałem mu, jak to w początkach sierpnia próbowano zmusić podróżnych opuszczających Niemcy do przejazdu wyłącznie na okrętach nie-

* Konferencja w Montevideo — XVII Konferencja Państw Amerykańskich (nazw. Konferencjami Panamerykańskimi) miała odbyć się w grudniu 1932 r. Została odroczone ze względu na napięcie istniejące między państwami Ameryki Płd. a St. Zjedn. Roosevelt po wyborze na prezydenta zapowiedział politykę dobrosąsiedzką w stosunku do tych państw, a jego rząd dokonał pewnych posunięć, których celem było załagodzenie zdrażnień. Konferencja w Montevideo odbyła się w grudniu 1933 r. i zmiana polityki St. Zjedn. znalazła wyraz w podpisanej 26 grudnia 1933 r. konwencji „O prawach i obowiązkach państw”, gdzie uznano zasadę nieinterwencji wzajemnej i powszechnej.

mieckich. Podkreśliłem, jak fatalne w skutkach okazałoby się to zarządzenie, gdyby Amerykanie zrobili to samo w Nowym Jorku, odbierając niemieckim okrętom 80 procent ich pasażerów. Robił wrażenie zaskoczonego i otwarcie przyznał, że postępowanie władz niemieckich w tego rodzaju sprawach jest dość naiwne.

Powiedziałem mu, że na ulicach Niemiec bije się Amerykanów za to, że nie pozdrawiają po hitlerowsku defilujących oddziałów. Przytoczyłem incydenty z Mulvihillem, Brossardem i młodym synem H. V. Kaltenborna, i powiedziałem, że nic mi nie wiadomo, by napastnicy zostali ukarani. Wprawdzie Gruppenführer Ernst złożył mi w wypadku Mulvihilla oficjalne przeprosiny, ale władze nie zajmują się chyba poważnie tym problemem. Przyznałem, że Amerykanie są nonszalancy, ale powiedziałem, że to jest ich święte prawo i że sami nigdy lub prawie nigdy nie oddają honorów fladze amerykańskiej, gdy spotykają się z kolumną żołnierzy. Po prostu nie mają takiego zwyczaju. Neurath odpowiedział, że zdaje sobie sprawę z powagi tego problemu, zwłaszcza gdyby Departament Stanu zamierzał wydać oświadczenie stwierdzające, że nie może gwarantować bezpieczeństwa osobistego obywatelom amerykańskim wyjeżdżającym do Niemiec. Wy tłumaczyłem mu stanowisko prasy amerykańskiej; powiedziałem, że nie dopuściłem do ogłoszenia wiadomości o dwóch czy trzech incydentach, że staram się wszelkimi sposobami zapobiegać nieprzyjaznym manifestacjom w Ameryce. Neurath oświadczył, że niedawno omawiał tę sprawę z Göringiem, który jest premierem Prus i szefem policji, a także z Kanclerzem, i obaj zgodzili się na to, że władze muszą bardziej rygorystycznie niż dotychczas przestrzegać obowiązującego prawa. Nawiązał w związku z tym do notatki prasowej sprzed dwóch dni, która twierdziła, że elementem niezdyscyplinowanym w szeregach SA byli komuniści. Oświadczył, że jego zdaniem sprawa jest załatwiona; wyraziłem nadzieję, że słowa jego się sprawdzą.

Następnie mówiliśmy dość długo o prześladowaniu Żydów. Jest to problem, który sprawia mu chyba znacznie więcej kłopotu. Hitler zamierza usunąć Żydów ze wszystkich odpowiedzialnych stanowisk w Niemczech, a nawet wypędzić ich z kraju. Neurath powiedział, że przed paroma dniami był na stadionie sportowym w Baden-Baden i że siedzących na tej samej trybunie trzech znanych Żydów nie spotkał żaden afront. Dokonałem przeglądu wydarzeń w Stanach Zjednoczonych, poczynając od 5 lipca, i opisałem, jak organizuje się bojkot w Ameryce i Anglii i jak wszędzie prasa podburza liberalną opinię publiczną przeciwko Niemcom. Wspomniałem, że wielu wybitnych ludzi o przekonaniach liberalnych przychodziło do mnie uskarżać się na swój los. Nie uważałem za potrzebne opisywać wiadomych mi wypadków gwałtów i morderstw. Sprawa była całkiem jasna.

Zapytał mnie, czy my nie mamy problemu żydowskiego w Stanach Zjednoczonych. Przyznałem, że zdaniem pewnych ludzi problem taki istnieje, ale ponownie podkreśliłem, że brutalne metody stosowane w Niemczech przejmują mnie wstrętem. Mówiłem dalej: „Nie możecie spodziewać się, że światowa opinia publiczna złagodzi swój sąd o waszym postępowaniu, dopóki takie figury jak Hitler lub Goebbels będą głośiły publicznie — jak to było w Norymberdze — że wszyscy Żydzi muszą być zmieceni z powierzchni ziemi.” Był zażenowany, jak to mu się zdarzyło już parę razy przedtem, ale nie obiecywał żadnej poprawy, mimo że zdawał się ubolewać nad przytoczonymi przeze mnie faktami.

Wstając, żeby się pożegnać, zapytałem: „Czy zanoszą się na wojnę?” Odpowiedział: „Nie, absolutnie nie”. Powiedziałem: „Musi pan zrozumieć, że nowa

wojna byłaby dla Niemiec katastrofą". Zgodził się z tym i rzekł: „Wyjeżdżam w środę do Genewy i popnę stanowisko Ameryki, która domaga się ograniczenia zbrojeń, liczę, że to się Davisowi uda". Wyszedłem martwiąc się trochę, że byłem taki szczery w swych krytycznych wypowiedziach. Minister wydawał się mimo to być w dobrym humorze.

15 września 1933. Piątek.

Zabawny dzień! Władze pruskie zaprosiły korpus dyplomatyczny na uroczyste otwarcie nowej Rady Państwa, która ma zastąpić dawną niemiecką Izbę Wyższą. Ponieważ chodziło o imprezę państwową, postanowiłem pojechać. Po drodze ogromne masy umundurowanych hitlerowców tworzyły szpaler po obu stronach ulic, od Victoriastrasse do uniwersytetu, mniej więcej przez milę — chyba ze 100 000 ludzi w mundurach.

Gdy wjeżdżałem do Bramy Brandenburskiej, po prawej stronie powiewały pruskie i hitlerowskie flagi i stali wyprężeni na baczność hitlerowcy. Pozdrowiłem ich gestem na wpół żartobliwym, a może nawet ironicznym; dziennikarze uznali to za koncesję na rzecz władz partyjnych. Postąpiłem niewłaściwie, gdyż nie miałem na głowie cylindra, i w ten sposób w Ameryce nikogo się nie pozdrawia. Ale hitlerowcy o tym nie wiedzą. Trudno jest nie machać ręką do wiwatujących tłumów, a przecież każde takie machnięcie ręką może być interpretowane jako pozdrowienie hitlerowskie. W każdym razie ja ręką machałem i w ten sposób w oczach pewnych dziennikarzy stałem się zwolennikiem Hitlera. A ja uważam, że moje słowa są wystarczającym świadectwem moich poglądów.

Gdy odszukałem swoje miejsce, okazało się, że znajduje się ono po prawej stronie przewodniczącego. Obok mnie siedział Nuncjusz. Sala była piękna. Przedstawiciele nowego państwa hitlerowskiego powoli zajmowali miejsca w środku sali. Hermann Göring, za tłusty jak na mój gust i śmiesznie przez to wyglądający mężczyzna, przeszedł na czele kilkunastoosobowej grupy w kierunku swego centralnie ustawionego fotela. Stał i powitał salę hitlerowskim pozdrowieniem: stuknął obcasami, podniósł prawą rękę do góry i skinął po prusku energicznie głową. Członkowie korpusu dyplomatycznego, idąc za radą Nuncjusza, skłonili się swobodnie w stylu anglosaskim.

Premier Prus, Göring, w hitlerowskim mundurze, rozpoczął długie przemówienie; ponieważ siedziałem z boku, słyszałem go dobrze tylko od czasu do czasu. Była to namiętna tyrada na temat znaczenia nowego państwa, tak zwanej Trzeciej Rzeszy; trzy czy cztery razy doszły moich uszu jego pogardliwe uwagi o zlikwidowanym systemie parlamentarnym. Ciekawa rzecz, w przyszłym tygodniu zaczyna się w Lipsku proces trzech czy czterech ludzi oskarżonych o podpalenie gmachu dawnego Reichstagu, a tymczasem ten drugi po Hitlerze człowiek w państwie, potępia parlamentaryzm jako zdradę idei germanizmu.

Zebranie zakończyło się około 12.30, po czym korpus dyplomatyczny zajął miejsca na tarasie przed uniwersytetem, żeby być świadkiem przemarszu tysięcy pruskich policjantów, hitlerowców i stahlhelmowców. Część z nich szła śmiesznie, ale wspaniale wyuczonym krokiem defiladowym, przy którym żołnierz maszeruje nie zginając kolan. Gdy nadjechał oddział kawalerii, trąciłem lekko Nuncjusza i szepnąłem: „Proszę, niech pan popatrzy, te konie

nie trzymają kroku i idą jak im się podoba. Jaka to przyczyna, że są takie nieposłuszne?" Dygnitarz papieski nie zrozumiał chyba, o co mi chodzi, a może zrozumiał, ale nie chciał się do tego przyznać. Byłem tymi końmi zachwycony.

16 września 1933. Sobota.

Zjawił się Wiegand po pięciodniowej wizycie w Anglii i opowiadał o planach Brytyjczyków, które jego zdaniem są wstępem do wojny. Powiedział: „Gabinet brytyjski zapoznał się z planem blokady Niemiec w razie wybuchu wojny. Przewiduje on, że skoordynowana akcja Francji, Anglii, Polski, Rosji, Czechosłowacji i Austrii uniemożliwi wywóz lub przywóz do Niemiec sprzętu wojskowego i innych artykułów. Przewidziana jest również współpraca Belgii. Plan ten został przedłożony gabinetowi, ale dyskusja nad nim została chwilowo odroczone”.

18 września 1933. Poniedziałek.

Młody Reimer Koch-Weser, syn byłego ministra sprawiedliwości, który studiował w Nowej Anglii i pracuje obecnie w adwokackiej firmie w Nowym Jorku, przyszedł mnie prosić, żebym zechciał użyć swego wpływu dla przywrócenia jego ojcu prawa praktyki adwokackiej w Berlinie. Dziadek ojca był Żydem. Z tego powodu ojcu odmawia się prawa zarobkowania w Niemczech. Zostawił mi dwie książki ojca na dowód, że zasługuje on na pewne względy jako pisarz konserwatywno-liberalny. Powtórzyłem mu to, co od 14 lipca mówiłem już setki razy: że nie jestem absolutnie upoważniony, żeby zwracać się do niemieckich urzędów w tego rodzaju sprawach. On jednak wyraził nadzieję, że może będę mógł znaleźć jakąś nieoficjalną okazję, żeby poruszyć jego sprawę i wpłynąć na jej pozytywne załatwienie. Takiej możliwości na razie nie przewidywałem, mimo że postępowanie władz w stosunku do jego rodziny jest chyba stanowczo zbyt surowe.

21 września 1933. Czwartek.

O godzinie 12 przyszedł młody Herbert von Bismarck. Zewnętrznie robi korzystne wrażenie, ma jak sądzę około dwudziestu ośmiu lat. Powiedziałem: „Znajduje się Pan w tej bardzo niekorzystnej sytuacji, że jest Pan wnukiem największego męża stanu, jakiego Niemcy kiedykolwiek miały”. Przystojny młodzieniec lekko się zaczerwienił i odrzekł: „Tak, to prawda”. Zapytałem go wówczas, jakie było stanowisko Bismarcka w sprawie aneksji Alzacji i Lotaryngii w 1871 r. Dodałem, że zgodnie z moją interpretacją listów jego dziada, ten wielki błąd polityczny nie zostałby popełniony, gdyby ówczesnemu premierowi Prus udało się postawić na swoim. Zgodził się z tym od razu i powiedział, że Bismarck sprzeciwiał się cesarzowi Wilhelmowi I i Moltkemu oraz proponował, żeby to od lat sporne terytorium oddać Szwajcarii. Mówiliśmy o typowym zaślepieniu zwycięzców po wygranej wojnie. Po krótkiej rozmowie na temat Niemiec, w czasie której przyznał się do utrzymywania przyjaznych stosunków z hitlerowcami, pożegnał się, gdy mój sekretarz popełnił niechcący gafę wchodząc za wcześnie do pokoju.

22 września 1933. Piątek.

O godzinie 5 przyszedł minister Francis White, długoletni podsekretarz stanu, któremu podlegały sprawy Ameryki Łacińskiej. Chciał porozmawiać o sytuacji w Niemczech. Był miesiąc w Pradze, gdzie urządzał na koszt państwa dla siebie, żony i jednego dziecka słynny 14-pokojowy pałac, który należał kiedyś do Charles R. Crane'a. Robi wrażenie lojalnego, pracowitego urzędnika, ale niezbyt dobrze orientującego się w sprawach europejskich.

Wieczorem byli u nas na obiedzie pan White z żoną, ks. Fryderyk Hohenzollern, syn Kronprinza, mieszkający obecnie w Poczdamie, i Ernst Hanfstaengl, ciekawy, dobrze sytuowany człowiek, entuzjasta Hitlera od 1921 r. Wieczór był interesujący. Książę okazał się bardzo skromnym, subtelnym człowiekiem, o delikatnym obejściu. Hanfstaengl to niesforny absolwent Harvardu z czasów młodego Teodora Roosevelta. Gdy ktoś wspomniał o „Teddy juniorze”, dostał szału. Po obiedzie grał na fortepianie. Towarzystwo rozeszło się o 10.30, właściwej porze jak na mój gust.

25 września 1933. Poniedziałek.

O godzinie 8 przyszedli do nas na obiad prezes Reichsbanku dr Schacht i senator McAdoo, dwaj bardzo mądrzy i uparci panowie. McAdoo ma siedemdziesiąt lat, a wygląda najwyżej na pięćdziesiąt pięć, Schacht ma chyba około pięćdziesiątki, ale wygląda na więcej. W życiu nie przysłuchiwałem się jeszcze tak wnikliwej i ciekawej rozmowie na tematy finansowe. Obaj panowie wyszli razem. To był jeden z tych obiadów z prawdziwego zdarzenia, jakie miewamy czasami w Berlinie.

27 września 1933. Środa.

Lord Astor z nowojorsko-londyńskiej linii tej rodziny przyszedł do mnie dziś rano i powiedział, że bostońskie kierownictwo kościoła Matki Boskiej „Wiedzy Chrześcijańskiej” (Christian Science) poleciło mu udać się do Niemiec i zaprotestować przeciwko rozwiązaniu organizacji „Wiedzy Chrześcijańskiej” w południowych Niemczech; w Weimarze jedno z towarzystw należących do tej organizacji padło ofiarą brutalnych represji. Dowiedziałem się o tej historii już wcześniej i dostałem depezę od Departamentu Stanu żądającą wyjaśnień. Wyraziłem przypuszczenie, że władze niemieckie zrewidowały swoje stanowisko w tej sprawie (miałem na myśli obietnice Neuratha z 14 września) i że lord Astor może być chyba o nią spokojny. To ciągle ta sama nieznośna historia: niedoświadczone lokalne władze hitlerowskie działają zbyt pochopnie, a raz wyrządzone zło z trudnością daje się naprawić.

Zaproponowałem lordowi Astorowi, żeby został w Berlinie, zapoznał się z ogólną sytuacją i postarał się zobaczyć z Hitlerem; może uda mu się go nakłonić, żeby poparł w Genewie Neuratha zamiast Goebbelsa, który wyrabia Niemcom opinię państwa wojowniczego i nieodpowiedzialnego. Astor się zgodził, wobec czego umówiłem się z korespondentem Associated Press Louis P. Lochnerem, że załatwi mu audiencję u Hitlera. Astor był o wiele bardziej interesujący i dynamiczny, niż mogłem się tego spodziewać po wrażeniu,

jakie na mnie zrobił w Chicago dziesięć lat temu, gdy rozmawiałem z nim w Hull House.

29 września 1933. Piątek.

Do lunchu wysoki, ciemnowłosy lord Astor zasiadł razem z niemieckim wiceministrem spraw zagranicznych Bülowem. Dokonaliśmy ciekawej wymiany poglądów na temat sposobów ożywienia sytuacji gospodarczej, ale nie rozmawialiśmy właściwie o najważniejszej sprawie: o pokoju, w którego obronie jego lordowska mość miała wystąpić w Niemczech, po wyratowaniu z opresji swych towarzyszy z „Wiedzy Chrześcijańskiej”.

Gdy goście wyszli, lord Astor przeszedł ze mną do biblioteki i oświadczył: „O szóstej mam się widzieć z Hitlerem. O czym pańskim zdaniem warto by z nim porozmawiać?” Odpowiedziałem: „Dobrze będzie, jeżeli potrafi pan mu uprzytomnić, jak ważna jest sprawa polepszenia stosunków między Niemcami a Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi i jak potrzebną rzeczą jest podpisanie przez Niemcy w Genewie porozumienia w sprawie rozbrojenia; będzie to w gruncie rzeczy powtórzeniem tego, co ja sam wciąż mówię przedstawicielom niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych”. Wkrótce potem lord Astor wyszedł, nie bardzo podniesiony na duchu.

O 6.30 razem z radcą Gordonem, któremu bardzo na tym zależało, pojechałem do Bülowa. Gordon nie żyje dobrze z Bülowem; Bülow zawsze zachowywał się chłodno w stosunku do Gordona w czasie naszych dotychczasowych wspólnych spotkań. Z tego względu zaproponowałem, żeby pojechał z nami również pierwszy sekretarz ambasady Joseph Flack, który przygotował materiały do projektowanej dyskusji o tak zwanym „kontyngentowaniu”. Niemcy stosują je obecnie w całej Europie na niekorzyść Stanów Zjednoczonych, uzasadniając to swoim zadłużeniem i wysokimi stawkami celnymi w Ameryce.

Zasiedliśmy więc punktualnie przy stole w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Bülow i jego współpracownik usiedli naprzeciwko nas. Złożyliśmy protest przeciwko przyznaniu Jugosławii kontyngentu przywozowego na śliwki według taryfy ulgowej i odmowie przyznania analogicznej ulgi producentom śliwek w Ameryce. Wartość wchodzących w grę obrotów była znacznie większa, niż sobie wyobrażałem. Bülow oświadczył, że porozumienie z Jugosławią zostało podpisane na okres ośmiu miesięcy i nie może być obecnie zmienione. Jugosławia przyznała podobne ulgi dla przywozu z Niemiec. Dyskutowaliśmy żywo prawie godzinę, ale do kompromisu nie doszło. Zgodziłem się tylko z wygłoszoną pod koniec konferencji uwagą Bülowa, że „na porozumienie w sprawie zniesienia barier w handlu międzynarodowym był czas w Londynie w lecie ubiegłego roku”. Wyszliśmy o 7.30 nie lepiej zorientowani w polityce niemieckiej niż dotychczas. Ale życzeniu Departamentu Stanu stało się zadość.

4 października 1933. Środa.

Charles R. Crane przyszedł ze mną porozmawiać przed czekającym go spotkaniem z Adolfem Hitlerem. Poprosiłem go, żeby o ile nadarzy się do tego

okazja, podkreślił dwa czynniki decydujące o krytycznym stosunku Niemców i zagranicy do obecnego rządu. Po pierwsze: szerokie rzesze wykształconych i wykonujących wolne zawody Niemców są oburzone samowolą i brutalnością podkomendnych Hitlera i niektórych jego kompanów (Goebbelsa i Göringa); trzeba się do tej warstwy społeczeństwa odnosić z większym niż dotychczas szacunkiem. Przeciwno arbitralnym posunięciom władz rodzi się bierny opór; wzbudziła go np. sprawa niedawnego zwolnienia z pracy Mendelsohna-Bartholdy'ego, wnuka wielkiego muzyka i wybitnego profesora prawa międzynarodowego w Hamburgu. Po drugie, należy położyć kres brutalnemu traktowaniu Żydów. Wypowiedzi Goebbelsa (którego nazwiska prosiłem jednak nie wymieniać) przynoszą Niemcom wielką ujmę na całym świecie.

O godzinie 5 p. Crane przyszedł do mnie jeszcze raz na herbatę. Był przez parę miesięcy w Karlsbadzie, gdzie jego zdaniem odzyskuje się zdrowie prędzej niż gdziekolwiek indziej. Mówił o czekającej go rozmowie z Papieżem [Pius XI] na temat zawarcia swego rodzaju paktu ze światem Islamu, którego celem byłaby obrona wyznawców Mahometa przed Żydami, odbierającymi im Palestynę. Crane robi wrażenie jakby był już trochę zdziecinniały. Ma siedemdziesiąt pięć lat. Długie lata niezwykłych przygód w amerykańskiej służbie zagranicznej, np. w Rosji, gdzie w dużym stopniu przyczynił się do wybuchu rewolucji Kiereńskiego (gdy na jej miejsce przyszedł komunizm, Crane musiał Rosję opuścić), czy w Chinach, dokąd Wilson wysłał go w charakterze posła, naruszyły do pewnego stopnia jego psychiczną równowagę.

5 października 1933. Czwartek.

P. Crane znowu dziś przyszedł na herbatę. Był rozentuzjasmowany rozmową z Hitlerem. Jego zdaniem Kanclerz to nie mąż uczony jak ten pan Houston, minister w rządzie Wilsona, co tak często się mylił, gdyż był pozbawiony wyobraźni. Crane przekonał się, że Hitler to prosta dusza, entuzjasta, zdecydowany wzbudzić w narodzie niemieckim fanatyczną ufność we własne siły, ale brak mu rozeznania w problemach międzynarodowych. To się pokrywa z tym, co już słyszałem wiele razy.

P. Crane był na tyle uprzejmy, że zaofiarował się znaleźć mi prywatną sekretarkę, na której mógłbym całkowicie polegać. Nie mogłem przyjąć tej propozycji, gdyż byłoby to sprzeczne z przepisami Departamentu Stanu. Aczkolwiek taka osoba jest mi bardzo potrzebna, nie jestem w stanie jej zaangażować na własny koszt, a na cudzy mi nie wolno. Tego rodzaju sytuacje mogłyby wpływać na pracowników demoralizująco. Wielu bogatych ludzi starałoby się zabezpieczyć swoje interesy przez udzielanie pomocy finansowej urzędnikom państwowym, szczególnie ze służby zagranicznej. Crane czuł się zawiedziony.

O 8.30 pojechaliśmy do hotelu „Esplanade”, gdzie powitał nas Frederick Wirth, prezes Klubu Amerykańskiego w Berlinie. Z wielkimi ceremoniami wprowadzono nas do salonu recepcyjnego. Pan Gordon nalegał, żebym poprzedzał żonę (na co nie miałem ochoty) i inne osoby, gdy razem z grupą pracowników ambasady przechodziliśmy do pięknej sali jadalnej. Zebrało się tam około 150 osób, celem wzięcia udziału w wystawnym obiedzie po 8 marek od nakrycia, nie licząc wina. Była to wytworna — w wieczorowych stro-

jach — manifestacja uczuć miejscowej kolonii amerykańskiej zainteresowanej osobą „nowego ambasadora”.

We właściwym momencie Wirth przedstawił mnie zgromadzonym, po czym zabrałem głos, mówiąc o „Dylemacie Stanów Zjednoczonych”. Wydawało się, że sala słucha mnie bardzo uważnie. Gdy skończyłem, niejaki dr Führ z niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych przemówił w imieniu swego rządu, podkreślając z naciskiem fakt, że doktoryzowałem się w Lipsku i wydałem swoją pracę doktorską w języku niemieckim. Ani słowem nie nawiązał do faktu mojej nieobecności na wrześniowej imprezie partyjnej w Norymberdze, choć — jak słyszałem — moje zachowanie było mocno krytykowane. Po przemówieniach mieliśmy pół godziny prywatnych rozmówek i ściskania rąk, po czym udaliśmy się do domu. Zarówno Amerykanie, jak zaproszeni Niemcy, byli dla nas bardzo serdeczni.

11 października 1933. Środa.

Przyszedł poseł holenderski [Johan Paul von Limburg-Stirum]. Zna osobiście Kaisera jeszcze z czasów, gdy Kaiser był na tronie Niemiec, i odnosi się z sympatią do starego reżymu. Nie odzywałem się, gdy mi o tym mówił. Rozmowa przeszła na temat ohydnych napaści. Opowiedziałem mu o nowej skandalicznej historii z pracownikiem domu towarowego Woolwortha w Düsseldorfie, którego w haniebnym sposobie napadnięto na ulicy w ubiegłą niedzielę. Ostatni tego rodzaju wypadek miał miejsce 1 września. Po bezskutecznym upływie obiecywanych przez policję terminów załatwienia sprawy, udałem się do ministra spraw zagranicznych von Neuratha i rozmawiałem z nim niemal godzinę. Wyraził ubolewanie z powodu wszystkich ośmiu czy dziesięciu przedstawionych mu wypadków i obiecał uczynić wszystko, co tylko będzie możliwe, ale dodał: „Członkowie SA są ludźmi tak nieopanowanymi, że obawiam się, iż nie będziemy mogli ich pohamować”, powtarzając: „Zrobię wszystko, co będzie możliwe”. W czwartek, 5 października, wysłałem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych ponaglenie, prosząc o informację, co władze w tej sprawie uczyniły. Odpowiedzi nie ma, co moim zdaniem oznacza, że policja nie podjęła żadnych kroków przeciwko winowajcom.

Opowiedziałem o tym wszystkim sympatycznemu posłowi, żeby go zorientować, jakie mam trudności. Rzekł: „Ja sam mam od wiosny takie kłopoty i właśnie pewien świeży wypadek zmusza mnie, żebym poszedł jutro do Neuratha. Niczego się po nim nie spodziewam. Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie ma żadnej władzy, a Hitler nie wtrąca się do tych spraw, nie orientując się, jak tego rodzaju historie szkodzą jemu samemu”. Ja również zauważyłem, że wypowiedzi Neuratha są dziwnie wymijające, zarówno na ten temat, jak i na inne, jeszcze ważniejsze, tematy międzynarodowe.

Powiedziałem, że ambasador hiszpański dał mi znać, iż jest w tej samej sytuacji. Holender zapytał, co zamierzam uczynić. Powiedziałem: „Może doradzimy rządowi, żeby ogłosił, iż bezpieczeństwo osobiste Amerykanów w Niemczech jest zagrożone i w tych warunkach Amerykanie postąpią najlepiej, jeżeli wstrzymają się z odwiedzaniem tego kraju”. Oświadczył, że zastanawia się, czy nie postąpić w ten sam sposób. Holendrzy nie będą nikogo pozdrawiali po hitlerowsku — to jest główną przyczyną napaści — i on sam też nigdy tego nie uczyni.

Posła to wszystko bardzo złości, ale jego zdaniem obecny reżym się utrzyma. „Nawet śmierć — powiedział — Starszego Pana, to znaczy Hindenburga, nie przyniesie żadnej istotnej zmiany.” Po czym dodał: „Europa chyba całkiem zwariowała. Kłócimy się i użeramy i być może zmierzamy do wojny. Ona nas wszystkich wykończy, i flota japońska po zdobyciu Chin wpłynie na Bałtyk. To straszne być świadkiem takiej bezmyślności wolnych narodów świata jak Stany Zjednoczone, Anglia czy Holandia”.

II. OD 12 PAŹDZIERNIKA 1933 DO 4 MARCA 1934 ROKU

12 października 1933. Czwartek.

Pojechałem dzisiaj do hotelu „Adlon” na lunch wydany przez Amerykańską Izbę Handlową, gdzie zgodnie z zapowiedzią sprzed dwóch tygodni miałem wygłosić przemówienie. Przygotowałem referat na 11 stron. Gordon, radca ambasady, czytał go uważnie i chwalił każde zdanie. Wśród zaproszonych byli dr Schacht, dr Keppler z Ministerstwa Gospodarki, dr Führ i dr Davidson z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, dwóch przedstawicieli dr Goebbelsa i wielu amerykańskich i angielskich korespondentów. Obecnych było około 200 osób, gazety podały, że 300. Wyraźnie odczuwałem panujące na sali napięcie.

Przedstawiono mnie, używając przy tym dość niesmacznych pochwał, jako historyka i dyplomatę. Zaprotestowałem przeciwko niektórym z tych epitetów i przystąpiłem do odczytywania swego przemówienia. Od samego początku słuchano go w skupieniu. Główne tezy mego referatu brzmiały: niedokształceni mężowie stanu naszych czasów fałszywie rozumieją system rządów Juliusza Cezara; Anglia, Francja i Stany Zjednoczone próbowały autarkii gospodarczej, ale się na niej zawiodły; świat stoi wobec alternatywy współpracy gospodarczej lub chaosu — wojny z jej następstwami. Oklaski były wyjątkowo silne, wzięwszy pod uwagę, że pośrednio skrytykowałem mądrość polityczną mężów stanu w Niemczech, we Włoszech, Francji i Anglii. Dr Schacht oświadczył, że nigdy nie przypuszczał, iż istnieje tyle dowodów potwierdzających słuszność używanych przez niego argumentów. Dr Davidson powiedział: „Z Pana jest nowy Filip Melanchton, mentor Germaniae”. To nie było powiedziane ironicznie. Obaj przedstawiciele Goebbelsa oświadczyli przedstawicielowi „New York Times”, że wydrukują moje przemówienie w całości.

Nie wiedziałem wówczas, że zabroniono im tego po południu. Następnego dnia „Berliner Tageblatt”, „Börsen Zeitung” i „Vossische Zeitung” wydrukowały obszerne wyjątki z mego referatu; przypuszczam, że postąpiły tak wbrew zaleceni (lecz nie poleceniu) ministra propagandy.

13 października 1933. Piątek.

Miałem dziś złożyć Neurathowi protest z powodu nieukarania nazistów winnych napaści na obywateli amerykańskich a także z powodu zignorowania mojej prośby sprzed dziesięciu dni o informację w tej sprawie. Wyznaczona audjencja była w ciągu dnia dwukrotnie odraczana, ale wieczorem zostałem wreszcie przyjęty.

Von Neurath przeprosił mnie za zwłokę i cierpliwie wysłuchał moich pretensji i protestu Waszyngtonu. Powiedział, że generał Göring obiecał mu donieść o ukaraniu wszystkich winowajców, ale obietnicy nie dotrzymał. Rozmawialiśmy następnie o różnych niebezpieczeństwach zagrażających Niemcom i o wzroście wrogich nastrojów za granicą. Jak zwykle twierdził, że całkowicie zgadza się ze mną, ale obawiam się, że nieudane doświadczenie z gospodarczym nacjonalizmem ani jego, ani co ważniejsze samego Hitlera, niczego nie nauczyło. Jeżeli rzeczywiście obaj sądzą, o co ich podejrzewam, że jakieś państwo może być gospodarczo niezależne i odrzucić do lamusa zasady międzynarodowego współżycia, wynikną z tego poważne kłopoty. Wyszedłem dość zadowolony, choć nurtowało mnie podejrzenie, że Hitler zmusił Neuratha do odwołania audiencji, żeby mnie skarcić za wczorajsze przemówienie.

14 października 1933. Sobota.

Wydaliśmy wieczorem przyjęcie dla attaches wojskowych i morskich. O 9.30 specjalny posłaniec przyniósł dawno oczekiwaną oficjalną wiadomość: za pobicie p. Mulvihilla 12 czy 13 sierpnia — jeden jedyny człowiek w obozie koncentracyjnym; winowajcy z Düsseldorfu — w drodze na rozprawę sądową do Berlina, tak jakby temu zadaniu nie mogły podołać właściwe władze nad Renem!

Ale nim doszło jeszcze do tego nijakiego zakończenia wspomnianych incydentów, Hitler przemówił przez radio do Niemiec i całej Europy oraz Stanów Zjednoczonych: oznajmił o wystąpieniu Niemiec z Ligi Narodów i Konferencji Rozbrojeniowej i rozpisaniu wyborów na 14 listopada. Jak na niego mowa była umiarkowana. Zażądał równouprawnienia Niemiec w zakresie uzbrojenia, wystąpił w obronie swojej „rewolucji”, twierdząc, że jest to ruch skierowany wyłącznie przeciwko komunistom i zapewnił świat o swoich pokojowych intencjach. Słuchaliśmy go z uwagą. Było to przemówienie człowieka, kierującego się uczuciem, a nie chłodnym rozsądkiem; Hitler twierdził, że Niemcy absolutnie nie ponoszą żadnej winy za wybuch wojny światowej, że padły ofiarą spisku niegodziwych wrogów.

Gdy towarzystwo się rozeszło, poszedłem spać, ale byłem trochę zaniepokojony, tym bardziej że zatelefonowałem z Genewy Norman Davis, latający ambasador Prezydenta na Europę, i prosił o przekazanie mu wszelkich posiadanych przeze mnie informacji. Wiedząc, że moje rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane przez niemieckie Ministerstwo Propagandy, mówiłem samymi ogólnikami i obiecałem zadzwonić do niego za parę dni, gdy tylko dowiem się czegoś konkretnego. Niemcom brak polityków z prawdziwego zdarzenia i stąd ten nowy kolosalny błąd.

15 października 1933. Niedziela.

Dzień pełen napięcia, choć nie doszły mnie żadne nowe wiadomości. Na lunchu mieliśmy młodego przedstawiciela starej niemieckiej arystokracji. W rozmowie zdradzał pewną, właściwą Niemcom wojowniczość, zwłaszcza gdy

stawał w obronie japońskiej napaści na Chiny*. Cechuje go głęboki patriotyzm, ale podobnie jak wielu wykształconych Niemców nie wie, na czym prawdziwy patriotyzm polega.

Wyraźnie odczuwam, że stosunek kół urzędowych do mojej osoby staje się niechętny. Myślę, że to tylko sprawa narodowych socjalistów. Zaczęło się od tego, że odrzuciłem zaproszenie do Norymbergi. Ale skoro odrzucili je ambasadorzy Anglii, Francji i Hiszpanii, nie mogłem postąpić inaczej niż oni. To, że tak uporczywie nalegam, żeby przestano bić ludzi na ulicy i kierowano się rzetelnością w stosunkach handlowych, a także moje ostatnie przemówienie z 12 października, zaczynają naziści odczuwać jako krytykę ustroju.

Poszliśmy dziś po południu do kina. Pokazano Hitlera wygłaszającego krótkie przemówienie w Lipsku. Oklasków nie było. Później pokazano Hitlera jak maszeruje na czele wojskowej kolumny — oklaski były dość słabe. Następnie na ekranie ukazał się raczej niepopularny Kronprinz; zdobył niemal tyle samo oklasków co Kanclerz. Hitler z pewnością nie wywiera takiego silnego wrażenia na ludzi jak włoski despot Mussolini.

17 października 1933. Wtorek.

Przybyłem dzisiaj punktualnie o godzinie 12 na rozmowę z kanclerzem Hitlerem do pałacu, w którym kiedyś mieszkał i pracował Bismarck. Wszedłem na górę szerokimi schodami. Co krok stali wyprężeni hitlerowcy z rękami podniesionymi do góry i składali mi przepisowy ukłon, w miarę jak posuwałem się naprzód. W poczekalni spotkałem się z jakimś młodym panem Hansem Thomsenem i rozmawiałem z nim przez pięć minut o ludziach, których poznałem w Niemczech. Następnie von Neurath otworzył drzwi gabinetu Kanclerza; był to duży pokój o ścianach długości około 50 stóp, było w nim pełno stolików i krzeseł umożliwiających równoczesne prowadzenie kilku konferencji. Dekoracje sufitu i ścian były piękne, ale nie tak wyszukane jak w sąsiedniej wielkiej sali balowej. Adolf Hitler miał na sobie zwykły codzienny garnitur, trzymał się prosto i robił przyjemne wrażenie. Wyglądał nieco lepiej niż na zdjęciach pokazywanych w gazetach. Omówiliśmy dwie sprawy: znieważanie Amerykanów i dyskryminowanie amerykańskich wierzycieli. Uzyskałem wszystko, o co prosiłem; Kanclerz zapewnił mnie, że osobiście dopilnuje, aby na przyszłość każdy napastnik został jak najsurowiej ukarany; podane zostanie również do powszechnej wiadomości, że pozdrowienie hitlerowskie nie obowiązuje cudzoziemców.

W sprawie dyskryminacji finansowej von Neurath oświadczył: „Nasz eksport się kurczy i z tego powodu musimy iść na ugodę z państwami, które chcą kupować nasze towary. To jest przyczyna, dla której płacimy naszym szwajcarskim wierzycielom odsetki w pełnej wysokości, Amerykanom zaś tylko w połowie”. Dosłownie tak nie powiedział — rozmawialiśmy po niemiecku.

Nie mogłem się przyznać, że sytuacja jest bardzo trudna; jeżeli bowiem nie dojdzie do zwiększenia niemieckiego eksportu, może nastąpić całkowite

* Japonia dokonała agresji na Chiny 18 września 1931 r. w Mandżurii i utworzyła 1 marca 1932 r. marionetkowe państwo Mandżukuo. Liga Narodów powołała komisję w sprawie konfliktu mandżurskiego pod przewodnictwem lorda Lyttona. Raport Komisji przyjęty został przez nadzwyczajne Zgromadzenie Ogólne Ligi Narodów, co sprawiło, że Japonia 27 marca 1933 r. wystąpiła z Ligi.

wstrzymanie płatności, rzecz znacznie gorsza od spłat częściowych. Okolicznością korzystną, o której Niemcy nie mówią, jest fakt, że obligacje niemieckie spadły na rynku nowojorskim do jednej trzeciej czy jednej czwartej ich nominalnej wartości i że miasta i przedsiębiorstwa niemieckie wykupują je po bardzo niskiej cenie, zarabiając 60 do 75 centów na każdym dolarze pożyczonym w latach 1926—1928. Niemieccy finansiści nie są wcale gorsi od swoich nowojorskich kolegów, którzy zarobili kolosalne sumy na nabywcach niemieckich obligacji.

Ale rozmowa szybko przeszła na dominujący temat niemieckiej bomby z ubiegłej soboty. Kanclerz był wyraźnie podniecony. Zapytałem go, dlaczego wycofał się z Ligi. Zaczął deklamować frazesy o traktacie wersalskim, o niedotrzymanej przez mocarstwa zachodnie obietnicy rozbrojenia i poniżającym utrzymywaniu Niemców w stanie całkowitej bezbronności. Odrzekłem: stanowisko Francji jest oczywiście stronnictwo, ale kto przegrywa wojnę, zawsze jest pokrzywdzony. Przykładem tego może być okrutny los stanów południowych po przegranej wojnie domowej. Na ten argument nic nie odpowiedział.

Po wymianie paru grzecznościowych zdań zapytałem Kanclerza, czy jakiś incydent na granicy polskiej, austriackiej lub francuskiej, który by wciągnął wroga na terytorium Rzeszy, byłby uznany przez niego za casus belli. Odpowiedź brzmiała oczywiście: „Nie, nie”. Wówczas zapytałem: „Czy w razie gdyby coś takiego wydarzyło się w zagłębiu Ruhry, powstrzymałby się pan od bezpośredniej reakcji i zwołałby pan w tej sprawie konferencję państw europejskich?” Odpowiedział: „Tak bym chciał postąpić, ale może nie byłibyśmy w stanie powstrzymać narodu niemieckiego”. (Rozumiałem, że miał na myśli skorych do gwałtu nazistów, których sam nauczył używania przemocy.) Dodałem: „Gdyby pan zaczekał i zwołał taką konferencję, Niemcy odzyskałyby sympatię zagranicy”. Jeszcze parę uwag i zakończyliśmy nasze 45-minutowe spotkanie. Poruszonych zostało również wiele innych tematów. Uderzyła mnie jego wojowniczość i pewność siebie.

18 października 1933. Środa.

Był u mnie dzisiaj przez pół godziny dyrektor wielkiego banku Disconto Gesellschaft, Solmssen. Mówił z uznaniem o wiosennym przewrocie hitlerowskim. Był potrzebny, stwierdził. Uważa, że słusznie zlikwidowano partie polityczne, a w pewnym stopniu uważa również za usprawiedliwione represje wymierzone przeciwko Żydom. „Ale te represje — dodał — posunęły się zbyt daleko. Niektórych Żydów nie należało usuwać z ich stanowisk, na przykład hamburskiego profesora Mendelsohn-Bartholdy'ego; uniwersytetom należało pozostawić autonomię, dotyczy to również szkolnictwa i prasy”. Wyczułem, że powiedział to, żeby mnie sobie ująć.

Na zakończenie rzekł: „Słuchałem pańskiego przemówienia do członków Amerykańskiej Izby Handlowej i przyszedłem specjalnie, żeby panu za nie podziękować; w imieniu liberalnych Niemiec wyrażam panu naszą głęboką wdzięczność. Powiedział pan to, czego my powiedzieć nie możemy lub nie śmiemy. Oddał pan nam wielką przysługę. Chcielibyśmy, żeby pan znowu kiedyś do nas przemówił”. Odniosłem wrażenie, że jest bardzo szczerym i bardzo zdolnym człowiekiem, choć pełnym wewnętrznych sprzeczności; jest bardziej liberalny niż niektórzy amerykańscy businessmeni z czasów mojej młodości.

20 października 1933. Piątek.

Żeby się ostatecznie upewnić, jak Hitler zapatruje się na możliwość wybuchu wojny, pojechałem dziś rano do Neuratha, ale powiedział mi to samo, co usłyszałem 17 października. Gdy po południu ostatni z moich raportów znalazł się w worku poczty dyplomatycznej, wysłałem jeszcze jeden telegram i poszedłem do domu z bólem głowy; bałem się, że się przeziębilem.

Ale wieczorem przebrałem się i pojechałem na obiad do Herrenklubu* na Hermann-Görling-Strasse. Zjadłem tylko jajko na miękko i trochę pieczywa. O 9.30 były minister w rządzie Briminga Curtius wygłosił na moje powitanie półgodzinne przemówienie. O wojnie mówił w sposób bardzo zbliżony do stanowiska Hitlera. W mojej piętnastominutowej odpowiedzi (bez notatek) opowiedziałem pokrótce o moich przeżyciach w Niemczech w charakterze studenta i o przypadkowym powołaniu mnie na moje obecne wyjątkowo trudne stanowisko; w zakończeniu oświadczyłem, że wojny przestały być rozsądnym środkiem rozwiązywania spornych problemów. Genialna ludzka wynalazczość uczyniła z wojen instrument absolutnego zniszczenia, kto uciekłby się teraz do wojny, ten cofnąłby życie ludzkie do epoki średniowiecza, zgotowałby klęskę całemu światu. Wydawało mi się, że członkowie Herrenklubu, wśród których było wielu arystokratów i stahlhelmowców, aprobowali moją krytyczną filozofię. W każdym razie byli za dobrze wychowani, żeby mnie za nią skarcić. W domu byłem o 11-ej.

25 października 1933. Środa.

Otrzymałem dziś rano list od senatora Roberta J. Bulkleya, który przebywa obecnie w Anglii. Powołując się na swego przyjaciela z Holandii, który był niedawno na obiedzie u Pritza Thyssena, wielkiego producenta stali i broni w Zagłębiu Ruhry, Bulkley cytuje następującą wypowiedź tegoż Thyssena: „To my zmusiliśmy rząd niemiecki do wystąpienia z Ligi”. Bulkley absolutnie wierzy, że jego informator powiedział mu prawdę.

26 października 1933. Czwartek.

Pewien Niemiec zajmujący wybitne stanowisko za czasów poprzedniego reżymu przyszedł, żeby mnie zawiadomić o swoim wyjeździe do Nowego Jorku, gdzie będzie miał wykłady w New School of Social Research; woli to, niż zostać tutaj i narażać się na brutalne represje władz nazistowskich. Ten kryjący w sobie wielkie możliwości i jasno myślący człowiek powiedział: „Od was, Amerykanów, musimy się nauczyć, jak mamy sobą rządzić. Wyjeżdżam tam na rok; mogę wrócić na wiosnę lub też pozostać jeszcze rok, gdybym sobie tego życzył. Oświadczam panu, że wrócę na wiosnę”.

Trzy tygodnie temu ten sam człowiek powiedział mi, że chyba nie przyjmie oferty rektora New School, którym jest mój przyjaciel dr Alvin Johnson.

* Deutscher Klub — ekskluzywny klub założony w 1924 r. nazywany Herrenklub. W latach trzydziestych przewodniczącym jego był F. von Papen, a członkowie — przeważnie przemysłowcy i junkrzy — odgrywali dużą rolę polityczną.

Wyglądało to wówczas w jego oczach na kapitulację; obecnie uważa, że najlepiej będzie jednak pojechać i wrócić, o ile sytuacja się poprawi. Sądzi, że Hitler zaczyna się miarkować i w związku z tym sytuacja w Niemczech może ulec poprawie. Osobiście obawiam się, że władze niemieckie będą uważały, że New School to po prostu ośrodek żydowskiej propagandy i nie będą sobie życzyły jego powrotu w przyszłym roku.

27 października 1933. Piątek.

Dwaj Amerykanie pochodzenia niemieckiego, posiadający rozgałęzione stosunki handlowe (jeden z nich pracuje w towarzystwie okrętowym Norddeutscher Lloyd) przyszli do mnie, żeby się dowiedzieć, co można by zrobić w Niemczech lub gdzie indziej dla złagodzenia antyniemieckich nastrojów w Stanach Zjednoczonych. Opowiadali, jak bardzo kłopotliwa jest sytuacja Niemców w Nowym Jorku po części z powodu zawziętości Żydów, a po części najnowszej nazistowskiej propagandy. Zapisali się do partii narodowosocjalistycznej, żeby zlikwidować komunistów, a teraz naziści są w Ameryce tak samo niepopularni jak komuniści. Wczorajsze gazety paryskie doniosły, że wyniki prowadzonego przez członka Izby Reprezentantów Dicksteina śledztwa w sprawie poczynań narodowych socjalistów w Ameryce będą rozpatrywane przez urzędową komisję w dniu 14 listopada. Sądząc po rezultatach, trudno sobie wyobrazić bardziej ryzykowną drogę od tej, po której kroczy niemieckie Ministerstwo Propagandy.

Moi goście byli w tej sprawie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale urzędnicy, z którymi rozmawiali, byli sami zakłopotani i poradzili im udać się do mnie. Wyszli ode mnie przygnębieni; sytuacja faktycznie nie wygląda różowo. Polityka francuskich mężów stanu od dziesięciu lat jest sprzeczna z duchem klauzul rozbrojeniowych traktatu wersalskiego. Polityka ta doprowadziła do upadku niemieckiej partii socjaldemokratycznej. Teraz, gdy protest przeciwko niej wyraził się narodowosocjalistycznym przewrotem, Niemcy próbują rządzić za pomocą metod autokratycznych i zrażają sobie cały świat swoją bezwzględnością, która wzbudza do nich powszechną niechęć. Tak pomieszane jest wszędzie ze sobą dobro i zło.

28 października 1933. Sobota.

O 5.30 przyszedł na herbatę sir Eryk Phipps z małżonką i był u nas przez godzinę. Rozmowa wypadła lepiej, niż pozwalała tego oczekiwać panująca o nim w Berlinie opinia. Oboje byli naprawdę czarujący i głęboko przekonani o niesłuszności polityki, która dopuściła do wycofania się Niemców z Ligi. Dowiedziałem się od Phippsa, że korespondent londyńskiego „Daily Telegraph” przebywa od dwóch dni w więzieniu w Monachium za poinformowanie swej gazety o tym, że widział niedawno, jak oddziały SA maszerowały z bronią w ręku. Przez dwa dni nie dopuszczano do niego konsula brytyjskiego. Oskarżony jest o działalność wymierzoną przeciwko bezpieczeństwu państwa. Jeszcze jeden powód, żeby wyprowadzić Amerykanów z równowagi.

29 października 1933. Niedziela.

Gdy o godzinie 12 szedłem przez Tiergartenstrasse, zobaczyłem zbliżający się pochód hitlerowców. Żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji, skręciłem do parku. Pochód zatrzymał się przed ambasadą turecką i przez pewien czas hitlerowcy stali przed budynkiem wyprężeni na baczność. Później zaczęli śpiewać jakieś pieśni dla uczczenia dziesiątej rocznicy utworzenia obecnego państwa tureckiego. Na ulicy zebrał się ogromny tłum wznosząc po hitlerowsku ręce do góry. Był to przedsmak tego, co miało nastąpić w ambasadzie wieczorem, w czasie „Bierabend”, na który byliśmy zaproszeni na godzinę 9.30. Poszedłem przez park do hotelu „Esplanade”.

Zajechaliśmy przed gmach ambasady o 10-ej. W budynku roiło się od brunatnych koszul. Co chwila pozdrowienia hitlerowskie. Sale przepełnione. Na stole, długim na 30 stóp, pełno zimnego mięsiwa, jarzyn i chleba. Ludzie jedli łapczywie, jakby nie mieli niczego w ustach przez cały dzień; potem pili piwo. Widziałem niechlubnie zapisanego w kronikach amerykańskich von Papena, ale uniknąłem z nim spotkania. Byliśmy tam tylko parę minut.

31 października 1933. Wtorek.

W łóżku, lekko przeziębiony. Koniecznie chciał się ze mną zobaczyć dr Charles S. MacFarland, były członek rady naczelnej organizacji religijnej „Churches of Christ in America”. Niegdyś sympatyzował z Niemcami i jest tu dobrze znany. Od tygodnia czy dwóch objeżdża kraj. Przyszedł o 6.30. Miał prawie godzinną rozmowę z Hitlerem; poinformował go, że 4000 pastorów protestanckich odrzuca hitlerowskie credo kościelne*, że 2700 pastorów złoży formalny protest po wyborach, że nowe credo zostało odrzucone przez jedną z najpoważniejszych szkół teologicznych, że buntują się również katolicy, a Papież zastanawia się, jak temu zaradzić. Hitler miał mu na to oświadczyć, że nic mu o tych 4000 krnąbrnych pastorach nie wiadomo i prosił, aby MacFarland powiadomił przywódców tej opozycji, że on (Hitler) chciałby się z nimi zobaczyć. MacFarland dowodził następnie Hitlerowi, że protestanci w Ameryce głośno zaprotestują, jeżeli niemieckim Kościołom odmówi się prawa do absolutnej wolności sumienia. Hitler chyba wyczuł grożące mu niebezpieczeństwo na froncie religijnym i zorientował się, że sprawa ta może stać się jeszcze jednym źródłem napięcia.

O 8.15 wyjechaliśmy w strojach wieczorowych na dawno umówiony obiad u ambasadora Francji i jego małżonki. W dużej szatni dwaj służący w liberii przyjmowali na przechowanie wierzchnie okrycia pań i panów — napiwki były mile widziane. Na wspaniałych schodach stali paziowie w barwnych strojach z czasów Ludwika XIV. U wejścia do sali recepcyjnej dwóch innych służących wręczało karty z nazwiskami współbiadników. W salonie recepcyjnym leżał wspaniały dywan z ogromną literą „N” w środku; miało to przypominać — szczególnie Niemcom — o podbojach Napoleona. Dr Hjalmar

* Prawdopodobnie chodzi tu o nowy statut Kościołów ewangelickich nadany ustawą z 14 lipca 1933 r. 28 Kościołom wyznania luteranckiego i reformowanego, który łączył je w ramach scentralizowanego Niemieckiego Kościoła Ewangelickiego. Statut ten powoływał „biskupa Rzeszy” i spór o obsadę tego stanowiska przybrał bardzo ostre formy.

Schacht i hrabia von Bassewitz byli zmuszeni przejść po tej słynnej literze czy też obok niej. Nic nie powiedzieli, ale literę na pewno zauważyli.

Ściany były pokryte pięknymi gobelinami. Krzesła w stylu Ludwika XIV. Gdy towarzystwo, składające się z trzydziestu osób wchodziło do sali jadalnej — Madame Frangois-Poncet kroczyła obok mnie po prawej stronie — dostrzegłem na ścianach gobeliny, portrety francuskich generałów z epoki Ludwika XIV, wyjątkowo udany portret młodego Ludwika XV i suto zastawiony stół, bardzo pięknie i gustownie przybrany. Wokół niego stało wyprężonych na baczność ośmiu czy dziesięciu służących przebranych za paziów. Urządzenie sali było jeszcze wspanialsze niż u Belgów.

Jedliśmy godzinę. Nikt nic godnego uwagi nie powiedział, chyba że za godną tej nazwy uznałby ktoś prowadzoną przeze mnie po niemiecku rozmowę z żoną dr Schachta. Po obiedzie wszyscy przeszli przepisowo do sali recepcyjnej i stojąc grupkami rozmawiali aż do chwili, gdy o 11.45 zjawiała się orkiestra i rozpoczęła koncert. O tym, że wstałem specjalnie z łóżka, żeby być na obiedzie, nikomu nic nie mówiłem, ale w końcu poczułem się tak źle, iż musiałem przeprosić moich gospodarzy. Było to dla mnie kłopotliwe i rozumiałem, że mogą się oni uczuć trochę urażeni, ale inaczej postąpić w tej sytuacji nie mogłem. Wyszliśmy w chwili, gdy całe towarzystwo przechodziło do sali koncertowej. Taki to był popis francuskiej demokracji w autokratycznych Niemczech.

5 listopada 1933. Niedziela,

Przyjechali, żeby objąć swe stanowiska: John White, syn słynnego republikanina Henry White'a, jednego z członków delegacji Wilsona na konferencję paryską w 1918—1919 r., i Orme Wilson, krewny Pierrepont Moffata, urzędnika Departamentu Stanu. White będzie radcą naszej ambasady, Wilson jej drugim sekretarzem. Wydaje się, że obaj są dobrymi pracownikami; White trochę zbyt angielski w zachowaniu, mówi z wyraźnym harwardzko-oksfordzkim akcentem.

16 listopada 1933. Czwartek.

Zasiedliśmy dziś wieczorem do obiadu z Hjalmarem Schachtem, posłem szwajcarskim [Paul Dinichert] i znanym fabrykantem produktów azotowych, Augustem Diehmem, którego poznałem przed paroma dniami podczas jakiegoś lunchu. Rozmowa nie była bardzo ciekawa, chociaż wyszliśmy zbyt wcześnie, żeby móc wyrobić sobie o niej właściwe zdanie. Dr Schacht dość ostentacyjnie oświadczył, że moje przemówienia w Niemczech mają ogromną wartość dla jego kraju. Nie byłem pewien, o co mu właściwie chodzi, dopóki nie dał mi pośrednio do zrozumienia, że dyskusje, którym daję początek, wzmacniają jego pozycję w łonie gabinetu. Twierdzi, że jest szczerym zwolennikiem Hitlera, ale jednocześnie stara się mnie przekonać, że wierzy w liberalny, a nawet wolny handel, a więc w politykę wyklętą przez Hitlera, jeżeli sądzić z jego mów i pism. Diehn mówił niewiele, ale wiem, że stanowisko, jakie zajmuje, to stanowisko szefa wielkiego trustu, który wciąż liczy na pomoc rządu, ale nie chce płacić podatków odpowiadających osiąganym korzyściom.

18 listopada 1933. Sobota.

Przyszedł do mnie dziś rano dr Mendelssohn-Bartholdy, wielki znawca prawa międzynarodowego i profesor na uniwersytecie hamburskim, który otrzymał niedawno wypowiedzenie pracy z tego powodu, że jego dziadek był Żydem, chociaż on sam jest ochrzczony. Opowiadał mi o swoim wyjeździe w lecie ubiegłego roku na wystawę światową i Uniwersytet Chicago, gdzie miał wykłady, jak wiem skądinąd, ciesząc się wielkim powodzeniem. Stanowisko swoje ma opuścić z dniem 1 stycznia 1934 roku. Wiedząc jak dobrze znany jest w Stanach Zjednoczonych i Anglii, nie mogę zrozumieć, jak rząd Hitlera mógł sobie pozwolić na to, aby go zwolnić. Zrobił na mnie wrażenie szlachetnego człowieka, posiadającego wysokie kwalifikacje. Gdy wyszedł, podyktowałem list do Instytutu Carnegiego w Nowym Jorku z prośbą o przyznanie mu stypendium w wysokości jego dwuletnich poborów, licząc na to, że przez ten czas niemiecki minister oświaty Bernhard Rust znajdzie sposób, żeby go reaktywować.

19 listopada 1933. Niedziela.

Dwa miesiące temu zgodziłem się mieć wykład o Marcinie Lutrze dla niemiecko-amerykańskiej organizacji kościelnej „Forum”. Nie wiedziałem wówczas, że rząd ustanowił w listopadzie Dzień Lutra, w którym to dniu wysoko postawione osoby urzędowe miały wygłosić przemówienia poświęcone wielkiemu reformatorowi. Podąłem datę 19 listopada jako dla mnie najodpowiedniejszą. Gdy w październiku, około 15-go, władze postanowiły wszcząć kampanię propagandową, mającą na celu uzyskanie aprobaty społeczeństwa dla wystąpienia Niemiec z Ligi Narodów, wybrały jako Dzień Lutra niedzielę po wyborach, 19 listopada. W tych warunkach mój wykład mógł zrobić wrażenie jakiegoś na wpół oficjalnego wystąpienia, co byłoby dla mnie trochę kłopotliwe. Ale na to nie można było już nic poradzić.

Zjawiłem się o wyznaczonej godzinie w kościele, który był wypełniony do ostatniego miejsca, część osób stała. Swoje przemówienie starannie przygotowałem; jego odbitki zostały doręczone niemieckim i amerykańskim dziennikarzom. Jakiś hitlerowski dostojnik przedstawił mnie publiczności i oświadczył, że Hitler to drugi Luter. To niezwykle spostrzeżenie nie zyskało aplauzu słuchaczy. Mimo że dwie trzecie obecnych stanowili Niemcy, słuchano uważnie każdego mojego słowa — co dało mi dużo do myślenia. Mówiłem przez godzinę, opisując drogę życiową Lutra tak, jak bym to uczynił przemawiając do słuchaczy amerykańskich. Gdy skończyłem, oklaski były niezwykle silne, a wielu korespondentów, zarówno niemieckich jak amerykańskich, prosiło o dodatkowe odbitki przemówienia. Było dla mnie rzeczą jasną, że Niemcy życzyli sobie, abym mówił publicznie o tym, o czym im samym nie wolno mówić nawet prywatnie, a więc przede wszystkim o religijnej i osobistej wolności.

20 listopada 1933. Poniedziałek.

Byłem dzisiaj u von Neuratha, w jego biurze, żeby się poskarżyć na władze niemieckie, które odpieczętowały mój list do przywódcy Żydów w Chicago, Leo Wormsera. Było to posunięcie wyjątkowo obraźliwe, gdyż list był zaopatrzony w pieczęcie i plomby Stanów Zjednoczonych, a problem żydowski jest szczególnie drażliwy od samego początku mego urzędowania w Berlinie. Minister spraw zagranicznych robił wrażenie bardzo zażenowanego, ale jestem przekonany, że nie zrobi lub nie będzie mógł zrobić niczego, żeby zapobiec powtórzeniu się takich incydentów. Napisałem do Wormsera, prosząc go o zwrot mego listu, żeby zobaczyć, czego się rząd niemiecki o mnie dowiedział.

21 listopada 1933. Wtorek.

Dziś wieczorem byliśmy z żoną na obiedzie u dr. von Bülowa. Jedynym gościem, który mnie interesował, był dr Schacht; wśród pozostałych było paru księżąt ze swastyką na ramieniu, symbolem absolutnego oddania Führerowi i jakiś były dowódca morskiej jednostki, który odegrał pewną rolę w wojnie światowej; mówił o swych przygodach takim tonem, jakby się spodziewał wkrótce je przeżyć na nowo. Von Bülow i jego siostra, pełniąca rolę pani domu, zachowywali się bardzo skromnie, chętnie jednak opowiadali o tym, że ich rodzina pochodzi jeszcze z XIII wieku i liczy 1500 członków, rozproszonych po całych Niemczech, którzy od czasu do czasu zbierają się dla uczczenia wielkości swego rodu. Wielu zginęło w czasie wojny światowej. Nie usłyszałem ani jednego słowa, które by wskazywało, że ktokolwiek uważał, iż sprawa, o którą Niemcy wówczas walczyli, nie była słuszna.

23 listopada 1933. Czwartek.

W południe przyszła młoda pracownica społeczna z Baltimore, przebywająca w Niemczech od dwóch lat. Na podstawie swoich doświadczeń, w charakterze obserwatora stosunków socjalnych w Niemczech, po raz drugi zrewidowała swoje poglądy polityczne. Początkowo sympatyzowała z ustrojem republikańskim; mieszkała przy rodzinie niemieckiej, aż się nauczyła mówić prawie bezbłędnie po niemiecku. Chociaż władze nazistowskie ją prześladowały, nie przestawała interesować się warunkami panującymi w obozach pracy i obozach koncentracyjnych. Wówczas władze zmieniły całkowicie stanowisko i same zaczęły ją wozić po całym kraju. Opowiadała mi o ogromnych fabrykach amunicji, które widziała, o arbitralnym postępowaniu dr. Roberta Leya, szefa Arbeitsfrontu, o robotnikach dużej fabryki w Bawarii, którzy nieraz stanowczo odmawiali witania go po hitlerowsku. Chciałaby mieć wykłady w Stanach Zjednoczonych i Charles R. Crane pragnie jej w tym dopomóc. Upowiedziałem ją, że cokolwiek będzie mówiła w obronie lub przeciwko narodowemu socjalizmowi — a nikt nie może być ściśle neutralny — nie wolno jej przy tym powoływać się na mnie.

Ponieważ rząd Stanów Zjednoczonych uznał Rosję Radziecką*, złożyłem dziś na polecenie Departamentu Stanu wizytę ambasadorowi radzieckiemu [Lew Michajłowicz Chinczuk]. Powiedział mi, że studiował tutaj w latach 1888—1890 i zrobił w Berlinie doktorat. Mówi po niemiecku nieco lepiej ode mnie. Nie zrobił na mnie wcale wrażenia jakiegoś zawziętego komunisty. Rozmawialiśmy niemal wyłącznie o konflikcie rosyjsko-japońskim w Mandżurii**. Jednym ze skutków amerykańskiego uznania mogłaby być dla Rosji pomoc Ameryki na tym terenie; dla rozwoju handlu uznanie ma znaczenie raczej drugorzędne.

Associated Press przysłał fotografa, który czekał na moje wyjście. Rosjanin oświadczył, że gotów jest sfotografować się ze mną razem. Ale ja miałem zastrzeżenia i powiedziałem, że pewne reakcyjne pisma w Ameryce mogłyby wyolbrzymić fakt mojej wizyty i zaatakować ponownie Roosevelta za uznanie Rosji. Zgodził się z tym bez wahania. Odniosłem wrażenie, że reporter wcale nie był na mnie zły. Może postąpiłem niewłaściwie.

O 8.30 zasiedliśmy przy wielkim stole w mieszkaniu von Neuratha przy Hermann-Görling-Strasse, koło Bramy Brandenburskiej. Obiad był wykwintny. Honorowym gościem był ambasador turecki; my byliśmy na drugim miejscu w wielkim pochodzie trzydziestu osób z sali recepcyjnej do sali jadalnej. Szedłem z jakąś hrabiną. Tak się entuzjasmowała narodowym socjalizmem, że rozmowa, obojętnie na jaki temat, zawsze dziwnym trafem kończyła się na Hitlerze. Jej zdaniem, Kanclerz wkrótce zajmie się tym, żeby Hohenzollernowie powrócili na tron Niemiec. Wyszliśmy z żoną o 10.30; chyba ku oburzeniu małżonki ambasadora tureckiego, której się zapewne zdawało, że nie może być mowy o tym, aby ktokolwiek wyszedł wcześniej od niej.

Zamieniłem parę słów z ministrem spraw zagranicznych; dowiedziałem się, że pochodzi ze starej wirtemberskiej rodziny; członkowie jej odegrali wybitną rolę w historii Niemiec. W swojej bibliotece ma szereg rzadkich obrazów i książek, w tym słynną autobiografię księcia von Bülowa, o której młodszy von Bülow nigdy nie mówi ani słowa. Ta książka zdumiewa swoim egotyzmem, zawiera jednak wiele prawdy o roli, jaką odegrały Niemcy w okresie pięćdziesięciu lat poprzedzających zgon autora. Dostrzegłem w bibliotece te cztery grube tomy, ale niczego na temat ich treści nie powiedziałem.

24 listopada 1933. Piątek.

James Hazen Hyde z Nowego Jorku, który mieszka obecnie w Paryżu i ożenił się z powabną Francuzką (swego czasu nalegano na Teodora Roosevelta, żeby go mianował ambasadorem we Francji), przyszedł do mnie dziś rano, żeby porozmawiać o stosunkach francusko-niemieckich. Orientuje się dobrze w sytuacji i jest nadal zamożnym człowiekiem, chociaż jego obecny majątek nie stanowi nawet połowy dawniejszego. Ufundował katedrę w Sorbonie dla wymiany profesorów z Harvardem. Siedział u mnie całą godzinę i był dużo przyjemniejszy i lepiej poinformowany niż większość znanych mi milionerów. Był u mnie również z rewizytą wyjeżdżający do Moskwy ambasador radziecki. Wieczorem byliśmy gośćmi Louis Lochnera i Miss Sigrid Schulz na

* Stany Zjednoczone Ameryki Północnej uznały Związek Radziecki 16 listopada 1933.

** Chodziło o sprawy związane z koleją wschodnio-chińską, zarządzaną wspólnie przez Chińczyków i Rosjan.

dorocznym balu prasy, obiadu połączonego z dansingiem. Siedziałem naprzeciwko osławionego Franza von Papena, który w swej szpiegowskiej działalności w Waszyngtonie posunął się tak daleko, że mój przyjaciel Louis Brownlow, obecnie profesor na Uniwersytecie Chicago, kazał go aresztować. Na krótko przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny światowej Papen został wydalony. Teraz jest wicekanclerzem nowej Rzeszy, ale bez konkretnych funkcji administracyjnych. Jako katolika używa się go do kontaktów z Papieżem; mówi się o nim również, że zdradził swego dawnego przywódcę partyjnego, przebywającego obecnie w ukryciu, byłego kanclerza Heinricha Brüninga, w sposób w niczym nie ustępujący metodom, którymi posługiwał się w Waszyngtonie.

Jego żona siedziała po mojej prawej stronie i wcale nie wydawała się skrepowana moją obecnością. O słynnych wyczynach von Bernstorffa w Ameryce za prezydentury Wilsona nie rozmawialiśmy. Zachwalała nasz system uniwersytecki; jej syn studiował na uniwersytecie w Georgetown. Obiad był nudny, choć w innych okolicznościach rozmowa z niektórymi gośćmi mogła być bardzo interesująca. Blisko nas siedzieli François-Poncet, von Neurath, sir Eric Phipps i inni kierownicy misji dyplomatycznych. Fotografowie bez przerwy robili zdjęcia.

27 listopada 1933. Poniedziałek.

Przyszedł pan Kittredge z Fundacji Rockefellera, żeby omówić sprawę ewentualnego wstrzymania pomocy dla Niemiec. Odradziłem mu tego kroku, ale nalegałem na staranniejszy rozdział funduszków, tak żeby straszna presja wywierana na ludzi, którzy zachowali niezależność myśli, nie zmusiła ich do całkowitego milczenia. Jako jednego z doradców Fundacji Kittredge wymienił profesora Hermanna Onckena. Wiem, że Oncken jest w trudnym położeniu i nie odważa się pisać szczerze co myśli; my w Ameryce możemy sobie na to pozwolić, jeżeli chcemy, chociaż prawdę mówiąc historia naszego kraju nie została jeszcze napisana jak należy.

29 listopada 1933. Środa.

Wyjechaliśmy o 10.30 naszym małym samochodem do Drezna, gdzie jutro, w Dniu Dziękczynienia, mam przemawiać wieczorem na obiedzie w słynnym hotelu „Bellevue”. Był chłodny, ponury dzień, drogi kręte i tylko jedno miasto po drodze, Jüterbog, było historycznie interesujące. Zatrzymaliśmy się tam i zjedliśmy prosty, wiejski obiad po 2 marki od osoby. Hotel pamięta dawne czasy, a obsługiwano nas tak, jak zapewne obsługiwano tu niegdyś Marcina Lutra lub Johanna Tetzela, który w tym mieście w latach 1507— 1517 sprzedawał papieskie odpusty. Miasto jest czternastowieczne, stoją jeszcze jego stare mury, trzy wielkie bramy i jeden słynny kościół. Ale ani tradycje monarchistyczne, ani wiara luterańska nie mogły zapobiec temu, że przy lada okazji pyszną się teraz w mieście hitlerowskie flagi i hitlerowskie mundury.

30 listopada 1933. Czwartek.

Dziś w kościele amerykańskim w Dreźnie odczytałem w obecności około trzydziestu osób orędzie Roosevelta z okazji Dnia Dziękczynienia. O 8.30 około 150 Amerykanów i Niemców spotkało się przy obiedzie w hotelu „Bellevue”. Przez 15—20 minut mówiłem o Rooseveltcie i jego orędziu; przemówienie to nie było przeznaczone dla prasy.

Po moim przemówieniu przysiadł się do naszego stolika i rozmawiał z nami przez pół godziny młody Niemiec, Herbert Gütschow. Spędził dziesięć lat w Stanach Zjednoczonych i związał się tam ściśle z James B. Duke, największym kombinatorem Północnej Karoliny, później założył w Niemczech filie American Tobacco Company. Wojna uczyniła go oczywiście głównym dysponentem przedsiębiorstw tytoniowych Duke'a w Niemczech; centrala ich mieści się w Dreźnie. To człowiek bardzo bogaty i całkowicie pogodzony z ustrojem hitlerowskim, chociaż zgodnie z obowiązującym obecnie w Trzeciej Rzeszy prawem o małżeństwie musiał pokryć koszt ślubnego wyposażenia około stu pięćdziesięciu swoich pracowników.

Gütschow jest jednym z wielu poważnych przedsiębiorców, którzy liczą na to, że w ustroju narodowosocjalistycznym do nich będzie należała faktyczna władza. Podobnie myślą August Diehn z Berlina, szef trustu azotowego o światowym znaczeniu, i Fritz Thyssen, fabrykant stali i sprzętu wojskowego. Gütschow jest inteligentny, ale nie jest liberałem, jeżeli chodzi o filozofię społeczną; jestem przekonany, że on i cała reszta za popieranie rządu otrzymują nagrodę w postaci poważnych ulg podatkowych. Gdy tylko powstaje groźba jakiegoś kryzysu, sześciu czy ośmiu takich panów zaprasza się na półoficjalne posiedzenia rządu. Konsul generalny Messersmith wyjaśnił mi kiedyś, w jaki sposób wielkie przedsiębiorstwa w Niemczech uchylają się od płacenia wysokich podatków; czynią to znacznie częściej, niż to się zdarza w Ameryce. Mój nowy znajomy z Dreznia przez godzinę opowiadał mi o bajecznych interesach swoich tytoniowych przedsiębiorstw i twierdził, że jego zdaniem nauka Adama Smitha powinna znowu stać się ideą przewodnią życia gospodarczego.

1 grudnia 1933. Piątek.

Wyruszyliśmy do Pragi, jadąc szosą, która prowadziła przez góry, w kierunku południowo-wschodnim. Piękny, urodzajny kraj przez całą drogę, około 125 mil. Przeważnie padał śnieg, ale mimo to w polu pracowali ludzie. Nigdzie nie widziałem tak wspaniałych lasów sosnowych jak tu, w tych górach. Około 4-ej przyjechaliśmy do słynnego, starego husyckiego grodu.

O 6.30 miałem poufną rozmowę z Edwardem Beneszem, premierem Czechosłowacji. Jest on w istocie prezydentem tego kraju, tych starych Czech tak nienawidzonych od setek lat przez Niemców. Benesz nie jest optymistą; jego zdaniem Niemcy są zdecydowani zaanektować część Czechosłowacji, a może nawet cały kraj. Jutro ma rozmawiać z ministrem spraw zagranicznych Węgier*, następnie udaje się do Paryża na rozmowy w sprawie napiętych

* Min. spraw zagranicznych był wówczas Kálmán de Kányá, poprzednio poseł w Berlinie, znany z sympatii proniemieckich.

stosunków między Włochami i państwami bałkańskimi. Zrobił na mnie wrażenie człowieka bardzo mądrego i każdej chwili gotowego do walki.

2 grudnia 1933. Sobota.

Wyjechaliśmy z powrotem do Drezna o godzinie 11; wszędzie deszcz i bardzo zimno. Jazda przez góry była trochę niebezpieczna, ale około godziny 6-ej dotarliśmy do celu. Zatrzymaliśmy się incognito w hotelu „Eden” i zjedliśmy doskonały obiad w „Kaiserhof”. Poszliśmy wcześniej spać, bo w „Edenie” było za zimno, żeby się czuć dobrze poza łóżkiem.

3 grudnia 1933. Niedziela.

Rodzina pojechała do Berlina samochodem przez Jüterbog, ja zaś pociągiem, trzecią klasą, za 8,5 marki. W moim przedziale siedział jakiś niemiecki agent handlowy; dużo się od niego dowiedziałem, jeżeli chodzi o poglądy społeczeństwa i tak zwaną poprawę sytuacji gospodarczej. Nie był nazistą, ale szczerze spodziewał się tej poprawy i był gotów dać rządowi odpowiedni czas na jej urzeczywistnienie.

4 grudnia 1933. Poniedziałek.

W południe przyszedł John Foster Dulles, radca prawny grupy stowarzyszonych banków amerykańskich. Poinformował mnie o roszczeniach wysuniętych w imieniu posiadaczy obligacji w stosunku do niemieckich miast i przedsiębiorstw. Obejmują one kwotę przeszło jednego miliarda dolarów. Zrobił na mnie wrażenie bardzo mądrego i stanowczego człowieka. Jutro będzie konferował w tej sprawie z dyrektorami Reichsbanku.

5 grudnia 1933. Wtorek.

Przyjechaliśmy dziś rano o godzinie 8 do Monachium i udaliśmy się początkowo do hotelu „Kaiserhof”. Pokoje wydały się nam zbyt chłodne, więc pojechaliśmy do „Reginy”, gdzie pokoje były wygodniejsze, ale także dość chłodne.

Wieczorem mówiłem przez godzinę o „Początkach systemu społecznego w Stanach Zjednoczonych”. Choć trudno mi uwierzyć, żeby więcej niż połowa obecnych mogła mnie zrozumieć, na sali panowała absolutna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu oklaskami, gdy opisywałem pewne wczesne amerykańskie ideały demokratyczne. Było to dla mnie dowodem, że słuchacze nie pochwalają ograniczeń nałożonych na społeczeństwo niemieckie.

6 grudnia 1933. Środa.

Otrzymałem telefonogram ambasady, że William Bullitt, nowy ambasador w Rosji, będzie u nas w sobotę na lunchu i że radziecki komisarz spraw zagranicznych, Maksym Litwinów, który wraca z Waszyngtonu via Rzym, spotka się z Bullitem w Berlinie. Postanowiłem wrócić do Berlina przez Norymbergę i przyjąć ich obu w naszym domu.

9 grudnia 1933. Sobota.

Ambasador Bullitt przyjechał sam, bo Litwinowowi śpieszyło się do Moskwy. Powiedział, że Roosevelt przesyła mi serdeczne pozdrowienia i podziękowania za moją pracę w Niemczech. Oświadczył, że jego zdaniem zbyt długo zwlekano z uznaniem Rosji. Dodał, że Litwinów zgodził się zapłacić dług w wysokości 100 milionów dolarów, otworzyć rynek rosyjski dla amerykańskich artykułów przemysłowych i pozostawić Niemców własnemu losowi; Rosja jest oburzona prowadzoną przez Hitlera nagonką na komunistów. Jeszcze jeden cios dla Trzeciej Rzeszy. Ale Niemcy są winni Amerykanom przeszło miliard dolarów. Jak to ma być spłacone, jeżeli Stany Zjednoczone zmonopolizują dla siebie rynek rosyjski i jeszcze bardziej izolują Niemców. Odbierze się od Moskwy sto milionów, a straci miliard w Berlinie. O tym Bullitt nie mówił.

O 1.30 przeszliśmy z ambasady do naszego domu na lunch, na którym zebrało się dziesięć osób, w tym rosyjski chargé d'affaires, rzeczoznawca spraw rosyjskich w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, radca naszej ambasady White, ambasador Cudahy i inni. Towarzystwo było interesujące, choć niewiele spraw można było poruszyć, z uwagi na sprzeczne stanowiska Niemców i Rosjan.

Wieczorem przyszedł do nas angielski ambasador, sir Eryk Phipps, żeby mnie zapoznać z propozycjami Hitlera w sprawie rozbrojenia; mają one służyć za podstawę rokowań z Francuzami. Już około 15 października przetelegrafowane zostały do Waszyngtonu pewne dane; Niemcy muszą mieć stałą 300-tysięczną armię, artylerię i defensywne lotnictwo. Teraz Hitler wysunął znowu tę samą propozycję, dodając, że Niemcy gotowe są podpisać dziesięcioletni układ w sprawie wyrzeczenia się wojny i zgodzić się na międzynarodową inspekcję i kontrolę zbrojeń, obejmującą formacje SA i SS w sile 2 500 000 ludzi.

Propozycje Hitlera zostały przetelegrafowane do Londynu, a odpowiedź sir Johna Simona podana została do mojej wiadomości. Wydała mi się konkretnym posunięciem w kierunku rozbrojenia i postanowiłem przetelegrafować jej streszczenie do Waszyngtonu.

10 grudnia 1933. Niedziela.

Rozmyślałem w dalszym ciągu o negocjacjach prowadzonych przez sir Eryka Phippsa. Zatelefonowałem do niego o 10-ej i powiedziałem: „Będą przechodził o 11.30 Hermann-Görling-Strasse obok Tiergartenu; czy mógłby pan spotkać się tam ze mną i przez chwilę porozmawiać?” Wyraził zgodę

i przez godzinę omawialiśmy problem rozbrojenia. Poruszyłem następujące punkty: zgodnie z pewnymi informacjami ze źródeł dyplomatycznych, Japonia będzie w stanie zaatakować Władywostok w kwietniu lub maju przyszłego roku; po drugie, czy gdyby Stany Zjednoczone poparły stanowisko niemiecko-brytyjskie w sprawie rozbrojenia, Brytyjczycy udzieliliby moralnego poparcia Ameryce w jej sporze przeciwko japońskiej agresji na Dalekim Wschodzie?; po trzecie, czy nie sądzi, że byłoby znacznie lepiej, gdyby Anglia, Niemcy i Francja zawarły pakt w sprawie rozbrojenia, niż ryzykować, że dojdzie do porozumienia Włoch, Niemiec i Rosji, co mogłoby doprowadzić do dyktatury we Francji.

Sir Eryk Phipps nie był skłonny liczyć się z aktualnością japońskiego niebezpieczeństwa; życzył sobie moralnego poparcia Ameryki w sprawie rozbrojenia, ale dał do zrozumienia, że Anglia uznała japońskie roszczenia do Mandżurii. Wydawało się, że jest gotów uznać tezę, iż pokój światowy byłby zagrożony, gdyby pozwolono państwom autokratycznym w Europie Centralnej zmusić Francję do uległości. Zakończyliśmy naszą rozmowę, zgadzając się co do jednego punktu: dziesięcioletni pakt pokoju, zainicjowany i narzucony Europie przez Anglię, Niemcy i Stany Zjednoczone, byłby znacznie skuteczniejszy, gdyby wzięła w nim udział Rosja i gdyby zapewniony został jednocześnie pokój na Dalekim Wschodzie. Powiedziałem, że moim zdaniem Anglia powinna pójść na kompromis, a wówczas prezydent Roosevelt mógłby wziąć udział w pakcie i Europa wyszłaby z impasu, w którym obecnie, się znajduje. Wróciłem do ambasady i wysłałem natychmiast depezę do Departamentu Stanu, prosząc o przedyskutowanie jej treści z Prezydentem.

20 grudnia 1933. Środa.

Gazety donoszą o pobycie sir Eryka Phippsa w Londynie w czasie weekendu i przyjęciu go przez króla na zamku w Windsorze, o jego wizycie u sir Johna Simona i projektowanej wizycie tego ostatniego w Paryżu i Rzymie; wszystko to dzieje się po to, żeby usunąć nieporozumienia występujące między Niemcami a Francją. Sir Eryk jest wielkoduszny i moim zdaniem szczery i otwarty; ale sir John, sekretarz spraw zagranicznych w Londynie, uważany jest przez wszystkich za człowieka przebiegłego.

William z Martą byli w Poczdamie na przyjęciu urodzinowym u Kronprinza, syna cesarza Wilhelma II. Opowiadali po powrocie, że wieczór był przemiły, a nastrój niezwykle serdeczny. Jeden z synów Kronprinza jest obecnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie pracuje u Henry Forda. Drugi studiuje prawo na uniwersytecie berlińskim, jest czarującym chłopcem, choć w pełni świadomym wielkości swego rodu.

21 grudnia 1933. Czwartek.

Sir Eryk wrócił do Berlina i przez godzinę był u Neuratha, chociaż Neurath miał wyjechać na święta Bożego Narodzenia do Wirtembergii. Parę dni temu zdziwiło mnie, że Neurath wyraził obawę, iż wojna na Dalekim Wschodzie wisi w powietrzu; zdziwiło mnie również to, że tak bardzo interesuje się Rosją Radziecką. Powiedział mi, że w razie wojny Japończycy wtargną do Rosji i powstanie tam chaos.

22 grudnia 1933. Piątek.

Pewien dziennikarz, na którego informacjach, jak się przekonałem, można zawsze polegać, ale którego nazwiska nie śmiem wymienić nawet w tym dzienniku, przyszedł do mnie dziś rano i powiedział, iż wie od jednego wysokiego urzędnika niemieckiego (przypuszczam, że chodzi o szefa tajnej policji Rudolfa Dielsa), że wszyscy komuniści sążeni od września za podpalenie Reichstagu, zostaną jutro — z wyjątkiem van der Lubbe — uniewinnieni przez niemiecki Sąd Najwyższy. Jednakże komunista bułgarski, Georgi Dymitrow, którego wyrzekł się jego własny kraj, ma być na rozkaz pruskiego premiera Göringa zamordowany, zanim uda mu się wyjechać z Niemiec. Informator mego znajomego dziennikarza dodał: „Wiem, że mówiąc o tym panu narażam swoje życie, ale miałem ostatnio kilka okropnych nocy i muszę pana o tym powiadomić w nadziei, iż będzie pan mógł coś zrobić, żeby ten rozkaz został odwołany”. Dziennikarz był wzburzony, nie chciał podać mi nazwiska urzędnika, który go o tym poinformował, ale powiedział, że Dymitrow będzie na pewno zamordowany, o ile natychmiast nie dowie się o tej sprawie cały świat.

To ciekawa historia. Moim zdaniem urzędnik, od którego pochodzi ta informacja, jest jedynym człowiekiem, który dokładnie wie, kto podpalił Reichstag. W listopadzie, z niewyjaśnionego powodu, Göring zagroził mu obozem koncentracyjnym, ale w pierwszych dniach grudnia zdjęto go tylko ze stanowiska. W końcu listopada doniósł mi konsul generalny Messersmith, że Diels obawia się o swoje życie i prosi, żeby mu jakoś pomóc. Messersmith nic nie mógł zrobić. Ja, nie mając kontaktów osobistych z żadnym z wyższych urzędników, którzy zajmowali się sprawą Dielsa, też nic nie mogłem zrobić. Dwa tygodnie później dowiedzieliśmy się, że po przerwie, w czasie której funkcje szefa tajnej policji pełnił Göring, Diels wrócił na swoje stanowisko. Myślę, że był to po prostu manewr, żeby zastraszyć Dielsa, który wie o różnych kompromitujących sprawach.

O 11.30 sir Eryk Phipps przyniósł mi oficjalną brytyjską odpowiedź na oświadczenie Hitlera, które mi pokazał przed wyjazdem do Londynu. Brytyjczycy akceptują niemieckie żądania, pragną tylko ograniczenia liczebności Reichswehry i sprecyzowania kilku punktów dotyczących uzbrojenia. To mi wygląda na rozsądną odpowiedź. Sir Eryk powiedział, że wie od Neuratha, iż Hitler akceptował odpowiedź brytyjską. Wyraził też nadzieję, że Anglii uda się wciągnąć Francję do rozmów wkrótce po Nowym Roku. Doszła mnie wiadomość, że Waszyngton jest zaalarmowany pogłoską, jakoby Wielka Brytania nosiła się z zamiarem udzielenia Japonii dużej pożyczki, co zdaniem naszych kół urzędowych zachęciłoby Japonię do wojny ze Związkiem Radzieckim.

O 4-ej mój przyjaciel dziennikarz poinformował mnie, że przekazana przez niego jednej z agencji prasowych wiadomość o planowanym zabójstwie Dymitrowa ukazała się już w popołudniowej prasie londyńskiej. Zredagował on również notatkę dla prasy amerykańskiej, która absolutnie nie może zaszkodzić jego informatorowi, ale w Niemczech wywoła jutro taką reakcję, że życie Dymitrowa zostanie uratowane. Powiedział: „Nie żałuję tego, co uczyniłem. To była najlepsza droga, żeby się przysłużyć Niemcom i sprawie pokoju. Gdybym tego nie uczynił, ten straszny czyn zostałby popełniony i światowa opinia publiczna byłaby nim rozwścieczona”.

Trudno mi było go zganić, ale było jasne, że podjął bardzo ryzykowną akcję. Pokazał mi telegram Goebbelsa do korespondentów prasy zagranicznej,

dementujący całą tą historię, *ale* obwiniający Göringa, członka triumwiratu, że jego nierozważne wypowiedzi zrodziły „łgarstwo”, które rozeszło się po całym świecie. Czekam na brytyjskie i amerykańskie gazety. Niemieckie pisma oczywiście nic o tym nie napiszą. Ta sprawa może się smutnie skończyć.

25 grudnia 1933. Boże Narodzenie.

Zadziwiające jest to niemieckie zamiłowanie do manifestacji: na placach miejskich — choinki, w każdym domu, gdzie byłem — choinka. Można by pomyśleć, że Niemcy wierzą w Chrystusa i stosują w praktyce Jego nauki!

Przed południem odwiedziłem mego przyjaciela dziennikarza. Przez chwilę podziwiałem dekorację choinki, a potem wzięwszy go na stronę dowiedziałem się, że jego wysoko postawiony przyjaciel podziękował mu za skuteczną interwencję prasową, która nikomu nie zaszkodziła, a wywołała pożądaną reakcję w niemieckich kołach urzędowych. Pod nieobecność Göringa jego zastępca wydał rozkaz policji w Saksonii, żeby roztoczyła opiekę nad zwolnionymi z aresztu więźniami, zapewniła im bezpieczeństwo osobiste i nie pozwoliła im udać się do Prus — chodziło o to, żeby rozkaz zlikwidowania Dymitrowa nie mógł być wykonany. Na tym sprawa na razie się skończyła.

Przypuszczam, że Göring faktycznie wydał przed wyjazdem jakiś rozkaz, ale Diels, wrogo nastawiony do Göringa, mimo grożącego mu wciąż niebezpieczeństwa, zdobył się na odwagę i uchylił ten rozkaz, aby w ten sposób uchronić Niemcy przed groźną reakcją światowej opinii publicznej. Szef tajnej policji postąpił bardzo ryzykownie i nie zdziwiłbym się wcale, gdybym w przyszłości się dowiedział, że został uwięziony. Jedyne, co go ratuje, to fakt, że wiadome mu są doskonale wszystkie szczegóły podpalenia Reichstagu oraz to, że posiadane przez niego dowody znajdują się już przypuszczalnie poza granicami Niemiec.

1 stycznia 1934. Poniedziałek.

Wszyscy członkowie korpusu dyplomatycznego uważali za swój obowiązek pozostać dzisiaj w mieście, aby móc złożyć wyrazy szacunku i najlepsze życzenia noworoczne 86-letniemu prezydentowi Hindenburgowi. Pojechaliśmy do pałacu Prezydenta, gdzie wprowadzono nas do wielkiej poczekalni na pierwszym piętrze; gdy wchodziliśmy, umundurowana służba powitała nas po hitlerowsku. Obok mnie znaleźli się sir Eryk Phipps, p. François-Poncet i ambasador Hiszpanii. Punktualnie o 12-ej zajęliśmy nasze miejsca, ustawiając się półkolem w wielkiej, bogato zdobionej sali recepcyjnej prezydenckiego pałacu.

Wkrótce potem wszedł Hindenburg i przywitał się z Nuncjuszem, seniorem korpusu dyplomatycznego, który odczytał po francusku dość oficjalne pozdrowienie noworoczne; było jasne, że Prezydent go nie rozumiał, i to samo było ze mną. W odpowiedzi Prezydent odczytał przemówienie, utrzymane w stylu oficjalnym, w którym wspomniał o „odrodzeniu” Niemiec i pokrótce scharakteryzował istotę hitlerowskiego ustroju; ten temat chyba w żadnym z członków korpusu nie wzbudził uczucia sympatii.

Po odbyciu tych formalności Hindenburg zamienił kilka słów z Nuncjuszem, a potem rozmawiał serdecznie z p. François-Poncet, który rozumie

i mówi bardzo dobrze po niemiecku. Powitawszy w ten sam sposób p. Cerutti, ambasadora Włoch, z kolei przywitał się ze mną i zapytał, jak postępują studia mego syna, Williama, na uniwersytecie berlińskim, wyrażając przesadny zachwyt moją znajomością niemieckiego (który jest wprawdzie dość płynny, ale niepoprawny). Wymieniliśmy następnie uwagi na temat profesora Onckena, słynnego historyka Mommsena i według słów Prezydenta, „wielkiego von Treitschkego”, który moim zdaniem nigdy wielki nie był. Prezydent poruszał się z pewną trudnością, opierał się na lasce, ale mówił gładko i rozumnie. Wydaje się, że zna życie intelektualne Niemiec.

Następnie podszedł do mnie Hitler; obserwowałem go przez cały czas i wydał mi się jakiś zgaszony, niemal że zażenowany. Powitał mnie słowami: „Szczęśliwego Nowego Roku”, a ja odwzajemniłem mu się tym samym. Tylko z ambasadorem Włoch witał się po hitlerowsku. Zapytałem Kanclerza, czy nie spędził czasem Bożego Narodzenia w Monachium. Powiedziałem mu, że byłem tam z żoną przez dwa dni na początku grudnia i że odwiedzenie tego miasta sprawiło mi wielką przyjemność; spotkałem tam świetnego niemieckiego historyka, profesora Meyera, mojego byłego kolegę uniwersyteckiego z Lipska, którego uważam za wybitnego uczonego i myśliciela. Hitler był trochę zakłopotany i powiedział, że nigdy o Meyerze nie słyszał. Wspomniałem jeszcze o innych sprawach związanych z monachijskim uniwersytetem, ale nie wywołało to z jego strony żadnego oddźwięku i po chwili przeszedł dalej. Odniosłem wrażenie, że nie stykał się w ogóle z ludźmi, których znałem i szanowałem. Nie przejawiał takich zainteresowań jak Prezydent i obawiam się, że może sobie pomyślał, iż chcę go spieszyć. Takiego zamiaru oczywiście nie miałem. Nie było co prawda żadnego tematu z dziedziny polityki i dyplomacji, o którym moglibyśmy rozmawiać w obecnej delikatnej sytuacji.

3 stycznia 1934. Środa.

Prasa zagraniczna publikuje dziś wiadomość, że 1 stycznia rano między Hitlerem i Göringiem doszło do zażartej sprzeczki z powodu niewprowadzenia w życie wydanego przed dwoma miesiącami dekretu, na mocy którego Niemcy miały zostać zunifikowane, tzn. że wszystkie dawne państwa, jak Prusy, Bawaria, Saksonia itd. miały być połączone w jedno, a następnie podzielone na jakieś sto jednakowych co do wielkości okręgów, którymi rządiliby ludzie mianowani przez kanclerza. Wszyscy myśleli, że dekret wejdzie w życie i że poszczególne państwa i parlamenty ulegną w tym roku likwidacji*. Ale 1 stycznia Hitler i Goebbels spotkali się ze sprzeciwem Göringa, którego poparł gubernator Bawarii**. Ostry konflikt trwał chyba już od paru dni, gdyż Hitler nie przesłał Göringowi życzeń noworocznych; do przeprosin doszło dopiero 2 stycznia. Moim zdaniem, to właśnie ta kontrowersja, rozstrzygnięta na korzyść Göringa 1 stycznia, tuż przed przyjęciem dyplomatów przez Hindenburga, sprawiła, że w południe Hitler wyglądał taki zafrasowany. Sprawa jest naprawdę poważna, gdyż w tym przypadku naród niemiecki

* Nie wyjaśniono, o jaki dekret autorowi chodzi. Ustawy tzw. ujednocające zostały bowiem uchwalone 31 marca i 7 kwietnia 1933 r. Ustawa tzw. o przebudowie Rzeszy, likwidująca ostatecznie niezależność państw, została uchwalona 30 stycznia 1934 r. Być może opisany przez autora spór wynikł przed przedłożeniem jej w Reichstagu.

** Chodzi o namiestnika Rzeszy w Bawarii, który to urząd o bardzo szerokich kompetencjach wprowadzała ustawa z 7 kwietnia 1933 r. Był nim do 1945 r. gen. Franz Xaver von Epp.

stanowczo sprzeciwia się Hitlerowi, podobnie jak sprzeciwia się jego planom podporządkowania wszystkich protestantów jednemu biskupowi państwowemu i utworzeniu z nich jednej zdyscyplinowanej organizacji. Od trzech do czterech tysięcy pastorów stawia w tej sprawie zawzięty opór. Te dwie sporne kwestie w dużym stopniu przyczyniają się do ujawnienia nastrojów panujących w Niemczech, mimo że wygłaszanie przemówień jest zakazane, a prasa zamieszcza tylko drobne wzmianki o odroczeniu wejścia w życie pewnych dekretów. W tych sprawach nie stosuje się bicia ani obozów koncentracyjnych i potężny, milczący opór społeczeństwa trwa.

Otrzymałem telegram, polecający mi zaprotestować wobec władz niemieckich przeciwko nowemu zarządzeniu Schachta w sprawie odsetek od niemieckich obligacji znajdujących się w Stanach Zjednoczonych. Odsetki te były dotychczas płacone w 50 procentach w efektywnej walucie i w 50 procentach w promesach; obecnie stosunek ten ma być zmieniony na jeszcze gorszy: 30 procent w efektywnej walucie i 70 procent w promesach. Polecono mi również oświadczyć, że sposób załatwienia tej sprawy był wysoce niewłaściwy, nie porozumiano się z wierzycielami i wykupiono niemieckie obligacje w chwili, gdy wartość ich na giełdzie nowojorskiej spadła do najniższego poziomu.

Ponieważ Neurath i Bülow wyjechali na urlop, rozmawiałem z kierownikiem Ministerstwa dr. Koepke. W dość katerycznej formie zgłosiłem poważne zastrzeżenia w dwóch następujących punktach. Po pierwsze: ogłaszając nagle, bez żadnej konsultacji, o ograniczeniu płatności, Niemcy postąpiły bardzo niepoważnie; miasta niemieckie, które pożyczyły ogromne sumy, nie są bynajmniej niewypłacalne; wielkie gmachy publiczne, zbudowane za amerykańskie pieniądze, świadczą o charakterze tych pożyczek; wykupywanie wielkich partii obligacji na amerykańskim rynku wygląda bardzo nieładnie, jak giełdziarska manipulacja. Po drugie takie postępowanie wywołuje wzburzenie opinii amerykańskiej i zmusza rząd do czynnego wystąpienia w tej sprawie; dotychczas rząd był skłonny pozostawić załatwienie jej bankom, które wypuściły na rynek niemieckie obligacje i na tym zarobiły. Podkreśliłem z naciskiem, że rząd niemiecki nie powinien dopuszczać do tego, aby operacje podległego mu banku państwa stwarzały wrażenie, że rząd jest giełdowym spekulantem.

Koepke przyznał mi rację w obu punktach i wyjaśnił, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie było w tej sprawie konsultowane. Przyznał również otwarcie, że tego rodzaju decyzje są szkodliwe, że Niemcy są w stanie spłacać swoje zobowiązania, przynajmniej jeżeli chodzi o wielkie miasta, i że spekulacyjne aspekty postępowania Schachta budzą odrazę. Wyszedłem przekonany, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych postara się skłonić Schachta do zajęcia bardziej kompromisowego stanowiska, chociaż wątpię, czy mu się to uda. Panem w tej dziedzinie jest Schacht; urzędnicy Ministerstwa nie śmiały mu wydawać żadnych rozkazów.

5 stycznia 1934. Piątek.

Biskup John L. Neilson z Episkopalnego Kościoła Metodystów w Stanach Zjednoczonych, obecnie rezydujący w Zurychu w charakterze przełożonego metodystów w Centralnej Europie, przyszedł porozmawiać ze mną o sprawach kościoła protestanckiego w Niemczech. Jest dokładnie zorientowany w ostat-

nim konflikcie religijnym i podziwia wspaniały opór wyznawców Lutra przeciwko próbom narzucenia im przez hitlerowców jednolitej organizacji kościoła państwowego z kultem Wotana i starymi germańskimi mitami włącznie.

Powiedział, że metodyści amerykańscy w Niemczech będą mogli zachować swoją niezależność organizacyjną, ale nie wolno im będzie nawracać Niemców na swoją wiarę. To, co mówił, bardzo przypominało październikową relację dr. Charles MacFarlanda. Ciekaw jestem, czy Niemcy z roku 1934 będą mieli odwagę Lutra i oświadczą władzom krótko i węzłowato: „Ustąpić nie możemy, jeżeli chcecie, możecie nas spalić”. Jeżeli protestanci się na to zdobędą, mogą ich poprzeć katolicy.

6 stycznia 1934. Sobota.

Poseł szwedzki, M. C. E. af Wirsén przyszedł mi powiedzieć, iż wybiera się do niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby złożyć taki sam protest, jaki ja złożyłem w sprawie długów. Niemcy winni są Szwedom duże sumy.

W południe przyszedł poseł holenderski, Limburg-Stürum, zdolny, doświadczony dyplomata, i powiedział, że się solidaryzuje z moim stanowiskiem w sprawie długów. O faworyzowaniu Holandii przez Niemców nie rozmawialiśmy; poinformowałem go tylko, że wiem, iż Niemcy płacą Holendrom pełną nominalną wartość obligacji i przepisowe odsetki. Schacht twierdzi, że dzieje się tak dlatego, ponieważ Holendrzy kupują od Niemców więcej towarów, niż im sprzedają własnych.

Dużo więcej uwagi poświęcił Limburg-Stürum sprawie japońskiej agresji w Chinach. Powiedział, że na okupowanych terenach generałowie japońscy tworzą autonomiczne rządy, mając na widoku utworzenie na Dalekim Wschodzie odrębnej Ligi Narodów pod zwierzchnictwem Japonii. Jego zdaniem, posiadłości holenderskie na Dalekim Wschodzie, a także Filipiny, wkrótce wpadną w ręce Japończyków, jeżeli Stany Zjednoczone nie stawiają im należytego oporu, a zwłaszcza jeżeli Anglia będzie nadal po cichu popierała japońską agresję.

9 stycznia 1934. Wtorek.

Byłem gościem Amerykańskiej Izby Handlowej na lunchu w hotelu „Adlon”. Ambasador rosyjski wygłosił bardzo inteligentny referat o komunistycznej polityce handlowej. Został dobrze przyjęty. Rozpływał się w pochwałach dla Stanów Zjednoczonych. Uważam go za jednego z najzdolniejszych dyplomatów w Berlinie, ale nie sądzę, żeby z niego był wielki komunista.

12 stycznia 1934. Środa.

Przyszedł do mnie dr Otto Vollbehr z Waszyngtonu, ten, który chyba w 1929 r. sprzedał Bibliotece Kongresu biblię Gutenberga. Później próbował urabiać poglądy amerykańskich profesorów w Niemczech. Kilka razy pisałem

do niego protestując przeciwko temu. ale on o tych moich zarzutach teraz nie wspomniał. Powiedział, że był u ministra propagandy, że rozmawiał z ambasadorem Lutherem w Waszyngtonie i że ma się spotkać za parę dni z Hitlerem. Dyskrecja była mu całkowicie obca i pomyślałem, że chce mi zasugerować, iż przyjechał do Berlina w jakiejś specjalnej misji. Przestrzegłem go przed uprawianiem szkodliwej propagandy. Udawał, że się ze mną całkowicie zgadza i wychodząc był w doskonałym humorze.

11 stycznia 1934. Czwartek,

Moja żona wydała swoje pierwsze duże przyjęcie. Męcząca historia, ale jedyna droga podtrzymania znajomości z osobami, które złożyły nam kiedyś swoje bilety wizytowe. Koszt około 200 dolarów.

16 stycznia 1934. Wtorek.

O 11-ej przyszedł poseł amerykański w Wiedniu, George Earle. To jeden z tych bogatych ludzi na placówkach zagranicznych, którzy słabo znają historię własnego kraju i innych narodów. Łagodnego usposobienia i bardzo antyhitlerowski. Widziałem się z nim ostatnio w listopadzie, gdy przyjechał zreferować mi sytuację w Austrii.

Wówczas uważałem, że ocenił ją prawidłowo. Ale od tego czasu jego zachowanie było dość niezwykle jak na posła w tak krytycznym punkcie jak Wiedeń. Pojechał raz do Pragi, a więc poza teren swojej dyplomatycznej działalności i tak ostro potępił niemieckich narodowych socjalistów w Czechosłowacji, że w sprawie tej wpłynął protest do amerykańskiego poselstwa w Pradze. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem zaprosił mnie telegraficznie na obiad wydany przez niego na cześć austriackiego kanclerza Dollfussa, który jest w Niemczech tak znienawidzony, że nie ośmiela się wprost postawić nogi na niemieckiej ziemi. Oddepeszowałem, że zaproszenia przyjąć nie mogę. Gdybym pojechał do Wiednia, wywołałoby to niesłychana sensację i osłabiło jeszcze bardziej pozycję Earle'a.

Opowiedział mi o przykrych przejściach z czołowymi wiedeńskimi narodowymi socjalistami i groźbach pozbawienia go życia, o niebezpiecznej sytuacji Dollfussa, któremu wciąż grozi dewaluacja austriackiej waluty. Na pytanie, czy nie zechciałbym wysłać o tym depeszy do Prezydenta, odpowiedziałem odmownie, gdyż i tak jutro miała wyjść poczta dyplomatyczna. Ale zaprosiłem biedaka na lunch.

Spotkawszy się przy stole z moją rodziną, Earle jeszcze raz opowiedział nam swoje przygody. Pewnego dnia, gdy polował w austriackim Tyrolu, ktoś do niego strzelił i kula urwała mu pół buta. Jadąc do domu zostawił buty w pociągu, żeby żona nie dowiedziała się, co go spotkało. „To jest narodowo-socjalistyczna Austria — powiedział. — Gdy tylko przywódcy starej gwardii W wojsku przejdą na stronę narodowego socjalizmu, Dollfuss zostanie obalony, a w kraju zapanuje chaos.” Przytoczył słowa austriackich nazistów: „Hitler jest Chrystusem-Zbawicielem całej Europy i wszyscy muszą się z tym pogodzić. Jeżeli Żydzi będą się nam jeszcze dłużej sprzeciwiali w Austrii, nastąpi tu największy pogrom w historii świata”.

Earle umie dobrze opowiadać. Jest inteligentny, ale społeczną wartość

ludzi ocenia okiem człowieka bogatego. Jednym z kryteriów rangi społecznej jest dla niego np. ilość posiadanych służących, lokajów czy kamerdynerów. Uważa za straszną rzecz, że w Wiedniu tylko niecałe 300 rodzin ma w domu troje służby. Odesłałem go na dworzec swoim samochodem, żeby go uchronić przed ewentualnym wścibstwem tajnej policji.

17 stycznia 1934. Środa.

Dowiedziałem się od Lochnera, że sprawa Kościoła protestanckiego przybrała wczoraj niespodziewany obrót. Nowo mianowany przez Hitlera biskup państwowy Ludwig Müller konferował właśnie z kilkunastoma biskupami i innymi kościelnymi dostojnikami, gdy na zebranie przybył Hitler i oświadczył, iż on i Prezydent zgadzają się spełnić żądanie protestantów, aby nie podporządkowywać ich nowej pogańskiej religii państwowej, zwanej „Deutsche Christen”, której głową jest Müller*.

Gdy Hitler skończył mówić i zdawało się, że dojdzie do ugody, na salę wszedł nie zaproszony na zebranie Göring (wprawdzie katolik, ale nie cieszący się dobrą opinią w Rzymie) i wygłosił gwałtowne przemówienie: „Mam nagrane wszystkie wasze rozmowy telefoniczne za ubiegły miesiąc. Jesteście w najwyższym stopniu nielojalni, panowie protestanci-intryganci. Chcecie rozbić jedność państwa. Posunęliście się tak daleko, że wymogliście na kanclerzu zasadnicze ustępstwo. Uważam, że większość z was znalazła się o krok od popełnienia zdrady stanu”. Zebranie zostało rozwiązane i cała ugoda unieważniona; istnieje jednak możliwość zwołania nowej narady.

19 stycznia 1934. Piątek.

16 stycznia, w czasie obiadu, poseł holenderski poinformował mnie, że poprosił telefonicznie Bank Holenderski w Amsterdamie o wyjaśnienie w Westminster Bank w Londynie sprawy oficjalnej brytyjskiej pożyczki dla Japonii. Bank londyński oświadczył, że o żadnej pożyczce nie może być mowy.

Żona z dziećmi była na przyjęciu u barona Eberharda von Oppenheima. Ten, człowiek, który jest Żydem, w dalszym ciągu prowadzi elegancki dom niedaleko od nas. Na przyjęciu było wielu nazistów. Mówią, że Oppenheim ofiarował partii narodowosocjalistycznej 300 tysięcy marek i otrzymał od niej specjalne zaświadczenie, że jest aryjczykiem.

22 stycznia 1934. Poniedziałek.

Byłem dziś w Reichsbanku u dr. Schachta. Był w bardzo pojednawczym nastroju. Przeczytał na głos wręczony mu przeze mnie protest i oświadczył, że w zasadzie zgadza się ze wszystkim, co w nim jest napisane. Przekonsultuje tę sprawę z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i przyśle mi odpowiedź

* „Glaubensbewegung Deutsche Christen” był to pronazistowski związek wyznaniowy stosujący zasadę wodzostwa (Führerprinzip). Ludwig Müller był współtwórcą tej organizacji, ale nie jej kierownikiem. Był natomiast biskupem Niemieckiego Kościoła Ewangelickiego, o którym przypis na s. 56, i miał tytuł „biskupa Rzeszy”.

o 5-ej. Dodał, że jedyna rzecz, której pragnie i o którą zawsze prosił, to żeby się spotkać z delegacjami poszczególnych państw upoważnionymi przez posiadaczy obligacji do wyrażenia zgody na obniżenie odsetek z 7,5 do 4 lub 4,5 procent. Jego zdaniem, na wszystkich giełdach obligacje niemieckie notowane są po zaniżonych kursach lub też w ogóle nie są notowane i w tej sytuacji nie można wymagać, żeby rząd niemiecki płacił tak wysokie odsetki. Przyznałem, że sprawa ta musi być w jakiś sposób załatwiona.

Przyszedł do mnie znowu do biura poseł belgijski i bardzo przygnębiony przez pół godziny mówił o tym, jak trudno będzie utrzymać pokój. Mówił o niebezpieczeństwie zagrażającym jego krajowi, o ścisłej zależności Belgii od Anglii i okrucieństwach niemieckiej okupacji. Nie miał co do nich żadnych wątpliwości. Przyznał, że we francuskich kołach urzędowych mówi się dużo o „wojnie przewencyjnej”, i wyraził obawę, że to oznaczałoby początek wojny powszechnej.

Po wyjściu posła zjawili się John Foster Dulles z Nowego Jorku i Laird Bell z Chicago, zgłaszając gotowość wzięcia udziału w konferencji na temat długów zwołanej przez Schachta: jutro przyjeżdża delegacja angielska. Otrzymałem wiadomość od prezydenta Roosevelta, że rząd amerykański bardzo przejmuje się tą sprawą i liczy na moją pomoc. O Dullesie i Bellu mówi się, że są oficjalnymi rzecznikami grupy wierzycieli, reprezentującej portfel obligacji wartości ponad jednego miliarda dolarów. Amerykańscy bankierzy pożyczili tę kwotę na wysoki procent Niemcom po zakończeniu pertraktacji prowadzonych przez Dawesa i Younga; następnie wypuścili obligacje w Nowym Jorku i sprzedali je Amerykanom po 90 dolarów za sztukę, zarabiając na tym kolosalne sumy. Pożyczone pieniądze Niemcy zużyli na inwestycje komunalne i państwowe oraz przedsiębiorstw prywatnych, a także na wielki program budownictwa mieszkaniowego podobny do tego, który został zrealizowany w Stanach Zjednoczonych w 1922—1929 r. Teraz ja mam z tego uratować, co się tylko da. National City Bank i Chase National Bank posiadają tych obligacji na 100 milionów dolarów. W czerwcu ubiegłego roku Roosevelt mi powiedział: „...bankierzy sami wplątali się w tę historię. Powinien pan im w miarę możliwości pomóc, ale tylko prywatnie, nieoficjalnie, nic ponadto”. A tymczasem wierzyciele i nowojorscy bankierzy zorganizowali się i wywarli na rząd taką presję, że teraz rząd walczy w ich obronie. Zrobię, co będę mógł, ale zgadzam się z Niemcami, że odsetki powinny być obniżone do 4 procent.

O 1.30 przyszli na lunch Ivy Lee* i jego syn, James. Okazało się, że Ivy Lee jest nie tylko kapitalistą, ale i obrońcą faszystów. Opowiadał o tym, jak walczył o uznanie Rosji i był skłonny przypisywać sobie zasługę, że do tego doszło. Chodziło mu wyłącznie o zwiększenie zysków amerykańskich przedsiębiorców.

23 stycznia 1934. Wtorek.

Dzisiaj byli u nas na lunchu panowie Bell, Dulles, Junius Wood z „Chicago Daily News” i sekretarz ambasady Joseph Flack. Rozmawiali o konferencji

* Ivy Ledbetter Lee był jednym z twórców służby informacyjnej wielkiego przemysłu amerykańskiego, tzw. public relations. Był przedstawicielem i doradcą w tej dziedzinie wielu najbardziej wpływowych koncernów amerykańskich.

w sprawie długów, która przerodziła się ostatnio w rozmowy między poszczególnymi delegacjami. Spodziewają się, że uda im się przekonać Holendrów i Szwajcarów, aby zrezygnowali ze swych przywilejów po wygaśnięciu dotychczasowych umów, tzn. w czerwcu tego roku.

24 stycznia 1934. Środa.

Wobec wielkiego zainteresowania dziennikarzy konferencją w sprawie długów, zaprosiłem ich do siebie na godzinę 5. Omówiłem cały problem, wyjaśniłem stanowisko Schachta i powiedziałem, że winę za to, co się stało, w dużym stopniu ponoszą bankierzy.

25 stycznia 1934. Czwartek.

Pojechałem na „Bierabend” do rezydencji Ernesta Röhma, szefa SA. Hitler posyłał go niedawno w misji specjalnej do Rzymu. Gdy przedstawiono mnie gospodarzowi domu, stwierdziłem, że jest obwieszony orderami. Jak ci hitlerowcy kochają się w odznaczeniach! Przyszedł również von Neurath i włoski ambasador. Byłem pół godziny, po czym nie uraziwszy przez to chyba nikogo, pojechałem do domu.

26 stycznia 1934. Piątek.

Przyszedł, żeby mi złożyć sprawozdanie ze swojej miesięcznej podróży po całych Niemczech, dr Wilbur K. Thomas z Filadelfii, przedstawiciel amerykańskiej filii Fundacji Carla Schurza. Powiedział, że nie spotkał nikogo, kto by w rozmowie z nim wyrażał się pozytywnie o polityce Hitlera w stosunku do kościołów, uniwersytetów i zagranicy. A rozmawiało z nim, jak twierdzi, setki ludzi. Osobiście stwierdzałem zawsze to samo, z wyjątkiem sytuacji, gdy przy rozmowie były osoby umundurowane. Oświadczył, iż wpłynął na Fundację Carla Schurza, żeby przestała uprawiać w Ameryce działalność propagandową*. Zobaczmy czy na długo.

29 stycznia 1934. Poniedziałek.

Ivy Lee znowu przyszedł ze swym synem Jamesem, żeby mi opowiedzieć o swoich przeżyciach w ciągu ostatniego tygodnia. Przez cały czas mówił właściwie tylko on sam. Jak się okazuje, rozmawiał godzinę z Goebbelsem; przeprowadził szczerą rozmowę z ministrem gospodarki dr. Kurtem Schmittem

* Carl Schurz (1829—1906), uczestnik Wiosny Ludów, wyemigrował z Niemiec w 1849 r. i w 1852 r. przybył do St. Zjedn. Członek partii republikańskiej od 1854 r. przyczynił się do wyboru A. Lincolna na prezydenta. Poseł w Madrycie w 1861 r.; uczestnik wojny domowej; senator; minister spraw wewnętrznych (1877—1881) — przeprowadził zaprojektowaną przez siebie reformę administracji; od 1881 r. dziennikarz i publicysta.

Istniała Carl Schurz Memorial Foundation założona w 1930 r. w Nowym Jorku oraz Carl Schurz Verein w Berlinie, na którego czele stał Max Ilgner, jeden z dyrektorów koncernu IG Farben.

i innymi ważnymi osobistościami. Przestrzegł Goebbelsa przed kontynuowaniem propagandy w Stanach Zjednoczonych, zalecił mu częste spotkanie się z dziennikarzami zagranicznymi i pouczył, jak należy sobie z nimi dawać radę.

Twierdzi, że zdaniem dr. Schmitta i dr. Dieckhoffa z Ministerstwa Spraw Zagranicznych trzeba wywalić z Niemiec korespondentów prasy zagranicznej (już dawno podejrzewałem, że coś takiego się szykuje). Lee ostrzegł Ministerstwo Spraw Zagranicznych, że tego rodzaju posunięcie miałyby zgubne następstwa dla narodowego socjalizmu.

Lee nie widział się z Hitlerem, chociaż podejrzewam, że liczył na tę rozmowę. Wspomniałem mu o delikatnej sytuacji w Austrii. Odrzekł, że należało na przywódców partyjnych, aby zaniechali uprawiania propagandy w Austrii, tłumacząc im, iż wówczas kraj ten bardzo szybko znajdzie się w orbicie wpływów narodowego socjalizmu! Z tego wszystkiego natomiast, czego ja się dowiedziałem na ten temat w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy, wynika, że Austriaków takim obrzydzeniem przejmują praktyki hitlerowców w Niemczech, iż podobnie jak Niemcy w Czechosłowacji, nie mają żadnej ochoty przyłączyć się do Rzeszy. Lee był w drodze powrotnej, via Paryż, do Nowego Jorku, żeby tam kontynuować swoją zagadkową działalność.

30 stycznia 1934. Wtorek.

Pojechałem na „Bierabend” do Alfreda Rosenberga, kierownika wydziału zagranicznego partii hitlerowskiej. Bawarski minister sprawiedliwości mówił o nowych ustawach, zapewniających jedność niemieckiego państwa*, o rygorach w stosunku do Żydów i o nowym duchu panującym w państwie narodowosocjalistycznym, które jego zdaniem jest niemalże wzorem doskonałości. W pełni podpisuje się on pod narodowosocjalistyczną wersją heglowskiej filozofii państwa, która twierdzi, iż wszyscy chłopi, a w miastach robotnicy, są szczęśliwi, że mogą bezinteresownie służyć państwu narodowego socjalizmu. Obok mnie z prawej strony siedział przedstawiciel Ministerstwa Propagandy. Zapytałem go, czy jego zdaniem robotnicy i chłopi czują się naprawdę szczęśliwi w tym nowym państwie. Odrzekł: „Tak jest, absolutnie”. Siedzący po mojej lewej stronie Rosenberg nie zrobił na mnie wrażenia człowieka wykształconego, pomimo że jest autorem słynnego klasycznego dzieła narodowego socjalizmu pt. *Mit XX wieku*.

31 stycznia 1934. Środa.

Byłem na obiedzie u dr. Kurta Schmitta w Dahlem. Jest on ministrem gospodarki i mieszka w dużej i luksusowo, lecz gustownie wyposażonej willi. Wśród gości było kilku przedstawicieli dawnej arystokracji, którzy zachowywali się nad wyraz skromnie. Schmitt pochodzi z Bawarii i jest wielkim właścicielem ziemskim. Robi wrażenie człowieka szczerze oddanego Hitlerowi, ma jednak odwagę występować publicznie przeciwko niektórym kierunkom polityki narodowego socjalizmu. W dniu mego przyjazdu do Berlina wygłosił przemówienie na temat nakręcania koniunktury gospodarczej; moim zdaniem interesujące, choć w duchu konserwatywne.

* Chodzi o ustawę tzw. o przebudowie Rzeszy, uchwaloną 30 stycznia 1934 r.

1 lutego 1934. Czwartek.

Mieliśmy dzisiaj pokaz dyplomatycznej ekstrawagancji. Po pracowitym dniu spędzonym w biurze pojechałem z żoną o 8.30 do rezydencji ambasadora Włoch. W czasie gdy Włochy utrzymują, że nie są w stanie zapłacić ani centa z miliarda dolarów, które winne są Stanom Zjednoczonym za uratowanie ich od zguby w 1918 r. pan ambasador Vittorio Cerutti urządza nam przyjęcie w świeżo przebudowanym i powiększonym pałacu, którego wnętrza zostały ozdobione niesłychanie kosztownymi dekoracjami. Gdy wchodziliśmy po szerokich, ciągnących się łukiem do góry schodach, witała nas po obu stronach wyprężona na bacność służba w osiemnastowiecznej liberii i kolorowych perukach z epoki Ludwika XV.

W sali recepcyjnej zebrało się około czterdziestu gości; widać było dyplomatów w galowych strojach i Niemców w wojskowych i hitlerowskich mundurach. Sala jadalna była ogromna: niczego podobnego jeszcze nie widzieliśmy; jeden lokaj przypadał na czterech gości. Lokaje stali wyprężeni na bacność z tyłu za krzesłami i śledzili uważnie każdy ruch noża czy widelca i Bóg wie, co jeszcze! Przypuszczam, że to przyjęcie kosztowało co najmniej 800 dolarów. Pałac jest niemal taki duży jak Biały Dom w Waszyngtonie, ale wyposażenie wewnątrz jest znacznie kosztowniejsze. Mimo to Włochy nie są w stanie zapłacić nam ani dolara ze swego długu!

Siedziałem po lewej stronie inteligentnej pani Cerutti, węgierskiej Żydówki, której Niemcy nie ośmielają się sprawiać najmniejszego kłopotu. Jest ona gorącą węgierską patriotką i wciąż mówi o swym „biednym nieszczęśliwym kraju”. Żyje nadzieją, że któregoś dnia Węgrzy znowu będą panami Bałkanów. O Włoszech, których reprezentantem jest jej mąż, prawie nie wspomina. Na stole było mnóstwo drogich kwiatów, przy każdym nakryciu stały 3—4 kielichy, potrawy podawane były na ogromnych srebrnych tacach i ciężkich srebrnych półmiskach. Jakiejś ogólnej dyskusji w ogóle nie było i przez cały wieczór nie usłyszałem niczego ciekawego. Pompa i pycha świata dyplomatycznego, nic więcej.

Od Ceruttich pojechaliśmy do hotelu „Kaiserhof”, gdzie razem z naszymi dziećmi wzięliśmy udział w wielkim przyjęciu na stojąco, wydanym przez ministra spraw zagranicznych i jego małżonkę. Gospodarze przyjmują w ten sposób raz na rok swoich znajomych, wysokich funkcjonariuszy państwowych i członków korpusu dyplomatycznego. Musiało tam być co najmniej 700 osób lub nawet więcej. Ogromny stół uginał się dosłownie pod ciężarem wszelkiego rodzaju jedzenia, piwa, wina i innych trunków, a gości obsługiwała chmara służby. To była wielka impreza, musiała kosztować więcej niż tysiąc dolarów; zapłaciły je biedne Niemcy! Można było trochę porozmawiać przy okazji podziwiania niektórych odznaczeń i dekolców. Przyjęto nas z honorami, pokręciliśmy się po sali od 10.30 do 11.15, po czym wyszliśmy. W moich oczach było to równie bezużyteczne widowisko, co przyjęcie u Włochów. Zawsze sądziłem, że tego rodzaju spotkania organizuje się po to, żeby ludzie mogli się jeden od drugiego czegoś dowiedzieć. Dziś wieczorem o tym nie było mowy. Z rozkoszą powróciłem do naszego cichego mieszkania. Przed pójściem spać wypilem jeszcze szklanekę mleka i zjadłem brzoskwinie smażoną w cukrze.

3 lutego 1934. Sobota.

Przyszedł do mnie Louis Lochner z Associated Press ze znanym niemieckim działaczem religijnym, który dostarcza mu poufnych informacji o prowadzonej przez hitlerowców kampanii antyreligijnej. Dzisiaj każdy Niemiec, który udziela informacji zagranicznemu dziennikarzowi, traktowany jest jako zdrajca narodu, chyba że chodzi o informacje korzystne dla obecnego ustroju. Tymczasem informator Lochnera, nie zachowując żadnej ostrożności, opowiadał o tym, jak protestanci walczą z rządem o wolność sumienia, i Lochner wyraził obawę, że jego przyjaciela mogą za takie rzeczy zamknąć w obozie koncentracyjnym. Przyszło mi do głowy, że przyszli zapewnić sobie moją pomoc na wypadek jakichś przykrości. Obaj mówili o „kapitulacji” dr. MacFarlanda wobec narodowych socjalistów i twierdzili, że angielscy protestanci ulegają wpływowi dziwacznej, prymitywnej idei aryjskiego chrześcijaństwa, głoszonej przez Hitlera i Rosenberga. W Niemczech panuje obecnie niezwykła jedność religijna, sądzę jednak, że protestanci skapitulują: źródłem dochodów ich duchowieństwa są rządowe dotacje.

7 lutego 1934. Środa

O 3-ej przyszedł do mnie do domu James G. McDonald, który jest wysokim komisarzem Ligi Narodów do spraw uchodźców z Niemiec. Zadaniem jego jest pomagać prześladowanym osobom w znalezieniu schronienia w Stanach Zjednoczonych lub Ameryce Łacińskiej. Siedzibą jego ma być Lozanna (Szwajcaria), obecnie jest w trakcie kompletowania personelu i zbierania funduszy.

McDonald nie robi wrażenia zachwyconego swoim nowym i trudnym stanowiskiem. Wydaje mi się jednak, że praca, którą podejmuje, będzie miała ogromne znaczenie, gdyż Hitler na pewno nie ustanie w swych wysiłkach, żeby wygnać z Niemiec wszystkich Żydów. McDonald powiedział mi, że zebrał wśród angielskich Żydów 500 tysięcy funtów szterlingów, ale oni nie wykazują w tej sprawie entuzjazmu i nie życzą sobie przyjazdu większej liczby Żydów niemieckich do Anglii. Powiedział, że również w Stanach Zjednoczonych „w pewnych raczej wąskich kręgach społeczeństwa istnieje duże zainteresowanie tą sprawą, nie są one jednak zachwycone perspektywą przyjęcia prześladowanych Żydów we własnym kraju”. Żydzi ci musieliby otrzymać pracę w administracji, wolnych zawodach lub bankowości, a wolnych stanowisk tego rodzaju jest wszędzie bardzo mało.

McDonald chce uzgodnić z Niemcami 10-letni plan emigracji Żydów, przewidujący przekazywanie równowartości ich majątku na koszty utrzymania w początkowym okresie pobytu na emigracji. Von Neurath nie jest temu przeciwny, ale nie może niczego obiecać. Nie jest łatwym zadaniem wywieźć z jakiegoś kraju 600 tysięcy ludzi, z których większość to ludzie raczej dobrze sytuowani. Gdyby zaś ich wypędzono w sposób praktykowany już od roku tytułem próby, spotkałoby się to z powszechnym potępieniem. Od czasu jak Hitler w styczniu 1933 r. został kanclerzem, wyjechało z Niemiec około 50 tysięcy Żydów. O swoich kłopotach McDonald opowiadał mi przez całą godzinę.

O 8.30 pojechaliśmy na obiad do prezydenta Rzeszy do jego pałacu na Wilhelmstrasse. Zjawilo się pięćdziesięciu dyplomatów w galowych strojach, służby było tyle co w pałacu Włochów. W atmosferze przyjęcia było coś z ducha wojskowego. Siedziałem pomiędzy małżonkami ambasadorów Rosji i Włoch; Rosjanka bardzo prosta, o chłopskim wyglądzie, Włoszka jak francuska dama dworu z dawnych czasów. Hindenburg wydawał się pełen wigoru.

Po obiedzie przeszliśmy do pięknego salonu: na ścianach wisiały osiemnastowieczne obrazy przedstawiające sceny z czasów starożytnego Rzymu. Kanclerz Hitler dość zgrabnie poruszał się po sali i całkiem swobodnie rozmawiał z gośćmi. Hindenburg przyjmował ich na siedząco w sąsiednim luksusowo urządzonej saloniku. Gdy wszedłem tam, aby przez chwilę porozmawiać z Prezydentem, spostrzegłem, że jednocześnie wszedł i usiadł obok mnie Neurath. Natychmiast wstałem i wyszedłem. Hindenburg rozmawiałby chyba ze mną szczerze i Neurath chciał zapewne temu przeszkodzić. Wyszliśmy o 10.30, zgodnie ze wskazówką podaną na zaproszeniu. Chociaż przyjęcie było udane i atmosfera nie tak oficjalna jak przy innych okazjach, nie sądzę, by ktokolwiek z obecnych wzbogacił tego wieczoru zasób posiadanych przez siebie wiadomości.

10 lutego 1934. Sobota.

William z Martą wydali bal dla 120 osób, wobec których musieli się jakoś zrewanżować. Była to klasyczna galówka. Obecni byli książę Fryderyk Hohenzollern, wielki skrzypek Kreisler i inne osobistości. Pożegnałem się z towarzystwem o 1 w nocy.

15 lutego 1934. Czwartek.

Przyszedł ambasador radziecki, żeby przedyskutować problemy Dalekiego Wschodu. Niepokoi go sytuacja w Mandżurii, a także zatarg kolejowy z Japonią. Mnie się zdaje, że sytuacja nie jest tam taka groźna jak wówczas, gdy był tu przejazdem Bullitt.

Wydaliśmy wielkie przyjęcie, na którym było dwudziestu dwóch dyplomatów; trudno to jednak porównać z tym, co widzieliśmy u Belgów lub chociażby Rumunów. Wieczór był całkiem przyjemny, chociaż było za dużo gości, żeby wszystkich dobrze poznać i spokojnie porozmawiać, chyba w małych grupach, które po zakończeniu obiadu porozsiadały się po różnych kącikach. Kosztowało to chyba ze 100 czy 200 dolarów, strasznie mało jak na przyjęcie u ambasadora.

17 lutego 1934. Sobota.

Byliśmy na obiedzie u posła duńskiego, obecnych 50 osób, wielkie przyjęcie na stojąco. To straszne być tak wciąż zmuszanym do brania udziału w tych męczących ceremoniach, ale wydaje się, że bez nich nie można się tu obejść.

20 lutego 1934. Wtorek.

O 4.30 przyszedł dr Hjalmar Schacht z projektem, żeby rząd Stanów Zjednoczonych umocnił zaufanie amerykańskich wierzycieli do wypłacalności Niemiec (zarówno jeżeli chodzi o odsetki, jak i raty kapitałowe) i w tym celu zagwarantował im, że Niemcy zaczną płacić z chwilą, gdy tylko będą mogły kupić w Ameryce za 500 milionów dolarów bawełnę i sprzedać ją innym krajom. Oświadczył, że mógłby przekonać Roosevelta o słuszności tego rozwiązania w ciągu piętnastu minut. Skorzystałby na tym bardzo amerykański handel zagraniczny, odbudowane zostałoby zaufanie do niemieckich dłużników, i amerykańscy wierzyciele byliby zadowoleni. Niezupełnie zrozumiałem, na czym ten cały projekt polega, ale wysłałem odpowiedni raport do Departamentu Stanu. Myślę, że dr Schacht potrafiłby zrealizować ten plan, gdyby tylko otrzymał odpowiednie pełnomocnictwa. Wbrew opinii panującej w Stanach Zjednoczonych jestem pełen podziwu dla tego wielkiego niemieckiego finansisty; ma mało złota, ale tak inteligentnie manipuluje niemieckimi aktywami i pasywami, że udaje mu się utrzymać parytet niemieckiej waluty i stabilizację życia gospodarczego. Ciekawy jestem, czy mu się uda uzyskać zgodę Ameryki na swoją bawełnianą kombinację.

21 lutego 1934. Środa.

James Gannon z Chase National Bank w Nowym Jorku przyszedł mnie poinformować o pomyślnym przebiegu konferencji z Reichsbankiem w sprawie setek milionów dolarów ulokowanych w pożyczkach znanych pod nazwą pożyczek „stagnacyjnych”. Był bardzo zadowolony i pełen uznania dla inteligencji i lojalności Schachta.

23 lutego 1934. Piątek.

Byłem na obiedzie u Röhma, szefa sztabu SA w jego nowej rezydencji na Matthäikirchstrasse. Obecnych było około 50 osób. Obok mnie po prawej stronie siedział von Neurath, który oświadczył, że Liga Narodów ma podstawowe znaczenie, jeżeli chodzi o problem ożywienia gospodarczego w skali światowej i że Niemcy powinny wrócić do Ligi, jeżeli Genewa zajmie się problemami gospodarczymi. Ponownie wyczułem, że nie należał do ludzi, którzy ubiegłej jesieni byli za tym, żeby Niemcy wystąpiły z Ligi Narodów. Po lewej stronie gospodarza siedział ambasador brytyjski, sir Eryk Phipps; przez cały wieczór nie powiedział on ani jednego słowa, które można by uznać za wyrażenie własnego poglądu w jakiegokolwiek sprawie. Dwóch czy trzech hitlerowskich dostojników rozmawiało ze mną przez pół godziny o niefortunnych przywódcach Niemiec na przestrzeni ostatnich 50 lat, ale nie zaliczali do nich Bismarcka, w którego działalności nikt tutaj nie dopatruje się najmniejszego błędu. Pozwoliłem sobie na stwierdzenie, że Niemcy nie rozumieją, na czym polega ich interes, szczególnie w polityce zagranicznej. Zgodzili się z tym; hitlerowcy też są uprzejmi.

24 lutego 1934. Sobota.

Nasz poseł w Austrii, Earle, który przed miesiącem opuścił swoje stanowisko, zjawił się o 12-ej i opowiedział mi o poglądach rządu i społeczeństwa amerykańskiego na temat Austrii i jej „rewolucji”.

Z rządów Roosevelta jest całkowicie zadowolony. Powiedział jednak, że Prezydent wygląda znacznie starszej niż pół roku temu. Trochę mnie to zmartwiło, ze względu na ludzi, którzy mogliby przyjść do władzy w razie śmierci lub obłożnej choroby Roosevelta.

Earle uważa, iż Dollfuss miał rację, że tak bezlitośnie rozprawił się z socjalistyczną rewoltą w Austrii w drugiej połowie lutego*. Ja natomiast uważam, że Dollfuss był krótkowzroczny i dał austriackim narodowym socjalistom dużą szansę zdobycia władzy w niedalekiej przyszłości.

26 lutego 1934. Poniedziałek.

Znowu przyjęcie! O 9-ej zasiedliśmy do stołu w Herrenklubie na Hermann-Göring-Strasse w charakterze gości wicekanclerza i pani von Papen. W gabinecie Hitlera reprezentuje on resztki partii centrowej, która grała poważną rolę w życiu politycznym od czasów Bismarcka do 1932 r. Von Papen jest katolikiem i jako specjalne zadanie poruczono mu zjednoczenie niemieckiej opinii publicznej w walce o odzyskanie Zagłębia Saary; tytułem sankcji za zniszczenie przez Niemców w czasie wojny francuskich kopalni Zagłębie to z mandatu Ligi Narodów od 1920 r. znajduje się pod administracją Francji. Von Papen usiłuje również pośredniczyć między Hitlerem a Papieżem w chwilach, gdy nowa Rzesza napotyka trudności w stosunkach z katolikami. Panuje o nim w Niemczech opinia, że to człowiek powierzchowny, chociaż potrafi intrygować.

Obecnych było ponad 50 osób. Moja żona siedziała po prawej stronie von Papena, a po obu stronach wielkiego podłużnego stołu pełno było hrabiów i hrabin, generałów i członków rządu. Oczywiście rozmowa nie mogła mieć charakteru ogólnego, były tylko rozmówki między każdym panem a siedzącymi po obu jego stronach paniami lub każdą panią a siedzącymi po obu jej stronach panami. Po ceremonialnym przejściu z jadalni do wielkiej sąsiedniej sali, należącej do Klubu Wojskowego, goście zabawiali się rozmową i oglądaniem starych płócien z epoki Hohenzollernów, przedstawiających różne sceny batalistyczne. Wszystkie obrazy miały coś wspólnego z wojskowością.

Jedynym człowiekiem, z którym rozmawiałem dość szczerze, był minister finansów, hrabia Lutz von Schwerin-Krosigk, stypendysta Fundacji Cecil Rhodesa w Oksfordzie przed wojną światową, żołnierz na froncie zachodnim przez cztery lata wojny, skromny urzędnik w Ministerstwie Finansów po traktacie wersalskim, a teraz, jak słyszałem, jeden z najmądrzejszych ludzi w gabinecie Hitlera. Było widać ze wszystkiego, co mi mówił, choć nie wy-

* Na początku 1934 r. rząd austriacki rozpoczął gwałtowną kampanię przeciw partii socjaldemokratycznej w Austrii. Gdy wysunięto żądania rozwiązania partii i rozbrojenia jej Milicji Ludowej (Schubzbundu), socjaldemokraci ogłosili strajk generalny 12 lutego 1934 r. Rząd użył wobec strajkujących wojska, co doprowadziło do kilkudniowych krwawych walk a następnie represji.

mienił przy tym osobiście Hitlera, że nie ma absolutnie zaufania do obecnego kursu politycznego w Niemczech. Studiował historię i jest uważnym obserwatorem bieżących wydarzeń politycznych. Jest pierwszym wybitnym Niemcem, który zgodził się ze mną, że Bismarckowi nie udało się jedno z wielkich jego przedsięwzięć; ściągnął na siebie zupełnie niepotrzebnie gniew wybitnych i przyzwoitych ludzi i w końcowej fazie swej politycznej działalności był wyjątkowo nie lubiany w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Hrabia przyznał także, iż Kaiser popełnił straszny błąd w 1914 r., kiedy to uległ kołom wojskowym i finansowo-przemysłowym i dał się wciągnąć do wojny. Żaden z wybitnych niemieckich polityków nie powiedział mi jeszcze takich rzeczy, choć kilku czyniło na ten temat pewne aluzje. Wyszliśmy o 11-ej, naszej zwykłej porze; po powrocie do domu przez pewien czas pisałem swój dziennik.

28 lutego 1934. Środa.

Pracowity dzień. Miałem dłuższą rozmowę z dr Ritterem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych na temat komisji, którą projektuje się wysłać do Waszyngtonu dla omówienia z naszym rządem sprawy nowego traktatu handlowego; jego celem ma być zwiększenie wymiany handlowej między obu państwami. Ponieważ tą drogą, podobnie jak za pomocą klauzuli największego uprzywilejowania, osiąga się obniżenie barier celnych, odniosłem się do tego projektu ze zrozumiałą życzliwością. Na czele komisji ma stanąć wiceminister gospodarki dr Posse.

O 5-ej pojechałem na herbatkę do ministra propagandy Goebbelsa. Przybył też Nuncjusz i ambasador Wielkiej Brytanii oraz inni członkowie korpusu dyplomatycznego. W pewnej chwili Goebbels wstał i odczytał dość pojednawcze przemówienie do dyplomatów i zagranicznych dziennikarzy. Widać było, że usiłuje zastosować się do rady udzielonej mu przed miesiącem przez Ivy Lee, o czym Lee tak szczegółowo mi wówczas opowiadała. Odpowiedział mu inteligentnie i żartobliwie Louis Lochner, wyrażając nadzieję, że odtąd co tydzień będą się odbywały konferencje prasowe i że będzie na nich panowała szczerza atmosfera. W tym momencie spojrzałem na Goebbelsa, który w odpowiedzi uśmiechnął się znacząco. Nie było jednak potem żadnych pytań ani odpowiedzi, jak to normalnie bywa w Anglii i Ameryce.

2 marca 1934. Piątek.

Byliśmy dziś wieczorem na nieoficjalnym obiedzie u sir Eryka Phippsa. Za dużo było gości, żeby móc otwarcie rozmawiać, chyba że, jak ja to lubię, w jakimś kąciku. Dowiedziałem się, że Anthony Eden, Lord Tajnej Pieczęci, spotkał się w Paryżu z odmową, a może po prostu zbyt go grzecznymi słówkami*. Mówi się, że we Francji społeczeństwo jest nastawione bardzo pacyfistycznie, natomiast koła rządowe i wojskowe uważają, że „wojna prewencyjna” z Niemcami powinna się zacząć już na wiosnę tego roku. Twierdzą, że trzeba uderzyć na Niemcy i zająć Nadrenię zanim będzie za późno.

* Anthony Eden odwiedził w okresie od 17 lutego do 1 marca 1934 r. Paryż, Berlin, Rzym i ponownie Paryż. Rozmowy, jakie przeprowadzał, dotyczyły zagadnień związanych z planem rozbrojenia.

3 marca 1934. Sobota.

O 4-ej miałem szczerą rozmowę z François-Poncetem. Zdradzał duże zainteresowanie a nawet niepokój z powodu stanowiska zajętego przez jego rząd w rozmowach z Edenem. Nie ujawnił jednak przy tym swego własnego stanowiska, na co do pewnego stopnia liczyłem i wyszedłem od niego lekko rozczarowany. Gdyby Francuzi zgodzili się na brytyjski projekt częściowego rozbrojenia i jego kontroli, Niemcy zostaliby zepchnięci do defensywy i z biegiem czasu kontynuowanie zbrojeń stałoby się dla nich niemożliwe; obecnie zbroją się z powodu stanowiska zajmowanego w tej sprawie od 1920 r. przez Francję. François-Poncet obiecał się ze mną skomunikować, gdyby przed moim wyjazdem do Waszyngtonu w polityce jego rządu nastąpiła jakaś zmiana.

4 marca 1934. Niedziela.

Dzisiaj jest pierwsza rocznica objęcia urzędowania przez prezydenta Roosevelta. Doszedł do władzy w chwili, gdy w stosunkach społeczno-gospodarczych tak zwanego zachodniego świata następują drastyczne przemiany. Był to moment historyczny równie decydujący, jak wybuch amerykańskiej rewolucji z 1774 r. Idea indywidualizmu narzucana odgórnie społeczeństwu Anglii i Ameryki w latach 1774—1846, a później przyjęta przez Francuzów, została wszędzie nadużyta i zawiodła pokładane w niej nadzieje; w tych warunkach współczesne społeczeństwo musi podporządkować sobie za pośrednictwem rządu jednostkową i zespołową ekspansję gospodarczą i przez sprawowanie nad nią odpowiedniej kontroli doprowadzić do tego, że kiedyś znowu o wszystkim, z wyjątkiem religii, będzie decydowała zasada jednostkowej niezależności, równości i inicjatywy, jak tego chcieli Sam Adams i Thomas Jefferson. Roosevelt to rozumie, pomimo że wykształcenie, jakie otrzymał w Groton i Harvard, było niekompletne a nawet wadliwe, i że obciążał go fakt, iż pochodził z bogatej rodziny. Zadanie, które musi wykonać, jest równie trudne co zadanie Jeffersona, który starał się znieść niewolnictwo.

Roosevelt rozpoczął całą serię eksperymentów, które już teraz zwiększyły zadłużenie skarbu państwa o kilka miliardów dolarów; niektóre z nich okazały się w swych skutkach szkodliwe. Ale w przeciwieństwie do innych prezydentów przyznaje się do popełnionych błędów i zmienia swoją politykę, żeby tylko osiągnąć swój cel, którym jest generalna reorganizacja stosunków społecznych i klasowych. Jeżeli mu się to uda, ideały Adamsa i Jeffersona zostaną urzeczywistnione w społeczeństwie, w którym nie będą już więcej rządzili ani właściciele niewolników, ani kierownicy wielkiego businessu. Będzie to jednak wymagało modyfikacji stosowanych przez niego metod i nieustannej czujności przez całe dziesięciolecie.

W wypadku gdyby Rooseveltowi się nie powiodło lub miał umrzeć, zanim społeczeństwo pogodzi się z większością dokonanych przez niego reform, w Stanach Zjednoczonych dojdzie do dyktatury, a skutki jej będą dla tego kraju opłakane. Osobiście liczę na to, że Roosevelt dotrzyma do 1941 r., do tego czasu będzie mógł wskazać swego następcę, a jego reformy przejdą dłuższy okres próby, udowadniając w ten sposób wielkim przedsiębiorcom amerykańskim i europejskim autokratom, że rządzenie krajem za pomocą metod demokratycznych możliwe jest również w świecie maszyn i wynalazków.

III. OD 5 MARCA DO 8 LIPCA 1934 ROKU

5 marca 1934. Poniedziałek.

Krótką wizyta u posła holenderskiego przekonała mnie, że stanowisko Japonii wobec Władystostoku jest mniej agresywne, niż to się dotychczas wydawało. Poseł jest w ścisłym kontakcie z Dalekim Wschodem i Londynem i śledzi posunięcia Stanów Zjednoczonych jak mało kto z tutejszych dyplomatów.

O 6.30 udałem się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, dokąd mnie wezwano. Neurath kazał mi czekać dziesięć minut, co zwróciło moją uwagę, gdyż przypomniało mi perypetie z października ubiegłego roku. Poczulem się urażony. Gdy wszedłem do ministerialnego gabinetu, w którym kiedyś urzędował Bismarck, Neurath był jeszcze zajęty przeglądaniem jakiegoś dokumentu; trzymał go w ręku, gdy się ze mną witał. Zdradzał lekkie zdenerwowanie i przeczytał mi od razu fragment telegramu, otrzymanego od niemieckiego ambasadora w Waszyngtonie. Telegram donosił, że w Nowym Jorku ma się odbyć symboliczny sąd nad Hitlerem. Prezydent miasta Fiorello La Guardia, Alfred E. Smith, sędzia Samuel Seabury i były amerykański sekretarz stanu Bainbridge Colby, mają sędzić niemieckiego Kanclerza za to, że cofną Niemcy do epoki średniowiecza, uciekając się do barbarzyńskich metod postępowania. Organizujący tę demonstrację Żydzi z Nowego Jorku, związki zawodowe i Legion Amerykański, zaprosili ambasadora Hansa Luthera, żeby bronił swego szefa lub przysłał adwokata, który by reprezentował jego lub Hitlera!

Von Neurath był wyraźnie zakłopotany. Nieraz mu już mówiłem, że o ile polityka Hitlera w sprawie Żydów nie ulegnie zmianie, wynikną z tego dalsze przykrości. Udawał wówczas, że się ze mną zgadza. Teraz zwrócił się do mnie z prośbą, żebym zadepeszerował do Waszyngtonu. Wyraził nadzieję, że Prezydent lub minister Hull będą interweniować i nie dopuszczą do odbycia tego sądu. Wyjaśniłem mu, że byłoby to możliwe tylko w drodze złamania podstawowych zasad amerykańskiego prawa, że nikt w Stanach Zjednoczonych nie może zakazać prywatnego lub publicznego zebrania (co prawda, w czasie wojny światowej władze miejskie i stanowe zabraniały odbywania zebrań socjalistom i pacyfistom), nie naruszając przy tym konstytucji i ustaw stanowych.

Przyznał, że wie o tym, ale mimo to ma nadzieję, iż będę w stanie coś uczynić, żeby wpłynąć na mieszkańców Nowego Jorku. Odpowiedziałem, że gdyby Luther wysłał swój telegram, zanim projekt odbycia sądu został podany do wiadomości publicznej, Roosevelt mógłby ewentualnie odradzić organizatorom dokonania tej demonstracji powołując się na to, że zaszkodziłaby ona stosunkom pomiędzy obu państwami. Oczywiście Luther nie był w stanie wiedzieć zawczasu o tego rodzaju przedsięwzięciu. Zastanawialiśmy się

jeszcze przez parą minut, jak wybrnąć z tej nieprzyjemnej sytuacji, po czym von Neurath wręczył mi memorandum, które przeglądał w chwili gdy wchodziłem do gabinetu. Wróciłem do ambasady i przekazałem otrzymany dokument sekretarzowi do spraw politycznych Orme Wilsonowi, żeby zrobił z niego wyciąg, który rozpatrzę jutro rano.

O 9.30 pojechałem z żoną i dziećmi do hotelu „Kaiserhof”, żeby zobaczyć jak von Papen ma zamiar spędzić swój „Bierabend”. Przyszło mnóstwo ludzi, w tym wielu dyplomatów. Wieczór był manifestacją na rzecz powrotu do Niemiec Zagłębia Saary. Wyświetlano filmy dokumentalne, częstowano obficie winem pochodzącym z tego terytorium i wygłaszano różne pogadanki. Pojechaliśmy do domu o 11.30 z przeświadczeniem, że wydane na tę imprezę pieniądze, chyba z 1000 dolarów, zostały zmarnowane. Była to tak grubymi nićmi szyta propaganda, że nawet Niemcy przyznawali, że się mija z celem. Jeszcze jeden stracony wieczór!

6 marca 1934. Wtorek.

Na prośbę dr. Rittera pojechałem do niego, żeby po raz drugi omówić sprawę ewentualnego wysłania do Waszyngtonu niemieckiej komisji, która by tam przedyskutowała plan Schachta oraz inne projekty mające na celu zwiększenie niemieckiego eksportu. Podobnie jak Schacht, Ritter jest tą sprawą bardzo zainteresowany. Staralem się go przekonać, iż w skład tej komisji powinni wejść najwybitniejsi niemieccy ekonomiści i że ludzie ci powinni być z góry przygotowani na to, że dla uzyskania pozytywnego rezultatu swojej misji, będą musieli poczynić konkretne ustępstwa. Wiem, że głównym czynnikiem utrudniającym handel zagraniczny jest uprawiana przez Stany Zjednoczone od 12 lat polityka protekcjonizmu, ale pokładam nadzieję w plan Schachta i obiecuję poprzeć go z całych sił.

Wspomniałem następnie o nieprzyjemnej historii, która była przedmiotem mojej wczorajszej rozmowy z von Neurathem i dałem Ritterowi do przeczytania głupią hitlerowską broszurę propagandową wydaną jakieś dziesięć dni temu na użytek zagranicy. Była to nowa wersja starej cesarskiej doktryny z 1913 r. głoszącej, że wszystkich Niemców żyjących za granicą obowiązuje podwójna lojalność. Zwróciłem mu uwagę, że tego rodzaju rzeczy przynoszą szkodę Niemcom, nie zaś państwom, w których żyją niemieccy emigranci. Zgodził się z tym, ale wyjaśnił, że w obecnym ustroju Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie ma możliwości decydowania o tego rodzaju sprawach. To samo powiedział mi wczoraj von Neurath. Żał mi tych trzeźwiej myślących Niemców, którzy zupełnie dobrze orientują się w problemach międzynarodowych i chcieliby pracować dla dobra swego kraju, a muszą się słuchać takich ignorantów i autokratów jak Hitler, Göring i Goebbels.

7 marca 1934. Środa.

O godzinie 1 przybyłem na umówione spotkanie z kanclerzem Hitlerem. Zorganizował je Hanfstaengl i nikt nic o tym nie miał wiedzieć.

Gdy wszedłem do gabinetu Kanclerza, powitał mnie von Neurath, po czym wyszedł do sąsiedniego pokoju. Był wyraźnie podenerwowany sytuacją, gdyż normalnie zawsze towarzyszy cudzoziemcom, którzy składają wizyty Prezydentowi lub Kanclerzowi.

Hitler był serdeczny. Usiedliśmy przy stole, ja tyłem do pokoju, w którym znajdował się przypuszczalnie von Neurath. O ile w ścianie nie było ukrytego jakiegoś elektrycznego urządzenia, nikt nie mógł słyszeć tej rozmowy.

Prawie przez godzinę omawialiśmy różne problemy występujące w stosunkach niemiecko-amerykańskich. Zapytałem Hitlera, czy nie chciałby, żebym zakomunikował coś w jego imieniu Prezydentowi po moim przyjeździe do Waszyngtonu. Moje pytanie trochę go zaskoczyło, popatrzył na mnie przez chwilę i powiedział: „Pozwoli pan, że się nad tym zastanowię i poproszę pana do siebie jeszcze raz”.

Zgodnie z zaleceniem ministra Hulla, poruszyłem następnie sprawę agresywnej i szkodliwej propagandy; powiedziałem, że prowadzona przez Niemców w 1915—1916 r. nierozsądna akcja propagandowa w dużym stopniu przyczyniła się do przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny. Zrobił zdumioną minę i zapytał o szczegóły. Nie podałem mu nazwisk, gdyż dwaj najwięksi winowajcy są obecnie dygnitarzami w rządzie Hitlera: von Papen, jako wicepremier, i dr Führ w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wspomniałem następnie o broszurach wzywających Niemców w Stanach Zjednoczonych i innych krajach, żeby pamiętali o tym, iż są i muszą na zawsze pozostać Niemcami, a więc głoszących niemal to samo co dekret z 1913 r., który w stosunku do Niemców mieszkających za granicą, wprowadził zasadę podwójnej lojalności. Wyraźnie poruszony zawołał: „Ach, wszystko to są żydowskie łgarstwa; gdy tylko się dowiem, kto to robi, wydalę go natychmiast z kraju”.

Opisałem mu następnie nastawienie Żydów w Nowym Jorku, gdzie ma się odbyć ten niby sąd, ale o samym sądzie nie wspomniałem. Co chwilę mi przerywał, wykrzykując na przykład: „Niech diabli wezmą tych Żydów!” i kategorycznie oświadczył, że jeżeli agitacja za granicą nie ustanie, wykończy wszystkich Żydów w Niemczech. Powiedział, że uratował Niemcy od komunizmu i że 59 procent urzędników w Rosji to Żydzi. Kwestionując w duchu ścisłość tej cyfry, zauważyłem, że „komunizm przestał być groźny”. Potrząsnął głową. Dodałem, że w 1932 r. komuniści zdobyli w Stanach Zjednoczonych bardzo niewiele głosów. Zawołał: „Szczęśliwy kraj. Pod tym względem pański naród jest chyba bardzo rozsądny”.

Na zakończenie poruszyłem sprawę uniwersytetów i ich autonomii. Podkreśliłem z naciskiem, że wiele spornych problemów moglibyśmy rozwiązać w drodze kontaktów między uniwersytetami i swobodnej dyskusji o sprawach międzynarodowych. Zgodził się z tym i kończąc naszą rozmowę podkreślił doniosłość planu Roosevelta w sprawie rozwoju handlu zagranicznego.

Po wyjściu z gabinetu Kanclerza spotkałem ministra oświaty dr. Rusta, który wydał ostatnio szereg drastycznych zarządzeń wymierzonych przeciwko wolności życia akademickiego*. W czasie parominutowej rozmowy podkreśliłem znaczenie wolności życia intelektualnego, jako ważnego czynnika w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi i Niemcami. Odniosłem wrażenie, że chyba nigdy jeszcze poważnie o tym nie pomyślał.

O 8.30 wydaliśmy nasze drugie przyjęcie dla świata dyplomatycznego. Obecne były 22 osoby, w tym ambasador Hiszpanii i minister finansów von Schwerin-Krosigk. Wieczór się udał, choć nie było wiele okazji do zawarcia bliższych znajomości. Bardzo lubię Hiszpana, ale rozmawiałem z nim tylko przez parę minut. Towarzystwo rozeszło się około 11.30.

* Dnia 7 lutego 1934 r. rząd hitlerowski ogłosił nowy Statut Studenta (Studentische Verfassung). Studiująca młodzież była już objęta organizacją studencką (Deutsche Studentenschaft) stworzoną 12 kwietnia 1934 r., zorganizowaną na zasadach wodzostwa.

Pisząc mój dziennik dziś wieczorem, po wizycie u Hitlera, dołączam do niego notatkę zawierającą ogólną charakterystykę trzech głównych przywódców narodowego socjalizmu.

Władza w hitlerowskim ustroju spoczywa w rękach trzech raczej niedoświadczonych i bardzo dogmatycznie myślących ludzi; wszyscy trzej w większym lub mniejszym stopniu związani są z jakimiś krwawymi przedsięwzięciami w okresie ostatnich 8—10 lat. Stanowią zespół ludzi reprezentujących trzy różne ugrupowania, które mają obecnie większość w parlamencie, ale nie jest to reprezentacja prawdziwej większości narodu niemieckiego.

Hitler ma obecnie 45 lat. Został sierotą, gdy miał lat 13, przeżył wojnę światową bez awansów i tak uwielbianych w Niemczech odznaczeń, miał b. interesujące przeżycia w Monachium w latach 1919—1923. Ma marzycielskie usposobienie i jest słabo zorientowany w historii Niemiec. Przez szereg lat był wiernym naśladowcą Mussoliniego. Doszedł do władzy dzięki temu, że stworzył organizację z bezrobotnych, których oburzał fakt, że Niemcy nie wygrały wojny. Używane przez niego emblematy, swastyka i wzniesiona do góry ręka, znane już były w starożytnym Rzymie.

Wielokrotnie oświadczał bez obsłonek, że żaden naród nie utrzyma się przy życiu, jeżeli nie będzie walczył, i musi umrzeć, jeżeli będzie prowadził politykę pokojową. Wciąż rozbudza w niemieckim narodzie ducha agresji. W ciągu ostatnich 6—8 miesięcy wielokrotnie oznajmiał, że ma pokojowe zamiary. Myślę, że jest absolutnie szczery i naprawdę chce porozumieć się z Francją, ale wyłącznie na podyktowanych przez siebie warunkach. W głębi jego duszy drzemie stara niemiecka koncepcja podboju Europy za pomocą oręża.

Prawą ręką Hitlera jest Joseph Paul Goebbels, jakieś 10 lat od niego młodszy, człowiek niskiego bardzo wzrostu; w wojnie nie brał udziału, ale w czasie jej długiego trwania powziął głęboką urazę do Francji i reszty świata. Po wojnie zajął się organizowaniem gangsterskich bojówek w zachodnich Niemczech i przy każdej okazji prowokował władze socjaldemokratyczne, które podporządkowały się postanowieniom traktatu wersalskiego. Przyłączył się do Hitlera i stale głośno twierdził, że gdy naród niemiecki zostanie zjednoczony, opanuje cały świat. Hitler, jak na Niemca, jest niezłym mówcą, ale Goebbels to mistrz nad mistrze. Robi, co może, żeby przy każdej okazji podsycać u Niemców uczucia wrogości i nienawiści; z prasy, radia i działalności wydawniczej i artystycznej uczynił jedną wielką maszynę propagandową. Za jej pomocą zdecydowanie zmierza do przekształcenia całego narodu niemieckiego w jedną zwartą narodowosocjalistyczną falangę. Jest dużo inteligentniejszy od Hitlera i znacznie agresywniejszy; nie lubi, jak słyszałem, zadawać się z cudzoziemcami.

Trzecim członkiem tego triumwiratu jest Hermann Göring, który ma około 40 lat i pochodzi z południowych Niemiec. Podobnie jak Goebbels*, wziął udział w puczu monachijskim z 1923 r. i przez parę miesięcy ukrywał się przed władzami, podczas gdy Hitler siedział w więzieniu w Landsberg. Zwalczał zażarcie wszelkiego rodzaju partie demokratyczne i socjalistyczne. Gdy rząd republikański ułaskawił Hitlera i Göringa, obaj odwdzięczyli się mu za ten przyjazny akt, powracając do organizowania gangsterskich akcji.

Goebbels posługuje się wprawdzie terminologią zbliżoną do socjalistycznej, ale wezwał swoje „oddziały szturmowe” do walki z legalną partią komunistyczną. Göring reprezentuje raczej germanizm w stylu arystokratyczno-pruskim. Cieszy się zdecydowanym poparciem wielkich przedsiębiorstw. Do-

* J. Goebbels nie brał udziału w puczu 1923 r. Wstąpił do partii dopiero w 1924 r.

kazywał cudów jako lotnik w czasie wojny i zrobił się tak samo wojowniczy jak Goebbels i Hitler. Jest premierem Prus i przeciągnął starych pruskich ekstremistów (łącznie z Czarną Reichswehrą) i militarystów na stronę obecnego reżymu.

Niezwykły to triumwirat! Hitler, mniej wykształcony, bardziej romantyczny, z na wpół kryminalną przeszłością; Goebbels i Göring, dwaj doktorzy filozofii, pałający nienawiścią do przeciwników klasowych i cudzoziemców, chętnie posługujący się najbardziej okrutnymi metodami. Ci ludzie się nie kochają, ale żeby utrzymać się przy władzy, muszą jechać razem na jednym wozie. Nie sędzę, żeby w historii nowożytnej działał już kiedyś taki niezwykły zespół. Było coś takiego w starożytnym Rzymie.

10 marca 1934. Sobota.

Miał przyjść do nas na obiad syn Johna Bigelowa, Pultney Bigelow, nieprzeciętny człowiek, przyjaciel Kaisera, z którym spędził ostatnio trzy dni w Doom. Zaprosiliśmy więc również wnuka Kaisera, Ludwika Ferdynanda, który przez dwa czy trzy lata pracował u Henry Forda w Detroit i jest na ogół uważany za poważnego kandydata do niemieckiego tronu. Wśród gości znalazł się także konsul generalny Messersmith; otrzymał właśnie nominację na posła w Urugwaju i bardzo się z tego cieszy. Ponieważ we wtorek Neurath wyglądał trochę na strapionego, więc zaprosiliśmy również jego; był naszym gościem honorowym. Dawno nie mieliśmy już przy stole tak szczerzej i ciekawej rozmowy. Neurath i Bigelow wielokrotnie wymieniali uściski. Książę był interesujący, ale zachowywał się z rezerwą.

12 marca 1934. Poniedziałek.

Dzień dzisiejszy upłynął mi na likwidowaniu różnych spraw urzędowych w kancelarii ambasady i rozmowach z paroma interesantami. Najciekawszy z nich był Stephen P. Duggan z Międzynarodowego Instytutu Oświaty w Nowym Jorku. Był 10 dni w Genewie i dwa tygodnie w Paryżu. Sytuacja międzynarodowa bardzo go niepokoi; za obecny kryzys wini głównie Hitlera, w niniejszym stopniu Mussoliniego.

Gdy poszedłem na górę spać, zastałem tam kamerdynera Fritza, pakującego moje walizki. Bardzo tego nie lubię; moim zdaniem każdy mężczyzna powinien sam pakować swoje rzeczy.

15 marca 1934. Czwartek.

Cała rodzina pojechała ze mną do Hamburga, żeby mnie odprowadzić na statek odpływający do Waszyngtonu. Przeczuwałem, że towarzystwo okrętowe nie będzie chciało wyprawić nas w drogę trzynastego (dla Wilsona był to dzień szczęśliwy) i faktycznie, żeby nie wywoływać wilka z lasu, wypłynęliśmy dopiero czternastego. Poszedłem spać nastrojony optymistycznie, ale coś mi się wydawało, że należało wyruszyć w piątek; żałowałem również, że zapomniałem ubezpieczyć się od nieszczęśliwego wypadku.

22 marca 1934. Czwartek.

Na pokładzie naszego okrętu płynie jeden z konsulów amerykańskich w Niemczech, bardzo wartościowy człowiek, który chciałby jak najprędzej wyjechać z Niemiec; prosił mnie, żebym będąc w Waszyngtonie, dopomógł mu w jego staraniach o przeniesienie. Zasługuje na awans; w Niemczech będąc Żydem czuje się nieszczęśliwy. Jego sytuacja jest na pewno ciężka, przekonany jest poza tym, że o awansach i przeniesieniach służbowych decyduje w Departamencie Stanu protekcja.

Podobnie przedstawia się sprawa innego amerykańskiego konsula, z Czechosłowacji, który również płynie na urlop do kraju. Im bardziej zagłębiam się w tajniki urzędowania Departamentu Stanu, tym bardziej nabieram przekonania, że jakaś klika ludzi skoligowanych z bogatymi rodzinami amerykańskimi zawzięła się, żeby wykorzystywać służbę zagraniczną dla swoich prywatnych celów; jest wśród nich wielu takich absolwentów Harvardu, którym brak wprost podstawowych wiadomości z zakresu tej służby. Decydującym czynnikiem jest tu snobizm i chęć zaspokojenia wygórowanych ambicji.

23 marca 1934. Piątek.

Gdy okręt zatrzymał się dla odbycia kwarantanny, zjawił się u mnie dr Karl Werkmeister, p.o. kierownika niemieckiego konsulatu generalnego w Nowym Jorku, i doręczył mi list od kanclerza Hitlera do prezydenta Roosevelta. Była to tylko formalna wizyta, mająca na celu załatwienie sprawy poruszonej przeze mnie w rozmowie z Hitlerem w dniu 7 marca.

23 marca 1934. Piątek.

Gdy „Manhattan” przybił do nadbrzeża, czekała na mnie elegancka limuzyna pułkownika House'a, a w niej jego przyjaciel, który unikając rozgłosu miał zawieźć mnie do jego domu. Miałem szczęście, bo taksówkarze właśnie zastrajkowali, a w hotelu do chwili odjazdu mego pociągu do Waszyngtonu zameczaliby mnie dziennikarze. Pułkownik udzielił mi cennych informacji o niesympatycznych urzędnikach Departamentu Stanu, z którymi będę miał do czynienia.

24 marca 1934. Sobota.

Pojechałem o 11-tej na rozmowę z ministrem Hullem. Byłem u niego trzy kwadranse; dokonaliśmy przeglądu sytuacji w Niemczech. Był trochę w kłopotcie, co Prezydent ma napisać w odpowiedzi na poufne pismo Hitlera — ta sprawa może nabrać rozgłosu. Powtórzył mi swoją ostatnią rozmowę z niemieckim ambasadorem Lutherem; ambasador nie panował nad sobą i robił wrażenie kompletnie nawróconego na hitleryzm, o czym w lecie ubiegłego roku nie było jeszcze mowy. Hullowi wydaje się, że Luther nie jest w stanie po prostu zrozumieć, czym w pojęciu amerykańskim jest wolność prasy,

słowa i religii. Chociaż wątpię, czy w moim kraju istnieje prawdziwa wolność prasy i słowa, absolutne zlikwidowanie tej wolności w Niemczech pozwala zrozumieć zachowanie się Luthera: jeżeli nie będzie hitlerowcem, zostanie odwołany.

30 marca 1934. Piątek.

Od tygodnia urzęduję w Departamencie Stanu. W niedzielę 25 marca byłem na obiedzie u Daniela Ropera, na którym byli również członkowie jego rodziny. W poniedziałek w dalszym ciągu prowadziłem rozmowy w Departamencie Stanu; wśród urzędników, którym złożyłem wizytę, byli Walton Moore i Wilbur J. Carr z wydziału personalnego. We wtorek, po pracowitym dniu, byłem na obiedzie u państwa Jouett Shouse; gośćmi byli Desha Breckinridge i Lowell Hellet z koncernu prasowego Scripps-Howarda. Rozmowa była szczerą i bezpośrednią.

Po południu odbyłem konferencję z pracownikami działu kadr w Departamencie Stanu; obecni byli Moore, Carr, Sumner Welles (niezbyt chlubnie zapisany w kronikach kubańskich), Hugh Wilson i paru innych. Oświadczyłem, że dyplomacja amerykańska musi zmienić styl pracy. Minęły czasy Ludwika XIV i królowej Wiktorii. Narody świata zbankrutowały, nasz również. Czas skończyć z wielkopańskimi zabawami. Opisałem im przepych wieczorowych przyjęć w berlińskich ambasadach Belgii, Włoch i Francji. Trochę ich to ubawiło.

Opowiedziałem o urzędniku ambasady amerykańskiej, który mając w rodzinie tylko dwie osoby, sprowadził z kraju meble, których starczyłoby na umeblowanie mieszkania o 20 pokojach; transport tych mebli kosztował 3000 dol. Jeden z moich zastępców miał szofera, szwajcara, kamerdynera, służącego, dwie kucharki i dwie służące. To wszystko dla dwóch osób! Koszty tego poniosły wprawdzie osoby zainteresowane, ale 3000 dolarów za transport zapłacił rząd, a potem okazało się, że dana osoba nie miała dostatecznych kwalifikacji, żeby spełniać swoje odpowiedzialne funkcje. Starłem się przekonać moje audytorium, że urzędnicy służby zagranicznej nie powinni mieć prawa wydawania więcej pieniędzy, niż wynoszą ich pobory, tj. od 4 do 17,5 tysięcy dolarów rocznie. Podkreśliłem z naciskiem, że ambasadorzy i najbliżsi ich współpracownicy powinni znać historię i obyczaje krajów, do których ich się wysyła, że powinni więcej myśleć o interesach reprezentowanego przez siebie państwa, niż o pokazywaniu się coraz to w innym stroju i przesiadywaniu do pierwszej w nocy na idiotycznych choć wesołych przyjęciach. Sumner Welles lekko się skrzywił: jego waszyngtońska rezydencja jest mniej więcej wielkości Białego Domu, a pod pewnymi względami nawet go przewyższa.

Dużo na ten temat mówili i byli trochę zakłopotani, ale wszyscy przyznawali, iż nadszedł czas, żeby wprowadzić nowy styl pracy. Choć przez dwie godziny udawali, że się ze mną zgadzają, ja się na to nabrać nie dałem.

W czwartek jadłem lunch w Bibliotece Kongresu. Dyrektor biblioteki Herbert Putnam był w doskonałym humorze. Pracowałem już ze dwie godziny w czytelnicy, gdy zatelefonował do mnie z Nowego Jorku James McDonald: wyjeżdża znowu do Europy, żeby raz jeszcze spróbować, czy nie da się jakoś rozwiązać problemu niemieckich Żydów.

Pojechałem dzisiaj samochodem na moją farmę koło Round Hill. Później pojechałem trzy mile na południe, drogą gliniastą, ale posypaną piaskiem, że-

by poprosić Masona Peytona o pomoc przy oczyszczaniu zapchanych rur wodociągowych. Gdy wracałem, jadąc inną, niedawno zreperowaną drogą, ugrzęzłem w glinie i mój samochód nie chciał jechać ani do przodu, ani do tyłu. Powoli zapadał zmrok. Gdy tak siedziałem i zastanawiałem się co zrobić (łańcuchów nie miałem), zobaczyłem idącego drogą barczystego robotnika. Udzielił mi chętnie pomocy; znalazł gdzieś w pobliżu kilka szerokich desek i podłożył je pod koła. Ale samochód nie chciał ruszyć z miejsca. Po paru minutach zjawił się drugi farmer. Obaj ochoczo mi pomagali. Po kwadransie babrania się w błocie udało się nam wyciągnąć wóz na równą drogę. Żaden z nich nie chciał przyjąć zapłaty za swoją pracę. Zupełnie inaczej niż w Europie.

19 kwietnia 1934. Czwartek.

W Chicago na lunchu z Leo Wormserem i Maxem Epsteinem rozmawialiśmy o sytuacji Żydów w Niemczech. Opowiedzieli mi, jak udało im się razem z kolegami uspokoić swoich pobratymców i zapobiec planowanym w Chicago burzliwym manifestacjom. James Gerard nie przemawiał. Ale oburzenie Żydów w Chicago trwa i nie mają oni najmniejszej ochoty ograniczać bojkotu niemieckich towarów. Powiedziałem Wormserowi i Epsteinowi, że miesiąc temu kanclerz Niemiec kazał zamknąć najgorsze z więzień w Berlinie, tak zwany Columbia Haus i przywrócił obowiązek uzasadnienia każdego nakazu aresztowania. Powiedziałem im również, jak sobie wyobrażam dalszy rozwój sytuacji.

20 kwietnia 1934. Piątek.

Dzisiaj wieczorem w bibliotece Uniwersytetu Chicago odbyło się zebranie poświęcone dyskusji nad zebranymi przez Bartona materiałami dotyczącymi życia Lincolna. Krótkie przemówienia na ten temat, oprócz mnie, wygłosili Carl Sandburg, autor najwierniejszego życiorysu Abrahama Lincolna, i Lloyd Lewis, autor popularnej biografii gen. Williama T. Shermana. Na zebraniu miał być obecny gubernator stanu Illinois, Henry Homer, ale tylko ja wiedziałem, że nie przyjdzie. W 1933 r. niejednokrotnie czyniłem mu wymówki, że nie korzysta ze swojej gubernatorskiej władzy, aby uwolnić Chicago od gangsterskiego zarządu miejskiego. Mając to w pamięci, wiedziałem, że gubernator nie będzie miał osobiście nic przeciwko temu, abyśmy z Sandburgiem byli jedynymi organizatorami zebrania.

Audytorium było liczne i wzięło żywy udział w dyskusji. Tak szczerych wypowiedzi w Chicago na temat Lincolna jeszcze nigdy nie słyszałem. Mówiono o nim jak o wielkim człowieku na wysokim stanowisku, który nieraz nie zdawał sobie sprawy z knutych za jego plecami intryg. Wszyscy obecni przyznawali Lincolnowi bez zastrzeżeń zasługę osiągnięcia wielkiego celu, o którym marzył i dla którego pracował Jefferson: zjednoczenia stanów demokratycznych. Wszyscy obecni poruszali jednak kwestię, czy słuszne były pewne przełomowe decyzje Lincolna, jak wybranie w 1861 r. wojny zamiast kompromisu i przyznanie rozstrzygającego głosu w sprawach gospodarczych przemysłowcom i finansistom (rzecz może nie do uniknięcia z chwilą wybuchu wojny). Nawet w tym zakresie postępowanie Lincolna spotkało się z powszechnym zrozumieniem.

21 kwietnia 1934. Sobota.

Wstałem późno, zjadłem lunch z pracownikami uniwersytetu i wróciłem na czas, żeby wygłosić przemówienie do profesorów i studentów wydziału nauk społecznych. Wygłoszenie tego przemówienia było głównym celem mojej wizyty na uniwersytecie. Przez godzinę analizowałem sytuację w dziedzinie nauk społecznych: historii, ekonomii, socjologii. Oto najważniejsze tezy, jakie wysunąłem: wszyscy specjaliści w tych dziedzinach powinni mieć wykształcenie historyczne, historia musi stać się prawdziwą specjalnością i filozoficzną bazą innych nauk; wszyscy kandydaci do stopnia doktorskiego powinni znać dwa obce języki, również potraktowane jako nauki specjalistyczne; wydziały powinny posiadać autonomię i prawo uczestniczenia w ogólnym zarządzie uniwersytetu. Obecnych było około 400 osób; głosów opozycyjnych chyba nie było. Wśród starszych profesorów i absolwentów panuje jednomyślność poglądów i pewne zdenerwowanie wywołane, jak sądzę, zachowaniem się Hutchinsa, który ostatnio wtrącał się do wewnętrznych spraw wydziału, naruszając tradycyjnie przysługującą mu autonomię. Gorące poparcie wyrazili mi prof. A. C. McLaughlin, Schmitt i wszyscy moi dawni znajomi, a nawet oponenti. Rektora Hutchinsa, podobnie jak wczoraj wieczorem, na sali nie było.

23 kwietnia 1934. Poniedziałek.

Poszedłem dziś pieszo na lunch do pani Kellogg Fairbank, na North State Street, gdzie poczęstowano mnie przepisowym cocktailem; każdy wytworny człowiek w Stanach Zjednoczonych musi go wypić, jeżeli nie chce być uznany za staromodnego. Po odprawieniu ceremonii cocktailowych, które pewnym gościom wydawały się sprawiać naprawdę wielką przyjemność, zasiedliśmy do wspianiałego lunchu; przy stole wszyscy, z wyjątkiem mnie, ostro krytykowali „Nowy Ład”, Roosevelta i cały jego rząd, zwłaszcza Ickesa, Wallace'a i członków tzw. trustu mózgow. Zapytałem, jaka mogłaby być inna polityka rządu; w odpowiedzi padły głosy, że należy powrócić do parytetu złota, do pełnej swobody działalności banków i przemysłu. Moim zdaniem, to nie jest polityka, która jest nam potrzebna. Ta polityka wszędzie zbankrutowała, a zwłaszcza w Chicago. W rozmowach na temat Niemiec swoboda wypowiedzi była raczej większa, niż na to, moim zdaniem, pozwalał rozsądek, ale wszyscy się zgodzili, że nie nadają się one „do druku”.

29 kwietnia 1934. Niedziela.

Pojechałem samochodem do Fuquay Springs, gdzie w małym, cichym domku mieszka mój ojciec, który w listopadzie skończy 87 lat. Rozmawialiśmy przez dwie godziny o starych rodzinnych sprawach i trochę o Berlinie. Później pojechałem odwiedzić pana Daniela, który mieszka we wspianiałym pałacu, zbyt wykwintnym jak na jego niewielki majątek, i zbyt kosztownym, jak na możliwości jego dzieci z chwilą gdy przeniesie się do wieczności. Rozmawialiśmy o niektórych problemach Departamentu Stanu i liberalnej polityce Hull'a.

2 maja 1934. Środa.

Ustawiłem dziś całą robotę na farmie jak należy, zjadłem wcześniej obiad i pojechałem z powrotem do Waszyngtonu. Zatrzymałem się w Cosmos Club i o godzinie 8 pojechałem do hotelu „Mayflower” na oficjalne przyjęcie wydane przez Roperów dla 52 osób z zachowaniem form przyjętych w świecie dyplomatycznym. Obecnych było wielu wybitnych ludzi ze sfer rządowych, w tym państwo Josephus Danielsowie, jako goście honorowi, Jesse Jones z Federal Reconstruction Finance Corporation, William Phillips z Departamentu Stanu i wielu senatorów i posłów do Izby Reprezentantów. Jak zwykle nie pozwalano sobie na wypowiedzi, które by zawierały jakieś konkretne informacje. Jedynym chyba wyjątkiem był poseł Sol Bloom z Nowego Jorku, który ujawnił swoją sympatię do Mussoliniego, a także fakt, że republikańscy wyborcy z jego okręgu wypowiedzieli się za polityką Roosevelta. Potępili oni mianowicie Blooma za to, że głosował przeciwko Prezydentowi, gdy ten zgłosił swoje weto przeciwko projektowi ustawy o premiach.

3 maja 1934. Czwartek.

Złożyłem dziś rano wizyty ministrowi Hullowi, ministrom Dernowi i Swansonowi, a o 12.30 pojechałem pożegnać się z Prezydentem. Przy tej okazji poprosiłem go, aby zechciał zabrać głos na dorocznym zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego w grudniu tego roku w Waszyngtonie, na którym mam przewodniczyć i wygłosić doroczne orędzie. Roosevelt wyraził zgodę i przypomniał, że przemawiał na zjeździe Towarzystwa w Charleston jakieś dwadzieścia lat temu. Rozmawialiśmy następnie na temat możliwości zbojkotowania przez Amerykę każdego państwa, które wtargnęłoby siłą na terytorium innego suwerennego państwa; mówiliśmy również o dyskutowanej w Senacie sprawie udzielenia rządowi pełnomocnictw celnych.

Prezydent prosił mnie, żebym przy okazji pozdrowił nieoficjalnie w jego imieniu Hitlera; mam jednak uważać, żeby nie powiedzieć nic takiego, co mogłoby być zrozumiane jako pochwała jego polityki. Życząc Prezydentowi we wszystkim powodzenia, pożegnałem się z nim i pojechałem z powrotem do swojej farmy.

6 maja 1934. Niedziela.

Dzisiaj był śliczny dzień. Uroczy jest widok drzew wypuszczających młode liście i kwitnących jabłoni; tym bardziej uroczy, że muszę stąd wyjechać. Przyszło stadko krów i pasło się na trawnikach przez godzinę; wyjadło polne trawy, które się zbytnio rozplenily.

7 maja 1934. Poniedziałek.

O 9-ej wyjechałem z Flave Clarkem samochodem przez góry i Charleston (Zachodnia Wirginia) do Frederick (Maryland), gdzie kupiłem trochę rzeczy,

które zabiorę do Berlina. Pojechaliśmy potem do Gettysburga, gdzie poszliśmy na lunch do mile prezentującej się restauracji. Flave, który jest Murzynem, ale ma bardzo przyjemny wygląd, spotkał się z opozycją właściciela restauracji, który mu wyperswadował takie zachcianki jak spożycie posiłku na głównej sali. Flave musiał wejść do kuchni tylnymi drzwiami, zupełnie tak samo jakby to się działo w Charleston lub Atlancie. Flave nie miał o to do nikogo żalu i po lunchu pojechaliśmy dalej w kierunku Filadelfii, gdzie miałem się spotkać z moim starym przyjacielem, Conyers Readem.

8 maja 1934. Wtorek.

Pojechałem dzisiaj z Filadelfii do Nowego Jorku; Flave Clarka odesłałem moim samochodem z powrotem do Wirginii. O 1-ej udałem się do Century Club, gdzie z inicjatywy Herberta S. Houstona, który przygotowywał to spotkanie już od miesiąca, zebrało się na lunchu przy ogromnym stole około dwudziestu czołowych redaktorów i dyrektorów wydawnictw prasowych w Nowym Jorku. Obecni byli przedstawiciele pism: „Times”, „Herald Tribune”, „Forum”, i „Literary Digest”, jak również moi byli słuchacze: W. L. Chenery, redaktor „Collier's”, i Edwin L. James, redaktor działu europejskiego w „Timesie”. Dyskusja trwała półtorej godziny. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z tak jawnym i szczerym poparciem wszystkich ważniejszych problemów, które odważyłem się poruszyć. Nawet redaktor „Time”, tygodnika, który raz czy dwa razy postąpił w stosunku do mnie nieładnie, odniósł się do mnie serdecznie i życzliwie. Odniosłem wrażenie, że Niemcy stanowią dla nich wszystkich niezwykle ważny problem.

Panowała jednomyślna opinia, że Prezydent Roosevelt nadal cieszy się ogromnym poparciem ludności we wszystkich okręgach kraju. Redaktor „Digest” oświadczył, że pierwsze wyniki ankiety, zorganizowanej przez to pismo, wykazują ogromny entuzjazm mas, wbrew krytycznemu stanowisku zajmowanemu przez prasę. Departament Stanu, tzn. William Phillips, już miesiąc temu zalecił mi, abym przyjął zaproszenie Houstona; byłem pewien, że z uwagi na mój bliski wyjazd ta konferencja była pod każdym względem pożyteczna. Żałowałem tylko, że nie mogłem w niej wziąć udziału mój przyjaciel John Finley z „Timesa”.

Wieczorem byłem na obiedzie u pułkownika House'a. Wkrótce po tym, jak usiedliśmy do stołu, pani House zaabsorbowała mnie rozmową na tematy stanowczo bardziej związane z życiem towarzyskim niż z czymkolwiek innym. Gdy ta rozmowa trwała już dobrą chwilę, pułkownik House nagle się wtrącił: „Moja kochana, przestań. Są dużo ważniejsze sprawy, o których musimy pomówić!” Pani House trochę się zapomniała, ale pułkownik również się trochę zapomniał. Zachowałem spokój, udając, że niczego nie słyszałem. Przeszliśmy później do salonu; mieszkanie było bardzo ładne, ale nie zbyt dobre. Po kwadransie pułkownik poprosił mnie do swego gabinetu; wisiały tam portrety Wilsona, Franklina Roosevelta oraz innych sławnych amerykańskich mężów stanu. Usiedliśmy razem na kanapie i pułkownik pokazał mi listy otrzymane od różnych wybitnych osobistości, w tym jeden ważny list od Prezydenta. Rozmawialiśmy ze sobą szczerze o różnych sprawach: o frakcjach w łonie rządu i o tym, co podczas swojej niedawnej wizyty u pułkownika powiedział minister Hull o Raymondzie Moleyu: próbuje on znów

wkraść się w łaski kół rządowych w Waszyngtonie*; Hulla to złości, a House obawia się, że z tego może wyniknąć coś niedobrego.

Ta historia przypomniła mi o pewnym zaproszeniu, które otrzymałem jakieś dwa tygodnie temu w Wirginii. Gerard Swope zapraszał mnie wówczas usilnie, żebym po powrocie do Nowego Jorku przyszedł do niego na lunch lub śniadanie, w którym wzięliby udział również Herbert Bayard Swope, Owen D. Young i Raymond Moley. Gerard Swope jest naczelnym dyrektorem General Electric Company, Herbert grał jakąś niewyraźną rolę na konferencji gospodarczej w Londynie, a Owenem Youngiem nigdy się specjalnie nie zachwycąłem. Zaproszenia nie przyjąłem, głównie dlatego że wyczuwałem w tym jakąś grę. Do żadnego z tych czterech ludzi nie mam zaufania. Może należało przyjąć to zaproszenie, żeby się dowiedzieć, co się kryje za tym zainteresowaniem moją osobą, ale nieufność do nich wzięła we mnie górę. Nigdy nie usiadłbym do lunchu w towarzystwie ludzi Morgana — chyba że mógłbym się przy tej okazji czegoś dowiedzieć o ich pobudkach i poglądach.

9 maja 1934. Środa.

Nadszedł dzień mego wyjazdu. Był u mnie Julian Mack, sędzia Federalnego Sądu Okręgowego w Nowym Jorku. Rozmawiał ze mną przez pół godziny o problemie żydowskim w Niemczech. Poinformowałem go, że 11 czy 12 marca Hitler kazał zaniknąć więzienie zwane Columbia Haus, w którym torturowano Żydów i innych aresztowanych, i zapowiedział, że bez nakazu sądowego nikt nie będzie mógł być przetrzymywany w areszcie z jakiegokolwiek powodu dłużej niż 24 godziny. Jego zdaniem to dobry omen; to samo mówiłem w Chicago.

Zapytał, czy moim zdaniem bojkot w Stanach Zjednoczonych powinien być złagodzony. Odpowiedziałem: „Tak, jeżeli uważacie, że Hitler naprawdę łagodzi swoje postępowanie. Zróbcie to na razie tylko tytułem próby; jeżeli Niemcy zaniechają stosowania swych brutalnych represji, ograniczcie bojkot w sposób bardziej zdecydowany”. Nie powiedział, że będzie o to konkretnie zabiegał, ale oświadczył, że zajmie się tym problemem. O 12-ej „Washington” wypłynął z portu i poszedłem spać.

17 maja 1934. Czwartek.

Przyjechałem do Berlina o 10.30 wieczorem. Na dworcu czekała na mnie rodzina i cały personel ambasady. Byłem szczęśliwy, że jestem znowu w domu, ale od razu odczułem, jak napięta jest atmosfera polityczna.

18 maja 1934. Piątek.

Dziś rano miałem szczerą poufną rozmowę z Messersmithem, który wyjeżdża objąć stanowisko posła w Austrii. Mówiliśmy szczegółowo o sytuacji

* Raymond Moley po objęciu prezydentury przez Roosevelta w marcu 1933 r. został mianowany podsekretarzem stanu i członkiem „trustu mózgow”. Opuścił te stanowiska we wrześniu 1933 r.

Żydów w Austrii, o niebezpieczeństwie płynącym z nadawania pewnym sprawom zbytniego rozgłosu, o słuszności hamowania upodobań do wielkich imprez towarzyskich, a przede wszystkim o pożytku płynącym z utrzymywania ścisłych, poufnych stosunków z naszą ambasadą w Berlinie. Zgodził się ze mną całkowicie. Dał mi jeden egzemplarz swego sprawozdania z kontroli paryskiej ambasady, przeprowadzonej na prośbę ministra Hulla. Sprawozdanie stwierdza, że w ambasadzie zatrudnionych jest bez żadnej potrzeby ze dwudziestu pracowników i wskazuje, jak można się bez nich obyć. Chociaż sam od dawna widzę, że personel mojej ambasady jest zbyt liczny, a kilku pracowników posiada zaledwie połowę wymaganych wiadomości, udało mi się dotychczas załatwić tylko jedno przeniesienie służbowe: chodziło o człowieka, który zaplątał się w jakieś nieprzyjemne historie z Niemkami.

24 maja 1934. Czwartek.

Byłem dziś razem z Dieckhoffem na lunchu w małej restauracyjce na Unter den Linden. Ten Niemiec ma liberalne poglądy, jest doktorem filozofii, szereg lat spędził w Waszyngtonie, a od paru lat zajmuje stanowisko odpowiadające mniej więcej pozycji naszego wiceministra. Przypomniałem mu, że przed moim wyjazdem do Ameryki w dniu 14 marca zapewniono mnie, iż rząd niemiecki złagodzi swoje postępowanie w stosunku do Żydów; przytoczyłem jego własne oświadczenie złożone podczas lunchu w Klubie Niemieckiej Prasy w dniu 12 marca, że odtąd nikt nie będzie mógł być pozbawiony wolności dłużej niż przez 24 godziny bez nakazu aresztowania zatwierdzonego przez właściwego sędziego. Przypomniałem mu również o wydanym ostatnio nakazie zamknięcia Columbia Haus.

Potwierdził mi od razu, że powyższe posunięcia Kanclerza miały na celu polepszenie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Poinformowałem go wówczas o tym, czego dokonałem dla osiągnięcia porozumienia z amerykańskimi Żydami i jak mi w tym dopomógł pułkownik House. Mowa Goebbelsa z 12 maja*, dodałem, wszystko to popsuka. Amerykanie będą mnie teraz uważali za naiwnego człowieka, który dał się okpić.

W dalszym ciągu rozmowy Dieckhoff dał wyraz swej opozycji wobec polityki Goebbelsa, a także nadziei, że Hitler będzie wkrótce obalony. Podał mi fakty, które jego zdaniem są przekonywającym dowodem, iż Niemcy długo już nie będą chcieli znosić ustroju, w którym czeka ich tylko wieczna musztra i głódówka. W Anglii lub Stanach Zjednoczonych też chyba więcej nie mógłby nikomu powiedzieć. Wszystko, o czym mówiliśmy, miało oczywiście pozostać między nami, z tym tylko wyjątkiem, że będę miał prawo o jego wypowiedziach poinformować moich przyjaciół w kraju: Hulla, House'a i inne urzędowe osoby.

Dieckhoff powiedział mi, że w końcu marca miał być zorganizowany bojkot Żydów, ale wskutek perswazji ze strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Schachta i Schmitta, Hitler nie wyraził na to zgody. Choć poczynania Goebbelsa sprawiają Kanclerzowi pewien kłopot, Hitler nie zmienił swej polityki; zaniepokoiła go tylko sytuacja gospodarcza w marcu i kwietniu.

* Autor myli się co do daty. Goebbels wygłosił tę mowę 11 maja na zgromadzeniu narodowosocjalistycznym w Sport Palast w Berlinie. Manifestacja ta miała zainaugurować walkę z elementami reakcyjnymi w całej Rzeszy. Goebbels w swej mowie m. in. ostro i gwałtownie zaatakował kler katolicki, Watykan i Żydów.

„Obawiam się jednak — dodał Dieckhoff — że jeżeli Żydzi amerykańscy zaniechają bojkotu i propagandy antyhitlerowskiej, możemy nie wybrnąć z tej sytuacji”, tzn. że obalenie Hitlera stanie się niemożliwe. Wyczułem głęboką troskę w duszy tego człowieka, który krytykując obecny ustrój, czyni to z narażeniem własnego życia. Idąc powoli w stronę Wilhelmstrasse rozstaliśmy się w dość ponurym nastroju; jestem pewien, że przekaże komu należy moje słowa o stanowisku Roosevelta i kłopotliwym położeniu, w jakim się znalazłem wobec mego kraju. Po dwu godzinach załatwiania bieżących spraw w ambasadzie, poszedłem na spacer do Tiergartenu.

28 maja 1934. Poniedziałek.

Przez parę ostatnich dni normalna praca w biurze. Dziś o 12.30 pojechałem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Czekałem 10 minut zanim von Neurath, po wyjściu jakiejś delegacji, poprosił mnie do swego gabinetu. Rozmawialiśmy od 12.40 do 1.15. Od czasu mego przyjazdu do Berlina w lipcu 1933 r. von Neurath nigdy nie był jeszcze taki serdeczny i nie starał się tak bardzo o zrozumienie mojego stanowiska w poruszanych przeze mnie sprawach.

Zapytał mnie, jak spędziłem swój urlop w kraju i co słyhać w Stanach Zjednoczonych, ja jednak skierowałem rozmowę na aktualne tematy, zapytując go, co sądzi o mowie Mussoliniego wygłoszonej w ubiegłą sobotę w tak zwanym włoskim parlamencie. Dyktator oświadczył mianowicie z całą powagą, że wojna jest równie naturalną i potrzebną rzeczą jak rodzenie dzieci dla kobiet, i że trzeba będzie obniżyć poziom życia w kraju, gdyż włoskie siły zbrojne na lądzie i morzu muszą być utrzymane na poziomie zabezpieczającym Włochy przed ich przeciwnikami.

Von Neurath odpowiedział: „To typowe dla Mussoliniego; w Niemczech też mamy takich wariatów, co mówią to samo, ale nie ma w naszym narodzie poważniejszych grup, które pragnęłyby wojny”. Było to dokładne powtórzenie tego, co w czwartek powiedział mi Dieckhoff.

Chwilę uwagi poświęcił von Neurath niefortunnej polityce Francji. „Gdyby tylko chciała nam wyjść na pół drogi na spotkanie, powitalibyśmy z radością wznowienie naszych rozmów w Genewie. Uważam, że gdyby Francja zechciała pójść na ustępstwa, byłoby to jednym z największych wydarzeń w polityce światowej”.

Zapytałem go następnie, co sądzi o deklaracji Roosevelta w sprawie zbrojeń*. Odpowiedział, iż gratuluje Stanom Zjednoczonym, że posiadają takiego przywódcę, ale dodał, że „najsurowsze nawet przepisy nie są w stanie zapewnić skutecznej kontroli eksportu broni”. Powiedziałem mu o spadku akcji po opublikowaniu mowy Roosevelta, że spadły zwłaszcza akcje producenta broni Du Ponta. Odpowiedział: „Możliwe, ale nawet jeżeli wasz Kongres będzie prowadził swoje dochodzenia, a państwa europejskie zgodzą się nałożyć ze swej strony embargo, eksport w tej czy innej formie będzie trwał nadal”.

Po paru jeszcze zdaniach, gdy zbierałem się do odejścia, położył mi rękę na ramieniu i rzekł: „Niech pan jeszcze nie idzie; co pan sądzi o kwestii

* Chodzi tu o apel prezydenta Roosevelta do szefów rządów państw reprezentowanych na konferencji rozbrojeniowej w Genewie. Ogłoszony 16 maja 1934 r. zawierał propozycje dotyczące ograniczenia zbrojeń.

żydowskiej?" Powstała okazja, żeby go sprowokować do wytłumaczenia odejścia Niemiec od linii politycznej wyrażonej w obietnicach z 12 marca i uzasadnienia przemówień wygłoszonych w czasie mego pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Opowiedziałem mu, jakie było moje położenie, gdy wyjeżdżałem z Niemiec, i jak udaremniłem symboliczny sąd nad Hitlerem, który miał się odbyć w Chicago w połowie kwietnia; na zakończenie stwierdziłem, że obecnie znalazłem się w dużym kłopotcie. Można by nawet o mnie powiedzieć — dodałem — że jestem naiwnym człowiekiem, który uwierzył w szczerść niemieckich zapewnień. Roosevelt podziękował mi osobiście za uspokojenie agitatorów w Chicago. A tymczasem mowa Goebbelsa, o której dowiedziałem się na pokładzie „Washingtona”, została 12 maja natychmiast opublikowana w całej prasie amerykańskiej; wywołała ona nową falę propagandy antyhitlerowskiej.

Von Neurath był wyraźnie zakłopotany. Powiedział, że to, co rząd niemiecki oświadczył przed moim wyjazdem, miał szczerzy zamiar uczynić, ale Streicher, gauleiter Norymberga*, łamiąc wszystkie zakazy zaczął prześladować Żydów na własną rękę; ku ogólnemu zdumieniu przyłączył się do niego Goebbels, który 12 maja palnął straszne głupstwo. Schacht i Schmitt pojechali do niego i wyrazili mu osobiście swój protest. Nawet Kanclerzowi, dodał Neurath, było nieprzyjemnie.

Powtórzyłem mu częściowo to, co mówiłem Hitlerowi o amerykańskich próbach zwalczania spekulacji uprawianej przez wielką finansjerę. Odpowiedział, iż cieszy się, że poinformowałem o tym Hitlera, ale ja zaraz dodałem, że Kanclerz nie zgodził się z moim stanowiskiem w tej sprawie. Po tej uwadze von Neurath przez chwilę milczał. Było jasne, że jest całkowicie po mojej stronie. Prosił mnie o powiadomienie Waszyngtonu, że to zaostrenie sytuacji jest całkowicie sprzeczne z intencjami niemieckiego rządu, nie powoływał się jednak przy tym na Hitlera. Powiedział natomiast, że Göring złagodził swoje stanowisko w kwestii żydowskiej.

Przeszedł następnie do sprawy stosunków handlowych, mówił o spadku niemieckich rezerw złota do poziomu 4 procent wartości obiegowej waluty papierowej. „Co mamy robić?” Sytuacja jest okropna. „Przyczyną tego — dodał — jest żydowski bojkot, bariery celne na całym świecie i fakt, że nie możemy kupić bawełny i kauczuku, ani też niczego sprzedać za granicą.” Martwił się, ale nie twierdził, że rewolucja jest za drzwiami.

Oświadczył, że zgadza się całkowicie ze stanowiskiem Lairda Bella i innych amerykańskich delegatów na konferencji w sprawie obsługi niemieckich długów, że „Niemcy powinny płacić odsetki obniżone do połowy” — było to wielkodusznym ustępstwem amerykańskich wierzycieli — „ale Francuzi nie chcą ustąpić ani na jotę. Oni uważają, że muszą dostać swoje sześć procent, a my nie mamy ani złota, ani dewiz”. W tym punkcie, jak również w większości poruszonych przez niego spraw podzielałem jego stanowisko. W postawie Neuratha nie było cienia chępliwości lub zarozumiałości. Obawiał się skutków, jakie mogłoby wywołać żądanie sześciomiesięcznego moratorium. W Stanach Zjednoczonych wywołałoby to ten sam skutek co bojkot; rynek amerykański stałby się dla Niemiec jeszcze bardziej niedostępny.

Nawiązał do możliwości rozmów w Waszyngtonie po przyznaniu Rooseveltowi pełnomocnictw celnych. „Czy można będzie coś uzyskać?” Odpowiedziałem: „Tak, jeżeli Niemcy będą skłonne do istotnych ustępstw w zakresie

* Julius Streicher był gauleiterem Frankonii.

wymiany handlowej". Prezydent nie upoważnił mnie do poczynienia jakichkolwiek propozycji, ale znając dobrze stanowisko Waszyngtonu, dodałem: „Myślę, że dużo można będzie zrobić, jeżeli wyślecie delegację możliwie w jak najlepszym składzie; tylko nie wysyłajcie ludzi, którzy byliby źle widziani ze względu na swoją reputację. Wiadomo, do czego jest zdolna prasa w takich wypadkach". Chodziło mi o to, żeby nie wysłali dr. Schachta, mimo że jemu bardzo na tym zależy. Byłby bardzo źle przyjęty przez Hulla i Roosevelta.

1 czerwca 1934. Piątek.

Dziś rano miałem krótką rozmowę z von Neurathem w sprawie naruszania przez Niemców pewnej umowy podpisanej ze Stanami Zjednoczonymi. Minister był zażenowany, gdy wręczałem mu swój pisemny protest, i obiecał udzielić odpowiedzi w ciągu paru dni. Powiedziałem, że Niemcy nie powinny naruszać swoich umownych zobowiązań, jeżeli pragną żyć w zgodzie z opinią publiczną w Stanach Zjednoczonych. Zapytał: „Co mamy robić?" Niemcy nic nie eksportują do Stanów Zjednoczonych, a na eksport do Danii i innych krajów mają tylko promesy. Powiedziałem, że mam dowody, iż doszło do poważnego naruszenia umowy, wyrażającego się poważnymi dostawami smalcu z Węgier przy jednoczesnym silnym ograniczeniu importu konserw mięsnych produkowanych w Chicago. Poprosił mnie o jakiś dokument lub memorandum w tej sprawie. Odpowiedziałem, że nie mogę mu dać w tej chwili niczego. Gdy wychodziłem, zrobiło mi się żal ministra, który musi wciąż przede mną bronić posunięć, z którymi absolutnie się nie zgadza. Ma on takie samo, jak minister Hull, podejście do zagadnień gospodarczych i międzynarodowych.

Byliśmy na lunchu u dr. Schmitta. To człowiek tych samych poglądów co von Neurath. Jego przemówienia, drukowane w niemieckiej prasie zawsze bez większych skrótów, wykazują niezależność sądu ministra gospodarki w dziedzinie jego działalności. Siedzieliśmy przy stole, stojącym na pięknym ogrodowym trawniku; razem z nami byli członkowie mojej ambasady, White i Flack. Po lunchu Schmitt wziął mnie na stronę; przez godzinę spacerowaliśmy wokół trawnika, a on mówił o fatalnej sytuacji Niemiec. Wielka, groźna susza; eksport zahamowany; w Stanach Zjednoczonych i Anglii niezwykle wrogie nastroje wywołane brutalnym postępowaniem Hitlera w stosunku do Żydów, protestantów i katolików. Jak w atmosferze tak wielkiej wrogości mogą Niemcy pertraktować ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie zawarcia nowego traktatu handlowego? Słuchałem go i odzywałem się tylko, gdy robił jakąś pauzę. Nigdy jeszcze nie widziałem niemieckiego męża stanu, który by znajdował się w stanie tak wielkiej duchowej rozterki; w pełni podzielałem jego uczucia, gdy raz po raz potępiał niedorzeczną politykę Hitlera.

Wyraziłem zdanie, że gdyby miano wysłać delegację na rokowania do Waszyngtonu, Schmitt jako jej członek mógłby uzyskać więcej niż inne niemieckie osobistości, które w Waszyngtonie i Nowym Jorku stały się bardzo niepopularne w związku z ich stosunkiem do sprawy niemieckich długów w Ameryce. Odpowiedział, że nie byłoby mu łatwo wyjechać, ale pojechałby, gdyby były jakieś widoki na powodzenie. Zainteresował się tą sprawą do tego stopnia, że poprosił mnie, abym porozmawiał o niej z von Neurathem; jeszcze jeden z tych liberalnie myślących niemieckich urzędników, którzy od czasu do czasu zwracają się do mnie z podobnymi propozycjami.

2 czerwca 1934. Sobota.

Po raz pierwszy widzę taką suszę w Niemczech: drzewa i pola pożółkły. W gazetach pełno wiadomości o suszy w Bawarii jak również w Stanach Zjednoczonych.

Po pracowitym dniu pojechaliśmy do Cecilienhof, siedziby niemieckiego Kronprinza, pięknej rezydencji położonej w parku blisko Poczdamu. Poproszono nas, żebyśmy usiedli przy stole, przy którym siedziała małżonka Kronprinza i napili się z nią herbaty. Jest ona siostrą królowej Danii, bardzo mądrą i sympatyczną niewiastą i nieszczęśliwą żoną prowadzącego niemoralne życie najstarszego syna Kaisera, który przebywa na wygnaniu w Holandii.

Była wyjątkowo miła. Siedzieliśmy z nią razem przez jakieś dwadzieścia minut, po czym przeprosiliśmy ją i wstaliśmy, żeby nie pozbawiać innych miejsca przy stole. Przez pewien czas razem z nami siedział brytyjski ambasador z żoną, który właśnie powrócił z Anglii. Kręciliśmy się potem trochę po salonie, poznaliśmy innych członków rodziny, porozmawialiśmy z nimi i wyszliśmy. Ta wizyta wzbudziła we mnie dość smętne uczucia, gdyż przypomniła mi wielkie dni Hohenzollernów z końca XIX i początku XX wieku.

4 czerwca 1934. Poniedziałek.

Otrzymałem wczoraj list od pułkownika House'a, który mi pisze, że jakiś przedstawiciel czy też przyjaciel Hitlera zjawił się u niego około 20 maja i zaprosił do Niemiec na rozmowę z Hitlerem w sprawie rozwiązania problemu żydowskiego. House odmówił. Na drugi dzień odwiedził House'a jeden z czołowych działaczy żydowskich w Stanach Zjednoczonych, Samuel Untermyer; nie określając wyraźnie swego stanowiska zaproponował, żebym rozpoczął w Berlinie ściśle prywatne rozmowy zmierzające do złagodzenia stanowiska Hitlera. Gdyby to się udało, to zdaniem zarówno House'a jak Untermyera Żydzi amerykańscy złagodziliby swój bojkot. Do podjęcia tego kroku przyczynił się wzrost antysemityzmu w Stanach Zjednoczonych, o którym mówił mi 9 maja w Nowym Jorku sędzia Julian Mack. Ten antysemityzm wzbudził nastroje opozycyjne nawet w stosunku do Roosevelta, w związku z powołaniem przez niego paru Żydów na wysokie stanowiska.

Dziś rano byłem u von Neuratha w jego prywatnym mieszkaniu, byliśmy sami. Przeczytałem mu list House'a i zaproponowałem, żeby wysondował w tej sprawie Hitlera. Odpowiedział, że zrobi to zaraz po powrocie Kanclerza do Berlina i że razem z nim pójdą dr Schacht i dr Schmitt. Jego zdaniem, pierwszym krokiem powinno być pohamowanie Goebbelsa i Streichera, tego awanturnika z Norymbergi, który wciąż agituje i podjudza przeciwko Żydom. Rzuciłem myśl, żeby jeden z hitlerowskich przywódców wygłosił przemówienie wzywające do umiarkowania. Jeżeli to będzie możliwe, wyślę odpowiednią depezę do House'a. Wróciłem zaraz do ambasady; zabrałem von Neurathowi tylko siedem minut czasu.

5 czerwca 1934. Wtorek.

Zjawił się francuski ambasador i powiedział, że otrzymał wiadomość z Genewy o mojej rozmowie z von Neurathem w dniu 28 maja, z której wynika,

że moim zdaniem Niemcy są skłonne ulec naleganiom Genewy i wznowić rozmowy na temat ograniczenia zbrojeń. Powiedziałem mu raz jeszcze, co myślę o dzisiejszym zwariowanym świecie i że według mnie Niemcy pójdą na rokowania, jeżeli Francja zgodzi się na jakieś konkretne, choćby niewielkie ustępstwo. Do pewnego stopnia się ze mną zgadzał. Zastanawiam się, czy to Norman Davis powtórzył mu treść mojego poufnego listu z 29 maja.

6 czerwca 1934. Środa.

Pojechałem w południe do francuskiego ambasadora, żeby się dowiedzieć, czy nie ma nowych wiadomości z Genewy. Nie ma, ale wybiera się do von Neuratha, żeby go zapytać, na jakie niemieckie ustępstwa może liczyć Francja, jeżeli sama im w czymś ustąpi. Jeżeli dowie się czegoś konkretnego, da mi znać. Około 6-ej zjawił się młody Armand Berard, sekretarz prywatny ambasadora, i poinformował mnie, że nic nowego w sprawie genewskich rokowań nie zaszło. „W Paryżu — dodał — panuje wielkie podniecenie w związku z obawą, że lada chwila może wybuchnąć wojna”. Odpowiedziałem mu: „Nie wyobrażam sobie, żeby taki bankrut jak Niemcy mógł porywać się na wojnę”.

7 czerwca 1934. Czwartek.

Przyszło trzech bankierów, z Banta na czele, żeby wyciągnąć ode mnie maksimum informacji. Byli bardzo zaniepokojeni. Jeden z nich ostro krytykował Roosevelta, aż zwróciłem mu uwagę, że każda opozycja powinna mieć jakiś pozytywny program. Oskarżył wówczas Roosevelta, że otacza się Żydami, i dodał: „W Nowym Jorku szykują się rozruchy. Może łatwo dojść do zamachu na Sama Untermyera”.

8 czerwca 1934. Piątek.

Jeszcze jeden zdenerwowany i strwożony bankier z Nowego Jorku. Gdy zaczął krytykować Prezydenta, stanąłem twardo w obronie nowego regulaminu giełdowego, który ma wkrótce wejść w życie. Podzielił mój punkt widzenia i w końcu przyznał, że jedynym człowiekiem, na którego można liczyć, jest Roosevelt. Bardzo się obawiał, że tu się coś stanie.

Na herbatce u Ernsta Hanfstaengla ambasador Francji znowu poruszył sprawę Genewy. Oświadczył, że perspektywy są lepsze, ale dodał, że mój pogląd na sytuację w Niemczech jest zbyt pesymistyczny; nie jest ona tak bardzo krytyczna, żeby zmusić Niemców do poważniejszych ustępstw w sprawie rozbrojenia.

Dr Davidson z niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych mówił o konieczności wszczęcia w Waszyngtonie rokowań w sprawie wymiany handlowej. Odpowiedziałem mu szczerze, że czekam na chwilę, kiedy odpowiednia komisja rozpocznie pracę; że czas na urealnienie stawek celnych. Poinformował mnie, iż wie od von Neuratha, że jestem za jak najwcześniejszym rozpoczęciem tych rozmów i że ambasador Luther przez godzinę rozmawiał

z Hullem w środę — a ja właśnie tego dnia wysłałem do Waszyngtonu telegram, w którym donosiłem, że Niemcy nie zdają sobie zupełnie sprawy z międzynarodowego znaczenia incydentów, na które sobie niemal codziennie pozwalają.

10 czerwca 1934. Niedziela.

Pojechaliśmy samochodem na wieś do dawnego cesarskiego pałacyku myśliwskiego, wokół którego Hermann Göring kazał założyć państwowy rezerwat przyrody; jest to dla niego miejsce odpoczynku w czasie weekendu. Po drodze mieliśmy defekt motoru w naszym nowym Buicku, którego kupiła mi wreszcie moja żona na miejsce zrujnowanego Chevroleta; zdaniem protokołu dyplomatycznego był to wóz, który swoim skromnym wyglądem ośmieszał mnie jako ambasadora. Gdy przyjechaliśmy na miejsce (spóźnieni z powodu defektu), zastaliśmy większość dyplomatów w lesie. Stali wokół jakiegoś pana, który nas powitał.

Potem przemawiał do nas Göring. Miał na sobie średniowieczny strój myśliwski. Jest to duży, tęgi, dobroduszny mężczyzna, który ponad wszystko lubi ludziom imponować. Podczas gdy do nas przemawiał, trzech fotografów wyposażonych w skomplikowaną aparaturę dokonało szeregu zdjęć, na co ze szczególnym zadowoleniem wyraził zgodę. Oprowadzał nas potem po lesie, pokazując nam bizona i małe dzikie koniki. Potem wsiadł do staroświeckiego powozu zaprzęgniętego w dwa konie i powożonego przez jakiegoś wieśniaka. Madame Cerutti, małżonka ambasadora Włoch i bardzo pretensjonalna dama, zajęła miejsce po prawicy Göringa. Cała reszta towarzystwa jechała z tyłu na dwuosobowych chłopskich wózkach. Jechaliśmy wolno przez las, w którym od czasu do czasu można było dostrzec jakiegoś jelenia lub orła.

Po zakończeniu tej przejażdżki, wsunęliśmy woźnicom do ręki po marce lub dwie i przesiadaliśmy się do naszych samochodów, którymi dojechaliśmy do pałacyku myśliwskiego, stojącego nad brzegiem pięknego jeziora. Göring wyprzedził nas i gdy przyjechaliśmy na miejsce, wyszedł na nasze spotkanie w pięknym, białym, letnim garniturze i oprowadził nas po zbudowanym z bierwion pawilonie, będącym wierną reprodukcją domu jakiegoś średniowiecznego wiejskiego dżentelmena, o ile w owych czasach dżentelmeni w ogóle istnieli. Porozsiadaliśmy się, gdzie kto chciał, popijając herbatę, kawę lub piwo, zależnie od gustu. Na lewo ode mnie siedział wicekanclerz von Papen, po przeciwnej stronie stołu — ambasador brytyjski, sir Eryk Phipps, a o dwa krzesła na prawo ode mnie — ambasador francuski. Rozmowa była absolutnie nieinteresująca, z wyjątkiem może kilku uwag na temat nowej książki admirała Spindlera o flocie niemieckiej z czasów wojny światowej. Dyskusja na ten temat urwała się nagle chyba z mojej winy, gdy oświadczyłem: Gdyby narody poznały prawdę historyczną, nie byłoby już nigdy więcej wojny. Nie wiem dlaczego, ale w tym miejscu sir Eryk i François-Poncet głośno się roześmieli; nic jednak nie powiedzieli. Po dłuższej pauzie rozmowa przeszła na inne, mniej ryzykowne tematy.

O 6-ej Göring zaczął nas oprowadzać po terenie i na każdym kroku okazywał swoją próżność; zaproszeni goście coraz to spoglądali po sobie rozbawionym wzrokiem. Zaprowadzono nas na brzeg innego ślicznego jeziora i pokazano nam grobowiec na wysokim kamiennym postumencie zwrócony frontem do wody; tak oryginalnie zbudowanego grobowca w życiu jeszcze nie wi-

działem. Tu pochowana jest pierwsza żona Göringa; jej szczątki przewiezione zostały tutaj ze Szwecji, gdzie grób jej został sprofanowany przez ludzi czujących urazę do hitlerowskich Niemiec. Göring szczyił się tym cudownym grobowcem swojej pierwszej żony i oświadczył, że spoczną w nim pewnego dnia również jego szczątki. Ciągnęło się to przez pół godziny. Ponieważ miałem dosyć tych dziwacznych popisów, a ponadto powinienem był o tej porze być już w oddalonym o 50 mil Berlinie, razem z sir Erykiem ruszyłem w stronę Göringa, żeby się z nim pożegnać. Dostrzegła to z daleka lady Cerutti i szybko zerwała się z miejsca: nie mogła pozwolić na to, żeby ktoś odebrał jej prawo do zajmowania w każdej sytuacji pierwszego miejsca.

13 czerwca 1934. Środa.

Byłem na przyjęciu popołudniowym u Göringa w jego pięknej berlińskiej rezydencji. Było dużo członków korpusu dyplomatycznego. Utalentowany minister Schmitt, który ma taki rodzaj pracy, że musi co chwila grozić Hitlerowi podaniem się do dymisji, wziął mnie na stronę, żeby jeszcze raz przedyskutować sprawę podjęcia rokowań handlowych między Niemcami i Stanami Zjednoczonymi. Był zdenerwowany i zmartwiony wiadomością, że dojrzeła podobno decyzja, aby z dniem 1 lipca wszelka spłata niemieckich długów została całkowicie wstrzymana. Wiadomo mu również, iż minister Hull poinformował w dniu 6 czerwca ambasadora Luthera, że na razie rokowania handlowe nie mogą być podjęte.

Powiedziałem mu, że Hull ma żal do Niemców o to, że naruszają istniejące porozumienia handlowe i nie traktują amerykańskich wierzycieli sprawiedliwie. Udawał, że nic mu o takim postępowaniu Niemiec nie wiadomo. Przez pewien czas otwarcie mówiliśmy o błędach, które, jak się zdaje, zniweczyły ostatnie nadzieje Niemiec na udostępnienie im amerykańskiego rynku. Zgodziliśmy się co do tego, że fantazje Hitlera w sprawie gospodarczej autarkii są bardzo niebezpieczne. Zdaniem Schmitta system ten zostanie przez Kanclerza narzucony Niemcom na przekór stanowisku zajmowanemu przez Amerykę. Powiedziałem mu, że o stanowisku Ameryki decydują trzy okoliczności: głupie zachowanie się Niemców w stosunku do Żydów, na co reakcją był potężny bojkot, skryte naruszanie przez Niemcy umowy zapewniającej Ameryce pewne handlowe przywileje i stanowisko niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które odmawia wyjaśnień w tej sprawie i nie udziela odpowiedzi nawet na moje stanowcze formalne żądania wytłumaczenia niemieckiego postępowania. Oświadczyłem, że tego rodzaju fakty wywołują wielkie niezadowolenie opinii publicznej po drugiej stronie Oceanu. „W chwili gdy chcecie ogłosić, że nie jesteście w stanie nam płacić, dowiadujemy się, że co miesiąc Niemcy zakupują od amerykańskich producentów sto samolotów. Coś tu się nie zgadza!” Nasza rozmowa zaczęła zwracać uwagę niektórych funkcjonariuszy partyjnych, więc na tym ją zakończyliśmy. Schmitt zdradzał wielki niepokój.

14 czerwca 1934. Czwartek.

Prasa poświęca dużo miejsca teatralnemu spotkaniu Hitlera z Mussolinim, które odbywa się dziś i jutro w Wenecji. Trudno mi dostrzec w tym jakiś cel,

chyba że chodzi o podniesienie na duchu narodów niemieckiego i włoskiego, które są bardzo zaniepokojone gospodarczym bankructwem obu faszystowskich ustrojów. Gdy powiedziałem wczoraj Göringowi: „Widzę, że pan nie pojechał do Wenecji”, zaśmiał się jakby trochę złośliwie. Mówi się tu powszechnie, że liczy on każdej chwili na korzystny dla siebie pucz Reichswehry. Nie wyobrażam sobie, żeby to się mogło udać.

15 czerwca 1934. Piątek.

Przyszedł dziś do mnie von Ribbentrop, łącznik Hitlera do spraw między narodowych*. Mówił trochę o spotkaniu w Wenecji, ale nic konkretnego nie powiedział. Potem poruszył sprawę rozbrojenia i na zakończenie swych wywodów oświadczył, że Niemcy wrócą do Ligi, jeżeli tylko Francja zechce uczynić jakieś niewielkie ustępstwo. W tym sensie rozmawiałem z François-Poncetem przed jego wyjazdem do Paryża 13 czerwca. Teraz przedstawiciel Kanclerza powtarza mój argument: jakieś niewielkie ustępstwo ze strony Francji i kwestia rozbrojenia staje się znowu aktualna. Czyżby chciał mnie wysondować? W dalszym ciągu rozmowy powtórzyłem mu to, co powiedziałem Schmittowi na przyjęciu u Göringa. Von Ribbentrop udawał zaskoczony; gdy się żegnał, był wyraźnie zaniepokojony.

Po spacerze w Tiergartenie zasiadłem do lunchu z grupą Amerykanów, którzy przyjechali odwiedzić Berlin. Byli to: były poseł amerykański w Szwecji, Moorhead, z żoną, oboje święcie wierzący w kapitalizm i nieświadomi prawdziwych przyczyn katastrofy gospodarczej z 1929 r., dr Mapels z Wilmington (Delaware) z żoną, i prof. T. V. Smith z wydziału filozoficznego Uniwersytetu Chicago z żoną. Stanowili ciekawą grupę ludzi różniących się poglądami niemal na każdy temat; najbardziej zadowoleni z siebie i najbardziej ograniczeni są Moorheadowie i to pomimo że są bardzo bogaci i wiele w życiu widzieli.

Moorhead oświadczył: „W każdym kraju dziesięć procent ludności robi pieniądze, przoduje we wszystkich dziedzinach życia i powinno mieć decydujące słowo w sprawach publicznych”. To na pewno koncepcja Hoovera; Moorhead chwalił się swymi dobrymi stosunkami ze skompromitowanym byłym prezydentem. Jakże odmienne poglądy ma Smith, który wykląda filozofię w Chicago! Mało mu brakuje, żeby był socjalistą, a przecież nie zamyka oczu na nauki płynące z długiej i burzliwej historii ludzkości na przestrzeni wieków.

16 czerwca 1934. Sobota.

Wysłałem wczoraj prywatny telegram do ministra Hulla prosząc go o zalecenie Prezydentowi kandydatury R. D. W. Connora z Północnej Karoliny na wakujące obecnie w Waszyngtonie stanowisko głównego archiwariusza. Kandydaturę Connora popierają wszyscy członkowie zarządu Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Dzisiaj przetelegrafowałem Hullowi najważniejsze punkty rozmów przeprowadzonych ze Schmittem i Ribbentropem oraz krótki przegląd błędów popełnionych ostatnio moim zdaniem przez Niemców.

* Joachim von Ribbentrop stał wówczas na czele tzw. Dienststelle Ribbentrop, komórki NSDAP zajmującej się sprawami zagranicznymi i służącej do różnych tajnych misji z pominięciem oficjalnej dyplomacji. Oprócz tego został mianowany przez Hitlera „ambasadorem do specjalnych poruczeń”.

17 czerwca 1934. Niedziela.

Otrzymałem depeszę od Hulla, który poleca mi jutro, 18 czerwca, pójść osobiście do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w związku z tym, że on zamierza złożyć oświadczenie dla prasy w sprawie ogłoszenia przez Niemców moratorium i niedotrzymywania przez nich umownych zobowiązań. Hull stawia jasno sprawę i przyznaje, że sytuacja jest skomplikowana i Amerykanie popełnili być może błędy w poprzednich latach, a teraz nasze bariery importowe i dążenia izolacjonistyczne są naśladowane przez Niemców. Z tego powodu formalnego protestu nie zgłasza.

Co ja mogę jeszcze więcej Niemcom powiedzieć, prócz tego, co już mówiłem dziesiątki razy? Niemcy są w strasznej sytuacji i chociaż przyznają, że wojna to żadne lekarstwo, wciąż o niej mówią. Hitler wrócił wczoraj z pokazowego spotkania z Mussolinim w Wenecji; prześcigali się tam obaj w pompatycznych wystąpieniach, ale do żadnej zgody nie doszli. Jutrzejszy dzień będzie więc dobrą okazją do porozmawiania z Neurathem, jeżeli tylko uda mi się go złapać.

18 czerwca 1934. Poniedziałek.

O 5.30 spotkałem się z Bülowem i przeczytałem mu jeden z mocniejszych ustępów depeszy Hulla. Z miejsca oświadczył: „Nie ma mowy o żadnej dyskryminacji Stanów Zjednoczonych w związku z ogłoszonym przez Niemcy moratorium w sprawie długów. Nie będzie również żadnej dyskryminacji z tytułu projektowanych porozumień między Niemcami a Holandią i Niemcami a Szwajcarią”.

Odpowiedziałem, że naród amerykański zapatruje się na tę sprawę inaczej niż rząd niemiecki. To, że Francja otrzymuje 6 procent tytułem odsetek, zaś Amerykanie tylko 4 procent, nie jest może dla rządu niemieckiego dyskryminacją, bo amerykańskie pożyczki zostały udzielone na podstawie innego rodzaju umów, a delegaci amerykańscy na niedawną konferencję transferową zgodzili się na obniżenie stopy procentowej odsetek. Natomiast Francuzi nie zgodzili się na obniżenie tej stopy, ponieważ umowa pożyczkowa z Niemcami została zawarta przez rząd francuski. Ale te subtelne rozróżnienia nie przemawiają do przekonania setek tysięcy amerykańskich wierzycieli.

Ponadto jest jeszcze dużo innych rzeczy: prześladowanie Żydów, nazistowska propaganda w Stanach Zjednoczonych, na którą Niemcy wydają tak dużo pieniędzy, ostatnie zakupy setek samolotów przeznaczonych do celów wojskowych. To, co Niemcy nazywają całkowitym wyczerpaniem środków finansowych, nie wydaje się realne ani dziś, ani w najbliższej przyszłości. Amerykanie uważają, że wcześniej zaciągnięte zobowiązania z tytułu pożyczek zostały przez Niemcy zlekceważone bez należytego usprawiedliwienia. Bülow nie był za bardzo pewny siebie. Wie on doskonale, jakie jest nastawienie opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych, i w gruncie rzeczy, chociaż sam tego nie mówi, również nie jest zadowolony z polityki swego rządu.

Co do generalnego problemu wymiany handlowej panuje między nami zgoda. Nie można wznosić wysokich i sztywnych barier celnych i jednocześnie liczyć na spłatę zagranicznych pożyczek. Bülow wyraził żal, że Stany Zjednoczone nie zgodziły się na rozpoczęcie 1 kwietnia rokowań handlowych z Niemcami, na co tak liczyłem, gdy byłem w Waszyngtonie. Wyjaśniłem, że

nowa fala skandalicznych ekscesów antyżydowskich i różne publiczne wypowiedzi wysokich dygnitarzy państwowych, jak np. mowa Goebbelsa z 12 maja, wywołały w Stanach Zjednoczonych reakcję, która poważnie zmniejszyła szansę uzyskania zgody Kongresu na nowy układ z Niemcami. Z tym się zgodził. Przypomniałem mu, że od 1 czerwca wciąż proszę o udzielenie mi wyjaśnień i przyrzeczeń, które chciałbym przetelegrafować do Waszyngtonu w nadziei, że wpłyną one na uspokojenie umysłów. Odpowiedział, że dr Schacht i dr Darré z Ministerstwa Rolnictwa wciąż zwlekają z udzieleniem tych wyjaśnień, i Ministerstwo Spraw Zagranicznych nic na to nie może poradzić.

Chciałem się już pożegnać, ale zapytałem go jeszcze o naradę w Wenecji. Z miejsca odpowiedział: „Nie zgodziliśmy się na przystąpienie do lansowanego przez Litwinowa paktu dalekowschodniego z Rosją i Polską*, gdyż jesteśmy nie uzbrojeni i nie mogliśmy uczestniczyć w tym pakcie na równych i gwarantujących nasze bezpieczeństwo prawach. Zostalibyśmy natomiast wciągnięci do systemu gwarancji zabezpieczających państwa bałtyckie i Czechosłowację przed jakimkolwiek agresorem". Jest rzeczą zrozumiałą, że Hitler nie ma zamiaru zgodzić się na to, żeby te państwa, posiadające niemieckie mniejszości, mogły zachować niepodległość.

„Pragniemy — dodał von Bülow — zwołania konferencji wielkich mocarstw, które podpisały Pakt Kelloga, i uzgodnienia na niej paktu pokoju obejmującego Niemcy, Francję, Anglię, Włochy i Stany Zjednoczone". Przyznaję, że taka namiastka proponowanego przez Litwinowa wschodniego paktu lokarneńskiego mogłaby być pożyteczna. Stanowiłaby rozwinięcie myśli rzuconej w piątek przez Ribbentropa. Może Niemcy dostrzegli, że znajdują się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, może w dobrej wierze wysuwają swoje pretensje pod adresem Włoch i Francji. François-Poncet jest wciąż jeszcze w Paryżu, może uzyska tam więcej, niż mógłby uzyskać tutaj. Rozmawiałem z Bülowem przez czterdzieści minut, ale w żadnej absolutnie sprawie nie udało mu się przekonać mnie całkowicie.

19 czerwca 1934. Wtorek.

Göring przewiózł dzisiaj zwłoki swojej żony do grobowca, który nam pokazywał tydzień temu. Wyobrażałem sobie wówczas, że szczątki tej biednej kobiety leżą już pod tą górą szwedzkiego marmuru. Ale się omyliłem. Odbyło się nowe widowisko, tym razem z udziałem Hitlera, wyższych urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych i innych osobistości. Prasa podaje, że zaatakowany został samochód, w którym jechał adiutant Göringa, ale nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń. Mniej więcej w tym samym czasie straż przyboczna Göringa odmówiła wykonania jakiegoś rozkazu i została rozwiązana. Doniosłą funkcję ochrony Göringa powierzono pruskiej policji.

* Jest to oczywisty błąd drukarski. M. Litwinów był w Berlinie 13 czerwca 1934 r. wracając do Moskwy z Genewy via Rzym i Berlin i w rozmowie z ministrem Neurathem poruszył sprawę zawarcia paktu, tzw. Locarna wschodniego, w którym poza Rosją i Niemcami wzięłyby udział Polska i Czechosłowacja.

20 czerwca 1934. Środa.

Junius Wood z „Chicago Daily News” przysłał mi tekst przemówienia, wygłoszonego przez wicekanclerza Papena w ubiegłą niedzielę w Marburgu. Przemówienie zawiera umiarkowaną i w pełni uzasadnioną krytykę dyktatorskich rządów Hitlera. Wygłoszone zostało na uniwersytecie znanym ze swej opozycji przeciwko hitlerowskiej polityce przymusu w dziedzinie religijnej. Prezydent Hindenburg czytał przemówienie, zanim je Papen wygłosił i wysłał mu depeszę, że aprobeuje je bez zastrzeżeń. „Frankfurter Zeitung” i jedna z berlińskich gazet wydrukowały fragmenty przemówienia, ale Goebbels zapoznawszy się z jego treścią zabronił dalszych jego publikacji.

W całych Niemczech panuje teraz wielkie podniecenie. Całe starsze pokolenie a także wszyscy intelektualiści są ogromnie uradowani. Przetłumaczyliśmy mowę Papena na angielski i przesłaliśmy jej tekst do Waszyngtonu. Teraz zrozumiała staje się pasja, z jaką Hitler przemawiał w poniedziałek w jakiejś miejscowości niedaleko Monachium. Jedną z przyczyn ogólnego podniecenia jest zapowiedziane na jutro spotkanie Hitlera z Hindenburgiem. Podobno w szeregach straży ochraniających poszczególnych przywódców występują objawy świadczące o możliwości buntu*. Jednocześnie ludzie podróżujący po Niemczech samochodami donoszą, że coraz częstszym zjawiskiem w terenie są ćwiczenia lotnicze i manewry wojsk lądowych.

21 czerwca 1934. Czwartek.

Dowiedziałem się dzisiaj po południu, że „New York Times” zażądał przesłania mu telegraficznie pełnego tekstu mowy Papena. Londyńskie i paryskie dzienniki nadają jej wielki rozgłos.

Na zorganizowanej przez Goebbelsa o 5-ej konferencji prasowej dr Schacht ponownie wystąpił w obronie niemieckiego moratorium i domagał się liberalizacji w handlu światowym jako warunku spłaty niemieckich długów. Przemówienie Schachta wzbudziło wśród słuchaczy ogromne zainteresowanie. Uważam, że temat został na ogół przez Schachta dobrze ujęty, ale jego docinki pod adresem Anglii i Ameryki wydały mi się raczej niemądre, jeżeli porównać beznadziejną sytuację Niemiec z sytuacją w obu tych państwach. Wszystkich zainteresowała obecność Papena i po zakończeniu konferencji zgromadziło się wokół niego równie dużo ludzi, co wokół Schachta, a może nawet więcej. Papen poszedł następnie napić się herbaty do stołu Goebbelsa i zamienił uścisk dłoni z tym człowiekiem, który kazałby go po mowie w Marburgu natychmiast powiesić, gdyby nie interwencja Hitlera i Hindenburga.

* W tym okresie E. Röhm wystąpił jakoby z projektami przekształcenia SA w wojsko ludowe i uczynienia z niej jądra nowej armii. Projekty te były wiadome dowództwu Reichswehry i to sprawiło, że Hindenburg zaaprobował mowę Papena.

Hitler potępił Papena w swej mowie w Gera 17 czerwca. Z Hindenburgiem spotkał się podobno w obecności gen. Blomberga, który zagroził mu wprowadzeniem stanu wyjątkowego i przejęciem władzy przez armię, jeżeli napięcie się nie zmniejszy. To skłoniło Hitlera do poświęcenia SA, aby zachować zgodę z armią.

23 czerwca 1934. Sobota.

Mieliśmy dziś na lunchu gości, a wśród nich sir Eryka Phippsa, dr. Schmitta i wdowę po Gustawie Stresemannie. Dyskusja nie wniosła nic nowego, z wyjątkiem może długiej poufnej rozmowy między Schmittem i sir Erykiem, w czasie której pozostali goście pili kawę na oszklonym tarasie, wychodzącym na piękny ogród na tyłach naszego domu. Lochner z Associated Press i Miss Schultz z „Chicago Tribune” powtarzali wszystkie zasłyszane, prawdziwe i nieprawdziwe pogłoski, nie słyhać było jednak o żadnym nowym posunięciu rządu niemieckiego.

Ten tydzień kończy się wprawdzie spokojnie, ale w atmosferze wielkiego napięcia. O 6.30 zatelefonował do mnie z Rzymu ambasador Long, który chciał się koniecznie dowiedzieć, jak wygląda sytuacja w Berlinie. Byłem zaskoczony, że jest taki nieostrożny; rozmawiałem z nim dość swobodnie, ale licząc się z możliwością podsłuchu ze strony niemieckiej tajnej policji. Powiedziałem: „U nas panuje spokój; trwa dyskusja na temat mowy Papena”. Zapytał, jaka była na nią reakcja; odpowiedziałem, że jakieś dwie trzecie ludzi, z którymi się stykam, aprobuje ją. Powiedziałem dalej, że w niedzielę odbyła się u Prezydenta w Neudeck jakaś konferencja, że jak dotąd nic mi nie wiadomo o żadnym większym poruszeniu w Niemczech, ale atmosfera jest bardzo napięta i panuje niepokój, jeżeli chodzi o Austrię, gdzie sytuacja po naradzie w Wenecji nie uległa poprawie.

Może powiedziałem za dużo, ale Long zamęczał mnie pytaniami. Położyłem słuchawkę lekko zirytowany i zaniepokojony. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby telefonować do ambasadora amerykańskiego w Rzymie w chwili, gdy w powietrzu wisiałyby wydarzenia wielkiej doniosłości, gdy pod znakiem zapytania znalazłby się cały system rządów Mussoliniego. Jeżeli ktoś pozwala sobie na tego rodzaju rozmowy, może być pewien, że z wyjątkiem Anglii w całej Europie będzie podsłuchiwany. Mam nadzieję, że nie wymknie z tego nic złego.

24 czerwca 1934. Niedziela.

Spokojny dzień. Półtorej godziny spędziłem w biurze. Otrzymałem długi, interesujący list od Normana Davisa, który jest teraz w Londynie. Jego zdaniem Niemcy muszą wrócić do Ligi, bo inaczej zginą; Anglia i Stany Zjednoczone muszą przed nadchodzącą konferencją morską uzgodnić swoje stanowisko w sprawie Dalekiego Wschodu.

28 czerwca 1934. Czwartek.

W ciągu ostatnich pięciu dni różne wiadomości przyczyniły się do tego, że w Berlinie panuje dziś atmosfera bardziej napięta niż kiedykolwiek od czasu mego przyjazdu do Niemiec. Wysłałem depeszę do Waszyngtonu, że sytuacja jest taka jak w Paryżu w 1792 r., gdy żyrondyści walczyli o władzę z jakobinami. Bez przerwy dyskutuje się na temat mowy von Papena. Hitler, Goebbels i Göring niemal codziennie wygłaszają przemówienia, atakując tych, którzy

w jakiegokolwiek formie krytykują obecny ustrój polityczny. Göring i Hitler byli dziś razem w zakładach Kruppa w Essen; słycać głosy, że mieli uzgodnić wspólny front wymierzony przeciwko Papenowi.

29 czerwca 1934. Piątek.

Podejmowaliśmy dziś o zwykłej porze lunchem naszych gości. Pierwsza przybyła Madame Cerutti, małżonka ambasadora Włoch. Zdradzała duży niepokój. Siedziała przy stole obok mnie z prawej strony. Szybko zaczęła mówić, że jej mąż pracuje ponad siły, że siedzimy wszyscy na beczce z prochem. „Niemcy są dzisiaj znowu w sytuacji, w jakiej znajdowały się w lipcu 1914 r.; możemy być znowu wciągnięci do wojny; ci ludzie po prostu zwariowali”. Nie byłem przekonany, żeby tak było, ale odczuwałem niepokój: przecież ta kobieta zaledwie tydzień temu była świadkiem spotkania Mussoliniego z Hitlerem w Wenecji. Coś wisi w powietrzu.

Naprzeciwno, po prawej stronie mojej żony, siedział von Papen, a po lewej ambasador Luther, który właśnie wrócił z Waszyngtonu; gdy byłem tam ostatnio, wyżsi urzędnicy Departamentu Stanu nie byli nim zachwyceni. Minister Hull powiedział wówczas swemu zastępcy R. Waltonowi Moore, żeby nie zapraszał Luthera na obiad, którym podejmował mnie w dniu 15 kwietnia. Ale dzisiaj Luther był czarująco miły, sypał dowcipami, wyrażał się z życzliwością o Prezydencie i żartował na temat naszego Kongresu. Von Papen natomiast był mniej rozmowny i zachowywał się z rezerwą, ale był w dobrym humorze.

Gdy wstaliśmy od stołu, Luther i von Papen zaczęli się sprzeczać w pokoju sąsiadującym z salą jadalną. Ponieważ atmosfera robiła się między nimi zbyt gorąca, wmieszałem się do ich rozmowy i poprosiłem obu, żeby zechcieli przejść ze mną na oszkloną werandę. Przysiadł się tam do nas poseł holenderski Limburg-Stirum i zaczęliśmy rozmawiać o polityce. Zwracając się do Papena powiedziałem: „Parę dni temu w Hamburgu wyglądało, że żyje pan w wielkiej przyjaźni z dr. Goebbelsem”. Uśmiechnął się i powiedział, że to była bardzo miła uroczystość i że publiczność witała go z wielkim entuzjazmem. Nawiązałem wówczas do przemówienia wygłoszonego przez Papena wczoraj w pewnym klubie i podkreśliłem fakt nieprzybycia Hitlera, chociaż się go tam spodziewano. Luther i Limburg-Stirum zaczęli dyskutować na temat przemówień Papena; ujawniła się przy tym różnica ich poglądów. Nie było wypowiedzi życzliwych dla Goebbelsa. Wstając, żeby się pożegnać, Papen rzekł: „Ja w każdym razie nie będę storpedowany”. Odjechał razem z Lutherem tym samym samochodem.

30 czerwca 1934. Sobota.

Dziś po południu, gdy około 2-iej zasiedliśmy do lunchu, zjawił się William, który jeździł na Unter den Linden, i powiedział, że ruch uliczny został wstrzymany i że w głównej kwaterze szefa sztabu SA Röhma aresztowanych zostało szereg wyższych funkcjonariuszy. Krążą pogłoski o krwawej rozprawie w Monachium.

Najwyraźniej odbywa się jakiś pucz czy zamach stanu. Wieczór był ra-

czej nieprzyjemny. Otrzymałem dziś oficjalne pismo z sekretariatu Röhma zawiadamiające mnie, że nie może on przyjąć mego zaproszenia na obiad w dniu 6 lipca. Z uwagi na niepewność sytuacji, było to może najlepsze, co mógł uczynić. Z drugiej strony, mogło to oznaczać coś znacznie gorszego, niż można by o tym sądzić z pozorów. Wymówił się tym, że będzie musiał wyjechać na kurację.

1 lipca 1934. Niedziela.

Chociaż gazety piszą bardzo mało, z różnych źródeł wiem, że Hitler pojechał wczoraj z Goebbelsem o drugiej rano z Godesbergu w Nadrenii do Monachium i kazał tam rozstrzelać dwóch wyższych funkcjonariuszy SA. O szóstej zjawił się w Wiessee, miejscowości oddalonej od Monachium o jakieś 40 mil, wtargnął do sypialni Röhma i kazał go aresztować i rozstrzelać. Straż przyboczna Röhma nie stanęła w obronie swego szefa. Hitler kazał zabić jeszcze paru innych dowódców SA i o 1.30 był z powrotem w Berlinie, gdzie Göring zdążył już zająć luksusową willę Röhma i kazał zamordować gen. von Schleichera w jego własnym domu. Chociaż na ulicach Berlina nie ma żadnych oznak, żeby w mieście działo się coś nadzwyczajnego, krążą uporczywe pogłoski o dokonywanych w trybie doraźnym egzekucjach. Wicekanclerz von Papen wraz z rodziną został uwięziony we własnym domu, a o jego współpracownikach mówi się, że zostali zabici lub aresztowani. Przejechaliśmy dziś po południu naszym samochodem koło jego domu może troszeczkę za wolno, ale mieliśmy w tym swój cel. Niezwykły był dzisiejszy dzień — zwykle były tylko wiadomości w prasie.

3 lipca 1934. Wtorek.

Przez dwa dni panowało niesłychane podniecenie. Dziennikarze bez przerwy wchodzili i wychodzili. O sensacyjnych wydarzeniach przynosili oczywiście sensacyjne wiadomości. Ale niektóre z nich opierały się tylko na pogłoskach.

Marta poszła dziś zajrzeć do domu jednego z naszych znajomych Niemców, u którego byliśmy kiedyś na obiedzie. Z dziwnego telegramu wysłanego z Londynu, doręczonego mi przez młodego Bérarda, cieszącego się specjalnym zaufaniem ambasadora Francji, dowiedziałem się, że ów Niemiec, utalentowany człowiek o poglądach liberalnych jest w Londynie, że w sobotę o 8-ej przeprowadzona została w jego domu rewizja i że policja zabrała jego syna do więzienia koło Anhalter Bahnhof, gdzie od soboty trzymany jest w całkowitej izolacji. Pomyślałem sobie, że wizyta Marty może trochę pomóc tej rodzinie, a Waszyngtonowi ujmy nie przyniesie.

4 lipca 1934. Środa.

Po pracowitym ranku spędzonym w biurze, zjadłem o zwykłej porze lunch i pojechałem z krótką wizytą do dr Schmitta, gdyż dowiedziałem się, że był przez parę dni chory i ma wyjechać na jeden czy dwa miesiące na urlop. Wia-

domo mi było, że wczoraj po południu odwiedził go otoczony silną strażą Hitler, i że Schmitt zamierza podać się do dymisji.

Widać było, że był poważnie chory i przepracowany, więc nie siedziałem u niego długo. Był głęboko przejęty makabrycznymi wydarzeniami ostatnich dni i zapytał mnie, co sądzą o nich Amerykanie. Odpowiedziałem: „Może się pan domyślić, jeżeli panu powiem, że gdyby nasz Prezydent kazał kogoś aresztować i zabić bez wyroku sądowego, zostałby sam postawiony przed sądem i usunięty ze swego stanowiska”. Wydało mi się, że nie w pełni zrozumiał sens moich słów, więc dorzuciłem: „Amerykanie nie mogą sobie po prostu wyobrazić, żeby w ich kraju mogły dziać się takie rzeczy, jakie się dzieją u was”.

Przez chwilę mówiliśmy o rozpaczliwej sytuacji gospodarczej w Niemczech i o zdrowiu Schmitta. Powiedział mi, że wyjeżdża dziś wieczorem i nie będzie go przez pięć czy sześć tygodni, a potem wróci do swojej odpowiedzialnej pracy. Chętnie by z niej zrezygnował, ale czuje, że ze względu na dobro swego kraju, nie wolno mu tego uczynić. Nie wspomniał nic o wizycie Hitlera, ale wyobrażam sobie, że to właśnie Kanclerz nie pozwolił mu złożyć obecnie rezygnacji. Wyszedłem dość przygnębiony: taki dobry i lojalny pracownik zmuszony jest służyć rządowi, który w jego oczach jest bandą morderców. Gdyby się teraz podał do dymisji, chybaby go zabili.

Zwróciło moją uwagę, że Schmitt nie ponowił swego zaproszenia, abym razem z żoną przyjechał na tydzień do jego domu w Bawarii. Mógłby za tę wizytę zapłacić życiem. Biorąc pod uwagę, że przywódcy narodowosocjalistycznych Niemiec są obecnie wyjątkowo wrogo nastawieni wobec zagranicy, utrzymywanie bliskich kontaktów z obcymi dyplomatami stało się dla Niemców rzeczą bardzo ryzykowną. Schmitt mieszka niedaleko Berchtesgaden, gdzie Hitler spędza przeciętnie dziesięć dni w miesiącu. Gdybym pojechał do Schmitta, nie wyrażając jednocześnie chęci złożenia wizyty Hitlerowi, mógłbym być posądzony o stronniczość, a ja przecież na pewno nie prosiłbym o przyjęcie mnie przez człowieka mającego na sumieniu kilkadziesiąt morderstw, popełnionych w ciągu ostatnich paru dni.

Wydaliśmy dziś wielkie przyjęcie dla co najmniej trzystu gości; niektórzy byli bardzo interesujący, należał do nich muzyk Kreisler, który corocznie występuje w Stanach Zjednoczonych. Byli też inni, niemal równie atrakcyjni, a wśród nich wielu takich, którzy niepokoją się o swoje dalsze losy, choć nikt nie ośmiela się nawet wspomnieć o wydarzeniach ostatnich pięciu dni. Czuliśmy się naprawdę zmęczeni, gdy przyjęcie się skończyło. Fotoreporterzy bez przerwy prosili o pozowanie do zdjęć.

5 lipca 1934. Czwartek.

Pewien znany profesor uniwersytetu berlińskiego przyszedł do mnie w południe, żeby porozmawiać w sprawie przemówienia, które miałem wygłosić 13-go do profesorów i studentów wydziału historycznego. Uzgodniliśmy, iż będzie najlepiej, jeżeli spotkanie to zostanie odwołane. Gdybym się teraz pojawił wśród profesorów uniwersytetu, mogłoby to stać się dla nich źródłem kłopotów, a nawet poważniejszych przykrości; ja również mógłbym czuć się nieswojo, gdyby jakaś gazeta napisała w związku z tym coś niewłaściwego.

Ostatnie wydarzenia bardzo profesora zaniepokoiły. Powiedział, że artykuł wstępny londyńskiego „Timesa” z 3 lipca, w którym mowa jest o nawrocie Niemiec do czasów średniowiecza, odpowiada prawdzie. „Biedne Niemcy —

powiedział — dziesiątki lat upłyną, zanim podniosą się z tego upadku. Gdybym mógł wyjechać do jakiegokolwiek innego większego kraju, porzuciłbym mój uniwersytet natychmiast". Oto co czuje dziś większość profesorów i studentów. Zdaniem profesora Hitler obudził w ludziach dzikie i barbarzyńskie instynkty, które od dawna uważano za wygasłe. Moim zdaniem mamy tu do czynienia z charakterystyczną cechą mentalności narodowosocjalistycznych mas. W Anglii tego rodzaju nastawienie zniknęło bezpowrotnie wraz z dynastią Stuartów w 1688 r.

6 lipca 1934. Piątek.

Przysłała dziś rano depesza od ministra Hulla, żebym zaprotestował wobec niemieckiego rządu przeciwko temu, że Niemcy chcą nadal spłacać swoich brytyjskich wierzycieli w ramach planu Dawesa i Younga, a jednocześnie oświadczają, że nie będą spłacali w ramach tego samego planu wierzycieli amerykańskich. Składałem protesty w sprawie tej dyskryminacji już trzy razy, ale wszystkie pozostały bez echa, gdyż eksport z Niemiec do Stanów Zjednoczonych wynosi tylko jedną czwartą eksportu ze Stanów Zjednoczonych do Niemiec. Długi trzeba płacić, odsetki się należą, ale bilans płatniczy Niemiec absolutnie nie może sobie dać rady ze spłatą tych zobowiązań.

O 5.30 spotkałem się z Neurathem i wręczyłem mu telegram Hulla. Obaj byliśmy w kłopotliwym położeniu. Neurath dobrze wiedział, że Niemcy postąpiły bezprawnie przyrzekając płacić Anglikom, a odmawiając płacenia Amerykanom; ja też o tym wiedziałem; obaj wiedzieliśmy również, że w istocie Niemcy nie są w stanie płacić nawet Anglikom. Muszą im to przyrzekać, gdyż liczą na to, że w ten sposób powstrzymają Anglię od poparcia Francji w razie wojny, która może wybuchnąć każdego dnia, jeżeli w Niemczech wezmą górę bardziej nieopanowane elementy. Von Neurath prosił mnie więc o powiadomienie Hulla, że jest mu bardzo przykro i że będzie płacił, gdy tylko znajdą się na to środki, ale jest to bardzo mało prawdopodobne. Bilans Reichsbanku pogarsza się z tygodnia na tydzień.

Gdy skończyliśmy omawianie tego dylematu bez wyjścia, zagadnąłem go o ostatnie wstrząsające wydarzenia. Von Neurath powiedział, że w zeszłą sobotę Hitler, Göring i Goebbels mieli zostać zabici, a wszyscy członkowie rządu uwięzieni. Na czele nowego rządu mieli stanąć Schleicher i Röhm, a oddziały SA miały zająć miejsce dotychczasowych sił rządowych. Oznaczałoby to wojnę domową, dodał Neurath. Ja dużo nie mówiłem, tylko zapytałem, czy teraz Hitler naprawdę się liczy z jego zdaniem i poglądami innych rozsądnych członków rządu. Odpowiedział krótko: „Tak”. Wróciłem do ambasady i natychmiast wysłałem depeszę do ministra Hulla w sprawie tej interesującej rozmowy.

Wieczorem, na nieoficjalnym obiedzie, gościliśmy Charles R. Crane'a i jego syna Richarda. Obecni byli również baron von Bülow, admirał Spindler, emerytowany oficer marynarki wojennej i autor trzypięciotomowego dzieła o historii niemieckiej floty w czasie wojny światowej, oraz trzy czy cztery inne osoby. Zaproszeni byli również: Kronprinz, generał Göring, minister oświaty Rust, ambasador Nadolny i b. minister von Kühlman, ale wszyscy wymienieni z różnych dziwnych powodów zaproszenia nie przyjęli. Wiem, że Kronprinz chciał przyjść, ale od 30 czerwca znajduje się pod policyjnym nadzorem. Göring przez cały tydzień kierował akcją zabijania oponentów reżymu (zabitych zostało ogółem ponad 75 osób), odetchnąłem więc z ulgą, że nie przyszedł.

Nie wiem, co bym zrobił, gdyby się zjawił. Ambasador Nadolny, który został zwolniony ze swego stanowiska w Moskwie za to, że zabiegał o zawarcie umowy handlowej między obu krajami, nieprzypadkowo chyba przebywa za granicą. Rust w ogóle nie odpowiedział na moje zaproszenie, a Kühlmann wyjechał do południowych Niemiec. Dla obu panów Crane ich nieobecność była zrozumiała, ale okrutnych wyczynów z ostatnich dni nie potępili.

Ledwo zdążyłem usiąść do stołu, gdy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem, że jeden z fotografów „New York Timesa”, który nieraz fotografował nasz dom i całą naszą rodzinę, został aresztowany z tego powodu, iż numer jego samochodu był przypadkowo ten sam, co jakiegoś samochodu widzianego przed domem gen. Schleichera, zanim generał został zamordowany. Zadzwoiłem do naszego konsula generalnego i poprosiłem go, żeby skontaktował się w tej sprawie z policją i postarał się o zwolnienie z aresztu tego amerykańskiego pracownika, mimo że jest on Niemcem, o ile władze nie udowodnią mu winy lub nie oskarżą go o jakieś przestępstwo. Konsul Geist zaraz przystąpił do działania i właśnie kończyliśmy obiad, gdy zjawił się razem z Birchalem z „Timesa”, żeby mnie powiadomić, iż fotograf został zwolniony. Tego rodzaju powtarzające się wciąż wypadki, chociażby nie dotyczyły Amerykanów, nie przyczyniają się do osłabienia panującego napięcia. Ale przyjęcie się udało; starszy Crane był bardzo zabawny i przez cały wieczór opowiadał różne ciekawe historyjki.

Ciekawy incydent w tym tygodniu: Gdy 4 lipca dowiedziałem się, że wicekanclerz von Papen został wypuszczony z aresztu, wysłałem do niego krótki list, w którym życzyłem mu wszystkiego najlepszego i deklarowałem chęć odwiedzenia go, gdyby mu to odpowiadało. List włożyłem do koperty z nadrukiem ambasady i wysłałem do Papena przez gońca. Gонец przez omyłkę zostawił go w biurze wicekanclerza. Gdy 5-go zatelefonował do mnie syn Papena, zapytałem go, czy jego ojciec otrzymał mój list. Odpowiedział „Nie”. Wysłałem wówczas gońca do człowieka, który pokwitował odbiór listu, żeby go zapytał, co z nim zrobił. Odesłał gońca do urzędnika policyjnego, który w drugim pokoju asystował przy wynoszeniu biurowych mebli. Urzędnik wyjaśnił, że mój list został przekazany tajnej policji. Typowo hitlerowskie metody. To już drugi mój list otwarty przed doręczeniem go adresatowi.

7 lipca 1934, Sobota.

Do 12-ej byłem w biurze. Po południu o 4-ej pojechałem do mojego dawnego profesora w Lipsku, Ericha Marcksa. Rozmawialiśmy przy herbacie przez całą godzinę. Profesor i jego syn, oficer Reichswehry, byli smutni i niespokojni. Starszy syn Marcksa był parę lat temu prywatnym sekretarzem gen. Schleichera i cała rodzina ucieszyła się, gdy się dowiedziała, że jak dotychczas nic mu się nie stało. Dostali od niego 6 lipca list, bardzo ostrożnie zredagowany, ale świadczący, że jest cały i zdrowy. Jest wyższym oficerem Reichswehry w Münster.

8 lipca 1934. Niedziela.

Otrzymałem telegram od ministra Hulla, który prosi, żebym raz jeszcze porozmawiał z władzami niemieckimi i postarał się wpłynąć na zmianę ich

stanowiska w sprawie długów. Społeczeństwo amerykańskie nie rozumie tego problemu i Minister uważa za konieczne, żebyśmy w dalszym ciągu naciskali niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Pójdą tam jutro, żeby zobaczyć, czy można uzyskać jakieś zadowalające rozwiązanie. Nie widzę innego wyjścia poza formalnym moratorium.

Dzisiaj miałem znowu ciekawy przykład, jak naiwne jest podejście Niemców do problemów międzynarodowych. Korzystająca z pomocy rządowej Fundacja Carla Schurza wydaje dzisiaj obiad w Automobilklubie. Obiecałem, że wezmę udział w poprzedzającym go przyjęciu. Ale prezes Fundacji zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy nie zechciałbym wygłosić krótkiego przemówienia, poświęconego osobie Hindenburga, jeżeli po obiedzie Hindenburg zainauguruje dyskusję przemówieniem na temat Roosevelta. Wygłoszenie w obecnej chwili przemówienia o Rooseveltcie przez jedną z czołowych figur nazistowskich Niemiec byłoby na pewno rzeczą niepożądaną, moja zaś ewentualna replika poświęcona człowiekowi, który aprobował niedawną masakrę, musiałaby wywołać oburzenie całego narodu amerykańskiego. Udzieliłem więc odpowiedzi odmownej i żeby nie narażać się na kłopotliwą sytuację, nie przyjąłem również zaproszenia na obiad.

W takich sprawach nawet najlepsi Niemcy dają się łatwo wprowadzić w błąd. W całych Niemczech panuje ogromne napięcie. Nastawienie zagranicy w stosunku do Niemiec jest niemal bez wyjątku wrogie. We wspomnianym obiedzie bierze w tej chwili udział około pięćdziesięciu Amerykanów. Wszyscy muszą być zdenerwowani; niektórzy mówili mi dziś po południu, że prosili o niepodawanie do prasy żadnych wiadomości o tym przyjęciu i obiedzie, gdyż obawiają się opacznego zrozumienia ich intencji przez społeczeństwo amerykańskie. Trudno sobie wyobrazić obecnie kraj opanowany większą psychozą niż Niemcy. Za „zwariowaną” niemal w tym samym stopniu, uważałem w 1928 r. Francję.

Jestem tu po to, żeby pracować dla pokoju i polepszenia stosunków niemiecko-amerykańskich. Nie wyobrażam sobie, żeby można było w tej sprawie cokolwiek zrobić, dopóki Hitler, Göring i Goebbels są u steru władzy. Nigdy jeszcze nie słyszałem ani nie czytałem o ludziach, którzy by w mniejszym stopniu niż oni nadawali się do sprawowania tak wysokich funkcji. Czy nie należałoby podać się do dymisji?

IV. OD 9 LIPCA 1934 DO 1 WRZEŚNIA 1934 ROKU

9 lipca 1934. Poniedziałek.

Dowiedziałem się dziś rano, że prof. Morsbach, który zaprosił grupę profesorów i studentów amerykańskich na jednomiesięczną wycieczkę do Niemiec (zajmuje się rozdzielaniem stypendiów na międzynarodową wymianę studentów), został wtrącony do więzienia i grozi mu śmierć. Tak się złożyło, że jest jakimś znajomym czy może nawet przyjacielem szefa sztabu SA Röhma, który 30 czerwca został zamordowany w Wiessee koło Monachium. Kierownictwo tej finansowanej przez Fundację Carla Schurza wycieczki oświadczyło mi, iż jest zdumione, że człowiek, który ich zaprosił, padł ofiarą nieuzasadnionych represji i to właśnie w chwili, gdy zaproszeni przez niego Amerykanie przybyli do Niemiec. Zapytują mnie, czy mogę coś w tej sprawie uczynić. Ponieważ Morsbach jest obywatelem niemieckim, jego sprawa do mojej kompetencji nie należy. Uwzględniając jednak jej niecodzienność, wezwałem p.o. konsula generalnego Geista i poleciłem mu, żeby przeprowadził odpowiednie dochodzenia i o wyniku ich poinformował amerykańskich gości.

11 lipca 1934. Środa.

Przyszedł Geist i powiedział, że prof. Morsbach jest w obozie koncentracyjnym koło Wittenbergi. Jest ostrzyżony do gołej skóry; ubrany jest jak robotnik rolny, na piersiach koszuli ma literę „L” (pierwszą literę nazwy obozu: Landsberg); od chwili uwięzienia nie wolno mu było się ogolić. W obozie przebywa trzystu wysterylizowanych niemieckich robotników. Przy rozmowie z Morsbachem obecni byli funkcjonariusze policyjni, którzy przywieźli Geista na to odludzie, oraz komendant obozu. Gdy Geist żegnał się z prześladowanym przez hitlerowców profesorem, Morsbach powiedział: „Proszę przekazać ode mnie pozdrowienia i podziękować amerykańskiemu ambasadorowi”. Geist twierdzi, że w tym momencie wszyscy hitlerowcy zrobili zdziwione miny.

12 lipca 1934. Czwartek.

Wydaliśmy przyjęcie dla czterdziestu gości Fundacji Carla Schurza. Są to ludzie interesujący i na pewno nieprzeciętni. Wiele słów uznania mieli dla uprzedząco grzecznych Niemców, którzy w charakterze półurzędowym oprowadzali ich po Berlinie i starym Poczdamie, ale wszyscy mówili: „Dziw-

na rzecz, nie możemy się od nikogo dowiedzieć niczego o tych okropnych wyczynach ani też o reakcji społeczeństwa. Nikt nie pozwala sobie na jakąkolwiek uwagę, a gazety nie podają żadnych faktów".

Przyjęcie zakończyło się o 6.30; w godzinę później pojechaliśmy na obiad do Fritza Kreislera, do jego wspaniałej willi w Dahlem. Kreisler nie ma prawa dyrygować ani koncertować w Niemczech, bo jest Żydem. Na przyjęciu było dużo Niemców i Amerykanów, ale nikt nie pozwalał sobie na otwarte wypowiedzi na inne tematy niż Stany Zjednoczone i sztuka; o sztuce powiedziałem, że jest w Europie w przededniu ostatecznego upadku.

Czy to nie dziwne, że Niemcy nie miały żadnej literackiej gwiazdy od czasów Goethego, że w Anglii nie ma wielkich pisarzy od wojny światowej, że w Stanach Zjednoczonych nie było żadnego wielkiego historyka od czasów Henry Adamsa, ani żadnego wielkiego pisarza od czasów Marka Twaina i że na całym świecie jest tak mało artystów prawdziwie wielkich, wykazujących się prawdziwie twórczą działalnością? Kreisler, który z dumą pokazywał mi opatrzoną autografem fotografię Mussoliniego, powiedział: „To dlatego, że poza Niemcami i Włochami wszędzie mamy teraz rządy demokratyczne, a dyktatura w tych dwóch krajach trwa zbyt krótko, żeby mogli narodzić się nowi mistrzowie". To rozumowanie jest fałszywe, wielcy pisarze i historycy rodzą się wbrew dyktaturom i mecenatom, a nie dzięki nim.

Jakaś poczciwa Niemka, bliska przyjaciółka Kreislerów, zawzięła się, żeby mi pokazać fotografię swego dziecka, silnego i zdrowo wyglądającego sześciomiesięcznego bobasa; powoływała się przy tej okazji na doktrynę Hohenzollernów (dziś jeszcze silniej akcentowaną przez Hitlera), że „zajęciem kobiety jest Kirche, Kinder, Küche (kościół, dzieci i kuchnia)". Wyglądała na całkowicie nadającą się do spełnienia tej misji. Dyskusji na ten temat wolałem nie podejmować.

13 lipca 1934. Piątek.

Pracowity dzień. O 9.30 przyjąłem grupę Amerykanów, którzy bardzo mnie prosili, żebym im udzielił wyjaśnień na temat hitlerowskich Niemiec. Poświęciłem im godzinę czasu, bo to byli z zawodu nauczyciele i pisarze. Niektóre z moich wypowiedzi miały charakter poufny i musiałem się zastrzec, że nikomu nie wolno będzie w tym przypadku na mnie się powoływać. Może napotkam kiedyś jakieś echa moich słów w prasie amerykańskiej, ale jak dotychczas niemal wszyscy ludzie, z którymi rozmawiałem szczerze w moim domu, zachowali się wobec mnie lojalnie. Nie potrzebowałem jak dotąd na nikogo się uskarżać, a przecież gdyby ktoś ujawnił mnie jako źródło pewnych informacji czy komentarzy, na pewno miałbym z tego powodu wiele kłopotu.

Dziś o 8-ej wieczorem w odbudowanym po zeszłorocznym pożarze gmachu dawnego Reichstagu, Kanclerz ma uzasadnić wobec całego świata morderstwa, które popełnił od dnia 29 czerwca. Wszyscy z niecierpliwością oczekują tej chwili, takie odnoszę wrażenie. W ubiegły wtorek postanowiłem sobie, że nigdy już więcej nie pojedę słuchać Kanclerza ani też nie będę prosił go o rozmowę, chyba że będzie chodziło o sprawy ściśle urzędowe. Widok tego człowieka przejmuje mnie zgrozą. Gdy więc w środę po południu sir Eryk Phipps zapytał mnie u siebie w domu: „Idzie Pan posłuchać Kanclerza w piątek?", odpowiedziałem: „Nie". Żartobliwym tonem zauważył, że będzie to chyba „wspaniałe widowisko z reflektorami, fotografami i wielką pompą". Odpowiedziałem: „Czuję do niego wstręt, nie mogę na niego patrzeć".

Po omówieniu stosunków brytyjsko-amerykańskich w zakresie długów, oświadczyłem Phippsowi, że angielscy wierzyciele nie powinni domagać się uprzywilejowania w stosunku do wierzycieli amerykańskich, skoro Niemcy winni są Amerykanom w ramach planu Dawesa-Younga dwa razy tyle co Anglikom. „Czy nie sądzi Pan — zapytałem — że uchwała brytyjskiego parlamentu zobowiązująca zbankrutowane Niemcy do płacenia długów została przeforsowana przez zainteresowane strony bez należytego zastanowienia?” Zgodził się z tym, ale dodał: „Nie jestem upoważniony do prowadzenia na ten temat rozmów oficjalnych. Osobiście uważam, że ma pan rację i że byłoby lepiej, gdyby z uwagi na sytuację międzynarodową Anglia i Francja ustosunkowały się do niemieckiego moratorium w tym samym duchu co Amerykanie”. Obiecał, że porozmawia na ten temat na Downing Street, gdy w przyszłym tygodniu pojedzie do Anglii. Powiedziałem mu, że o najważniejszych punktach naszej rozmowy poinformuję telegraficznie Departament Stanu, który znajduje się pod silną presją opinii publicznej, domagającej się równouprawnienia amerykańskich wierzycieli.

W piątek po południu odbyłem spacer po Tiergartenie z francuskim ambasadorem François-Poncetem. Tiergarten to jedyne poza domem miejsce, w którym mogę obecnie czuć się spokojny. François-Poncet był wściekły na Niemców, że oskarżyli go o kunszachy ze Schleicherem i Röhmem, i że Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie potrafiło zmusić Göringa i Goebbelsa do publicznego odwołania tego zarzutu. Dał mi własną interpretację tego tzw. spisku obcych mocarstw przeciwko Niemcom. Znał dość dobrze Schleichera; był z nim razem na obiedzie, a także z Röhmem; mówiło się wówczas o tym, że trzeba wywrzeć nacisk na Hitlera i rząd francuski, aby się zgodzili na jakiś rozsądny kompromis w sprawie rozbrojenia. To wszystko.

Odrzuciłem zaproszenie ambasadora do złożenia mu wizyty w domu, ponieważ obawiałem się, że moja wczorajsza wizyta u Anglika plus dzisiejsza wizyta u Francuza mogłaby być zrozumiana przez obserwujących mnie Niemców, jako pragnienie namówienia obu ambasadorów do pozostania w domu w czasie przemówienia Kanclerza. Stąd nasz godzinny spacer po słynnym parku. Ale żegnając się François-Poncet sam mi powiedział, że na mowę Hitlera nie pójdzie. Dodał, iż sytuacja tak się zaostrzyła, że — cytuję — „Wcale bym się nie dziwił, gdyby mnie tu w Berlinie zastrzelono na ulicy. Dlatego też moja żona jest w Paryżu. Niemcy nas nienawidzą, a ludzie, którzy nimi rządzą to wariaci”.

Osobiście nie czuję się zagrożony, choć rozumiem, że sfery rządzące nie mogą mnie lubić: moja cała filozofia życiowa tak bardzo różni się od ich własnej i muszą o tym wiedzieć. Wybitni niemieccy profesorowie i przywódcy starego reżymu przychodzą do mnie i z całym zaufaniem mówią mi o faktach i poglądach, których ujawnienie byłoby dla nich równoznaczne z wyrokiem śmierci. Żal mi ich. Jednak ci ludzie nie rozumieją, co jest prawdziwą przyczyną, że w Niemczech panuje obecnie terror. Nie wiedzą, że jest nią fakt, iż ruch wolnościowy 1848 r. nie przekształcił się w system demokracji parlamentarnej i że Bismarck nie zdobył się na wyrwanie Prusaków z psychozy brutalnego militarizmu, którą ugruntowały sukcesy Fryderyka Wielkiego. Bismarck miał szansę, żeby to uczynić po zakończeniu wojny 1866 r., a po raz drugi w 1871 r., gdy skupił w swym ręku całą władzę; mógł wówczas nie zgodzić się na aneksję Alzacji i Lotaryngii. Mógł przysłużyć się Niemcom Fryderyk III, ale rak krtani zabił go w niecały rok po koronacji. Niemieccy historycy tego wszystkiego nie rozumieją, nawet historycy z okresu republiki w latach 1919—1933.

O 8-ej włączyliśmy radio i wysłuchaliśmy mowy Hitlera. Z gniewem, grając na uczuciach słuchaczy, mówił o tym, jak to spiskowcy chcieli go zamordować, i on musiał tych „zdrajców” zabić. Głównym zdrajcą, który snuł swoje podstępne intrygi przez kwiecień, maj i czerwiec, okazał się Röhm, człowiek, który w 1923 r. siedział razem z Hitlerem przez szereg miesięcy w więzieniu i wspólnie z nim stoczył długą i bezlitosną walkę o obalenie republiki w Niemczech. Drugim z kolei przestępcą był Schleicher, obaj mieli knuć swoje plany w porozumieniu z obcymi dyplomatami. Osobiście nie bardzo wierzę, żeby Röhm faktycznie chciał obalić Hitlera i zabić kilku członków rządu.

Hitler ujawnił, że Röhm zgromadził i wydał na swoje niegodziwe cele 12 milionów marek. Oczywiście ani Röhm, ani żaden z jego towarzyszy nie mieli możliwości niczemu zaprzeczyć. Oświadczenie Hitlera, że Niemcy, którzy zachowują w tajemnicy treść swoich rozmów z przedstawicielami obcych państw, będą uważani za zdrajców i karani śmiercią, nie może przyczynić się do polepszenia stosunków z zagranicą. Byłem zadowolony, że nie pojechałem na to zebranie: inscenizowane oklaski mieszały się z wrzaskiem tłumu, który, jak można było zorientować się z audycji, wielokrotnie wstawał z miejsc i oddawał cześć Hitlerowi przez podniesienie ręki do góry. Była godzina dziesiąta, gdy Kanclerz opuścił salę wśród oklasków wszystkich obecnych z wyjątkiem dyplomatów.

14 lipca 1934. Sobota.

Jadłem lunch z dr. Schachtem w słynnej galowej sali jadalnej Reichsbanku. Obecny był również minister finansów Schwerin-Krosigk. Mówiono o nim, że parę dni spędził w areszcie. Był na wczorajszym spotkaniu z Kanclerzem, lecz nic o nim nie mówił. Ale ja wiedziałem, co na ten temat myśli. Schacht powiedział, że o nim również mówiono, iż został zastrzelony. Poszedłem pieszo do domu razem z radcą Johnem C. Whitem. Po południu i wieczorem miałem zupełny spokój; przez dwie godziny pisałem swoje *Dawne Południe*.

15 lipca 1934. Niedziela.

W południe przyszedł do mnie na pół godziny wicekanclerz von Papen i opowiadał mi o przerażających wydarzeniach ostatnich dwóch tygodni. Zastrzelony został jego zaufany współpracownik von Bose; przypuszczalnie za utrzymywanie kontaktu ze Schleicherem*. Papen był bardzo zdenerwowany i prosił mnie, żebym niczego, o czym mi mówił, nie przekazywał ani prasie, ani Departamentowi Stanu.

Wczoraj był u niego przez godzinę Hitler i prosił go o pozostanie w rządzie i dalszą współpracę. Papen odpowiedział, że chwilowo nie może mu niczego obiecać. Mnie dał do zrozumienia, że nienawidzi Göringa i Goebbelsa. Powiedział, że zażądał przedstawienia mu dowodów winy swych współpracowników, z których jeden został zabity, a pozostali wtrąceni do więzienia: ogolono im głowy i trzyma się ich w absolutnej niepewności jutra. Tak postępuje Hitler

* Według niektórych autorów Herbert von Bose był jednym z trzech redaktorów przemówienia Papena w Marburgu. Pozostałymi mieli być Edgar Jung i Erich Klausener. Wszyscy trzej zginęli.

z ludźmi, których podejrzewa o zdradę. Papen wyraził się również bardzo krytycznie o Neuracie, który jego zdaniem „nic nie robi”. Ponieważ wóz Papena stał przed ambasadą prawie godzinę, dziennikarze amerykańscy dowiedzieli się o jego wizycie i zawiadomili o niej telegraficznie swoje redakcje. Tajna policja niemiecka wie już zapewne dużo więcej na ten temat.

16 lipca 1934. Poniedziałek.

Lunch w domu z rosyjskim ambasadorem, który w przyszłą niedzielę wraca na stałe do kraju. Jego nazwisko wymawia się „Khinchuck”, nie sędzę jednak, żeby się tak samo pisało. Nie jest komunistą, ale dzielnie walczy w obronie interesów komunizmu.

Obecny był także brytyjski ambasador sir Eryk Phipps i pan Harry Hopkins, który, jak się zdaje, cieszy się pełnym zaufaniem prezydenta Roosevelta. Sir Eryk był jak zwykle małomówny. Pan Hopkins był bardzo miły; wyraził zadowolenie, że nie zamówiliśmy mu spotkania z Hitlerem, jak o to prosił telegraficznie. Powiedział, że wstydziłby się podać rękę temu mordercy.

Inny gość, George Harrison, prezes Federal Reserve Bank z Nowego Jorku, był bardziej liberalny w swych poglądach filozoficznych, niż przypuszczałem, ale za to bardzo zafrasowany tym, że Anglia kazała Niemcom płacić sobie 6—7 procent od pożyczonych im w ramach planu Dawesa-Yunga 100 milionów dolarów, podczas gdy wierzyciele amerykańscy, którzy w ramach tego samego planu pożyczyci Niemcom 200 milionów dolarów, nie otrzymują żadnych odsetek. Za dwa dni razem z prezesem Banku Anglii, Montagu Normanem jedzie do Ameryki. Norman uważa, że rząd brytyjski popełnił błąd, żądając uprzywilejowania angielskich wierzycieli.

O 5.30 przekazałem Neurathowi protest rządu Stanów Zjednoczonych, którego zdaniem Niemcy nie powinni płacić odsetek wierzycielom brytyjskim, jeżeli nie są w stanie płacić ich wierzycielom amerykańskim. Neuratha martwi ta sprawa w równym stopniu, co mnie. Orientuje się doskonale, że jeżeli sytuacja się nie zmieni, Niemcy nie będą w stanie płacić w ogóle żadnych zobowiązań. Byłem u ministra tylko 10 minut.

17 lipca 1934. Wtorek.

Byłem na lunchu wydanym przez François-Ponceta na cześć Chinczuka; wśród gości był sir Eryk Phipps, jak również ambasador Hiszpanii. Była to jak najbardziej konwencjonalna i protokolarna impreza. Przy stole mówiło się więcej o tym, co było kiedyś niż o obecnej sytuacji w Europie. Gdy całe towarzystwo przeszło na pół godziny do sali recepcyjnej, sir Eryk Phipps wziął mnie na stronę i zapytał, czy moim zdaniem korpus dyplomatyczny nie powinien w październiku poprosić swego dziekana, tzn. Nuncjusza, żeby wyjaśnił w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, czy nie powinniśmy zaprzestać przyjmowania w naszych domach niemieckich osób urzędowych, a to z uwagi na oświadczenie Kanclerza potępiające udział Niemców w dyplomatycznych przyjęciach. Przyznawszy, że taki krok z naszej strony powinien być dokonany, dodałem: „Uważam, że powinniśmy się wszyscy również porozumieć co do ograniczenia wielkich obiadów i przyjęć”. Zgodził się z tym. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Niemcy teraz na pewno boją się pokazywać w domach obcych dyplomatów.

19 lipca 1934. Czwartek.

Byliśmy z żoną gośćmi niemieckich bankierów na obiedzie w rezydencji Manna w Dahlem. Ku memu zdziwieniu obecny był również von Ribbentrop, zaufany negocjator Hitlera. Był z lekka zdenerwowany: w październiku wybiera się do Stanów Zjednoczonych; w rozmowie podkreślił fakt, że Stany Zjednoczone mają złota za 8 miliardów dolarów, a Niemcy tylko za 20 milionów! „Jak wasz kraj może w ogóle na coś narzekać?”

Wróciliśmy do domu pod silnym wrażeniem, że bankierzy obawiają się, że Niemcy się załamią. Nikt nie wierzy, żeby Hitler potrafił pokierować losami tego kraju.

22 lipca 1934. Niedziela.

Przez dwie godziny byłem w biurze. O 12.30 poszedłem na pół godziny na spacer do Tiergartenu: widać było, jak park odświeżył się po deszczu, który spadł ubiegłej nocy; chociaż wiązy, dotknięte jakąś dziwną chorobą, nic się nie poprawiły. O 1.30 zasiedliśmy do niedzielnego obiadu w towarzystwie pana Diehna oraz kilku profesorów i innych osób, którym towarzyszyły ich żony. Chociaż nikt nie lubi na ogół być szczery w obecności Diehna, wszyscy ostro krytykowali ustrój hitlerowski i jego barbarzyństwo, twierdząc, że czegoś podobnego nie było od czasów średniowiecza. Jeden z profesorów, a także jego żona długo mówili o obecnych Niemczech, i najbardziej ze wszystkich ubolewali nad ich losem. Byłem tym trochę zaskoczony, gdyż orientowałem się, na co się narażają, w razie gdyby ktoś z obecnych zrobił na nich donos.

24 lipca 1934. Wtorek.

Byłem razem z Mattie i Williamem na obiedzie u Ribbentropa. Ma piękną willę w Dahlem, na jej zapleczu rozciąga się cudowny trawnik. Przyjechaliśmy o 8.10. Gościem honorowym był ambasador włoski Cerutti, wyjątkowo małomówny przez cały wieczór. Wśród gości był również Henry Mann z żoną. Był on dawniej zwolennikiem narodowego socjalizmu, ale obecny reżym hitlerowski doprowadza go do pasji. Opowiedział nam, jak około 1 lipca, jednego z jego sąsiadów wywabiono z domu, zaprowadzono pod jakimś pretekstem na jego, Manna, posesję i tam go zamordowano. Przez cały dzień trup leżał na schodkach willi, a gdy go stamtąd zabrano, policja kazała służbie Manna zmyć ślady krwi.

Inna dziwna historia: mówiono, że hr. Helldorf, szef policji w Poczdamie został zastrzelony 30 czerwca. Zdumieliśmy się więc, gdyśmy zostali przedstawieni „hrabiemu Helldorfowi, szefowi policji Poczdamu”. Hrabia miał na sobie mundur hitlerowski i nie przejawiał zbytniej chęci do rozmowy. Jego żona siedziała po mojej lewej stronie, tłumaczyła mi, na czym polega mądrość hitlerowskiego prawa o sterylizacji i wyjaśniała potrzebę sterylizacji wszystkich Murzynów w Stanach Zjednoczonych. „Jeżeli tego nie uczynicie, wasz kraj stanie się pewnego dnia własnością Murzynów. Białej ludności wam nie przybywa, bo zabroniliście imigracji.” Gdy towarzystwo wstało od stołu, hra-

bina Helldorf dla odmiany zaczęła mówić o zdegenerowanych Żydach, którzy nigdy nie pracują i nigdy nie osiedlają się w krajach, w których ludność nie pozwala im się wyzyskiwać. Hrabia podzielał stanowisko żony. Ambasador Włoch milczał.

Byłem zaskoczony i z lekka urażony obecnością na obiedzie młodego Jamesa Lee, syna Ivy Lee, tego sprytnego propagandzisty wielkiego businessu, który chyba już od przeszło roku usiłuje sprzedać ustrój narodowosocjalistyczny amerykańskiemu społeczeństwu. Prowadzone przez Dicksteina z ramienia Izby Reprezentantów dochodzenie ujawniło, że Ivy Lee otrzymuje rocznie za tę robotę 33 000 dolarów. Dlaczego to Ribbentrop zaprosił jednocześnie z nami Helldorfa i Lee?

Gdy wróciliśmy do domu porządnie zmęczeni i zniechęceni, była godzina 11. Przed zaśnięciem zjadłem smaczne pieczone jabłko i wypłem szklankę mleka.

25 lipca 1934. Środa.

Pracowity dzień: przygotowywanie, sprawdzanie i podpisywanie raportów dla Waszyngtonu. Ktoś mi opowiedział fantastyczną historię o jakimś spisku Żydów i Hohenzollernów w celu odebrania władzy Hitlerowi. Szykowano się do tego przez zimę i wiosnę; zagraniczni Żydzi przysłali 12 milionów marek. Zamieszany w tę historię Kronprinz miał za długi język. O spisku dowiedziała się tajna policja Göringa. Należeli do niego również Röhm i Schleicher. Von Papen poinformował Hindenburga, ten zaś zmusił w końcu Hitlera do działania: tak doszło do zbrodni 30 czerwca. Myślę, że o tej fantastycznej historii doniesiono mi umyślnie, żeby mnie wprowadzić w błąd co do prawdziwej przyczyny terroru.

O 5-ej, gdy miałem u siebie delegację amerykańskich specjalistów, badających gospodarkę komunalną w Niemczech, konsul Geist poinformował mnie telefonicznie o rozmowie, jaką przed chwilą przeprowadził z posłem Messersmithem w Wiedniu. Od pięciu godzin w Austrii trwa nazistowska rewolta. Dollfuss został obalony i zgodził się przekazać władzę nazistom. Ale wkrótce potem oddana Dollfussowi Heimwehra uwolniła dyktatora Austrii, który natychmiast odwołał wszystkie swoje przyrzeczenia*.

Poprosiłem Geista, żeby przyszedł odprowadzić mnie do domu. Idąc z nim razem wzdłuż kanału, powiedziałem, że Messersmith postąpił bardzo niemądrze, telefonując do konsulatu. Biorąc pod uwagę, że Messersmith jest znany ze swej wrogości do narodowego socjalizmu i że zarówno ja, jak Geist, jesteśmy stale obserwowani, takie nieogłędne informacje telefoniczne mogą być uznane przez Niemców za swego rodzaju intrygi dyplomatyczne i przynieść szkodę zarówno nam osobiście, jak i naszemu rządowi. Ostrzegłem Messersmitha przed jego wyjazdem do Wiednia, żeby takich rzeczy nie robił, ale nie ostrzegłem widać dość wyraźnie Geista.

26 lipca 1934. Czwartek.

Bardzo dużo pracy. Wysłałem dwa telegramy do Waszyngtonu o nazistowskim puczu w Austrii.

* Kanclerz Dollfuss został tego dnia zamordowany przez austriackich narodowych socjalistów.

Wszystko świadczy o tym, że napaść na Austrię poparło, a może nawet zaplanowało niemieckie Ministerstwo Propagandy. Ernst Hanfstaengl powiedział mi w lutym, iż przywiózł z Włoch brzmiące niemal jak rozkaz żądanie Mussoliniego, aby Niemcy zostawili Austrię w spokoju; mieli również zwolnić ze stanowiska i zmusić do milczenia Theodora Habichta, który z Monachium kierował całą akcją, mającą na celu przyłączenie Austrii do Rzeszy. W maju i czerwcu Mussolini zachowywał się tak, jakby zgadzał się z antyfrancuską i antyrosyjską polityką Niemiec, a 18 czerwca w Wenecji* Hitler — jak opowiadano — miał przyrzec Mussoliniemu, że zostawi Austrię w spokoju. W każdym razie prasa niemiecka zrobiła dużo hałasu wokół tego przyjacielskiego porozumienia dwóch „największych mężów stanu” w Europie. Potem 30 czerwca Hitler wymordował „zdrajców” i ich pomocników.

Z przyzwolenia Mussoliniego, który sam zamordował więcej Włochów niż Hitler zamordował dotychczas Niemców, prasa włoska zdecydowanie potępiła Hitlera. W poniedziałek 23 lipca po całej serii hitlerowskich zamachów bombowych w Austrii, policja szwajcarska skonfiskowała na Jeziorze Bodeńskim statek z ładunkiem materiałów wybuchowych. Była to przesyłka bomb i amunicji z jakiejś niemieckiej fabryki broni do Austrii. Uważałem to za zły omen, ale nie napisałem o tym do Waszyngtonu, gdyż wypadki tego rodzaju były na porządku dziennym.

Dzisiaj na moim biurku znalazły się dowody, że wczoraj aż do godziny 11 wieczór rząd niemiecki kierował do prasy oficjalne komunikaty, wyrażające radość z powodu upadku Dollfussa i zapowiadające rychłe powstanie Wielkich Niemiec. Poseł niemiecki w Wiedniu dopomógł faktycznie do utworzenia nowego rządu**. Wymusił również, jak o tym teraz dowiedzieliśmy się, obietnicę, że bandzie morderców, rekrutujących się spośród austriackich nazistów, wolno będzie ująć cało do Niemiec. Ale około 12-ej w nocy dowiedziano się, że chociaż Dollfuss zginął, wierni mu Austriacy otoczyli pałac kanclerski i nie dopuścili do utworzenia nowego narodowosocjalistycznego rządu, a morderców uwięzili. W tej sytuacji niemieckie Ministerstwo Propagandy zabroniło ogłaszania wysłanych jeszcze przed godziną informacji i usiłowało wycofać wszystkie wydane przez siebie biuletyny. Jeden egzemplarz takiego biuletynu prasowego przyniósł mi dzisiaj jeden z moich znajomych.

Wszystkie dzisiejsze poranne gazety ubolewają nad tym okrutnym morderstwem, twierdząc, że był to zamach dokonany przez rozgoryczonych Austriaków, a nie nazistów. Wiadomości z Bawarii mówią, że już na dziesięć dni przed zamachem, tysiące austriackich nazistów, przebywających tam od roku na koszt Niemiec, przejawiało ożywioną działalność; wszyscy odbywali ćwiczenia wojskowe i szykowali się do powrotu do Austrii, niektórzy zaś przedostawali się tam przez zieloną granicę. Tuba niemieckiej propagandy Habicht, wbrew wszystkim obietnicom Hitlera, nadal przemawiał przez radio, twierdząc, że dawne królestwo Habsburgów musi zostać przyłączone do Trzeciej Rzeszy. Ale teraz, gdy zamach się nie udał, a mordercy siedzą w więzieniu w Wiedniu, rząd niemiecki piętnuje jako kłamcę każdego, kto twierdzi, że akcja ta była popierana przez Berlin.

Myślę, że któregoś dnia dowiemy się o tych milionach dolarów i transportach broni, które od 1933 r. nieprzerwanym strumieniem płynęły do Austrii. Raz jeszcze cały świat potępił rządy Hitlera. W całej historii nowożytnej nie

* Spotkanie Hitlera z Mussolinim w Wenecji odbyło się 12—15 czerwca.

** Był nim dr Kurt von Rieth, którego odwołano 26 lipca; po nim — 18 sierpnia 1934 r. — objął to stanowisko Fritz von Papen.

było narodu tak niepopularnego jak narodowosocjalistyczne Niemcy. Ta napaść dopełniła miary. Spodziewam się, że za jakieś dziesięć dni, gdy przyjdą amerykańskie gazety, znajdę w nich całą serię artykułów potępiających Niemcy.

28 lipca 1934. Sobota.

Zażądano ode mnie, żebym przeprowadził lustrację wszystkich amerykańskich konsulatów w Niemczech i przesłał sprawozdanie na temat ich działalności oraz jakości i liczebności personelu. Obecnie konsul Geist wizytuje w moim imieniu Wrocław, Bremę i Hamburg. Później pojedę osobiście do Lipska, Drezna, Monachium, Stuttgartu, Frankfurtu i Kolonii. Radykalne zmiany muszą nastąpić w Hamburgu, gdzie import ze Stanów Zjednoczonych, a eksport z Niemiec zmniejszyły się w ciągu ostatnich dwóch lat przeszło o połowę. Personel konsularny w Hamburgu jest właściwie bezużyteczny, przynajmniej w jednej trzeciej. Charakterystyczną cechą dzisiejszych czasów jest fakt, że ludzie chcą żyć na koszt państwa.

Przyszedł do mnie dzisiaj rano żydowski rabin z Baltimore, Morris Lazon. Ma listy polecające do Messersmitha i innych osób. Jest przyjacielem Feliksa i Maxa Warburgów. Spodziewa się, że będzie mógł nawiązać kontakt z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i zorientować się co do możliwości prowadzenia przez rząd niemiecki bardziej rozsądnej niż dotychczas polityki w stosunku do Żydów. W sposobie bycia i zewnętrznym wyglądzie Lazona nie ma charakterystycznych cech żydowskich, nie jest jednak człowiekiem nieśmiałym; dał mi do przeczytania z tuzin listów polecających, adresowanych do różnych osobistości w Niemczech, co by wskazywało, że ma dość ambitne plany. Poradziłem mu, żeby się zbytnio nie śpieszył. Jeżeli nie będzie uważał, może narobić szkody. Ponieważ Max Warburg, który jest teraz w Hamburgu, czeka na jakiś znak z Berlina, powiedziałem Lazonowi, że obraz sytuacji, jaki przedstawi Warburgowi, musi ściśle odpowiadać rzeczywistości; Niemcy nie mogą odnieść wrażenia, że chodzi tu o jakąś kampanię propagandową prowadzoną przeze mnie wspólnie z Lazonem i Warburgiem, gdyż postawiłoby to w kłopotliwej sytuacji urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którzy, od czasu jak tu jestem, zachowywali się w stosunku do mnie zawsze rozsądnie i taktownie. Jeżeli chodzi o Hitlera, to obiecał mi tak dużo, a zrobił tak mało, że nie mogę nikomu robić w tej sprawie wielkich nadziei.

29 lipca 1934. Niedziela.

Przez cały dzień pracowałem nad *Dawnym Południem*; pisałem najtrudniejszy jak dotychczas rozdział, ósmy. Opisuję w nim kolonialną politykę Stuartów i niespokojny okres w handlowym i gospodarczym życiu Zachodniej Europy. Pisałem ten rozdział trzy razy. Mam nadzieję, że nie będę musiał go pisać jeszcze raz. Było wówczas w Anglii szereg wybitnych mężów stanu, którzy toczyli zaciętą walkę z Ludwikiem XIV i Janem de Wittem.

30 lipca 1934. Poniedziałek.

O 4-ej odwiedziłem Limburg-Stiruma, żeby się w miarę możliwości od niego dowiedzieć, czy Holandia doszła z Anglią do jakiegoś porozumienia w sprawie Dalekiego Wschodu i współdziałania z Belgią w razie wojny między Francją a Niemcami. Rozmawialiśmy otwarcie na temat pierwszego punktu i Limburg-Stirum powiedział: „Nie obawiam się, że nie będziemy mogli również dojść do porozumienia z Japończykami w Batawii, w sprawie naszych propozycji handlowych. Popełniliśmy błąd prowadząc te rokowania w Batawii: stawia to nas w niekorzystnej sytuacji i daje Japończykom okazję, którą z pewnością wykorzystują, żeby podburzać ludność tubylczą na Jawie.” Wyraził również obawę, że Japonia zmusi Chiny do uległości, zanim Anglia i Stany Zjednoczone uzgodnią swoją politykę w stosunku do tego ogromnego obszaru.

„Stosunki między Anglią i Holandią — oświadczył — są doskonałe.” Nie była to właściwa odpowiedź na moje pytanie. Niemniej wyszedłem od niego w dużym stopniu przeświadczony, że Holandia jest objęta niedawną deklaracją rządu angielskiego, w myśl której Anglia uważa linię Renu za swoją wschodnią granicę w razie wojny na kontynencie europejskim*. Jeżeli tak jest, oznacza to, że okrążenie Niemiec jest dzisiaj bardziej kompletne niż kiedykolwiek.

31 lipca 1934. Wtorek.

Dziś rano zjawił się u mnie senator Thomas ze stanu Utah. Bez dłuższych wstępów poinformował mnie, że interesuje go działalność misjonarska mormonów w Niemczech i że przyjechał jako stypendysta Oberlaendera: na drogę otrzymał najlepsze życzenia od prezydenta Roosevelta. Ma około 60 lat, był kiedyś nauczycielem w szkole średniej; obecnie jest członkiem senackiej komisji spraw zagranicznych. Zrobił na mnie korzystne wrażenie, mimo że trudno mi pojąć, jak poważnie myślący człowiek może interesować się misjonarską działalnością mormonów. W Niemczech jest ich niemało: Hitler nie rozwiązał ich organizacji i nie wydalil ich rzutkich pastorów. Przyczyny, dla których Hitler jest taki łagodny w stosunku do mormonów, nie mają nic wspólnego z religią.

1 sierpnia 1934. Środa.

Przyszedł dziś do mnie Paul Block, właściciel „Pittsburgh Post-Gazette”, „Toledo Blade” i siedmiu innych poczytnych pism wychodzących w przemysłowych rejonach Stanów Zjednoczonych, w tym również w Nowym Jorku. Przez pół godziny opowiadał mi o tym, jak bardzo pomógł Rooseveltowi w 1932 r. i jak mało pomaga mu obecnie Roosevelt.

Po południu był u mnie ambasador Luther. Był bardzo ubawiony, gdy mu pokazałem odpis raportu naszego konsula w Kolonii, który relacjonuje

* Wyrażenia tego użył wicepremier Baldwin składając w Izbie Gmin deklarację 19 lipca 1934 r. co do zamierzonego przez rząd zwiększenia zbrojeń. Jako zasadnicze przyczyny tej decyzji Baldwin podał: osłabienie Ligi Narodów, zwiększenie zbrojeń przez inne państwa oraz politykę, jaką od roku prowadzi Niemcy.

inteligentne wypowiedzi Luthera, poczynione na jakimś obiedzie w tym mieście parę tygodni temu. W Waszyngtonie Luther jest wyjątkowo niepopularny, ale w rozmowach ze mną zawsze ujawnia miły rys charakteru: wypowiada swe inteligentne poglądy ze szczerością, na jaką mało kto z tutejszych osób urzędowych potrafi się zdobyć. Celem zwrócenia uwagi na ten rys charakteru Luthera, przesłałem wspomniany raport konsularny do wiadomości wiceministra spraw zagranicznych Phillipsa.

Chociaż w większości wypadków wypowiedzi Ambasadora były szczerze i interesujące, ani on, ani ja nie wspomnieliśmy o żadnym z niemieckich dygnitarzy. Jestem pewien, że Luther nie solidaryzuje się z brutalnymi metodami Hitlera, i że zdaje sobie sprawę, jak bardzo gnębi mnie ta atmosfera, tak nienaturalna w cywilizowanym kraju, za jaki — pomimo hitlerowskich rządów — wszyscy są skłonni nadal uważać Niemcy.

Zgodziliśmy się z Lutherem co do tego, że zasadniczym warunkiem spłaty amerykańskich wierzycieli jest odbudowa niemiecko-amerykańskiej wymiany handlowej, do tego zaś oba narody jeszcze nie dojrzały. Gdy się tak zastanawiam, dlaczego amerykańscy bankierzy namówili setki tysięcy swoich klientów do zakupienia niemieckich obligacji na sumę dwóch miliardów dolarów i dlaczego w ogóle udzielili Niemcom w latach 1924—1930 tak kolosalnych krótkoterminowych kredytów, dochodzę do wniosku, że jedyną tego przyczyną było pragnienie osiągnięcia ogromnych zysków bez liczenia się z ryzykiem, na które narażali oszczędności swojej klienteli.

Rozstaliśmy się z Lutherem w atmosferze większego zrozumienia niż kiedykolwiek przedtem; nie mogłem jednak w całości podzielić jego krytycznych poglądów, jeżeli chodzi o traktat wersalski; dużo gorsze od tego traktatu było przecież ujarzmienie przez Stany Zjednoczone pobitych w latach 1865—1869 Stanów południowych; cierpienia Niemiec były niczym w porównaniu z pięćdziesięcioletnim uciskiem gospodarczym Południa.

2 sierpnia 1934. Czwartek.

Przyszedłem dziś do biura wcześniej. Wkrótce potem została ogłoszona wiadomość o śmierci Hindenburga. O 10-ej Hitler zwołał posiedzenie rządu. Szybko uzgodniono tekst „ustawy”, mocą której Führer stał się prezydentem państwa, nie rezygnując ze stanowiska kanclerza*. Z tą chwilą funkcje prezydenta Rzeszy, wodza partii narodowosocjalistycznej i kanclerza Rzeszy połączył w swym ręku Austriak, który w młodości zorganizował pucz w 1923 r., a później zabijał setkami swych przeciwników, żeby utrzymać się przy władzy.

Wszystko to trwało tylko godzinę. Gdy Hitler skończył swoje przemówienie w sprawie objęcia nowego stanowiska, wszyscy członkowie gabinetu wstali i okrzykiem „heil” przyjęli jego oświadczenie. Uchwalili również, że Reichswehra powinna natychmiast złożyć przysięgę na wierność Hitlerowi. Nie było czasu na zorganizowanie jakiegoś oporu lub puczu, na co tak wiele osób liczyło, o co z pewnością tysiące się modliło.

O 12-ej pojechałem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby złożyć

* Ustawę o połączeniu w jedno urzędu prezydenta i kanclerza Rzeszy rząd Rzeszy uchwalił 1 sierpnia 1934 r. w przeddzień śmierci Hindenburga. Dn. 2 sierpnia Kanclerz wydał zarządzenie, że potwierdzenia ustawy o głowie państwa ma dokonać plebiscyt powszechny.

swój bilet wizytowy i wpisać się do księgi kondolencyjnej, wyrażając w ten sposób narodowi niemieckiemu ubolewanie z powodu straty jedyne go chyba wybitnego człowieka, jakiego posiadał. Wkrótce po mnie do sali recepcyjnej Ministerstwa wszedł ambasador japoński. W stosunku do mnie zachowywał się z wielką uniżonością. Powiedział mi, że jeszcze tydzień czy dwa tygodnie temu był u Hindenburga i miał z nim długą rozmowę. To mnie bardzo zdziwiło. Nikomu z członków rządu, z wyjątkiem Neuratha, nie wolno było odwiedzać Neudeck od 11 lipca; nawet bliskiemu przyjacielowi zmarłego, von Papenowi. A Japończyk tam był! Gdy wpisaliśmy się do księgi kondolencyjnej, okazało się, że Japończyk ma umówione spotkanie z Neurathem, który zaledwie wczoraj powrócił do Berlina. Żaden inny ambasador lub poseł nie miał na dzisiaj wyznaczonego spotkania z Neurathem. W tym również było chyba coś niezwykłego.

3 sierpnia 1934. Piątek.

Nie mogę pominąć milczeniem wczorajszego domowego lunchu, w którym wzięli udział senator Thomas, rabin Lazaron i rektor Bates College, Clifton Grey, jak również pani Thomas i moja rodzina. Od czasu jak tu jesteśmy nigdy nie mieliśmy jeszcze tak przyjemnej i swobodnej konwersacji. Mormon szczerze mówił o tym, jak nierozsądna jest mormońska grupa mniejszościowa. Równie szczerzy byli dr Grey, duchowny sekty baptystów, i rabin Lazaron. Lazaron przyjechał tu, aby wy badać możliwości podjęcia jakiejś inicjatywy przez Warburgów i innych Żydów, którzy nie zgadzają się ze skrajnym stanowiskiem rabina Wise. Uważam, że nadzieje na to są niewielkie.

Dr Grey przyprowadził dzisiaj do ambasady pięciu czy sześciu czołowych duchownych sekty baptystów, żeby ustalić, jak się przedstawia w tym krytycznym momencie ich sytuacja. Około 1500 pastorów i działaczy tej sekty zjechało się właśnie na tygodniowe obrady nad sytuacją baptystów w Niemczech. Termin tej konferencji został wyznaczony na rok przed dojściem Hitlera do władzy. Główne tematy dyskusji to nacjonalizm a grupy rasowe, wolność religijną, samorząd w życiu Kościoła. Trudno sobie wyobrazić, żeby dyskusowanie takich tematów w Niemczech nie spotkało się ze sprzeciwem nazistów. Ich zdaniem wszystkie wyznania religijne w Niemczech powinny zostać scalone w ramach jednego państwowego Kościoła; coś takiego jak wolność sumienia jest dla nich w ogóle nie do pomyślenia; jakkolwiek autonomia to niemal zdrada stanu. Głoszenie tego, co się myśli, jest w dzisiejszych Niemczech równoznaczne z narażeniem się na śmierć od hitlerowskiej kuli.

Nie mogę sobie wyobrazić, jak pastory sekty baptystów będą mogli dalej pełnić swoje duszpasterskie funkcje. Tymczasem dr Grey i jego współwyznawcy, po szczerym przedyskutowaniu swych problemów, poprosili mnie, żebym skomentował i ocenił plan ich dalszej działalności, która ma się rozwijać tak, jakby żadne zmiany w Niemczech nie miały miejsca. Przed wyjściem zaprosili mnie do wzięcia udziału w ich obradach i zajęcia miejsca na trybunie honorowej. Po chwili namysłu na razie im odmówiłem. Mogłoby to wyglądać na swego rodzaju wyzwanie pod adresem niemieckich kół oficjalnych, przy których jestem akredytowany. Z drugiej strony wychowałem się przecież jako baptysta i wciąż jestem członkiem sekty w dzielnicy Hyde Park w Chicago. Może należałoby jednak, żebym tam poszedł i raz jeszcze powiedział coś o ludziach, którzy zdaniem Ameryki mają pełne prawo do

życia wolnego od obcej ingerencji. Zdecyduję się ostatecznie po pogrzebie Hindenburga.

Zgłosiłem się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby przekazać rządowi i narodowi niemieckiemu pismo prezydenta Roosevelta w związku z tym smutnym wydarzeniem. Miałem zobaczyć się z Neurathem, ale przyjął mnie w jego zastępstwie Bülow. Przez parę minut rozmawialiśmy o poglądach i zaletach duchowych Hindenburga, które ujawniły mi się szczególnie wyraźnie w dniu 29 sierpnia 1933 r., gdy zostałem mu przedstawiony w charakterze ambasadora. Obecny był przy tym właśnie Bülow. Hindenburg poświęcił mi wówczas 10 czy 15 minut czasu na prywatną rozmowę, co jak mi powiedziano, było faktem nie mającym precedensu. Wypowiedziane wówczas przez niego słowa o stosunkach międzynarodowych i kontaktach kulturalnych ze Stanami Zjednoczonymi stałyby się sensacją, gdyby je teraz opublikowano; Hitler by się złościł, a Niemcy by się cieszyły.

Po południu przyszedł do mnie ambasador brytyjski, który właśnie wrócił z urlopu spędzonego w górach Wiltshire, a przed chwilą był u Neuratha. Neurath powiedział mi, że obawia się, iż Hitler nie zdaje sobie sprawy, co właściwie oznacza przejęcie przez niego urzędu prezydenta. Ale gdy wczoraj Hitler przejmował tę najwyższą władzę, minister, jak informują wszystkie źródła, poparł tę decyzję. Nie słyszałem o takim wypadku, żeby Neurath oparł się jakiejś arbitralnej decyzji Führera.

Sir Eryk potwierdził, że Anglia uznała linię Renu za swoją wschodnią granicę. „Cóż innego mogliśmy zrobić?” Jego zdaniem Hitler chętnie zdecydowałby się na wojnę, gdyby tylko rozporządzał odpowiednią siłą i z tego względu cała Europa musi utworzyć wspólny front antyniemiecki. Wydaje mi się, że jest to absolutna konieczność; inaczej któregoś dnia Europa zginie od bomb i trujących gazów, zrzuconych z tysięcy hitlerowskich samolotów. Francja odegrała smutną rolę w 1919 r. i kontynuowała swą błędną politykę na forum Ligi Narodów w latach 1930—1932. Pomogła w ten sposób Hitlerowi opanować Niemcy; jednakże Hitler, po przyjściu do władzy, swym barbarzyńskim postępowaniem przyczynił się do tego, że Niemcy utraciły całą sympatię, jaką w coraz większym stopniu cieszyły się w Anglii i Ameryce. Teraz, jak twierdzi sir Eryk, cała Europa powinna pilnować Niemców dniem i nocą, trzymając ich w okrążeniu, które może nawet doprowadzić do ich gospodarczego załamania. Rozstaliśmy się o 7-ej w przygnębionym nastroju.

4 sierpnia 1934. Sobota.

Byłem w biurze do 12.30 i na tym pracę dzisiaj zakończyłem. Przyjąłem delegację amerykańskich leśników i rozmawiałem z nimi przez pewien czas o wspaniałych niemieckich lasach, którymi się obecnie zajmują.

5 sierpnia 1934. Niedziela.

Byłem dziś przez godzinę w biurze, żeby zobaczyć, czy nie przyszły jakieś depesze i przeczytać kilka listów ze Stanów Zjednoczonych. Potem zakończyłem lekturę *Dziennika* Pepysa, który dobrze ilustruje zwyczaje towarzyskie i korupcję stuartowskiej Anglii. Wiele z tych rzeczy przypomina mi zwyczaje

i metody panujące obecnie w nazistowskich Niemczech. Ale tu występuje jeszcze jedna charakterystyczna niemiecka cecha, o której nigdy przedtem nie słyszałem — miłość do zwierząt.

Specjalną miłością otaczają Niemcy konie i psy. W sytuacji, w której niemal każdy Niemiec boi się odezwać do kogokolwiek, kto nie jest jego najbliższym przyjacielem, konie i psy są tak szczęśliwe, iż odnosi się wrażenie, że chciałyby przemówić. Ta sama kobieta, która potrafi zrobić donos na swego sąsiada, że jest niełojalny wobec reżymu i narazić go tym samym na utratę życia, zabiera swego wielkiego sympatycznego psa na spacer do Tiergartenu, żeby tam, siedząc na ławce, rozmawiać z nim i głaskać go, podczas gdy piesek załatwia swoją naturalną potrzebę. Psa nigdy się tutaj nie beszta ani nie kopie, co jest zwykłą rzeczą w Stanach Zjednoczonych. Pies niemiecki nigdy się nie denerwuje, niczego się nie boi, jest zawsze dobrze odżywiony i czysty.

Równie szczęśliwe wydają się konie; dzieci lub młodzież — nie. Często zatrzymuję się w drodze do biura, żeby przez chwilę porozmawiać z parą pięknych koni, czekających na wyładowanie platformy. Są tak dobrze wypasione i czyste, i tak szczęśliwe, że wydaje mi się, iż za chwilę do mnie przemówią. Gdy podnoszę rękę, jak bym chciał jednego z tych koni uderzyć, nawet nie uchylą pyska. Do głowy mu nawet nie przychodzi, że ktoś mógłby chcieć wyrządzić mu jakąś krzywdę. Prawo niemieckie zabrania brutalnego obchodzenia się ze zwierzętami i kto. maltretuje konia, psa czy krowę, idzie natychmiast do więzienia.

Z podobnym „końskim szczęściem” zetknąłem się w Norymberdze w grudniu ubiegłego roku. Wyszedłszy z ratusza zauważyłem parę przepięknych siwków: zbliżyłem się do nich i zacząłem je głaskać. Wydawały się rozumieć moje intencje. To samo było w Dreźnie. Zwierzęta to jedyne szczęśliwe stworzenia, z którymi się tu spotykam: może ptaki również, ale rzadko je widuję.

Podczas gdy setki ofiar uśmiercanych jest bez sądu lub jakiegokolwiek dowodu winy, a cała ludność dosłownie drży ze strachu, zwierzęta korzystają z ochrony, o której ludzie nie mogą nawet marzyć. Omal że nie chciałoby się zostać koniem!

6 sierpnia 1934. Poniedziałek.

O 12-ej zajęliśmy z żoną miejsce na sali w Reichstagu, w którym miała odbyć się ceremonia oddania hołdu zmarłemu marszałkowi Hindenburgowi. Obecni byli wszyscy członkowie korpusu dyplomatycznego. Sala była wypełniona do ostatniego miejsca. Göring, w jasnym mundurze pokrytym orderami, siedział na wysoko ustawionym fotelu przewodniczącego i był najwyraźniej w radosnym nastroju, widocznie dlatego, że osoba jego zwracała powszechną uwagę. Hitler siedział trochę niżej na prawo od stołu prezydialnego; koło Hitlera z prawej strony siedział von Papen, a obok niego Neurath. Pozostali członkowie gabinetu rozmieszczeni zostali odpowiednio do zajmowanych stanowisk; niemal wszyscy byli w mundurach i mieli na piersiach pełno orderów.

Hitler był w brązowym mundurze partyjnym. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie i ze świata; miał wygłosić przemówienie transmitowane przez radio na cały świat. Amfiteatr wypełnili ludzie, którzy nazywają się członkami Reichstagu. Ci nominaci Hitlera w najmniejszym stopniu nie wykonują funkcji prawodawczych, żaden z nich nigdy nie głosował przeciwko

Hitlerowi; żaden nie odważył się nigdy przedłożyć swoim kolegom własnego projektu ustawy. Wszyscy mieli na sobie brunatne koszule, twarze ich nie wyrażały najmniejszego żalu. Dyplomaci zajęli miejsca stosownie do posiadanych rang. Większość była w oficjalnych, bogato szamerowanych strojach galowych; nieliczni członkowie korpusu ubrani byli w żakiety, mieli czarne rękawiczki, białe przysługiwały tym, którzy mieli na sobie stroje z czasów Ludwika XIV.

W odpowiedniej chwili Göring wstał i udzielił głosu Kanclerzowi. Gdy Hitler zajął miejsce na trybunie, z której miał przemawiać, wszyscy członkowie Reichstagu powstali z miejsc i podniósłszy prawą rękę do góry, trzymali ją pod kątem 45 stopni, dopóki Hitler nie odpowiedział im tym samym gestem. Była to dużo ważniejsza ceremonia niż wyrażenie smutku z powodu zgonu sędziwego Prezydenta.

Wygłoszenie pogrzebowej mowy zajęło 25 minut czasu. Mowa była dużo lepsza, niż oczekiwałem, choć brak było w niej słów uznania dla osoby i działalności Prezydenta jako zwierzchnika państwa. Cały nacisk położony był na geniusz militarny i karierę wojskową bohatera spod Tannenbergu. Znamienne było wysunięte pod koniec mowy twierdzenie, że to właśnie Hindenburg powołał narodowych socjalistów do władzy. Po zakończeniu swego przemówienia Hitler podszedł do pierwszego rzędu krzeseł i ucałował ręce córek Hindenburga oraz uściśnął rękę jego syna, pułkownika Oskara Hindenburga. Rozległy się tony poważnej muzyki, po czym wszyscy opuścili gmach Reichstagu. O 10.35 wyjechałem pociągiem do Tannenbergu w Prusach Wschodnich, gdzie jesienią 1914 r. Niemcy odnieśli swoje pierwsze wielkie zwycięstwo w wojnie światowej. Położyłem się szybko do łóżka i w ten sposób uniknąłem spotkania z fotografami, którzy zjawili się w pociągu, żeby dokonywać zdjęć.

7 sierpnia 1934. Wtorek.

Około 11-ej nasz pociąg dojechał do Hohenstein, ładnego miasteczka oddalonego o dwie mile od pomnika zwycięstwa pod Tannenbergiem*. Zawieziono nas od razu samochodami na pole dawnej bitwy, gdzie w południe miał być pochowany Hindenburg. Wraz z ambasadorem Hiszpanii zasiadłem w pierwszym rzędzie krzeseł przygotowanych dla dyplomatów. Widok, jaki przedstawił się naszym oczom, zrobił na nas duże wrażenie. Osiem wielkich murowanych wież, mających około 60 stóp wysokości; na wszystkich ośmiu szczytach płonie nieustający ogień; zapewne symbol pamięci o frontowym żołnierzu. Na cześć Nieznanego Żołnierza pochowanego pod Łukiem Tryumfalnym w Paryżu również płonie nieustający ogień, ale tu pod Tannenbergiem, gdzie złamana została potęga carskiej Rosji, Niemcy prześcignęli pod tym względem Francuzów.

Na plac zaczęło wchodzić wojsko; kompania za kompanią maszerowało wspaniałym paradnym krokiem i ustawiało się na wyznaczonych miejscach. Ogółem stanęło na placu około trzech tysięcy żołnierzy. Mieli na sobie najprzeróżniejsze mundury: czarne, brunatne, szare i niebieskie: wybrano ich ze wszystkich formacji niemieckiej armii. Wkrótce pojawili się Hitler, Göring i Goebbels: Führer był w swej brunatnej koszuli, u boku zwisało mu coś w rodzaju rzeźnickiego noża — honorowej odznaki wszystkich umundurowa-

* Hohenstein — polska nazwa: Olsztynek; Tannenberg — polska nazwa: Stębark.

nych hitlerowców. Göring był w mundurze wojsk lotniczych, na piersi miał pełno orderów. Goebbels był w cywilnym ubraniu, bez żadnych orderów czy wojennych odznaczeń, choć jest równie wojowniczy jak cała reszta. Od pobytu w okopach na frontach wojny światowej uchronił go fakt, że ma zniekształconą stopę, w związku z czym kuleje na jedną nogę.

Obecna była rodzina Hindenburga, dwie córki i syn. Obecny był także Meissner, sekretarz prywatny Prezydenta; ten po śmierci swego szefa znalazł się w bardzo niewyraźnej sytuacji, gdyż nie służyć, żeby należał do partii, do której nie odważył się zapisać za życia Hindenburga. Mówią o nim, że zniszczył testament swego szefa. Nikt nie zna prawdy, ale to dziwne, że nie można tego testamentu odnaleźć. Wszyscy twierdzą, że Hindenburg kazał się pochować obok czterech generacji swych przodków w swej posiadłości ziemskiej w Neudeck. Na trybunie było kilku sędziwych generałów, wśród nich Mackensen, który zwyciężył Rumunów jesienią 1916 r. Wojowniczy Ludendorff był nieobecny. Podobno nienawidził Hindenburga. W 1923 r. wziął udział w nieudanym hitlerowskim puczu w Monachium. Potem zerwał z Hitlerem i teraz obaj się nie znoszą.

W stosownej chwili kapelan wojskowy wygłosił kazanie, utrzymane w dość wojowniczym tonie. Następnie zbliżył się Hitler i zwrócony twarzą do trumny zmarłego Prezydenta wygłosił swoje przemówienie; zakończył je stwierdzeniem, że szczątki Hindenburga odchodzą teraz na spoczynek do Walhalli. Brak było w tym przemówieniu oceny charakteru starego wodza i jego przywiązania do cesarskiej racji stanu dawnych Niemiec. Nie było też żadnej wzmianki na temat dziewięcioletniego okresu prezydentury Hindenburga. Wszystko dotyczyło tylko jego kariery wojskowej, nie było jednak żadnych prowokacyjnych uwag pod adresem Francji, Anglii czy Ameryki, których siły zbrojne przesądziły o losach Rzeszy Hohenzollernów.

Pod koniec uroczystości Hitler powtórzył wczorajszą ceremonię i ucałował ręce córek prezydenta. Wszyscy obecni obserwowali tę scenę, a było wśród nich wiele osób, które wiedziały o przykrych stosunkach między rodziną zmarłego a Führerem. Wkrótce potem Hitler wsiadł do ogromnego samolotu i odleciał do Berlina. Korpus dyplomatyczny powrócił do swego pociągu, który około 1-ej wyruszył do Berlina. Była piękna pogoda i Prusy Wschodnie wyglądały kwitnąco; deszcze naprawiły szkody.

Przy drzwiach mego sypialnego przedziału czekał na mnie młody dr Berger z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wyznaczono go, żeby mi służył pomocą, gdybym jej w czymkolwiek potrzebował. Pomocy nie potrzebowałem. Poprosiłem go, żeby usiadł. Przez godzinę próbował mnie sprowokować do zajęcia krytycznego stanowiska wobec rządów Hitlera. Mówiłem o historii i błędnym jej nauczaniu we wszystkich dużych państwach, w Ameryce szczególnie, jeżeli chodzi o historię wojny domowej. Poinformował mnie, że do jego funkcji w Ministerstwie należy śledzenie rozwoju sytuacji w Austrii. Nie skorzystałem z tej okazji do skrytykowania postępowania Hitlera wobec Austrii, gdyż byłem przekonany, że dr Berger to „nasłany” na mnie szpicel. Miał towarzysza, młodego księcia Wittgensteina, który mniej mówił, ale spełniał tę samą bezużyteczną funkcję gońca w naszym dyplomatycznym wagonie. Jestem pewien, że obaj gorzko się na mnie zawiedli.

Pociąg przez sześć godzin jechał wolno przez polski Korytarz. Wydaje się, że chodziło o pokazanie nam opłakanego wyglądu tego kraju z jego brudnymi miastami i obdartym chłopstwem; takiej ilości dzieci w czasie tej krótkiej podróży w życiu jeszcze nie widziałem. Komentarze Bergera były raczej skąpe, ale to, co powiedział, opierało się na założeniu, że Polska właściwie

należy do Niemiec. Pokazywał mi mosty i wielkie zakłady przemysłowe, które zostały zbudowane za czasów niemieckiego panowania, a obecnie znajdują się w opłakanym stanie. Nie ulega wątpliwości, że Polacy to naród politycznie i gospodarczo zacofany, ale dlaczego Niemcy uważają, że powinni sprawować nad nim rządy?

Z chwilą gdy pociąg przejechał Odrę na niemieckim terytorium, temp^o jazdy stało się dwa razy szybsze. Wsie wyglądały schludnie i porządnie. Miasta były czyste, a ludzie na stacjach kolejowych poruszali się zwawo i byli dobrze ubrani. Nigdzie nie było brudów ani łachmanów. Trudno było nie zauważyć różnicy. Wkrótce zapadł zmrok i o północy pociąg wjechał na wielki berliński dworzec Friedrichstrasse. Ucieszyłem się, że wróciłem do domu. Ta podróż była dla mnie rewelacją.

8 sierpnia 1934. Środa.

Rozmowa przy dzisiejszym lunchu świadczy o tym, jakiego rodzaju konwersacja może się rozwinąć, jeżeli przy stole nie siedzi za dużo ludzi. Gdy rozmowa zeszła na temat europejskich długów, von Wiegand oświadczył: „Ulokowałem wszystkie moje oszczędności w niemieckich obligacjach. Od wielu lat nie zwrócono mi ani jednego dolara, i nie spodziewam się, żebym kiedykolwiek otrzymał choćby jednego centa”. Na tę uwagę nikt na razie nie zareagował. Nieco później Wiegand dorzucił: „Są dwa państwa w Europie, które podziwiam i kojarzę, gdy myślę o tym, jak płacą swoje długi: to Anglia i Finlandia”. Pierwsze z tych państw oświadczyło niedawno, że nie będzie sobie więcej zawracało głowy płaceniem odsetek od czterech miliardów dolarów pożyczonych od Stanów Zjednoczonych, drugie natomiast mniej więcej w tym samym czasie wpłaciło w pełnej wysokości należną ratę z tytułu zadłużenia.

Był to raczej przykry temat dla mego przyjaciela, sir Eryka, więc korzystając z chwili ciszy, jaka zapanowała przy stole, powiedziałem do Wieganda: „Drogi panie, jak pan śmie w obecności ambasadora brytyjskiego porównywać takie wielkie mocarstwo, jak Imperium Brytyjskie, z takim małym krajem, jak Finlandia?” Wszyscy się roześmieli, łącznie z sir Erykiem, który nie poczuł się urażony. Nikt tego tematu dalej nie rozwijał, ale też nikt nie miał żadnych wątpliwości, o co naprawdę chodzi. A chodzi o to, że w 1917—1918 r. naród amerykański, pragnąc uratować Aliantów, pożyczył im jedenaście miliardów dolarów, teraz jednak w Europie panuje powszechna tendencja, żeby długu tego nie spłacać, a co najmniej o to się specjalnie nie martwić.

Mówiło się poza tym wiele o innych tego rodzaju tendencjach, ale trudno mi to naraz wszystko zapisać. Codzienne życie Niemiec jest pełne przykładów osobliwego postępowania cywilizowanych ludzi.

9 sierpnia 1934. Czwartek.

Na polecenie rabina Lazarona z Baltimore zgłosił się do mnie do ambasady Max Warburg, znany hamburski bankier i brat Feliksa Warburga z Nowego Jorku. Widać po nim ślady zeszłorocznych przykrych przeżyć. Dzisiaj drży o swoje życie na myśl, że władze mogłyby się dowiedzieć, jakie są jego poglądy.

Był u mnie przez godzinę. Jego zdaniem Wise i Samuel Untermyer z Nowego Jorku bardzo zaszkadzili sprawie żydowskiej w Stanach Zjednoczonych i Niemczech przez to, że nadają jej niesłychany rozgłos. Tego samego zdania jest Feliks Warburg. Obaj całkowicie solidaryzują się z pułkownikiem Housem, który dąży do osłabienia żydowskiego bojkotu i ograniczenia liczby Żydów, zajmujących wysokie stanowiska w Ameryce.

Ucieszyłem się, że mogłem otwarcie porozmawiać z tym człowiekiem. Zanim wyszedł, dał mi jeszcze do zrozumienia, że wątpi w mądrość polityki, prowadzonej przez urzędującego w Lozannie Jamesa McDonalda. Od początku jestem tego samego zdania. Warburg wyraził nadzieję, że dyskretnie zachowujący się w Berlinie Lazaron może więcej uzyskać od rządu niemieckiego niż McDonald, z czym się całkowicie zgodziłem. Człowiek pobierający za swe usługi wysokie wynagrodzenie z pieniędzy, które mu dają ludzie pragnący pomóc swym cierpiącym braciom, nie ma wielkich szans pozyskania sobie innych ofiarodawców. McDonald już wielokrotnie dawał dowody swej wielkiej zarozumiałości i obawiam się, że ten rys jego charakteru znany jest aż nadto dobrze berlińskim kołom urzędowym.

Jak mało doprawdy ludzi na wysokich stanowiskach zdaje sobie sprawę, ile dobrego mogliby uczynić dla społeczeństwa! Czyż większość osób urzędowych, zamiast zająć się konkretnymi sprawami, nie rozmyśla nad tym, jak wysoko jest lub powinna być oceniana przez otoczenie? Przez ostatnie dwanaście miesięcy widziałem tu wielu mężczyzn i wiele kobiet, których wiedza i zdolności były bardzo ograniczone, jak dniem i nocą obnosili się ze swoją pychą, zużywając na te popisy skromne środki finansowe swego kraju: wypadków tego rodzaju było tak wiele, że noszę się poważnie z myślą wyrwania się z tej atmosfery i wytłumaczenia mego kroku publicznie w kraju.

O 1-ej przyszedł do mnie pewien amerykański ekspert od budownictwa mieszkaniowego, który bada sytuację mieszkaniową w Europie. Był w Rzymie i jest oczarowany Mussolinim. Pojechał potem do Wiednia zobaczyć tam domy zbudowane po wojnie światowej, a następnie do Związku Radzieckiego, żeby zapoznać się z sytuacją mieszkaniową również w tym kraju. Nie zdążył jeszcze wiele zobaczyć w Niemczech, ale już stał się ich entuzjastycznym sympatykiem. To, co mi powiedział o własnej pracy i w ogóle budownictwie w Stanach Zjednoczonych, było całkiem interesujące, ale wydaje mi się, że w swych sądach politycznych utracił właściwą miarę. O jego mentalności świadczy fakt, iż bez najmniejszych zastrzeżeń uznaje Hitlera za wielkiego męża stanu. Nie próbowałem go przekonywać, że jest w błędzie. Zadałem mu tylko jedno pytanie: „Co pan sądzi o »mężu stanu«, który morduje swych przeciwników?” Pytanie go trochę zaskoczyło, ale do głębi jego świadomości nie dotarło.

10 sierpnia 1934. Piątek.

O 11-ej przyszła do mnie matka jednego z moich dawnych słuchaczy na Uniwersytecie Chicago. W 1933 r. interweniowałem przeciwko przymusowemu odesłaniu go do Niemiec i obecnie stara się on o uzyskanie obywatelstwa amerykańskiego. Przyszła, żeby mi przeczytać Ust od syna, który odważył się wysłać go zwykłą pocztą. Ucieszyła się, że czuje się dobrze, chociaż nie ma pracy. Przeczytała mi ten długi list, a potem zaczęła mi opisywać swoje okropne położenie i wybuchnęła płaczem. Jest katoliczką, żoną żydowskiego dziennikarza o poglądach demokratycznych, którego zięć tutaj każdej chwili może utracić życie. Płakała bez przerwy. Pocieszałem ją, jak tylko mogłem.

Powiedziała, że ma w Pradze pieniądze, które wystarczą jej na przejazd do Stanów Zjednoczonych, gdy tylko syn uzyska pracę. Ten świetnie zapowiadający się młody człowiek ma stopień doktora filozofii, uzyskany na jednym z niemieckich uniwersytetów. Powiedziałem jej, że uczynię wszystko, co tylko będę mógł, żeby pomóc jej synowi, ale perspektywy na najbliższą przyszłość nie są dobre, gdyż nie ma on jeszcze pełnych praw obywatelskich i młodzi amerykańscy filologowie będą oczywiście mieli przed nim pierwszeństwo, jeżeli chodzi o pracę w szkolnictwie.

Jednak nic nie mogło jej pocieszyć. „Ten ustrój — wybuchnęła — jest straszny. Może pan sobie wyobrazić, jak my cierpimy, a razem z nami tysiące innych. Nie ma innego wyjścia, tylko ktoś musi zamordować tego super-mordercę, który nami rządzi. Ktoś to robi, ktoś musi to zrobić.” Chciała już wyjść, ale była taka zapłakana, że kazałem jej zostać, żeby się uspokoiła i na ulicę obserwowaną przez tajniaków wyszła w bardziej normalnym stanie.

O 12-ej przyszedł przedstawić mi się nowy amerykański korespondent. Od razu ujawnił swoje prohitlerowskie nastawienie w związku z niedawnymi wydarzeniami w Wiedniu. To ciekawe, ale dziennikarze też są tylko ludźmi, i dla tych, co głoszą światu nową doktrynę, zawsze znajdzie się jakaś nagroda, tutaj czy gdzie indziej.

11 sierpnia 1934. Sobota.

Wyjechaliśmy o 10-ej rano do Kolonii, skąd moja żona chce razem z dziećmi rozpocząć wycieczkę samochodową w górę Renu do Moguncji. Szosa była dobra, pogoda przepiękna. Lunch zjedliśmy w Eisenach, a później poszedłem z Martą zwiedzić stare muzeum Lutra, gdzie obejrzelismy wiele ciekawych obrazów, broszur, książek oraz listów Lutra. Jakie to dziwne, że wszystkie te świadectwa walki wielkiego kaznodziei o wolność sumienia są jeszcze eksponowane w kraju, w którym triumfuje pogaństwo Hitlera i Rosenberga.

Z Eisenach pojechaliśmy do pięknego uzdrowiska w pobliżu Kassel i przenocowaliśmy tam w komfortowym hotelu. Kosztowało to nas tylko po pięć marek od osoby.

13 sierpnia 1934. Poniedziałek.

Dojechaliśmy dzisiaj do Frankfurtu, gdzie zajrzeliśmy na chwilę do konsulatu, a potem Marta i ja poszliśmy zwiedzić dom Goethego, gdzie przewodnik opowiadał nam dość nieprzyzwoite historie z młodzieńczego życia wielkiego artysty. Następny przystanek zrobiliśmy, żeby zjeść lunch, a potem pojechaliśmy do Heidelbergu, gdzie przez jakąś godzinę zwiedzaliśmy wspaniały zamek. Z Heidelbergu pojechaliśmy dobrą szosą w kierunku Stuttgartu przez średniowieczną Wirtembergię z jej wiekowymi wioskami i klasztorami, przypominającymi o dawno minionej przeszłości. Nigdzie niemieckie średniowiecze nie objawiło mi się tak wyraźnie, jak w tym urodzajnym, bogatym kraju. O 7-ej dojechaliśmy do Stuttgartu i zjedliśmy dobry obiad w nowoczesnym hotelu. Potem odszukałem dworzec kolejowy i odjechałem sypialnym do Berlina. Rodzina pozostała jeszcze na tydzień, żeby zwiedzić południowe Niemcy, Austrię i Węgry.

14 sierpnia 1934. Wtorek.

O 10-ej już pracowałem. O 4.30 zjawili się Alfred Lepawsky, wykładowca Uniwersytetu Chicago i jego przyjaciel Mumford Jones. Opowiedzieli mi, jak wczoraj wieczorem z szeregow maszerującego oddziału SA wyskoczył jeden z nazistów i uderzył Lepawsky'ego w twarz za niepozdrowienie flagi ze swastyką. Zniewaga była oczywista, ale uderzenie niezbyt silne.

Lepawsky oświadczył, że uważa sprawę za bardzo poważną i jego zdaniem powinienem natychmiast pójść do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zażądać przeprosin. Nie życzy sobie ukarania winowajcy, gdyż uderzenie nie było silne. Zwróciłem mu uwagę, że pierwszą rzeczą, którą rząd by uczynił, byłoby właśnie ukaranie tego człowieka. Ponieważ Lepawsky nie odniósł żadnych obrażeń, nie należy moim zdaniem nadawać tej sprawie rozgłosu, tym bardziej że już od stycznia tego rodzaju wypadki się nie zdarzały. Specjalnie zachwycony moim stanowiskiem nie był. Odesłałem obu do konsula generalnego, żeby złożyli przed nim zeznanie pod przysięgą.

15 sierpnia 1934. Środa.

Odwiedziłem dzisiaj o 12-ej ambasadora François-Ponceta, żeby się zorientować, czy nie ma jakichś bardziej konkretnych ode mnie danych na temat wojennych przygotowań hitlerowskich Niemiec. Wybierani się napisać o nich do prezydenta Roosevelta i nie chciałem go swoimi informacjami wprowadzić w błąd. Jeżeli chodzi o remilitaryzację Niemiec, to Francuz podaje następujące fakty: półtora miliona wyszkolonych żołnierzy, całkowite pokrycie zapotrzebowania na broń ręczną, nie ukrywany zamiar realizowania pangermańskich planów zaborczych przy pierwszej nadarzającej się okazji. François-Poncet jest przekonany (przekonanie to żywi od chwili mego przyjazdu do Berlina rok temu), że Niemcy planują napaść na Francję i aneksję Alzacji i Lotaryngii oraz Austrii i zachodniej Polski. Przytoczył szereg dowodów wskazujących na to, że Niemcy zbudowali w Meklemburgii nowe lotniska, zwiększyli liczbę posiadanych ciężkich bombowców i liczą na to, że okazją do rozpoczęcia wojny w zimie stanie się sprawa Okręgu Saary. Był dla mnie bardzo serdeczny. Wybierając się do niego, podjechałem do Bramy Brandenburskiej taksówką, a stamtąd poszedłem do ambasady francuskiej pieszo, żeby zmylić czujność niemieckiej tajnej policji, ale wątpię, czy to mi się udało. Narodowosocjalistyczne Niemcy są bardzo czujne.

O 4.30 zgłosił się attaché wojskowy ambasady, pułkownik Wuest, żeby mnie poinformować, iż lecąc parę dni temu do Bremy, dostrzegł nowe lotnisko z dużą ilością stacjonujących na nim samolotów. Lecący z nim razem ha zachód niemiecki oficer udawał, że niczego nie widzi, a Wuest o nic się go nie pytał. Ta historia potwierdza słowa Francuza. Pułkownik Wuest to dobry, mający szerokie znajomości pracownik. Mówi dobrze po niemiecku i wykorzystuje każdą sposobność do obserwowania Niemców, ale żyłka wojskowego jest w nim tak silna, że podświadomie aprobuje ćwiczenia i pokazy armii niemieckiej, mimo że jest to sprzeczne z interesami Stanów Zjednoczonych.

16 sierpnia 1934. Czwartek.

Dziś rano o 11-ej przyszedł do mnie urodzony w Ameryce młody baron von Blomberg, adoptowany członek rodziny generała Blomberga, ministra wojny w rządzie Hitlera. Musiałem się z nim mieć trochę na baczności, gdyż wiadomo mi z wiarygodnego źródła, że gen. Blomberg brał udział w masakrze z 30 czerwca i przyczynił się do wyniesienia Hitlera na stanowisko prezydenta państwa bez żadnej konstytucyjnej czy innej podstawy prawnej. Młody Blomberg poinformował mnie, że łączą go przyjacielskie stosunki z wiceministrem Phillipsem z Departamentu Stanu i oświadczył, że jest stanowczo przeciwny metodom zastosowanym 30 czerwca. Zrozumiałem to jako zaproszenie do szczerej wypowiedzi z mojej strony, którą młody Blomberg przekazałby swemu opiekunowi; umożliwiłoby to z kolei rządowi oskarżenie mnie o stronnictwo, jeżeli można by to w ten sposób określić.

Następnie zauważył, że propaganda nazistowska w Stanach Zjednoczonych jest dla Niemiec szkodliwa. Odpowiedziałem, że całkowicie się z nim zgadzam, nie wymieniłem jednak osób za to odpowiedzialnych, jak na przykład Ivy Lee i jemu podobni. Potem powiedział, że gen. Blomberg jest stanowczym przeciwnikiem tej propagandy i domaga się ustąpienia dr Goebbelsa. Nie powiedział wyraźnie, że spowinowacony z nim członek gabinetu domaga się zlikwidowania całego Ministerstwa Propagandy, ale takie odniosłem wrażenie. Wyraziwszy swoje uznanie dla prasy zagranicznej za jej negatywne stanowisko wobec brutalnych represji rządu niemieckiego, młodzieniec pożegnał się i wyszedł. Jeżeli przyszedł w jakimś celu, to chyba go jednak nie osiągnął.

17 sierpnia 1934. Piątek.

Przyszedł dziś do mnie pan McMaster przedstawiciel organizacji charytatywnej kwaków, który ma w Berlinie swoje biuro. W latach 1919—1921 przeszło przez jego ręce wiele milionów dolarów tytułem pomocy dla cierpiących biedę Niemców. Opowiedział mi o trudnościach, jakie napotykają jego pracownicy, i jak przy każdej okazji stara się o wypuszczenie na wolność niewinnie uwięzionych Niemców. Opowiedział mi wiele różnych historii, ale ponieważ pokrywają się z tymi, które już kiedyś zanotowałem, nie będę ich tu powtarzał. Zaofiarował mi swoją pomoc w wypadkach, w których interwencja z mojej strony byłaby niemożliwa.

Polecilem jego uwadze następujący wypadek: pewien niewinny człowiek, przebywający obecnie w obozie koncentracyjnym, został zaproszony przez rektora Dartmouth College do prowadzenia wykładów na tej uczelni. Charles A. Beard, który w ubiegłym roku był prezesem Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego, zwrócił się do mnie telegraficznie z zapytaniem, czy mógłbym przekazać to zaproszenie więźniowi. Poprosiłem konsula Geista o wysondowanie w tej sprawie niemieckiej tajnej policji. Uczynił to i przekazał mi informację, że tego rodzaju zaproszenie, pochodzące ze Stanów Zjednoczonych, gdyby się o nim dowiedziały władze, przyczyniłoby się tylko do pogorszenia sytuacji więźnia. Otelegrafowałem Beardowi, że musimy z tą sprawą zaczekać.

O 12-ej przyszedł dr Henry Smith Leiper, przedstawiciel Federacji Kościołów. Poinformował mnie o stanowisku zajmowanym przez amerykańskich

protestantów. Przedstawiciele wszystkich sfederowanych Kościołów mają się zebrać za parę dni niedaleko Kopenhagi celem przedyskutowania międzynarodowych problemów religijnych. Biskup Rzeszy Müller sprzeciwił się udziałowi w tym zjeździe niemieckich protestantów i rząd niemiecki odmówił wydania wiz wyjazdowych niemieckim pastorom, którzy o to zabiegali. Członkowie Federacji są z tego bardzo niezadowoleni, a niemieccy protestanci czują się głęboko urażeni. Ośmiu czy dziesięciu z nich postanowiło udać się do pewnej niemieckiej wioski oddalonej o parę mil od duńskiej granicy i tam naradzić się ze swymi zagranicznymi współwyznawcami. Postępując tak, mogą narazić się na utratę wolności, a nawet życia.

Prof. M. McMeyer z Uniwersytetu Bostońskiego, który zjeździł wszerz i wzdłuż całe Niemcy, przyszedł mnie dzisiaj poinformować, że wszędzie stwierdził kwitnący stan gospodarki i jednomyślne, entuzjastyczne poparcie ludności dla Hitlera i systemu jego rządów. Według McMeyera nikt w Niemczech nie czuje żadnej urazy z powodu masakry z 30 czerwca. Wszędzie ludzie swobodnie dyskutują i wszędzie panuje stara, dobrze mu znana od lat, niemiecka „Gemütlichkeit”. Czyżby po prostu dał się zwieść nazistowskiej propagandzie i miał zamiar wróciwszy do Bostonu występować w obronie tego osobliwego średniowiecza, którego sam nie zauważył? Uważam, że mentalność tego protestanckiego duchownego i nauczyciela jest niezwykle naiwna — a może to ja mam jakąś dziwnie przewrotną umysłowość?

18 sierpnia 1934. Sobota.

Przyszedł dziś złożyć mi swoje uszanowanie i porozmawiać trochę o Europie pan John Garret, potomek starej rodziny właścicieli kolei B. and O.* z Baltimore i były nasz ambasador w Rzymie. Chociaż odziedziczone przez niego podejście do kwestii społecznych różni się bardzo od mojego, sytuację w dzisiejszych Niemczech oceniamy obaj jednakowo. Żałowałem, że nie było mojej rodziny, byłbym go bowiem poczęstował obiadem, którego mógł się spodziewać. Na zakończenie naszej rozmowy poruszyłem interesującą sprawę dotyczącą jego dziadka, stwierdzając, że przyczynił się on do uratowania unii amerykańskich stanów przez to, iż na krótko przed 1860 r. zbudował linię kolejową B. and O. do Chicago, i zarządzał nią w czasie wojny z Wirginią i Południem. Był zachwycony, że fakty te są mi znane — raz wreszcie przydała mi się w Berlinie znajomość historii.

O 12.30 przyszedł Henry Mann z panem Jollesem, wiceprezesem National City Company w Nowym Jorku, żeby się zorientować, jakie są możliwości udzielenia Niemcom kredytu. Powiedziałem im, że nie widzę możliwości zagwarantowania spłaty tego kredytu. Nic nie wskazuje na to, żeby Hitler, Göring i Goebbels mieli jakiegokolwiek skrupuły z powodu niespłacenia długów zaciągniętych w Stanach Zjednoczonych, a ci ludzie decydują tutaj o wszystkim. Mimo że bardzo mi jest przykro, że z tego powodu Stany Zjednoczone mogą utracić niemiecki rynek zbytu na bawełnę, miedź i mięso, nie mogę doradzać bankierom pożyczania Niemcom pieniędzy. Tak jak teraz sprawy wyglądają, byłoby to równoznaczne ze zmarnowaniem amerykańskich oszczędności. Wyszli przygnębieni, ale przekonani.

* B. and O. = Baltimore and Ohio Railroad, zaprojektowana w 1827—1828 r., jedna z pierwszych linii kolejowych w St Zjedn., połączyła Baltimore z miastami nad rzeką Ohio.

Dziś wieczorem byliśmy na obiedzie wydanym przez zastępcą wojskowego attache naszej ambasady, kapitana Crocketta. Było to miłe przyjęcie w szczupłym gronie, nikt nie powiedział jednak nic godnego uwagi. Przytoczę tu raz jeszcze moją dawną opinię: nasi attachés wojskowi i morscy w Berlinie, i chyba w całej Europie, absolutnie nie nadają się do sprawowania powierzonych im funkcji. Po prostu poza musztrą i taktyką nie zostali w niczym dobrze przeszkoleni. Znają może pewne fakty historyczne, ale nie orientują się w problemach społecznych i gospodarczych krajów, w których są akredytowani. Brak im też odpowiedniego sprytu do szpiegowania niemieckich osiągnięć w dziedzinie militarnej. A wszystkie rządy potrzebują do tych spraw właśnie szpiegów.

19 sierpnia 1934. Niedziela.

Pojechałem samochodem do letniej rezydencji ambasadora François-Ponceta nad jeziorem Wannsee. Wszyscy bogaci Niemcy mają tam swoje letnie rezydencje, chyba że stać ich na posiadłość ziemską w Bawarii. Willa ambasadora jest bardzo ładna i tuż za nią leży jezioro.

François-Poncet nie wie więcej od innych dyplomatów, ale jest bardzo zaniepokojony i jego niepokój jest w pewnym stopniu uzasadniony. Niemcy gotowe są zaryzykować w zimie lub na wiosnę wojnę z powodu Okręgu Saary, szczególnie jeżeli w tym samym czasie ruszy do ataku Japonia. Krążą pogłoski, że Hitler powiadomił François-Ponceta, iż nie chce go więcej widzieć na oczy. Powód jest ten, iż ambasadorowi zarzuca się, że na wiosnę knuł spisek z Röhmem i Schleicherem w celu obalenia Hitlera. Ambasador jest tym bardzo zirytowany.

W związku z nieustającymi atakami Hitlera i Göringa na rządy demokratyczne i parlamentarne zastanawialiśmy się nad możliwością podjęcia jakichś kroków retorsyjnych. Nie miał w tej sprawie żadnego pomysłu. Rzuciłem myśl, że gdyby te ataki i oskarżenia o spiskowanie miały się powtarzać, moglibyśmy ewentualnie wszyscy trzej, to znaczy on, ambasador brytyjski i ja, poprosić o jednoczesne odwołanie nas z Berlina. Nie wypowiedział się stanowczo w tej sprawie. Powoli dochodzę jednak do wniosku, że powinniśmy wysondować nasze rządy w sprawie tego odwołania. Mogłoby to na pewien czas zapobiec wojnie, pod warunkiem, że będzie dokonane we właściwy sposób.

Po tej rozmowie wsiedliśmy wszyscy na niewielki statek i przez godzinę pływaliśmy po jeziorze. Jak na sierpień było wyjątkowo zimno. Ponieważ nie miałem ze sobą płaszcza, otuliłem się dużym czerwonym szalem i Madame François-Poncet powiedziała, że chciałaby mieć zdjęcie. Na szczęście na statku nie było fotografa i wyszedłem z opresji cało. W końcu udało mi się grzecznie pożegnać towarzystwo i z przyjemnością powróciłem do domowego zacisza.

20 sierpnia 1934. Poniedziałek.

Pan Hecke z Reichsbanku przyniósł mi ciekawą broszurę wydaną niedawno w Berlinie przez jakiegoś filozofa, który dowodzi, że cała niemiecka filozofia od Immanuela Kanta do Fryderyka Nietzschego była tylko preludium

do tej filozofii społecznej, na której opiera się ustrój narodowosocjalistyczny. W drugiej części broszury autor opisuje pokrótce poglądy społeczne Hitlera i jego cele polityczne, a w trzeciej analizuje działalność i cele społeczne Roosevelta. Według autora, a także urzędnika Reichsbanku, który mi tę broszurę przyniósł, ideały i cele Hitlera i Roosevelta są jednakowe, a ich działalność jest zgodna z ogólnymi zasadami niemieckiej filozofii głoszonej przez Kanta, Hegla i Nietzschego.

Pan Hecke zaklinał mnie, żebym tę broszurę przesłał prezydentowi Rooseveltowi. Był rozbijającą naiwny. Zgodziłem się ostatecznie przesłać tę absurdalną broszurę Departamentowi Stanu, ale wyraziłem obawę, że pan Roosevelt nie będzie miał możliwości jej przeczytać. Trudno sobie po prostu wyobrazić, że taki Hecke zajmuje wysokie stanowisko w Reichsbanku.

Był u mnie również Francis Hickmann z Nowego Orleanu. Chciał uzyskać audiencję u Hitlera. Nie miałem ochoty mu się o nią starać, tym bardziej że Kanclerz jest teraz w Bawarii. Przypadał mi trochę z powodu Huey Longa, tego „Hitlera” Luizjany*. Odniosłem wrażenie, że Hickmann naprawdę chętnie by widział coś w rodzaju dyktatury w Ameryce. Może powinienem był załatwić mu to spotkanie z dyktatorem Niemiec: mógłby wówczas opublikować swoją relację w Stanach Zjednoczonych i przekonałby się, jakie są poglądy naszego społeczeństwa.

22 sierpnia 1934. Środa.

Byłem wraz z rodziną na słynnym widowisku pasyjnym w Oberammergau. Towarzyszył nam burmistrz tego miasteczka, który przysłał nam gratisowe bilety. Idąc ulicą pozdrowiał znajomych przechodniów po hitlerowsku. Siedzieliśmy wszyscy razem na zarezerwowanych miejscach, ale chyba mało kto w ogóle wiedział, kim jesteśmy.

Na przedpołudniowym przedstawieniu pokazano nam sceny obrazujące młodość Jezusa i przepowiednie Starego Testamentu; były wśród nich sceny świadczące o powiązaniu Starego i Nowego Testamentu, zgodnie ze stanowiskiem zajmowanym w tej sprawie przez Kościoły chrześcijańskie. Żydów wśród widzów nie widziałem. Sześć tysięcy ludzi zgromadziło się w pięknej sali, która od strony sceny nie miała ścian, dzięki czemu mieliśmy stale przed oczami przepiękny górski krajobraz. Stanowiło to cudowną oprawę widowiska.

Główną rolę gra Lang, syn człowieka, który nadał przedstawieniu jego dzisiejszą formę jakieś trzydzieści lat temu. Rodzina Langów ma głos decydujący w życiu Oberammergau. Miasteczko to ma trzy tysiące stałych mieszkańców, którzy żyją głównie z zagranicznych i krajowych turystów, przyjeżdżających tam co roku, żeby oglądać tragedię Jezusa. Uważam, że Lang jest doskonałym aktorem: duże wrażenie robi również chór, który znakomicie śpiewa i recytuje interludia.

O 2-iej zajęliśmy znowu nasze miejsca na wielkiej sali. Tragedia zbliżała się powoli do punktu kulminacyjnego: zdrady Judasza, sądu nad Jezusem

* Huey Pierce Long wybrany został na gubernatora Luizjany w 1928 r. Wybrany do Senatu w 1930 r. objął to stanowisko dopiero w 1932 r., kiedy zabezpieczył sobie władzę w Luizjanie osadzając na stanowisku gubernatora swego przyjaciela. Sprawując dyktatorską władzę w Luizjanie rozpoczął w 1934 i 1935 r. demagogiczną kampanię jako kandydat na prezydenta. Został zabity 10 września 1935 r. w czasie sesji parlamentu stanowego.

i strasznej sceny ukrzyżowania, w czasie której przedstawiciele prawa wchodzą po drabinkach, żeby bić umierających skazańców. Gdy rozwścieczeni Żydzi sądzili Jezusa, jakiś dobrze ubrany, poważnie wyglądający Niemiec zwrócił się do mnie i rzekł: „To nasz Hitler”. Ida Horne, moja daleka krewna, która siedziała w drugim końcu sali, powiedziała mi po przedstawieniu: „W chwili gdy Judasz odbierał swoje trzydzieści srebrników, jakaś kobieta, która siedziała koło mnie zawołała: »To Röhm«”. Podejrzewam, że połowa widzów, mam na myśli Niemców, uważa Hitlera za swego Mesjasza.

Około 6.30 pojechałem trzecią klasą do Monachium. W ten sposób mam możliwość zapoznawania się z naturalnymi reakcjami Niemców na politykę rządu. Pociąg był przepełniony, ale podobnie jak wszyscy miałem czyste i wygodne miejsce siedzące. Niestety pasażerowie robili wrażenie, jakby bardzo mało wiedzieli o tym, co się dzieje w Niemczech; chociaż jakiś nauczyciel i wieśniaczka, oboje wykształceni i mówiący dobrze po niemiecku, wyrażali się o Hitlerze z aprobatą. O terrorze nie wspominali. Było dużo szczerych wypowiedzi w czasie tej podróży, podobnie jak w trzeciej klasie pociągu, którym w zeszłym roku jechałem z Drezna do Berlina. Ludność bawarska, mieszkająca w miasteczkach i wsiach, ma dobre szkoły dla młodzieży, ale uchodzi za wyjątkowo prostoduszną i naiwną w porównaniu z ludnością innych krajów niemieckich.

23 sierpnia 1934. Czwartek.

Odwiedził mnie dziś mój przyjaciel Louis Brownlow, który pracuje w Fundacji Rockefellera i na Uniwersytecie Chicago. Opowiedział mi ciekawe rzeczy o Uniwersytecie i jego kłopotach. Brownlow jest znawcą amerykańskich problemów urbanistycznych. Prowadzi teraz rozmowy z zarządami miast niemieckich, żeby się przekonać czy reżym nazistowski nie zaniedbuje problemu budownictwa mieszkaniowego; w tej dziedzinie dawna administracja bardzo dużo zdołała w ciągu ostatniego półwiecza. Brownlow zna wielu wybitnych działaczy z okresu poprzedzającego przyjście Hitlera.

Po południu przyszedł Ivy Lee ze swoim młodym synem o gładkich manierach. Ubiegłej zimy młody Lee uznał, że jedno z moich przemówień zawierało krytykę faszyzmu w Europie, ale przekazał mi ten swój pogląd w bardzo delikatny i pośredni sposób. Później dowiedziałem się o stosunkach łączących starszego Lee z rządem niemieckim.

Dzisiaj starszy Lee miał wygląd człowieka złamanego i chociaż mówił mi o przebytej kuracji, jestem przekonany, że zdrowie jego pozostawia wiele do życzenia. Przez ostatnie dwadzieścia lat zrobił miliony, a dzisiaj wszyscy wiedzą, jak do nich doszedł. Rozmawiałem z nim zupełnie szczerze i parę razy się zaczerwienił. Pytał się, czy pisałem o nim do Waszyngtonu. Wyraził nadzieję, że będę mógł napisać o nim coś dobrego do wiceministra Phillipsa.

Potem powiedział: „Ilgner z Fundacji Carla Schurza uważa, że jest pan nastawiony wrogo w stosunku do narodowego socjalizmu, a może tylko do Fundacji”. Odpowiedziałem, że jestem przeciwnikiem wszelkiej propagandy, ale zalecałem na wiosnę przedstawicielom Fundacji kontynuowanie działalności w dziedzinie kulturalnej, z wyłączeniem jednak propagandy politycznej. Jak twierdzi Lee, Ilgner chciałby się ze mną zobaczyć. Powiedziałem Lee, żeby go w moim imieniu zaprosił. Ilgner stoi na czele wielkiego niemieckiego koncernu IG Farben.

Panowie Lee zapytali się grzecznie o moją rodzinę i jej pobyt w Austrii,

po czym poszli sobie do domu. To jeszcze jeden z tych niezliczonych przykładów, jak miłość pieniądza rujnuje ludzkie życie. Nie mogę go polecać Departamentowi Stanu.

24 sierpnia 1934. Piątek.

Pani Sinclair Lewis, której zdolności literackie i artystyczne dorównują zdolnościom jej sławnego małżonka, przysłała dzisiaj do mnie o 11-ej i opowiadała mi przez pół godziny o swoich planach zgłębienia i opisania socjalno-filozoficznego systemu obecnych Niemiec, o ile w ogóle można to nazwać systemem. Zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie.

Wkrótce po niej złożył mi grzecznościową wizytę dr Dieckhoff; wrócił właśnie z urlopu spędzonego w Szwajcarii, gdzie może zawsze się schronić w domu swego teścia. Pomyślałem sobie, że chciałby pewno przy okazji posłuchać, co mu powiem na temat osobliwych wydarzeń, które miały miejsce w czasie jego nieobecności, w dniach 30 czerwca i 25 lipca. Ponieważ znamy się dość dobrze, rozmowa przebiegała w szczerzej atmosferze, ale po paru minutach przerwał ją telefon od pani Lewis, która mówiąc z hotelu „Adlon”, w którym się zatrzymała, powiadomiła mnie, że przed chwilą otrzymała od tajnej policji nakaz opuszczenia Niemiec w ciągu 24 godzin. „Co mam robić?” zapytała. Odpowiedziałem: „Proszę natychmiast udać się do konsula generalnego Geista”. Podziękowała mi i powiesiła słuchawkę.

Odwróciłem się do Dieckhoffa i zapytałem: „Słyszał pan?” Odpowiedział: „Nie”. Byłem prawie pewien, że słyszał. Wyjaśniłem mu, co się stało i dodałem, że będzie to sensacją na całą Amerykę. Zgodził się ze mną i oświadczył, iż zrobi co będzie mógł, żeby skłonić tajną policję do powściągliwości. Obaj uznaliśmy, że bez względu na to, czy pani Lewis dała do tego jakiś powód, czy nie, wydalenie jej z Niemiec przyczyni się do nadania rozgłosu jej wypowiedziom w całym demokratycznym świecie.

28 sierpnia 1934. Wtorek.

Dr Max Ilgner, dyrektor wielkiego koncernu IG Farben i jednocześnie prezes Towarzystwa Carla Schurza, przyszedł dziś rano do mnie na umówione spotkanie, rzekomo celem omówienia działalności Towarzystwa. Powiedział kiedyś do Ivy Lee, że jestem nastawiony do niej nieżyczliwie. Na mnie robił wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z realnych możliwości tej organizacji. Ale wiele na ten temat nie mówiliśmy; nie starałem się również uzyskać od niego wyjaśnień w sprawie działalności propagandowej, która, jak mi wiadomo, podlega jego kompetencji. O Ivy Lee, który otrzymuje od jego koncernu poważne honoraria, w ogóle nie wspomniał.

Stosunkowo dużo mówił o planowanej przez siebie podróży w celach handlowych do Mandżurii, gdzie, jak twierdzi, jego przedsiębiorstwo zakupiło 400 tysięcy buszli ziarna sojowego. Podejrzewam, iż wybiera się tam, żeby wymienić swoje trujące gazy i materiały wybuchowe na japońskie wyroby. Może to nieładnie z mojej strony, ale nie mogłem odpędzić od siebie tej myśli, gdy z taką swobodą i tak wylewnie opowiadał mi o tej soi.

31 sierpnia 1934. Piątek.

Przyszedł prof. Vernon McKenzie z uniwersytetu waszyngtońskiego, żeby mi opowiedzieć o swoich rozmowach w Warszawie i Pradze. Oto jego słowa: „Polacy nie planują żadnych nabytków terytorialnych kosztem Rosji lub Czechosłowacji. Zawarli pakt z Niemcami, bo Francja była zbyt wymagająca i arbitralna i chcieli stworzyć możliwości pokojowego uregulowania sprawy Korytarza. Jestem przekonany, że to im się udało, Francuzi są wściekli”.

Jeżeli chodzi o Pragę, to powiedział: „Panuje wielka obawa, że Niemcy mogą sprowokować wojnę z Austrią, co zmusiłoby natychmiast Czechosłowację do wystąpienia. Otto Strasser, brat zabitego niedawno Gregora Strassera, oświadczył mi, iż jego głowa w tym, żeby w ciągu sześciu czy ośmiu miesięcy Führer został zabity. Te słowa wydały mi się ogromnie nieostrożne, jeżeli mówił je serio. Ale Strasser jest zażartym wrogiem Hitlera i spodziewam się, że poczyni jakieś kroki w tym kierunku”.

Poszedłem potem do domu, żeby się przygotować do lunchu u dr. Dieckhoffa. Pojechałem do Dahlem taksówką. Dzień był chłodny i przeciągi w jadalni sprawiły, iż czułem się trochę nieswojo. Towarzystwo było niewielkie i składało się z samych Niemców. Nie było mowy o żadnych bardziej poufnych sprawach i dopiero gdy zbierałem się do wyjścia, Dieckhoff z zadowoleniem zakomunikował mi, że Ministerstwu Spraw Zagranicznych udało się wreszcie wpłynąć na Hitlera, aby położył kres wrogiemu traktowaniu Żydów. Wyraził przy tym nadzieję, że naród amerykański stopniowo nabierze lepszego wyobrażenia o Niemczech i zgodzi się na rokowania handlowe między obu państwami w Waszyngtonie. Dodał, że Neurath nie przestawał nalegać w tej sprawie na Hitlera od czasu mego powrotu na placówkę wiosną tego roku.

Zaskoczony tą wiadomością nie poinformowałem Dieckhoffa, że parę dni temu dostarczono mi egzemplarz instrukcji dla członków NSDAP, która zabrania im utrzymywania jakichkolwiek stosunków osobistych z Żydami. Adwokatom nie wolno udzielać Żydom żadnej pomocy prawnej, sprzedawcy zatrudnieni w sklepach żydowskich nie powinni nosić w czasie pracy odznak partyjnych. W miejscach publicznych nie wolno przyznawać się do znajomości z osobnikami należącymi do „zgniłej rasy” i dopuszczać, żeby obcowali z aryjczykami. Powyższe zasady obowiązywały członków partii już od półtora roku. Ale posiadany przeze mnie egzemplarz, podpisany przez Rudolfa Hessa, przybocznego adiutanta Hitlera, nosi datę 16 sierpnia 1934 r. A więc Hitler, który przypuszczalnie rzeczywiście przyrzekł uczynić to, o co go prosiły najmądrzejsze głowy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, pozwolił jednocześnie swemu najbliższemu i najbardziej zaufanemu doradcy uczynić coś wręcz przeciwnego. Gdyby to był pierwszy wypadek udzielenia mi tego rodzaju przyrzeczenia, mógłbym sobie pomyśleć, że to jakaś pomyłka, że jakiś siedzący w aparacie partyjnym ekstremista wydał na nowo starą instrukcję. Ale to nie wygląda na omyłkę. Gdy zobaczę się kiedyś znowu z Neurathem lub Dieckhoffem, muszę im to nowe zarządzenie pokazać.

1 września 1934. Sobota.

Byli dziś u mnie na lunchu prof. McKenzie, prof. Lingelbach i E. T. Colton, przedstawiciel YMCA z Nowego Jorku. Rozmowa była bardzo szczerą i produktywną. McKenzie powiedział nam, że w czasie swego pobytu w mia-

stach zachodnioniemieckich dowiedział się o istnieniu czterech czy pięciu wielkich podziemnych hangarów lotniczych: dowiedział się również, ile Niemcy mają już gotowych do działań wojennych ciężkich bombowców i jakie ilości trującego gazu będą mogli rzucić w ciągu 2—3 godzin na Paryż czy Londyn. Opowiadanie McKenzie bardzo zmartwiło Lingelbacha, który w czasie wojny światowej był zdecydowanym sympatykiem Niemiec, a także Coltona, który w lipcu 1933 r., gdy przyjechałem do Berlina, odmalował mi w wyjątkowo ponętnych barwach ustrój nazistowski. Obaj bardzo ubolewali, że Niemcy zachowują się w sposób, wywołujący w Stanach Zjednoczonych jeszcze większą do nich wrogość niż w 1917 r. Gdy ze swej strony opowiedziałem o kilku znanych mi wypadkach prześladowania niewinnych ludzi, stanowisko gości w tej sprawie stało się jeszcze bardziej jednomyślne. Nikt nie stanął w obronie innych państw, które również się zbroją, a więc Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych i Japonii. Rozstaliśmy się w ponurym nastroju. Świat jest taki niemądry, a wojna to przecież straszna katastrofa.

V. OD 5 WRZEŚNIA 1934 DO 21 GRUDNIA 1934 ROKU

5 września 1934. Środa.

Słyszałem dzisiaj od kogoś albo w ambasadzie brytyjskiej, albo u mnie w biurze, jeszcze jedną relację o zażyłych stosunkach, które ubiegłej zimy łączyły gen. Schleichera z francuskim ambasadorem. Mój informator, który był niedawno w Paryżu, twierdził, iż nie ulega żadnej wątpliwości, że Monsieur François-Poncet brał jakiś udział w spisku Röhma, który w czerwcu chciał obalić Hitlera. W udział w spisku wątpię, ale mam wrażenie, że chyba prowadził jakąś grę polityczną, zmierzającą do obalenia reżymu, którego bezpośrednim celem, zdaniem wszystkich Francuzów, jest zniszczenie Republiki Francuskiej. Wciąż słyszę o jakiejś liście czołowych figur partii narodowosocjalistycznej, którzy mieli być zabici 1 lipca. Lista ta nie została nigdy opublikowana.

Ambasador brytyjski pytał się mnie dzisiaj, jak zwykle, o wiele rzeczy, ale na moje pytania o Daleki Wschód nie udzielił mi konkretnych odpowiedzi. Powiedział, że jadąc do Berlina, w Londynie się nie zatrzymywał. W przyszłym tygodniu weźmie udział w ceremonii uczczenia „awansu” Hitlera. Czytał projekt przemówienia Nuncjusza i zalecił mu pominięcie ustępu, zawierającego pochlebstwa pod adresem Prezydenta. O ile mi wiadomo, w ceremonii wezmą również udział ambasadorowie Francji i Włoch.

6 września 1934. Czwartek.

Pracowity dzień. Przygotowałem przemówienie, które mam wygłosić w Bremie w niedzielę po południu. Wczoraj wieczorem Orme Wilson, któremu pokazałem część pierwszej wersji tego przemówienia, wyraził obawę, że moje uwagi o wojennych nastrojach w Europie mogą wywołać powszechną sensację, a nawet skłonić Departament Stanu do udzielenia mi nagany. Jedną kopię dałem do przeczytania pewnemu amerykańskiemu korespondentowi: wyraził nadzieję, że nie opuszczę chyba żadnego ustępu dotyczącego stosunków międzynarodowych, i dodał, że jego zdaniem Genewa może zrobić wiele dobrego. Po przerobieniu kilku zdań ustaliłem ostateczną wersję przemówienia i chyba zaryzykuję wygłoszenie go w tej postaci. Wygłoszę je w języku angielskim, nie mam bowiem czasu na przetłumaczenie go na niemiecki. Kopię prześlę jutro do niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i do Waszyngtonu.

7 września 1934. Piątek.

Pan Gannon, wiceprezes Chase National Bank w Nowym Jorku, przyszedł, żeby się zapoznać z moim stanowiskiem w sprawie niemieckich długów. Miał długą rozmowę z dr. Schachtem i ma się spotkać z nim jeszcze raz. Gannon stale siedzi w Londynie, Paryżu i Berlinie i usiłuje zmontować porozumienie w sprawie kredytowania niemieckich zakupów bawełny, miedzi i ropy naftowej w Stanach Zjednoczonych: chodzi o krótkoterminowe czteroprocentowe pożyczki tego samego rodzaju, co kredyty udzielone już dawniej przez banki nowojorskie, ale dotychczas przez Niemców nie spłacone; zaległość wynosi 600 milionów dolarów. Powiedziałem Gannonowi, że moim zdaniem wszystkie państwa europejskie uważają, iż długów zaciągniętych kiedyś w Stanach Zjednoczonych nie potrzeba już w ogóle spłacać. Schacht gotów byłby coś płacić, żeby ratować eksport, ale nie uczyni w tym kierunku żadnego kroku, jeżeli nie będzie miał pewności, że wpłynie to na poważne zwiększenie niemieckiego eksportu do Stanów Zjednoczonych.

Gannon opisał mi skomplikowany plan zabezpieczenia nowych kredytów. Przedstawi go Schachtowi przed wyjazdem do Londynu. Powiedziałem otwarcie, że nie jestem dość zorientowany w zagadnieniach finansowych, żeby móc ocenić słuszność jego wywodów i z tego względu proszę go o odpowiednie memorandum na piśmie. Obiecał wysłać mi je zaraz po przyjeździe do Londynu i wyraził nadzieję, że napiszę do Departamentu Stanu pismo popierające jego plany.

8 września 1934. Sobota.

O 9-ej wyjechałem pociągiem, drugą klasą, do Bremy. Przez pierwsze dwie godziny w wagonie było nieco zimno, ale usiadłem tak, żeby być w słońcu i czułem się nie najgorzej. Niemieckie wagony nie są ogrzewane, dopóki nie zrobi się naprawdę zimno.

Siedziałem obok przyzwoicie wyglądającego pasażera, który miał wielką ochotę do rozmowy. Powiedział mi, że urodził się i wychował w Niemczech. Obecnie mieszka w Nowym Jorku. Latem był we Włoszech, Niemczech i Rosji; odniosłem wrażenie, że poznał przy tym interesujących ludzi i wiele się nauczył. Był zgnębiony i wstrząśnięty brutalnością i okrucieństwem Hitlera. Uważa, że naród niemiecki takiego postępowania nie aprobuje, ale jest bezsilny. Gdy inny dobrze ubrany pasażer, siedzący naprzeciwko mnie, zaczął zdradzać ochotę do włączenia się do rozmowy, mój sąsiad z Nowego Jorku zapytał go prosto z mostu, jak mu się podoba nowy ustrój. Odpowiedź brzmiała entuzjastycznie: „Hitler ist unser grosser Führer: wir sind überall für ihn, und diese Franzosen, die uns umklammern, ach! wir werden diesem bösen Feinde ein Ende machen" (Hitler to nasz wielki wódz: wszyscy jesteśmy za nim: a ci Francuzi co nas okrażają, ach! wykończymy tego podłego wroga). Cały świat, mówił dalej, okazuje Niemcom wrogość. Walczył na froncie w czasie ostatniej wojny i jest gotów każdej chwili znowu bić się z Francją. Jest przekonany, że następnym razem Niemcy ją wykończą.

Pasażer z Nowego Jorku już się wiele nie odzywał. Niemiec wysiadł w jakimś mieście w połowie drogi z Berlina do Bremy. Do wagonu wsiadło dwóch oficerów Reichswehry, wracających z Norymbergi, ale nie miałem ochoty zaczynać z nimi rozmowy: mój sąsiad też się nie odzywał.

Po lunchu przespacerowałem się trochę po starej Bremie i natrafiwszy na jakiś antykwariat w pobliżu kanału, kupiłem sobie tom *Esejów* Macaulaya, poświęcony osobom Fryderyka Wielkiego, Johna Bunyana i złego ducha Francji, Barère'a. Wyjeżdżając zapomniałem wziąć ze sobą książkę do czytania w wolnych chwilach.

9 września 1934. Niedziela.

Poproszono mnie, żebym o 12.30 wygłosił parę słów na zebraniu członków YMCA. Powitano mnie tam z entuzjazmem, którego się nie spodziewałem. Po południu zgromadziło się około pięciu tysięcy ludzi ze wszystkich części Niemiec i Europy zachodniej. Byłem zakłopotany, gdyż spodziewałem się 400 czy 500 wykształconych słuchaczy. Niemniej swój odczyt zatytułowany: „Niespokojny świat” wygłosiłem i dostałem takie oklaski, jak gdyby wszyscy mnie zrozumieli. Moje słowa wymierzone były przeciwko przygotowaniom wojennym i wznoszeniu barier w handlu międzynarodowym.

O 10.30 wsunąłem się do górnego łóżka w przedziale sypialnym pociągu osobowego idącego przez Hanower do Berlina. Przyjechałem na miejsce o 7-ej rano i pojechałem taksówką do domu. Nie czułem się zbyt dobrze, bo spanie w wąskim łóżku niemieckiego wagonu sypialnego jest rzeczą prawie niemożliwą. Póki oczy mi pozwalały czytałem *Eseje* Macaulaya. Jego esej o Barère zawiera bezlitosną krytykę tej jednej z wielu ponurych postaci reżymu Robespierre'a. Macaulay ma prawdopodobnie rację, ale nasuwa się myśl, że wielki historyk w dużym stopniu kierował się niechęcią do Francji i pragnieniem potępienia „dzikiej demokracji” panującej w okresie rewolucji francuskiej.

10 września 1934. Poniedziałek.

Miałem dziś po południu rozmowę z Wallace Deuelem, nowym korespondentem „Chicago Daily News”. Deuel jest następcą Juniusa Wooda, niezwykle zdolnego łowcy informacji. Był przez dwa lata w Rzymie, orientuje się dobrze w europejskim galimatiasie, ale nie zna języka niemieckiego. Chciał się podzielić ze mną wiadomościami zdobytymi w ciągu ostatnich dwóch tygodni i dowiedzieć się czegoś bliższego o charakterze Hitlera, Göringa i Goebbelsa oraz najbliższych im ludzi, na których się opierają.

Wszystkich piętnastu czy dwudziestu korespondentów prasy amerykańskiej, z którymi spotykam się w Berlinie, uważam za wybitnie inteligentnych wykrywaczy informacji. Sądzę, że są mądrzejsi od francuskich i brytyjskich „szpiegów”, którzy są czasami zbyt dociekliwi i narażają życie Niemców, od których przypadkowo czegoś się dowiedzieli. Udzieliłem Deuelowi informacji i wskazówek, których moim zdaniem mogłem mu udzielić zgodnie z wymogami przyzwoitości i bezpieczeństwa. Deuel robi na mnie wrażenie dobrego pracownika, ale czuje tak wielką niechęć do dyktatorskich rządów Mussoliniego, że będzie mu chyba trudno zachować niezbędny obiektywizm w Berlinie. Dla każdego człowieka wychowanego w duchu angielskiej czy amerykańskiej demokracji Hitler jest równie brutalną i dziwnie odpychającą postacią jak Mussolini.

11 września 1934. Wtorek.

Oechsner z United Press i Webb Miller, londyński przedstawiciel tej samej agencji prasowej, powiedzieli mi dzisiaj dużo nowych rzeczy o metodach pracy goebbelsowskiego urzędu propagandy. Miller jest bardziej zdeprimowany dyktatorskimi posunięciami Niemców niż Oechsner. Dowiedziałem się od nich o utworzeniu nowej tajnej jednostki policyjnej, której zadaniem ma być przechwytywanie opinii wypowiedzianych przez obcokrajowców w rozmowach telefonicznych i hotelach.

12 września 1934. Środa

Ubrany we frak, przybyłem o 12.30 do pałacu prezydenckiego na Wilhelmstrasse, żeby złożyć oficjalną wizytę nowemu prezydentowi, Adolfowi Hitlerowi, który sam się na to stanowisko powołał. Kilka dni temu przyszedł do mnie ambasador hiszpański i powiedział, że czuje, iż będzie musiał pojechać na tę uroczystość, chociaż ogarnia go wstręt na myśl, że będzie musiał podać Hitlerowi rękę. Przyznałem, że tym razem nie możemy zostać w domu, gdyż chodzi o uroczystość państwową. Mówiłem o tym również 6 września z ambasadorem brytyjskim, który był tego samego zdania, mimo że Hitler budzi w nim najwyższą odrazę.

Gdy nadjechałem, cały plac przed pałacem otoczony był żołnierzami stojącymi na baczność. Sam pałac był również odpowiednio strzeżony. Obecny był cały korpus dyplomatyczny wraz z Nuncjuszem, który ostatnio przez miesiąc był chory i przebywał w szpitalu. Nuncjusz jest najstarszym członkiem korpusu i do jego obowiązków należy wygłaszanie oficjalnego powitania na tego rodzaju uroczystościach. Następne miejsce po Nuncjuszu w szeregach korpusu zajmuje Monsieur François-Poncet, który przybył ubrany we wspaniałą mundur galowy udekorowany orderami i wstążeczkami, wskazującymi na jego zasługi. Młody Bérard, attaché francuskiej ambasady, powiedział mi w sierpniu, że Hitler oświadczył, iż nie chce więcej widzieć na oczy francuskiego ambasadora. Byłoby to równoznaczne z jego odwołaniem, gdyby Hitler utrzymał swą decyzję w mocy. Ale dzisiaj nic nie wskazywało, że taka groźba istnieje. Uścisnęli sobie ręce na pozór z wielką serdecznością.

Gdy członkowie korpusu dyplomatycznego, których było około pięćdziesięciu, ustawili się przepisowo w wielkiej sali recepcyjnej, wszedł do niej Hitler w towarzystwie Neuratha, Bülowa i Bassewitza. Wszyscy byli we frakach. Zwracając się do człowieka, który zarówno z politycznego jak religijnego punktu widzenia jest wrogiem Rzymu, Nuncjusz wygłosił konwencjonalne przemówienie, w którym złożył Hitlerowi gratulacje z powodu wspaniałego sukcesu, jakim było objęcie przez niego stanowiska po Hindenburgu. Były w tym przemówieniu również pewne aluzje i przestrogi dotyczące niebezpieczeństwa wojny, która, według powszechnie panującej tu opinii, jest głównym celem obecnego reżymu. Z tym oczywiście się zgadzam.

W swojej odpowiedzi wygłoszonej w języku niemieckim Hitler oświadczył, że jest nastawiony przyjaźnie do całego świata i że jedynym jego celem jest pokój. Skończywszy mówić, podszedł równym krokiem do reprezentanta Papieża i skłoniwszy się uścisnął mu rękę. Byłby go również objął, gdyby tego wymagał protokół. Gdy podszedł następnie do François-Ponceta, wydawało się, że stosunek między nimi jest jeszcze bardziej przyjazny. Porozma-

wiali ze sobą przez parę chwil bardzo uprzejmie po niemiecku, byłem jednak za daleko, żeby zrozumieć, o czym mówili. Potem Kanclerz zwrócił się do ambasadora włoskiego Ceruttiego, ale tym razem było mniej objawów serdeczności. Włoch nie ma tego obycia towarzyskiego co Francuz; nie umie ukrywać swojej antypatii do ustroju narodowosocjalistycznego, którego nienawidzi, podobnie jak jego żona, dystygowana węgierska Żydówka.

Podszedłszy do stojącego na prawo ode mnie ambasadora japońskiego Hitler pospieszył podziękować mu za przyjazd do Norymbergi i wygłoszone tam przemówienie. Wszyscy dobrze zrozumieli, że Hitlerowi chodziło o wyrażenie w ten sposób nagany przedstawicielom Francji, Włoch, Anglii, Hiszpanii i mnie za to, że odmówiliśmy wzięcia udziału w norymberskiej imprezie, zarówno w tym jak ubiegłym roku. Gdy uradowany Führer wyciągnął do mnie rękę, nawiązałem od razu do pokojowej nuty jego przemówienia i powiedziałem, że spotka się ono z uznaniem Stanów Zjednoczonych a w szczególności prezydenta Roosevelta. Dodałem, że Prezydent prosił mnie, abym go powiadomił, iż Prezydenta bardzo zawsze interesują jego pokojowe przemówienia. Hitler skłonił z szacunkiem głowę i przez chwilę mówił tak jakby był pacyfistą, a więc typem człowieka, którego wciąż potępia w swych publicznych oświadczeniach. Potem przeszedł dalej, żeby przywitać się z ambasadorami Hiszpanii i Wielkiej Brytanii, mnie zaś zrobiło się trochę nieprzyjemnie, bo Hitler chyba nie rozumiał mojej ironii. Myślał, że ja naprawdę uwierzyłem w to, co nam powiedział.

Nigdy jeszcze nie widziałem Hitlera w tak radosnym nastroju, jak w czasie tego witania się z ustawionymi w szeregu przedstawicielami państw obcych. Ani po Neuracie ani po Bülowie nie było widać, żeby się wstydzili za swój kraj. Spotkanie zakończyło się około 1-ej. W drodze do domu zadawaliśmy sobie wszyscy pytanie, czy ten najbardziej średniowieczny ze wszystkich ustrojów znanych Europie może się utrzymać.

Po południu przyszli dziennikarze i chcieli się koniecznie dowiedzieć, jakie są moje wrażenia z wizyty u Hitlera. Mogłem im tylko powiedzieć, że nutą przewodnią przyjęcia był pokój i że wszyscy Niemcy robili wrażenie uszczęśliwionych.

14 września 1934. Piątek.

Na zaproszenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych pojechałem z Mattie do Charlottenburga, gdzie w wielkim gmachu operowym miała być wystawiona na otwarcie sezonu opera *Tannhäuser*. Hitler, Papen, Goebbels i generałowie Blomberg i Fritsch siedzieli razem w dawnej łoży królewskiej. Obok nas był ambasador Włoch i Madame Cerutti, po drugiej stronie sali — ambasador Francji i Madame François-Poncet. Wszystkie łoża były zajęte przez członków korpusu dyplomatycznego; cały gmach był wypełniony do ostatniego miejsca. Zgodnie z niemieckim zwyczajem przedstawienie zaczęło się bez opóźnienia. Po pierwszym akcie wszyscy widzowie siedzący na parterze powstali ze swych miejsc i obróciwszy się twarzami do łoży Hitlera stali tak przez pewien czas, pozdrawiając go przez podniesienie rąk do góry. Scena ta powtórzyła się w czasie następnej przerwy. Obecność Hitlera w łoży królewskiej wzbudziła wśród licznie zgromadzonej publiczności, a także aktorów i śpiewaków, wielkie poruszenie. Jak mi powiedziano, entuzjazm był większy, niż kiedy w tej samej łoży zasiadali Hohenzollernowie. Papen, nie bacząc na

to, co mu się przydarzyło 30 czerwca i co mi sam później opowiadał, stał w czasie przerwy razem z Goebbelsem, a przecież w rozmowie ze mną odsądzał go od czci i wiary. Syn Papena mi mówił, że Goebbels usilnie zabiegał o to, żeby jego ojca wówczas zabito.

Ciekawa sytuacja: Papen nienawidzi Goebbelsa, o Blombergu wiem, że nie znosi Goebbelsa i chciałby go usunąć z rządu, Fritsch nienawidzi Blomberga, a obaj generałowie, jak mi mówiono jeszcze przed 30 czerwca, nie cierpią Hitlera. Teraz wszyscy siedzą razem i zachowują się tak, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi!

W czasie jednej z przerw podeszła do mnie Madame Cerutti i zachowując pozory dyplomatycznej zażyłości zapytała: „Pan pamięta co panu powiedziałam, gdy byłem u pana na obiedzie 29 czerwca?”. Pamiętałem. Oczywiście oboje Cerutti dobrze wiedzą, że ich dyktator jest mi równie miły, jak niemiecki satrapa. Gdy analizuję problemy i nieszczęścia naszej cywilizacji, zastanawiam się, czy Stany Zjednoczone nie powinny mnie odwołać. Chętnie bym sobie stąd poszedł.

16 września 1934. Niedziela.

Byliśmy na obiedzie u Orme Wilsona. Głównym gościem był radca Marriner z naszej ambasady w Paryżu, który właśnie wrócił z Warszawy. Jeździł tam, żeby się zorientować, jakie stanowisko zajmuje Polska wobec Francji i Ligi. Jest w obejściu bardzo ceremonialny. Przyszliśmy na ten obiad, żeby nie uchodzić za odludków, ale o prawdziwej rozmowie nie było mowy, niczego nowego nie dowiedzieliśmy się. Dużo lepiej byłoby zjeść obiad w domu i poczytać sobie jakąś dobrą książkę. Ale czy to tak łatwo o dobrą książkę w dzisiejszych czasach?

19 września 1934. Środa.

Na prośbę naszego ministra spraw zagranicznych odwiedziłem dziś o 11-ej dr Schachta. Był bardzo serdeczny. Przywitawszy się z nim oświadczyłem bez ogródek, że trudno myśleć o poprawie stosunków między naszymi krajami, gdy w Stanach Zjednoczonych panuje przekonanie, że Niemcy szykują się do rozpętania nowej wojny. Co ja mogę zrobić siedząc w Berlinie, jeżeli wszystko wskazuje na to, że Niemcy zmierzają do wywołania światowego czy europejskiego konfliktu? Jeżeli moja misja w Berlinie ma się zakończyć niepowodzeniem, to czy nie lepiej wrócić już teraz na stałe do kraju? Zaskoczony odrzekł: „Nie wolno panu rezygnować; wynikłaby z tego wielka szkoda”. Ale co może zrobić człowiek o mojej mentalności w kraju, w którym panuje taka straszna atmosfera?

Następnie Schacht oświadczył: „Cały świat sprzymierzył się przeciwko nam; wszyscy napadają na Niemcy i starają się, jak mogą, je bojkotować”. „Dobrze — powiedziałem — ale pan przecież wie, że drogą prowadzącą do położenia kresu tego rodzaju rzeczom, nie są zbrojenia. Jeżeli rozpoczniecie wojnę i zwyciężycie, straciecie więcej, niż moglibyście zyskać. Na wojnie wszyscy tracą.” Gdy oświadczył, że Niemcy nie zbroją się przecież tak bardzo, powiedziałem: „W styczniu i lutym Niemcy kupiły od amerykańskich producentów za milion dolarów nowoczesny sprzęt lotniczy i zapłaciły za niego złotem”. Zmieszał się i chciał już temu zaprzeczyć, ale zobaczywszy,

że mam zamiar przedstawić mu dowody na piśmie, rzekł: „No tak, pan — jak widzę — zna dobrze sprawę. My jednak zbroić się musimy”.

Później przyznał, że partia hitlerowska stawia wszystko na wojnę, a ludność jest również chętna i gotowa do walki. Niewielu tylko członków rządu zdaje sobie sprawę, jak niebezpieczna może być wojna dla Niemiec i jest jej przeciwna. Wreszcie powiedział: „Ale zaczekamy z wojną jeszcze dziesięć lat. Wtedy może się uda wojny uniknąć”.

Przypomniałem mu o przemówieniu, które wygłosił parę tygodni temu w Bad Eilsen, i powiedziałem: „Zgadza się z panem w zasadzie we wszystkich sprawach handlowych i finansowych. Ale dlaczego, przemawiając publicznie, nie powie pan Niemcom, że powinni porzucić myśl o wojnie?” Odpowiedział: „Nie śmiem o tym mówić. Wolno mi mówić jedynie o sprawach wchodzących w zakres mojej specjalności”.

Jak wobec tego naród niemiecki ma się dowiedzieć, czy grozi mu wojna, jeżeli nikt mu nie naświetla tej strony zagadnienia? Znow się zaklinał, że jest przeciwny wojnie, że stale używa swego wpływu na Hitlera, „nawiasem mówiąc, naprawdę wielkiego człowieka”, żeby jej zapobiec. „Niemieckie gazety — powiedziałem — wydrukowały to, co w Bremie powiedziałem o stosunkach handlowych pomiędzy naszymi krajami, ale ani słowa o tym, co powiedziałem o strasznych skutkach wojny i jej barbarzyństwie.” Przyznał, że tak było i wyraził się bardzo ujemnie o ministrze propagandy, który zataja wszystko, co mu jest niemiłe. Gdy wychodziłem, powiedział: „Pan wie, każda partia dochodzi do władzy dzięki propagandzie i potem nie może już ani się jej wyrzec, ani jej zabronić”.

W drodze powrotnej do ambasady zaparkowałem samochód koło Bramy Brandenburskiej i poszedłem pieszo do ambasady brytyjskiej na Wilhelmstrasse. Sir Eryk Phipps był w swoim gabinecie. Przez 15 minut opowiadałem mu o napływających do naszej ambasady informacjach, świadczących o tym, że Niemcy intensywnie przygotowują się do wojny. Wydaje się, że jego konsulaty nie przekazały mu tych informacji, jakie otrzymaliśmy od naszych placówek, przede wszystkim ze Stuttgartu i Monachium. Udawał zdziwionego, gdy podałem mu dane dotyczące samolotów zakupionych przez Niemcy w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Poinformowałem go również o tym, że Schacht przyznał, iż partia narodowosocjalistyczna dąży do wojny. Rozmowę z Phippsem traktowałem jako poufną; ma ona przygotować grunt do dalszych rozmów, w razie gdyby prezydent Roosevelt próbował wprowadzić nadzór państwowy nad przemysłem zbrojeniowym. Chciałem przekonać Phippsa, że powinien namówić swój rząd do wszczęcia takiego samego dochodzenia, jakie w Ameryce prowadzi obecnie senator Nye*; wywołuje ono wśród wszystkich zainteresowanych państw wielkie poruszenie. Chociaż więc wiedziałem, że Anglia zaprotestowała przeciwko ujawnianiu przekupnych machinacji angielskich producentów broni, wspo-

* W 1933 i na początku 1934 r. prasa amerykańska opublikowała liczne informacje o sprzedaży przez przemysł amerykański broni i materiałów wojennych za granicę. W związku z tym senator Gerald P. Nye w lutym 1934 r. zaproponował utworzenie specjalnej komisji, która zbadałaby te sprawy. Po powzięciu uchwały przez Senat senator Nye stanął na czele komisji, która w miarę prowadzenia dochodzeń rozszerzyła zakres badań i zajęła się przyczynami przystąpienia St. Zjedn. do I wojny światowej.

Praca komisji, której nadano duży rozgłos, wywołała wiele zastrzeżeń za granicą, a nawet oficjalne protesty niektórych państw (np. Argentyny, W. Brytanii). Przyczyniła się w znacznej mierze do wzrostu nastrojów izolacjonistycznych w społeczeństwie amerykańskim i doprowadziła pośrednio do uchwalenia późniejszych ustaw o neutralności.

niałem bez ogródek o dobrych wynikach demaskatorskiej akcji senatora Nye. Phipps zgodził się ze mną, ale nie miał ochoty więcej na ten temat rozmawiać. Uważam, że działalność światowych producentów broni jest główną przyczyną kłopotów dzisiejszej Europy.

Na zaproszenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych przybyłem o 2.30 do Opery Kroiła na dyskusję w sprawie wielkich robót drogowych prowadzonych obecnie w Niemczech. Okazało się, że chodziło tylko o to, żeby Neurath miał okazję do pomówienia o niemieckiej polityce zagranicznej i „pokojowych zamiarach”. „Führer pragnie ponad wszystko pokoju.” Chodziło o wyjaśnienie stanowiska Niemiec wobec przyjęcia Rosji* do Ligi i zapowiedzianego plebiscytu na terytorium Saary. Ludność ma tam zadecydować, zdaje się 11 stycznia, o tym, czy powróci na łono ojczyzny, czy też pozostanie pod opieką Ligi Narodów.

Wszyscy członkowie korpusu dyplomatycznego pozostali na sali, dopóki Neurath nie skończył swego przemówienia. Gdy rozpoczęło się tłumaczenie na język angielski, salę opuścili ambasadorowie Wielkiej Brytanii i Francji. Wkrótce potem wyszedł Włoch, a z nim i ja. Mieliśmy tego dość. Neurath mówił niezłe, ale nikt nie wierzył w jego zapewnienia o pokojowych zamiarach obecnego reżymu.

24 września 1934. Poniedziałek.

Ambasador hiszpański przyszedł mnie powiadomić, że ma zamiar pojechać 30 września na Święto Dziękczynienia w Bückeberg**. Zrobi to głównie dlatego, że w okresie ostatnich paru miesięcy przepuścił dużo uroczystości i imprez propagandowych. Powiedziałem mu, że nie przyjąłem zaproszenia i nie mogę teraz zmieniać mojej decyzji. Te propagandowe imprezy są tak naiwne, a nawet odpychające, że ich nie wytrzymuję nerwowo i biorę w nich udział tylko wówczas, gdy moje urzędowe stanowisko absolutnie tego wymaga. Powinienem chyba wytłumaczyć tę moją absencję ministrowi Hullovi i dowiedzieć się, co on o tym myśli.

26 września 1934. Środa,

Posel belgijski [André de Kherchove de Deuterghen] wrócił ze swego długiego letniego urlopu i przyszedł do mnie, żeby porozmawiać o problemie niemieckim i groźbie, jaką dla Europy stanowi Hitler. Jest wprawdzie przekonany, że w najbliższej przyszłości wojna nie wybuchnie, ale uważa, że jest ona głównym celem obecnego reżymu; nie będzie to jednak wojna z Francją czy Belgią, lecz z Czechosłowacją i Austrią. „Taki jest cel Hitlera; będzie to dużo łatwiejsza sprawa niż uderzenie na zachód, które spotkałoby się ze zjednoczonym oporem Francji, Anglii i Belgii.”

Jest rzeczą jasną, że w stosunkach belgijsko-francuskich nie ma harmonii; między Anglią i Belgią panuje chyba większe zbliżenie. Chciał się koniecznie dowiedzieć, czy istnieje jakaś szansa, żeby Stany Zjednoczone za prezyden-

* ZSRR został przyjęty do Ligi Narodów 18 września 1934 r.

** Na wzgórzu Bückeberg w Westfalii odbywały się corocznie dożynki, ustanowione przez narodowych socjalistów, mające charakter uroczystości państwowej.

tury Roosevelta przystąpiły do Ligi Narodów. Nie mogłem mu nic na ten temat powiedzieć poza tym, że osobiście jestem za tym i wiadomo mi, że tego samego zdania był Roosevelt w latach 1920—1930.

Mówiliśmy przez chwilę o roli Dalekiego Wschodu i o tym, że Stany Zjednoczone, Anglia i Francja powinny współpracować na tym terenie, jeżeli pokój światowy ma być zachowany. W tej sprawie panowała między nami całkowita zgodność poglądów, ale pod koniec rozmowy zauważyłem, że opinia publiczna w wymienionych krajach jest daleka od tego, żeby popierać myśl tej współpracy. Po wyjściu posła zląkłem się, że może byłem z nim zbyt szczery, bo przecież pod koniec rozmowy można się było domyślić, że stara się mnie wybiadać na polecenie sprytnego sir Eryka Phippsa, ambasadora Wielkiej Brytanii. W każdym razie nie powiedziałem mu nic wiążącego, jeżeli chodzi o stanowisko Waszyngtonu.

27 września 1934. Czwartek.

Odwiedzili mnie dzisiaj dr Carl Wehner i dr Willy Beer z „Berliner Tageblatt”. Rozmawialiśmy o problemie przesiedlania ludności miejskiej na wieś. Moim zdaniem akcja ta żadnego konkretnego rezultatu nie osiągnęła. Bezrobotni nie pójdą z miasta na wieś, jeżeli nie zostaną do tego zmuszeni siłą, a władze hitlerowskie w tej sprawie przymusu nie stosują. Wielcy właściciele ziemscy nie pozbedą się swych majątków za cenę, jaką rząd może im zaoferować. Prawie wszyscy bezrobotni, którzy w lecie pracowali na roli, powrócą do miast do końca października. Twierdzenie burmistrza Sahma, że uwolnił Berlin od ciężaru 100 tysięcy bezrobotnych, dotyczy tylko okresu letniego; zresztą ci sezonowi robotnicy nie byli mile widziani przez chłopów.

28 września 1934. Piątek.

O 9-ej udałem się do siedziby Towarzystwa im. Carla Schurza, dokąd zostałem zaproszony na odczyt jednego z profesorów uniwersytetu berlińskiego. Mówił o „Nowym Ładzie” prezydenta Roosevelta i perspektywach rozwoju gospodarczego w Stanach Zjednoczonych. Referat był dobrze napisany i miał charakter naukowy, wolny od tendencyjności i nazistowskiej propagandy. Obecnych było około czterdziestu osób ze sfer naukowych i rządowych. Impreza była na tyle poważna, że gdy otwarta została nad referatem dyskusja, pozwoliłem sobie postawić trzy następujące pytania: 1. Czy brak wolnych lub prawie wolnych gruntów w Stanach Zjednoczonych nie utrudni lub uniemożliwi realizacji rooseveltowskiego programu uzdrowienia gospodarki kraju? — 2. Czy fakt, że ani europejscy emigranci, ani amerykańscy bezrobotni nie chcą się osiedlać na roli, nie postawi rządu wobec konieczności opracowania nowego programu społecznego? — 3. Czy doniosły fakt, że wzrost ludności w najbardziej cywilizowanych krajach ulegnie zahamowaniu około 1970 r. nie będzie wymagał zmiany środków naprawy w dziedzinie stosunków gospodarczych i społecznych?

Poruszone przeze mnie społeczne i moralne aspekty zagadnienia wzbudziły dość duże zainteresowanie wśród obecnych i wywołały dyskusję, ale odpowiedzi na moje pytania nie usłyszałem. Zebranie zakończyło się dopiero o 11.30.

1 października 1934. Poniedziałek.

Dziś rano zjawiała się u mnie żona jednego z sekretarzy pewnego niemieckiego poselstwa na Bałkanach. Przyszła się dowiedzieć, czy nie mógłbym jej pomóc w trudnej sytuacji, w jakiej się znalazła wraz ze swoim mężem z tego powodu, że zastępca Hitlera Rudolf Hess kazał mężowi udowodnić, iż żaden z jego lub jej przodków nie był Żydem. Urodziła się w Berlinie i jest dzieckiem mieszanego małżeństwa niemiecko-amerykańskiego. Jeżeli nie udowodni, że żaden z jej dziadków nie był Żydem, mąż będzie musiał zrezygnować z pracy w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dała mi do przeczytania dokument, z którego wynikało jedynie, że ma rodzinę posiadającą obywatelstwo amerykańskie. Nie mogłem oczywiście niczego w tej sprawie zrobić, ale odesłałem ją do konsula Geista, w nadziei, że szepnie on grzeczne słówko odpowiedniemu niemieckiemu urzędnikowi i jakoś jej pomoże. Nic nie było takiego w jej wyglądzie, co by wskazywało, że nie jest aryjką. Ta historia dobrze ilustruje mechanizm niemieckiego antysemityzmu.

4 października 1934. Czwartek.

Przyszedł mój stary przyjaciel Quincy Wright z Uniwersytetu Chicago, żeby porozmawiać o ujawnionych w czasie ostatniej genewskiej konferencji kłopotach Ligi Narodów. Perspektywy nie są dobre. Dochodzenia prowadzone przez Nye w Waszyngtonie ujawniły jałowość dotychczasowych dyskusji rozbrojeniowych w Lidze; w czasie ich trwania Brytyjczycy, Amerykańscy i Francuscy producenci broni sprzedawali całemu światu ogromne ilości materiałów wojennych; utrzymywali nawet w Genewie specjalnych tajnych agentów, których zadaniem było sabotowanie pracy konferencji rozbrojeniowych.

Wright sądzi, że Brytyjczycy konserwatyści są przeciwni planom Ligi. Dochodzenia prowadzone w Waszyngtonie wykazały, że różni producenci sprzedają Niemcom wielkie ilości broni za złoto, co jest sprzeczne z umową między Niemcami a Stanami Zjednoczonymi. Brytyjczycy nie są lepsi. Naruszyli traktat wersalski sprzedając Niemcom samoloty i inne materiały wojskowe.

5 października 1934. Piątek.

Wśród gości, których mieliśmy dziś na lunchu, byli ambasadorzy Japonii i Hiszpanii, von Prittwitz z żoną, profesor uniwersytetu berlińskiego Hoetzsch z żoną, państwo Wright, pani Baum z Chicago i Miss Sigrid Schultz. Japończyk był bardzo uprzejmy, choć jednocześnie bardzo ostrożny. Dużo mówił, ale niczego nie powiedział. Wręcz odwrotnym typem człowieka jest ambasador hiszpański; ilekroć zabierał głos, zawsze mówił szczerze, co myślał.

Obok mnie po prawej stronie siedziała hrabina von Prittwitz; jej mąż był od 1926 do 1932 r. ambasadorem niemieckim w Stanach Zjednoczonych. W swych wypowiedziach na temat sytuacji i ludzi w Niemczech była znacznie szersza ode mnie — ja się trochę bałem. Chociaż znam dobrze państwa von Prittwitz, uważam, że żadnemu Niemcowi nie mogę otwarcie powiedzieć, jak straszna jest dla mnie hitlerowska dyktatura. Po mojej lewej stronie siedziała żona pewnego naukowca. Ona również wypowiadała się z dużą swobodą. „Niemieckie uniwersytety — powiedziała — czeka ruina. Połowa

profesorów wyemigrowałaby do Stanów Zjednoczonych, gdyby mogła tam dostać pracę." Głęboko jej współczułem, a także jej mężowi, wielkiemu autorytetowi w swej specjalności na terenie europejskim. Tego rodzaju rozmowy są u nas na porządku dziennym.

6 października 1934. Sobota.

Gazety podają, że w Hiszpanii powstał rząd faszystowski*. Jeżeli to się okaże prawdą, będzie mi ogromnie żal mego przyjaciela Hiszpana. To prawdziwy demokrat o szlachetnym sercu i dużej wiedzy. Będzie miał złamane życie, jeżeli w jego kraju zapanuje faszyzm. Ale Europa oszalała; nikt nie wie, co nas jeszcze czeka.

Przeczytałem przed południem mnóstwo różnych dokumentów i raportów dotyczących sytuacji w Niemczech. W każdym innym okresie historycznym nowożytnych Niemiec sądziłbym, że w powietrzu wisi rewolucja, ale na wiadomościach, które na to wskazują, nie można polegać, gdyż wszystkie źródła informacji znajdują się w rękach maniaka. Ponieważ maniak ten uważa siebie za boskiego wybrańca, który ma zbawić Niemcy, żaden uczonec lub polityk nie ośmiela się choćby jednym słowem skrytykować jego postępowania. Wczoraj doniesiono mi o następującym wydarzeniu: Dwóch młodych braci, żołnierzy SS, którzy nie mogli się w duchu pogodzić z surowym rygorem wojskowym, w umiarkowanych słowach skrytykowali hitlerowską dyktaturę i odmówili wzięcia udziału w jakimś partyjnym zebraniu. Jednego z nich, gdy przebywał poza domem, aresztowano i zabito, a zwłoki spalono. Paczkę z popiołem doręczono dwa dni później bratu, którego pozostawiono przy życiu. Wiadomość nie sprawdzona, ale zgodna z faktycznymi okolicznościami wielu innych egzekucji i nie mam powodu, żeby w nią nie wierzyć. Przypuszczam, że tego rodzaju historie mają na celu sterroryzowanie wszystkich Niemców i zmuszenie ich do całkowitej uległości.

7 października 1934. Niedziela.

Cały dzień pracowałem nad przemówieniem, które mam wygłosić w Waszyngtonie 28 czy też 29 grudnia, na zebraniu Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Dotychczas prezesowie Towarzystwa mówili na ogół o tym, „jak należy pisać historię”, lub o tym, „co jest właściwą domeną historii”. Uważam, że było tego za dużo; chciałbym tym razem dać od siebie jakiś konkretny przyczynek historyczny. Będę mówił o genezie i rozwoju niewolnictwa na Południu, a tytuł mego referatu będzie brzmiał: „Pierwszy ustrój społeczny w Stanach Zjednoczonych”. Napisanie go w sytuacji, gdy jestem tak daleko od kraju i gdy tak trudno mi jest o wolną chwilę, będzie wymagało ode mnie dużego wysiłku.

* Dn. 4 października 1934 r. Alejandro Lerroux utworzył gabinet koalicyjny — w większości prawicowy. Stronnictwa lewicowe i związki zawodowe ogłosiły strajk generalny. Prowincje Katalońska i Baskijska proklamowały niepodległość jako państwa autonomiczne w federacji hiszpańskiej. Strajk i wystąpienie polityczne zostały krwawo stłumione. Najdłużej trwała walka w Asturii.

8 października 1934. Poniedziałek.

Urodziny Marty. Zaprosiła swoich przyjaciół i znajomych na 10-tą, chyba trochę za późno jak na zabawę połączoną z tańcami. Przyszło dużo sympatycznych ludzi, wśród nich wielu Niemców znajdujących się w trudnej sytuacji, jak np. młody Stresemann, utalentowany syn b. kanclerza Gustawa Stresemanna. Matka jego jest Żydówką, a zmarły ojciec przedmiotem krzykliwych ataków ze strony obecnego reżymu. Młody Stresemann, ze względu na żydowskie pochodzenie swojej matki, nie może mieć żadnej państwowej posady i niełatwo mu będzie również zdobyć jakąś pracę w zawodzie prawniczym. Przyjęcie upłynęło mimo wszystko w bardzo miłej atmosferze z tym tylko zastrzeżeniem, że wielu gości, zgodnie z dyplomatycznym i niemieckim zwyczajem, pozostało u nas jeszcze długo po północy, kiedy to zwykle udają się na spoczynek.

9 października 1934. Wtorek.

Luis Zulueta, ambasador Hiszpanii i jedyny osobisty przyjaciel, jakiego mam w całym korpusie dyplomatycznym, przyszedł dzisiaj do mnie do biura i oświadczył, że podał się do dymisji. Wraca do Madrytu i podejmuje tam znowu pracę w charakterze profesora filozofii. Określił nowy rząd hiszpański jako popieraną przez Mussoliniego i Papieża koalicję faszystów z reakcyjnymi katolikami, jako rząd autokratyczny, z którym on współpracować nie może. Nie miałem żadnych wątpliwości, że to, co mi powiedział, jest prawdą. Wiadomości napływające od paru tygodni z jego nieszczęsnej ojczyzny są tego rodzaju, że mogę sobie łatwo wyobrazić, w jakim znalazł się położeniu. Obawiam się, że na jego miejsce przyjdzie jakiś faszysta, z którym będę mógł się stykać tylko na ściśle oficjalnej płaszczyźnie. Myśl, że tracę mego jedynego przyjaciela na tutejszym terenie, jest dla mnie niezwykle bolesna.

O 7-ej zadzwonił do mnie do domu Oechsner z United Press i powiedział, że przed kilkoma godzinami zabity został w Marsylii król jugosłowiański. Francuski minister spraw zagranicznych Barthou, który jechał samochodem razem z królem, został ranny. Jest to poważny wstrząs, tym bardziej że wizyta króla we Francji miała na celu ściślejsze związanie Francji, Włoch i Jugosławii przeciwko Niemcom i Polsce. O 7.30 nowy telefon, że Barthou jest umierający. Z uwagi na napiętą sytuację na świecie ten mord może wywołać nowy kryzys w stosunkach międzynarodowych.

O 8.30 pojechaliśmy w strojach wieczorowych na obiad do posła egipskiego, zamożnego człowieka, który nie ma tu wiele do roboty, ale lubi popisywać się swoim bogactwem. Służba w liberii na każdym kroku; sala jadalna olbrzymia. Gości było około czterdziestu, wszyscy bardzo wytworni; mężczyźni mieli na piersiach różne, rzucające się w oczy medale i ordery, kobiety czarowały drogimi brylantami, dekolami z przodu i z tyłu, czerwonymi ustami i paznokciami. Takie ostentacyjne popisywanie się kosztownymi strojami budzi we mnie uczucie niesmaku, zwłaszcza jeżeli chodzi o przedstawicieli państw, które nie zadają sobie trudu, żeby płacić swoje długi.

Przy stole nie rozmawiano wiele, gdyż było za dużo gości. Później mówiło się trochę o strasznych wydarzeniach, które miały miejsce tego dnia w Marsylii. Jakiś niemiecki generał twierdził, że doszło do nich wskutek niedbalstwa francuskiej policji. Wydaje się, że faktycznie nie zdała egzaminu. Jakaś nie-

miecka baronowa zapytała generała, czy grozi wojna. Ma trzech synów, którzy musieliby pójść na front. Generał odpowiedział, że wojna nie grozi, ale gdy mu powtórzyłem to, co na temat wojny usłyszałem od Schachta (nie wymieniając jednak jego nazwiska), przyznał, że nastroje wojenne są silne. Baronowa zmieniła wówczas ton i wydawała się bardziej chętna do posłania swych synów na front, żeby walczyli z Francją. Parę minut przed jedenastą podeszli do nas państwo Phippsowie i powiedzieli, że chcieliby już wyjść, ale ze względu na starszeństwo pierwszy krok należy do nas — tak każe idiotyczny protokół. Wobec tego po chwili pożegnaliśmy się i o 11-ej byliśmy już w domu.

10 października 1934. Środa.

Zgłosił się nowy konsul generalny Douglas Jenkins. Przyjechał z Chin i obejmuje stanowisko, które przez trzy lata zajmował Messersmith. Pochodzi z Południowej Karoliny, ale nie ma w nim nic z prowincjonalnej lub sekciarskiej mentalności. Pracuje w służbie zagranicznej już prawie dwadzieścia lat. Zna zupełnie dobrze język niemiecki i myślę, że wkrótce opanuje go w stopniu odpowiadającym wymaganiom służby.

11 października 1934. Czwartek.

Pojechałem na 12-tą do wiceministra Bülowa. Dziewiątego otrzymałem depezę z Waszyngtonu, żebym w ostrej i stanowczej formie zażądał od Niemców, aby zaprzestali dyskryminowania swoich amerykańskich wierzycieli. Protestowałem w tej sprawie już kilka razy bez rezultatu. Odsetki należne 15 października w kwocie około 2 milionów dolarów rząd niemiecki polecił uregulować tylko do wysokości około 60 procent. Waszyngton znowu się uskarża i każe mi żądać więcej. Wczoraj nikt nie mógł mnie przyjąć w Ministerstwie, a dzisiaj jadąc tam, nie wyobrażałem sobie, żebym coś uzyskał.

Gdy wręczałem Bülowowi moje aide-memoire, przejrzał je starannie i powiedział: „Pozwoli pan, że przeczytam panu kopię telegramu skierowanego wczoraj, za pośrednictwem ambasadora Luthera, do ministra Hulla”. Telegram napisany po niemiecku wyrażał na wstępie ubolewanie, że wiosną tego roku Waszyngton nie zgodził się na wszczęcie rokowań w sprawie nowego traktatu handlowego. Następnie informował ministra Hulla, że dziesiątego przekazana została telegraficznie do Nowego Jorku kwota około jednego miliona dolarów w markach rejestrowanych. Bülow dodał: „To jest maksimum tego, co mogliśmy zrobić, żeby zaspokoić żądania posiadaczy obligacji”. Mówiąc tak, w gruncie rzeczy powiedział prawdę. Marki te będą mogli nabyć importerzy niemieckich towarów i turyści udający się do Niemiec.

Mówiliśmy jeszcze parę minut o perspektywach podjęcia rokowań handlowych. Przyznał, że ma poważne wątpliwości, czy system samowystarczalności gospodarczej może być w Niemczech skuteczny. Trzeba dać większą swobodę handlowi zagranicznemu, bo inaczej wszyscy będziemy poszkodowani. Jego wypowiedź zrobiła na mnie korzystne wrażenie, ale czuję, że Niemcy dowiedzieli się w jakiś sposób o treści aide-memoire, odwlekli moją wizytę i szybko wysłali pieniądze do Nowego Jorku. Czy był to przeciek z naszej ambasady? A może dowiedziała się o tym niemiecka ambasada w Waszyngtonie?

14 października 1934. Niedziela.

Pisałem cały dzień referat, który mam wygłosić 27 grudnia na zebraniu Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego w Waszyngtonie. Wolałbym nie być prezesem tego stowarzyszenia w bieżącym roku. Liczę na to, że swoją pracą w dziedzinie historii przyczynię się do lepszego zrozumienia trudności przeżywanych obecnie przez świat zachodni.

17 października 1934. Środa.

Dr Schacht przyszedł do nas na lunch prosto z posiedzenia gabinetu, na którym Hitler wymógł na członkach rządu, żeby mu ponownie złożyli przysięgę wierności. Gdy na początku sierpnia Kanclerz przejął dodatkowo funkcje prezydenta, specjalną przysięgę musiała mu złożyć Reichswehra. 19 sierpnia cała ludność poddała się władzy nowego dyktatora idąc do wyborów*, w których 90 procent dobrowolnie lub pod przymusem głosowało „Tak”. Teraz, na pierwszym oficjalnym posiedzeniu gabinetu, wszyscy jego członkowie zostali zmuszeni do ponownego zaprzysiężenia wierności Hitlerowi. Naród niemiecki został poinformowany, że rząd jest odpowiedzialny wyłącznie przed kanclerzem, że parlament, czyli Reichstag, nie ma nic do powiedzenia w sprawach należących do kompetencji rządu i że jedynym rzecznikiem woli narodu jest Hitler.

O sprawach tych musiały myśleć wszystkie osoby zgromadzone dziś w naszym domu. Poprosiłem radcę naszej ambasady pana White, żeby również przyszedł na lunch i starał się zapamiętać wszystko, co usłyszy na tematy polityczne. Ponieważ w czerwcu zabito kilka osób oskarżonych o zbyt swobodne wypowiedzi w rozmowach z ambasadorami Francji i Anglii, ograniczam się obecnie do słuchania i tylko czasami zadaję jakieś pytanie wybitniejszemu niemieckiemu gościowi. Dr Schacht był dzisiaj bardziej szczerzy i otwarty w swych wypowiedziach niż jakikolwiek Niemiec, z którym rozmawiałem od chwili mego przyjazdu do Berlina. Gdy wyszedł mówiąc, że idzie do Reichsbanku, odtworzyliśmy wspólnym wysiłkiem z pamięci jego słowa.

Przy stole powiedział: „Cały dzisiejszy świat jest pomyłony. Wznoszenie barier gospodarczych w handlu międzynarodowym jest samobójstwem; system ten musi doprowadzić do krachu gospodarczego w Niemczech i obniżenia poziomu życia na całym świecie. Wszyscy zwariowali. Ja też. Pięć lat temu uważałbym to za niemożliwe. Ale dziś każą mi być wariatem. Nie zezwalamy na import surowców, a czeka nas przecież ruina gospodarcza, jeżeli nie będziemy mieli towarów na eksport, który wciąż spada. Nie mamy pieniędzy, żeby płacić nasze długi i wkrótce nie będziemy już mogli nigdzie uzyskać kredytu. Tymczasem Anglia i Francja wciąż zalecają nam ograniczenie naszego eksportu, a Szwajcaria, Holandia i Szwecja wchodzi na tę samą drogę, Stany Zjednoczone tak nas nienawidzą, że nie ma mowy, abyśmy mogli z nimi zawrzeć nową umowę handlową”.

W pewnej chwili książę Ludwik Ferdynand zauważył: „Stany Zjednoczone też mogą mieć swojego dyktatora. Huey Long jest absolutnym panem Luizjany i liczy na to, że zostanie panem całego kraju”. Schacht nie powie-

* Nie były to wybory, lecz plebiscyt powszechny.

dział wówczas wyraźnie: „Bierzcie z nas przykład”, ale dał nam do zrozumienia, że to właśnie miał książkę na myśli. Gdy Schacht powiedział, że stoi wobec problemu nie do rozwiązania, rzekłem: „Będzie pan musiał wymyślić coś nowego”. W odpowiedzi roześmiał się.

Pani Schacht, która siedziała obok mnie, była tak samo przygnębiona, jak Madame Cerutti, gdy na dzień przed czystką, 29 czerwca, przepowiadała wojnę i powiedziała, że nazajutrz opuszcza Niemcy. Pani Schacht mówiła o braku żywności i przymusowych składkach, które na dłuższą metę będą nie do zniesienia. Bez względu na to, jak bardzo pogorszy się sytuacja, na wyjazd z Niemiec liczyć nie może. Obawiam się, że w razie krachu gospodarczego poplecznicy Hitlera zrobią z Schachta kozła ofiarnego i zlikwidują go. Gdyby natomiast zamordowany został Hitler, Schacht byłby zapewne tym człowiekiem, któremu powierzono by kierownictwo pogrążonego w chaosie państwa.

18 października 1934. Czwartek.

Odwiedził mnie dziś William Hillman, londyński przedstawiciel Międzynarodowej Agencji Prasowej Hearsta. Poinformował mnie o następujących faktach: 1) Między Wielką Brytanią a Holandią istnieje umowa, która przewiduje, że w razie wszczęcia przez Niemcy kroków wojennych przeciwko Francji, wschodnia granica Holandii stanie się wschodnią granicą Anglii, a wojska angielskie, które wylądują w Antwerpii, w drodze do Niemiec przejdą przez Holandię. W zamian za tę koncesję Wielka Brytania zgodziła się bronić holenderskich posiadłości na Dalekim Wschodzie przed Japonią. 2) Premier MacDonald jest chory i będzie musiał wkrótce ustąpić. Baldwin i Chamberlain szukają pretekstu, żeby jeszcze przedtem roz�isać nowe wybory. Wybory z MacDonaldem na czele przyniosą im zwycięstwo, a potem on ustąpi i premierem zostanie Baldwin. 3) W stosunku do Stanów Zjednoczonych polityka rządu brytyjskiego staje się coraz bardziej wroga, choć nie agresywna i nie ma żadnych widoków na zawarcie z nimi jakiegoś porozumienia.

19 października 1934. Piątek.

Odwiedziłem dziś sir Eryka Phippsa i w największym zaufaniu powiedziałem mu, że według posiadanych przeze mnie informacji wielki brytyjski koncern zbrojeniowy Armstrong-Vickers zawarł w ubiegłym tygodniu umowę z Niemcami na dostawę materiałów wojennych. Umowę podpisano tuż przed wyjazdem do Berlina angielskiej delegacji rządowej, która miała uzgodnić z Schachtem plan spłaty krótkoterminowego kredytu w wysokości 5 milionów funtów szterlingów, udzielonego Niemcom na zakup przędzy bawełnianej w Lancaster. Wczoraj powiedział mi Schacht, że spłata niemieckich zobowiązań wobec Wielkiej Brytanii jest rzeczą niemożliwą. A przecież w ubiegły piątek poinformowałem sir Eryka, że brytyjscy producenci broni sprzedają Niemcom ogromne ilości materiałów wojennych za gotówkę. Byłem również na tyle szczery — a może niedyskretny — iż dodałem, że o ile mi wiadomo, w tym tygodniu byli w Berlinie w podobnych celach również przedstawiciele

amerykańskiego koncernu Curtiss-Wright. Ambasador brytyjski udał zdziwionego i powiedział, że da mi znać, czy moje informacje są ścisłe.

O umowie brytyjsko-holenderskiej nic nie wiedział. Ale jej nie wykluczył. Sądzę, że wie o niej, nie wolno mu jednak się do tego przyznać. Nasza rozmowa była bardzo serdeczna, ale wychodząc zdawało mi się, że był powściągliwszy niż kiedykolwiek poprzednio, gdy wymienialiśmy poglądy. Może byłem z nim zanadto szczery, obiecał mi jednak uroczyście, że nie powtórzy nikomu tego, co ode mnie usłyszał.

Gdy wróciliśmy z wizyty u jednego z członków naszej ambasady, zastaliśmy w domu Armanda Bérarda, który przyszedł odwiedzić nasze dzieci, które nie są już dziećmi. Poprosił mnie o chwilę rozmowy w cztery oczy celem wspólnego rozważenia obecnych stosunków niemiecko-francuskich. Zażartowałem, że problem nie jest chyba tak palący, aby poświęcać dla niego nocny odpoczynek. Zachował powagę. Jego zdaniem Göring i Goebbels chcą w zimie doprowadzić do wojny z Francją z powodu terytorium Saary, gdzie na 13 stycznia wyznaczony został plebiscyt. Dodał, że na granicy spornego obszaru Niemcy gromadzą wojsko, budują koszarę i codziennie szkolą żołnierzy przygotowując ich do nowej wojny.

Wyraziłem pogląd, że Hitler nie miałby odwagi obecnie jej zaryzykować. Bérard natomiast utrzymywał, że zdaniem Niemców, wojna jest dla nich do wygrania i gdy tylko nawinie się jakiś pretekst — jakaś niekorzystna dla nich próba sił w dolinie Saary lub krach gospodarczy w Rzeszy — natychmiast uderzą na Francję. Przypomniałem mu o stanowisku zajmowanym przez Anglię i wyraziłem przypuszczenie, że Francja i Anglia są silniejsze w powietrzu, niż to się na ogół przypuszcza. Nie bardzo wierzył w szybką pomoc Anglii i obawiał się, że stolica Francji i cały kraj mogą być sterroryzowane i zniszczone, nawet gdyby w końcu Niemcy zostały pobite.

Bérard wyraził nadzieję, że nie pojedziemy, jak to sobie planowaliśmy, na Boże Narodzenie do domu, gdyż w tym okresie może się wiele rzeczy wydarzyć. „Jestem umówiony — odpowiedziałem — na 27 grudnia w Waszyngtonie. Niech pan ewentualnie zatelegrafuje do prezydenta Roosevelta, że jestem panu tutaj potrzebny.” Roześmiał się, ale wyszedł zaniepokojony. Wszystko to wskazuje, jak wielkie napięcie panuje w Niemczech i nie bez powodu. Nasz attaché rolny, który śledzi rozwój sytuacji na rynku żywnościowym, powiedział mi dzisiaj: „Wcale bym się nie zdziwił, gdyby rząd niemiecki któregoś dnia skonfiskował zapasy smalcu zmagazynowanego przez firmę Swift w Hamburgu i jego okolicach. W Niemczech nie ma smalcu i nie można go nigdzie dostać. A firma Swift nie przyjmuje zapłaty w markach”.

Josephus Daniels, ambasador Stanów Zjednoczonych w Meksyku, został zaatakowany publicznie w kraju za pochwalenie antyreligijnego programu rządu meksykańskiego. Z tego powodu znalazł się pod ostrzałem szeregu amerykańskich stowarzyszeń katolickich. Z Danielsem wiąże mnie serdeczna przyjaźń od 1889 r., gdy za jego radą przystąpiłem w Raleigh (Północna Karolina) do konkursowego egzaminu wstępnego do West Point, który zdałem, zajmując drugie miejsce. Czułem się z nim zawsze blisko związany. Nie wiem, co takiego zrobił w Meksyku, ale wiem, że jest to utalentowany pracownik o demokratycznych poglądach i sądzę, że Prezydent go nie odwoła. Protestanci w Ameryce i liberalni demokraci na całym świecie okrzyczeliby go wówczas za swego bohatera. Katolicy w Stanach Zjednoczonych nie mają prawa dyktować narodowi meksykańskiemu, jak ma postępować.

22 października 1934. Poniedziałek.

Dziś przyszedł do nas na lunch William Hillman. W niedzielę był w Dreźnie u Hanfstaengla, który w sferach dyplomatycznych jest przedmiotem częstych żartów, oraz u hitlerowskiego gubernatora* Saksonii. Opowiedział mi o rozmowie przy obiedzie, w czasie której austriacki konsul generalny w Dreźnie nie ukrywał, że jest narodowym socjalistą i że autokratyczny ustrój Niemiec napawa go dumą. Domyślałem się, że został przekupiony przez nazistów i pomaga im wywierać nacisk na Austrię, żeby się zgodziła na przyłączenie do Niemiec.

Hillman powiedział mi, że mianowany przez Hitlera gubernator Saksonii zrobił na nim wrażenie człowieka gotowego popełnić najgorsze okrucieństwo. Natomiast Hanfstaengl wydał mu się znacznie inteligentniejszy, niż się spodziewałem. Według Hillmana Hitler ma niebawem zaproponować Anglii zawarcie paktu, w myśl którego żadna ze stron nie będzie miała prawa zaatakować drugiej za pomocą lotnictwa.

24 października 1934. Środa.

Dziś rano odwiedził mnie dr Max Sering, znany (obecnie emerytowany) profesor ekonomii i filozofii politycznej na uniwersytecie berlińskim. Chciał ze mną porozmawiać w sprawie listu, który ma wysłać do ministra Wallace'a. Objechał całe Stany Zjednoczone w r. 1930 (podobnie jak w 1882 r.) badając tam stosunki gospodarcze i sytuację w rolnictwie. Minister Wallace pisał do mnie, żebym go przyjął i pozwolił mu skorzystać z poczty dyplomatycznej, gdyby sobie tego życzył.

Dr Sering ma 72 lata**, ale jest jeszcze pełen życia. Miesiąc temu miał odczyt na międzynarodowej konferencji w Bad Eilsen, na której dr Schacht mówił o finansowej sytuacji Niemiec. Po zapoznaniu mnie z projektowaną treścią swego listu do ministra Wallace'a, dr Sering z wielką troską mówił o obecnej sytuacji gospodarczej Niemiec. „Ci ludzie — powiedział — nie mają pojęcia o ekonomii i historii. Rujną kulturalne i intelektualne życie Niemiec, bo roją sobie o absolutnej jednolitości społeczeństwa i całkowitej niezależności kraju od reszty świata, a to dla wielkiego narodu jest rzeczą niemożliwą.” Podzieliłem się z nim niektórymi własnymi obserwacjami w tym zakresie i powtórzyłem mu częściowo to, co powiedziałem Hitlerowi i Rustowi 7 marca 1934 r. na temat wolności życia akademickiego i jej znaczenia dla współczesnej cywilizacji. Zaskoczyło to dr Seringa, ale jednocześnie bardzo uradowało. Mówił potem dość długo o problemie, który w jego oczach stanowi problem ogólnoświatowy, niemożliwy do rozwiązania.

Mówił o dzisiejszym kierownictwie Niemiec, które, jego zdaniem, „zajęło agresywną postawę wobec wszystkich sąsiadów Rzeszy, wojna zaś oznaczałaby koniec zachodniej cywilizacji. Kierownictwo to żąda, aby uniwersytety, kościoły i ludność podporządkowały się jego infantylnym koncepcjom. Zlikwidowało wolność słowa i sumienia. To nas wszystkich zniszczy. Nie możemy się z tym pogodzić. Nie jestem już młody. Oponuję przeciwko temu systemowi

* Chodzi tu prawdopodobnie o namiestnika Rzeszy, którego urząd wprowadzony został ustawą z 7 kwietnia 1933 r. Namiestnikiem Rzeszy w Saksonii był Gauleiter NSDAP Martin Mutschmann.

** Dr Sering urodził się 10 stycznia 1857 r.

i przy każdej okazji wyrażam otwarcie swoje poglądy. Jeżeli będą chcieli mnie zabić, mogą to zrobić. Ja się nie podporządkuję".

Odwaga i stanowczość starszego pana zrobiły na mnie duże wrażenie. Gdy powiedział, że obecny ustrój nie może się utrzymać, chciałem go zapytać, jak sobie wyobraża zorganizowanie jakiejś skutecznej opozycji. Reichswehra akceptowała absolutną władzę Hitlera, gdy tego od niej zażądał po śmierci Hindenburga. Gabinet skapitulował bezwarunkowo, uchwalając na początku sierpnia nowy „porządek prawny”, a wybory z 19 sierpnia zostały przeprowadzone w ten sposób, że każdy Niemiec głosujący „Nie” narażał się na uwięzienie, a może i śmierć. W październiku, na pierwszym oficjalnym posiedzeniu gabinetu, Hitler zmusił jego członków do zaprzysiężenia mu ponownie całkowitej uległości. Oparł mu się tylko jeden członek gabinetu: Eltz-Rübenach. Gdyby wszyscy odmówili, mogłoby dojść do rewolucji, ale połowa gabinetu jest absolutnie uległa, a reszta również się poddaje, gdy tylko dochodzi do krótkiego spięcia.

Dr Sering twierdzi, że ten system się nie utrzyma. Osobiście nie sądzę, żeby koniec jego był bliski i jeżeli tylko sytuacja gospodarcza nie pogorszy się katastrofalnie, może potrwać jeszcze długie lata. Natomiast dr Seringowi grozi naprawdę niebezpieczeństwo, i to poważne niebezpieczeństwo, chociaż ja na pewno zachowam jego słowa w ścisłej tajemnicy.

25 października 1934. Czwartek.

Zapytałem dzisiaj dr Schachta, jak wygląda właściwie sprawa wymiany marek rejestrowanych i prawo pracowników naszej ambasady do przekazywania pieniędzy do kraju, jeżeli mają za mało potrzebnych do kupna dolarów marek rejestrowanych. Odpowiedział od razu: „Chcę, żeby studenci i turyści amerykańscy kupowali marki rejestrowane (do wysokości stu marek dziennie) i wydawali je w Niemczech, gdyż to ułatwia nam wymianę dewizową z Ameryką. W ten sposób możemy płacić Amerykanom odsetki od naszych obligacji”. Jeżeli chodzi o dyplomatów, to Schacht oświadczył, że mają oni prawo przekazywać do kraju kwoty dolarowe do wysokości 10 procent uposażenia. Teraz jest jasne, o co bankowi chodzi. Myślę jednak, że wielu dyplomatów kupuje marki rejestrowane i handluje nimi ze szkodą dla Niemiec. Nie wiem o tym nic konkretnego, ale zauważyłem szereg objawów wskazujących na to, że coś takiego się dzieje.

Potem dość nieoczekiwanie Schacht poprosił mnie, żebym porozmawiał z Hitlerem o zatargu z duchowieństwem i doradził mu, co ma w tej sprawie uczynić. Dwóch biskupów protestanckich z południowych Niemiec zostało uwięzionych za odmowę przyjęcia zasad „Deutsche Christen” i hitlerowskiej koncepcji jednej wiary i jednego państwa, w którym cała młodzież ma być wychowywana w duchu religijnych poglądów Hitlera. Zgodziłem się z Schachtem, że uwięzienie biskupów i zwalnianie pastorów z powodu różnic w poglądach religijnych obraża uczucia duchowieństwa amerykańskiego, szczególnie protestanckiego. Jego zdaniem akcja ta szkodzi interesom niemieckim w Ameryce jeszcze w większym stopniu niż prześladowanie Żydów. Powiedziałem mu jednak, że nie mogę rozmawiać na te tematy z Kanclerzem, gdyż byłoby to mieszanie się do wewnętrznych spraw Niemiec. „Neurath i ja — dodał Schacht — godzinami dyskutowaliśmy o tym z Hitlerem. Ale on jest

tak otoczony przez ludzi z SA i Partii, że wydaje się nic z tego nie rozumieć. Pan mógłby działać więcej niż ktoś z nas." Chciał mi zorganizować spotkanie z Hitlerem, ale się na to nie zgodziłem.

26 października 1934. Piątek.

Nasz attache wojskowy, płk Wuest, który jest z zawodu obserwatorem lotniczym, przyszedł dziś do mego gabinetu i zaczął mi opowiadać o niemieckich przygotowaniach wojennych. Przez ostatnie dziesięć dni jeździł samochodem po całym kraju. Był bardzo podniecony. „Wojna grozi lada chwila, przygotowania widać wszędzie." Były to jednak tylko ogólne, ja zaś byłem zbyt zajęty, żeby mu poświęcić więcej czasu.

27 października 1934. Sobota.

Spotkałem się dziś w Konstancji z Rexfordem G. Tugwellem, członkiem tzw. trustu mózgow. Powiedział, że otrzymał specjalne polecenie omówienia ze mną sytuacji w Niemczech. Zabroniono mu kategorycznie odwiedzenia mnie w Berlinie. Domyślam się, że chodziło o uniknięcie rozgłosu, który mógłby towarzyszyć konferencji dwóch członków „trustu mózgow" — gdyż nazwisko moje łączono czasem z nazwiskami Warrena i Tugwella, choć brak było do tego jakiegokolwiek podstawy.

Rozmowa była szczerą. Powiedział mi, że Roosevelt zbiera swój gabinet na posiedzenia, ale nie dopuszcza do swobodnej wymiany poglądów. Przypuszczam, że przyczyną tego jest fakt, iż tacy ludzie jak Hull, Roper i Wallace nie zgadzają się absolutnie z Ickesem, Miss Perkins i Lewisem Douglasem. Jak twierdzi Tugwell prawdziwa dyskusja toczy się tylko między Prezydentem a specjalistami usiłującymi wprowadzać w życie „Nowy Ład". Powiedziałem Tugwellowi, że nie miałbym ochoty zasiadać w takim gabinecie, gdyż moim zdaniem swobodna wymiana poglądów jest podstawowym warunkiem współpracy z gabinetem. Wyczułem, że Tugwell nie lubi ministra Hulla, jednego z najbardziej kompetentnych ludzi w rządzie. Zgodziliśmy się, że wybór Uptona Sinclaira na gubernatora Kalifornii byłby wielką pomocą dla Roosevelta, po tym jak tyle pieniędzy wydano w tym stanie, żeby Prezydenta zdyskredytować*. Byłaby to dobra przestroga dla kapitalistycznych ekstremistów, którym się wciąż zdaje, że tylko oni wiedzą, jak należy rządzić państwem.

28 października 1934. Niedziela.

O 11.30 wjechałem samochodem z Williamem na prom, który nas przewiózł z powrotem przez Jezioro Bodeńskie, a potem pojechaliśmy dalej w kierunku Stuttgartu. Lunch zjedliśmy w Hechingen, w przyzwoitym hotelu na głównej ulicy. Po lunchu zapytałem właściciela, który skończył właśnie przyglądać się przemarszowi 2 tysięcy członków Hitlerjugend, czy mógłby mi po-

* U. Sinclair był kandydatem partii demokratycznej na gubernatora Kalifornii. W 1934 r. nie został wybrany.

darować egzemplarz tego plakatu, który wisiał na ścianie koło naszego stolika. Była to kolorowa mapa Niemiec wydana przez podległe Göringowi Ministerstwo Lotnictwa, na której jaskrawymi kolorami oznaczone były niektóre okolice Morza Bałtyckiego, Polski, Danii i Francji, jako tereny, które powinny być przyłączone do Niemiec. Plakat wzywał wszystkich Niemców, żeby się uczyli latać. Właściciel hotelu dał mi żądany plakat.

Zapytałem: „Czy wszyscy uczycie się latać?” Odpowiedział: „Mamy dwudziestu dobrych lotników w Hechingen, a jest ich dwa tysiące w Stuttgarcie, stolicy Wirtembergii. Cały wielki przemysł chce wojny, zwykli ludzie jej nie pragną”. Nie wiedział, kim jesteśmy, i oczywiście mówił do nas po niemiecku. Rozmowa była dość wzruszająca, gdyż bardzo się tym wszystkim przejmował.

Pojechaliśmy dalej do Stuttgartu, ale nie zatrzymaliśmy się tam. W Bayeruth, Norymberdze i Stuttgarcie nie było widać żadnych oznak bezrobocia lub biedy. Wyraźne oznaki gospodarczego zastoju widać było w Konstancji. Na przykład hotele były zamknięte, ale może przyczyną tego był fakt, że właściwym sezonem jest tu lato, kiedy są naprawdę wykorzystywane.

29 października 1934. Poniedziałek.

Na całym tym terenie, wjeżdżając do miast, widzieliśmy tablice z napisami: „Keine Juden erwünscht” (Żydzi niepożądani), „Juden sind unser Unglück” (Żydzi to nasze nieszczęście) itp., z niektórych przebijał zjadliwy humor. W Erfurcie na każdym kroku widać było dobrobyt, a w słynnym mieście Goethego, Weimarze, również wszystko świadczyło o ożywieniu działalności przemysłowej. Przejeżdżaliśmy przez Bitterfeld, gdzie rozwinął się olbrzymi przemysł zbrojeniowy; zakłady pracowały na pełnych obrotach, wszystkie kominy były czynne, a wielkie hale fabryczne oświetlone były od góry do dołu. W małym hotelu w Wittenberdze prawie wszystkie stoliki w restauracji były zajęte; zlokalizowana w tym mieście Lutra wielka fabryka gazu trującego wybitnie je ożywia, gdyż daje ludziom pracę. Na ścianach restauracji tego starego hoteliku wisiały fotografie Hindenburga i Hitlera. Obie były tego samego rodzaju i formatu. Była również trzecia, ale mniejsza fotografia dr. Goebbelsa. Zapytałem kelnera dlaczego nie ma generała Göringa. Uśmiechnął się i pobiegł dalej.

Wyjechawszy z Wittenbergi po dwóch godzinach pięknej nocnej jazdy dojechaliśmy do Berlina. Była to długa podróż trwająca cztery dni. Kosztowała nas obu około 200 marek, nie licząc benzyny, którą jako dyplomata kupowałem na kredyt; rachunki przyślą mi do Berlina.

30 października 1934. Wtorek.

Rozpocząłem moją codzienną pracę o 9.30, ale członkowie personelu dyplomatycznego ambasady i kanceliści zaczęli zjawiać się dopiero po moim przyjściu. Ponieważ kanceliści i maszynistki przychodzą o 10-ej, to urzędnicy dyplomatyczni uważają, że nie wypada im zjawiać się w biurze wcześniej niż o 10.30 lub 11. Zachowanie typowe dla Amerykanów pracujących w Berlinie. Francuzi i Anglicy zaczynają o 9-ej i pracują do 6 lub 7-ej.

O 12-ej, zachowując wszystkie formy protokolarne, złożył mi wizytę nowy

rosyjski ambasador Jaków Suric. Ma bardzo dystyngowany wygląd, był nienagannie ubrany i podobnie jak ambasador francuski zachowywał się bardzo ceremonialnie. Prawie przez godzinę rozmawialiśmy po niemiecku na tematy gospodarcze.

1 listopada 1934. Czwartek.

O 12-ej przyszedł prof. Coar. Prawie się nie zmienił, ale był chyba jeszcze bardziej nieprzyjaźnie nastawiony do narodowosocjalistycznego reżymu niż w lecie 1933 r. Historie, które mi opowiedział, wskazywałyby na wzrost antyhitlerowskich nastrojów w Niemczech. Parę dni temu siedział w jakiejś kawiarni hotelowej, czekając na swego przyjaciela, którego obawiał się odwiedzić w domu. Obok niego siedziały jakieś dwie kobiety, które po śniadaniu zajęły się robótkami na drutach. Jedna z nich powiedziała: „Wie pani, stracono mojego siostrzeńca”. Ta wiadomość nie zdziwiła specjalnie jej znajomej, ale ją oburzyła.

W Hamburgu, mówił Coar, w jakiejś taniutkiej restauracji goście tak dalece nie ukrywali swej wrogości do reżymu, że Coar musiał wstać i wyjść, gdyż obawiał się, że może zostać oskarżony o to, że brał udział w tej dyskusji. A jednak mimo wszystko Coar rozpoczyna serię wykładów na niemieckich uniwersytetach na tematy kulturalne i ma zagwarantowaną absolutną swobodę wypowiedzenia swych poglądów. Hitler go zawiadomił, że będzie obecny na jego pierwszym wykładzie w Monachium.

Odwiedził mnie ponownie dr Georg Solmssen, długoletni prezes Deutsche Bank und Disconto-Gesellschaft i jeden z bogatszych Żydów w Niemczech. Rok temu, wkrótce po moim odczycie w Izbie Handlowej, opowiadał mi wiele o przykrościach, które go spotkały. Teraz robi wrażenie człowieka pogodzonego z hitlerowskim reżymem. Wybiera się na miesiąc do Nowego Jorku, Chicago i Waszyngtonu. Ponieważ zna doskonale sytuację finansową Europy, dałem mu listy polecające do Henryka Morgenthaua młodszego i Daniela Ropera. Podejrzewam, że powierzono mu misję uspokojenia amerykańskich Żydów, gdyż mówił mi, że konferował z dr Schachtem. Na miejscu przekona się, że obaj Morgenthauowie, ojciec i syn, są w najwyższym stopniu zirytowani polityką rządu niemieckiego.

O 6-ej byłem z oficjalną rewizytą u rosyjskiego ambasadora Surica. Mówił dość otwarcie o rosyjskim życiu gospodarczym i dał mi do zrozumienia, że z Hitlerem prowadzone są rokowania, mimo że narodowi socjaliści nienawidzą wszystkiego, co jest rosyjskie. Myślę, że Hitler chce zawrzeć z Sowietami pakt podobny do tego, jaki zawarł z Polską, głównie po to, żeby nastraszyć Francuzów. Będę tę sprawę uważnie śledził.

2 listopada 1934. Piątek.

Fryderyk Oechsner, przedstawiciel United Press, przyszedł mi wyjaśnić, jak to się stało, że tak mylnie ocenił położenie Kościoła protestanckiego, pisząc o nim do swojej agencji prasowej w ubiegłym tygodniu, gdy ja pojechałem do Monachium. Poprosiłem go w owym czasie, żeby mnie poinformował, jak naprawdę przedstawia się sytuacja w Bawarii i Wirtembergii, gdzie uwięzio-

no dwóch biskupów. Z jego sprawozdania można było wyciągnąć wniosek, że relacje Associated Press i agencji londyńskich są przeważnie nieścisle. Dziś rano oświadczył: „Pragnę wytłumaczyć i sprostować moją poprzednią relację; była mylna. Nie rozumiem, jak nasz sprawozdawca na południowe Niemcy mógł tak fatalnie to wszystko poplątać”. Okazało się, że ten człowiek, Niemiec, jest sympatykiem narodowego socjalizmu i nie odważył się poinformować Oechsnera o faktycznej sytuacji. Gotowość Oechsnera do sprostowania swojej omyłki sprawiła mi przyjemność. Jego nowojorska instytucja życzy sobie chyba, żeby w stosunku do reżymu Hitlera zajmował możliwie jak najprzychylniejsze stanowisko.

Byłem dziś na lunchu wydanym przez Klub Amerykański we wspianiałej sali jadalnej hotelu „Esplanade”, jednej z najpiękniejszych sal tego rodzaju, jaką w ogóle w życiu widziałem. Mówcą był nowy konsul generalny Jenkins, a oficjalnym przedstawicielem niemieckiego rządu dr Dieckhoff. Jenkins wygłosił dobrze napisany referat o życiu w Chinach i chińskiej kulturze; nie było w nim nic takiego, co mogłoby narazić na szwank nasze stosunki z tu-tejszymi władzami. Ja mam zwyczaj, że albo mówię coś konkretnego, albo w ogóle się nie odzywam; nigdy jednak nie próbuję powiedzieć w obecnej sytuacji czegokolwiek, na co można by się powołać, jak na twierdzenie dotyczące bezpośrednio obecnego ustroju w Niemczech.

6 listopada 1934. Wtorek.

Przyszedł, żeby pójść ze mną na spacer, prof. Wolfgang Windelband, wykładowca historii nowożytnej na uniwersytecie berlińskim. O 5.30 było już ciemno i jestem pewny, że Windelband był z tego zadowolony. Mówił mi o odczycie, który ma wygłosić 14 listopada w Klubie Kobiet Amerykańskich. Tematem będzie Bismarck z lat 1870—1871. Windelband chce poświęcić specjalną uwagę omyłce kół wojskowych, które zażądały przyłączenia Alzacji łącznie z Lotarynią, zamiast samej tylko Alzacji zamieszkałej przez ludność mówiącą po niemiecku. Nie znam niemieckiego historyka, który by się orientował, w jakim położeniu znajdował się Bismarck w okresie, gdy Francji narzucony został traktat z r. 1871. Windelband w każdym razie nie pochwała włączenia przez Bismarcka Lotaryngii do Rzeszy.

Windelband szybko przeszedł do omówienia sytuacji szkół wyższych pod rządami Hitlera. Jego zdaniem jest ona wysoce krytyczna. Nie może trwać dłużej niż dwa lata bez doprowadzenia całego życia uniwersyteckiego do upadku. Opowiedział mi następnie o swoim udziale w egzaminach państwowych dla nauczycieli historii w szkołach średnich. Przewodniczącym komisji egzaminacyjnej był miejscowy działacz nazistowski. Dwaj inni egzaminatorzy, również naziści, usiłowali zmusić jednego z kandydatów, żeby im odpowiedział na szereg pytań w duchu ich ideologii. Kandydat trzymał się ściśle historii napisanej i wykładanej przed 1933 r. Windelband głosował, że kandydat zdał, obaj naziści głosowali, że nie zdał. Rozgorzała gorąca dyskusja i ostatecznie mimo sprzeciwu kilku nazistów, komisja zdecydowała, że kandydat zdał. Przewodniczący nazista głosował razem z profesorami zawodowymi. W oczach Windelbanda fakt ten ma duże znaczenie.

Powiedział jeszcze, że walka, jaką toczą Kościoły protestanckie, stanowi kolosalną pomoc dla uniwersytetów. Może daje im to pewną szansę, ale wątpię, czy protestantów poprą katolicy; jeżeli zaś ich nie poprą, to ludzie nauki poniosą klęskę. Katolicy nie zawsze stosują w praktyce zasadę wolności su-

mienia i słowa, a Papież sprzymierzył się z bandą hiszpańskich faszystów, którzy likwidują swoich przeciwników sposobem włosko-niemieckim.

Może jednak niemieccy wyznawcy Lutera i Kalwina zwyciężą. Ponad tysiąc ich pastorów zostało zwolnionych, bo nie chcieli się poddać i teraz grozi im głód, a prawie wszyscy mają rodziny. Oczywiście gdyby wszyscy duchowni protestanccy utworzyli wspólny front, mogliby wygrać, ale jak mają oni ze sobą współpracować, jeżeli łączność między nimi jest prawie niemożliwa?

8 listopada 1934. Czwartek.

Mattie, Marta i ja jedliśmy dzisiaj lunch w towarzystwie ambasadora Wielkiej Brytanii i słynnego austriackiego kompozytora Richarda Straussa. O ile pamiętam, około trzynastego października zapytałem sir Eryka Phippsa, czy istnieje między Anglią i Holandią umowa, w myśl której Anglia gwarantuje Holandii jej pozycję na Dalekim Wschodzie, a Holandia stawia do dyspozycji Anglii swoje porty na wypadek wojny wywołanej przez Niemcy lub Japonię. Powiedział mi wówczas, że nic mu o takiej umowie nie wiadomo. Zapytałem go również, czy wie o tym, że koncern Armstrong-Vickers ściśle związany z rządem brytyjskim sprzedał materiały wojenne Niemcom, tuż przed przybyciem do Berlina delegacji brytyjskiej, która miała załatwić sprawę długu niemieckiego w Lancaster. Na oba pytania Phipps odpowiedział „nie”, ale obiecał zadzwonić do mnie, gdyby się czegoś nowego dowiedział. Do dnia dzisiejszego nie zadzwonił.

Nasze wypowiedzi przy lunchu w niczym nie przypominały rozmowy pomiędzy bliskimi znajomymi. Gdy wstaliśmy od stołu, sir Eryk najwyraźniej robił co mógł, żeby uniknąć rozmowy w cztery oczy. Nie zamieniliśmy dzisiaj ze sobą ani jednego słowa bez świadków. Coś podobnego spotkało mnie z jego strony po raz pierwszy. Nie mam żadnej wątpliwości, że przedstawiciele Armstronga sprzedali Niemcom materiały wojenne za złoto, podczas gdy delegacji zakładów bawełnianych w Lancaster oświadczono, że Niemcy nie mają im czym zapłacić. Zbadam tę sprawę i materiał zabiorę ze sobą do Waszyngtonu.

O 4-ej odwiedziłem posła holenderskiego i zapytałem go o pakt holendersko-angielski. Oświadczył, że paktu takiego nie ma, ale przyznał, że jeździł do Londynu, żeby ewentualnie coś w tej sprawie załatwić. Uważa, że Holandia będzie zmuszona wziąć udział w następnej wojnie w Europie, gdyż inaczej Niemcy ją zaanektują. Jest przekonany, że wojna jest bliska.

Powiedziałem mu, że sir Henry Deterding ma podobno wkrótce przyjechać do Niemiec na spotkanie z Hitlerem. Nic o tym nie słyszał. „Czy sir Henry — zapytałem — popiera sir Oswalda Mosleya, przywódcę angielskich faszystów?” Odpowiedział: „Znam go dobrze i jestem pewien, że ofiarowałby 100 tysięcy funtów, aby pomóc Mosleyowi do zwycięstwa”. Czy wobec tego nie przyjedzie do Niemiec, żeby ubić interes z Hitlerem i zdobyć monopol na zbyt swojej ropy i benzyny w Niemczech? Odpowiedź brzmiała: „Słyszałem niedawno, że w Londynie odbyła się konferencja z przedstawicielami Standard Oil Company w sprawie jej interesów w Europie i w związku z tym nie przypuszczam, żeby sir Henry coś takiego planował”. Na zakończenie rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o niebezpieczeństwie wybuchu wojny w Europie i na Dalekim Wschodzie i zgodziliśmy się we wszystkich zasadniczych punktach. Powiedział, że wyjeżdża jutro do Hagi i odwiedzi mnie po powrocie.

9 listopada 1934. Piątek.

Dowiedziałem się dzisiaj rano, że między Niemcami i Rosją toczą się rokowania w sprawie sprzedaży artykułów niemieckich do Rosji na podstawie pięcioletniego planu kredytowego. Żeby się w tej sprawie lepiej zorientować, posłałem po Armanda Bérarda. Gdy przyszedł, powiedziałem mu w zaufaniu o czym słyszałem. Trochę go to zaniepokoiło, ale wcale nie zdziwiło. Da mi znać, gdy tylko uzyska w tej sprawie dodatkowe informacje. Z uwagi na to, że Bullitowi nie udało się uzyskać niczego konkretnego w sprawie 200 milionów dolarów, które Rosjanie winni są Stanom Zjednoczonym i że wraca on właśnie do Waszyngtonu, postanowiłem zająć się energicznie tą sprawą i przekazać telegraficznie Departamentowi Stanu odpowiednie informacje.

Fakt, że dwa dni temu na przyjęciu u Rosjan było tak dużo niemieckich dygnitarzy i generałów Reichswehry, rzucał się w oczy i musi mieć jakieś znaczenie, pomimo że nie było tam Hitlera, Göringa i Goebbelsa. Myślę, że zarówno Reichswehra jak Ministerstwo Spraw Zagranicznych i monarchiści wywierają nacisk na Hitlera, żeby zawarł z Rosją pakt podobny do paktu z Polską, którym Hitler w roku 1934 zaskoczył cały świat. Niemcom chodzi o to, żeby izolować Francję i odzyskać w Rosji tradycyjny rynek zbytu dla swoich artykułów przemysłowych. Rosjanie zaś chcą pokazać Stanom Zjednoczonym, że mogą sobie dać radę bez nich. Wszystko to ma na celu utrzymanie pokoju przez parę lat, to znaczy tak długo, dopóki Niemcy nie będą całkowicie przygotowane do podyktowania swojej woli Europie.

10 listopada 1934. Sobota.

Byliśmy dziś wieczorem na koncercie muzyki włoskiej, na który ambasador i pani Cerutti zaprosili cały korpus dyplomatyczny. Koncert był dobry. W przerwie po pierwszej części rozmawiałem przez chwilę z polskim przedstawicielem dyplomatycznym, który niedawno awansował na ambasadora. Jego zdaniem rozmowy w sprawie paktu niemiecko-rosyjskiego są w toku i może nawet pakt już został podpisany.

11 listopada 1934. Niedziela.

Zjawił się wczoraj James McDonald, który przyjechał na rozmowy z przedstawicielami rządu niemieckiego. Dr Schacht, mimo że umówił się z nim na dziesiątego, nie przyjął go. Jutro McDonald ma zobaczyć się z zastępcą Schachta; chciałby bardzo skłonić Niemców do tego, żeby pozwolili Żydom, zmuszonym do opuszczenia kraju, zabierać ze sobą część swego majątku.

Dziś na lunchu gościliśmy prof. Seringa, który zna problemy ekonomiczne i rolne współczesnego świata lepiej niż ktokolwiek z moich znajomych. I tym razem bardzo energicznie i otwarcie wypowiadał się przeciwko ideologii i praktykom Hitlera. Jeszcze bardziej śmiała w rozmowie ze mną była jego żona. Nie są wprawdzie oboje ortodoksyjnymi chrześcijanami, ale uczęszczają regularnie na kazania dr. Niemöllera w Dahlem i cieszy ich bunt protestantów przeciwko polityce obecnego rządu, który narzuca wszystkim Niemcom monopol kościoła „Deutsche Christen”.

Na lunchu był także hr. Bernstorff, bratanek byłego ambasadora w Waszyngtonie; podobnie jak dr Sering otwarcie krytykował politykę samowystarczalności gospodarczej, która jego zdaniem zrujnuje Niemcy na całe dziesięciolecie. Wśród gości był pewien pan, który kiedyś w Berlińskim Klubie Sportowym również wypowiadał się bardzo szczerze. Dziś nosił odznakę partyjną i ku mojemu zdziwieniu wydawał się przygotowywać sprawozdanie dla Ministerstwa Propagandy z tego, co usłyszał przy stole. Ode mnie niczego się nie dowiedział. Prof. Sering wcale nie zwracał na niego uwagi. Był nawet bardziej otwarty w swych wypowiedziach. Gdy powiedział, że jest spowinowacony z synem słynnego admirała Tirpitz, hitlerowiec nastawił uszy. Był to jedyny w swoim rodzaju lunch. Gdy wszyscy sobie poszli, Marta powiedziała, że Bernstorff mówił w obecności hitlerowca stanowczo za wiele i może zostać przez niego zadenuncjowany.

12 listopada 1934. Poniedziałek.

Kierownik berlińskiego przedstawicielstwa American Fox Film Company przyszedł do ambasady i oświadczył, że parę dni temu, na odprawie filmowców w Ministerstwie Propagandy, kazano mu na przyszłość dodawać krytyczne komentarze do amerykańskich filmów wyświetlanych w Niemczech. Zaprotestował przeciwko tej decyzji, twierdząc, że taka propaganda jeszcze bardziej rozdrażni amerykańską opinię publiczną. Niemieccy dygnitarze filmowi odpowiedzieli, że nic ich nie obchodzi, co Amerykanie myślą albo mówią o Niemcach. W związku z tym przyszedł mnie prosić, żebym zechciał się za nim ująć, gdyby go prześladowano za niewykonanie tego polecenia. Nie mogłem mu nic więcej obiecać ponad to, że poproszę konsula generalnego Jenkinsa, aby uczynił, co będzie mógł w ramach obowiązujących przepisów i umów międzynarodowych. Osobiście liczę się z tym, że Fox Film Company otrzyma polecenie likwidacji swoich interesów w Niemczech, podobnie jak kilka innych towarzystw filmowych, którym to obecnie grozi.

13 listopada 1934. Wtorek.

Dziś rano zrobiłem wyłom w przyjętej przeze mnie zasadzie, i pojechałem do ratusza, żeby zobaczyć gen. Göringa, jak będzie przemawiał na posiedzeniu Niemieckiej Akademii Sprawiedliwości, będącej swego rodzaju związkiem niemieckich prawników*. Gdy przybyłem, wspaniała sala była przepelniona. W tej części sali, w której się znajdowałem, na każdym pulpicie leżała duża koperta wypełniona pięknie wydwanymi broszurami. Opisanie w nich były niemieckie pretensje do świata, w szczególności sprawa Okręgu Saary. Parę słów w obronie tych pretensji napisał również Neurath.

Przewodniczył zebraniu Hans Frank, minister sprawiedliwości. W lecie Frankowi groziła śmierć, ponieważ odważył się interesować losem pewnych ludzi osadzonych w obozie koncentracyjnym koło Monachium. Jakoś się ura-

* Istniała Akademia Prawa Niemieckiego założona w lipcu 1933 r. w Monachium z inicjatywy Hansa Franka, który był jej prezesem. Niezależnie od niej powstał Narodowo-Socjalistyczny Związek „Jurystów” (potem Związek „Rzeczników Prawa”) podzielony na grupy zawodowe: np. profesorską, sędziowską, adwokacką i inne.

tował. To było 30 czerwca. Trudno mi było o tym nie myśleć, gdy Frank podniósł się i powitał Göringa pozdrowieniem „Heil Hitler”. W ten sposób muszą się pozdrawiać w Niemczech, przy lada okazji, wszystkie oficjalne osoby.

Göring wszedł na salę ubrany w brunatny mundur partyjny, z mnóstwem oznak honorowych na piersiach. Zbliżywszy się do podium, odwrócił się twarzą do zebranych, podniósł prawą rękę do góry, skłonił się i krzyknął: „Heil Hitler”. Nie podobają mi się te pokazowe gesty. Moim zdaniem są po prostu bzdurne. Ale kilku dyplomatów odpowiedziało Göringowi w ten sam sposób. Odniosłem wrażenie, że Neurath i Schwerin-Krosigk uczynili to raczej niechętnie.

Zebrani usiedli i Göring wygłosił przemówienie, w którym raz jeszcze podkreślił, że wszyscy obywatele państwa niemieckiego podlegają absolutnej władzy Führera. O jakimkolwiek oporze nie może być w ogóle mowy. Wyjaśniając w krótkich słowach sprawę morderstw dokonanych 30 czerwca, mówca nie zdawał się w najmniejszym nawet stopniu dopuszczać możliwości popełnienia jakiegoś błędu przy tej okazji. A przecież cała zagranica potępiła Führera; twierdzenie, iż postąpił tak dla uratowania niemieckiego narodu od katastrofy, jest oczywistą bzdurą. „Niepotrzebne nam były żadne akty oskarżenia, dowody i sądy. Zabijaliśmy wrogów ludu.”

Wszyscy wiedzą, że Göring kazał zabijać mężczyzn i kobiety, którym nie można było zarzucić ani udowodnić najmniejszej nawet próby działania na szkodę państwa. W pewnej chwili otyły generał oświadczył wprost, że głowy będą spadać, jeżeli ludzie nie będą posłuszni natchnionemu Hitlerowi i nie podporządkują się jego zarządzeniom. Wiele tego rodzaju wypowiedzi było improwizowanych. Nie znalazłem ich w tekście przemówienia wydrukowanym w prasie. Ponieważ na sali nie było korespondentów prasy zagranicznej, mówca mógł nie obawiać się sensacyjnych reportaży, a niemieccy sędziowie i adwokaci zostali zupełnie wyraźnie pouczeni, jak powinni postępować.

15 listopada 1934. Czwartek.

Zgłosił się konsul generalny Jenkins dla złożenia mi sprawozdania ze swojej pracy. Opowiedział mi potem taką historię: pewien urzędnik Ministerstwa Propagandy spotkał się dzisiaj na lunchu z jednym z urzędników jego konsulatu i oświadczył, iż Jenkins, podobnie jak poprzedni konsul generalny Messersmith, jest wrogiem Niemiec, a dowodem tego jest ostatni raport Jenkinsa do Waszyngtonu, którego odpis jest w posiadaniu Ministerstwa Propagandy. Ta wiadomość musiała oczywiście z lekka zdenerwować Konsula Generalnego. Wysłał dotychczas tylko jeden raport do Waszyngtonu i to na żądanie Prezydenta. Dotyczył pomocy udzielanej bezrobotnym przez rolników. Czytałem go dokładnie, nie było w nim żadnej krytyki; był po prostu streszczeniem sprawozdań ogłaszanych przez ministra rolnictwa Darrègo.

Ktokolwiek z urzędników Goebbelsa zdradził się z tą sprawą, to nawet gdyby ocena jego była słuszna, postąpił głupio. Wyrządził przykrość nowemu, poważnemu przedstawicielowi Stanów Zjednoczonych w Berlinie i ujawnił fakt, że jesteśmy szpiegowani, co każe nam mieć się na baczności. Raport Jenkinsa leżał przez trzy dni na moim biurku, nikt go bowiem nie uważał za specjalnie poufny.

O 8.30 przybyłem do hotelu „Adlon”, żeby wysłuchać odczytu ministra oświaty Rusta o kulturze i wychowaniu w Niemczech. Gospodarzem wiecz-

ru był Alfred Rosenberg, który powitał mnie przy wejściu do sali. Fotografowie uchwycili nas w momencie, gdy ściskaliśmy sobie ręce. Nie byłem tym zachwycony, trudno bowiem wyobrazić sobie w Niemczech wysokiego urzędnika, którego umysł byłby bardziej mętny a wypowiedzi bardziej bzdurne. Po raz drugi sfotografowano mnie, gdy ściskałem dłoń szefa Reichswehry, generała Fritscha; jest on na pewno przeciwnikiem tego wszystkiego, co reprezentują Rosenberg i Rust.

Gdy Rust zaczął mówić, od razu stało się jasne, że chodzi o czystą propagandę. Mówił o heroicznej walce Partii, o natchnionym dziele Hitlera i absolutnej konieczności wpajania wszystkim dzieciom obowiązku lojalności wobec państwa i surowej dyscypliny umysłowej i fizycznej. Najlepszym sposobem wychowywania młodzieży jest oddawanie jej pod opiekę rodzin chłopskich do szóstego roku życia, potem posyłanie do wiejskich szkół podstawowych, a wreszcie w wieku od dwunastu do osiemnastu lat, do szkół średnich. W ten sposób wyrosną z nich dobrzy hitlerowcy i bohaterscy Niemcy, gotowi umierać za swoją rasę i ojczyznę. Jakikolwiek bądź oddziaływanie w duchu religijnym dopuszczalne jest dopiero po dwunastym roku życia. Zebrani gorąco oklaskiwali Rusta. Wszystko to stanowiło jeszcze jedną demonstrację panującego obecnie w Niemczech sposobu myślenia czy raczej po prostu bezmyślności. Czyżby intelektualne Niemcy miały skapitulować?

16 listopada 1934. Piątek.

Po miesięcznym pobycie w Stanach Zjednoczonych zgłosił się L. V. Steere, attache rolny naszej ambasady. Zrelacjonował mi przebieg dwóch zebrań, w których wzięli udział wiceministrowie z Departamentu Stanu i Rolnictwa; większość z nich wypowiedziała się stanowczo przeciwko polityce prowadzonej przez swych szefów, Hulla i Wallace'a, którzy w granicach istniejących obecnie praktycznych możliwości, popierają wolny handel. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że pochodzący z poprzedniej administracji biurokratyczni wiceministrowie trzymają się starej filozofii protekcjonizmu, mimo że większość światłych umysłów uznaje go za jedną z głównych przyczyn, katastrofy z lat 1929—1934.

Był u mnie także pan Pierce z International General Electric Company i nalegał, żebym wysłał do Departamentu Stanu przychylną opinię o propozycji Siemens'a w sprawie przeciągnięcia kabla pomiędzy Niemcami a Stanami Zjednoczonymi. Zgodnie z tym planem największego koncernu elektrycznego w Europie, współpracującego w danym wypadku z bremeńskimi importerami bawełny, kabel ma połączyć Niemcy ze Stanami Zjednoczonymi z pominięciem Anglii. Za pieniądze otrzymane od Stanów Zjednoczonych za położenie kabla (około 10 do 12 milionów dolarów) Niemcy mogłyby kupić w Stanach bawełnę. Dwie trudności mogą stanąć na przeszkodzie: Anglia ma obecnie monopol na zakładanie kabli i może się nie zgodzić, żeby kabel stykał się z Irlandią, zaś na połączenie sieci telefonicznej Stanów Zjednoczonych z siecią telefoniczną Niemiec może nie zgodzić się American Telephone and Telegraph Company w Nowym Jorku. Pierce długo mi tłumaczył i perswadował, aż w końcu mnie przekonał, że to może być całkiem rozsądne przedsięwzięcie i zgodziłem się przekazać sprawę attaché handlowemu naszej ambasady, żeby ją dokładnie zbadał.

17 listopada 1934. Sobota.

Polski ambasador Lipski przyszedł z kurtuazyjną wizytą w związku z awansowaniem go na ambasadora. Siedział prawie godzinę. Mówiąc o stosunkach polsko-niemieckich zupełnie szczerze powiedział: „Pakt z ubiegłej zimy to tylko prowizorium. Niemcy noszą się z zamiarem ponownego anektowania części naszego kraju. Wskazują na to wyraźnie mapy eksponowane w całym Niemczech. Złożyłem w tej sprawie kilka dni temu protest, ale zadowolającej odpowiedzi od Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie otrzymałem. Rosjanie i Niemcy prowadzą rokowania w sprawie zawarcia traktatu handlowego, któremu towarzyszyć będzie, jak sądzę, pakt polityczno-wojskowy, ale to jest trzymane w tajemnicy. Uważam, że w dużym stopniu rokowania te mają na celu izolację Francji”. Nie dodał, że te same motywy kierowały jego rządem w ubiegłym roku, ale pozwolił mi się tego domyślić.

Niemcy, mówił dalej, zamierzają ponownie zaanektować Alzację i Lotaryngię i poważną część terytorium polskiego, a także Austrię i Czechosłowację. Następnie będą chciały zapanować nad Bałkanami i całym Bałtykiem. Jeżeli im się to uda, Europa stanie się niemieckim imperium. Nie było to dla mnie nic nowego, ale interesujący był fakt, że mówił to człowiek, który w 1933 r. dopomógł swemu rządowi upokorzyć Francję. Było jasne, że w dalszym ciągu uważa Francję i Anglię za jedyne państwa, na które Polska może liczyć. Wierzy głęboko w skuteczność podpisanego w lipcu paktu między Francją, Anglią i Belgią*. Powiedział, że współpraca państw zachodnich jest jedynym ratunkiem małych państw europejskich.

Mam wrażenie, że pan Lipski nie przepada zbyt za autokratycznymi ustrojami, choć niechęci do reakcyjnego rządu obecnej Polski nigdy nie okazuje. Jak przystało na dyplomata, jest posłuszny rozkazom otrzymywanym z kraju i nigdy nie traci pewności siebie, choćby mu się zadało najbardziej kłopotliwe pytanie.

Pojechaliśmy na obiad do prof. Hermanna Onckena do jego willi w Dahlem. W bibliotece wypełnionej książkami, których było może ze cztery tysiące, liczni goście rozmawiali stojąc, dopóki nie poproszono nas wszystkich do stołu. Oncken jest niemieckim historykiem najwyższej rangi i autorem wielu książek; żadna jednak z tych, które czytałem, nie jest dziełem bezstronnym, co wydaje mi się rzeczą niezbędną, jeżeli historia ma spełniać postawione jej zadania.

Mniej więcej w połowie obiadu jeden z gości wstał i złożył hołd gospodarzowi z okazji 65-lecia jego urodzin. Odczytał piękny wiersz, w którym wyraził uznanie dla zasług Onckena, ale jednocześnie dowcipnie ostrzegł go przed strasznym nieszczęściem, które mogłoby mu zagrozić, gdyby się okazało, że ktoś z jego przodków nie był aryjczykiem. To na pozór poważne ostrzeżenie, które w istocie dotyczyło wszystkich zgromadzonych gości, wypowiedziane zostało tak inteligentnym i dowcipnym językiem, jakiego w życiu jeszcze nie słyszałem. Chociaż cały wiersz był jedną wielką kpina z nazistowskiej filozofii, trudno było w nim znaleźć choćby jedno zdanie, które mogłoby posłużyć nazistom za podstawę do postawienia autora wiersza przed niemieckim sądem.

* Prawdopodobnie chodzi tu o pogłoski w połowie listopada 1934 r., że między sztabami generalnymi W. Brytanii, Francji i Belgii doszło do porozumienia w sprawach obrony lotniczej. Miało to być rezultatem wizyt w Londynie ministra Barthou (8 lipca) i gen. Weyganda. Pogłoski te zostały stanowczo zdementowane przez Francję i W. Brytanię.

Następny mówca, dr Friedrich Schmidt-Ott, w podobnym tonie parafrazował wiersze Schillera, wykazując wielkość i „niepokojącą” tolerancyjność poglądów tego sławnego poety z czasów Goethego, na którym narodowosocjalistyczne Niemcy rzekomo się wzorują. W podobnym duchu mówił przez dziesięć minut jeszcze jeden gość, a na zakończenie tych hołdów urodzinowych zabrał głos słynny dr Ferdynand Sauerbruch, lekarz osobisty Hindenburga, który w dowcipnych słowach streścił wszystkie poprzednie wystąpienia i złożył uprzejme gratulacje pani Oncken. Przez cały czas podkpiwano sobie mocno z filozofii i postępowania Hitlera i Rosenberga i wszystkim to się chyba bardzo podobało.

Byliśmy w Berlinie już na wielu przyjęciach, w tym kilka razy z udziałem prezydenta Hindenburga i kilka razy w ambasadach Francji i Anglii, ale nigdzie nie spotkałem tak inteligentnych ludzi, jak na obiedzie u prof. Onckena. Wszyscy goście byli specjalistami w różnych dziedzinach historii, literatury i sztuki, a kilku zajmowało wysokie stanowiska w poprzednich rządach niemieckich. W zestawieniu z tym przyjęciem, które było jednym wielkim popisem wiedzy i erudycji, objawiła się nam w pełni pustka obiadów dyplomatycznych. Tam nikt nie odważa się powiedzieć niczego na temat historii lub literatury, bo nikt się na tym nie zna i nie ma zaufania do swego rozmówcy. Wyszliśmy o 11-tej.

20 listopada 1934. Wtorek.

Byliśmy dziś na lunchu u państwa White. Spotkaliśmy tam intelektualistę z prawdziwego zdarzenia nazwiskiem Hans von Raumer. Był kiedyś wysokim urzędnikiem ministerialnym, ale podał się do dymisji z powodu ostrej różnicy zdań ze swym szefem Strasemannem co do polityki rządu. Na lunchu był także dr Wilhelm Solf, niemiecki ambasador w Japonii w 1905 r., który przez pół roku mieszka w Berlinie, a przez drugie pół w Szwajcarii; postępuje tak ze względu na swoje delikatne zdrowie, a może i delikatną sytuację, w jakiej się znalazł pod rządami Hitlera.

Po lunchu Raumer pozwolił sobie na wypowiedzenie następującej opinii o epoce bismarkowskiej w Niemczech (była to pierwsza słuszna ocena tego okresu, jaką usłyszałem z ust Niemca): „Bismarck dokonał wielkiego dzieła, ale popełnił kolosalny błąd przy układaniu konstytucji niemieckiego cesarstwa; tak chytrze ją zredagował, że narodowi wydawało się, iż ma rząd parlamentarny, podczas gdy w istocie była to dyktatura Prus. Organem tej dyktatury był Bundesrat, w którym przy obecności wszystkich członków Prusy miały zawsze większość 16—17 głosów. Tym sposobem naród niemiecki znalazł się pod panowaniem skrajnie antydemokratycznego odłamu społeczeństwa”.

Zorientowałem się, że Raumer, który był członkiem Reichstagu w latach 1920—1930, mówił o Bismarcku na podstawie doświadczeń z demokratyczną konstytucją weimarską z 1919 r. Raumer nie wspominał o tym, że bismarkowska ordynacja wyborcza nie dopuszczała przedstawicieli szerokiej opinii publicznej również do starego Reichstagu, chociaż ta instytucja, jak sam powiedział, i tak nie mogła przeciwstawić się woli pruskich junkrów, którzy opanowali Bundesrat. Wszystko to były rzeczy dobrze mi znane jeszcze z czasów moich studiów w Lipsku, ale nie spotkałem jeszcze niemieckiego uczonego, który by przyznał, że stworzenie tego antydemokratycznego ustroju było

wielkim błędem Bismarcka. Zdaniem Raumera system ten uniemożliwił powstanie w Niemczech rządów parlamentarnych. Stał się również przyczyną wybuchu wojny światowej.

22 listopada 1934. Czwartek.

Dziś po południu był u mnie amerykański konsul generalny w Pradze, Franck C. Lee, który otrzymał nominację na I sekretarza naszej ambasady, na miejsce pana Wilsona. Pan Lee jest konsulem od dwudziestu lat, mówi dobrze po rosyjsku i niemiecku i sądząc z raportów, które mi od czasu do czasu przysyłał, zupełnie dobrze orientuje się w skomplikowanych zagadnieniach europejskich. Nie mam żadnych wątpliwości co do kwalifikacji i pracowitości tego człowieka. Wizyta, którą mi złożył dla zapoznania się z bieżącymi sprawami, przypomniała mi o pewnych interesujących faktach.

Wyrażając zgodę na objęcie mojego obecnego stanowiska, zastrzegłem sobie, że nikt nie będzie mógł mieć do mnie pretensji, jeżeli ograniczę swoje wydatki w Berlinie do wysokości otrzymywanego uposażenia. Nie byłem w stanie odgrywać roli bogatego człowieka, jak to robił w Londynie Walter Hines Page kosztem swej rodziny i przyjaciół. Nie upłynęło jednak wiele czasu od chwili mego przyjazdu do Berlina, gdy otrzymałem wiadomość, że dotychczasowy radca ambasady George Gordon ma być odwołany, a na jego miejsce ma przyjść J. C. White. Rzeczywiście wiceminister William Phillips z Departamentu Stanu mówił mi, że nosi się z takim zamiarem. Ale cel tej nominacji stał się dla mnie zrozumiały dopiero w parę miesięcy później, gdy się dowiedziałem, że White jest jednym z najbogatszych ludzi w służbie dyplomatycznej. Jednocześnie powiadomiono mnie, że razem z państwem White ma przyjść do naszej ambasady Orme Wilson, również uchodzący za bardzo zamożnego człowieka. Było jasne, że chodziło o uzupełnienie brakujących mi milionów. Wyczułem również, że zajmujący wysokie stanowiska w Departamencie Stanu, panowie Jay Pierrepont Moffat, który jest szwagrem White'a, oraz Phillips, który jest wujem Wilsona, chcieliby zrobić z White'a i Wilsona faktycznych kierowników ambasady.

Takie są kulisy dzisiejszej wizyty Lee. White i Wilson nie są zachwyceni. Moim zdaniem Lee góruje zaletami swego charakteru nad resztą członków naszej ambasady.

23 listopada 1934. Piątek.

Przyszedł dziś do mnie Frank Gannet, osobisty przyjaciel prezydenta Roosevelta i poprosił o zorganizowanie mu w miarę możliwości spotkania z Hitlerem. Powiedział, że Londyn bardzo się boi, iż któregoś dnia Göring wyśle pod osłoną mgły tysiąc samolotów, które zniszczą miasto, zanim Anglicy zdążą uruchomić obronę. Ta historia wydała mi się dość podejrzana i wyraziłem przypuszczenie, że autorom jej chodzi zapewne o to, żeby skłonić Parlament do uchwalenia funduszy na rozbudowę brytyjskich sił lotniczych.

Pan Gannet jest właścicielem kilkunastu gazet wychodzących w stanie Nowy Jork. Powiedział mi, że w kraju jest wielu dobrze sytuowanych ludzi, którzy wypowiadają się za wprowadzeniem w Stanach Zjednoczonych ustroju

faszystowskiego, na czele którego stanąłby ktoś w rodzaju Hitlera. W charakterze argumentów przemawiających za takim ustrojem przytaczają oni fakty świadczące o idealnym porządku i braku przestępczości w Niemczech. Powiedziałem mu, że w tym ustroju występują również inne zjawiska, którymi Amerykanie byliby do głębi oburzeni.

O 12.30 pojechałem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby raz jeszcze zaprotestować przeciwko dyskryminowaniu Stanów Zjednoczonych w zakresie spłaty niemieckich długów. Przyjął mnie Bülow. Po raz piąty czy szósty składałem mu protest zredagowany w tych samych lub prawie tych samych słowach. W odpowiedzi Bülow powtórzył stary argument: „Nie sprzedajemy Stanom Zjednoczonym naszych towarów, i wobec tego nie możemy spłacać im naszych długów”.

Oświadczyłem, że ten argument, jakkolwiek dla mnie zrozumiały, dla posiadaczy niemieckich obligacji jest zupełnie nieprzekonywający. Przecież, gdy obligacje te zostały wypuszczone, o tego rodzaju warunku ich spłaty nie było mowy. Amerykańscy wierzyciele zgodziliby się ewentualnie na obniżenie odsetek, gdyby zgodzili się na to również obywatele innych państw, a więc przede wszystkim Anglicy i Francuzi. Gdy Bülow ponownie powołał się na zastój w handlu zagranicznym, odpowiedziałem: „Jest to rzeczywiście niepomysłna okoliczność, ale przecież panu wiadomo, że mój rząd jest obecnie w trakcie obniżania stawek celnych i że tempo tej akcji jest uzależnione wyłącznie od zgody amerykańskiej opinii publicznej. Chciałbym pana poinformować, że na początku tego miesiąca minister Hull wygłosił w Nowym Jorku przemówienie, w którym powiedział, iż system ceł ochronnych jest przekleństwem naszego kraju. Podzielał ten pogląd ministra, ale nie możemy nagle wyrzec się całkowicie protekcjonizmu, gdyż w tym wypadku wiele tysięcy robotników straciłoby nieuchronnie pracę. Będziemy dążyli do zmiany tego systemu w tempie, na jakie tylko będziemy mogli sobie pozwolić. Ale właśnie w tym czasie, gdy my obniżamy nasze celne bariery, wy podnosicie wasze jeszcze wyżej i budujecie system, którego nie będziecie mogli zmienić bez narażenia się na jeszcze większe straty i kłopoty. Czy mogą poprawić się nasze stosunki gospodarcze, jeżeli będą stosowane tego rodzaju systemy?” Nie bardzo przekonany Bülow przychylił się jednak do mojej opinii o niemieckiej polityce autarkii gospodarczej.

26 listopada 1934. Poniedziałek.

Był u mnie dzisiaj dr Arnold Brecht, były członek niemieckiego rządu, a obecnie wykładowca w New School for Social Research w Nowym Jorku. Nie wiedziałem, że przebywał w Berlinie i żałowałem, że nie zaprosiliśmy go do siebie na obiad lub lunch. Zrobił na mnie wrażenie bardzo zdolnego człowieka i szczerego niemieckiego patrioty. Zostaje jeszcze na jeden rok w Nowym Jorku; ciekawy jestem, co będzie robił, gdy wróci do Niemiec w czerwcu przyszłego roku. Tu jest raczej źle widziany, a w Stanach Zjednoczonych nie będzie miał stałej pracy. Nie jest Żydem, ale podobnie jak Żydzi jest lub będzie w bardzo trudnej sytuacji.

30 listopada 1934. Piątek.

O 4.30 odwiedziłem sir Eryka Phippsa w nadziei, że powie mi coś o ostatnich posunięciach Londynu, które oceniam jako stanowczą przestrożę udzieloną Niemcom w związku z ich intensywną remilitaryzacją. Oświadczył mi: „Pojechałem do Londynu wieczorem w piątek 23 listopada. Niedzielę 25-go spędziłem na wsi u ministra spraw zagranicznych sir Johna Simona. Minister poinformował mnie, co ma być przedmiotem debaty w Izbie Gmin, planowanej na środę, 28-go. W poniedziałek rano wziąłem udział w posiedzeniu gabinetu i przez godzinę a może dłużej referowałem fakty i ogólną sytuację w Niemczech. Powróciłem do Berlina we wtorek 27-go rano wraz z memorandum, które polecono mi złożyć niemieckiemu ministrowi spraw zagranicznych. Odczytałem je Neurathowi o 12-iej”. Po tych słowach sir Eryk przeczytał mi treść memorandum. Było to stanowcze ostrzeżenie udzielone Niemcom z dwóch powodów. Po pierwsze, w związku z potwierdzonymi informacjami o potajemnych niemieckich zbrojeniach, a zwłaszcza o przygotowaniach wojennych w zakresie broni lotniczej. Po drugie, w związku z reakcją światowej opinii publicznej na te nieustające zbrojenia. Memorandum stwierdzało, że członkowie brytyjskiego gabinetu nie mieliby nic przeciwko temu, aby Neurath sprostował ich punkt widzenia, gdyby nie mieli racji. Następnie sir Eryk powiedział:

„Poproszono mnie, żebym tego samego dnia o godzinie 5-tej zobaczył się z Kanclerzem. Przeczytałem mu niektóre ustępy brytyjskiego memorandum. Zerwał się na równe nogi, zaczął biegać po pokoju, wymachując rękami. i oświadczył, że »wszystkie państwa naokoło mnie się zbroją i mają razem dziesięć tysięcy samolotów, a skarżą się, że my Niemcy mamy ich tysiąc!« Wrzeszczał i awanturował się, a Neurath mu wtórował. Wyszedłem z uczuciem niesmaku. Na drugi dzień zatelefonował do mnie Neurath i błagał, żebym do niego przyszedł. Gdy zjawiłem się w jego gabinecie, starał się naprawić wrażenie, jakie zrobił na mnie Kanclerz, a przede wszystkim wytłumaczyć swoje własne postępowanie. Jak pan widzi, niemiecki minister spraw zagranicznych nie potrafi być konsekwentny i stanowczy”. Odpowiedziałem: „Neurath oczywiście boi się Hitlera i w związku z tym w obecności osób trzecich zawsze udaje, że się z nim zgadza”.

Sir Eryk mówił następnie o wytycznych polityki brytyjskiej i debacie, która odbyła się w Parlamencie w środę 28-go wieczorem. „Wydaje mi się — powiedziałem — że pański rząd postąpił bardzo mądrze i cieszę się, że poinformował o swoim kroku amerykański Departament Stanu.” Zapytałem go następnie, co sądzi o możliwości porozumienia brytyjsko-amerykańskiego w sprawie problemu morskiego na Dalekim Wschodzie. Odpowiedział, że w czasie swego pobytu w Londynie nie spotkał się z żadnymi wypowiedziami na ten temat, ale jest przekonany, że porozumienie między naszymi państwami jest możliwe. Gdyby Japonia poszła własną drogą i zwiększyła tempo swoich zbrojeń na morzu, Anglia nie będzie się sprzeciwiać zwiększeniu amerykańskich sił morskich. Ten wyścig zbrojeń na morzu wydaje się Phippsowi nierozsądny, ale Japonia jest chyba zdecydowana prowadzić politykę imperia-listyczną;

Raz jeszcze powracam do zaproponowanego przeze mnie w 1933 r. rozwiązania tych niebezpiecznych problemów: Jeżeli Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zagwarantują wspólnie niepodległość Filipin i obecny układ polityczny na Dalekim Wschodzie, groźny wyścig zbrojeń morskich się skończy i na Pacyfiku zapanuje spokój. Mając ten sukces za sobą, oba państwa, wspie-

rane przez Francję i Rosję, mogą utworzyć na nowej konferencji rozbrojeniowej wspólny front przeciwko agresywnym Niemcom i w ten sposób zagwarantowany zostanie pokój w Europie. Wszystko to zostało przeze mnie dokładnie opisane w pismach skierowanych do Departamentu Stanu i prezydenta Roosevelta. Z moimi sugestiami zgodzili się chyba całkowicie ambasadorowie Wielkiej Brytanii i Francji, a także poseł holenderski, jak zawsze czujny i bardzo tą sprawą zainteresowany.

Jak bym się dosyć tego dnia nie napracował, poszliśmy jeszcze wieczorem do berlińskiej Opery Państwowej na koncert, na którym dyrygował Eryk Kleiber. Mówią o nim, że jest pół-Żydem, ale jakoś udaje mu się nadal występować w Berlinie. Był to ciekawy koncert, bo budynku strzegła cała masa policji. Liczono się z tym, że obecni na widowni naziści zorganizują demonstrację przeciwko wykonywaniu zakazanych przez władze utworów austriackiego Żyda, Berga. Po odegraniu tych utworów jakiś mężczyzna, siedzący w jednej z łóż, krzyknął „Heil Mozart!”, co miało być sygnałem do ogólnego protestu. Ale protestu nie było.

1 grudnia 1934. Sobota.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem dziennikarze zagraniczni wydali dziś w hotelu „Adlon” wieczorowe przyjęcie i bal. Przyjmowała nas Miss Sigrid Schultz. Przy naszym stole siedział ambasador brytyjski, p.o. szefa sztabu generał von Reichenau, oraz kilku gości angielskich i amerykańskich. Przy innym stole siedzieli ambasadorowie francuski i rosyjski, generał von Fritsch i dr Goebbels. Rozmawiali ze sobą na pozór bardzo serdecznie, choć wiadomo, że pomiędzy François-Poncetem a Goebbelsem i pomiędzy Fritschem a Goebbelsem panuje silna nienawiść. Neurath się spóźnił i wyszedł przed rozpoczęciem obiadu. Mówiono, że nie zarezerwowano dla niego odpowiedniego miejsca. Musiałby siedzieć przy jednym stole z Goebbelsem, a to byłoby dla niego bardzo kłopotliwe.

2 grudnia 1934. Niedziela.

Otrzymałem dziś raport ze Stuttgartu z opisem pewnego wydarzenia, które miało tam miejsce w środę 28 listopada. Do Stuttgartu, który jest stolicą Wirtembergii i miastem rodzinnym Neuratha, zjechał oficjalny filozof obecnego reżymu Alfred Rosenberg, żeby pouczyć mieszkańców południowych Niemiec o obowiązku lojalności wobec przenajświętszego państwa. Przypomniawszy im o nieszczęśliwie układających się stosunkach pomiędzy Kościołem katolickim a Świętym Cesarstwem Rzymskim, czyli Pierwszą Rzeszą, oświadczył: „Nie ma takiej religii, której wolno byłoby podważać władzę państwa nad narodem. Prawdą może być dla nas tylko to, co jest pożyteczne dla Niemiec. Stwierdzamy, że przysługuje nam absolutne prawo kształtowania w Niemczech wszystkiego na nowo, zgodnie z tymi założeniami. Narodowi socjaliści utworzą w przyszłości zakon społeczny ożywiony świętym mistycyzmem średniowiecza”. Na zakończenie powiedział: „Jak wam wszystkim wiadomo, w monachijskim Brunatnym Domu jest senatorska sala na 61 miejsc, która jeszcze nigdy nie była używana. Czekamy tylko na znak Führera, żeby w tej sali położyć podwaliny pod nowy święty zakon niemiecki”.

Można już się z tego z grubsza zorientować, o czym była mowa na tym zebraniu i na czym polega ten dziwny mistycyzm, który ogarnął ogromną większość narodu niemieckiego (zakładając, że wyniki głosowań z 12 listopada 1933 r. i 19 sierpnia 1934 r. mają w ogóle jakieś znaczenia). Tego rodzaju koncepcje propagowane są niemal codziennie przez Hitlera, Göringa, Goebbelsa, Darrégo i Leya oraz pomniejszych figury, nigdy jednak nie wspominają o nich ani profesorowie wyższych uczelni, ani księża, chyba że należą do organizacji „Deutsche Christen”. Gazety piszą o tych koncepcjach zawsze z wielkim uznaniem.

Na zebranie w Stuttgarcie ściągnięto pod przymusem wszystkich urzędników miejskich, szeregowych i oficerów SS i SA oraz przedstawicieli Reichswehry. Osiem tysięcy ludzi wykrzykiwało „Heil Hitler” i wrzeszczało wyrażając swoją aprobatę, gdy Rosenberg atakował duchowieństwo za opór przeciwko Gleichschaltung (całkowitej uległości wobec państwa). A przecież zaledwie tydzień temu, na skutek kategorycznych żądań duchowieństwa, wypuszczony został z więzienia i przywrócony do swego urzędu protestancki biskup Wirtembergii. Tymczasem Rosenberg, w tym samym mieście, nie licząc się zupełnie ze słowami, napada na duchownych odmawiających podporządkowania się lansowanej przez niego religii Wotana. Tydzień temu Hitler w Stuttgarcie zachował się podobnie. Czy Rosenberg rozpala na nowo wojnę religijną?

Inny ciekawy obrazek: Jeden z członków organizacji studenckiej, rozwiązanej przez władze, opowiedział pracownikowi naszej ambasady, że pewien człowiek o głośnym nazwisku zaprosił do siebie na obiad grupę byłych członków tego stowarzyszenia. Towarzystwo miało właśnie zasiąść do stołu, gdy ku ogólnemu zdziwieniu w drzwiach ukazał się oficer SA otoczony grupą żołnierzy. Oświadczył, że rozwiązuje zebranie i chciał już wydać studentom rozkaz opuszczenia lokalu, gdy jeden z nich oświadczył, że to ciekawa historia i że opowie o niej swoim znajomym w Okręgu Saary, gdzie stale zamieszkuje. Natychmiast pozwolono na kontynuowanie zebrania. Nie jestem pewien, czy to prawda, ale przypomina mi to inne tego rodzaju wypadki i dlatego o tym piszę.

3 grudnia 1934. Poniedziałek.

Przyszedł do mnie z krótką wizytą pewien profesor z Kolonii, wybitny architekt. Wrócił właśnie z Waszyngtonu, gdzie spotkał się z Roperem i innymi członkami gabinetu. Bardzo się interesuje i entuzjazmuje Stanami Zjednoczonymi. Ale najważniejsza sprawa, o której mówił, dotyczyła ambasadora Luthera. Jego sytuacja w Waszyngtonie musi być bardzo nieprzyjemna i kłopotliwa. Nie jest on chyba narodowym socjalistą i ustrój obecnych Niemiec nie może mu odpowiadać. Mimo to musi walczyć w obronie niemieckich interesów i uzasadniać słuszność ryzykownej polityki obecnego rządu. Gdyby się podał do dymisji i wrócił do swego domu w Essen, mógłby mieć bardzo ciężkie życie. A pozostając w Waszyngtonie musi nadal prowadzić obłudną grę. W podobnym położeniu znajduje się wielu wybitnych Niemców na całym świecie.

4 grudnia 1934. Wtorek.

Zjawił się pułkownik Deeds. Reprezentuje on interesy National Cash Register Company i National City Bank w Nowym Jorku. Jego syn musiał stanąć we wrześniu przed komisją senatora Nye i tłumaczyć się, dlaczego przedsiębiorstwo, którego jest członkiem zarządu, sprzedało Niemcom broń, mimo że transakcja ta była podobno sprzeczna z postanowieniami niemiecko-amerykańskiej umowy handlowej. Widziałem się z Deedsem wiele razy. To typ układowego businessmana, udającego, że zachwyca go „Nowy Ład” Roosevelta. Mnie uważa za naiwnego profesora, który nic nie wie o tym, że już od półtora roku producenci broni robią, co mogą, żeby po kryjomu sprzedawać materiały wojenne do Niemiec. Oświadczył, że jest stanowczym zwolennikiem międzynarodowego rozbrojenia. Mimo to dowiedziałem się od niego, że reprezentowane przez niego przedsiębiorstwo kas rejestracyjnych pozostaje w ożywionych stosunkach handlowych ze słynnym Kruppem z Essen, któremu oddaje 20 procent zysku na sprzedaży w Niemczech.

Dowiaduję się z Wiednia, że Messersmith na swym trudnym stanowisku spisuje się dobrze, a może nawet doskonale. Natomiast niemiecki poseł Papen nic nie robi, jest w Wiedniu bardzo źle widziany i cały korpus dyplomatyczny praktycznie go ignoruje. To się prawdopodobnie zgadza; Papena, który miał być w czerwcu zastrzelony, zwolniono ze stanowiska wicekanclerza i wbrew życzeniu Ministerstwa Spraw Zagranicznych posłano do Wiednia. Cała Europa wie o podwójnej grze uprawianej przez Papena od czasu, gdy jeszcze urzędował w Waszyngtonie. Ten nędznik jest „teraz w Berlinie. Syn jego przebywa w obozie Arbeitsdienstu w Jüterbog i jest chyba bardziej nieszczęśliwy od ojca. Moim zdaniem to pierwszorzędny chłopak, ale nie ma widoków na uzyskanie w Niemczech poważniejszego stanowiska, nie umie pchać się do góry, a gdyby chciał wyjechać z Niemiec, mógłby zabrać ze sobą tylko 10 marek, to znaczy 3 dolary.

Inne wiadomości z Wiednia: Mussolini zgodził się zawrzeć pakt wzajemnej pomocy z Austrią, a Węgry zacieśniły swoje stosunki z Włochami, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej, co wywołało irytację Niemiec. Jugosławia wciąż odgraża się Włochom, bo jej despotyczny i okrutny król został zabity przez ludzi wynajętych przez Mussoliniego. Jugosłowiańskie średniowiecze od lat uprawiają Rosja, Polska, Niemcy, Turcja i Austria.

5 grudnia 1934. Środa.

Przyszedł Normann Ebbutt z londyńskiego „Timesa”, żeby mi opowiedzieć o skutkach protestu rządu angielskiego przeciwko remilitaryzacji Niemiec — protestu złożonego Hitlerowi po tym, jak Anglia i Stany Zjednoczone sprzedały Niemcom broń wartości wielu milionów dolarów. Zdaniem Ebbutta rząd brytyjski nalega na zwołanie nowej konferencji rozbrojeniowej w lutym lub marcu. Dwa dni temu Ebbutt napisał oparty na faktach reportaż o ciężkiej sytuacji Kościołów w Niemczech. Władze zabroniły kolportażu „Timesa” i udzieliły Ebbuttowi nagany. Mocno się tym zirytował. Przypomniałem mu, że tego rodzaju traktowanie angielskich i amerykańskich dziennikarzy jest tu na porządku dziennym.

7 grudnia 1934. Piątek.

O 8.30 pojechaliśmy na obiad do attache wojskowego naszej ambasady płk Wuesta. Poznaliśmy tam żonę gen. Fritscha*, szefa Reichwehry, która nam powiedziała, że zabroniono im bywać na przyjęciach dyplomatycznych. Obecny był również dowódca Reichwehry na obszarze Niemiec położonym na północ i wschód od Elby. O remilitaryzacji Niemiec, której postępy są widoczne na terytorium całego kraju, nie wspomniano. Bardzo interesujące były natomiast wypowiedzi niemieckiego attache wojskowego w Waszyngtonie na temat militarnych aspektów historii Stanów Zjednoczonych. Zna on dużo lepiej historię naszej Wojny Domowej niż którykolwiek z amerykańskich attachés w Berlinie historię wojen prowadzonych przez Niemcy.

Myślę, że po wyborach w Saarze, które odbędą się 13 stycznia, nastąpi jakiś kryzys. Gdyby doszło do otwartego sporu, połowa Niemców znalazłaby się w szeregach opozycji. Jeżeli katolicy poprą protestantów, reżym hitlerowski znacznie słabnąc. Jeżeli katolicy zachowają się biernie, Hitler wymorduje dziesiątki pastorów i zmusi wszystkich do uległości. Nie spodziewam się jednak kryzysu wcześniej niż w lutym przyszłego roku.

10 grudnia 1934. Poniedziałek.

Było parę osób na lunchu. Ebbutt potwierdził informację z połowy października, że na krótko przed rozpoczęciem rokowań z Brytyjczykami w sprawie niemieckiego długu w Lancaster, jakaś Angielka utrzymująca bliskie kontakty z najbliższym otoczeniem Hitlera, przyjechała do Berlina w sprawie sprzedaży Niemcom materiałów wojennych przez koncern Armstrong-Vickers. Ambasador brytyjski „nic o tym nie wiedział”; tak przynajmniej twierdził w prowadzonych wówczas ze mną rozmowach. Teraz nie ulega dla mnie wątpliwości, że o sprawie tej ambasada brytyjska dobrze wiedziała.

Miałem długą rozmowę z francuskim ambasadorem François-Poncetem. Przyznał, że krok dokonany dwa tygodnie temu przez Wielką Brytanię otworzył Niemcom oczy na grożące im niebezpieczeństwo i skłonił ich do wyrażenia zgody na zwołanie po wyborach w Saarze (13 stycznia) międzynarodowej konferencji rozbrojeniowej. „Ale gdy konferencja się rozpocznie — dodał — Niemcy zgłoszą pretensje terytorialne, które ze względu na ich agresywność będziemy musieli odrzucić, to zaś zadecyduje o niepowodzeniu konferencji.”

Dziś o 11-ej rano poseł holenderski powiedział mi to samo, co belgijski w zeszłym tygodniu. „W razie wygrania wojny Niemcy przyłączą Holandię do swego terytorium.” Jest tego absolutnie pewny. Niepokoi go również wypowiedzenie przez Japonię umowy waszyngtońskiej**. „Jeżeli Stany Zjedno-

* Autor musiał się pomylić co do nazwiska. Generał Werner von Fritsch nie był żonaty. Zob. na ten temat m. in. François-Poncet, *Byłem ambasadorem w Berlinie*, Warszawa 1968 s. 185.

** Dn. 6 lutego 1922 r. Japonia podpisała w Waszyngtonie traktat dotyczący ograniczeń zbrojeń morskich, którego postanowienia wygasały 31 grudnia 1936 r. W ciągu 1934 r. rząd japoński wielokrotnie stwierdzał chęć wypowiedzenia traktatu. Rozmowy wstępne do konferencji morskiej, która miała się odbyć w 1935 r., zaczęły się w październiku 1934 r., jednak wyraźna zapowiedź Japonii wypowiedzenia traktatu skłoniła W. Brytanię 12 grudnia do przerwania rozmów i ich odroczenia. Japonia oficjalnie wypowiedziała traktat 29 grudnia 1934 r.

zione i Anglia nie będą prowadziły wspólnej polityki na Dalekim Wschodzie, wyniknie z tego wojna. Anglia straci Hongkong i inne koncesje w Chinach, Stany Zjednoczone doczekają się aneksji Filipin przez Japonię, a my, Holendrzy, po trzystu latach stracimy nasze posiadłości na Dalekim Wschodzie."

11 grudnia 1934. Wtorek.

Pojechaliśmy na godz. 12 do Neuratha, żeby się z nim pożegnać. Kazał mi czekać dziesięć minut czy nawet więcej, i wcale mnie za to nie przeprosił, ale później, przez piętnaście minut, był dla mnie bardzo serdeczny. Gdy żegnając się z nim życzyłem mu wesołych świąt, złożył na moje ręce najlepsze życzenia dla ministra Hulla i dodał: „Z jego polityką handlową całkowicie się zgadzam. Nie zgadzam się natomiast z niemieckim systemem kontyngentowania obrotów w ramach umów dwustronnych. System ten do niczego nie doprowadzi". Ten sam pogląd wyraził Schacht w obecności przedstawicieli kilku państw obecnych w naszym domu we wrześnie.

Wróciłem na chwilę do ambasady, a potem pojechałem na 1.30 do Automobilklubu na lunch z Dieckhoffem, Davidsonem i Ritterem. Wszyscy trzej są rzeczoznawcami w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Przez półtorej godziny męczyli mnie, żebym domagał się w Waszyngtonie zawarcia umowy handlowej z Niemcami, na mocy której Stany Zjednoczone przyznałyby im niższe stawki celne w zamian za zwiększenie niemieckich zakupów bawełny, miedzi i smalcu. W odpowiedzi wysunąłem dwa różne argumenty: po pierwsze, Niemcy nie dotrzymały dotychczasowej umowy handlowej; po drugie, stanowisko narodu amerykańskiego wobec Niemiec uległo usztywnieniu; przyczyną tego są wydarzenia z 30 czerwca, stosunek rządu niemieckiego do Kościołów i powszechne przekonanie w Stanach Zjednoczonych, że Niemcy przygotowują się do rozpętania agresywnej wojny. Mówiliśmy następnie o kompromisie pomiędzy Francją a Niemcami w sprawie plebiscytu w Okręgu Saary i uznaliśmy go za ważny krok w obronie pokoju.

Gdy moi rozmówcy powrócili do pilnej dla nich sprawy zawarcia nowej umowy handlowej, oświadczyłem: „Trzeba wziąć pod uwagę obecne nastawienie Stanów Zjednoczonych. Gdybyście nie wypowiedzieli bez konsultacji z nami 14 października starej umowy, Departament Stanu miałby większe możliwości jej odnowienia lub przedłużenia o rok — dwa bez potrzeby ubiegania się o zgodę Senatu. Ale teraz, gdy Niemcy od niej odstąpiły, będzie bardzo trudno nakłonić Senat do rozważenia projektu nowej umowy. W styczniu senacka komisja pod przewodnictwem Nye będzie rozpatrywała sprawę niebezpieczeństwa wojny i niemieckich zakupów materiałów wojennych, jak również sprawę niemieckich długów (powiedziałem im przedtem, że Niemcy postąpiły bardzo niewłaściwie, iż zapłaciły amerykańskim producentom broni złotem, skoro twierdzą, że nie są w stanie płacić odsetek od swoich obligacji). W tej sytuacji jest chyba rzeczą niemożliwą, żebyśmy mogli doprowadzić do rozpatrzenia projektu umowy przed zakończeniem bieżącej sesji Senatu".

Jeden z rzeczoznawców powiedział: „Będziemy musieli odwołać wypowiedzenie umowy". „Nie — odrzekł Dieckhoff — tego uczynić nie możemy. Czy nie może Pan skłonić Prezydenta, żeby powołał komisję składającą się z trzech amerykańskich businessmanów, którzy by pojechali do Waszyngtonu przedyskutować tę sprawę?" Później, zgodnie z planem zaproponowanym przez Schachta, mogliby przyjechać do Niemiec, żeby zorientować się w sytuacji

gospodarczej. Uzyskane przez nich materiały mogłyby być wykorzystane jako punkt wyjścia do przyszłych rokowań międzypaństwowych. „Mogę — odpowiedziałem — poprosić o rozważenie tej sprawy przez Departament Stanu i to wszystko — chyba że sam Prezydent mnie o to zapyta.”

Na tym zakończyła się nasza rozmowa w czasie lunchu. Byłem przeświadczony, że wszyscy trzej zdawali sobie sprawę, iż zachowanie się Niemiec wobec zagranicy jest bardzo nierozsądne. Dieckhoff, którego dobrze znam i z którym zgadzam się w wielu sprawach, odprowadził mnie do szatni. Powiedziałem mu: „Pan przecież wie, jakie straszne wrażenie wywarły w Stanach Zjednoczonych wydarzenia z 30 czerwca i pan chyba rozumie, że projekt zawarcia nowej umowy spotkałby się tam z bardzo nieprzychylnym przyjęciem”. Przyznał mi rację, ale niewiele miał do powiedzenia na usprawiedliwienie Niemiec.

Wiedząc, że niemieccy liberałowie, do których należą prawie wszyscy urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych, są bardzo zaniepokojeni rozwojem sytuacji, zatelefonowałem po południu do Dieckhoffa i zapytałem go, czy nie mógłby po biurze przejechać się ze mną trochę po mieście. Zgodził się i podczas jazdy wokół Tiergartenu omówiliśmy problem jeszcze raz. Powiedziałem mu, że wszyscy są przekonani, iż Niemcy przygotowują się do rozpętania wojny; wspomniałem o kolportowanych w całym kraju mapach na plakatach lotniczych Göringa; powiedziałem mu nawet o tym, że posłowie państw sąsiadujących z Niemcami, mówili mi niedawno, iż Niemcy zamierzają je zaanektować. Miałem na myśli niedawne wypowiedzi przedstawicieli Belgii i Holandii. Nie był tym zaskoczony. Wyraził wprawdzie swoje ubolewanie i nadzieję, że postaram się wyprowadzić Prezydenta z błędu, gdyby żywił on podobne zapatrywania, ale nie mogłem mu właściwie niczego w tej sprawie obiecać, gdyż wysłane przeze mnie w październiku i listopadzie raporty zawierały liczne dowody narastania wojennych nastrojów w Niemczech. Powiedziałem mu, żeby sobie obejrzał mapy, które niedawno widziałem w gmachu uniwersytetu berlińskiego. Obiecał, że to uczyni, ale choć była to sprawa ściśle prywatna, obawiam się, że przyrzeczenia swego nie dotrzyma. Rozstaliśmy się na skrzyżowaniu Tiergartenstrasse z linią trolejbusową biegnącą na południe w kierunku kanału.

13 grudnia 1934. Czwartek.

Pojechaliśmy samochodem z Berlina do Hamburga, żeby wsiąść na okręt, który nas zabierze do Nowego Jorku.

18 grudnia 1934. Wtorek.

Wczoraj około 11-ej Ocean zaczął kołysać. O 1-ej rozszalał się. Przez cały dzień i całą noc — w sumie przez jakieś 30 godzin — fale osiągały taką wysokość, że statek w obawie przed zmiążdżeniem go przez ocean, wielokrotnie całymi godzinami prawie że stał w miejscu. Jakiś norweski frachtowiec zaskoczony przez ten sam sztorm zaczął tonąć i wezwał nasz statek na pomoc, ale pierwszy zjawił się na miejscu jakiś statek niemiecki, który rozlał ropę wokół zagrożonego frachtowca i wyratował całą jego załogę. Nasz kapi-

tan nie miał ochoty nikogo o tym informować, ale po południu wszyscy już o tej historii na „Manhattanie” wiedzieli. To już trzeci raz mam tak ciężką przeprawą przez ten rejon Atlantyku, a drugi, że mój statek próbował ratować tonącą załogę lub inny statek. Nie są to zbyt przyjemne rzeczy.

19 grudnia 1934. Środa.

Siedzieliśmy dziś przy stole razem z W. H. Hassenem, przedstawicielem Sinclair Oil Company, której prezes za jakąś aferę siedział trzy miesiące w więzieniu. Hassen sprzedaje produkty naftowe w całej Europie i jest moim zdaniem bardzo aktywnym i inteligentnym handlowcem. „Jestem szczerym republikaninem — powiedział. — Nasi Amerykanie nie są nacjonalistami, ale muszą nimi zostać. Powinniśmy zabronić wszelkiego importu z wyjątkiem kauczuku, kawy i paru innych niezbędnych artykułów, a eksportować co się tylko da; musimy również dać naszemu narodowi broń i nauczyć go, jak się z nią obchodzić.”

Odpowiedziałem: „Uważa pan widocznie, że cały świat powinien uzbroić się po zęby, a potem albo zniszczyć całe to uzbrojenie jako przestarzałe, albo też rozpocząć wojnę i użyć broni do zabijania ludzi”. Na chwilę zamilkł, po czym rzekł: „Tak, chodzi o to, żeby tę walkę przeżyli najdzielniejsi”. „Nie — powiedziałem — to będzie zagłada społeczeństw cywilizowanych, a ocaleją narody najmniej wartościowe.”

Nie bacząc na logikę mojej odpowiedzi, upierał się przy swoim, twierdził, że Amerykanie powinni uzbroić całą Europę i stanowczo sprzeciwiał się obniżeniu amerykańskiej taryfy celnej. O ile mi wiadomo, tego rodzaju poglądy ma wielu przemysłowców reprezentujących słynne przedsiębiorstwa, jak Du Pont w Stanach Zjednoczonych, Krupp i Thyssen w Niemczech, Armstrong-Vickers w Anglii i Schneider-Creusot we Francji. To samo mówi Mussolini, którego Hassen uważa za wielkiego męża stanu. Myślę, że Rooseveltowi będzie trudno utrzymać w karbach tego rodzaju ludzi. Jeżeli nie weźmie się do nich energicznie, jego „Nowy Ład” może się załamać.

21 grudnia 1934. Piątek.

Ta podróż, a także znane mi ze studiów podróże morskie w siedemnastym wieku, przekonały mnie, że historycy nie ocenili należycie odwagi i dzielności mężczyzn i kobiet, którzy wyruszyli z Europy, żeby się osiedlić w Północnej Ameryce. Dla tych biedaków, którzy o Atlantyku słyszeli tylko z opowieści swych sąsiadów, nie było taką prostą rzeczą odważyć się na jazdę 200-tonowym statkiem przez to groźne morze. Było ich tysiące, a uczynili to dlatego, że chcieli zbudować sobie nowe życie. Tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy w ciągu jednego roku! Myślę, że ludzie o takich charakterach potrafiliby uczynić każdy kraj wielkim i tchnąć w niego ducha przedsiębiorczości.

VI. OD 23 GRUDNIA 1934 DO 21 MAJA 1935 ROKU

23 grudnia 1934. Niedziela.

Dopłynęliśmy do Nowego Jorku o 4-ej po południu z półtoradniowym opóźnieniem.

25 grudnia 1934. Wtorek.

Dzisiaj w Raleigh obchodziliśmy skromnie rocznicę naszego ślubu, który miał miejsce trzydzieści trzy lata temu w Auburn (Północna Karolina). Część dnia Mattie spędziła ze swoją rodziną, a ja ze swoim ojcem w pobliskim Clayton, miejscu mego urodzenia.

27 grudnia 1934. Czwartek.

Jako nowo obrany prezes Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego wygłosiłem dziś na zebraniu Towarzystwa oficjalne przemówienie, przygotowane wśród nawału pracy urzędowej w Berlinie. Tematem był pierwszy porządek społeczny, jaki powstał w Stanach Zjednoczonych. Prof. Owsley z Vanderbilt, jeden z moich słuchaczy, który doktoryzował się wkrótce po zakończeniu wojny światowej, wstał ze swego miejsca i ofiarował mi zbiór szkiców historycznych z dziejów Stanów Zjednoczonych napisanych przez moich studentów. Prace te zostały napisane już dość dawno, głównie w 1932 r. w Toronto, i nie stanowiły z tego względu dla mnie niespodzianki, mimo że o zamiarze podarowania mi tego tomu nie byłem wcale uprzedzony. Podziękowałem jak mogłem najserdeczniej moim słuchaczom i przystąpiłem do odczytywania oficjalnego przemówienia, którego temat był do pewnego stopnia dla audytorium nowością. Było to streszczenie trzech rozdziałów pierwszego tomu mojego *Dawnego Południa*.

29 grudnia 1934. Sobota.

Zostałem dzisiaj zaproszony na lunch do Prezydenta. Zasiadliśmy do niego z pewnym opóźnieniem w pokoju na pierwszym piętrze Białego Domu. Przez godzinę i kwadrans rozmawialiśmy o sytuacji w Europie. Przedstawiłem

Prezydentowi swój plan, jak zapobiec wojnie i nakłonić narody świata do współpracy.

Stany Zjednoczone — powiedziałem — powinny na Dalekim Wschodzie współpracować z Anglią i Holandią, dać Filipinom niepodległość i zagwarantować obecny układ polityczny w tym rejonie, przyznając Japonii prawo przystąpienia do tego porozumienia. Następnie Stany Zjednoczone powinny wstąpić do Ligi Narodów i zmusić Niemcy i Włochy do współdziałania z Anglią i Francją w sprawie utrzymania pokoju i ograniczenia zbrojeń. Gdyby Prezydentowi udało się we właściwym momencie narzucić Kongresowi uchwalenie wspólnej rezolucji w tej sprawie, myślę, że osiągnąłby on swoje cele i po roku czy dwóch stosunki handlowe między Stanami Zjednoczonymi i resztą świata znacznie by się poprawiły. Wówczas może i kolejna konferencja rozbrojeniowa dałaby pozytywne rezultaty.

Prezydent odpowiedział: „Zgadzam się co do Dalekiego Wschodu i uważam, że coś w tym rejonie musimy zrobić. Japonia okupuje część chińskiego terytorium i planuje dalsze aneksje i rozciągnięcie swego panowania nad całą Azją, łącznie z Indiami. Wydamy miliard dolarów na budowę okrętów wojennych, a za 10 lat wszystkie będą przestarzałe”.

Co do wspólnej rezolucji w sprawie przystąpienia do Ligi, Prezydent powiedział: „W tej sprawie jestem sceptykiem, jeśli chodzi o opinię publiczną, ale zwróciłem się do Senatu o wyrażenie zgody na przystąpienie do Trybunału Haskiego, później zaś poproszę o upoważnienie do wysłania ambasadora do Genewy”. Wyraziłem pogląd, że oba te posunięcia mogą stać się sprawdzianem nastawienia opinii publicznej, ale zazaczyłem, że zwłoka może uniemożliwić osiągnięcie ostatecznego celu. Poinformowałem również Prezydenta, że baron von Bülow, najmądrzejszy człowiek w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, drugi w hierarchii po ministrze, powiedział: „Wrócimy do Ligi natychmiast, jeżeli przystąpią do niej Stany Zjednoczone”.

Poruszyliśmy poza tym wiele innych tematów; mówiliśmy o wojowniczym nastawieniu Niemiec, agresywności Włoch i brytyjskich obawach przed możliwością ponownej depresji, a także o dążeniu Wielkiej Brytanii do współdziałania ze Stanami Zjednoczonymi w polityce międzynarodowej.

30 grudnia 1934. Niedziela.

Przysłała depesza, że umarła matka mojej żony. Cieszyliśmy się bardzo, że mogliśmy się z nią zobaczyć po powrocie do Ameryki, ale teraz czuję, że koniec jej przyśpieszyła nasza wizyta i przyjazd na Boże Narodzenie jej kilkorga dzieci, a chyba i to, że nas tak serdecznie przyjmowała. Troszczyła się o nas i radowała, że nas wszystkich razem ma u siebie w domu, ale te uczucia były dla niej za silne. Tak czy owak bardzo dobry i bezinteresowny człowiek odszedł od nas na wieki. Mattie natychmiast wyjechała na pogrzeb.

16 stycznia 1935. Środa.

Dziś po południu przyjechałem do Trenton. Na dworcu czekał na mnie w swoim samochodzie prof. Thomas J. Wertenbaker. Jadąc do jego domu, zatrzymaliśmy się po drodze u Alberta Einsteina. W czasie herbaty rozmawia-

liśmy z nim o nieprzyjemnej sytuacji w Berlinie. Na własny los nie narzekał. W 1933 r. usunięto go z uniwersytetu berlińskiego i skonfiskowano mu cały majątek. Kilka dni temu w prasie amerykańskiej ukazała się wiadomość z Berlina, że córce Einsteina skonfiskowano dom i małą działkę gruntu w Poczdamie; był to jej cały majątek. Jedna córka Einsteina niedawno zmarła i współwłaścicielem tej posesji był jej mąż, drugą współwłaścicielką była jej siostra, jedyne żyjące jeszcze dziecko Einsteina. Ludzie ci nie mają obecnie w Niemczech żadnego oparcia; dzieje się to w kraju, w którym ich ojciec był uważany za najwybitniejszego uczonego naszych czasów. Pomimo tych prześladowań Einstein nie powiedział o hitlerowskim ustroju ani jednego słowa, które z niemieckiego punktu widzenia mogłoby mu być poczytane za nie licujące z postawą niemieckiego patrioty.

Po zjedzeniu obiadu u Wertebakerów, na którym jednym z gości był Abraham Flexner, długoletni energiczny pełnomocnik Fundacji Rockefellera, pojechałem do Princeton, gdzie w auli uniwersytetu wygłosiłem odczyt o Waszyngtonie i problemach, którymi musiał się zajmować, poświęcając szczególną uwagę problemowi polityki zagranicznej. I tym razem wydawało mi się, że moi słuchacze rozumieją, iż stanowisko zajmowane przez Stany Zjednoczone po 1918 r. było politycznym błędem. Amerykański świat uniwersytecki z pewnością życzy sobie, żeby rząd federalny w miarę możliwości przyczynił się do zwiększenia znaczenia Ligi Narodów jako środka zapobiegania wojnie.

17 stycznia 1935. Czwartek.

Przyjechałem do Nowego Jorku o 11-ej. Natychmiast odezwały się różne instytucje: National City Bank, koncern Siemens i Foreign Policy Association. Z bankierami spotkałem się o 4-ej, a z prezesem Siemens o 4.30.

Z pułkownikiem Housem umówiłem się na lunch. Wyglądał bardzo dobrze, mimo że się przeziębził i przez tydzień był chory. Dużo uwagi poświęcił polityce zagranicznej; mówił o konieczności przystąpienia Stanów Zjednoczonych do Ligi, o współpracy z Anglią na Dalekim Wschodzie i o tym, w jaki sposób nakłonić Japonię do zaprzestania imperialistycznej agresji w Chinach. Realność tego pomysłu w sprawie Japonii wydała mi się wątpliwa, ale House mi powiedział, że jutro ma się zobaczyć z amerykańskim ambasadorem w Tokio. Poprosiłem go, aby mnie zawiadomił, gdyby Japonia zdradzała chęć współpracy. Obiecał, że to uczyni.

Mówiąc o poglądach prezydenta Roosevelta doszliśmy zgodnie do wniosku, że jego podejście do problemów międzynarodowych jest bardzo zbliżone do naszego, obawia się on jednak, że każdy jego krok o bardziej postępowym charakterze, może spotkać się z gwałtowną opozycją. Moim zdaniem, dalekowzroczna i bezinteresowna polityka zawsze spotyka się z gwałtowną opozycją. Poza tym nie było jeszcze — z wyjątkiem Waszyngtona — takiego prezydenta, który by potrafił dokonać czegoś godnego uwagi w okresie drugiej kadencji; Waszyngton zaś, który musiał dokonać dwóch tego rodzaju posunięć, został za nie przez cały kraj potępiony. Roosevelt musi coś zdziałać jeszcze w tym roku, bo inaczej przegra sprawę uregulowania stosunków ze zwariowaną Europą.

House będzie się starał zobaczyć z Prezydentem w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Pochwalił oświadczenie Roosevelta z 29 grudnia w sprawie zamiaru wysłania ambasadora do Genewy, co byłoby wstępem do przystąpie-

nia Stanów Zjednoczonych do Ligi. „Byłoby dużo lepiej — powiedziałem — gdyby Prezydent od razu zażądał zgody Kongresu na przystąpienie do Ligi. Przemawiają za tym gospodarcze i polityczne trudności występujące wewnątrz kraju i niemożliwość osiągnięcia konkretnej poprawy sytuacji gospodarczej wcześniej niż za cztery do sześciu lat. W okresie drugiej kadencji, jeżeli w ogóle do niej dojdzie, władza Roosevelta będzie poważnie ograniczona.” Pułkownik House przyznał mi rację. Mimo wszystko wątpię, czy Roosevelt lub jakikolwiek inny prezydent w obecnych czasach odważyłby się na ten niepopularny krok, mając do czynienia ze społeczeństwem, które od 14 lat karmi się propagandą wymierzoną przeciwko jakimkolwiek powiązaniu lub współdziałaniu Stanów Zjednoczonych z obcymi państwami.

31 stycznia 1935. Czwartek.

Dziś rano gazety przyniosły wiadomość, że Senat odrzucił wniosek Roosevelta w sprawie przystąpienia Stanów Zjednoczonych do Trybunału Haskiego. Na dwa dni przed głosowaniem rozmawiałem z przywódcą większości, senatorem Robinsonem; był pewny wygranej różnicą siedmiu głosów. Osobiście nie byłem taki pewny. Okazuje się, że jednak przegrał. Głównymi oponentami tego umiarkowanego kroku w kierunku współpracy z resztą świata byli Borah, Johnson i McAdoo. Borah już od dawna ma absurdalne poglądy w sprawach międzynarodowych, Johnson wciąż lamentuje z powodu zadłużenia zagranicy wobec Stanów Zjednoczonych, jakby nasze stany nie odmówiły zapłaty setek milionów dolarów swoim europejskim wierzycielom, a McAdoo uchodzi za człowieka zaprzędanego Hearstowi.

Pierwszym moim odruchem na tę wiadomość była myśl, żeby zwrócić się do Departamentu Stanu z zapytaniem, czy nie powinienem podać się do dymisji, aby w ten sposób zaprotestować przeciwko opanowaniu przez mniejszość Senatu steru amerykańskiej polityki zagranicznej. Wywołałoby to sensację, ale dałoby mi okazję do publicznego stwierdzenia, że moim zdaniem naród amerykański jest wysoce niemądry, jeżeli potępiając dyktatorskie rządy mniejszości w Europie, pozwala jednocześnie na to, aby w tak ważnej dziedzinie jak polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych rządziła mniejszość, składająca się głównie z ludzi uległych Hearstowi i Coughlinowi*.

1 lutego 1935. Piątek.

Rozmawiałem z sędzią Waltonem Moorem, który mi odradził podawanie się do dymisji. „Musimy — powiedział — trzymać się wszyscy razem i walczyć o naszą sprawę do końca.” Tego samego zdania ma być minister Hull. Ale Moore dodał: „Nigdy jeszcze nie czułem się taki zniechęcony. Wszystkie nasze wysiłki zmierzające do odrodzenia gospodarczego kraju mogą pójść na marne, jeżeli o naszej polityce zagranicznej decydować będzie mniejszość Senatu; a ja nie widzę drogi, jak można by ją unieszkodliwić”.

* Charles Edward Coughlin (ur. 1891 r.) ksiądz katolicki, prowadzący od 1930 r. ożywioną działalność polityczną. Początkowo popierał „Nowy Ład”, potem zmienił stanowisko. Występował jako przeciwnik komunizmu, zdradzając sympatie pro-faszystowskie.

Gdybym był prezydentem — odpowiedziałem — zaczekałbym na sprzyjającą chwilę i zaapelowałbym bezpośrednio do narodu o zgodę na przystąpienie do Ligi Narodów. Następnie poleciłbym demokratycznej większości zgłosić w tej sprawie rezolucję w imieniu obu partii i przeforsować jej uchwalenie przez obie izby parlamentu. Rzuciłbym wyzwanie wszystkim moim oponentom i zażądałbym od nich zajęcia wyraźnego stanowiska, nawet gdybym później musiał zrezygnować z kandydowania na prezydenta po raz drugi.

Moje słowa zrobiły na Moore duże wrażenie. Wyraził obawę, że Roosevelt może nie uświadamia sobie w pełni znaczenia dobrych stosunków z zagranicą. Ja również miałem wątpliwości, czy Prezydent jest naprawdę zainteresowany tym problemem, czy przypadkiem nie oczarowała go lub przynajmniej nie zmąciła mu jasności myślenia, wymyślona przez jego „trust mózgow” koncepcja tzw. gospodarczego nacjonalizmu. Moore był zdania, że powinienem koniecznie zobaczyć się z Prezydentem. Napisałem wobec tego do McIntyre'a, sekretarza Białego Domu, żeby poinformował Roosevelta, iż wyjeżdżam 14 lutego i że gdyby chciał się ze mną zobaczyć, mogę każdej chwili do niego przyjść. Wielkich nadziei w tym spotkaniu co prawda nie pokładałem.

O 6-ej spotkałem się z posłem Lewistem, najodważniejszym ze wszystkich znanych mi członków Izby Reprezentantów. Parę dni temu zgłosił w Izbie dwupartyjny wniosek o uchylenie decyzji Senatu sprzeciwiającej się przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do Trybunału Haskiego. Pokazał mi tekst swego wstępnego przemówienia, ja zaś dużo mu opowiedziałem o dyktatorskich rządach w Niemczech, Włoszech i Japonii, i o niebezpieczeństwie grożącym z ich strony całemu współczesnemu światu. Bardzo go to wszystko zainteresowało; powiedział, że będzie walczył do upadłego. Myślę, że gdyby Prezydent poparł Lewisa, Izba zajęłaby w tej sprawie stanowisko niemal jednomyślne.

Poinformowałem Lewisa, że Hearst od pięciu czy sześciu lat jeździ do Mussoliniego i popiera jego politykę. Opowiedziałem mu również o wrześniowej wizycie Hearsta w Berlinie; o tym, że zawarł podobno z Goebbelsem umowę, dzięki której niemieckie Ministerstwo Propagandy będzie otrzymywało informacje prasowe od europejskich agencji Hearsta w tym samym czasie co Stany Zjednoczone. Lewis obiecał mi solennie, że zachowa to wszystko w absolutnej tajemnicy, chyba że dowie się o tych sprawach z innego źródła. Odważyłem się mu o nich powiedzieć w nadziei, że mu to pomoże w jego staraniach.

Rozstawszy się z posłem Lewistem, pojechałem do Georgetown na obiad u Rexforda Tugwella, który jest wiceministrem rolnictwa, chociaż na rolnictwie zna się bardzo mało. Jednym z gości był znany senator; obecny był również poseł Carter z Massachusetts, poseł Frank z Illinois i senator Josiah Bailey z Północnej Karoliny. Już na samym początku obiadu wspomniany senator przypuścił atak na Roosevelta. Oburzał się na Prezydenta, że nie udzielił poparcia swemu byłemu zwolennikowi senatorowi Cuttingowi. Utyskiwał również na Roosevelta, że nie zgodził się na proponowane przez grupę postępową kolosalne wydatki budżetowe, które doprowadziłyby kraj do bankructwa. Twierdził, że tylko dzięki niemu i piratowi Luizjany, Huey Longowi, Roosevelt został wybrany na kandydata partii demokratycznej w wyborach prezydenckich w 1932 r.

Poglądy tego człowieka są zdumiewające. Mówił, jakby był narodowym socjalistą. Chciałby zerwać wszelkie stosunki gospodarcze z Europą. Twierdzi, że Niemcy powinny panować w Europie, my na całym kontynencie amerykańskim, a Japonia — na Dalekim Wschodzie. Pragnieniem jego jest dożyć

chwili, gdy Anglia znajdzie się pod władzą Niemiec, przy czym Kanada przypadnie oczywiście Stanom Zjednoczonym. Większość zaproszonych na obiad oceniła pozytywnie tę koncepcję wielkiego businessu, w myśl której trzy wielkie mocarstwa miałyby się sprzymierzyć i podporządkować sobie mniejsze państwa jak Polskę i Holandię. Źródłem tego rodzaju koncepcji szukać chyba należy w nienawiści do Anglii i Francji, ignorowaniu nauk historii i obojętności na tradycje kultury takich narodów, jak angielski, francuski i holenderski, nie mówiąc już o wielkim dorobku tak bezradnego dzisiaj niemieckiego świata intelektualnego.

Wyszedłem mocno zaskoczony: czyżby ci ludzie traktowali na serio głoszone przez siebie poglądy? Ale senator powiedział chyba prawdę, twierdząc, że namówił Longa do głosowania przeciwko rezolucji w sprawie Trybunału Haskiego, o której ten nie miał zresztą żadnego pojęcia. W pewnej chwili, gdy przy stole zapanowała cisza, powiedziałem, że z Longiem w ogóle bym nie rozmawiał. Senator rzekł: „Wkrótce będziemy tu tak samo strzelać do ludzi, jak to Hitler robi w Niemczech”.

2 lutego 1935. Sobota.

O 10-ej złożyłem wizytę ministrowi Hullowi. Po chwili do gabinetu wszedł minister Moore. Nasza półgodzinna rozmowa przebiegała w dość smutnej atmosferze. Hull powiedział: „Mam nadzieję, że nie poda się Pan do dymisji, nawet gdyby nie mógł pan teraz w Berlinie niczego dokonać. My też jesteśmy bezradni. Wszystkie narody prowadzą zwariowaną politykę gospodarczą, a nasz naród w tych sprawach jest stale wprowadzany w błąd. Nie widzę możliwości poprawy sytuacji gospodarczej w żadnym kraju, dopóki w stosunkach międzynarodowych panować będzie dotychczasowy chaos”. O 11-ej pojechałem wolno samochodem do naszej górskiej samotni, która jest dla mnie jedynym miejscem, gdzie mogę się schronić przed zwariowanym światem.

6 lutego 1935. Środa.

Pojechałem nie śpiesząc się do Waszyngtonu na lunch do Prezydenta. Był w o wiele pogodniejszym i bardziej optymistycznym nastroju niż ja albo ktokolwiek z Departamentu Stanu.

Powtórzyłem mu w zaufaniu słowa senatora, który był na przyjęciu u Tugwella w dniu 1 stycznia: że to on właśnie namówił senatora Longa do głosowania przeciwko rezolucji w sprawie Trybunału Haskiego i że wkrótce rozpocznie się u nas „strzelanie do ludzi”. Nazwiska senatora nie wymieniłem, ale Roosevelt od razu powiedział: „To mi wygląda na senatora N.” Zgadł, ale ja nie powiedziałem ani tak, ani nie; zaznaczyłem tylko, że rozmowa miała charakter poufny.

Następnie Prezydent powiedział: Long zamierza wystąpić jako kandydat w stylu Hitlera w wyborach prezydenckich 1936 r. Sądzi, że na konwencji partii demokratycznej uzyska ze sto głosów. Wówczas zorganizuje secesyjną grupę polityczną wspólnie z postępowcami z Południa i Środkowego Zachodu*,

* Postępowa Liga Republikańska założona kilka lat przed I wojną światową przez senatora Roberta M. La Follette, przywódcą postępowego skrzydła partii republikańskiej, skupiła przede wszystkim b. członków tej partii. Rozbita po śmierci założyciela w 1925 r., została powołana do życia przez jego synów w 1934 r.

senatorem N. i innymi działaczami. Liczy, że w ten sposób przyczyni się do klęski demokratów i wygranej jakiegoś reakcyjnego republikanina. To doprowadzi kraj najdalej do 1940 r. do takiego stanu, że Long zostanie obwołany dyktatorem. Niektórzy południowcy faktycznie o tym myślą, a część postępowców ma zbliżone poglądy. Ale Cutting z New Mexico również chce zostać prezydentem. Ubiegłej jesieni wydał ogromne pieniądze, żeby tylko nie przepaść w wyborach do Senatu. Wywoła rozłam wśród postępowców i może pokonać Longa. Tak więc sytuacja nie wróży nic dobrego.

Później ja mówiłem o sprawach niemieckich, stanowisku Hitlera i możliwości powrotu Niemiec do Ligi Narodów. „Gdyby Senat — dodałem — przyjął 30 stycznia pańskie zalecenie, powrót ten dzięki Stanom Zjednoczonym byłby zapewniony. Prestiż rządu amerykańskiego ogromnie by się podniósł, a stosunki handlowe Stanów Zjednoczonych z zagranicą uległyby znacznej poprawie.” Roosevelt zgodził się ze mną, ale nie robił wrażenia zbyt zasmuconego wynikiem głosowania w Senacie. Wyczułem wyraźnie, że w tej sprawie specjalnej presji nie wywierał.

Powiedziałem Prezydentowi, że Hearst zrobił po prostu świństwo i że w moim przekonaniu jest on sojusznikiem nazistowskich Niemiec. Dodałem, że po powrocie do Berlina prześlę Prezydentowi dowody współpracy Hearsta z dyktatorskim reżymem we Włoszech. Oświadczył, że to go bardzo interesuje. Rozmawialiśmy jeszcze przez parę minut o służbie zagranicznej i rozrzutności amerykańskich dyplomatów. Prezydent powiedział, że „od czasów Teodora Roosevelta kolosalne wydatki bogatych urzędników służby zagranicznej wyrządzają jej wielką szkodę”. Żegnając się z Prezydentem wyraziłem głęboką nadzieję, że odniesie on pełny sukces w swych dalszych zamierzeniach.

Jeżeli chodzi o mnie, to czuję, że nie będę w stanie dokonać w Niemczech niczego. Mojego sceptycyzmu nie rozjaśnia najslabsza nawet nutka optymizmu. Po głosowaniu z 30 stycznia konserwatywna mniejszość w Senacie będzie się starała w dalszym ciągu nadawać kierunek amerykańskiej polityce zagranicznej.

8 lutego 1935. Piątek.

Jadłem dziś lunch z członkami senackiej komisji spraw zagranicznych. Boraha nie było, ale byli Robinson, Johnson, George i inni. Dyskusję rozpoczął Johnson, poruszając problem fałszerstw historycznych. Dało mi to okazję do zabrania głosu; nawiązałem do sprawy amerykańskich długów i przypomniałem, jak spłacano je za czasów Waszyngtona i jak odmawiano ich spłaty w latach 1830—1850. Senator z Kalifornii udawał, że sprawy te są mu dobrze znane. Gdy zapytano mnie o Europę, powiedziałem: Odrzucenie przez Senat rezolucji w sprawie Trybunału Haskiego było wielkim błędem. Zahamowało to rozwój naszych stosunków handlowych z zagranicą i pozbawiło nas możliwości zażądania od Niemiec, aby wytłumaczyły się z zeszłorocznego złamania swych umownych zobowiązań. Musiałyby się tłumaczyć przed instytucją, która nie wyegzekwowałaby być może od nich odszkodowania, ale nadałaby sprawie rozgłos światowy, dając Stanom Zjednoczonym duże szansę załatwienia jej w sposób polubowny i zwiększając kolosalnie prestiż rządu amerykańskiego na całym świecie.

Senator Robinson, który jest rzecznikiem Roosevelta w Senacie, zgodził się

ze mną od razu. Bulkley z Ohio również się zgodził, ale ujawnił przy tej okazji pewne tendencje izolacjonistyczne, czym mnie trochę zaskoczył. Zgodził się ze mną także senator George z Georgii, choć wystąpił później w obronie protekcjonizmu, któremu demokraci dotychczas zawsze się sprzeciwiali.

W czasie lunchu dowiedziałem się, że dwóch senatorów, którzy początkowo głosowali przeciwko przystąpieniu do Trybunału Haskiego, po zorientowaniu się, że wniosek Prezydenta i tak zostanie odrzucony, przerzuciło się na drugą stronę. Głosowali przeciwko, bo chcieli się przypodobać swoim wyborcom, którym ta sprawa jest zasadniczo obca. Takie postępowanie jest jedną ze słabych stron amerykańskiej demokracji. Gdy lunch się skończył, czułem, że stanowisko Senatu byłoby zupełnie inne, gdyby doszło do poważnej dyskusji na temat korzyści płynących ze współpracy międzynarodowej, tzn. gdyby komisja spraw zagranicznych była dokładnie poinformowana o stanie faktycznym i przypuszczalnych konsekwencjach jego zmiany.

W Senacie rozpatrywana była właśnie jakaś ważna sprawa i wszyscy członkowie komisji pośpieszyli na swoje miejsca, żeby wziąć udział w głosowaniu. Później senator Bulkley przedstawił mnie senatorowi Nye, który bardzo rozumnie mówił o prowadzonych przez siebie dochodzeniach w sprawie eksportu broni. Był znacznie lepiej poinformowany o stanowisku zagranicy, niż się tego spodziewałem. Byłem zaskoczony, gdy powiedział: „Ministrowie Hull i Roper bardzo dużo mi pomogli; uprzedzili mnie tylko, żeby sprawie nie nadawać zbytowego rozgłosu, gdyż mogłoby to przeszkodzić amerykańskim placówkom zagranicznym w zbieraniu tak bardzo potrzebnych nam informacji”. A prasa sugerowała społeczeństwu, że Hull i Roper starają się ukryć posiadane informacje przed komisją, której przewodniczy Nye. Nye zrobił na mnie wrażenie prawdziwego sługi swego narodu.

13 lutego 1935. Środa.

Byłem dziś w Nowym Jorku na lunchu wydanym przez Adolfa Ochsa i redaktorów „New York Timesa”. Obecny był John Finley i ośmiu czy dziesięciu innych wybitnych dziennikarzy. Rozmowa była bardzo interesująca, gdyż niemal wszyscy redaktorzy „Timesa” są dobrze obeznani z sytuacją w Europie. Uderzyła mnie prostota i bezpośredniość właściciela „Timesa” Ochsa. W tej dyskusji nie było nawet śladu sekciarskiej zawziętości.

14 lutego 1935. Czwartek.

Jesteśmy w drodze powrotnej do Berlina, wracam na moją odpowiedzialną placówkę. Przewidywania mówią, że tym razem Ocean będzie również burzliwy, chociaż mamy nadzieję, że nie będzie tak źle jak w grudniu.

23 lutego 1935. Sobota.

Jesteśmy wreszcie na miejscu. Podejmuję na nowo moją delikatną misję, polegającą na obserwowaniu wydarzeń i zachowywaniu absolutnej bierności.

Do szczęścia mi daleko. Wciąż się obawiam, że nigdy nie skończę mego *Dawnego Południa*.

26 lutego 1935. Wtorek.

Dziś o 12-ej, zgodnie z panującym zwyczajem, pojechałem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i złożyłem wizytę min. Neurathowi. Przekazałem mu serdeczne pozdrowienia od ministra Hulla. Był dla mnie bardzo miły — bardziej niż kiedykolwiek od czasu mego przyjazdu do Berlina w lipcu 1933 r. Zastanawiałem się, czy słyszał o pogłosce, że mam nie wracać do Berlina i że Waszyngton zamierza pozostawić moje stanowisko nie obsadzone na czas nieokreślony. W Waszyngtonie pewien dziennikarz mówił mi, że tego rodzaju wiadomość została mu przekazana telegraficznie z Berlina.

Neurath rozmawiał ze mną otwarcie o krytycznej sytuacji w życiu gospodarczym i stosunkach społecznych w Niemczech i twierdził, że stanie się ona wkrótce nie do zniesienia, jeżeli nie nastąpi poprawa sytuacji w handlu zagranicznym. Przyznałem, że podobnych trudności obawiam się w Stanach Zjednoczonych w razie dalszego zastoju w obrotach handlu światowego. Neurath gorąco chwalił prezydenta Roosevelta za jego plan odnowy gospodarczej, ale wyraził niepokój z powodu opozycji Senatu, która jego zdaniem bardzo przypomina zachowanie się Reichstagu przed puczem Hitlera. Rozmowa była tak interesująca, że powróciwszy do ambasady wysłałem natychmiast jej streszczenie do Waszyngtonu. Neurath obawia się, że wymierzona przeciwko żywotnym interesom państwa zmowa sił, reprezentujących różne interesy grupowe, może spowodować upadek demokracji w Stanach Zjednoczonych.

1 marca 1935. Piątek.

Byliśmy dziś wieczorem po raz pierwszy na oficjalnym przyjęciu dyplomatycznym wydanym przez ambasadora radzieckiego w pałacu, który jest największą rezydencją dyplomatyczną w Berlinie, jeszcze okazalszą niż słynny pałac starego Hindenburga przy Wilhelmstrasse, gdzie przez pewien czas mieszkał Bismarck. Gości było czterdziestu i zgodnie z protokołem pierwsze miejsce przypadło Neurathowi, a drugie francuskiemu ambasadorowi François-Poncetowi. Większość tych ludzi znałem, ale połowy nazwisk nie mogłem sobie przypomnieć. Obecny był biedny Eryk Kleiber, dyrygent, którego w grudniu zwolniono z pracy. Mimo że jest Żydem, dogadał się jakoś z nowym rządem i myśleliśmy, że mu nic nie grozi. Został zwolniony za to, że na jednym z koncertów w Państwowej Operze pozwolił sobie na wykonanie utworu skomponowanego przez Żyda. Nie mogłem się przez pewien czas od niego odczepić i Neurath to zauważył. W lecie Kleiber wystąpi na słynnym festiwalu w Salzburgu.

4 marca 1935. Poniedziałek.

Dziś w ramach zwyczajowej, ale bezsensownej, oficjalnej ceremonii, nowemu ambasadorowi japońskiemu przedstawiony został również cały perso-

nel naszej ambasady. Wzięło w niej udział około 500 osób. Lekko podekscytowany poseł urugwajski wziął mnie na stronę i podzielił się ze mną wiadomością, że w Chaco przebywa jakaś japońska delegacja, która chce tam zakupić pola naftowe i osiedlić 80 tysięcy rodzin. Prosił mnie o powiadomienie o tym telegraficznie Waszyngtonu. Nie bardzo w to uwierzyłem, ale prośbę jego spełniłem.

5 marca 1935. Wtorek.

Byliśmy dziś wieczorem na obiedzie u Bülowa. Wśród obecnych 10—12 Niemców najwybitniejszym gościem był minister finansów Schwerin-Krosigk. Jediną godną zanotowania rozmowę przeprowadziłem z Bülowem i posłem argentyńskim La Bougie. Mówiliśmy o tym, że Hitler odwołał wczoraj wizytę sir Johna Simona, który miał przyjechać do Berlina na rozmowy w sprawie kontroli zbrojeń i ograniczenia produkcji samolotów. Hitler obraził się na MacDonalda za ogłoszoną wczoraj przez niego *Białą Księgę*, w której premier brytyjski stwierdził, że Niemcy przygotowują swoją młodzież do wojny, i wobec tego Anglia musi zdobyć się na maksymalny wysiłek, żeby się uzbroić i w ten sposób zabezpieczyć przed ewentualną napaścią. Hitler poczuł się tym oświadczeniem do tego stopnia obrażony, że bardzo się przeziębził i zawiadomił telegraficznie sir Johna Simona, który jest ministrem spraw zagranicznych w rządzie MacDonalda, żeby do Berlina nie przyjeżdżał!

Wywołało to niebywałą sensację. W rozmowie z Bülowem przyznałem, że premier angielski popełnił gafę, dodałem jednak, że gdybym zajmował odpowiedzialne stanowisko w Berlinie, udałbym się na czele licznej delegacji urzędowej na dworzec i powitał serdecznie sir Johna. Bülow spojrział na mnie zdziwiony, ale po chwili rzekł: „Jestem skłonny zgodzić się z panem; Anglik musiałby nas przeprosić i grzecznie się zachowywać”. Poseł argentyński również przyznał mi rację. Gdy żegnałem się z Bülowem, ponownie oświadczył: „Pan i ja zawsze się zgadzamy”. Nie byłem całkiem pewny, czy powiedział to na serio, ale faktem jest, że dwa czy trzy razy, gdy omawialiśmy sprawę amerykańskich roszczeń z tytułu niemieckiego zadłużenia, poglądy nasze były całkowicie zgodne. Panuje opinia, że Bülow, który jest przedstawicielem dawnej arystokracji, nie czuje się dobrze na swym obecnym wysokim stanowisku.

7 marca 1935. Czwartek.

Pojechałem do hotelu „Kaiserhof”, żeby wysłuchać przemówienia przywódcy Arbeitsfrontu Leya na temat trudności występujących w świecie pracy. Usiadłem razem z posłem kubańskim przy bocznym stoliku i zaraz podano nam piwo. Po chwili podszedł, żeby się ze mną przywitać, Rosenberg, który organizuje tego rodzaju zebrania mniej więcej raz na miesiąc. Zaprosił mnie do swego stołu, przy którym siedziały różne wysoko postawione osoby, ale przy stole był tłok, więc wytłumaczyłem się, że wolę siedzieć w cichym kącie. Rosenbergowi to wyjaśnienie chyba wystarczyło.

Referat Leya, podobnie jak odczyt Rusta w początkach grudnia, niewiele był wart; brak w nim było właściwego omówienia podstawowych trudności socjalnych występujących w Niemczech i innych państwach. Trzy razy w sta-

nowczej formie Ley wysunął tezę, że wszyscy niemieccy robotnicy muszą zawsze pamiętać o tym, że są żołnierzami zobowiązanymi do absolutnego posłuszeństwa wobec państwa, i nie powinni za wiele myśleć o własnych zarobkach. Sprawa godności osobistej i środków utrzymania została w referacie pominięta. „W ustroju narodowosocjalistycznym pracodawca nie myśli o swym wielkim przedsiębiorstwie, swych maszynach i zarobkach: uważa, że głównym jego obowiązkiem jest zapewnić pracę załodze swego przedsiębiorstwa i służyć interesom Niemiec. Pracownik w tym ustroju jest absolutnie lojalny wobec swego pracodawcy i do głowy mu nawet nie przychodzi sprzeciwiać się jego woli lub organizować strajki.” Możliwe, że w Niemczech są ludzie posiadający wymienione zalety, ale w tym, co Ley powiedział, nie było moim zdaniem nawet pół prawdy. Nie ma jednak sposobu dowiedzenia się, jaka jest ta cała prawda, gdyż nikt nie odważa się ujawniać swych prawdziwych przekonań.

8 marca 1935. Piątek.

Byliśmy z żoną na obiedzie u Fürstenberga, bogatego bankiera mieszkającego z rodziną niedaleko nas w pięknym domu przy Königin Augustastrasse. Jednym z gości był dr Kühlmann, były minister, człowiek zamożny, dyrektor wielkiej stalowni w Okręgu Saary i autor interesujących artykułów, ukazujących się w amerykańskich pismach periodycznych. Obecny był także Max Warburg, tak zaniepokojony w sierpniu czy wrześniu ubiegłego roku, gdy odwiedził mnie w Ambasadzie. Feliks Warburg z Nowego Jorku jest jego bratem. Obaj ci bankierzy są bardzo bogaci. Dziś wieczorem Max Warburg robił wrażenie człowieka wolnego od jakichkolwiek obaw. Jego brat nie był takim optymistą, gdy rozmawiałem z nim 17 stycznia w Nowym Jorku.

Byli również goście, którzy twierdzili, że są zaprzyjaźnieni z dr Schachtem, i często o tym w rozmowie wspominali. Jeden z nich, prezes jakiegoś berlińskiego banku, zauważył, że stanowisko Hitlera wobec problemu długów zaciągniętych za rządów jego poprzednika, Brüninga, jest podobne do stanowiska Związku Radzieckiego wobec sprawy długów zaciągniętych w Stanach Zjednoczonych przez rząd Kiereńskiego. Chciałbym wiedzieć, czy takie nie jest czasem stanowisko Schachta. Nawet najporządniejsi Niemcy nie są w stanie wybaczyć Stanom Zjednoczonym przystąpienia do wojny światowej. Oni mi tego w oczy nie mówią (nie mówią nawet tacy moi przyjaciele jak Oncken, Marcks czy Windelband), ale na pewno są przekonani, że to udaremniło im wielkie zwycięstwo nad całą Europą. Z tego względu długi zaciągnięte w Stanach Zjednoczonych, mimo że zaciągnięte zostały po 1924 r., są w gruncie rzeczy dla narodowosocjalistycznych Niemiec zobowiązaniem wątpliwym.

11 marca 1935. Poniedziałek.

Pojechałem do prof. Hermanna Onckena, u którego jesienią ubiegłego roku poznałem mnóstwo interesujących ludzi. Dzisiaj opowiedział mi o tym, jak stosunkowo niedawno jeden z jego byłych słuchaczy, człowiek zaledwie 29-letni, ale zajmujący wpływowe stanowisko w partii, zaatakował go gwałtownie za przedstawienie w jednej z książek rządów Cromwella w sposób przypominający autokratyczne rządy Hitlera w Niemczech. Napaści tej nadany został wielki rozgłos. Rosenberg, który jest naczelnym redaktorem ofi-

cialnego organu partyjnego „Völkischer Beobachter”, interweniował u Rusta i spowodował ustąpienie Onckena ze stanowiska dziekana wydziału historii na uniwersytecie berlińskim. Ale gdy po ogłoszeniu tego „ustąpienia” wszyscy niemal studenci wystąpili z protestem, Rust przesunął termin ustąpienia Onckena do końca zimowego semestru. Pozostaje kwestią otwartą, czy Oncken będzie mógł kontynuować pracę w semestrze wiosennym.

Oncken jest chyba najwybitniejszym niemieckim historykiem i jego „ustąpienie”, nie umotywowane złym stanem zdrowia lub osobistym życzeniem, odbije się na pewno szerokim echem w Stanach Zjednoczonych. Nie sądzę, żeby zajmował jakieś zdecydowanie opozycyjne stanowisko w stosunku do obecnego ustroju, tym bardziej że urząd ten stał się ostatnio wyraźnie konserwatywny. Ale twierdzi stanowczo, że profesorowie powinni mieć prawo publikowania swych książek bez potrzeby uzyskiwania na to zgody władz administracyjnych.

Powiedział, że niemal wszyscy ludzie nauki w Niemczech są poważnie zaniepokojeni i przesyłają mu wyrazy współczucia i uznania. Dodał, że przyłączają się oni teraz do walki prowadzonej przez Kościół protestancki i będą wspólnie bronili wolności nauczania świeckiego i religijnego. Spodziewa się zaostrenia tej walki w ciągu najbliższych paru miesięcy.

Sądzę, że w tej walce Hitler stanie po stronie Rosenberga, który głosi ideę nowego niemieckiego chrześcijaństwa w postaci kultu Wotana i innych bogów starogermańskich. Ma to być nowa narodowosocjalistyczna religia. Brzmi to dziwnie, ale porażka propagowanego przez Rosenberga nawrotu do germańskiego barbarzyństwa zależy w dużym stopniu od tego, czy protestantów poprą katolicy. Papież jest w bardzo trudnej sytuacji. Musi pomóc protestantom i protestanckim uniwersytetom, by ratować katolicyzm w Niemczech. Jednocześnie musi popierać filozofię narodowosocjalistyczną, jeżeli chce zlikwidować komunizm w Rosji i powstrzymać rozwój socjalizmu we Francji i w Hiszpanii.

16 marca 1935. Sobota.

Dzisiejsze gazety niemieckie w gwałtownej formie potępiają alarmistyczne stanowisko Francji ujawnione we wczorajszym przemówieniu premiera Flandina we francuskiej Izbie Deputowanych. Ta mowa, jak również zatwierdzony przez Izbę plan zwiększenia armii przez podwojenie okresu służby wojskowej*, były odpowiedzią na oświadczenie Göringa z ubiegłego poniedziałku**, w którym zapowiedział rozszerzenie programu wyszkolenia lotniczego celem zabezpieczenia Niemiec przed ewentualnym atakiem nieprzyjacielskich bombowców. Inspirowane przez rząd gazety niemieckie twierdzą, że postępowanie Francji jest równoznaczne z pogrzebaniem sprawy rozbrojenia w Europie. Choć ogłoszony przez Göringa program lotniczy ma faktycznie charakter agresywny, uważam, że Francja, Włochy i Anglia zbroją się również wbrew postanowieniom traktatu wersalskiego.

Tymczasem po południu zadzwonił do mnie korespondent „New York Ti-

* Uchwalenie dwuletniej służby wojskowej we Francji miało miejsce 15 marca 1935 r.

** Zamiar utworzenia niemieckich sił lotniczych (Luftwaffe) wyjawiał H. Göring w czasie wywiadu, jakiego udzielił 11 marca 1935 r. Ward Price'owi, korespondentowi „Daily Mail”.

mesa" i powiedział, że o 5-ej Ministerstwo Propagandy wezwało do siebie wszystkich dziennikarzy, aby poinformować świat, że Niemcy przystąpiły do przekształcania Reichswehry w stałą armię o sile 400—500 tysięcy żołnierzy. Wydaje się, że dziennikarze byli tą wiadomością bardzo podnieceni, a przecież zaczęło się to już co najmniej rok temu. Taka jest odpowiedź Niemiec na wczorajszą decyzję Francji powiększenia swojej siły militarnej. Wszystko to nadaje jeszcze większe znaczenie zapowiedzianej na 26 marca wizycie sir Johna Simona w Berlinie. Będzie to, jak twierdzi Wiegand, powtórzenie wydarzeń poprzedzających rok 1914, gdy Brytyjczycy przysłali do Berlina wysokiego urzędnika ministerialnego, żeby się dowiedzieć, w jakim celu Niemcy rozbudowują swoją armię i flotę. Wszystkie te informacje, które przekazałem zaraz telegraficznie do Waszyngtonu, pochodziły wyłącznie od dziennikarzy, gdyż do chwili mojego wyjścia z biura nie wpłynęło na ten temat do ambasady oficjalne zawiadomienie.

17 marca 1935. Niedziela.

Po godzinie pracy w biurze ambasady pojechałem wraz z attaché morskim kpt. Kepplerem i attache wojskowym kpt. Crockettem do słynnej Opery Państwowej na Unter den Linden na akademię poświęconą pamięci bohaterów poległych za Niemcy, coś w rodzaju naszego Dnia Poległych. Gdy wszedłem do loży zarezerwowanej dla korpusu dyplomatycznego, von Bassewitz zaprowadził mnie na honorowe miejsce. Zapytałem: „Czy nie ma ambasadora francuskiego?” „Nie — odrzekł — Nuncjusza też nie ma.” Po kilku minutach zacząłem się trochę niepokoić, gdyż oprócz mnie nie było żadnego ambasadora.

Dziś rano gazety podały, że przedstawiciele dyplomacji Francji, Anglii, Włoch i Polski byli wczoraj u Kanclerza i wysłuchali oficjalnej deklaracji w sprawie zwiększenia stanu niemieckiej armii. Teraz przyszło mi do głowy, że się na pewno umówili, żeby na akademię nie przychodzić. Dlaczego jednak nie powiadomił mnie o tym Brytyjczyk? Od przeszło roku uzgadnialiśmy nasze postępowanie w większości tego rodzaju wypadków. Nieobecny był także ambasador japoński. Dlaczego? Wiadomo przecież, że Japończycy solidaryzują się z Niemcami. Przypuszczam, że tę absencję zaleciło mu niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Gdyby przyszedł, zostałby uznany za sojusznika Niemiec. A ja byłem jedynym ambasadorem, do którego żadna ze stron z powodu jego obecności nie mogła rościć pretensji. Więc przyszedłem.

18 marca 1935. Poniedziałek,

Na moją prośbę przyszedł dziś do mnie o 12-ej Monsieur Bérard. Powiedział mi, że jego rząd usilnie zabiega o uzyskanie zgody Anglii, Francji i Włoch na złożenie wspólnego protestu przeciwko niemieckim przygotowaniom wojennym. Zdaniem jego szefa należałoby nawet odwołać ambasadorów wszystkich trzech państw, gdyby Niemcy w dalszym ciągu naruszały traktat wersalski. Na wpół żartem powiedziałem: Myślę, że gdyby te trzy państwa tak postąpiły, to ja również poprosiłbym o odwołanie. Tymczasem Anglia, nie zważając na wszystkie afronty, jakie ją spotkały w ciągu ostatnich dzie-

sięciu dni, wyraziła chęć przysłania za parę dni do Berlina swego ministra spraw zagranicznych sir Johna Simona. Francuzi są tym bardzo zaniepokojeni. Włochy podobno ściśle współpracują z Francją.

O 5.30 odwiedziłem dr Schachta, żeby go zapytać, czego się dowiedział w Bazylei, gdzie spotkał się z zagranicznymi bankierami dla omówienia zagnatwanej sytuacji finansowej na świecie. Powiedział mi, że prezes Banku Anglii Montagu Norman jest za stabilizacją funta i dolara, podczas gdy brytyjskie ministerstwo finansów jest temu przeciwne. Chodzi o to, że dla rządu brytyjskiego zdeprecjonowany funt jest środkiem walki z konkurencją amerykańskich przemysłowców, którzy mając już monopol zbytu we własnym kraju, usiłują teraz odebrać Brytyjczykom monopol na handel z koloniami. Tani funt służy również do pokonywania wysokich barier celnych w Stanach Zjednoczonych. Schacht był daleki od optymizmu. „Jeżeli nie będzie stabilizacji — powiedział — to w październiku nastąpi krach gospodarczy.” Nie twierdzą, żeby miało być inaczej, ale moja znajomość skomplikowanej struktury finansowej współczesnego świata jest zbyt powierzchowna, żebym mógł mieć w tej sprawie jakiś zdecydowany pogląd.

Widząc, że Schacht ma ochotę prowadzić rozmowę raczej na tematy ogólne, zapytałem go wprost: „A co z tą powszechną służbą wojskową, która wczoraj została wprowadzona?” Odpowiedział: „Chodzi o pokój w Europie. Mój syn odbywa teraz służbę wojskową. Bezpieczeństwo naszej ojczyzny wymaga, żeby służbę tę odbywali wszyscy Niemcy”. Wspomniałem o militarnej demonstracji, której świadkiem byłem wczoraj. Odpowiedział: „To nie znaczy, że ma być wojna”. Te słowa pozostają w absolutnej sprzeczności z tym, co mi z całą powagą oświadczył na jesieni ubiegłego roku.

„Hitler — mówił dalej Schacht — wymienił Czternaście Punktów Wilsona, jako podstawę uregulowania problemów europejskich przez zwołaną w tym celu konferencję; czy pański kraj wzięłyby w niej udział?” Powiedziałem, że wydaje mi się to wątpliwe, ale nie negowałem poglądu Schachta, że udział Ameryki w konferencji zorganizowanej przez Ligę Narodów przyniósłby wiele korzyści całemu światu. Powiedziałem, że Prezydent wypowiada się za współpracą z Ligą, ale opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych jest raczej temu przeciwna. Wspomniałem o głosowaniu w Senacie w dniu 30 stycznia w sprawie Trybunału Haskiego, ale dodałem, że nie uważam tego wydarzenia za ścisły wskaźnik nastawienia amerykańskiej opinii publicznej, gdyż w sprawie tej Hearst narobił wielkiej wrzawy i zastraszył niektórych senatorów. Schacht raz jeszcze podkreślił fakt powołania się przez Hitlera na Czternaście Punktów i wydawał się traktować tę sprawę całkiem poważnie. Moim zdaniem Hitlerowi chodziło tylko o zirytowanie Francuzów.

O 8.30 poprosiłem Bérarda, żeby wstąpił do mnie na chwilę do domu. Przybiegł w chwili, gdy kończyliśmy już obiad. Chciałem mu opowiedzieć o dzisiejszej poufnej rozmowie z Schachtem. Powtórzyłem mu w największej tajemnicy to, co powiedział Schacht w związku z powołaniem się Hitlera na Czternaście Punktów. Bérard rzekł: „Ja Schachtowi nie wierzę.” Spieszył się, bo wyjeżdżał do Paryża z jakąś misją zleconą mu przez swego ambasadora.

21 marca 1935. Czwartek.

W ciągu ostatnich dwóch dni w dalszym ciągu mieliśmy emocjonujące wydarzenia. Anglia zgodziła się przysłać w przyszłą niedzielę do Berlina sir

Johna Simona, a Niemcy zgodziły się, że Hitler będzie rozmawiał na temat pokoju światowego i ewentualnej konferencji rozbrojeniowej. Francja i Włochy złożyły dzisiaj swoje protesty, na które niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych odpowiedziało w taki sposób, jakby chciało wbić klina pomiędzy oba te państwa. Ambasador francuski przyjęty został dość chłodno, czego prasa bynajmniej nie ukrywała.

Dziś rano dowiedziałem się, że jakieś francuskie pismo gospodarcze wydrukowało artykuł, w którym podało, że przesłałem Prezydentowi dwudziestostronicową analizę sytuacji w Niemczech, przepowiadając w niej załamanie się niemieckiej gospodarki w kwietniu bieżącego roku. W związku z tym napisałem parę słów do francuskiego ambasadora z zapytaniem, czy tego rodzaju informacji nie udzielił czasem komuś Monsieur Bérard w związku z przeprowadzonymi ze mną rozmowami. Po południu Monsieur Bérard przyszedł do mnie do ambasady i kategorycznie zaprzeczył, żeby miał z tym coś wspólnego. Jestem przekonany, że to nie jego wina. Tymczasem autor artykułu twierdzi, że nasza ambasada, na podstawie naukowej analizy sytuacji, ostrzegła Stany Zjednoczone przed dalszymi inwestycjami w Niemczech przepowiadając, że Hitler pozostanie u władzy tylko przez parę lat i że w perspektywie jest wojna i bliski krach gospodarczy. Złożyłem więc oświadczenie dla prasy, że żadnego takiego pisma nie wysyłałem. O 6-ej, gdy byłem już w domu, zjawił się przedstawiciel Agencji Havasa, prosząc o oświadczenie przeznaczone dla Paryża. Oświadczenie złożyłem, dodając, że raporty ekonomiczne wysyłamy co miesiąc, ale bez tego rodzaju przepowiedni o gospodarczych katastrofach. Nie rozumiem, w jaki sposób ta sprawa wyszła na jaw; informacja pochodziła podobno od jakiegoś francuskiego korespondenta w Berlinie.

22 marca 1935. Piątek.

O 9-ej na zaproszenie Ernsta Hanfstaengla pojechaliśmy z żoną obejrzeć dramat Mussoliniego *Sto Dni*; przedstawia on ostatnią fazę kariery Napoleona. Siedzieliśmy w jednej łoży z Madame Cerutti. Z filmu wynikało, że Włosi i Niemcy uważają swoich wodzów za współczesnych Napoleonów. Publiczności to odpowiadało; Napoleona, którego grał niemiecki aktor Krauss, obdarzyła głośnymi, choć nie burzliwymi oklaskami.

Gdy studiowałem w Lipsku, widziałem na polu słynnej krwawej bitwy, wzniesiony przez Niemców pomnik Napoleona. Zauważyłem również, że moi profesorowie uważają Napoleona za wzór zwierzchnika państwa i dowódcy wojskowego. Jaka szkoda, że nie był Niemcem! Dzisiaj za Napoleona uważa się Hitler, gdy likwiduje w Niemczech demokrację i podnosi Niemcy do rangi supermocarstwa w Europie. Hanfstaenglowi się zdaje, że przez organizowanie tego rodzaju spektakli dla szerokich mas nabiera większej wartości w oczach Führera. A ja nie jestem taki pewien, czy te *Sto Dni* naprawdę Niemcom się spodobają.

25 marca 1935. Poniedziałek.

Dziś rano odwiedził mnie ambasador japoński. Nalegał, żebyśmy się udali razem do ambasady brytyjskiej i poprosili o rozmowę z sir Johnem Simonem,

aby się od niego dowiedzieć, jakie są plany w sprawie niemieckiej floty i ewentualnego paktu z Rosją. Staralem się być jak najuprzejmiejszy, ale uchyliłem się od udzielenia mu natychmiastowej odpowiedzi. Ani myślę chodzić z nim razem w takich sprawach. To by dopiero była sensacja na całe Stany Zjednoczone.

Wyraźniej niż kiedykolwiek wyczułem, że między Niemcami a Japonią istnieje jakieś porozumienie. Ambasador japoński mówił o tym, jak w ciągu ostatnich paru dni spotykał się przy obiedzie czy lunchu z Göringiem, Goebbelsem i innymi wysokimi niemieckimi urzędnikami. Opowiadał o tym z prawdziwą satysfakcją, zdradzającą jego próżność. Gdybym ja spotykał się z tymi ludźmi, wolałbym o tym nie wspominać. Odczuwam instynktowny wstręt, gdy podaję im rękę, choć oni sami uważają się za nowoczesnych Cezarów. Podejrzewam, że ambasador japoński lub jego rząd chcieli się przekonać, czy można będzie mnie wciągnąć w tego rodzaju sytuację. Wyszedł kłaniając się i stukając butami, jak tego wymaga protokół dyplomatyczny. Obiecałem mu, że zatelefonuję do niego, jeżeli będę miał „jakieś widoki na spotkanie z sir Johnem Simonem”.

O 8.30 pojechaliśmy na obiad do okazałego pałacu posła belgijskiego. Do stołu zasiadło około 40 gości, wszyscy w strojach wieczorowych. Rozmowa była jak zwykle przyjemna, ale pozbawiona głębszej treści. Późnym wieczorem, siedząc przy jednym stole z gospodarzem, pewnym niemieckim generałem, posłem szwajcarskim i jeszcze jakimś Niemcem, powiedziałem żartobliwym tonem: „Miałem ubiegłej nocy dziwny sen”. „Co to było?” — zapytał Szwajcar. „Boję się wam powiedzieć” — rzekłem. „Ach, skąd znowu” — zawołali. Powiedziałem im więc, że śniło mi się, iż przywrócono do władzy Hohenzollernów i że rozmawiałem z Kronprinzem, który siedział na tronie, a może tylko stał koło niego.

Poseł belgijski nic na to nie powiedział, a szwajcarski robił wrażenie zakłopotanego. Generał natomiast stwierdził, że w czasie niedzielnej uroczystości Blomberg ani słowem nie wspomniał o Kaiserze lub Kronprinzu, chociaż pochwalił sławnego Ludendorffa (obecnie przeciwnika Hitlera) i wysławiał wojskowe zasługi Hindenburga. Według generała, Blomberg miał początkowo zamiar wyrazić uznanie również dla zasług Kaisera, ale w końcu rozmyślnie od tego się powstrzymał. Generał twierdzi, że Blomberg jest całkowicie po stronie Hohenzollernów.

27 marca 1935. Środa.

Dziś po południu odbyło się u nas przyjęcie, na które zaprosiliśmy około 250 urzędowych i prywatnych przedstawicieli społeczeństwa niemieckiego oraz korpus dyplomatyczny. Przyjęcie było nie najgorsze, ale męczące. Większość zaproszonych niemieckich osób urzędowych nie przybyła, podając na swoje usprawiedliwienie najprzeróżniejsze powody. Część z tych powodów była w moim pojęciu prawdziwa, ale niektóre były zmyślane.

Najwybitniejszym niemieckim gościem był powszechnie znany gen. von Hammerstein, który w czerwcu ubiegłego roku, jak mi wówczas o tym opowiadano, uciekł z Berlina w obawie przed zamordowaniem. Był w dobrym nastroju i rozmawiałby ze mną otwarcie, gdyby można było znaleźć czas i miejsce do nieskrępowanej rozmowy.

31 marca 1935. Niedziela.

Wczoraj leżałem cały dzień w łóżku. Dziś poszedłem do ambasady, ale podobnie jak przez większość dni ubiegłego tygodnia, było mi tam za zimno. Niemieckiemu portierowi nie może po prostu pomieścić się w głowie, że utrzymanie temperatury 24° Celsjusza, czyli 75° Fahrenheita, to dla mnie taka ważna sprawa, zwłaszcza jeżeli musi w tym celu wcześniej wstawać. Udzieliłem mu jeszcze jednego upomnienia i wróciłem do domu.

Był u nas dzisiaj na lunchu rabin Lazaron z Baltimore, szlachetny, wrażliwy na los swoich bliźnich człowiek; bawi w Berlinie w nadziei, że będzie mógł pomóc swoim współwyznawcom, ale obawia się — ja również — iż może zostać z Niemiec wydalony. Oprócz niego byli sławny Hoetzsch, mój kolega uniwersytecki z Lipska, i dr Richter, były minister oświaty, z żoną. Ostatniej pracy Hoetzscha na temat dyplomatycznej korespondencji rządu rosyjskiego w czasie wojny światowej poświęcił specjalną uwagę londyński „Times” z ubiegłego tygodnia.

Obaj byli bardzo interesującymi i dowcipnymi partnerami do rozmowy. Teść Richtera, prof. Schmitt, był w okresie rządów Eberta przez pewien czas rektorem uniwersytetu berlińskiego. Sam Richter został usunięty z grona wykładowców uniwersyteckich w 1933 r., gdyż nie zgadzał się z hitlerowskim programem nauczania. Hoetzsch był za czasów republiki członkiem Reichstagu, ale dzisiaj jest bardzo ostrożny w swych wypowiedziach na tematy kontrowersyjne. Za parę lat nabędzie prawo do uniwersyteckiej emerytury, chyba że napisze jakąś książkę lub artykuł, który nie spodoba się władzom, czego będzie mu bardzo trudno uniknąć, gdyż jest powszechnie szanowanym znawcą zagadnień międzynarodowych.

Biedny Lazaron jest poważnie zaniepokojony tym, że tak wielu bogatych Żydów podporządkowało się nazistowskim władzom i stało się cennymi pomocnikami dr Schachta, który ich finansową współpracę uważa za bardzo ważny element stabilizacji dzisiejszej sytuacji gospodarczej Niemiec.

4 kwietnia 1935. Czwartek.

Dostałem telegram od ministra Hulla z zapytaniem, czy w Europie zanosi się na wojnę. Na 12-ą byłem w jakiejś drobnej sprawie umówiony z Neurathem, więc o 11.30 postanowiłem zobaczyć się z sir Erykiem Phippsem, który ma swoje biura w pobliżu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na szczęście był wolny. Rozmowa z Phippsem upewniła mnie, że wizyta sir Johna Simona i młodego Edena dała wynik negatywny.

Hitler wystąpił na tym spotkaniu w mundurze SA, wszystkie pozostałe osoby były ubrane po cywilnemu. Hitler dał wyraźnie do zrozumienia, że nie zgodzi się na tzw. wschodnie Locarno i zagwarantowanie obecnych granic niemieckich z Polską, państwami bałtyckimi i Rosją. Powiedział jednak, że nie ucieknie się do wojny, będzie się tylko domagał poszanowania obowiązujących traktatów. Co do przyłączenia Austrii do Rzeszy, to uroczyście zaręczył, że agresja z niemieckiej strony nie nastąpi. Zastrzegł sobie jednak stanowczo prawo udzielania pomocy swym zwolennikom w Austrii, podobnie jak pomagają tam swoim zwolennikom Włochy, gdyż oba państwa rywalizują w tym kraju o swoje wpływy za pomocą propagandy. Co do współpracy niemiecko-rosyjskiej Hitler oświadczył, że możliwość taka nie istnieje. Większość tych

informacji przetelegrafowałem już poprzednio do Waszyngtonu. To, co mi powiedział sir Eryk, było tylko ich potwierdzeniem. Sir Eryk raz jeszcze wyraził poważne wątpliwości co do możliwości zachowania pokoju w Europie. Jedno jest pewne: Hitler dąży do wojny. Kiedy uderzy, będzie zależało od tego, kiedy się do niej przygotuje i kiedy nadarzy mu się do tego odpowiedni pretekst.

O 12-ej byłem już u Neuratha. Na początku spotkania ofiarowałem mu wydany parę lat temu pamiętnik Huntera Millera, doradcy Departamentu Stanu w zakresie historii. Pamiętnik składa się z 21 tomów i zawiera szereg wybranych i opracowanych przez autora dokumentów. Gdy Neurath serdecznie mi za ten prezent podziękował, poruszyłem sprawę niemieckiej polityki wojskowej. Przede wszystkim powiedziałem mu, że w Stanach Zjednoczonych panuje powszechne przekonanie, iż Niemcy zamierzają w stosunkowo krótkim czasie rozpętać wojnę. Uroczyście zaręczył, że tego rodzaju tendencja absolutnie nie istnieje. Starał się wyrzucić na mnie wrażenie, że jest bardzo zatroskany ostatnimi zarządzeniami Mussoliniego, które zwiększą niemal dwukrotnie siłę uderzeniową włoskiej armii, a także ogłoszonym dwa dni temu oświadczeniem, w którym Mussolini domaga się okrażenia Niemiec i potępia Anglię za to, że nie chce się w tym celu sprzymierzyć z Francją i Włochami. Pomimo to w ciągu kilku najbliższych tygodni dojdzie jego zdaniem do powszechnego porozumienia w sprawie pokoju. Wywnioskowałem, że ma na myśli wyznaczoną na 15 kwietnia konferencję w Genewie, na której mają się spotkać czołowe osobistości Ligi Narodów*.

Zwróciłem Neurathowi uwagę na fakt, że wszyscy Niemcy robią wrażenie opanowanych przez ducha militarystyki, że wszystkie publiczne manifestacje przeprowadza się w pełnym wojennym ekwipunku. Powiedziałem mu również, że w Niemczech kolportowane są na szeroką skalę mapy imperialistyczne, to znaczy takie mapy, które świadczą, że przywódcy narodowosocjalistyczni domagają się przyłączenia do Niemiec krajów sąsiedzkich, jak Holandia i Austria, niektórych rejonów Szwajcarii oraz polskiego Korytarza. Oświadczył, że te mapy są wydawane przez nieodpowiedzialne elementy. „Jak to — powiedziałem — przecież figuruje na nich nazwisko Göringa i można je zobaczyć w każdym niemieckim hotelu i na każdej niemieckiej stacji kolejowej.” Przyznał, że to prawda, ale zaznaczył, iż to nie ma żadnego wpływu na niemiecką politykę zagraniczną.

„Stanowi to — powiedziałem — przekonujący dowód dla zagranicy, że Niemcy nawracają do starej polityki imperializmu, mało różniącej się od polityki prowadzonej niegdyś przez Teodora Roosevelta. Te organizowane wszędzie pochody umundurowanych ludzi i domaganie się przyłączenia do Rzeszy wszystkich obszarów pogranicznych, zamieszkałych przez ludność mówiącą po niemiecku, to oczywiście dowody wojennych nastrojów w tym kraju.” Minister spraw zagranicznych powiedział: „Mnie również martwią te slogany i pozy imperialistyczne”. Półgodzinna rozmowa z Neurathem raz jeszcze przekonała mnie, że zarówno on, jak wszyscy chyba wyżsi urzędnicy niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych zdają sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa grożącego Niemcom ze strony hitlerystów i walczą o uwzględnienie swych poglądów, ale wysiłki te są daremne. Hitler naprawdę chce anektować wszystkie wspomniane obszary i we właściwym czasie rozpocznie wojnę, żeby swój cel osiągnąć.

* Dn. 15 kwietnia 1935 r. zebrała się w Genewie nadzwyczajna sesja Rady Ligi Narodów na skutek skargi Francji na złamanie przez Niemcy postanowień traktatu wersalskiego dotyczących służby wojskowej.

Wyszedłem od Neuratha, nie utrzymawszy od niego żadnych wiążących zapewnień; podobnie czułem się wychodząc od ambasadora brytyjskiego, który mnie nie przekonał, żeby Anglia robiła w polityce coś więcej niż dobre wrażenie. Może to i wszystko, na co obecny rząd w Londynie może sobie pozwolić. Lloyd George prowadzi inteligentną grę, a Partia Pracy jest jak zawsze nastawiona bardzo pacyfistycznie. Okrążenie Niemiec nie jest obecnie możliwe i w głównych zarysach powtarza się sytuacja z 1914 r. Czy będziemy mieli w Europie wojnę? Nie sędzę, żeby wcześniej niż za parę lat.

O 4.30 odwiedziłem francuskiego ambasadora François-Ponceta, żeby się dowiedzieć, jak on reaguje na bieżące wydarzenia. Nic mu nie mówiąc o depešy z Waszyngtonu w sprawie niebezpieczeństwa wojny, nalegałem, żeby mi powiedział, jak ocenia szansę wyznaczonej na 11 kwietnia konferencji w Stresie. Z jego odpowiedzi mogłem się od razu zorientować, jak dalece Francuzi są zirytowani zachowaniem się Anglii w ubiegłym miesiącu. Nie wyobraża sobie, powiedział, żeby Mussolini i francuski minister spraw zagranicznych Laval mogli uczynić coś więcej, niż zgodzić się co do tego, że okrążenie Niemiec jest jedynym środkiem gwarantującym utrzymanie pokoju, i to swoje uzgodnione stanowisko przedstawić sir Johnowi Simonowi. Spotkają się wówczas ze sprzeciwem Anglików, rozmowy zostaną znowu odroczone i Niemcy będą mogli spokojnie zbroić się dalej.

Uważa, że Hitler nie rozpocznie teraz wojny, ale tylko dlatego, że nie jest do niej jeszcze przygotowany. „Nie będziemy mieli wojny w przyszłym roku, ani w następnym, chyba że dojdzie do konfliktu z powodu Austrii, Gdańska lub Czechosłowacji. Wtedy Hitlerowi uda się nakłonić cały naród niemiecki do ponownego wystąpienia. Jeżeli Anglia się z nami zaraz nie sprzymierzy, wojny nie unikniemy.”

Dowiedziałem się o pewnej poufnej rozmowie przeprowadzonej pod koniec marca z Beneszem, w toku której premier czeski powiedział, że kraj jego będzie walczył w obronie swej niepodległości, jeżeli sojusznicy przyjdą mu z pomocą; w przeciwnym wypadku nie pozostanie mu nic innego, jak skapitulować i zgodzić się na niemieckie warunki przyjaźni. Czyżby Benesz wątpił w to, że Francuzi i Anglicy dotrzymają swoich przyrzeczeń?

Byłem dziś wieczorem na obiedzie u argentyńskiego posła La Bougie. Dowiedziałem się od siedzącej koło mnie z lewej strony Madame La Bougie, że wczoraj wieczorem Göring wydał na cześć jej i męża wielkie przyjęcie, co mogłoby świadczyć, że narodowi socjaliści nadal łądzą się, iż w razie wojny uda im się przeciągnąć na swoją stronę państwa Południowej Ameryki. Dała mi w zaufaniu do zrozumienia, że jest bardzo krytycznie nastawiona do obecnego reżymu w Niemczech.

Po mojej prawej stronie siedziała żona posła szwajcarskiego; w ubiegły poniedziałek mąż jej [Paul Dinichert] złożył oficjalny protest przeciwko porwaniu przez nazistów pewnego Żyda nazwiskiem Jacob, który przez ostatnie dwa lata drukował w prasie szwajcarskiej i francuskiej doskonale artykuły o treści antyhitlerowskiej. Do roku 1933 Jacob był obywatelem niemieckim. Obecnie przebywa w więzieniu i ma być sądzony za działalność szkodliwą dla interesów państwa. Von Bülow oświadczył posłowi szwajcarskiemu, że Niemcy nie zwolnią Jacoba, ani też nie przedstawią dowodów, które by świadczyły, że Jacob nie został porwany, o co oskarżają ich Szwajcarzy. Niemiecko-szwajcarska umowa z 1921 r. ma być w tym przypadku zignorowana.

W pewnej chwili, gdy żona posła szwajcarskiego zaczęła przeskakiwać z tematu na temat, powiedziałem: „Czytam właśnie o tym, co wielki historyk brytyjski Lecky pisze o waszym słynnym Zwinglim i jego umiłowaniu idei

wolności osobistej na dwieście lat przedtem, zanim pozostała Europa uznała wielkość jego filozofii głoszącej wolność myśli i słowa". Udawała, że nic o Zwinglim nie wie, a może naprawdę nie wiedziała, bo mało kto z dyplomatów zna w ogóle historię, każdy zna Się tylko na formach towarzyskich.

5 kwietnia 1935. Piątek.

Przekazałem telegraficznie ministrowi Hullowi informacje w sprawie możliwości wybuchu wojny. Ustrój hitlerowski jest z natury agresywny. Odpowiedzialne, czy raczej nieodpowiedzialne trio — Hitler, Göring i Goebbels — może łatwo uczynić jakiś szaleńczy krok; doświadczenia historii są im zupełnie obce. Wszyscy trzej mają mentalność morderców. Trudności gospodarcze mogłyby przyspieszyć wybuch wojny, gdyby wojna była jedynym sposobem ich rozwiązania, ale władza Schachta jest nieograniczona i naród niemiecki, który respektuje władzę we wszelkiej postaci, z pewnością podporządkuje się dalszym przejściowym ograniczeniom. Z tego względu nie przypuszczam, żeby katastrofa groziła nam w najbliższej przyszłości.

Niemiecki minister spraw zagranicznych mówi: „Wojny nie będzie”, zaniepokojony jest jednak polityką Mussoliniego. Ambasador brytyjski mówi: „Wcześniej niż za rok lub dwa lata wojny nie będzie, ale Niemcy są na wojnę zdecydowane”. Wreszcie ambasador francuski: „Na razie wojny nie będzie; chyba że jakiś konflikt w Gdańsku lub Austrii da okazję rządowi do rozbudzenia w narodzie potrzebnego entuzjazmu”. Te informacje nie były pocieszające, ale były chyba zgodne z prawdą. Gdyby mój telegram został rozszyfrowany, jak to się stało z raportem Millera w październiku ubiegłego roku, władze niemieckie mogłyby się bardzo na mnie pogniewać.

9 kwietnia 1935. Wtorek.

Nie mogliśmy przybyć na czas do Opery, gdzie odbywała się pierwsza część ceremonii ślubnych Göringa, gdyż musieliśmy być przedtem na obiedzie u Solmssenów, którzy nas zaprosili już kilka tygodni temu. W czasie tego obiadu kpiono z nazistowskich przywódców, Göringa, Goebbelsa i Hessa, którzy w ubiegłą niedzielę próbowali zmusić terrorem ludność Gdańska do głosowania na partię narodowosocjalistyczną. Wielu ludzi padło tam ofiarą chulikańskich napaści za to, że nie udekorowali swych domów flagami ze swastyką. Za niewywieszenie flag wybito szyby w oknach kilku zagranicznych konsulatów. Przywódcy nazistowscy byli pewni, że zdobędą 75 procent głosów i, mając większość dwóch trzecich w Senacie gdańskim, zażądają od Ligi Narodów, aby zezwoliła na powrót Gdańska do Niemiec. Wszystkie informacje wskazują na to, że 90 procent Gdańszczan głosowałoby za powrotem do Rzeszy, gdyby w Niemczech u władzy nie byli narodowi socjaliści. Ostatecznie zdobyli mniej głosów niż w 1933 r.

Ostro krytykowano nierozsądną próbę zastraszenia ludności Gdańska przez wysłanie tam Göringa, Goebbelsa i Hessa. Dość swobodnie żartowano sobie również z ceremonii ślubnych Göringa, który miał odprawiać je dziś wieczorem w operze, a jutro w katedrze.

Gdy towarzystwo wstało od stołu, musieliśmy zaraz przeprosić naszych

gospodarzy i o 9.15 zjawiliśmy się na przyjęciu wydanym przez Göringa w gmachu Opery. Było nam żal wychodzić od Solmssenów, ale francuski ambasador pod nieobecność Nuncjusza był zmuszony, jak się wyraził, udać się na ten ślub i zalecić obecność na nim pozostałym członkom korpusu dyplomatycznego. Z tego względu przyjęliśmy przesłane nam bilety wstępu.

Przyjechaliśmy w samą porę, żeby przyłączyć się do gości, którzy rzucili się hurmem, aby uścisnąć dłoń nowożeńcom, stojącym w środku wielkiej sali na pierwszym piętrze Opery. Ta ceremonia trwała godzinę. Później wszyscy powrócili na swoje miejsca, żeby wysłuchać dokończenia opery. Dyrygował austriacki nazista [Clemens] Krauss, sprowadzony do Berlina na miejsce zdymisjonowanego w grudniu Furtwänglera. Krauss był najwyraźniej niezwykle uradowany, że ma okazję wystawić operę na cześć Göringa. Nie jestem znawcą muzyki, więc trudno mi powiedzieć, czy wykonanie było dobre, czy złe. Mnie się nie podobało.

12 kwietnia 1935. Piątek.

Dowiedziałem się dziś wieczorem od radcy ambasady francuskiej, że radca Newton z ambasady brytyjskiej udał się do niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, aby się dowiedzieć, czy Niemcy ustosunkują się pozytywnie do podpisanego przed paroma dniami traktatu francusko-rosyjskiego, gdyż jest to pakt wyłącznie obronny. Być może Niemcy zechciałyby również poprzeć stanowisko Anglii na konferencji w Stresie, gdzie Anglicy, Francuzi i Włosi dyskutują problem zbrojeń i dodatkowych paktów pokojowych. Ku zdumieniu Newtona, Neurath odpowiedział, że Niemcy ustosunkują się pozytywnie do każdego pokojowego paktu, a w każdym razie nie będą się tego rodzaju paktom sprzeciwiać. Wiadomość o tym przekazana została telegraficznie do Stresy. Podczas gdy zaskoczenie Francuzów było niemałe, mnie ta wiadomość nie zdziwiła. Przecież wielokrotnie już słyszałem od urzędników niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że Niemcy powrócą do Ligi Narodów, gdy tylko inne państwa zgodzą się przyznać im równe prawa w tej organizacji.

Byliśmy na obiedzie u posła greckiego, który jeszcze parę tygodni temu był w wielkiej rozterce z powodu buntu Venizelosa*; tak dalece był nim zaalarmowany, że odwołał obiad, który miał się odbyć w połowie marca. Teraz przyszło dwudziestu jeden gości, w tym ambasadorzy rosyjski i japoński. Uwagę moją zwróciły ciężkie srebrne talerze, na których jedliśmy podawane nam potrawy. „Angielskie srebro” — powiedziała pani domu, gdy pochwaliłem ich piękno. Po drugim daniu te same srebrne talerze ponownie pojawiły się na stole. To jeden z powszechnie stosowanych w świecie dyplomatycznym sposobów imponowania zaproszonym gościom. Do czego to prowadzi, można się dowiedzieć tylko chodząc na dyplomatyczne obiady. Zmarnowany wieczór. Do domu wróciliśmy o 11.15.

* Dn. 2 marca 1935 r. zbuntowali się w Salaminie funkcjonariusze arsenału, co było hasłem do rewolty zorganizowanej przez oficerów. Następnego dnia b. premier Venizelos, przebywający na Krecie, opowiedział się za rebeliantami. Powstańcy zdołali opanować całą niemal flotę i utworzyli ośrodki ruchu w Tracji i Macedonii. Wojska rządowe rozbiły powstańców 12 marca. Venizelos wraz z przywódcami rewolty schronił się do Włoch.

13 kwietnia 1935. Sobota.

Był u nas dzisiaj William Bullitt, ambasador amerykański w Moskwie. Ogółem było dwanaście osób, wśród nich ambasadorowie rosyjski i polski oraz posłowie jugosłowiański [Aleksander Cincar-Marković] i wenezuelski. Obecni byli również dr Dieckhoff i dr Hoetzsch. Bullitt zawsze robi na mnie wrażenie człowieka wielce zarozumiałego i znacznie młodszego, niż można by się spodziewać po kimś w jego wieku. Poinformował mnie o rozmowie z francuskim ministrem spraw zagranicznych Lavalem na temat sojuszu obronnego między Francją a Rosją, który ma być podpisany 23 kwietnia.

Z poufnego wiarygodnego źródła dowiedziałem się dzisiaj o niezwyklej historii, chyba bardzo charakterystycznej dla nazistowskich Niemiec. Ujawnia ona po prostu rzeczy, które muszą dziać się w społeczeństwie akceptującym ustrój autokratyczny, zwłaszcza gdy na czele tego ustroju stoją tego rodzaju ludzie, jak trzej obecni władcy Niemiec.

Informacja pochodząca z kół zbliżonych do SS mówi, że najbliższa rodzina gen. Schleichera za namową szefa armii gen. Fritscha* wystąpiła do rządu niemieckiego o odszkodowanie za zastrzelenie jej znakomitego krewnego w czerwcu ubiegłego roku. Trzeba tu przypomnieć, że Ministerstwo Reichswehry otrzymało od SS akta i protokoły dotyczące tego zabójstwa, aby się z nimi zapoznać, ale następnie odmówiło ich zwrotu. Przedwczoraj czterech funkcjonariuszy SS zjawiono się w Ministerstwie Reichswehry u majora, który przechowywał wspomniane dokumenty. Grożąc rewolwerem zażądali ich zwrotu. Major udając zgodę nachylił się, jakby chciał wyjąć te dokumenty z szuflady swego biurka, w istocie nacisnął ukryty w niej dzwonek alarmowy, dla zyskania zaś na czasie dał im jakieś inne papiery. Po chwili na dzwonek zjawiała się ochrona gmachu i aresztowała wszystkich czterech SS-mannów. Zaprowadzono ich do piwnicy i tam zastrzelono. Popioły odesłano w pudełku Himmlerowi.

16 kwietnia 1935. Wtorek.

Z uwagi na napiętą sytuację w całej Europie, pojechałem dzisiaj o 12-ej na rozmowę z Bülowem. Robił na mnie zawsze wrażenie człowieka szerszego i liberalniejszego od Neuratha, ale jak jest naprawdę, to trudno powiedzieć. Rozmawialiśmy przez pół godziny, niewiele się jednak od niego dowiedziałem. Oświadczył, że Hitler nigdy nie przystąpi do żadnego wschodniego Locarno, które by gwarantowało obecne granice, nie cytował jednak przy tym dosłownie wypowiedzi samego Hitlera. Jego zdaniem Hitler na pewno chce pokoju, ale Rosja Radziecka ma z Czechosłowacją umowę, na mocy której ogromne ilości radzieckich samolotów mogą każdej chwili wylądować na jej lotniskach. „Chodzi tu po prostu o zacieśnienie sojuszu z Francją i agresję przeciwko Niemcom.”

„Mamy informacje — powiedziałem — że punkt widzenia Czechosłowacji zbliża się do kompromisowego stanowiska Anglii i że nie jest ona już tak ściśle związana z Francją jak dotychczas.” „Nie — odpowiedział Bülow —

* Generał Werner von Fritsch był w latach 1934—1938 naczelnym dowódcą wojsk lądowych.

premier Benesz jak zwykle zwodzi waszego posła w Pradze. Czesi są murowanym sojusznikiem Francji, a nowy układ francusko-rosyjski jeszcze bardziej ten sojusz umacnia."

Zapytałem Bülowa, czy Niemcy wyślą swoją delegację na zwołaną przez Mussoliniego na 20 maja konferencję w Rzymie. „Tak jest — odpowiedział — ale nie zostaliśmy jeszcze zaproszeni.” „Czy zgodzicie się na to, żeby Austria zachowała niepodległość?” „O tak, na Anschluss nie możemy sobie pozwolić, chociaż wiemy, że większość Austriaków pragnie połączyć się z Niemcami. Ale Włochy opłacają pensje austriackich generałów i innych funkcjonariuszy państwowych. W ten sposób utrzymuje się rząd austriacki.” Dodał, że nie spodziewa się, aby konferencja rzymska dała jakieś wyniki, gdyż Bułgaria nie będzie chciała współpracować z Węgrami i Rumunią, a z Włochami i Francją nie będzie można dojść do zgody w sprawie Austrii. To wydało mi się niekonsekwentne, bo przecież powiedział, że Hitler nie pragnie Anschlussu. Jeżeli tak jest, to dlaczego nie można dojść do zgody w sprawie niepodległości Austrii?

Bülow zapytał mnie, jakie jest stanowisko Amerykanów. „Prawie wszyscy — odpowiedziałem — uważają, że Niemcy wzięły kurs na wojnę; wpływa to bardzo poważnie na naszą politykę.” Bülow ponownie zapewnił mnie o pokojowych intencjach Niemiec, wspominając o następującej historii. Pewien niemiecki funkcjonariusz państwowy powiedział mu po powrocie z Ameryki, że gdy był w Waszyngtonie, wszystkie gazety pisały, iż Hitler domaga się Austrii, polskiego Korytarza i zamieszkanym przez Niemców okręgów Czechosłowacji. Kiedy dziennikarze zgłosili się przed wydrukowaniem tych informacji do ambasadora Luthera, żeby się dowiedzieć, czy są one prawdziwe, Luther nie chciał ich zdementować, co przekonało Amerykanów, iż takie są naprawdę żądania Hitlera. W tym miejscu Bülow dodał: „Luther depešował do nas w tej sprawie i my odpowiedzieliśmy natychmiast dementując te informacje, było jednak już za późno, żeby powstrzymać ich publikację”.

Pomyślałem (ale tego Bülowowi nie powiedziałem), że widocznie ambasador obawiał się, iż Hitler faktycznie domaga się wymienionych obszarów i dlatego nie uważał za możliwe informacji tych zdementować. Moim zdaniem Hitler zagarnie te obszary przy pierwszej nadarzającej się okazji, chce jednak, by jakieś inne państwo pierwsze dokonało agresywnego kroku. Wówczas będzie utrzymywał, że odpiera agresję i zażąda przyznania mu spornych obszarów. Bülow oświadczył, że dziś konferencja genewska nie doprowadziłaby do niczego. Francja udaremniłaby każdą niemiecką inicjatywę.

Był dzisiaj u mnie na lunchu polski ambasador Lipski. Rozmawialiśmy potem przez godzinę, ale dowiedziałem się tylko tyle, że pomimo paktu ze stycznia 1934 r. Polska w dalszym ciągu niepokoi się o swoje losy i dla uniknięcia najazdu musi się starać o dobre stosunki zarówno z Niemcami, jak Rosją.

19 kwietnia 1935. Piątek.

Już rozmowy z 16 kwietnia miały poważny charakter, ale wydarzenia z 17-go okazały się jeszcze poważniejsze. Zaniepokojenie wzbudziła już wspólna deklaracja Anglii, Francji i Włoch ogłoszona w Stresie 12 kwietnia, ale zwołanie na 25 maja do Rzymu konferencji Małej Ententy dla rozstrzygnięcia losów Austrii okazało się sprawą dużo poważniejszą, niż to sobie wyobrażał

Bülow. Mówił mi, że zdaniem Papena, który był tu 15 kwietnia, praktycznie wszyscy Austriacy pragną przyłączenia ich kraju do Niemiec. Zadałem mu w związku z tym tylko dwa pytania: Czy Niemcy wezmą udział w konferencji rzymskiej? Czy Niemcy wyrzekłyby się tak drogiej Hitlerowi myśli o Anschlussie? Bülow odpowiedział: „Anschluss byłby straszną rzeczą dla Niemiec”. Przymiarkuję, że miał na myśli chwilę obecną. Nie znam Niemca, który by nie pragnął przyłączenia Austrii do Niemiec.

Nie wiem, co powiedział sir Eryk Phipps 16-go po mojej rozmowie z Bülowem. Ale dowiedziałem się wczoraj, że w środę 17-go, przebywający w Górnej Bawarii w Berchtesgaden Hitler kazał Bülowowi zaprosić sir Eryka do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i udzielić mu w imieniu Hitlera nagany, którą sir Eryk miał przekazać telegraficznie do Londynu. W rozmowie z sir Erykiem Bülow zachował się podobno w sposób wysoce nieopanowany i obraźliwy. Dzisiejsze gazety berlińskie piszą, że upomnienie otrzymał również ambasador włoski. Tak czy owak dzisiejsza poranna prasa paryska i londyńska przejawiają podobno ogromne zdenerwowanie; niektóre gazety angielskie napisały, że 10 000 samolotów to jedyna gwarancja zabezpieczająca Wielką Brytanię przed hitlerowskimi Niemcami.

Przyczyną udzielenia przez Bülowa wspomnianych nagan było podjęcie przez Ligę wieczorem 17-go i rano 18-go jednomyślnych uchwał, które stwierdzają, że dekret z 16 marca o remilitaryzacji Niemiec stanowi pogwałcenie traktatu wersalskiego, do czego nie wolno już nigdy więcej dopuścić. Ostrzeżenie brzmiało: Jeżeli Niemcy wprowadzą swe wojska do zneutralizowanej strefy Nadrenii, będzie to uznane za początek wojny.

Sytuacja w Europie jest niewątpliwie krytyczna, ale ogłoszone wczoraj w Genewie szczegóły układu francusko-rosyjskiego dowodzą, że Niemcy zostały okrążone. Fakt ten Hitler mógł łatwo przewidzieć w październiku 1933 r., gdy niespodziewanie wystąpił z Ligi Narodów i zarządził swój pierwszy plebiscyt. Anglia, Francja, Włochy i Rosja zdecydowane są walczyć, jeżeli Niemcy uczynią gdziekolwiek jakiś nieprzyjazny krok. Byłyby twardym do zgryzienia przeciwnikiem nawet dla najlepiej uzbrojonej Trzeciej Rzeszy.

Ponadto całkowicie po stronie Anglii i Francji są Belgia, Holandia, Norwegia, Szwecja i lękliwa Dania. Może, z wyjątkiem Belgii, bić się w razie wojny nie będą. Ale w odróżnieniu od wojny z 1914—1918 r. udziela Anglii wszelkiej pomocy o charakterze cywilnym. Konferencja rzymska powinna moim zdaniem uznać Austrię ostatecznie i bezwarunkowo za państwo niepodległe; Rumunia, Jugosławia, Czechosłowacja i Austria powinny utworzyć coś w rodzaju konfederacji popieranej przez Węgry i Bułgarię. Niemcy byłyby całkowicie bezradne, a gdyby chciały się dalej zbroić, można by zaaplikować im bojkot gospodarczy.

Wydaje mi się, że nie zdarzyło się jeszcze nigdy w historii, aby na czele jakiegoś wielkiego narodu stali ludzie tak niepoważni, jak obecni przywódcy Niemiec. Hitler nie zna zupełnie historii, jeszcze mniej odczytany jest Göring, a Goebbels nie ma absolutnie o niczym pojęcia, pomijając propagandę, której sukcesy są chyba raczej pozorne. Ci trzej zapatrzeni w siebie osobnicy zebrali się prawdopodobnie dzisiaj w Berchtesgaden i próbują ustalić dalszą linię polityczną Niemiec, zakładając, że popiera ich 90 procent niemieckiego społeczeństwa. Niełatwo zgadnąć, co uczynią, ale mądrych rzeczy po tych trzech panach trudno się doprawdy spodziewać.

20 kwietnia 1935. Sobota.

Zgodnie z przyjętym tu zwyczajem dyplomatycznym udałem się dziś rano do pałacu, w którym urzędowali kiedyś Bismarck i Hindenburg, żeby się wpisać do księgi życzeń dla Hitlera, obecnego prezydenta i führera okłamanych i bezradnych Niemiec. Wjechawszy z Unter den Linden na Wilhelmstrasse zobaczyłem, jak dziesiątki tysięcy Niemców — mężczyzn, kobiet i dzieci — stały za sznurami po obu stronach ulicy przez całą długość dwóch bloków i czekały, żeby chociaż w przelocie zobaczyć Hitlera, wychodzącego z pałacu, w którym od rana prowadził rozmowy, jak przypuszczam, z oficerami Reichswehry, a może z Neurathem.

Wchodząc do hallu natknąłem się na nowego południowoafrykańskiego posła Gie, który był w przepisowym stroju i cylindrze z rękawiczkami i laską w ręku. W czasie przywitania był trochę zażenowany, widząc, że nie mam rękawiczek ani cylindra. Poseł nieszczęśliwej i ubogiej Rumunii nie był tak przepisowo ubrany jak pan Gie. Złożenie podpisu w księdze życzeń trwało pół minuty, po czym znowu przejechałem przed frontem żołnierzy.

O 12-ej dr Goebbels wygłosił przemówienie przez radio napisane najpiękniejszym niemieckim językiem, z jakim w ogóle ostatnio się spotykałem. Mówił do wszystkich Niemców, również do tych, w Ameryce Północnej i Łacińskiej, którzy mieliby ochotę go posłuchać. Ciekawy jestem, ilu z nich wyłączyło swoje aparaty. Byłem w tym czasie zajęty podpisywaniem poczty wysyłanej do Waszyngtonu i z tego powodu nie mogłem wysłuchać mowy tego przebiegłego demagoga, odgrywającego w Niemczech tak poważną rolę, że Hitler nigdy nie odważyłby się zdjąć go ze stanowiska, mimo że wszyscy rozsądniejsi Niemcy go nie znoszą. To jednak, co Goebbels powiedział o Hitlerze, odpowiada niemal dokładnie temu, co myśli o nim 80 procent Niemców. W pewnym momencie Goebbels oświadczył, że stałoby się straszne nieszczęście, gdyby którykolwiek z trzech „nieśmiertelnych” — Hitler, Göring lub Goebbels — został zabity. Dziwi mnie trochę, że Goebbels coś takiego powiedział, gdy w Niemczech tysiące ludzi gotowych jest w każdej chwili zabić Hitlera i zapłacić za to nawet własnym życiem. Tego przynajmniej można się domyślać z licznych niemieckich wypowiedzi.

O 5-ej wysłaliśmy do Waszyngtonu telegram, podając w nim zasadniczą treść wyzywającej odpowiedzi udzielonej przez Hitlera tym członkom Ligi Narodów, którzy głosowali za rezolucjami potępiającymi niemiecką deklarację z 16 marca. Po przekazaniu tej odpowiedzi Ministerstwu Propagandy Kanclerz-Prezydent wsiadł do swego samolotu i powrócił do Berchtesgaden. Spędza tam więcej czasu niż w urzędzie kanclerskim w Berlinie, z którym niegdyś Bismarck prawie się nie rozstawał. W tym urzędzie Hitler zwołuje czasem posiedzenia gabinetu i wydaje dekrety rzadko kiedy aprobowane w duchu przez ministrów. To wszystko, co robi Hitler w swym wysokim urzędzie.

21 kwietnia 1935. Niedziela.

Wielkanoc. Dziwne, że urodziny Hitlera musiały wypaść akurat na drugi dzień po Wielkim Piątku. Ponieważ Göring z okazji swego ślubu w ubiegłym tygodniu był fetowany jak bohater narodowy i otrzymał niecodzienne podarunki, trzeba było teraz ofiarować Hitlerowi równie sensacyjne „Heil”. Dowiedzieliśmy się więc dzisiaj, że ma otrzymać od niemieckiego narodu poda-

runek w postaci dwudziestu siedmiu samolotów wojskowych. Piękna Wielkanoc!

Świąteczny okres, te cztery kolejne dni po naganie udzielonej Niemcom przez Ligę Narodów za rzucone jej wyzwanie w sprawie remilitaryzacji, to jednak okres interesujący. Piątek — dzień ukrzyżowania, sobota — urodziny Hitlera, niedziela — dzień zmartwychwstania, i poniedziałek — zwyczajowe święto. Cały berliński świat urzędowy wyjechał z miasta — przeważnie na południe kraju. Zażywam spokoju w domu i próbuję trochę pracować nad moim poważnie opóźnionym *Dawnym Południem*.

25 kwietnia 1935. Czwartek.

Wydaliśmy dziś wieczorem pierwszy oficjalny obiad od czasu naszego powrotu z Waszyngtonu dwa miesiące temu, chociaż podejmowaliśmy już wielokrotnie w południe i wieczorem gości w granicach 10—12 osób. Ale dziś było ich dwadzieścia. Najbardziej interesującą postacią był poseł jugosłowiański. Ma około 70 lat. Dowcipnie i śmiało ironizował na temat działalności Rosenberga. Ambasador japoński raz jeszcze opowiedział nam o swych zażyłych stosunkach z Göringiem i Goebbelsem, z którymi ogromna większość zagranicznych dyplomatów boi się w ogóle spotykać. Jeżeli chodzi o mnie, to byłem kiedyś u Göringa w jego pałacu, jeszcze wspanialszym niż pałac Hitlera, i raz na obiedzie u Goebbelsa, który mieszka raczej skromnie. Żaden z nich nie był jednak nigdy w naszym domu pomimo otrzymanego od nas zaproszenia na krótko przed 30 czerwca 1934 r.

26 kwietnia 1935. Piątek.

Na powitanie Marty, która dzisiaj wróciła, odbyło się w naszym domu przyjęcie, na które przybyło około dwudziestu młodych gości. Niektórzy byli dość interesujący. Poważnie zatroskany, choć doskonale się maskował, był książę Ludwik Ferdynand. Ten wnuk przebywającego na wygnaniu Kaisera byłby spadkobiercą tronu cesarskiego, gdyby ten tron został kiedyś reaktywowany. Książę ma około 27 lat, jest wysoki, przystojny i bardzo inteligentny. Bardzo lubi rozmawiać o Henry Fordzie, „wielkim administratorze”, jak się o nim wyraził, a także o samolotach, które pilotuje przygotowując się do zniechęconej przez siebie wojny. O tragedii Hohenzollernów wspomina rzadko i to tylko w rozmowie z moją córką. Żywi pewną, choć słabą nadzieję, że zostanie kiedyś cesarzem. Gdyby miał pewność, że to nigdy nie nastąpi, wyjechałby na stałe do Stanów Zjednoczonych. Powiedziałem mu, że powinien studiować przeszłość Niemiec i napisać zgodną z faktami historię swojej rodziny. Wprawdzie w 1914 r. był jeszcze za młody, żeby się dobrze we wszystkim orientować, ale to, czego był świadkiem potem, powinno być raz na zawsze utrwalone w jego pamięci istotne elementy przeżytej tragedii.

27 kwietnia 1935. Sobota.

Byliśmy dziś na lunchu u sir Eryka i lady Phipps. Obecnych było czterdzieści osób. Wśród nich zastępca Göringa, generał wojsk lotniczych Milch

i jego małżonka, która siedziała przy stole obok mnie z prawej strony. Niegodnego uwagi nie słyszałem z wyjątkiem tego, co sir Eryk powiedział mojej żonie: Niemcy budują dwanaście okrętów podwodnych i kilka dużych okrętów wojennych łamiąc w ten sposób postanowienia traktatu wersalskiego. Sir Eryk widział się wczoraj z Bülowem, ale do zgody w sprawie wszczęcia rokowań nie doszło. Na co Niemcom, nie mającym długiego wybrzeża morskiego, taka wielka flota wojenna? Tylko po to, żeby uderzyć na Anglię.

29 kwietnia 1935. Poniedziałek.

Zaszedł do mnie dziś o 11-ej rano von Wiegand. Jego informacje stanowią potwierdzenie naszych raportów w sprawie budowy samolotów wojskowych i okrętów wojennych w Niemczech. Powiedział mi, że wie od generała Reichenau, iż Reichswehra jest poważnie zaniepokojona wyzywającym zachowaniem się Hitlera w stosunku do wszystkich sąsiadów Niemiec. Wobec złagodzenia stosunków francusko-rosyjskich Reichswehra domaga się zawarcia porozumienia ze Związkiem Radzieckim. To jedyna okazja, żeby rozerwać pierścień okrążenia montowany przez Francję, Anglię i Włochy. Hitler jest w wielkim kłopotcie, gdyż potwornie obawia się zbliżenia z Rosją; uważa ją za wroga, z którym absolutnie nie wolno pertraktować. Jednakże według słów Reichenaua miał odpowiedzieć jednemu z przedstawicieli Reichswehry: „No cóż, dla dobra Niemiec gotów jestem zawrzeć układ nawet z diabłem”.

1 maja 1935. Środa.

Doroczne święto pracy w Niemczech przybrało w ramach obecnego ustroju formę manifestacji narodowosocjalistycznej. Przypomina to nasze obchody 4 lipca, z tą jednak różnicą, iż niemieccy robotnicy muszą brać udział w zebraniach na cześć Hitlera, bez względu na to, czy mają na to ochotę, czy nie. Mieliśmy pojechać na lotnisko Tempelhof, żeby być świadkiem odbywającej się tam manifestacji, ale padał śnieg na zmianę z deszczem i poprosiłem telefonicznie Ministerstwo Spraw Zagranicznych o uznanie naszej nieobecności za usprawiedliwioną. Prośba została z punktu uwzględniona. Relacje z tej manifestacji oceniają ją na 1 700 000 zgromadzonych ludzi. Mam wątpliwości, czy cyfra ta jest ścisła, ale musiało to wyglądać imponująco. Mowa Hitlera była dość pesymistyczna. Ostrzegł Niemców, że czeka ich trudny okres, więc powinni wszyscy trzymać się razem. Oświadczył, że wolałby być w Niemczech bezdomnym chłopem niż obywatelem jakiegokolwiek innego kraju. Hitler jest Austriakiem, uchodzi za milionera.

Wielkie święto upłynęło w spokoju; poza mowami wygłoszonymi przez Hitlera i Goebbelsa nie było żadnych innych ewenementów. Goebbels przyrównał swego szefa do Joanny d'Arc, twierdząc, że jest on tą jedyną osobą w Niemczech, która rozmawia bezpośrednio z Wszechmogącym Bogiem o sprawach swego kraju.

2 maja 1935. Czwartek.

Był dziś u mnie pan Dunn, kierownik wydziału zachodnioeuropejskiego w Departamencie Stanu. Ubawił mnie trochę swoimi uwagami na temat bieżących wydarzeń politycznych. Podróżuje po Europie i stara się, jak może, nawiązać kontakty, nie znając żadnego obcego języka.

6 maja 1935. Poniedziałek.

Oechsner z United Press zakomunikował mi wiadomość z poufnego i absolutnie pewnego źródła, że w Wilhelmshaven trwają szeroko zakrojone prace przy budowie okrętów podwodnych i innych jednostek floty wojennej. Są wśród nich lekkie okręty zabierające ze sobą parę bomb i rozwijające szybkość 60 węzłów na godzinę. Ten wzrost niemieckiej aktywności w zakresie zbrojeń morskich spowodował, że przyjazne wobec Niemiec stanowisko Anglii z ostatnich trzech miesięcy przekształciło się w stan poważnego zaniepokojenia. Ujawniły mi to debaty w Izbie Gmin oraz wypowiedzi sir Eryka Phippsa. W ubiegłą niedzielę, 5 maja, spotkałem się z nim na spacerze w Tiergartenie. Powiedział, że ogarnia go niepokój, gdyż Niemcy nie mając długiej granicy morskiej o strategicznym znaczeniu ani też żadnych kolonii, łamią traktat wersalski (oczywiście w wielu punktach niesprawiedliwy jak w ogóle wszystkie traktaty pokojowe) również w zakresie zbrojeń morskich, chociaż wiedzą, że mogą przez to narazić się Anglii. Wydaje mi się, że takie postępowanie jest w najwyższym stopniu nierozsądne w chwili, gdy Włochy, Francja, Anglia i Rosja prowadzą rozmowy w sprawie utworzenia sojuszu mającego na celu okrażenie Niemiec. Anglia wahała się dotychczas, czy dopuścić do udziału w nim Rosję, ale to, co robią w tej chwili Niemcy, może popchnąć Anglię do współpracy z tym krajem.

Otrzymałem dziś w tej sprawie list od lorda Lothiana, który w czasie wojny światowej jako Philip Kerr był sekretarzem Lloyd George'a. Wyraża w nim pogląd, że szansę na wprowadzenie Niemiec do Ligi Narodów zostały zmarnowane zarówno przez Francję, która nie potrafiła spojrzeć rzeczywistości w oczy, jak i Anglię, która nie chciała zmienić kursu swej polityki. W rezultacie rola Ligi Narodów zredukuje się do funkcji organu antyhitlerowskiego, co da Niemcom dodatkowy powód do prowadzenia na własną rękę polityki siły. Lord Lothian niedwuznacznie wypowiada się za utworzeniem sojuszu państw demokratycznych, który by je uchronił przed niemiecką napaścią i skierował niemieckie aspiracje w kierunku wschodnim. To, że taka polityka może doprowadzić do wojny między Rosją a Niemcami, specjalnie mu chyba nie przeszkadza. Wydaje się nawet, że w jego pojęciu taka wojna byłaby dobrym sposobem rozwiązania trudności wynikających dla Niemiec z narzuconego im traktatu wersalskiego. Uważa, że państwa demokratyczne zabiegać powinny o przyznanie Japonii i Niemcom większego głosu w sprawach międzynarodowych, do czego oba te państwa mają pełne prawo z uwagi na swoją siłę i przeszłość. Lord Lothian sądzi, że zrealizowanie tej myśli nie będzie wymagało żadnych ofiar ze strony Imperium Brytyjskiego i tylko w minimalnym stopniu może w niektórych krajach ograniczyć wolność człowieka.

7 maja 1935. Wtorek.

Przyszedł rabin Lazaron, który właśnie powrócił z podróży do Genewy i Rzymu. Jeden z członków papieskiego gabinetu powiedział mi, że niemieccy katolicy nie są w stanie współpracować z niemieckimi protestantami, mimo że jedni i drudzy znajdują się w tej samej sytuacji. Żywiona przez katolików od 400 lat nienawiść do Marcina Lutera i jego dzieła w dalszym ciągu nastawia ich wrogo do protestantów. Ale Lazarona dużo więcej martwi straszna sytuacja niemieckich Żydów. Max Warburg z Hamburga, z którym rozmawiał, jest również bardzo zaniepokojony. Ani jeden, ani drugi nie wie, co można by w tej sprawie jeszcze zrobić.

10 maja 1935. Piątek.

Nowy poseł bułgarski złożył mi protokolarną wizytę o przepisowej porze. Byłem zaskoczony jego liberalizmem i znajomością stosunków europejskich. Wyjaśnienia udzielone mi w sprawie sytuacji w Bułgarii wskazywały na dalekowzroczność posła i wyczucie sytuacji międzynarodowej w stopniu przewyższającym możliwości znanych mi ambasadorów amerykańskich: Bullitta w Rosji, Cudahy'ego w Polsce i Longa we Włoszech. Bingham w Londynie i Strausa w Paryżu znam za mało, żeby ich tu porównywać. Ale jestem przekonany, że akredytowani w Berlinie posłowie Bułgarii, Rumunii, Czechosłowacji i Jugosławii przewyższają swymi kwalifikacjami wymienionych poprzednio ambasadorów amerykańskich.

Wszyscy ci posłowie małych, zacofanych krajów znają trzy języki obce i w szerokim zakresie historię Europy. Amerykańscy ambasadorowie i posłowie, a nawet ich personel dyplomatyczny, nie zdają sobie niemal zupełnie sprawy z potrzeby posiadania znajomości dwóch czy trzech języków obcych i nie czynią najmniejszego wysiłku, żeby orientować się w historii narodu i państwa, w którym zostali akredytowani. Mnie wstyd, że nie znam francuskiego, chociaż mój niemiecki jest całkiem możliwy. A znajomość historii dodaje mi powagi w oczach funkcjonariuszy niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którzy znają wprawdzie wiele języków, ale za to słabo historię własnego kraju, a to wskutek tendencyjnego nauczania historii na niemieckich uniwersytetach od czasów Treitschkego.

15 maja 1935. Środa.

W związku z tym, że Niemcy zostały już niemal całkowicie okrążone za pomocą tak zwanych paktów, postanowiłem uzyskać jakieś informacje na temat sytuacji międzynarodowej z niemieckich kół urzędowych i w tym celu poprosiłem Neuratha o nieoficjalną rozmowę. Zaczęła się o 12-ej.

Neurath powiedział mi, że 21 maja Hitler będzie przemawiał na posiedzeniu Reichstagu. Co faktycznie powie, trudno mu przewidzieć, chociaż przesłał Hitlerowi memorandum wskazujące, co powiedzieć powinien. Posiedzenie wyznaczono na 21-go z powodu śmierci Piłsudskiego, który ma być pochowany 18-go. O wschodnim Locarno Neurath mówił bez animozji, natomiast Hitler dostaje szału na samo wspomnienie o możliwości przystąpienia Niemiec do

tego paktu. Minister pragnie jednak odłożyć tę sprawę do chwili, gdy Anglia, Niemcy i Francja zgodzą się na układ lotniczy, który by ograniczył produkcję samolotów w każdym z tych krajów. Powstrzymałem się od zwrócenia mu uwagi, że Anglia i Francja nie zgodziłyby się prawdopodobnie na taki układ, dopóki Niemcy nie przystąpią do paktu wschodniego Locarno, albowiem Francja jest absolutnie przekonana, że Niemcy nie będą chciały dotrzymać swych przyrzeczeń w sprawie rozbrojenia. Ten punkt nie był przez nas roztrząsany, gdyż Niemcy — jestem tego pewien — noszą się z zamiarem dokonania aneksji terytorialnych na północy i wschodzie i w związku z tym nie zaprzestaną się zbroić w najbliższej przyszłości.

Zapytałem następnie Neuratha, co myśli o stanowisku Włoch i konferencji państw naddunajskich; projekt tej konferencji wysunięty 11 maja w Stresie* stał się następnie przedmiotem licznych dyskusji. Odpowiedział, że jest zaskoczony nierozsądnym postępowaniem Mussoliniego, który wysłał swoje wojska do Abisynii. Jeżeli dojdzie do wojny, będzie ona kosztowała Włochy dużo żołnierzy, przyniesie zwycięstwo dopiero po długiej walce i doprowadzi prawdopodobnie do krachu finansowego. Sytuację Włoch Neurath określił jako bardzo groźną: kraj uzbrojony po zęby, zadłużony po uszy i pozbawiony rynków zbytu. Położenie identyczne z tym, w jakim Niemcy znajdują się w 1937 r. „Mussolini — mówił — nie może zdemobilizować miliona swoich żołnierzy, gdyż demobilizacja wywołałaby w kraju masowe bezrobocie, nie może się dłużej zbroić bez narażenia się na bankructwo i nie może przegrać wojny, gdyż oznaczałoby to jego upadek.” Neurath mówił o tym w ten sposób, iż nie mogłem opędzić się myśli, że Niemcy znajdują się już teraz w podobnej sytuacji, chociaż ich zadłużenie nie jest jeszcze tak beznadziejne i wojna nie jest im jeszcze tak bardzo potrzebna.

Mimo że nie dowiedziałem się właściwie niczego ważnego, wyszedłem od Neuratha przekonany, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych robi co może, żeby pohamować zapędy Hitlera i zachęcić Anglię do zerwania z Francją i Włochami. Panuje tu duże zaniepokojenie, zwłaszcza od chwili gdy zmarł polski dyktator Piłsudski.

17 maja 1935. Piątek.

Odwiedził mnie Richard J. Davis z Chicago, wykładowca Towarzystwa Wiedzy Chrześcijańskiej, który przez miesiąc jeździł z odczytami po Niemczech. Opowiadał mi o niezwyklej zachowaniu się swych słuchaczy we wszystkich częściach tego kraju. Jego zdaniem, wbrew ideologii Rosenberga, wzrasta religijność. Nie uważam, żeby jego ocena była słuszna, ale fakt, że sale, w których wykladał, były zawsze przepelnione, jest zadziwiający. Zdaniem Davisa ludność jest bardzo zaniepokojona. Może tak jest, przynajmniej jeżeli chodzi o ludzi wierzących.

18 maja 1935. Sobota.

Byłem dziś w katolickiej katedrze w pobliżu starego zamku cesarskiego na nabożeństwie dla uczczenia pamięci Piłsudskiego, którego pogrzeb odbywał się w tym samym czasie w Krakowie. Kościół był przepelniony. Hitler za-

* Konferencja w Stresie odbyła się 11—14 kwietnia.

siadł na honorowym miejscu po prawej stronie ołtarza. Neurath, Goebbels i generałowie Reichswehry siedzieli w pierwszym rzędzie za Hitlerem. Wyróżniająca się postać Hitlera na fotelu tuż przed ołtarzem działała wysoce sugestywnie.

Zabawny był widok tych wszystkich białych rękawiczek w kościele przy stosunkowo ciepłej pogodzie. Było to absolutnie zgodne z obowiązującym ceremoniałem, chociaż jeżeli chodzi o szpady, to widok ich w chrześcijańskim kościele wzbudził we mnie uczucie niesmaku. Co powiedziałby Jezus, gdyby zobaczył te insygnia ducha wojny? Prawdopodobnie wyszedłby z kościoła.

Punktualnie o 11-ej ukazał się w otoczeniu dwunastu księży nuncjusz papieski. Szedł boczną nawą w długiej, czerwonej szacie, opadającej mu z ramion i ciągnącej się za nim na przestrzeni co najmniej 12 stóp. Żeby się nie wlokła po posadzce, podtrzymywało ją z tyłu dwóch ludzi. Zasiadł na czymś w rodzaju tronu po prawej stronie wielkiego ołtarza, przy którym paliły się świece, a księża śpiewali po łacinie, której nikt nie rozumiał. Od czasu do czasu padali na kolana i potrząsali kadzidłem, którego Jezus chyba nigdy nie używał. Była to średniowieczna ceremonia od początku do końca i nikt chyba poza księżmi nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiono lub śpiewano. Dla mnie było to wszystko niemal czymś absurdalnym. Niewiele wiem o Piłsudskim, poza tym, że był dyktatorem, posyłającym na śmierć ludzi, którzy mu się opierali. Po co tyle religijnych ceremonii, skoro nikt chyba sobie nie wyobrażał, że ten człowiek mógł być chrześcijaninem? Zresztą w całym tym tłumie zgromadzonych w kościele ludzi nie było prawdopodobnie ani jednego wyznawcy Jezusa. Ciekawy jestem, w jaki sposób w razie śmierci Hitlera, który formalnie jest katolikiem, uczciliby jego pamięć niemieccy protestanci i katolicy. Hitler wymordował lub przyczynił się do zamordowania setek niewinnych ludzi. A jednak w razie jego śmierci wezwano by wszystkich dyplomatów, łącznie ze mną, do oddania mu czci w kościele jako chrześcijaninowi.

Opuściłem katedrę o 12.20 z uczuciem ulgi, że tę zakłamaną komedię mam już za sobą. Nie wszyscy zapewne podzielają moje poglądy w tym względzie. Uważam, że autentyczna, głoszona w prostej i bezpośredniej formie nauka Jezusa miała kolosalne znaczenie i że wczesny chrystianizm był prawdziwie demokratyczny. Dzisiejsi katolicy i protestanci ani nie wyznają zasad chrześcijańskich i demokratycznych, ani ich nie przestrzegają w praktyce. Już za studenckich czasów, gdy byłem przewodniczącym koła YMCA w Virginia Polytechnic Institute, zacząłem powoli się orientować, jak nieszczerzy są ludzie, którzy nazywają siebie chrześcijanami. Będąc człowiekiem uczciwym musiałem przestać chodzić do kościoła i obecnie bywam tylko na nabożeństwach związanych z pewnymi oficjalnymi wydarzeniami. Gdyby ludzie naprawdę byli chrześcijanami, to nie byłoby ani wojen, ani tego straszliwego wyzysku ludności naszego kraju przez rodzimych businessmanów.

21 maja 1935. Wtorek.

O 8-ej pojechałem do Opery Kroiła, położonej niedaleko gmachu, w którym zbierał się dawny, zdyskredytowany Reichstag, żeby wysłuchać, co Hitler powie światu o swoim stanowisku i polityce jako Führera Niemiec. Przyjechałem pięć minut przed czasem, ale już wszystkie miejsca zarezerwowane dla dyplomatów, z wyjątkiem jednego, były zajęte. W pierwszym rzędzie nie było już dla mnie miejsca, gdyż obok ambasadorów Francji, Włoch, Anglii.

Japonii i Polski zasiadły tam również Madame von Neurath i Madame Cerutti. Von Bassewitz przystawił dla mnie z boku dodatkowe krzesło, ale nie wydało mi się zbyt wygodne, więc z uwagi na to, że mowa miała potrwać dwie godziny, zająłem wolne miejsce w trzecim rzędzie, protokolarnie bardzo niestosowne, ale wygodne.

Kanclerz zaczął punktualnie. Przez dwadzieścia minut mówił o sytuacji gospodarczej Niemiec, nie wykazując jednak głębszej znajomości przedmiotu. Potem mówił o sytuacji Niemiec w chwili zakończenia wojny światowej i niegodziwym traktacie wersalskim. Zakładał przy tym oczywiście, że jego kraj był całkowicie niewinny. Zauważyłem zakłopotanie ambasadora francuskiego, zwłaszcza gdy Hitler wspomniał o Czternastu Punktach z 1918—1919 r. Ostatnią godzinę swego przemówienia poświęcił Hitler gwałtownym atakom na Ligę Narodów i komunizm. I w tej sprawie nie był daleki od prawdy, ale w krytyce zarówno jednej, jak i drugiej strony, stanowczo przesadził. Nie powiedział, jak zawsze to czynił dotychczas, że gotów jest wrócić do Ligi w razie równouprawnienia Niemiec. Sprawa ta jest od października 1933 r. przedmiotem częstych dyskusji.

To, co Hitler powiedział o Litwie i kłopotach ze wschodnią granicą Niemiec, ujawniło wyraźniej, niżby sobie tego życzył, że nie ma on najmniejszego zamiaru wyrzekać się myśli o aneksji terytoriów na wschodzie. Poprzednio niejednokrotnie oświadczał, że kolonie nie przedstawiałyby dla Niemiec żadnej wartości — choć dr Schacht zawsze twierdził coś odwrotnego — i że z tego względu trzeba będzie przyłączyć do Niemiec terytoria takich na wpół uprzemysłowionych krajów, jak Litwa, zachodnia Polska i Estonia. Dzisiejsza aluzja o możliwości zajęcia Litwy była mocno zawoalowana, wybuchła jednak po niej rekordowa owacja. Taki sam aplauz przywitał analogiczną aluzję na temat Austrii.

Hitler nie powiedział niczego, co by wyraźnie wskazywało, o co Niemcy gotowi byliby toczyć wojnę. Mówił, że flota niemiecka powinna mieć 35 procent siły bojowej floty brytyjskiej i że Anglia i Francja powinny zawrzeć z Niemcami układ w sprawie ograniczenia sił lotniczych. Obie te sugestie wskazywały drogę do porozumienia z Anglią, z czego ambasador brytyjski musiał być chyba zadowolony. Z pewnością można by zmusić Hitlera do podpisania jakiegoś międzynarodowego układu, gdyby tylko inne mocarstwa były na tyle rozumne, aby poczynić odpowiednie, dobrze przemyślane kroki. Ale na to się nie zanoszą.

Chociaż przemówienie Hitlera było nacechowane powagą i stanowczością, mnie ten człowiek już nie nabierze. Oświadczył mi kiedyś, że każdego urzędnika, który by wysłał do Stanów Zjednoczonych materiały propagandowe, wrzuci do Morza Północnego, a gdy w końcu marca 1934 r. przyjechałem do Nowego Jorku, jego konsul generalny przyniósł mi pokazać zarządzenie podobnej treści, skierowane telegraficznie do wszystkich oficjalnych placówek niemieckich w Ameryce. Przekazałem wówczas to zarządzenie do wiadomości Departamentu Stanu. Ale w utworzonym ostatnio w Berlinie biurze propagandy zagranicznej jest zatrudnionych teraz 600 pracowników. Nie ustała również w 1934 roku propaganda niemiecka w Stanach Zjednoczonych, chociaż na pewien czas konsulaty niemieckie wstrzymały się od jawnego jej uprawiania. To jeden z wielu przykładów absolutnej nieszczerości niemieckich obietnic. Mimo że myślę o tym z najwyższą niechęcią, uważam, że wszystkie państwa europejskie powinny się zjednoczyć i trwać w tym zjednoczeniu uzbrojone po zęby; chyba że od razu postawią kanclerzowi Niemiec ultimatum z żądaniem ograniczenia zbrojeń do określonego pułapu; jednakże jego reakcja na to ultimatum może oznaczać początek nowej wojny.

VII. OD 22 MAJA 1935 DO 25 LISTOPADA 1935 ROKU

22 maja 1935. Środa.

Miałem dziś w południe interesującą rozmowę z Armandem Bérardem. Powiedział mi otwarcie: „Francja jest zaniepokojona; niepokoi ją zwłaszcza to, że Anglia przyjmuje obietnice Hitlera za dobrą monetą. My w jego pokojowe zamiary nie wierzymy, jednakże naród francuski wojny z nim nie zacznie. W zeszłym roku zawarliśmy pakt z Włochami, mimo że Mussoliniego bardzo nie lubimy; uczyniliśmy to tylko dlatego, żeby pohamować agresywność Niemiec, musieliśmy przy tym obiecać naszą zgodę na aneksję Abisynii. Mam nadzieję, że Mussolini będzie na tyle rozsądny, iż aneksję tego kraju przeprowadzi etapami, podobnie jak robiliśmy to w Maroku. Nalegamy w tym duchu na Włochów, ale oni mogą nas nie posłuchać i sprowokować kryzys.” To jest ten europejski sposób rozumowania. Szczerość Bérarda trochę mnie zaskoczyła.

Potem powiedział: „Laval, nasz minister spraw zagranicznych, chce tu przyjechać na rozmowę z Hitlerem. Mój ambasador wyjeżdża dziś wieczorem do Paryża, żeby w miarę możliwości do tego nie dopuścić. Nie sądzimy, aby z Niemcami było możliwe zawarcie jakiegokolwiek porozumienia.” Mnie się wydaje, że porozumienie takie byłoby możliwe, gdyby Francja zgodziła się na aneksję Austrii, ale to zachęciłoby Niemcy do anektowania w przyszłości również Czechosłowacji i Węgier. Francuzom nie uśmiecha się oczywiście myśl, że Trzecia Rzesza mogłaby mieć osiemdziesiąt milionów mieszkańców.

Bérard powiedział jeszcze, że Francja wkrótce obniży wartość franka, żeby zahamować odpływ złota do Nowego Jorku — w tym tygodniu odpłynęło tam ponad milion dolarów, a dzisiaj na „Washingtonie” cały wagon! Ale francuska dewaluacja nie zmieni poglądów Anglii i Ameryki na problem dewaluacji. Gdy byłem ostatnio w Waszyngtonie, rząd był za stabilizacją waluty. Teraz chyba już o tym nie myśli.

O 4.15 miałem rozmowę z sir Erykiem Phippsem, który wydawał się całkiem zadowolony z reakcji prasy londyńskiej na wczorajszą mowę Hitlera. To mnie wcale nie zdziwiło. Odnoszę wrażenie, że Anglicy dali się nabrać na propozycje Führera. Jeżeli będą dalej tacy naiwni, to i za pół roku nie dojdzie do żadnej konkretnej ugody w sprawie rozbrojenia, a Niemcy będą jeszcze lepiej przygotowane do powtórzenia ciosu z roku 1914.

Mówiliśmy przez chwilę o tym, czy nie należałoby wpłynąć w jakiś sposób na Niemców, żeby przestali tak bezlitośnie i okrutnie obchodzić się z Żydami. Biedny rabin Lazon z Baltimore jest tu już trzy miesiące, przychodzi do mnie do biura stanowczo zbyt często i wciąż ma nadzieję, że uda mu się uzyskać audiencję u Hessa lub Göringa. Nie ma na to najmniejszej szansy! Uprzedziłem go, że chyba będzie dla niego lepiej, jeżeli opuści Niemcy, gdyż może mu się tu coś przytrafić. Sir Eryk powiedział, że przyjmie Lazarona,

gdyż człowiek ten reprezentuje wpływowe koła żydowskie w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

„Ale to mu nic nie pomoże — powiedział. — Hitler jest fanatykiem na tym punkcie i gdybyśmy poszli z panem we dwóch do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby przedyskutować tam sprawą żydowską, wywołałoby to sensację i w ciągu paru najbliższych dni kilkunastu Żydów zostałoby prawdopodobnie pobitych, a może nawet zamordowanych." Nie jestem aż tak wielkim pesymistą, nie sądzę jednak, żeby tego rodzaju krok mógł dać jakikolwiek pozytywny rezultat. Partia hitlerowska jest absolutnie zdecydowana usunąć wszystkich Żydów z kraju i skonfiskować im przy tej okazji cały ich majątek.

25 maja 1935. Sobota.

Louis Lochner przekazał mi następującą wiadomość uzyskaną w toku poufnej rozmowy z jednym z pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych: Rząd niemiecki zawarł sojusz wojskowy z Japonią i siedemdziesięciu japońskich oficerów przyjeżdża do Berlina na narady ze sztabowcami niemieckimi celem skoordynowania działalności. Mówią, że wstępne rokowania w sprawie tego paktu prowadził Ilgner z chemicznego trustu IG Farben, który od roku jest na Dalekim Wschodzie i sprzedaje podobno Japończykom ogromne ilości chemikalii i gazów bojowych. Już od kilku miesięcy podejrzewałem Niemcy i Japonię o zawarcie takiego tajnego porozumienia. Chociaż wiadomość Lochnera może okazać się nieprawdziwa, zrobiła na mnie takie wrażenie, że wysłałem w tej sprawie telegram do Departamentu Stanu.

Rabin Lazaron znowu popełnił nieostrożność przychodząc do mnie, po uprzednim zgłoszeniu swej wizyty przez telefon. Z niebezpieczeństwa, które mu grozi, zdaje sobie jednak sprawę i za parę dni ma stąd wyjechać. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby go aresztowano w Kolonii lub Frankfurcie, gdzie Żydów kontroluje się dużo dokładniej niż w Berlinie. Lazarona odwiedził dziś rano jego dobry przyjaciel i oświadczył, że bardzo się boi o swoje życie. Przypuszczam, że Żydów zaczną teraz masowo aresztować i maltretować, a może i zabijać. Podobno tysiące ich znajdują się już w obozach koncentracyjnych. Są to głównie Żydzi, którzy powrócili do kraju zza granicy. Lazaron będzie za tydzień lub dwa tygodnie w Londynie. Ma nadzieję, że za jego namową rząd brytyjski zażąda od Niemców, aby wstrzymali lub ograniczyli swoje drakońskie akcje. Nie sądzę, żeby cokolwiek w tej sprawie mógł osiągnąć.

26 maja 1935. Niedziela.

Spotkałem się z sir Erykiem Phippsem na spacerze w Tiergartenie. Przekazałem mu poufną wiadomość o Japończykach. Nie zrobiło to na nim takiego wrażenia, jak sobie wyobrażałem. „My — powiedział — mamy tu trzech oficerów, którzy zapoznają się z niemieckimi metodami pracy. To oczywiście nie to samo co siedemdziesięciu. Dla Japonii zawarcie paktu z Niemcami byłoby wielkim osiągnięciem, ale mnie by to wcale nie zdziwiło." Po dłuższej rozmowie na temat konsekwencji tego paktu, jeżeli chodzi o Daleki Wschód, obiecał mi zapytać w Londynie, czy tam coś wiedzą o tym sojuszu.

W sprawie ogólnej polityki Niemiec Phipps jest nadal optymistą i wydaje się liczyć na Locarno lotnicze, obejmujące ograniczenie zbrojeń i międzynarodowa ich kontrolę. Wyraziłem swoje wątpliwości, ale dodałem, że jeżeli Niemcy poczynią konkretne ustępstwa i zgodzą się, aby głos decydujący miała komisja międzynarodowa, to taki układ będzie można uznać za poważny krok naprzód. Następnie zapytałem: „Czy słyszał pan, że Niemcy mają pomóc Polsce w zajęciu Litwy, a Polska ma im za to oddać część Korytarza od strony Bałtyku, dzięki czemu Prusy Wschodnie uzyskałyby bezpośrednie połączenie lądowe z Niemcami via Gdańsk?” Odpowiedział: „Nie, ale to by mnie nie zdziwiło, biorąc pod uwagę głupstwa popełnione przez Litwę w ubiegłym roku.” Zgodziłem się z nim w pełni, jeżeli chodzi o brak rozumu politycznego po stronie Litwy, ale moim zdaniem do wywołania tego kryzysu w dużym stopniu przyczyniła się również propaganda niemiecka na terenie Kłajpedy.

Sytuacja Niemiec w strefie Gdańska jest oczywiście bardzo trudna. Ale Polska do 1914 r. była przez 150 lat gnębiona i wyzyskiwana w haniebny sposób przez Prusy; zresztą także przez Rosję. Polska ma prawo do kawałka wybrzeża morskiego, tym bardziej że terytorium zamieszkałe przez Polaków dochodzi do samego morza.

Sir Eryk powiedział, że Anglicy bardziej optymistycznie ode mnie oceniają możliwości współpracy z Niemcami. Przyczyny tego trzeba zapewne szukać w wewnętrznej sytuacji jego kraju. Jeżeli chodzi o mnie, to informacje, jakie codziennie otrzymuję, bynajmniej nie wskazują, żeby w agresywnej postawie Niemiec cokolwiek się zmieniło.

27 maja 1935. Poniedziałek.

Byłem dziś przez pół godziny u dr Schachta, żeby się od niego dowiedzieć, co sądzi o krytycznej sytuacji gospodarczej Niemiec. Był tak rozentuzjzmowany przemówieniem Hitlera z 21 maja i jego przypuszczalnymi skutkami, że nie dowiedziałem się niczego. Schacht nie spodziewa się już krachu w październiku. „Z powodzeniem — mówi — damy sobie radę do stycznia przyszłego roku, a może aż do chwili, gdy Stany Zjednoczone i Anglia ustabilizują swoje waluty.”

29 maja 1935. Środa.

Wczoraj wieczorem wypadło nam pojechać na obiad do ambasadora japońskiego. Było dużo osób, wśród nich ambasador rosyjski, dr Schacht i Ribbentrop, który spodziewa się zająć miejsce Bülowa, jeżeli Neurath pojedzie do Londynu. Ribbentrop ujawnił, że wyjeżdża 4 czerwca do Londynu na rokowania w sprawie układu morskiego, który ma pozwolić Niemcom na posiadanie floty wojennej w granicach 35 procent tonażu floty angielskiej. Żadnych interesujących rozmów oczywiście nie było, pokazano nam tylko film o Japonii, który trwał godzinę, tak że pora zrobiła się jak dla mnie późna i wyszliśmy pierwsi. Japończycy powiedzieli nam, że za parę dni wyjeżdżają na pięć miesięcy do Tokio.

Gdy przez chwilę znalazłem się sam na sam z ambasadorem rosyjskim, powiedział: „Tak jest, myślę, że układ niemiecko-japoński jest faktem, ale nie mam na to dowodów”.

2 czerwca 1935. Niedziela.

Dzisiejszy lunch w naszym domu był raczej niewesoły. Pewien młody książę, członek jednej z królewskich rodzin w Niemczech, z wielkim rozgoryczeniem mówił o morderstwach popełnionych w ubiegłym roku. Powiedział, że wszyscy oficerowie Reichswehry są przeciwko obecnemu reżymowi, ale nie śmia otworzyć ust. Mam dowody na to, że tak jest, z innych źródeł, jednakże nikt nigdy nie mówi o tym otwarcie. Książę wspominał o bezlitosnym rozprawieniu się z profesorami Onckenem i Hoetzchem; zwolniono ich z zajmowanych stanowisk, ponieważ nie chcieli zrezygnować z prawa wyrażania własnych poglądów w zakresie swych specjalności. „Nasz cesarz — powiedział książę — nigdy by na coś takiego nie pozwolił.”

Przypominam sobie, że w okresie moich studiów uniwersyteckich w Lipsku było pewne ograniczenie wolności słowa, jeżeli chodzi o osobę Kaisera. Natomiast wielka swoboda wypowiedzi panowała w zakresie historii i filozofii. Przypominam sobie, jak pewnego razu Mommsen gwałtownie zaatakował Bismarcka w Reichstagu i nic mu się z tego powodu nie stało. Gdyby ktoś teraz pozwolił sobie na taką napaść, czekałaby go śmierć lub długoterminowe więzienie. Gdy książę wyszedł, wszyscy wyrażali się o nim ze współczuciem. Będąc człowiekiem o poglądach liberalnych, mógłby odegrać jakąś rolę w życiu politycznym swego kraju, tymczasem wolno mu być tylko oficerem niemieckiej armii, a wojny książę nienawidzi.

8 czerwca 1935, Sobota.

Lochner przyniósł mi egzemplarz tajnej instrukcji dla prasy niemieckiej, nakazującej oszczędzanie Żydów, co do których istnieje domniemanie, że zajmują kierownicze stanowiska w światowym przemyśle filmowym. Komentarz ten został skierowany do prasy przez Goebbelsa z uwagi na niezwykłą surowość wydanych ostatnio instrukcji antyżydowskich. Ze względu na poufność tej wiadomości Lochner nie mógł przekazać jej do Ameryki w formie telegramu swojej agencji Associated Press.

13 czerwca 1935. Czwartek.

Przyszedł dziś do mnie McMaster, szef kwaków w Niemczech od czasu zakończenia wojny światowej. Mówił o słynnym więźniu Karolu von Ossietzkym, którego Jane Addams przed swoją śmiercią zaleciła jako kandydata do pokojowej nagrody Nobla. Był on redaktorem liberalnej gazety w rodzaju naszej „New Republic”. Gdy Hitler doszedł do władzy, gazeta została od razu skonfiskowana i dalsze jej wydawanie zakazane; sam Ossietzky został w początkach 1933 r. aresztowany. Od tego czasu przebywa w więzieniu i jak twierdzi McMaster, często go tam bito. Przez ostatnie parę miesięcy traktowany był jednak nieco łagodniej. McMaster uważa go za wspaniałego człowieka, chociaż jego zasługi nie wydają się w pełni usprawiedliwiać przyznania mu nagrody Nobla. Mimo że może to się wydać dziwne, uważam, iż byłoby wskazane, aby zalecenie Miss Addams zostało zrealizowane. Byłoby to

tak silnym akcentem w obronie pokoju, że przez miesiąc na jego temat mówiliby się na całym świecie.

Inny więzień tej samej kategorii, o którym już dwukrotnie pisał mi profesor Charles A. Beard, również przebywa jeszcze w więzieniu. Istnieje wprawdzie możliwość, że go wkrótce wypuszczą, ale jak twierdzi McMaster, nie będzie mu wolno wyjechać z kraju, gdyż „za dużo wie”.

Ten McMaster to niezwykle człowiek. Zna prawie wszystkich wyższych funkcjonariuszy państwowych w Niemczech. W latach 1919—1921 rozdzielił wśród głodującej ludności żywność wartości wielu milionów dolarów. Widział tyle dobrego i złego w Niemczech, że zawsze zasługuje na wysłuchanie. Jednak kiedy był ostatnim razem u mnie, powiedział: „Niech pan do mnie nie telefonuje i nie wysyła listów z nagłówkiem ambasady”. Gdy więc chcę się z nim teraz naradzić, wysyłam do niego prywatny list przez gońca.

To jeden z najzyczliwszych i najużyteczniejszych ludzi w Berlinie. Hindenburg był jego przyjacielem; sekretarz Hindenburga Meissner zawsze z przyjemnością się z nim spotyka i przekazuje jego prośby Hitlerowi. Ale McMaster nigdy nie ujawnia, że dowiedział się czegoś ode mnie. Chociaż sytuacja gospodarcza Niemiec przedstawia się bardzo groźnie, McMaster twierdzi, że reżym utrzyma się jeszcze przez dłuższy czas, chyba że umrze Hitler. Jestem absolutnie tego samego zdania; ale jeżeli Hitler pozostanie przy władzy jeszcze przez pięć lat, może łatwo dojść do wojny. Przygotowywanie narodu niemieckiego do wojny nie ustaje ani na chwilę, zadłużenie kraju, podobnie jak we Włoszech, wzrasta z każdym dniem, polski Koryntarz i Austria mogą każdej chwili paść ofiarą agresji.

14 czerwca 1935. Piątek.

Już kilkakrotnie proszono mnie o wygłoszenie odczytu w siedzibie Towarzystwa Carla Schurza. Przyjąłem wreszcie zaproszenie na dzisiejszy wieczór, pojechałem na Schadowstrasse 7, do starej dzielnicy miasta. Sala była wypełniona po brzegi. Mówiłem o krytycznej sytuacji Lincolna w 1861 r. i wyjaśniłem przyczyny wybuchu Wojny Domowej. W konkluzji stwierdziłem, że wojna rzadko kiedy rozwiązuje sporne problemy. Entuzjazm Niemców, nie wyłączając obecnych na sali funkcjonariuszy państwowych, był tak wielki, że doszedłem do wniosku, iż wojenne plany Hitlera muszą budzić w nich poważne obawy. Na usilne prośby dziennikarzy amerykańskich dałem im odbitkę mego przemówienia, obawiam się jednak, że opublikują je za oceanem w takiej formie, iż spotka się ono z krytyką. Zobaczymy.

15 czerwca 1935. Sobota.

Mieliśmy dziś na herbacie ze dwudziestu gości, wśród nich najciekawszym był sir Eryk Phipps. Wziął mnie na stronę i powiedział: „Nasza sytuacja jest bardzo trudna, może nawet groźna. Niemcy stanowczo chcą zbudować sobie flotę w trzydziestu pięciu procentach równoważną sile floty brytyjskiej i stawiają sprawę ultymatywnie. Rozmawiałem z Hitlerem przed dwoma miesiącami. Wówczas chciał mieć flotę taką samą jak nasza. Powiedziałem mu: »Tylu okrętów pan nie potrzebuje, bo morska granica Niemiec nie jest znowu

taka długa«. Odrzekł: »Tak, ale musimy mieć flotę na całym Bałtyku«. Staralem się go później przekonać, że nie ma racji, ale nie chciał w niczym ustąpić i był nawet niegrzeczny."

Przez chwilę rozmawialiśmy o stosunkach brytyjsko-amerykańskich na Dalekim Wschodzie i zgodziliśmy się co do tego, że zgodna akcja obu państw jest chyba jedynym sposobem niedopuszczenia do wybuchu wojny światowej w ciągu najbliższych paru lat. „Ale opinia publiczna w obu naszych krajach — powiedział Phipps — jest przeciwna jakiegokolwiek wspólnej akcji." Była to smutna rozmowa. Stwierdziłem, że w tym roku ambasador brytyjski jeszcze nigdy nie był tak bardzo zaniepokojony.

Powiedziałem mu, że powinienem odpisać na list otrzymany od lorda Lothiana, byłego sekretarza Lloyd George'a. „Czy nie zechciałby pan — rzekł Phipps — opisać mu szczerze faktycznej sytuacji w Niemczech? Odniesie to na pewno większy skutek, niż gdybym ja do niego napisał." Przyrzekłem mu, że to uczynię. „Lothian — rzekł Phipps — jest bliskim przyjacielem lorda Astor i redakcji »Observera«. Potrzebne są im trochę dokładniejsze informacje."

21 czerwca 1935. Piątek.

Dziś wieczorem miałem wykład o amerykańskiej rewolucji na seminarium prof. Windelbanda. Było bardzo dużo ludzi. Mówiłem po niemiecku i wydaje mi się, że studenci wszystko zrozumieli. Było również pięciu czy sześciu profesorów, ale nikt z nikim po hitlerowsku się nie witał. Obecny był mój dawny profesor Erich Marcks, który po wykładzie zadał mi kilka ciekawych pytań. Dyskusja na temat pewnych problemów rewolucji trwała prawie godzinę.

Zapomniałem napisać, że wydaliśmy dziś lunch na cześć Charles R. Crane'a. Jednym z gości był dr Schacht, który bardzo się zainteresował jego osobą, z chwilą gdy go poinformowałem o stosunkach Crane'a w sferach gospodarczych. Obecny był również pan Stewart z Departamentu Stanu, który chciałby znaleźć sposób na sprzedanie Niemcom kilkuset tysięcy bel bawełny. Schacht zaprosił go do siebie na godzinną rozmowę w późniejszych godzinach popołudniowych. Schachtowi jeszcze bardziej zależy na kupnie tej bawełny niż Stewartowi na jej sprzedaży, ale w jaki sposób Niemcy mają za nią zapłacić?

Nikt w Niemczech, a może i w całej Europie, nie jest obdarzony takim sprytem, co ten „ekonomiczny dyktator". Jego sytuacja zawsze jest delikatna, a może nawet niebezpieczna. Gdy rozmawiałem z nim na początku lipca 1934 r., pierwsze jego słowa brzmiały: „Ich lebe noch" (Jeszcze żyje), co wydało mi się powiedzeniem dość ryzykownym. Jego żona mówi, że oboje „znajdują się w pociągu, który pędzi z maksymalną szybkością, zbliżając się do końca trasy".

25 czerwca 1935. Wtorek.

Pewien korespondent zagraniczny powiedział mi dzisiaj, iż jest przekonany, że zarówno Anglia jak i Francja są stanowczo przeciwne jakimkolwiek krokom, które mogłyby doprowadzić do wojny i to nawet gdyby Niemcy

miały zająć Litwę. Jego zdaniem Hitler jest zdecydowany opanować Bałtyk i anektować na wschodnim brzegu tego morza wszystko, co będzie mu potrzebne dla zablokowania rosyjskiej ekspansji. Korespondent czytał list otrzymany miesiąc temu przez lorda Rothermere od Hearsta, w którym Hearst lansuje projekt sojuszu między Niemcami, Anglią i Ameryką. Taki sojusz dałby tym państwom władzę nad całym światem. Podobno projekt ten nie wzbudził w lordzie Rothermere zbyt wielkiego entuzjazmu.

W dalszym ciągu mój rozmówca powiedział, że słyszał w Paryżu, iż między Niemcami a Japonią istnieje tajne porozumienie, które będzie obowiązywało w wypadku niemieckiej ekspansji w strefie Bałtyku. Jeżeli Rosja będzie protestować lub da się wciągnąć do wojny z Niemcami, Japonia zaatakuje ją od wschodu. Na zakończenie oświadczył, iż przywiązuje duże znaczenie do konferencji, która ma odbyć się wkrótce w Paryżu z udziałem Laval'a, Litwinowa, Titulescu (Rumunia) i Benesza (Czechosłowacja). Konferencja ma doprowadzić do podpisania układu pomiędzy Francją, Czechosłowacją, Rumunią i Rosją, którego celem będzie pokrzyżowanie zaborczych planów Hitlera w strefie Bałtyku.

Rzecz to bardzo ciekawa, ale faktem jest, że jeszcze nigdy żaden reprezentant rządu niemieckiego nie wspomniał mi o tym, że Niemcy pragną porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi.

Attache handlowy ambasady Douglas Miller prosił mnie dzisiaj o podpisanie dłuższego telegramu przeznaczonego dla Waszyngtonu. Była w nim mowa o spotkaniu, jakie Hitler miał wczoraj z czołowymi niemieckimi przemysłowcami. Wyrazili oni pogląd, że za 600 tysięcy bel oferowanej im bawełny mogliby zapłacić towarami, które chcą zakupić amerykańscy importerzy. Wśród nich jedną z najpoważniejszych firm jest Montgomery Ward and Company w Chicago. Propozycja ta nie bierze pod uwagę bojkotu towarów niemieckich prowadzonego przez Żydów i związki zawodowe. Telegram wysłałem, ale podałem w nim tylko fakty bez żadnych zaleceń, nie chciałem bowiem, żeby Departament Stanu ponosił jakąś odpowiedzialność za spłatę kredytów, których w związku z tą transakcją chciałyby udzielić nowojorskie banki. Ponieważ nigdy nie otrzymałem od Niemców zadowolającej odpowiedzi na moje żądanie spłaty dwóch miliardów dolarów, od których Niemcy przestały płacić odsetki, trudno mi teraz coś zalecać, mimo że w tym przypadku spłata kredytu wydaje się rzeczą pewną. 30 milionów dolarów to jednak pozycja nie do pogardzenia.

Ostatnią sprawą do załatwienia w ciągu dzisiejszego pracowitego dnia była wizyta u posła holenderskiego. Jest przekonany, tak samo jak ja, że między Niemcami a Japonią istnieje porozumienie, ale dowodów na to nie ma. Stanowisko Anglii ocenia równie sceptycznie jak ja. Obaj jesteśmy zdania, że Anglia i Stany Zjednoczone mogłyby położyć kres japońskim próbom anektowania Chin, gdyby chciały w tej sprawie prowadzić wspólną politykę. Ciekawa rzecz, że te dwa mówiące po angielsku narody wzajemnie się nie lubią, chociaż żadnemu z nich nawet nie przychodzi do głowy, że mogłoby między nimi dojść do otwartej wojny. Poseł uważa, że podpisany tydzień czy dwa tygodnie temu układ morski pomiędzy Anglią a Niemcami* może mieć groźne konsekwencje, ale mimo to aprobuje politykę ścisłego i całkowitego izolowania Rosji. Niemcy opanują Bałtyk, Turcja nigdy nie dopuści Rosji do Morza Śródziemnego, a Japonia jak jastrząb będzie czatowała na krótkiej rosyjskiej granicy morskiej nad Oceanem Spokojnym.

Przed wyjściem poradziłem posłowi, żeby zaproponował swemu rządowi

* Układ morski zawarty został 18 czerwca 1935 r.

nawiązanie kontaktu z amerykańskimi uniwersytetami w sprawie wymiany profesorów. Powiedziałem, że sam napiszę o tym do Chicago, gdzie wykłady zagranicznych profesorów są zawsze mile widziane. Przyjął moją propozycję bez wahania i powiedział, że gdyby nasze narody poznały się bliżej, a Anglicy byli również skłonni do współpracy, to moglibyśmy się jakoś przyczynić do utrwalenia pokoju. Nie wierzę, żeby tego rodzaju inicjatywy mogły do czegoś doprowadzić, ale trudno siedzieć z założonymi rękami, gdy sytuacja na świecie jest tak niebezpieczna.

4 lipca 1935, Czwartek.

Na doroczne przyjęcie przybyło do ambasady o godzinie 5-ej kilkuset Amerykanów mieszkających w Berlinie lub zwiedzających Niemcy. Niektórzy byli bardzo interesujący. O 6.15 wygłosiłem krótkie przemówienie na temat: „Amerykańscy idealisci z 1776 r.". Miałem je wygłosić dopiero wieczorem na obiedzie organizowanym przez kolonię amerykańską w Berlinie, ale obiad został odwołany. Ze względu na to, że nasi dziennikarze przetelegrafowali już treść tego przemówienia do Stanów Zjednoczonych, uważałem za konieczne wygłosić je dzisiaj w każdym razie. Trwało piętnaście minut i goście wysłuchali go stojąc. Kilku amerykańskich bogaczy oświadczyło, że podzielają moją opinię o Lincolnie, Wilsonie i F. D. Roosevelcie, jako wybitnych postaciach w historii Stanów Zjednoczonych wcielających w życie zasady deklaracji z 1776 r.

6 lipca 1935. Sobota.

W południe byłem przez pół godziny u ministra Neuratha. Wizyta wywołana została żądaniem Departamentu Stanu, abym przesłał telegraficznie dodatkowe informacje w związku z raportami przekazanymi ostatnią pocztą kurierską. Neurath zupełnie szczerze powiedział mi, co myśli o brytyjsko-niemieckim układzie morskim.

„Niemcy — powiedział — czują się zaszczycone zrozumieniem okazanym im przez Wielką Brytanię i spodziewają się, że Francja również zechce z nimi współpracować. Nie sądzę jednak, żebyśmy mogli wrócić do Ligi, nawet gdyby Anglia i Francja zgodziły się na prowadzenie wspólnej polityki dla zapobieżenia wojnie planowanej przez Włochy. Gotowi jednak jesteśmy udzielić Lidze Narodów naszego moralnego poparcia, gdyż uważamy, że wojenne plany Mussoliniego są wysoce nierozsądne. Mussolini musi zacząć wojnę, bo w kraju nie może już nic nowego wymyślić. Jeżeli nie zdecyduje się na wojnę, niebezpieczeństwo czyha na niego w kraju, jeżeli zacznie wojnę z Abisynią i ją wygra, to niewiele na tym zyska, a jeżeli ją przegra, to zostanie obalony. Znam go dobrze i jestem pewien, że nie zmieni swego stanowiska, choćby nie wiem jak kategorycznie protestowały przeciwko niemu Anglia i Francja a nawet i Stany Zjednoczone."

Na temat przeprowadzonych ostatnio w Berlinie rozmów niemiecko-polskich* Neurath oświadczył: „Stosunki między nami są doskonałe. Naszym

* W dniach 3 i 4 lipca 1935 r. złożył wizytę w Berlinie minister Beck. Odbył długą rozmowę z Hitlerem, konferował z ministrem Neurathem. Komunikat ogłoszony później podkreślał, że „rozmowy wykazały znaczne uzgodnienie poglądów".

celem było storpedowanie paktu francusko-rosyjskiego i niedopuszczenie do podpisania zaprojektowanego w Stresie układu między państwami naddunajskimi. Sprawa sojuszu czy też jakiegoś porozumienia z Węgrami nie była dyskutowana (powiedział tak, chociaż faktem jest, że szef sztabu węgierskiej armii przebywał wówczas incognito w Berlinie). Nie porozumiewaliśmy się również z Polską w sprawie kontroli Morza Bałtyckiego. Musimy na nim panować, żeby zamknąć Rosji drogę do oceanu". To jeden z elementów tradycyjnej polityki Niemiec. Co prawda w czasie wojny rosyjsko-japońskiej w 1905 r. cesarz Wilhelm II zgodził się, żeby flota rosyjska przepłynęła przez Bałtyk i dalej koło brzegów Francji, Hiszpanii i Włoch w drodze na Daleki Wschód.

Gdy Minister ponownie wspomniał o porozumieniu brytyjsko-niemieckim, zapytałem go, co myśli o zbliżającej się konferencji morskiej. Powiedział, że ma wielką nadzieję, iż wezmą w niej udział wszystkie państwa i że dojdzie do zgody w sprawie ograniczenia zbrojeń na morzu. „My jednak — dodał — nie będziemy mogli w niej uczestniczyć, jeżeli nie weźmie w niej udziału Japonia." Byłem tą uwagą trochę zaskoczony, nie spodziewałem się bowiem usłyszeć z ust Neuratha tak wyraźnej aluzji do niemiecko-japońskiego porozumienia. Kategorieczny ton jego wypowiedzi upewnił mnie, że sojusz ten jest faktem.

Japonia chce koniecznie podporządkować sobie Daleki Wschód i zagarnąć Władywostok. Niemcy chcą koniecznie podporządkować sobie całą Europę, a przede wszystkim Bałtyk; a jeżeli Rosja stawiać będzie opór, Japonia uderzy na nią od wschodu. Wszystko to z pewnością nastąpi, jeżeli Liga Narodów nie stanie na wysokości zadania. Francja i Włochy spadną wtedy do roli drugorzędnych mocarstw, Bałkany zostaną podporządkowane Niemcom, a Rosja zablokowana na starej wyjściowej pozycji. Przyjdzie wreszcie chwila, że i Stany Zjednoczone będą musiały podporządkować się Niemcom, chyba że uda się im zbudować jednolity front obronny obu części kontynentu amerykańskiego.

8 lipca 1935. Poniedziałek.

Dzień Pański Niemcy święcą teraz musztrą i wojskową defiladą. A Hitler wciąż zapewnia, że na wojnę nigdy sobie nie pozwoli. Może faktycznie są wśród tych biednych Niemców tacy, co się boją skutków ewentualnej wojny w Europie, ale większość uważa wojnę za coś, co wpływa uszlachetniająco na charakter niemieckiego narodu. W ich pojęciu wojna to jedyny sposób, żeby służyć swemu krajowi.

11 lipca 1935. Czwartek.

Chciałem się spotkać i pomówić z Ribbentropem, który w charakterze osobistego wysłannika Hitlera prowadził ostatnio rokowania z Anglią w sprawie układu morskiego i innych problemów. Dowiedziałem się jednak, że w czasie gdy Ribbentrop rokował w Londynie, niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysłało tam, żeby go szpiegować, barona Lersnera. Lersner, który zajmował kiedyś wysokie stanowisko w niemieckiej armii, jest człowiekiem

niezwykle sprytnym i mówi tak dobrze po angielsku, że niełatwo jest rozpoznać w nim Niemca. Nie chcąc, żeby różni berlińscy dygnitarze wiedzieli o tym, iż pragnę rozmawiać z Ribbentropem, poprosiłem sekretarza Towarzystwa Carla Schurza o zaproszenie go na spotkanie ze mną w siedzibie Towarzystwa w dniu dzisiejszym o godzinie 12-ej.

Rozmawialiśmy przez pół godziny. Jego odpowiedzi na moje pytania pokrywały się całkowicie z tym, co powiedział mi Neurath. Był tylko jeden wyjątek: Japonia. Trzy razy zapytałem go, jakie stanowisko zajmą Niemcy, jeżeli Japonia odmówi wzięcia udziału w rokowaniach w sprawie zbrojeń morskich, które mają się odbyć w przyszłym roku w związku z upływem ważności układu waszyngtońskiego. Za każdym razem wykręcał się od odpowiedzi. Sposób, w jaki to czynił, upewnił mnie, że układ japońsko-niemiecki jest faktem. Dwukrotnie wyrażał nadzieję, że będę nalegał na Waszyngton, aby skłonił Francję do współpracy z Anglią i Niemcami w sprawie zbrojeń na morzu. Wspomniałem o tym później w jednym z telegramów do Waszyngtonu, ale od siebie niczego nie zalecałem. Innych spraw poza tym poruszyliśmy niewiele.

Twierdzi się powszechnie, że Hitler wkrótce przejmie oficjalnie funkcje ministra spraw zagranicznych, podobnie jak to uczynił Mussolini, i że wówczas ministrem de facto zostanie Ribbentrop. Jeżeli do tego dojdzie, będę się czuł skrepowany bardziej niż kiedykolwiek. Gdybym każdą ważniejszą sprawę zleconą mi przez Waszyngton musiał omawiać bezpośrednio z samym Hitlerem, byłaby to dla mnie wyjątkowo przykra sytuacja. Długo bym tego nie wytrzymał.

12 lipca 1935, Piątek.

O 12.30 pojechałem na pół godziny do ambasadora francuskiego, żeby się od niego dowiedzieć, jakie jest jego zdanie na temat spraw, które omawiałem z Ribbentropem. Ambasador sądzi, że między Japonią a Niemcami istnieje porozumienie, w myśl którego Niemcy udzielą jej pośredniej pomocy w razie jakiegokolwiek wojny. „Tak sądzę — powiedział — ale nie mam na to dowodów. Jeżeli chodzi o zbrojenia na morzu, to dla Francji uzgodnienie tych spraw z Niemcami jest absolutnie niemożliwe. Musimy budować nowe okręty, żeby dotrzymać kroku nowej niemieckiej flocie wojennej. A co do Mussoliniego, to nie myślę, żeby się zdecydował na wojnę z Abisynią.” Uzasadnienie zdaniem ambasadora jest bardzo proste: Mussolini nie może sobie pozwolić na ryzyko przegranej, gdyż wówczas Niemcy mogłyby bez trudu zająć Austrię.

14 lipca 1935. Niedziela.

Mieliśmy dziś na lunchu bardzo interesujące towarzystwo. Najciekawszy byli dwaj dziennikarze: Paul Scheffer z „Berliner Tageblatt” i Louis Lochner z Associated Press. Scheffer jest zawsze dobrze poinformowany. Redagowany przez niego „Berliner Tageblatt” był dawniej dziennikiem liberalnym, cieszącym się wielkim rozgłosem i czytany w całym Niemczech. Sam Scheffer był kiedyś dobrze znany w Stanach Zjednoczonych; towarzyszył Rooseveltowi

w jego słynnej kampanii wyborczej w 1932 r. Potem musiał wrócić do kraju, w którym Hitler zlikwidował dużą część prasy, a tej, której pozwolił żyć, odebrał wolność słowa.

„Liczba czytelników gazet w Niemczech — powiedział Scheffer — zmniejszyła się od 1933 r. o przeszło sześć milionów.” Liczba prenumeratorów jego pisma spadła do jednej dziesiątej, a on sam z trudem zarabia na swoje utrzymanie. Jego żona i dzieci mieszkają w Waszyngtonie i utrzymują się z własnej pracy, z Niemiec bowiem nikomu nie wolno wysyłać pieniędzy za granicę.

Wczoraj Schefferowi ktoś powiedział, że na ostatnim posiedzeniu gabinetu przedmiotem patetycznej dyskusji stała się obecna sytuacja gospodarcza w kraju. Goebbels zażądał, aby na miejsce dr Schachta dyktatorem ekonomicznym Niemiec został znany ekstremista, minister rolnictwa dr Darré. Schwerin-Krosigk, minister finansów, i Neurath wypowiedzieli się przeciwko wnioskowi Goebbelsa. Sam Schacht powiedział: „Całkowitej pewności, że się nam powiedzie, nie mam, ale swojej polityki zmienić nie mogę. Nie odstąpię od niej, nawet gdybym miał za nią odpokutować śmiercią”. Gdy Schacht skończył mówić, powstał Hitler i oświadczył: „Mimo że często się z panem nie zgadzam, panie doktorze, nigdy nie pozwolę, żeby miało pana coś podobnego spotkać”. Goebbels, który potwornie nienawidzi Schachta, przegrał sprawę.

17 lipca 1935. Środa.

Dziś wieczorem byliśmy na obiedzie u ambasadora francuskiego w jego rezydencji położonej 20 mil poza miastem nad jeziorem Wannsee. To był cudowny wieczór. Było paru wybitnych gości, jak nuncjusz papieski w purpurowych szatach, ambasador włoski, który wkrótce przenosi się do Paryża, oraz posłowie Belgii, Austrii i Szwajcarii. Ale nastrój był raczej poważny. Nuncjusz mówił o coraz częstszym stosowaniu w Niemczech środków przymusu w stosunku do katolików. Obawia się, że wynikną stąd poważne kłopoty. Papież w tych dniach publicznie oskarżył Niemcy o łamanie konkordatu z 1933 r., który zagwarantował niemieckim katolikom wolność religijną. Austriak powiedział, że w jego kraju istnieje tendencja przywrócenia władzy Habsburgowi, jednakże jego zdaniem byłoby to podsuniecie ryzykowne i mogłoby nawet: wywołać interwencję Hitlera. Włoch zapewniał Francuza, że „nic nie może powstrzymać Mussoliniego”. Obalało to tezę Francuza wypowiedzianą w rozmowie ze mną parę dni temu. Dalecy od uspokojenia, około północy wróciliśmy do domu. Wieczór był interesujący, ale kuchnia dyplomatyczna mi nie służy.

18 lipca 1935. Czwartek.

Byłem dziś u wiceministra Bülowa, żeby się dowiedzieć, jakie jest stanowisko Niemiec w sprawie konfliktu włosko-abisyńskiego, oraz zorientować się, jak się zachowa rząd niemiecki, gdyby Waszyngton domagał się zastosowania w tym wypadku postanowień słynnego antywojennego paktu Brianda i Kellogga. Otóż Bülow jest stanowczo przekonany, że Mussolini się nie zatrzyma, choć Niemcy zachowują rezerwę; forsowanie paktu Brianda i Kellogga byłoby jego zdaniem szkodliwe. Sprawa jest dla mnie jasna: Niemcy liczą na

to, że Włosi zaczną wojnę i przegrają. Wówczas Niemcy będą mogły spróbować szczęścia na Bałkanach. Forsowanie przez Stany Zjednoczone koncepcji pokojowych musiałyby oczywiście Bülowowi popsuć szyki.

Wychodzące po południu pismo „Berlin am Mittag” podało dziś pod krzyczącym czerwoną farbą tytułem wiadomość o wypowiedzianej przez Göringa wojnie katolikom. Odbiera się im wolność słowa, rozwiązują się ich organizacje młodzieżowe i zabrania się im krytykowania czegokolwiek*.

21 lipca 1935. Niedziela.

Pojechaliśmy dziś do Neudeck. Po przyjeździe posłałem bilet wizytowy do pałacu zmarłego prezydenta. Po paru minutach na nasze spotkanie wyszli Paul von Hindenburg i jego małżonka. Przez godzinę oprowadzali nas po swoim majątku. Obejmuje on 12 tysięcy akrów bardzo dobrej ziemi. W wielkiej stajni mieści się 150 koni. Krów jest tyle, że dzienny udój wynosi 100 galionów. Owiec jest 500. W polu uprawia się pszenicę, żyto i jęczmień. Majątek należy do rodziny Hindenburgów od 200 lat. Jest bardzo duży, ale większość należącego do niego gruntu została zakupiona i podarowana Prezydentowi przez partię hitlerowską, która w ten sposób chciała zyskać sobie jego poparcie. Stara wypróbowana metoda. Faktem jest, że Hindenburg udzielił swojej sankcji ustrojowi autokratycznemu wprowadzonemu w styczniu 1933 r. i nie wyraził publicznie swego protestu, gdy niemal jednocześnie z objęciem urzędu kanclerza przez Hitlera Göring kazał podpalić słynny gmach Reichstagu.

Fakt, że okoliczności te były mi znane, sprawiał, iż czułem się trochę zakłopotany. Ale syn prezydenta był dla nas niezwykle uprzejmy, pokazał nam wspaniałe wnętrza pałacu, bardzo ciekawe obrazy i rzeźby, przeważnie o tematyce batalistycznej. Prosil nas oboje, żebyśmy zostali na obiedzie, ale zaproszenia nie przyjęliśmy. Ani wewnątrz, ani na zewnątrz pałacu nie było widać żadnego portretu lub popiersia Hitlera, ani też hitlerowskiej flagi. W bibliotece wisiał wyjątkowo udany portret Kaisera. Uwagę zwracał także obraz przedstawiający Fryderyka II. Był tam też portret Ludendorffa, chociaż obaj generałowie, jak głosi fama, u schyłku swego życia serdecznie się nienawidzili.

22 lipca 1935. Poniedziałek.

W szybkim tempie przebyliśmy długą drogę do Berlina. W czasie jazdy stwierdziłem, jak niezwykle urodzajny jest kraj na północ od Berlina. Nigdy nie widziałem tak wspaniałych zbiorów, chociaż zbiory w Polsce też wyglądały imponująco. Trudno mi się powstrzymać od wniosku, że Niemcom starczy żywności nie tylko na bieżące potrzeby, ale i na utworzenie poważnej rezerwy na wypadek wojny. Podróż nie pomogła mi na moje niedomagania przewodu pokarmowego. Po drodze do domu zatrzymałem się w biurze; czekało tam już na mnie mnóstwo pism i dokumentów.

* Autor ma na myśli dekret Göringa z 18 lipca 1935 r. „przeciwko politykującemu klerykalizmowi”.

23 lipca 1935. Wtorek.

Czułem się tak źle, że nie poszedłem do biura. Leżałem w łóżku i wstałem dopiero po południu, gdy przyszedł do nas na herbatę Henry Haskell, wydawca „Kansas City Star”. Słuchałem uważnie jego relacji o poglądach reprezentowanych przez najpoważniejsze pisma Środkowego Zachodu. Haskell przewiduje, że Roosevelt zostanie ponownie wybrany na prezydenta, wątpi jednak, czy rząd zdobędzie się na konstruktywne działanie, które by wydobyło nasz kraj z gnębiących go kłopotów gospodarczych. Sytuacja obu partii wygląda następująco: republikanie są beznadziejnie rozbici i nie mają w swoich szeregach ani jednego człowieka, który by dorósł do roli prawdziwego przywódcy, demokraci zaś są wprawdzie trochę zgodniejsi, ale jeden tylko Roosevelt jest w stanie utrzymać w jedności grupy liberalne i sprostać atakom ekstremistów z prawa i lewa.

O Farleyu Haskell wyrażał się w najwyższym stopniu krytycznie, powiedział jednak, że „w nadchodzących latach nie będziemy mogli obyć się bez współpracy z liderami związanymi z miejskimi ugrupowaniami politycznymi, które w gruncie rzeczy zrzeszają amerykańskich faszystów”. Jak na wydawcę jedyne go na Zachodzie niezależnego pisma liberalnego, ta wypowiedź brzmi smutnie. Podobne stanowisko zajmuje chyba również wychodzące w St. Louis pismo „Post Dispatch”. Sytuacja polityczna w Stanach Zjednoczonych z pewnością nie jest zachwycająca.

24 lipca 1935. Środa.

Gdy przyszedłem dziś do biura, dowiedziałem się, że wczoraj wieczorem, w czasie tzw. Bierabendu, przedstawiciele Towarzystwa im. von Steubena w Nowym Jorku*, które współpracuje z Fundacją Carla Schurza w Berlinie i jest finansowane przez fundację Oberlaendera w Filadelfii, tak obrazili przedstawicielei naszej ambasady, konsulatu i prasy, że żaden Amerykanin nie weźmie udziału w zapowiedzianym na dziś obiedzie w restauracji Krolla. Pan White poprosił mnie ponadto o zwolnienie go z obowiązku wyjazdu do Magdeburga, gdzie miał jutro przemawiać na uroczystości ku czci von Steubena. A kapitan Crockett, attache wojskowy ambasady, zatelefonował, że nie będzie mógł wziąć udziału w spotkaniu z gośćmi przybyłymi z Ameryki do Niemiec, gdyż obrazili oni obywateli i urzędników amerykańskich.

Pytanie, na które musiałem sam sobie odpowiedzieć, brzmiało: Czy mam dotrzymać udzielonego dwa tygodnie temu przyrzeczenia, że będę dziś wieczorem na obiedzie u Kroiła i wygłoszę na nim krótkie przemówienie? Zważywszy, że wszyscy poza mną członkowie ambasady odwołali swoje przybycie, odwołanie w ostatniej chwili również mojego przybycia — chociaż naprawdę byłem na wpół chory — mogłoby zostać moim zdaniem uznane za afront dyplomatyczny i nabrać nieprzyjemnego dla mnie rozgłosu. Zdecydowałem się więc pojechać na obiad, tym bardziej że miał być na nim również ambasador

* Friedrich Wilhelm baron von Steuben (1730—1794), syn oficera armii pruskiej. Jako oficer tejże armii brał udział w wojnie śląskiej i siedmioletniej. Od 1777 r. w armii amerykańskiej, którą organizował i dla której opracował pierwszy regulamin wojskowy. Steuben Society of America zostało założone w 1919 r. w Nowym Jorku. Jego celem była praca kulturalna wśród Amerykanów pochodzenia niemieckiego.

Luther. Postanowiłem wygłosić krótkie i starannie przygotowane przemówienie, zawierające zalecenie powstrzymania się od uprawiania wrogiej propagandy i przypomnienie, kim był Carl Schurz.

Przed południem ambasador Luther przyszedł do mnie do ambasady. Rozmawialiśmy przez pół godziny o niczym. Ja nie mogłem mu niczego powiedzieć o sytuacji w Niemczech, bo musiałbym ją skrytykować; on ze swej strony nie mógł mi właściwie niczego powiedzieć o sytuacji w Waszyngtonie, bo musiałby ją również skrytykować. Był jednak w swoich wypowiedziach trochę swobodniejszy ode mnie, gdyż Amerykanie — o czym Luther dobrze wie — nie obrażają się, gdy się ich krytykuje w sposób rozsądny. Stwierdził, że ani on, ani ja niczego właściwie nie osiągnęliśmy, i pożegnał się. 1 sierpnia odplywa do Nowego Jorku. Luther to konserwatysta i zupełnie miły człowiek. Dałem mu do zrozumienia, że powinniśmy się obaj podać do dymisji.

Na obiad pojechałem razem z żoną. Wzięło w nim udział około stu osób, Niemców i Amerykanów. Zasiadłem obok pana Hoffmana, przywódcy steubenowskiej bandy, człowieka, który poprzedniego wieczoru wygłosił swoje obraźliwe przemówienie. W odpowiedniej chwili głos zabrał w imieniu czynników rządowych Hanfstaengl. Powiedział to samo co dwa tygodnie temu na obiedzie wydanym w hotelu „Adlon” przez Międzynarodową Izbę Handlową. Następnie głos zabrałem ja. W krótkich słowach wezwałem niemieckie stowarzyszenie do rozwijania przyjaznych stosunków pomiędzy obu krajami. W tym celu należy stosować wymianę wykładowców, wybitnych uczonych zarówno z dziedziny nauk humanistycznych, jak ścisłych, rozwijać usilnie stosunki kulturalne i naukowe pomiędzy uniwersytetami obu krajów, przede wszystkim zaś przeciwstawiać się wszelkim posunięciom lub poglądom, sprzyjającym wybuchowi wojny. Podkreśliłem również znaczenie wolności prasy i publikowania prawdziwych informacji, dzięki którym wszyscy mogliby wiedzieć, co się naprawdę na świecie dzieje. Gdy skończyłem, część obecnych gorąco mnie oklaskiwała, ale część siedziała cicho, co również miało swoją wymowę.

Następnie zabrał głos Hoffman, który w obraźliwych słowach nakreślił obraz tego, co w jego pojęciu miało być stosunkiem Ameryki do Niemiec. Nie zaatakował wprawdzie tym razem amerykańskiej prasy, ale za to potępił plany Wilsona w związku z zakończeniem wojny światowej i mówił o amerykańskim bojkocie tak, jak gdyby nie sprowokowali go sami Niemcy. Czułem się obrażony, ale od stołu nie wstałem i nie powiedziałem niczego, co by mogło zaognić dyskusję. W prywatnej rozmowie Hanfstaengl skrytykował przemówienie Hoffmana. Tak nieprzyjemnego spotkania nie miałem jeszcze ani razu przez cały czas od chwili mego przyjazdu do Berlina w 1933 r.

25 lipca 1935. Czwartek.

Odwiedził mnie dziś poseł południowoafrykański Gie i zapytał, czy moim zdaniem dający się odczuć obecnie w Niemczech niepokój zapowiada nową masakrę w stylu 30 czerwca 1934 r. Po przedyskutowaniu tego problemu doszliśmy do wniosku, że wszystko zależy od tego, czy Hitler ulegnie naciskowi Göringa, Goebbelsa i Darrégo i udzieli dymisji dr Schachtowi. Na razie nic moim zdaniem nie wskazuje, żeby Schacht miał zostać zwolniony, ale gdybym był Schachtem i miał trochę pieniędzy w banku w Bazylei, gdzie Schacht jest jednym z dyrektorów, wyjechałbym z Niemiec i nie wróciłbym, dopóki w Niemczech będzie panował ustrój narodowosocjalistyczny.

26 lipca 1935. Piątek.

O 11-ej zwołałem wewnętrzną konferencję, w której wzięli udział uważni obserwatorzy wydarzeń w Niemczech, członkowie ambasady: White, Lee, Flack i Beam, oraz attache handlowy Miller, attaché rolny Steere, kapitan Crockett i attaché morski. Dokonałiśmy interesującego przeglądu sytuacji i okazało się, że mamy wiele dowodów, wskazujących na istnienie poważnych rozbieżności w łonie niemieckiego rządu. Darre domaga się prowadzenia rygorystycznej polityki gospodarczej. Chce skonfiskować cały majątek należący do Żydów, przemysłowców i wielkich właścicieli ziemskich, żeby uzyskać środki na przesiedlenie bezrobotnych na wieś i utrzymywanie armii w stałej gotowości bojowej. Według Millera Schacht jest absolutnie przeciwny tym konfiskatom i Hitler go w tym popiera.

Kapitan Crockett, który objechał ostatnio całe Niemcy, twierdzi, że kraj pokryty jest siecią koszar, poligonów i lotnisk, że fabryki zbrojeniowe zostały rozproszone po całym kraju, przy czym wiele z nich ulokowano w dzielnicach mieszkalnych wielkich miast. Przedstawiciele wojska mówili mu, że dwa miliony Niemców, którzy ochotniczo wstąpili do wojska, oczekuje w kolejności na przeszkolenie ich w warunkach polowych, że istniejące plany przewidują, iż za trzy do czterech lat gotowych do walki będzie osiem milionów ludzi. Ku memu zdziwieniu wyżsi wojskowi popierają obecnie koncepcję konfiskat majątkowych jako źródła pokrycia kosztów uzbrojenia, wyszkolenia i umundurowania. Jest to sprzeczne z dotychczasowym stanowiskiem armii w tej sprawie, i może być zapowiedzią, że Hitler ustąpi żądaniom Darrégo, którego popierają Göring i Goebbels. Oznaczałoby to ustąpienie Schachta. Razem z nim odeszliby zapewne Neurath, Schwerin-Krosigk i inni przedstawiciele umiarkowanego skrzydła. Co z tego wyniknie? Trudno powiedzieć.

Dzień dzisiejszy odznaczył się również tym, że przyszły listy z kraju. Pułkownik House pisze mi ze swojej letniej rezydencji w Manchester (Massachusetts), iż ma nadzieję, że w październiku podam się do dymisji i wrócę do kraju, gdzie będę mógł mu lepiej służyć niż w Niemczech. Noszę się z myślą o rezygnacji, ale chciałbym ją złożyć dopiero na wiosnę przyszłego roku. Żeby nie wiem jak się starać, niczego się tu nie osiągnie. Odpisałem pułkownikowi, że również w Stanach Zjednoczonych trudno mi będzie czeokolwiek dokonać. Nie mam kwalifikacji do pracy w aparacie państwowym, a przemówienia, które mógłbym ewentualnie wygłaszać, stałyby się zapewne źródłem nieporozumień, jak to się stało w zimie ubiegłego roku z moim przemówieniem w Baltimore.

2 sierpnia 1935. Piątek.

Wczoraj w Nowym Jorku tłum zaatakował niemiecki statek „Bremen”. Zerwana flaga okrętu została wrzucona do rzeki Hudson. Senator King zgłosił niedawno w Waszyngtonie wniosek, domagający się od rządu zerwania stosunków dyplomatycznych z Niemcami. A przewodniczący centrali związkowej American Federation of Labour Green wezwał wszystkich Amerykanów do zerwania z Niemcami stosunków handlowych. Gdyby tego jeszcze miało być za mało, żeby doprowadzić nasze stosunki z Niemcami do punktu wrzenia, to nie wiem doprawdy, co można by więcej dla osiągnięcia tego celu uczynić.

3 sierpnia 1935. Sobota.

Jeden z korespondentów przyszedł do mnie dziś rano i powiedział, że wczoraj wieczorem miał umówione spotkanie z pewnym wyższym oficerem Reichswehry, który mu oświadczył: „Sytuacja jest gorsza, niż pan to podaje w swoich reportażach i nasza propaganda dobrze o tym wie. W Saksonii w ciągu ostatnich paru dni zabitych zostało od 50 do 150 członków Stahlhelmu, którzy nie chcieli dać się aresztować. Ilu zabitych zostało przy tym członków SS, którzy mieli ich aresztować, tego nie wiem”. Wiadomość ta pochodzi ze sztabu generała Reichenau, który ma być wkrótce skierowany do jednej z prowincji niemieckich na stanowisko dowódcy nowo utworzonej dywizji. Trudno mi jest oczywiście ocenić, czy historia ta jest prawdziwa, czy też chodziło o skłonienie korespondenta do popełnienia dziennikarskiej gafy. W dzisiejszym telegramie do Waszyngtonu o sprawie tej nie wspominamy.

Wysłaliśmy natomiast telegram w sprawie wydalenia w tym tygodniu korespondenta włoskiego i szwajcarskiego i w sprawie gróźb wypowiedzianych pod adresem dwóch dziennikarzy holenderskich. Jak twierdzi poselstwo holenderskie, życiu ich zagraża niebezpieczeństwo.

6 sierpnia 1935. Wtorek.

Przyjechałem dziś z Martą do sanatorium Budingen w Konstancji, gdzie mamy zamiar dobrze sobie wypocząć.

26 sierpnia 1935. Poniedziałek.

Po trzech tygodniach spędzonych w Konstancji wyruszyłem dziś rano z powrotem do Berlina. Do Friedrichshafen dopłynąłem statkiem w ciągu dwóch godzin. Jeszcze jedna godzina i byłem już w Ulm, ale nie miałem czasu, żeby się zatrzymać i zwiedzić to słynne średniowieczne miasto. Do Augsburga zdążyłem dojechać akurat na lunch. Po lunchu wałęsałem się po przepięknym starym mieście. Największe wrażenie zrobił na mnie budynek, w którym mieścił się bank i biuro handlowe Jacoba Fuggera. Zajmuje on powierzchnię co najmniej dwóch akrów, a front budynku, wychodzący na główną ulicę miasta, jest długi na przeszło osiemdziesiąt jardów. Było to wszystko tak interesujące, że kupiłem sobie książkę z życiorysem tego pierwszego Morgana nowożytnej Europy. Zajrzałem do pięciu czy sześciu księgarni, ale widziałem tylko dwie książki hitlerowskie: *Mein Kampf* i wyklętą przez Kościół książkę Rosenberga o katolicyzmie i nowej niemieckiej wierze. Nie widziałem też więcej niż jakieś pięć hitlerowskich flag.

Przypominało to sytuację zaobserwowaną przeze mnie w Konstancji. W ostatnim tygodniu mego pobytu w tym starożytnym mieście rozlepione zostały na ulicach obwieszczenia, w których rząd niemiecki uroczyście przestrzegał katolików i zabraniał krytykowania ustroju hitlerowskiego w jakiegokolwiek formie. W ciągu trzech czy czterech dni wszystkie te obwieszczenia zostały zerwane, mimo że tego rodzaju czyny traktowane są przez prawo

niemieckie jako przestępstwo przeciwko bezpieczeństwu państwa. 25 sierpnia byłem w katolickiej katedrze. Nie było dość miejsc siedzących dla wszystkich, mnóstwo ludzi przez całe nabożeństwo stało. O 9.15 zaczęło się kazanie; ksiądz w zręczny sposób krytykował rząd i wzywał wiernych, żeby wychowywali swe dzieci w duchu katolickim, wyznawali publicznie swą wiarę i dawali świadectwo swej wierności Bogu. O 11-ej poszedłem do kościoła Św. Stefana, gdzie setki niemieckich żołnierzy zajęło zarezerwowane dla nich miejsca. Spodziewałem się, że usłyszę kazanie na temat wiary narodowosocjalistycznej lub też aprobaty hitlerowskiego ustroju przez katolików. Kościół był jeszcze bardziej przepełniony niż katedra, ale kazanie było niemal identyczne.

Boczne nawy były wypełnione ludźmi, którzy nie zdobyli miejsc siedzących. Zapytałem stojących koło mnie ludzi, dlaczego w kościele zebrała się taka masa wiernych. Odpowiedź brzmiała: „Tak jest zawsze we wszystkich kościołach”. Ludność Konstancji jest z pewnością bardzo religijna. Jeżeli osiem czy dziesięć pozostałych kościołów było wypełnionych w tym samym stopniu, to ogółem musiało być tego dnia na nabożeństwie przeszło dwadzieścia tysięcy wiernych. Nie mogłem pójść jeszcze do jakiegoś kościoła protestanckiego, ale mówiono mi, że „przychodzi do nich również bardzo dużo ludzi”. Raz wreszcie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat Niemcy robią wrażenie kraju naprawdę religijnego. A może w ten sposób przejawia się tylko opozycja wobec reżymu, którą Kościół w milczeniu przyjmuje do wiadomości?

O 11-ej bardzo zmęczony wsiadłem do wagonu sypialnego i pojechałem do Berlina. Nastrój panujący wśród ludności południowych Niemiec zrobił na mnie wielkie wrażenie. Nie widziałem nigdzie nazistowskiego entuzjazmu, a flag bardzo niewiele. Rolnicy i mieszkańcy miast robią wrażenie pochłoniętych pracą i żyjących w dobrobycie.

Trzy tygodnie urlopu, ścisła dieta, masaże i gimnastyka dobrze mi zrobiły. Bóle głowy ustały niemal całkowicie. Myślę jednak, że największą rolę odegrało nerwowe odprężenie, ruch na świeżym powietrzu i słońce.

27 sierpnia 1935. Wtorek.

Powrót do Berlina o 8-ej, w biurze o 10-ej. Na biurku stos listów. Zjawił się nowy ambasador włoski [Bernardo Attolico], żeby złożyć swoje uszanowanie przedstawicielowi rządu amerykańskiego. Przy okazji wspomniał o pewnej trudnej sprawie, którą ma do załatwienia. Chodzi o Żyda, znanego kolekcjonera dzieł sztuki włoskiej, który dostarczał ich rządowi niemieckiemu dla dekoracji wewnątrz w budynkach państwowych. Otrzymał on teraz nakaz opuszczenia Niemiec, jednak bez prawa zabrania ze sobą jakiegokolwiek majątku. Ambasador chciał się dowiedzieć, jakie są moje doświadczenia w tego rodzaju trudnych wypadkach. Nie mogłem mu powiedzieć nic pocieszającego. Wyjaśniłem mu, że nieraz starałem się przekonać hitlerowców, że powinni zaprzestać stosowania siły i brutalnego traktowania Żydów, ale mimo iż Ministerstwo Spraw Zagranicznych próbowało coś w tej sprawie zrobić, nie dało to wszystko żadnego wyniku. Ambasador powiedział, że w jego kraju w gruncie rzeczy nie ma zapału do prowadzenia wojny.

4 września 1935. Środa,

Po odwiedzeniu Londynu przyjechał tu pan Williams, przyjaciel lorda Astora i członek redakcji „Christian Science Monitor”. Powiedział mi, że Anglia ma wkrótce udzielić Niemcom pożyczki. Słyszałem już poprzednio, że coś takiego się szykuje i że w tych rokowaniach czynnie uczestniczy Schacht. W związku z rozbudową włoskiego potencjału wojennego Anglicy znaleźli się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Jeżeli pacyfistycznie nastrojona Anglia nie zacznie zaraz sama wojny lub nie zagrozi nią Mussoliniemu, Kanał Sueski będzie dla niej stracony.

9 września 1935. Poniedziałek.

Mieliśmy dziś na lunchu w charakterze honorowego gościa byłego ministra gospodarki dr Schmitta, bardzo interesującego człowieka. Ten zdolny i odważny Niemiec w swych publicznych przemówieniach niejednokrotnie pozwalał sobie na krytyczne uwagi. Obecnie jest dyrektorem związku towarzystw ubezpieczeniowych, ale o tym, że mieszka nadal w Berlinie, nie dowie się nikt z żadnej gazety. Z tego, co mówił, wyraźnie wynikało, że podobnie jak wszyscy Niemcy, ufa on, iż między Niemcami a Anglią nigdy już więcej nie dojdzie do zbrojnego konfliktu. W stosunku do agresywnej polityki Mussoliniego zajmuje stanowisko zdecydowanie negatywne. Na lunchu był również poseł egipski, który najwięcej boi się tego, że Włochy będą chciały zdobyć Kanał Sueski i podporządkować sobie Egipt. „Już od roku — powiedział — ostrzegam Anglików, iż to jest właśnie celem Duce”.

14 września 1935. Sobota.

Mieliśmy dziś w domu wizytę państwa S. R. Fuller. Fuller, który jest przyjacielem prezydenta Roosevelta, posiada rozległe interesy w branży sztucznego jedwabiu w Tennessee, współpracuje z producentami sztucznego jedwabiu w Holandii i Włoszech i jest również współwłaścicielem spółek tej samej branży w Niemczech, między innymi wielkiego zakładu przemysłowego w Hanowerze. Ostatnio zabroniono mu wstępu do tego zakładu. „Rząd niemiecki — powiedział Fuller — wykorzystuje prawdopodobnie nasze wynalazki i nie chce, żebym się o tym dowiedział.”

Był u mnie poseł holenderski i powiedział, że trzech holenderskich Żydów osiadłych w Niemczech otrzymało rozkaz zamknięcia swoich sklepów i opuszczenia Niemiec bez prawa zabrania ze sobą swego majątku. „Pojechałem natychmiast do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i oświadczyłem, że jeżeli Niemcy skonfiskują majątek trzech holenderskich Żydów, to mój rząd skonfiskuje majątek trzech Niemców zamieszkałych w Holandii. Obiecano mi odroczyć wykonanie decyzji do 1 stycznia.”

19 września 1935. Czwartek.

Wizyta nowego włoskiego ambasadora Attolico. Opowiedział mi ciekawe rzeczy o zjeździe w Norymberdze. Do udziału w nim został właściwie zmuszony. Hitler przyśpieszył przyjęcie ambasadora tak, żeby się z nim zobaczyć na dzień przed otwarciem zjazdu i móc go zaprosić osobiście. Attolico do Norymbergi pojechał i, jak twierdzi, zjazd okazał się bardziej interesujący, niż mógł przypuszczać. Jego zdaniem w Niemczech zaczyna tworzyć się kult Hitlera. Zgodziłem się z tym, ale dodałem, iż w grę wchodzi najwyżej 40 procent ludności. Ci ludzie uważają Hitlera za swego rodzaju Chrystusa i swoje uwielbienie wyrażają mu w formie na wpół religijnej. Jeżeli chodzi o katolików, to jestem przekonany, iż nawet w połowie nie są zwolennikami Hitlera. Podporządkowała mu się być może połowa protestantów, kalwini zaś nie sympatyzują nawet w jednej trzeciej. Dużo czasu poświęcił ambasador osobie Mussoliniego, którego bardzo nie lubi, chociaż wyraźnie tego nie powiedział. Wojnie w Abisynii jest przeciwny, wynikało to jednak tylko pośrednio z jego słów.

25 września 1935. Środa.

Przyszła Sigrid Schultz, żeby porozmawiać o bieżących wydarzeniach. Opowiedziała mi ciekawą historię o pewnym nauczycielu licealnym, którego zwolniono z pracy za to, że na lekcji historii powiedział, iż Fryderyk II popełnił pewne błędy. Nie będzie mu już nigdy wolno być nauczycielem.

27 września 1935. Piątek.

W nadziei, że uzyskam jakieś informacje w sprawie wojny włosko-abisyńskiej, która może lada chwila wybuchnąć, pojechałem do ambasadora francuskiego. Rozmawialiśmy przez pół godziny, ale tylko niewiele dowiedziałem się od niego, jakie jest właściwie stanowisko Francji. Coraz bardziej niepokoi go rozwój sytuacji w Niemczech, a także rozbicie opinii publicznej we Francji. Do Anglików szczególnej sympatii nie czuje.

Pojechałem następnie do ambasady brytyjskiej. Sir Eryk Phipps rozmawiał ze mną otwarcie, ale nic nowego mi nie powiedział. Przyznał tylko, że się bardzo obawia wybuchu wojny na Morzu Śródziemnym, gdzie jeden z jego synów jest oficerem na okręcie wojennym. Zgodził się ze mną, że w istocie rzeczy celem Mussoliniego jest opanowanie Kanału Sueskiego i Egiptu. Powiedziałem mu, że będzie to oznaczało początek upadku Brytyjskiego Imperium, podobnie jak to się stało z Holandią po 1713 r. Nie zaprzeczył, a ja ze swej strony tematu tego więcej nie poruszałem. Dla mnie jest rzeczą oczywistą, że jeżeli Włochy wygrają wojnę z Abisynią, Liga Narodów nie będzie już miała nic do powiedzenia, a sytuacja Anglii będzie się robić coraz trudniejsza. Jak to przykro, gdy się widzi, jak lider nowoczesnej cywilizacji traci swoją potęgę i prestiż. Kraj Szekspira i Milтона chyli się ku upadkowi.

7 października 1935. Poniedziałek.

Odbyłem dziś niecodzienną oficjalną rozmowę z dr Dieckhoffem w sprawie niemiecko-amerykańskiego traktatu handlowego z 1923 r. Rok temu Niemcy nie konsultując się ze mną wypowiedzieli art. 7 tego porozumienia. Postąpili tak w nadziei, że zmuszą przez to Stany Zjednoczone do wyrażenia zgody na korzystną dla siebie zmianę postanowień traktatu. Tak się jednak nie stało i dzisiaj zasiadliśmy obaj z namaszczonymi minami do stołu konferencyjnego, żeby podpisać sporządzony w dwóch egzemplarzach dokument stwierdzający anulowanie tej właśnie części traktatu, która dla Niemiec stanowiła jedyną szansę uzyskania ulg celnych na towary niemieckie eksportowane do Stanów Zjednoczonych. Po złożeniu podpisów i wyrażeniu sobie wzajemnie w przyjaznej formie ubolewania, rozstaliśmy się.

Trochę to dziwne, że Neurath musiał koniecznie wyjechać z Berlina na kilka dni właśnie w tym czasie, gdy wypadało mu odbyć ze mną to spotkanie. Zawiadomiłem go dwa tygodnie temu, że chciałbym przyjechać do Ministerstwa i podpisać wspólnie z nim wspomniany dokument. Uczynił tak minister Hull podpisując go wspólnie z ambasadorem Lutherem. Myślę, że Neurath dlatego kazał załatwić sprawę Dieckhoffowi, żeby wyrazić w ten sposób swoje niezadowolenie wobec Departamentu Stanu, a może i wobec mnie za to, że nie byłem na wielkiej partyjnej paradzie w Norymberdze. Oczywiście udałem, że tego prztyczka nie odczułem.

8 października 1935. Wtorek.

Przyszedł dziś do nas z kurtuazyjną wizytą pan Cudahy, ambasador amerykański w Polsce. W porównaniu z innymi znanymi mi dyplomatami zrobił na mnie wyjątkowo korzystne wrażenie. Gdy obejmował swoje stanowisko w 1933 r., brak mu było doświadczenia, ale od tego czasu dużo nad sobą pracował i wydaje mi się, że obecnie całkiem nieźle reprezentuje Stany Zjednoczone, mimo iż jest amerykańskim bogaczem. To, co mi mówił o rzeczach, które dzieją się w Waszyngtonie i Chicago, było dla mnie rewelacją. Chociaż jego pozycja jest w dużym stopniu niezależna, jest szczerym zwolennikiem Roosevelta i chce przyjechać w 1936 r. do kraju, żeby agitować za ponownym wyborem Prezydenta i ewentualnie ponieść związane z tym wydatki.

Wydaje mi się, że Cudahy'emu dobrze jest znana sytuacja w Polsce i jej stosunki z Niemcami. Żegnając się namawiał nas, żebyśmy przyjechali do niego na tydzień do Warszawy. Nie mogłem mu tego obiecać. Nie mam na to czasu, chociaż bardzo chciałbym pojechać do tej biednej Polski, zobaczyć ten biedny naród, który jeszcze w większym stopniu niż niemiecki niezdolny jest rządzić się demokratycznie.

10 października 1935. Czwartek.

Dziś na lunchu był u nas były ambasador Schurman i kilku interesujących Niemców, którzy znają go z czasów, gdy urzędował w Berlinie. Schurman był rektorem uniwersytetu im. Ezry Cornelia po tym, jak odszedł z tego stanowiska Andrew D. White, który poprzednio za prezydentury McKinleya rów-

niez był posłem amerykańskim w Berlinie. Schurman był w Berlinie od 1925 do 1930 r. Ma teraz 81 lat, ale wciąż jest jeszcze bardzo aktywny. Zależało mu bardzo, żeby się dowiedzieć, czy moim zdaniem powinien starać się o spotkanie z Hitlerem. Nie dałem mu na to wyraźnej odpowiedzi, ale poradziłem, żeby złożył wizytę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a wówczas względy kurtuazyjne mogą skłonić Kanclerza do zaproszenia go do siebie. Gdy Schurman był w Berlinie, w wyniku jego zabiegów uniwersytet w Heidelbergu otrzymał w darze od Amerykanów nowy budynek, dzięki czemu Schurman stał się w Niemczech bardzo popularny. Gdy Schurman odwiedził Berlin w 1933 r., zaprosił go do siebie Hindenburg i miał z nim długą rozmowę na temat stosunków amerykańskich i problemów niemieckich. Schurman szybko się zorientował, że nie powinien odwiedzać Hitlera, chociaż ja mu takiej rady nie udzieliłem. Ja mu tylko zaproponowałem, żeby odwiedził swoich znajomych w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Gdy przyszedłem trochę później niż zwykle do biura, dowiedziałem się, że za parę minut ma przyjść do mnie ambasador rosyjski. Nie widziałem, go już dość dawno. To bardzo miły i inteligentny człowiek, ale komunista. W Berlinie go się na ogół ignoruje, wyjątkiem jest tu ambasador francuski. Ucieszyłem się, że go zobaczę. W jakim celu do mnie przyszedł, nie mogłem zgadnąć, może liczył na spotkanie z ambasadorem Bullitem, który ma być u nas jutro; niestety, mieliśmy już skompletowane towarzystwo, a poza tym nie sądziłem, żeby Rosjanin mógł czuć się dobrze na tym przyjęciu, bo zaprosiliśmy również parę wybitnych niemieckich osobistości. W każdym razie rozmowa nasza trwała prawie godzinę. Dowiedziałem się, jak wielkie nadzieje pokłada on w Lidze Narodów, mimo że do Anglii odczuwa silną niechęć. Mam zamiar wkrótce go rewizytować.

14 października 1935. Poniedziałek.

Dr Schurman przyprowadził do mnie swego przyjaciela, Ben Smitha z Nowego Jorku. Po dłuższej rozmowie na temat sytuacji w kraju Smith z całą szczerością oświadczył: „Jestem nowojorskim spekulantom, ale równocześnie bliskim przyjacielem prezydenta Roosevelta”. Byłem trochę zaskoczony: po pierwsze dlatego, że przyznał się do takiej profesji, a po drugie, że taki człowiek jest zaufanym Prezydenta. Gdy wychodzili, dr Schurman zdążył powiedzieć mi na stronie, że jego przyjaciel Smith to sprytny spekulantom, bo w 1929 r. wbrew zaleceniom wszystkich banków sprzedał bez pokrycia ogromne ilości akcji i zarobił na tym ciężkie miliony. Czy to był odruch patriotyczny?

16 października 1935. Środa.

O 5-ej pojechałem na zorganizowany przez partię narodowosocjalistyczną podwieczorek w hotelu „Kaiserhof”. Hans Kerrl, minister wyznań religijnych, miał nam wyjaśnić stosunek partii do Kościołów ewangelickich w Niemczech. Kerrl jest przewidziany na następcę biskupa Rzeszy Müllera, który wsadził dziesiątki opornych protestantów do więzienia i przez to niesłychanie utrudnił rozwiązanie spornych problemów.

Obecnych było wielu członków korpusu dyplomatycznego, Francuzów, Anglików, Włochów i innych, jak również wielu niemieckich profesorów i ludzi nauki. Kerrl mówił przez półtorej godziny. Twierdził, że prawdziwymi chrześcijanami w Niemczech są tylko członkowie partii narodowosocjalistycznej i że wszyscy ludzie wierzący muszą prędzej czy później stać się chrześcijanami w stylu nazistowskim. Zapytałem mojego sąsiada, czy jego zdaniem Kerrl czytał w ogóle kiedykolwiek Kazanie na Górze. Uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Kerrl dowodził, że Hitler dokonał we współczesnym cywilizowanym świecie tego, czego dokonał Kopernik, gdy udowodnił, że ziemia jest okrągła a nie płaska, jak to sobie wyobrażali wszyscy chrześcijanie. Posługując się najprzeróżniejszymi naiwnymi argumentami, Kerrl doprowadził to porównanie do absurdu. Cały świat, twierdził, uzna w końcu doktrynę Hitlera, tak jak „nasi przodkowie uznali w końcu Kopernika”. To było po prostu kazanie, w którym Kerrl wezwał wszystkich do uznania nowego odkrycia.

Oklaski były słabe i rozległy się dopiero po zakończeniu przemówienia. Bardzo niewielu obecnych podniosło rękę do góry w odpowiedzi na pozdrowienie sali po hitlerowsku przez mówcę. W moim przekonaniu trzy czwarte słuchaczy nie wzięło tego przemówienia na serio.

18 października 1935. Piątek.

Dziś na lunchu siedziałem obok dr. Schachta. Obecnych było dwadzieścia Osób, Amerykanów i Niemców. Honorowym gościem był dr Schurman. Używając dość ostrych słów dr Schacht ujawnił swoje prowłoskie nastawienie głęboką niechęć do Anglii i Ligi Narodów. „Po co te sankcje?* Żeby pozbawić Włochy uzasadnionego prawa do posiadania własnych kolonii?” Okrucieństwem zaborcy obcego terytorium, zabijającego przy tej okazji tysiące ludzi, wydawał się Schacht absolutnie nie przejmować. Nie protestował formalnie przeciwko polityce Stanów Zjednoczonych, ale dał wyraźnie do zrozumienia, że jest jej przeciwny. Wydaje się, że obawia się przegranej Włoch, co mogłoby poważnie ograniczyć możliwości niemieckiej aneksji terytorialnych w przyszłości. Nigdy jeszcze, jak go znam, nie był tak wrogo nastawiony do Ligi Narodów.

20 Października 1935. Niedziela.

Nawet w niedzielę nie można tu odpocząć. Co niedziela przychodzę około 10 rano do biura. Czekam tam zawsze na mnie biuletyn radiowy o najświeższych wydarzeniach w Waszyngtonie i całym kraju, który trzeba dokładnie przeczytać. Czasem czeka telegram z żądaniem nadesłania określonych informacji, a przeciętnie co drugą niedzielę stos listów; trzeba je przeczytać i nie-raz natychmiast na nie odpowiedzieć. Ponieważ ambasada nie ma etatu stenotypistki, bardzo dużo listów muszę pisać własnoręcznie, a najlepsza pora do tego to niedziela.

* Agresja włoska na Abisynię zaczęła się 3 października 1935 bez wypowiedzenia wojny. Liga Narodów potępiła Włochy jako agresora 7 t.m. i uchwaliła 10 t.m. sankcje przeciw Włochom. Powołała w związku z tym komitet koordynacyjny, który m. in. postanowił, że sankcje obowiązywać będą od 18 listopada 1935 r. Sankcje, które nie były wobec Włoch w praktyce stosowane, zostały zniesione na mocy uchwały Zgromadzenia Ligi 15 lipca 1936.

Był dziś u mnie Fischer, korespondent nowojorskiego czasopisma „The Nation”. Przyjechał prosto z Moskwy, gdzie mieszka od wielu lat. Znając nastawienie „The Nation”, wkrótce po rozpoczęciu naszej rozmowy zauważyłem, że przekleństwem naszych czasów jest propaganda. Zrobił wrażenie lekko zakłopotanego i zapytał mnie, co mam na myśli. Opowiedziałem mu wówczas, co przeżyłem w związku z wizytą przedstawicieli Towarzystwa im. von Steubena z Nowego Jorku, którzy obwozili po całych Niemczech grupę około pięćdziesięciu amerykańskich Niemców, należących do partii narodowosocjalistycznej. Moja opowieść utrudniła Fischerowi argumentację w obronie propagandy komunistycznej, jeżeli bowiem uprawianie takiej propagandy w Stanach Zjednoczonych miałyby być uznane za rzecz godziwą, to analogiczne prawo należałoby przyznać propagandzie nazistowskiej i pozwolić jej narzucać swoje ideały naszemu społeczeństwu.

Fischer bardzo się wysiłał, żeby znaleźć coś na swoją obronę. Mówiliśmy o zniekształcaniu i pomijaniu faktów w dziełach historycznych, o tym, że każdy naród powinien znać prawdziwą historię swojej ojczyzny. Fischera zaskoczył szereg nieznanych mu faktów z dziejów naszego kraju; okazało się również, iż nie zna on właściwie dzieła Jeffersona. Nie wiedział, że Jefferson przez całe życie zabiegał o stopniowe zniesienie niewolnictwa. Wprawdzie Fischer cieszy się wielką poczytnością jako dziennikarz piszący o komunizmie, ale widać, że nie jest mu dobrze znana historia długiej walki o demokrację w Stanach Zjednoczonych. Nic nie wiedział o akcji propagandowej prowadzonej przez Lincolna w 1862 r. przy pomocy takich ludzi, jak Henry Ward Beecher, Harriet B. Stowe i dziesiątki innych. O 12.30 wyszedłem jak zwykle na godzinkę na spacer.

24 października 1935. Czwartek.

Senator James Hamilton Lewis z Chicago, który był tu przed miesiącem, wrócił z Moskwy, gdzie przez dwa czy trzy tygodnie leżał ciężko chory. Odwiedziłem go w hotelu „Adlon”, gdzie się zatrzymał. Wyglądał kiepsko. Wielokrotnie wyrażał mnie i mojej żonie wdzięczność za skierowanie do niego z Berlina pielęgniarki, a szczególnie za przesłanie mu płatków kukurydzianych, które w okresie rekonwalescencji po przebytych zapaleniu płuc były dla niego jedynym pożywieniem. Nie mógł ich dostać w Rosji, a nic innego przez pewien czas nie był w stanie strawić. Była to niezwykła historia. Pewnego dnia, o 12-iej w nocy, gdy wszyscy w domu już spali, zadzwonił telefon. Przedstawicielstwo „New York Times” błagało o wysłanie do Rosji płatków samolotem odlatującym o 7.30 rano. Telefon odebrała moja żona; była jedyną osobą w domu, która usłyszała dzwonek. Obiecała dać dwa pudełka, ale prosiła, żeby ktoś z „Timesa” odebrał je i zawiózł na lotnisko. Tak się stało i płatki poleciały do Moskwy. Senator stanowczo twierdził, że to mu uratowało życie.

25 października 1935. Piątek.

Dziś przed południem jedną z osób, które minie odwiedziły w biurze, był Robert H. Jackson, młody i bardzo zdolny prawnik z Ministerstwa Finansów w Waszyngtonie. Mówił mi otwarcie o wielkich trudnościach, jakie napotyka

prezydent Roosevelt, gdy stara się wytłumaczyć przedsiębiorstwom użyteczności publicznej i bankom, co należy zrobić, aby uniknąć nowej depresji gospodarczej i zaostrzenia problemów socjalnych. To, co powiedział o swoim szefie Morgenthau, brzmiało uspokajająco. Prezydent wie, z jakimi trudnościami Morgenthau walczy i że robi co może, aby unikać posunięć, które mogłyby przyczynić się do zwycięstwa republikanów w 1936 r. Jackson sądzi, że Roosevelt wygra, ale obawia się, że naród amerykański, nie orientując się w sytuacji gospodarczej kraju, wybierze Kongres, który nie będzie skłonny pomagać rządowi w jego konstruktywnej pracy. Ja się też tego obawiam, i to nawet gdyby Roosevelt wygrał równie dużą większością głosów co w 1932 r. Tak zdolnego i mądrego człowieka, jak Jackson, który by tu zawitał ze Stanów Zjednoczonych, już dawno nie widziałem.

O 5.30 przyszedł mój przyjaciel, prof. Wolfgang Windelband, i ze smutkiem powiadomił mnie, iż otrzymał polecenie opuszczenia swego obecnego stanowiska i przeniesienia się do Halle. Ale on raczej pada się do dymisji, niż usłucha tego drakońskiego rozkazu. „Gdybym pojechał do Halle, »Hitlerjugend« zorganizowałaby zaraz przeciwko mnie demonstrację, nikt ze studentów nie zapisałby się na moje wykłady i po paru miesiącach i tak zostałbym zwolniony z pracy.” Argument w pełni przekonywający.

Wzburzony i zakłopotany jednocześnie profesor zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy byłaby jakaś możliwość znalezienia dla niego zajęcia w Stanach Zjednoczonych. Nie mogłem mu nic więcej obiecać niż to, że napiszę parę ciepłych słów w tej sprawie do znanych mi rektorów wyższych uczelni w Ameryce. Mamy w kraju tak dużo młodych naukowców, którzy nie mają pracy, że nie mogłem mu robić zbyt wielkich nadziei.

Parę dni temu zostałem powiadomiony przez attache handlowego Millera, że rząd niemiecki wydał zarządzenie, na podstawie którego amerykańskie firmy produkujące samochody, maszyny do pisania i maszyny do szycia utraciły prawo przesyłania bezpłatnych części zamiennych do swoich filii położonych w Niemczech. Oznacza to, że 60 tysięcy amerykańskich samochodów w tym kraju będzie musiało być reperowanych przez Niemców. Ale Niemcy nie mogą reprodukcować tych części, które są objęte amerykańskimi patentami. W wypadku więc konieczności dokonania jakiejś poważniejszej naprawy właściciele uszkodzonych amerykańskich samochodów będą zmuszeni nabywać nowe wozy produkcji niemieckiej. Przypomina to amerykańską barierę celną z 1930 r. i z pewnością wywoła w Stanach Zjednoczonych reakcję w postaci głosów domagających się dalszej dyskryminacji niemieckich towarów.

2 listopada 1935. Sobota.

Odwiedziłem dziś dr. Schmitta, byłego ministra gospodarki. Żeby nie zwracać możliwie niczyjej uwagi, pojechałem do jego biura taksówką. Schmitt to dla mnie jedyny członek rządu Hitlera, który jest prawdziwym mężem stanu, chociaż Schacht to też finansowy czarodziej pierwszej klasy. Traktując sprawę jako ściśle poufną, opowiedziałem Schmittowi o tym, co spotkało profesora Windelbanda. O tym wypadku nie słyszał, ale znane mu są plany Rosenberga i Franka, którzy chcą zmusić profesorów uniwersyteckich, żeby zamiast historii uprawiali w nauczaniu i pisaniu propagandę. Nazwał to szaleństwem, ale dodał, że rzecznikiem tej koncepcji jest sam Hitler. Mimo to postara się wpłynąć na niego hamująco, gdy się znowu z nim zobaczy. Mnie

prosił, żebym porozmawiał w sprawie Windelbanda z Neurathem. Powiedziałem, że nie wypada mi o tym z nim mówić, gdyż sprawa jest ściśle personalna i nie ma charakteru urzędowego. Dodałem jednak, i Schmitt się ze mną zgodził, że stosunki pomiędzy Niemcami a Stanami Zjednoczonymi nie mogą ulec poprawie tak długo, dopóki tacy ludzie jak Rosenberg i Frank nie zmieniają swego postępowania.

Zdaniem Schmitta Niemcy znajdują się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, szczególnie w dziedzinie finansowej. Wynika to z faktu, iż ogromną część dochodu narodowego przeznaczają się na zbrojenia. Z całą szczerością oświadczył, że niemiecka polityka zmierza ku wojnie i dodał, że wojna sprowokowana przez Niemcy skończyłaby się dla nich jeszcze gorszą katastrofą niż w 1918 r. Utrzymał, że jedyną drogą ratunku dla Niemiec jest powrót do Ligi Narodów i polepszenie stosunków handlowych z Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Zauważyłem, że narodowy socjalizm jest przeciwny takiej polityce. Zgodził się ze mną, ale dodał, że Hitler jest obecnie bardziej niż kiedykolwiek skłonny do dyskusji na ten temat i że pewien zwrot w tym kierunku można zauważyć w stanowisku dr. Schachta. Wręcz coś przeciwnego usłyszałem od Schachta w czasie naszego ostatniego spotkania i dlatego słowa Schmitta absolutnie mnie nie przekonały. Według Schmitta Niemcy muszą mieć kolonie i Anglia chętnie im je przyzna za pośrednictwem Ligi, jeżeli Niemcy do niej wrócą. Włochy natomiast powinny ponieść klęskę, gdyż inwazja Abisynii nie jest właściwą drogą rozszerzania posiadłości kolonialnych.

7 listopada 1935. Czwartek.

O 7-ej, razem z francuskim ambasadorem i jego małżonką, zajęliśmy miejsca w jednym z berlińskich teatrów. W programie była słynna sztuka Goethego *Egmont*. Hitler zjawił się punktualnie, a razem z nim Göring. Publiczność wstała na ich powitanie, ale oklaski były raczej słabe. Nie wykręcano się w krzesłach i nie wołano „Heil Hitler!”, jak to niejednokrotnie mogłem dawniej zaobserwować. Gdy Hitler spojrzał w naszą stronę, ukłoniliśmy się mu, ale oczywiście nie po hitlerowsku.

Następnie zaczęło się przedstawienie. Orkiestrą dyrygował przywrócony do łask Furtwängler. Trwało to godzinę. Wykonanie było dobre. Nastąpiła przerwa. Zaproszone towarzystwo ruszyło w kierunku łoży, w której spodziewało się zastać i powitać Hitlera i Göringa. Ale nie było ich nigdzie widać, natomiast u wejścia do łoży stał dr Goebbels, który witał się serdecznie z każdym, kto się do niego zbliżył. Większość z nas podeszła do niego, o żadnej jednak poważniejszej rozmowie nie mogło być oczywiście mowy.

Zapytałem żartem Ribbentropa, co robi dla uratowania pokoju w Europie. Odpowiedział: „Wszystko, co tylko mogę”, nie chciał jednak poza tym mi nic powiedzieć, mimo iż od tygodnia czy dwóch wszyscy mówią, że prowadzi jakieś rokowania z tajnymi wysłannikami francuskiego ministra spraw zagranicznych Laval'a. „Te rokowania — powiedział mi François-Poncet — faktycznie się toczą, ale o co konkretnie chodzi, tego nie wiem. W najbliższym czasie nie należy się jednak niczego spodziewać.” Czuję, że z chwilą gdy Mussolini zostanie zmuszony do ugody, między Francją, Anglią i Niemcami dojdzie jednak do jakiegoś porozumienia.

12 listopada 1935. Wtorek.

Następnym interesantem był Cornelius Lothrop, który twierdzi, że jest członkiem sławnej bostońskiej rodziny tego imienia. Oświadczył, iż w kraju nie mógł znaleźć pracy i wobec tego przyjechał do Berlina, żeby uczyć Niemców angielskiego. Prosił o zapomogę, która by mu pozwoliła przetrwać do 1 stycznia, kiedy to spodziewa się otrzymać odpowiednią posadę. Uważałem, że powinienem mu odmówić. Może źle postąpiłem, ale tak dużo osób przyjeżdża tu w podobnych celach, zwłaszcza śpiewaków.

Po południu przyszedł John L. Spivak. Przyniósł ze sobą pismo od jednego z moich przyjaciół w Chicago, R. M. Lovetta, i prosił, żeby mu ułatwić zdobycie informacji potrzebnych do napisania książki o Włoszech, Niemczech i Polsce. Zapytałem, dlaczego nie o Rosji? Spivak zyskał sobie w zeszłym roku w zimie wielki rozgłos w kraju, gdy napisał książkę o propagandzie uprawianej w Stanach Zjednoczonych przez Niemców. Powiedziałem więc, że teraz powinien napisać o Rosji, gdyż inaczej uznany zostanie za wroga Niemiec i rusofila. Trochę go tym zaskoczyłem. Co do Niemiec udzieliłem mu w zaufaniu pewnych informacji i wskazałem, z kim powinien porozmawiać. Poradziłem mu, żeby się wybrał w podróż po kraju i używając języka niemieckiego, starał się wywiedzieć o wszystkim na własną rękę. Wyraził obawę, że mogą go aresztować i trzymać później w więzieniu w całkowitej izolacji od świata. Byłem skłonny przyznać mu w zasadzie rację, gdyż wielu podobnych do niego ludzi zostało już wydalonych z Niemiec lub też bez sądu zamkniętych w więzieniu.

13 listopada 1935. Środa.

Posel holenderski to mój dobry znajomy, więc go dzisiaj zapytałem, jak się zapatruje na sprawę kontaktowania się z Hitlerem, Göringiem lub Goebbelsem. Posel odrzekł, że z Hitlerem nigdy nie rozmawiał i nigdy nie przyjmował zaproszeń na organizowane przez tych panów widowiska i przyjęcia. Co do mnie, to nie rozmawiałem z Hitlerem od 6 lutego 1934 r., a z Göringiem od czerwca tego samego roku. Goebbels podejmował nas u siebie obiadem na początku czerwca 1934 r. Z uwagi na zajmowane przeze mnie w Niemczech stanowisko, trudno by mi było powstrzymać się całkowicie od stosunków towarzyskich z członkami triumwiratu. Ci ludzie rządzą Niemcami, a ja reprezentuję tutaj Stany Zjednoczone. Podawanie jednak ręki tym notorycznym mordercom, którzy nawet nie próbują ukrywać swych zbrodni, budzi we mnie uczucie głębokiego upokorzenia. Mam zamiar pójść w ślady posła holenderskiego pod koniec mojej służby w Berlinie, co przypuszczalnie nastąpi w maju 1936 r.

16 listopada 1935. Sobota.

Byliśmy dziś na lunchu u ambasadora włoskiego. W sali recepcyjnej było zimno, temperatura wynosiła około 60° Fahrenheita. W sali jadalnej nie było dużo cieplej. Czuję się nieswojo, podobnie jak we wrześniu u profesora Windelbanda. Pałac ambasadora to wielki i cudownie wyposażony budynek.

Musi poważnie obciążać finanse kraju, który winien jest Stanom Zjednoczonym około dwóch miliardów dolarów i nawet nie przeprosi, że odsetek absolutnie nie płaci. Meble i obrazy przedstawiają wielką wartość, wszystko jest piękne i w dobrym guście, ale gdybym był włoskim ambasadorem, wstydziłbym się zapraszać do siebie przedstawiciela rządu amerykańskiego. Wyszedłem wcześniej, bo czułem, że grozi mi przeziębienie. W domu położyłem się do łóżka i profilaktycznie zażyłem aspirynę.

19 listopada 1935. Wtorek.

O 11.30 złożyłem wizytę ambasadorowi radzieckiemu w jego wspaniałym pałacu, dużo większym od siedziby ambasadora włoskiego. Ale u progu powitał mnie tylko jeden kamerdyner, podczas gdy inne ambasady trzymają znacznie więcej służby. Zaprowadził mnie do gabinetu ambasadora, nie zdradzając najmniejszej chęci otrzymania napiwku. Ambasada radziecka to chyba jedyne miejsce w Berlinie, gdzie nie trzeba za każdym razem dawać służbie pięćdziesięciu fenigów lub całej marki napiwku.

Ambasador powrócił właśnie z Moskwy, gdzie panuje zaniepokojenie z powodu japońskiej inwazji w północnych Chinach*. Powiedziałem mu, że gdyby rząd rosyjski dotrzymał swych obietnic z 1933 r., to prezydent Stanów Zjednoczonych i rząd angielski skierowaliby zapewne wspólny protest do rządu w Tokio i to zapobiegłoby chyba japońskiej agresji. Nie przyznał mi głośno racji, ale jestem przekonany, że się ze mną zgodził. „Gdyby te państwa — dodałem — zaprotestowały i zagroziły Japonii bojkotem, działania wojenne musiałyby ustać.” Oświadczył, że przekaże zaraz moje uwagi telegraficznie do Moskwy. „Gdy będzie pan to robił — powiedziałem — proszę nadmienić, że to tylko moja prywatna opinia.”

21 listopada 1935. Czwartek.

Był dziś u mnie przed południem z krótką wizytą jeden z rzeczoznawców Ministerstwa Pracy w Waszyngtonie. To jeden z tych wielu Amerykanów, którzy chcą poznać Niemcy nie znając niemieckiego języka. Wydaje mi się, że jest to człowiek dobrze zorientowany w swojej specjalności i wyjątkowo bezpretensjonalny.

25 listopada 1935. Poniedziałek.

Był u mnie dziś rano ambasador Bullitt z Moskwy. Widać po nim, że się pozbył choroby, która go gnębiła, gdy był w Berlinie we wrześniu. Jego wypowiedzi na temat Rosji były całkowicie sprzeczne z tym, co mówił o niej w czasie przejazdu przez Berlin w roku ubiegłym. Wówczas był pod każdym względem nią zachwycony. Ale Bullitt jest dziedzicem wielkiej fortuny i hoj-

* Dn. 17 listopada 1935 r. generał japoński Doihara zwrócił się do władz chińskich z ultimatum, w którym domagał się utworzenia autonomicznej republiki północnochińskiej. Japońskie MSZ dezawuowało go 20 listopada.

nie wspierał Roosevelta w kampanii wyborczej z 1932 r. Ja ofiarowałem wówczas 25 dolarów.

Jedną z rzeczy, które Bullitt mi powiedział, a które mnie zdziwiły, było to, że gdy wyjeżdżał z Moskwy na jesieni ubiegłego roku, prezydent Roosevelt polecił mu udać się do Chin i zorientować w zamiarach i aktywności Japończyków na Dalekim Wschodzie. Bullitt twierdzi, że jeżeli Japończycy będą chcieli całkowicie opanować północną część kraju, Chiny stawiają im zdecydowany i zażarty opór. Jeden tylko chiński generał, który ma tam pod swoim dowództwem 100 tysięcy żołnierzy, może zniszczyć cały japoński korpus ekspedycyjny. Trudno mi w to uwierzyć. Bullitt oświadczył, że Rosja nie ma się co kurczowo trzymać terytorium, które na kształt półwyspu wychodzi pod Władywostokiem na Morze Japońskie. Zostanie ono wkrótce w całości zajęte przez Japonię. „Czy pan by się zgodził — zapytałem — żeby zgodnie z niemiecką koncepcją, państwo rosyjskie, posiadające 160 milionów mieszkańców, zostało pozbawione dostępu do Oceanu Spokojnego i prawa żeglugi na Morzu Bałtyckim?” Odpowiedział: „To mi jest całkowicie obojętne”. Musiałem mu wówczas przypomnieć, że przecież takie traktowanie Rosji w ciągu ostatnich dwustu lat było właśnie przyczyną szeregu wojen. Dał mi krótką odpowiedź: „Irlandia też blokuje Anglii wyjście na ocean”.

Byłem zdumiony tymi wypowiedziami poważnego dyplomaty, który w 1933 r. w dużym stopniu przyczynił się do uznania Rosji przez Stany Zjednoczone. Prezydentowi jest chyba znana mentalność tego człowieka, ale w takim razie jakże mógł mianować go swoim ambasadorem w Związku Radzieckim?

VIII. OD 26 LISTOPADA 1935 DO 1 LUTEGO 1936 ROKU

26 listopada 1935. Wtorek.

Oto historia nowych kłopotów Schachta, o których dowiedziałem się z poufnego francuskiego źródła:

Uwagę Schachta zwrócił fakt przedostawania się za granicę bez jego zezwolenia dużej ilości niemieckich banknotów i zaczął się tą sprawą interesować. Finansowych szczegółów tej sprawy dokładnie nie zrozumiałem. Podejrzewając nadużycia, Schacht zaczął kontrolować transporty węgla idące za granicę. W toku tej kontroli wykryto pod węglem stare pudła i inne opakowania, w których, jak się wydaje, Żydzi próbowali przemycać swoje pieniądze za granicę. Ale wszystko to było za mało, żeby wytłumaczyć kolosalny obieg niemieckiej waluty w obcych krajach. Z kolei Schacht zaczął podejrzewać o przeciek niemieckie czynniki oficjalne. Oznaczył specjalną numeracją banknoty przedstawiające wartość setek tysięcy marek, które miały być wypłacone Rosenbergowi, Himmlerowi i Goebbelsowi. Banknoty te wkrótce potem pojawiły się za granicą i wystarczyło trochę szpiegowskich manipulacji, żeby stwierdzić, iż wymienieni trzej panowie finansowali swych agentów zagranicznych nie tylko za pomocą pieniędzy przyznanych im oficjalnie na cele propagandowe przez Schachta, ale że przesyłali im ponadto kolosalne sumy uzyskiwane z innych źródeł, mimo że zgodnie z zarządzeniami Schachta pieniędzy tego rodzaju nie wolno było wywozić z kraju.

Rozwścieczony Schacht pobiegł do Hitlera i oświadczył, że cały ten proceder musi natychmiast ustać, bo inaczej Niemcy zbankrutują. Hitler nie zajął jeszcze w tej sprawie stanowiska i w związku z tym można się obawiać o dalsze losy Schachta.

27 listopada 1935. Środa.

Max Warburg poinformował mnie dzisiaj, że czynione przez niego i dr. Schachta wysiłki, aby ulżyć Żydom w ich ciężkiej sytuacji finansowej, nie przyniosły żadnego rezultatu. To, co mi powiedział o nadużyciach finansowych, a zwłaszcza o praktykach grupy Goebbelsa, pokrywa się z informacjami otrzymanymi przeze mnie z innych źródeł.

28 listopada 1935. Czwartek.

Był u mnie dziś przez godzinę Thomas J. Watson z Nowego Jorku, businessman, który od kilku wielkich koncernów otrzymuje uposażenie wynoszące

łącznie kwotę tysiąca dolarów dziennie. Dziwna rzecz, ale jest on zdecydowanym zwolennikiem Roosevelta. Uważa, że jeżeli wielki business będzie w dalszym ciągu dążył do zniszczenia demokracji w Stanach Zjednoczonych, doprowadzi to w końcu do rewolucji, która zabierze businessmenom cały ich majątek. Watson popiera wprowadzenie stawek podatku dochodowego na wzór Wielkiej Brytanii, gdzie są one bardzo wysokie, i jest za obniżeniem taryf celnych. Nie zgadza się ze stanowiskiem Newtona Bakera i Johna W. Davisa, którzy występują przeciwko federalnej ustawie o przedsiębiorstwach użyteczności publicznej.

29 listopada 1935. Piątek.

Herr Carl Trutz zaprosił nas na dzisiejszy wieczór do swego domu na obiad. Poza nami było jeszcze trzydziestu gości, wśród nich kilku profesorów uniwersytetu wraz z małżonkami. Ile razy rozmowa schodziła na temat obecnego ustroju w Niemczech, tyle razy dawały się słyszeć głosy wielkiego niezadowolenia. Ani jedno słowo nie padło w obronie reżymu. Siedziałem w jednym końcu sali jadalnej, a moja żona w drugim. Słyszała wokół siebie tyle krytycznych wypowiedzi, że starannie unikała jakichkolwiek słów, które mogłyby zdradzić jej własne poglądy. Ja mogłem sobie pozwolić na trochę więcej swobody. Biedni ci Niemcy!

Na zakończenie całodzienniej ciężkiej pracy pojechaliśmy do hotelu „Adlon”, gdzie zostaliśmy zaproszeni przez zagranicznych dziennikarzy na kolację i dancing. Marcie towarzyszył ks. Ludwik Ferdynand. Pojechał nawet razem z nami naszym samochodem, mimo iż mu w delikatnej formie tego odradzałem. Obawiałem się, że może mieć z tego powodu jakieś przykrości. Ale on się uparł i postawił na swoim. Gdy weszliśmy wszyscy razem do wielkiej sali restauracyjnej, wyczułem wśród gości pewne zaskoczenie. Przy stole po prawej stronie miałem Frau Sahm, małżonkę byłego burmistrza Berlina; sam burmistrz siedział po lewej stronie Siegrid Schultz, występującej na tym przyjęciu w charakterze gospodarza wieczoru. Biedni państwo Sahm byli bardzo zmartwieni i rozmowa z nimi przybierała chwilami ton rozpaczliwy. Sahm był przodującym niemieckim burmistrzem, przez trzydzieści lat sprawował rządy w różnych miastach. Ponieważ nie był dostatecznie żarliwym członkiem partii, za zgodą Hitlera został przeniesiony na emeryturę.

Naprzeciwko mnie siedział Herr Lewald, organizator Olimpiady. On też nie może być zbyt wesoły, skoro zza oceanu dochodzą wieści, że Amerykanie mogą nie wziąć udziału w tej wielkiej imprezie zaplanowanej na lato przyszłego roku. O tej sprawie nie mogłem z nim rozmawiać. Lewald ma w sobie jedną czwartą krwi żydowskiej. Fakt ten został dopiero niedawno ujawniony i podany do powszechnej wiadomości przez prasę. Ciekawy jestem, co on naprawdę myśli. W styczniu 1935 r. zwrócił się do mnie pewien przedstawiciel niemieckiego rządu w Ameryce z prośbą o dopomożenie mu w uzyskaniu zgody amerykańskiego Ministerstwa Wojny na zakup nowego modelu karabinu produkowanego przez zakłady wojskowe w Springfield. Była to dla mnie dziwna prośba, wydawało mi się bowiem, że tego rodzaju sprawy powinny być załatwiane bezpośrednio z naszym Ministerstwem Wojny. Ale Niemiec wyjaśnił mi, że broń ta jest potrzebna do „celów treningowych” niemieckiemu Komitetowi Olimpijskiemu.

Przy sąsiednim stole siedzieli ambasadorowie rosyjski i brytyjski, którzy

prawie wcale nie odzywali się do siebie, oraz François-Poncet, który, jak się zdaje, zna dobrze jednego i drugiego. Biedny Rosjanin, chyba najtęższy mózg wśród dyplomatów akredytowanych w Berlinie, był niemal całkowicie osamotniony. Podszedł jednak i przywitał się z nim ks. Ludwik Ferdynand, który uprzednio powiadomił Miss Schultz, że nie będzie mógł usiąść przy jej stole, jeżeli znajdzie się tam Rosjanin; uzasadnił to tym, że komuniści stracili w 1917 r. spokrewnioną z nim rodzinę cara. Moim zdaniem rosyjski ambasador nie jest komunistą z przekonania. Obojętnie zachowywał się wobec Rosjanina również Neurath, mimo że siedział naprzeciwko niego. Gdy byliśmy ostatnim razem w rosyjskiej ambasadzie, Neurath był dla ambasadora bardzo serdeczny, a równie przyjazne uczucia okazywało mu wielu z przybyłych tam najwyższych przedstawicieli niemieckiej armii. W tym czasie mówiło się dużo o układzie rosyjsko-niemieckim; poza tym starsze pokolenie Niemców, pamiętające czasy Bismarcka, było i jest nadal w pewnym stopniu prorosyjskie.

1 grudnia 1935. Niedziela.

Przyjęcia nie mają końca. O 9-ej udaliśmy się do rezydencji posła szwajcarskiego, gdzie zastaliśmy moc gości i chyba 15-osobową orkiestrę. Przez dwie godziny słuchaliśmy Bacha i innych kompozytorów niemieckich z XVIII wieku. Było to bardzo piękne, ale za mało się znam na tego rodzaju muzyce, żebym mógł się w pełni nią delektować. Najwięcej podobał mi się Bach. Gdy orkiestra przestała grać, obdarzono ją długotrwałymi oklaskami, po czym wszyscy zaczęli się cisnąć do jadalni, gdzie zrobiło się tak tłoczno, że wprost nie można było się w niej poruszać. Goście jedli i pili przez godzinę, ja się zaraz wycofałem. Do domu wróciliśmy parę minut po 12-ej. Muszę powiedzieć, że poseł szwajcarski i jego żona byli, jak zwykle, niezmiernie mili i gościnni. W Berlinie są już wiele lat i obecną sytuacją bardzo się przejmują.

2 grudnia 1935. Poniedziałek.

Przyjechał nowy radca ambasady, który ma przejąć pracę po opuszczającym nas panu White. Nowy radca nazywa się Mayer, pochodzi z Indianapolis; był trzy lata na placówce w Genewie. Udałem się z nim do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie przedstawiłem go Bülowowi i dr Dieckhoffowi. Rozmowa była bardzo przyjemna.

3 grudnia 1935. Wtorek.

Był u mnie przeszło godzinę sir Alexander Lawrence, Anglik o dość znanym nazwisku. W polityce niemieckiej orientuje się mniej więcej tyle, co przeciętny Niemiec nie należący do sfer rządzących. Zapytałem go o stanowisko Wielkiej Brytanii w sprawie embargo na dostawę ropy naftowej do Włoch. Odpowiedział, że aprobeuje je całkowicie i wyraził nadzieję, iż Anglia, Francja i Stany Zjednoczone utworzą jednolity front, który zmusi Włochy do

ustąpienia i spowoduje ewentualnie upadek Mussoliniego. Lawrence ma mieszkanie na zimę, o ile sobie przypominam, gdzieś w okolicach Florencji. Gdy ostatnio tam przebywał, miejscowa ludność otwarcie krytykowała i potępiała wojenną politykę rządu. Lawrence jest przekonany, że Włosi chętnie pozbędą się Duce, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja.

Jeżeli chodzi o Niemcy, to jest przekonany, że przedstawiony w *Mein Kampf* przez Hitlera plan zaboru dużych obszarów Rosji jest nadal aktualny. Powiedział również, że Anglię interesują w daleko większym stopniu Niemcy niż Włochy. Zgadza się z ministrem Edenem, że należy utrzymać embargo na dostawę ropy naftowej tak długo, póki Włochy się nie załamają. Wyraził nadzieję, że w tej sprawie można będzie pozyskać współpracę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Odpowiedziałem mu na to, że sankcje byłyby pożyteczne i prawdopodobnie byłyby stosowane, gdyby Anglia postępowała zgodnie z tym, co mówi. Poruszyłem następnie sprawę stanowiska Anglii wobec agresji japońskiej. Lawrence rzekł: „Odmawiając współpracy ze Stanami Zjednoczonymi po zagarnięciu Mandżurii przez Japonię w 1931 r. sir John Simon popełnił największy błąd w historii naszej dyplomacji od czasu utworzenia Ligi Narodów”.

Z kolei poruszyliśmy temat wojny światowej. Jego zdaniem Niemcy przegrałyby wojnę, nawet gdyby Wilson nie przystąpił do niej w 1917 r. Dziwny to pogląd jak na tak doświadczonego i inteligentnego obserwatora. Nikt zdaje się w Anglii już nie pamięta, że w marcu—kwietniu 1918 r. Francja była bliska załamania i że właśnie w tym czasie zaczęło przybywać miesięcznie do Francji 300 tysięcy amerykańskich żołnierzy. Dzięki temu można było powstrzymać rozpoczętą około 18 marca wielką ofensywę Hindenburga i Ludendorffa. Nikt chyba w Anglii nie dostrzegł w tym zasługi Stanów Zjednoczonych, nigdy też nie słyszałem, by jakiś Francuz przyznał, że kraj jego został uratowany przez Woodrowa Wilsona, choć każdy Niemiec powie: „To Wilson nas pobił, ten perfidny Wilson!”

5 grudnia 1935. Czwartek.

Był dziś u nas na lunchu pułkownik Edward A. Deeds, obywatel Akron (Ohio) i Nowego Jorku, prezes ewentualnie dyrektor dwudziestu wielkich amerykańskich koncernów przemysłowych; należy do nich National Cash Register i National City Bank. Było też około dwudziestu innych gości, Amerykanów i Niemców, wśród nich James Hazen Hyde. Deeds zawarł z pewną niemiecką firmą umowę na dostarczenie jej amerykańskich patentów lotniczych; na podstawie tego porozumienia Niemcy będą mogli wyprodukować sto samolotów i sprzedać je Włochom, odstępując część zysku Amerykanom. Wydaje mi się, że byłoby to sprzeczne z duchem sierpniowej ustawy o neutralności Stanów Zjednoczonych*. Ale w objętej nastrojami wojennymi Euro-

* Dn. 22 sierpnia 1935 r. Kongres uchwalił rezolucję o neutralności Stanów Zjednoczonych, która zyskała moc prawną po podpisaniu jej przez Roosevelta 31 sierpnia t.r. Ważna na okres 6 miesięcy zakazywała eksportu materiałów wojennych oraz ich transportu na statkach amerykańskich do portów obu stron wojujących. Dalsze ustawy z 17 i 18 lutego 1936 r. (podpisane przez Roosevelta 29 lutego t.r.) przedłużyły o 14 miesięcy (do 1 maja 1937) postanowienia ustawy z sierpnia 1935 r., a ponadto uzupełniały ją zakazem udzielania pożyczek stronom wojującym. Ustawy nie miały zastosowania do krajów kontynentu amerykańskiego.

pie tego rodzaju rzeczy są na porządku dziennym. W sprawie transakcji Deedsa wysłałem parę dni temu telegram do Waszyngtonu. Wiadomość o niej otrzymaliśmy poufną drogą od pewnego Niemca zatrudnionego w przemyśle lotniczym.

Deeds mówił tak, jakby był bliskim przyjacielem Roosevelta i autentycznym amerykańskim demokratą. To jeden z tych amerykańskich bogaczy, którzy śladem Japończyków obracają się w europejskich sferach przemysłowych i nie licząc się z interesami własnego kraju, handlują materiałami wojennymi, osiągając przy tym ogromne zyski. Jak odnosić się do tego rodzaju osób, które uparcie twierdzą, że są naszymi najlepszymi przyjaciółmi? Dwadzieścia osób mówiło przez dwie godziny, ale niczego nie powiedziało. To jedna z ciemnych stron życia towarzyskiego dyplomatów.

6 grudnia 1935. Piątek.

Byliśmy na obiedzie u słynnego dr Maxa Seringa, przyjaciela ministra Wallace'a i wybitnego znawcy ekonomiki rolnej. Na lewo ode mnie siedziała pani Sering, a na prawo hrabina Tirpitz, wdowa po słynnym admirał, który tak wybitnie przyczynił się do szybszego przystąpienia Ameryki do wojny światowej. Przez cały wieczór goście wypowiadali się z całkowitą swobodą.

Jedna z pań otwarcie wyznała, że liczy na mnie, iż nie dopuszczę do przyjazdu sportowców amerykańskich na Olimpiadę, która ma się odbyć w lecie przyszłego roku w Berlinie. Wypowiedź bardzo ryzykowna. Inna pani stawiała sprawę jeszcze wyraźniej: opisując uroki swej rezydencji w Alpach Bawarskich oświadczyła, że nie wyobraża sobie, aby mogła żyć w Berlinie pod rządami Hitlera. Ostro skrytykowała nie ustające i zaskakujące swym rozmachem przygotowania wojenne. Chociaż kiedyś była ściśle związana z autokratycznym reżymem Hohenzollernów, teraz uważa, że wojna to straszna rzecz, która nie powinna już nigdy więcej się wydarzyć. O Mussolinim wyrażała się z największą pogardą. Było rzeczą jasną, że prawie wszyscy podzielali jej poglądy. Ja dużo nie mówiłem.

Przed wyjściem zamieniłem jeszcze parę słów z dr Seringiem. Odchodząc od tematu ogólnej rozmowy, tj. narzekania na obecny ustrój, oświadczył: „Gospodarka niemiecka powinna zainteresować się Bałkanami, mogłaby tam wymieniać swoje artykuły przemysłowe na produkty rolne”. Chciałem mu na to powiedzieć, ale się powstrzymałem, że w wyniku prowadzonej przez Hitlera polityki gospodarczej i kiepskiego funkcjonowania systemu handlu wymiennego Niemcy wytwarzają niemal wszystkie potrzebne im artykuły żywnościowe, w związku z czym państwa bałkańskie nie mają możliwości sprzedawania im swego mięsa i zboża.

„Za handlem — dodał — musi oczywiście iść współpraca polityczna.” Dyskusji na ten temat nie podjąłem, gdyż nie chciałem mu przypominać, że to właśnie kajzerowska polityka ekspansji w kierunku Konstantynopola była głównym powodem wybuchu wojny światowej. W Niemczech nie tylko nacjonałiści, ale również ludzie o poglądach umiarkowanych, instynktownie popierają myśl anektowania pewnych obszarów na Bałkanach i politycznego podporządkowania sobie państw bałkańskich. Podobnie myśli Mussolini, który w gruncie rzeczy uważa za swoją własność Morze Śródziemne i przylegające do niego państwa, z wyjątkiem może tylko Francji.

9 grudnia 1935. Poniedziałek.

Byliśmy na obiedzie u dr. Dietricha, ministra finansów za czasów Brüninga. Zebrało się około 30 osób, byłych wyższych urzędników i ludzi nauki. Wypowiedzi były równie krytyczne i pesymistyczne, jak w czasie dwóch ostatnich, przyjęć. Mimo że przyszło kilku umundurowanych hitlerowców, nie usłyszałem ani jednej pochwały obecnego ustroju. Co to może wszystko oznaczać? Wybitne oficjalne i nieoficjalne osobistości nawet w obecności partyjnych funkcjonariuszy nie ukrywają swych poglądów. Nie mogę przypomnieć sobie ich nazwisk, nigdy nie mogę zapamiętać nazwisk niemieckich lub francuskich, chyba że usłyszę je kilka razy.

Poseł rumuński wziął mnie na stronę i wzburzonym tonem mówił o planie Hoare'a i Laval'a, który — jak doniosła dzisiejsza prasa — przekazany został w sobotę Mussoliniemu. Poseł oświadczył, że jego kraj był i jest każdej chwili gotów wprowadzić zakaz wywozu ropy do Włoch. „Ale właśnie teraz — dodał — gdy Stany Zjednoczone i wszystkie małe państwa gotowe są wstrzymać dostawę ropy do Włoch, Anglia i Francja idą na ustępstwa, nie konsultując się z nami lub Ligą Narodów”. Był tym do głębi oburzony.

Mówiono mi już przedtem, że przyczyną wysunięcia planu Hoare'a i Laval'a była obawa Anglii i Francji, iż w razie upadku Mussoliniego we Włoszech może zapanować komunizm. Sądzę, że jest w tym część prawdy. Myślę również, że wygranej Mussoliniego pragną narodowosocjalistyczne Niemcy. Może nawet obaj dyktatorzy zawarli już między sobą jakieś porozumienie.

12 grudnia 1935. Czwartek.

Ostatnio mam dużo pracy. Dziś o 12-tej udałem się razem z Mayerem do François-Ponceta. Byliśmy u niego pół godziny. Wspomniał o planie Hoare'a i Laval'a; jego zdaniem Mussolini dojdzie do zgody z Anglią i Francją i w ten sposób położony zostanie kres zbrodniczej kampanii abisyńskiej. Z miejsca stanowczo zaoponowałem. Jeżeli propozycje anglo-francuskie zostaną przez Mussoliniego przyjęte, w co zresztą wątpię, będzie to oznaczało początek panowania Włoch na Morzu Śródziemnym i koniec Ligi Narodów. Mussolini chce być nowym Juliuszem Cezarem.

François-Poncet zawzięcie bronił planu Hoare'a i Laval'a. Powiedziałem mu: „To największy błąd, jaki popełniono od czasu zakończenia wojny światowej. Teraz Włochy wspólnie z Niemcami będą mogły się podzielić wschodnią i południową Europą, a Anglia i Francja nie będą w stanie przeciwstawić się tej włosko-niemieckiej koalicji. Dlaczego oba wasze rządy nie nauczyły Mussoliniego rozumu wprowadzając embargo na ropę i wykorzystując w tym celu aparat Ligi Narodów i poparcie Stanów Zjednoczonych?”

„Mussolini — odpowiedział François-Poncet — rozpocząłby wojnę, nawet gdyby wprowadzone zostało embargo na ropę. A my — to znaczy rząd francuski — nie bilibyśmy się, nawet gdyby zaatakowana została Anglia.” Rozmowa była wyjątkowo szczerą, przy tym Mayer we wszystkim się ze mną zgadzał; miało to swoją wymowę z uwagi na trzy lata jego stażu w Genewie. Gdy wychodziliśmy, François-Poncet powiedział: „Panie ambasadorze, pan jest za logiczny”. Na to Mayer: „Jak Francuz może w ogóle czynić komuś zarzut z tego, że jest logiczny?”

13 grudnia 1935. Piątek.

Pani Annę O'Hare McCormick, autorka inteligentnych artykułów w „New York Times”, przysłała razem ze swoim mężem i prosiła, żebym podobnie jak przed rokiem załatwił jej wywiad z Hitlerem. Przy tej okazji McCormickowie opowiedzieli mi o wywiadzie przeprowadzonym ostatnio z Mussolinim: „Duce wspominał o rozmowie, jaką miał na wiosnę z sir Johnem Simonem, brytyjskim ministrem spraw zagranicznych. Anglików wyraźnie nie lubi. Na konferencji w Stresie sir John miał siedzieć z zamkniętymi oczyma, może nawet spał, aż do chwili, gdy Duce oświadczył: «Czy panowie wiedzą, że Niemcy chcą anektować wszystkie kraje leżące na drodze do Bagdadu?» Dopiero ta uwaga obudziła brytyjskiego ministra spraw zagranicznych”.

Pani McCormick mówiła wiele o Włoszech i ich polityce, nie ukrywając przy tym swego zainteresowania osobą rzymskiego dyktatora. Powiedziałem jej, że cezariańskie przechwałki Mussoliniego przypominają mi krocącego śladami Fryderyka Barbarossy Hitlera; obaj są nieukami, marzycielami i niesłychanymi okrutnikami. Niektóre moje spostrzeżenia trafiły jej do przekonania, ale do spotkania z Führerem przywiązuje wielką wagę. Obiecałem jej poradzić, jak sprawę załatwić, ale wyraziłem wątpliwość, czy to się jej uda, gdyż od paru miesięcy Hitler na ogół na wywiady się nie zgadza. Zaproponowałem jej, aby spotkała się z dr. Schachtem, który w rozmowie z nią będzie bardziej szczerzy.

14 grudnia 1935. Sobota.

Dowiedziałem się wczoraj wieczorem od jednego z sekretarzy ambasady francuskiej w Berlinie, że ambasador brytyjski miał godzinną rozmowę z Hitlerem i ponownie nalegał, aby wszystkie duże mocarstwa, nie wyłączając Rosji, zawarły generalne porozumienie w sprawie pokoju. Hitler utrzymywał, że pragnie porozumienia z państwami zachodnimi w sprawie ograniczenia zbrojeń, ale jeżeli chodzi o Rosję, to wpadł w furję i oświadczył, że Niemcy muszą tych niegodziwych komunistów wykończyć. Niczego chyba w tej rozmowie nie uzgodniono, chociaż dwaj przedstawiciele rządu niemieckiego mają wkrótce udać się do Londynu. Przypuszczam, że chodzi tu tylko o przygotowanie konferencji w sprawie zbrojeń morskich, która zapewne do niczego nie doprowadzi, bo Niemcy i Japonia w tej sprawie zajmują solidarne stanowisko.

Myślę, że wizyta sir Eryka Phippsa u Hitlera miała na celu odwrócenie uwagi opinii publicznej od strasznej gafy, jaką był plan Hoare'a i Laval*. Ale prasa niemiecka zbagatelizowała tę wizytę i codziennie atakuje Ligę Narodów za próbę zastosowania sankcji wobec Włoch. Tak jakby można było w jakiś inny sposób położyć kres tej wojnie. Przez dwa miesiące urzędnicy niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych zachowywali w tej sprawie intrygujące milczenie, dając tylko od czasu do czasu delikatnie do zrozumienia, że Niemcy mogłyby ewentualnie również zastosować sankcje wobec

* Dn. 9 grudnia 1935 r. premier francuski P. Laval i brytyjski minister S. Hoare podpisali tajne porozumienie, które b. szybko dostało się do wiadomości publicznej. Porozumienie to przewidywało zgodę na aneksję większej części Abisynii przez Włochy i monopol gospodarczy Włoch w części pozostałej. Porozumienie to wywołało ogromne poruszenie; doprowadziło do kryzysu rządowego we Francji, a w W. Brytanii do dymisji min. Hoare'a.

Włoch, gdyby do tego celu zmierzała nadal polityka Stanów Zjednoczonych. Chodziło o to, że nazistowskie Niemcy obawiały się zająć wyraźne stanowisko w sprawie sankcji, dopóki nie wiedziały, jaki los spotka Mussoliniego, którego Hitler nie znosi, mimo że go naśladuje. Ale teraz, gdy Anglia i Francja uczyniły krok, który może doprowadzić do rozpadnięcia się Ligi, cała prasa niemiecka cieszy się z tego i daje wyraźnie do zrozumienia, że Niemcy gotowe są pójść wspólnie z Włochami drogą politycznego awanturnictwa. A wszyscy wojskowi i morskcy rzeczoznawcy zgodnie twierdzą, że Niemcy zbroją się w szalonym tempie. Niemcy są w trakcie budowania największej maszyny wojennej na świecie.

Na dzisiejszym popołudniowym przyjęciu w naszym domu jedynym tematem, który budził powszechne zainteresowanie, był plan Hoare'a i Laval'a i problem odwołania ligowych sankcji. Rej w dyskusji wiedli ambasador rosyjski i posłowie rumuński i czechosłowacki [Vojtech Mastny]. Twierdzili, że państwa bałkańskie wystąpią z Ligi, jeżeli pójdzie ona w kierunku wytyczonym przez Anglię. „Liga Narodów, która nie potrafi udaremnić tego rodzaju aneksji, do jakiej zmierzają Włochy w Afryce Wschodniej, nie stanowi żadnej gwarancji bezpieczeństwa dla małych państw europejskich.”

16 grudnia 1935. Poniedziałek.

W związku z tym, że przy spotkaniu sir Eryka Phippsa z Hitlerem obecny był Neurath, pojechałem dzisiaj do niego na rozmowę. Przede mną było u ministra dwóch posłów reprezentujących dwa małe państwa europejskie. Rozmawiali z nim przez kwadrans na temat stanowiska państw bałkańskich wobec nowego kursu polityki anglo-francuskiej. Jeden z nich udaje się dziś wieczorem w dalszą drogę do Paryża.

Neurath był jak zwykle uprzejmy, ale na temat stanowiska Niemiec się nie wypowiadał. Gdy zapytałem go, co zrobią Niemcy, jeżeli Mussolini zajmie Egipt, odpowiedział „Nie”. „Wówczas — powiedziałem — w ręce Mussoliniego wpadną również Palestyna i Grecja, czyż nie tak?” „Tak jest — odpowiedział — ale my nie podejmiemy absolutnie żadnych kroków, nawet gdyby miała wybuchnąć wojna pomiędzy Anglią a Włochami.” Ta wypowiedź wydała mi się interesująca z uwagi na fakt, że Neurath stoi dzisiaj bliżej Hitlera niż kiedykolwiek od czasu mego przyjazdu do Berlina. Jednakże prawdziwą przyczyną takiego stanowiska jest wciąż ta sama: „Nie jesteśmy jeszcze dostatecznie uzbrojeni”.

19 grudnia 1935. Czwartek.

Był u mnie przez pół godziny pułkownik Claude A. Tupper, inżynier prowadzący własne przedsiębiorstwo w Chicago. Jego wypowiedzi były pełne sprzeczności: wiele z tego, co robią narodowi socjaliści, ocenia pozytywnie, wiele innych rzeczy, zwłaszcza propagandę prowadzoną przez nich w Stanach Zjednoczonych, uważa za nierozsądne. Przeprowadził godzinną rozmowę z dr. Schachtem, którego parę lat temu poznał w Chicago. „Według Schachta — powiedział mi w zaufaniu — przemówienie wygłoszone przez niego w Lipsku, było czytane i akceptowane przez Hitlera; mimo to gazety niemieckie opuściły

te części przemówienia, które zawierały uwagi krytyczne." Wygląda to dziwnie, ale w Niemczech jest rzeczą normalną. Za parę dni Goebbels lub ten agitator z Norymbergi, Streicher, zaatakują gwałtownie Żydów i Hitler z kolei zaaprobuje to, co oni powiedzą.

Pułkownik dodał, że zdaniem Schachta sytuacja jego jest niezwykle krytyczna. „Jest tak ciężka — oświadczył Schacht — że chyba skoczę kiedyś z okrętu do oceanu." Nie wątpię, że Schacht mógł coś takiego powiedzieć, ponieważ sam kilkakrotnie słyszałem od niego podobne rzeczy. Jedno jest niemal pewne: jeżeli Schacht odejdzie, może łatwo nastąpić krach finansowy, który może doprowadzić do powrotu na tron Hohenzollernów. A w razie przywrócenia rządów parlamentarnych Schacht prawie na pewno zostanie kanclerzem. Hohenzollernom trudno byłoby jednak rządzić, gdyby mieli kontynuować wojenną politykę Hitlera.

Z pewnym niedowierzaniem przyjąłem wypowiedź Tuppera, że Departament Stanu ośmiesza się swą polityką w Niemczech i w ogóle w Europie, Tupper wyłączył z tych zarzutów ministra Hulla, chociaż moim zdaniem tym, co Niemcy krytykują, jest właśnie jego liberalna polityka handlowa. A przecież to jest jedyna polityka Stanów Zjednoczonych, która może okazać się korzystna dla Niemiec, bez względu na to, że Hull osobiście nie żywi sympatii do ustroju narodowosocjalistycznego.

20 grudnia 1935. Piątek.

Posel holenderski powiadomił mnie, że nie słyszał o tym, aby holenderskie, angielskie i amerykańskie przedsiębiorstwa naftowe — Shell, Sinclair i Standard — miały wywierać jakąś presję na Londyn i Paryż w sprawie zaniechania sankcji ligowych, szczególnie jeżeli chodzi o embargo na ropę. Wysłałem do niego ostatnio w tej sprawie zapytanie, gdyż miałem informacje o zabiegach czynionych w tym kierunku przez przedstawiciela firmy Sinclair Oil w Paryżu i jakiegoś potentata przemysłowego w Londynie. W dalszym ciągu jestem przekonany, że towarzystwa naftowe taką presję wywierają. Wchodzą tu w grę ich poważne interesy, szczególnie interesy towarzystwa Standard Oil w Rumunii i Persji. Interesy towarzystw naftowych grały kiedyś kolosalną rolę w życiu Ameryki.

Gazety niemieckie przestały nagle podkpiwać z Ligi. Wczoraj Izba Gmin ostro skrytykowała plan Hoare'a i Laval'a, w wyniku czego Hoare podał się do dymisji. Mówi się, że ministrem spraw zagranicznych ma zostać Austen Chamberlain, człowiek, który tak gwałtownie atakuje w prasie Niemcy narodowosocjalistyczne, że parę tygodni temu rząd berliński wysłał w tej sprawie energiczny protest do Londynu. Proszę sobie wyobrazić takiego pana w roli brytyjskiego ministra spraw zagranicznych!

Na obiedzie o godz. 8-ej w Herrenklubie siedziałem obok Papena. O ile mi wiadomo, Herrenklub jest najstarszym i najbardziej arystokratycznym stowarzyszeniem w Berlinie. Do stołów zasiadło 40—50 panów. Po prawej stronie miałem właściciela „Frankfurter Zeitung", który dał mi do zrozumienia, że jest stanowczo przeciwny nazistowskim rządowi. Nie mogłem z nim rozmawiać swobodnie, gdyż miałem po lewej stronie Papena; otwarta krytyka reżymu była niemożliwa. Ku memu zdziwieniu Papen nagle z całą szczerością zauważył: „No, więc Amerykanie pozbyli się Huey Longa!" Po czym zapytał, czy w Ameryce istnieje jakaś realna opozycja przeciwko Rooseveltowi. Odpo-

wiedziałem: „Tak, w opozycji jest prawie cały wielki business, a ojciec Coughlin również staje dęba”. Papien jest katolikiem, ale do Coughlina sympatii chyba nie czuje.

Gdy wszyscy wstali od stołu i przeszli do przestronnej biblioteki klubu, zaczęły się rozmowy, z których wywnioskowałem, że porzucenie przez Anglię planu Hoare'a i Laval'a spotkało się z pełną aprobatą uczestników przyjęcia. Pewien starszy pan mówił z entuzjazmem o Woodrowie Wilsonie, określając go jako jedyne go męża stanu w czasie wojny światowej, „który szczerze pragnął zakończenia wojny”. Żałuję, że się nie dowiedziałem, jak ten pan się nazywa. Powiedział także, że „Wilson ma w Niemczech znacznie więcej sympatyków, niż się to na ogół przypuszcza”.

21 grudnia 1935. Sobota.

Byliśmy na lunchu u miłych, uprzejmych Eichbergów. Oboje są bardzo nieszczęśliwi. Żeby się wydostać z Niemiec, musieliby ofiarować na rzecz partii narodowosocjalistycznej wielką sumę pieniędzy i zaprzysiąc, że nie są Żydami, że są na przykład tylko wychowanymi przez Żydów nieślubnymi dziećmi nie znanych rodziców (rzecz praktykowana przez niemieckich Żydów). Eichbergowie mają piękną bibliotekę. Na przyjęciu było kilka osób, należących do elity towarzyskiej Berlina, między innymi małżonka gen. von Seeckta. Krytyka była na ustach wszystkich — z wyjątkiem gospodarzy.

22 grudnia 1935. Niedziela.

O 4-ej podejmowaliśmy herbatą Marrinera, radcę ambasady amerykańskiej w Paryżu, który zatrzymał się w Berlinie w drodze do Warszawy. Opowiedział nam bardzo ciekawe rzeczy o tym, co się działo ostatnio w Paryżu. Plan daleko idących ustępstw na rzecz Mussoliniego był narzucony sir Samuelowi Hoare przez Laval'a. Teraz Francuzi są przeciwko Lavalowi jeszcze bardziej niż dotychczas. Powiedziałem, że dowiedzieliśmy się dzisiaj, iż następcą Hoare'a ma zostać Anthony Eden. „Lavalowi mogłoby to popsuć szyki — odpowiedział Marriner — ale pozycji Anglii w Paryżu nie osłabi, gdyż Francuzi jeszcze bardziej niż przeciwko rządowi Laval'a są przeciwko Mussoliniemu.”

Marriner twierdzi, że treść wywiadu udzielonego przez Bullitta w Berlinie w dniu 1 grudnia została tego samego dnia przetelegrafowana do Paryża i że żona Herriota przeczytała go, zanim jeszcze Bullitt dojechał do Paryża (było to chyba 3 grudnia). Z uwagi na dotychczasową linię polityczną Bullitta byłem zaskoczony tym, co powiedział w Berlinie. Równie zaskoczony był Marriner, gdy dowiedział się od pani Herriot, że Bullitt wystąpił przeciwko Rosji, popierając stanowisko Japonii. Gdy dowiedziałem się, że Bullitt doradzał francuskiemu ambasadorowi w Berlinie, aby się powstrzymał od popierania paktu francusko-rosyjskiego, byłem tak poruszony tą wiadomością, że wysłałem w tej sprawie raport do Departamentu Stanu. Przypuszczam, że wywiad Bullitta został przetelegrafowany do Waszyngtonu, zanim jeszcze zdążył on przyjechać do Paryża.

Wywiązała się następnie dłuższa interesująca rozmowa na temat nominacji Edena i jej znaczenia dla stosunków z Niemcami. Niemieckie koła oficjalne

nie będą chyba już więcej wyrażać się niepochlebnie o Lidze Narodów. Mussolini to dla Hitlera zagadka; mówią, że Hitler go nie znosi, ale za podbój Abisynii musi go chwalić.

23 grudnia 1935. Poniedziałek.

Otrzymałem list od naszego posła w Pradze. Pisze on, że w straszliwym obozie koncentracyjnym w Dachau pod Monachium od kilku miesięcy przebywa pewien amerykański dziennikarz, któremu nie pozwala się pisać ani do mnie, ani do konsula amerykańskiego w Berlinie, gdzie zresztą został aresztowany. Przekazałem zaraz tę historię konsulowi Geistowi. Jest to człowiek, który najlepiej nadaje się do załatwiania tego rodzaju spraw.

29 grudnia 1935. Niedziela.

W zeszłym tygodniu mieliśmy parę wolnych dni, chociaż żona z córką dużo czasu poświęciły świątecznym dekoracjom: była choinka, świece i kwiaty. Wszystko było bardzo piękne, ale dla mnie najważniejsze było to, że mogłem trochę wypocząć.

Otrzymałem dziś list od znajomego w Departamencie Stanu, który prosi mnie o telegraficzną wiadomość, jaka moim zdaniem byłaby najlepsza rada na pohamowanie wojowniczych zapędów Włoch; istnieje bowiem niebezpieczeństwo, że do wojny mogą zostać wciągnięte Francja i Anglia oraz mniejsze państwa śródziemnomorskie. Dokonałem możliwie gruntownego przeglądu sytuacji i po dwóch godzinach spędzonych w biurze poszedłem do domu na obiad, mając w głowie projekt informacji, o którą mnie proszono.

Parę dni temu zostaliśmy poinformowani, że minister William Phillips, który bierze udział w konferencji morskiej w Londynie, ma przyjechać jutro do Berlina. Zorganizowaliśmy dla niego przyjęcie w gronie 20 osób z udziałem ambasadorów Wielkiej Brytanii i Francji, panów Dieckhoffa i Rittersa z niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz innych osób, jak np. młodego księcia Ludwika Ferdynanda. Neurath i Schacht, podobnie jak wszyscy prawie wyżsi urzędnicy ministerialni, zgodnie z niemieckim zwyczajem, w okresie Bożego Narodzenia przebywają do 8 stycznia w swych wiejskich rezydencjach. Minister Phillips powiadomił telefonicznie Mayera z naszej ambasady, że chciałby spotkać się z Hitlerem. Musieliśmy mu odpowiedzieć, że to wykluczone, chyba że będzie mógł pozostać w Berlinie po 8 stycznia 1936 r., ponieważ teraz Hitler jest w Berchtesgaden w Bawarii.

30 grudnia 1935. Poniedziałek.

Był dziś u mnie przez godzinę minister Phillips i opowiadał o trudnej sytuacji Stanów Zjednoczonych. Konferencja morska w Londynie nie doprowadzi jego zdaniem do niczego. Wraca na nią 5 stycznia. Perspektywy są w ogóle niedobre. „W Londynie wszystkie wysoko postawione osobistości spodziewają się wybuchu wojny z Włochami.” O jakże głupie są te europejskie rządy, zwłaszcza te dyktatorskie, że nie potrafią znaleźć pokojowego

wyjścia z trudnej sytuacji, w jakiej się znalazły! Co prawda, nasz kraj nie jest wcale od nich mądrzejszy. Trzeba było być pozbawionym rozumu, żeby nie chcieć pójść na współpracę z Ligą Narodów. Teraz Ameryka musi wydawać blisko miliard dolarów rocznie na zbrojenia.

Na godz. 11.30 ściągnęliśmy na spotkanie z Phillipsem wszystkich naszych ekspertów (w tym również urzędników ambasady), aby go poinformować o aktualnych wynikach niemieckiej działalności w różnych dziedzinach. „Niemcy są jednym wielkim obozem wojskowym” — oświadczył attache wojskowy major Smith. „Za dwa lata — powiedział attache handlowy — Niemcy będą produkowały z węgla brunatnego tyle ropy i gazu, ile im będzie potrzeba do prowadzenia długotrwałej wojny. Pomaga im w tym nowojorska Standard Oil Company wydając na ten cel miliony dolarów.” Mówiąc o pierwszorzędnych tkaninach i materiałach wojskowych wyrabianych z mieszaniny drewna i słomy kapitan Crockett wyraził pogląd, że „niemiecka produkcja namiastek bawełny wkrótce osiągnie taki poziom, iż Niemcy będą mogły się obejść bez bawełny amerykańskiej”.

Pan Phillips był zaskoczony i zgnębiony, mimo że tego rodzaju informacje już od dwóch lat przekazujemy do Waszyngtonu. Żaden jednak wysoki urzędnik Departamentu Stanu nie może dać sobie rady z piętrzącymi się na jego biurku raportami. Major Smith umówił się z ministrem Phillipsem, że jutro mu pokaże te wielkie obozy i lotniska.

O 12-iej przyszło około 30 dziennikarzy, żeby wysłuchać pana Phillipsa i dowiedzieć się, co się z nimi stanie, jeżeli zostaną wydalen z Niemiec, o czym się coraz częściej słyszy. Nie mogłem zostać do końca tej zaplanowanej na całą godzinę wymiany poglądów. Nasi dziennikarze są nadzwyczaj dobrze poinformowani; jednocześnie można im zawsze wszystko bez obawy powiedzieć, jeżeli tylko się ich uprzedzi, o czym nie powinni pisać.

O godz. 1.30 zasiedliśmy do stołu. Po lunchu rozpoczęły się poufne rozmowy z ministrem Phillipsem na temat niebezpiecznej sytuacji w Niemczech i przypuszczalnych reakcji Stanów Zjednoczonych. Najpoważniejszym tonem mówili zaproszeni Anglicy i Francuzi. Normalny tok rzeczy.

1 stycznia 1936. Środa.

Rozpoczyna się nowy niespokojny rok. O 5-iej wydaliśmy przyjęcie dla amerykańskich i angielskich dziennikarzy, członków ambasady, różnego rodzaju attachés i ich zastępców oraz personelu pomocniczego. Przyszło 80—90 osób. Było to dla mnie dość męczące. Przez pół godziny był minister Phillips. Przyszli też dwaj niemieccy redaktorzy, którzy wiele jeździli po świecie; czują się chyba nieszczęśliwi, ale nie dają tego po sobie poznać.

4 stycznia 1936. Sobota.

Dzisiejsza poranna prasa niemiecka podaje na pierwszych stronach główne elementy ustawy zgłoszonej w Kongresie przez posła Mc Reynoldsa. Proponuje on upoważnić Roosevelta i Departament Stanu do zarządzania bojkotu każdego agresora rozpoczynającego wojnę. O terminie wprowadzenia bojkotu w życie decydowałby każdorazowy bieg wypadków. Pokrywa się to niemal

całkowicie z tym, co depešzowałem i pisałem do Waszyngtonu w niedzielę 29 grudnia. Jeżeli Kongres uchwali ten projekt, to Stany Zjednoczone odzyskają utracony w 1920 r. wpływ na stosunki międzynarodowe, a Roosevelt będzie mógł osiągnąć to, czego tak gorąco pragnął dokonać w 1919 r. Wilson. Wszystkie gazety niemieckie poinformowały swoich czytelników o złożeniu tego projektu w Kongresie, nie zamieściły jednak żadnych własnych komentarzy. Gdy przyszedłem o 9.30 do ambasady, natychmiast na moim biurku znalazł się odebrany przez radio tekst mowy Roosevelta, wygłoszonej wczoraj wieczorem na forum obu Izb Kongresu. Jest to wspaniały i niezwykle trafny akt oskarżenia ustrojów dyktatorskich, akt oskarżenia państw, które nieustannie rozbudowują swój potencjał zbrojny i uzurpują sobie prawo dokonywania terytorialnych aneksji kosztem małych państw. Żaden przedstawiciel niemieckiego rządu nie będzie mógł przeczytać mowy Roosevelta bez uczucia silnego niepokoju. Cały świat dowiaduje się z tego przemówienia, że wolność w Niemczech została zlikwidowana, a naród niemiecki zmuszony do ślepego posłuszeństwa. Nie wyobrażam sobie, żeby jakaś niemiecka gazeta ośmieliła się wydrukować choćby część tego przemówienia. Redaktor, który by pozwolił na wydrukowanie go w całości, zostałby aresztowany, a może nawet stracony. Przemówienie wydało mi się tak bardzo na czasie i tak trafnie przewidujące dalszy rozwój wypadków, że wysłałem do Waszyngtonu depešę z gratulacjami. Obiecałem również przesłać za parę dni informacje o skutkach i reakcjach wywołanych przez to przemówienie w Niemczech.

Dopiero popołudniowa prasa niemiecka ostro skrytykowała to skierowane do całego świata orędzie Roosevelta. W obronie własnej wysunęła argument, że naród niemiecki został skrzywdzony przez traktaty pokojowe. „Börsen Zeitung” oświadczyła, że Roosevelt to nowy Woodrow Wilson; próbuje on zmusić do uległości i oszukać biednych Niemców, którym nawet nie wolno emigrować do Stanów Zjednoczonych. „Angriff”, organ Goebbelsa, poświęcił napaściom na Prezydenta całą swą pierwszą stronę. „Berliner Tageblatt” nie napisał wprawdzie niczego w złej wierze, ale i nie pochwalił tej wielkiej próby położenia kresu wojnom. Nie miałem w ręku gazety, która by chociaż jeden ustęp przemówienia podała w dosłownym brzmieniu. Wszystkie konkluzje miały charakter wyraźnie podżegawczy. Moim zdaniem większość Niemców szczerze podziwia naszego Prezydenta, mimo że nigdy nie dowiaduje się o nim całej prawdy. Z wieloma z nich będę miał okazję rozmawiać w najbliższej przyszłości.

Zdając sobie sprawę z potrzeby uzgodnienia poglądów w związku z rozpoczynającą się 20 stycznia sesją Ligi, posłałem Martę do rosyjskiej ambasady z krótkim pismem wyrażającym pragnienie spotkania się z ambasadorem. Co prawda żona mnie ostrzegła przed składaniem wizyt temu komunistycznemu dyplomacie. Marta pojechała do oddalonego o kilka domów od ambasady rosyjskiej hotelu „Adlon”, przed hotelem zwolniła kierowcę i poszła dalej do ambasady pieszo. List doręczyła, ale ambasadora nie zastała. Uprzedziła radcę ambasady, żeby do mnie nie telefonowano. Radca się zgodził i dodał: „Proszę powiedzieć ojcu, żeby przyjechał o 7-ej w każdym razie”. W tej sytuacji poszedłem o 4-ej z powrotem do biura. O właściwej porze zamierzałem podjechać samochodem gdzieś niedaleko ambasady rosyjskiej i resztę drogi odbyć pieszo.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po moim powrocie o 6.45 do domu zatelefonował do mnie rosyjski ambasador. Powiedział, że jest w domu i miło mu będzie zobaczyć mnie u siebie. A więc pomimo wszystkich podjętych przeze mnie środków ostrożności moja wizyta u tego wstrętnego komunisty

nie uszła uwagi niemieckiej tajnej policji wyłącznie z jego winy. Nie dałbym co prawda głowy, że nie postąpił tak umyślnie, aby Niemcy mogli się dowiedzieć, że jest ze mną w przyjacielskich stosunkach.

Pojechałem więc na spotkanie z przedstawicielem Związku Radzieckiego w Berlinie, który jest do tego stopnia tutaj nie lubiany, że bardzo rzadko widuje się go na oficjalnych przyjęciach. Powiedział mi, że rząd jego gotów jest do natychmiastowej współpracy z Ligą w zakresie sankcji antywłoskich. Dodał, że Rumunia jest jeszcze bardziej skora do działania. Wspomniał, że francuski ambasador wyraził w rozmowie z nim obawę, iż przegrana Mussoliniego będzie oznaczała aneksję Austrii przez Niemcy.

Po omówieniu konsekwencji wynikających z nowej linii politycznej Roosevelta, oświadczyłem: „Liczę na to, że pański rząd postara się położyć kres propagandzie komunistycznej w Stanach Zjednoczonych, bo nic dobrego z tego wyjść nie może. Powinniśmy dążyć do współpracy w dziedzinie gospodarczej i wspólnie przyczyniać się do utrzymania pokoju światowego. Ale Ameryka jest krajem demokracji, wy zaś jesteście krajem komunizmu. Każdy naród ma prawo się rządzić, jak mu się podoba, nie powinien jednak wtrącać się do wewnętrznych spraw innych narodów.” Ambasador przyznał mi rację i powiedział, iż zrobi wszystko, co będzie mógł, żeby tę sprawę załatwić.

6 stycznia 1936. Poniedziałek.

Pragnąc zorientować się, jakie jest stanowisko Niemiec wobec problemu nowych sankcji i powstającego, jak słychać, solidarnego frontu Anglii i Francji przeciwko szaleńczej polityce Mussoliniego, napisałem odręcznie kilka słów do byłego ministra gospodarki dr. Kurta Schmitta, zapytując go, czy nie mógłby w drodze powrotnej do domu wstąpić do mnie do biura. Żeby nie ściągać na Schmitta uwagi tajnej policji, list wysłałem przez gońca.

Rozmawialiśmy przeszło pół godziny. Stanowisko Ameryki wobec sankcji nie budzi już w nim tak pozytywnych reakcji, jak w czasie naszej rozmowy sprzed dwóch miesięcy. Jest w dalszym ciągu przeciwny agresywnej polityce Mussoliniego, choć nie w tym stopniu co poprzednio; twierdzi, że gdyby Mussolini przegrał lub został obalony, we Włoszech mógłby zapanować komunizm. A do upadku Mussoliniego może przyczynić się nie tylko presja Anglii i Francji, ale i Papieża, mimo że w zasadzie nie jest on przeciwny rządowi dyktatorskim. Gdy poruszyłem sprawę stosunków austriacko-niemieckich, powiedział, że Niemcy nie są obecnie zainteresowane w przyłączeniu Austrii do Rzeszy.

Gdy wspomniałem o gigantycznej rozbudowie niemieckich sił zbrojnych, Schmitt oświadczył: „Jak panu wiadomo, wszyscy Niemcy od 50 lat wychowywani są w duchu militarystyki, a Niemcy w Prusach już prawie od 200 lat. Stąd pochodzi nastawienie psychiczne, jakiego nie ma żaden inny naród. Każdy Niemiec ma za sobą odbyłą służbę wojskową i poczytuje sobie za zaszczyt, żeby jego syn również służył w wojsku i miał szansę zostać oficerem. To właśnie ten podstawowy rys charakteru niemieckiego narodu stwarza pozory, że Niemcy pragną wojny. My wojny nie chcemy i dlatego nie dojdzie z naszej strony do żadnej akcji w sprawie Austrii, chociaż każdemu wiadomo, że Austria jest niemiecka.”

We wszystkich trzech sprawach poglądy dr. Schmitta, który uchodzi za umiarkowanego oponenta obecnego ustroju, nieco się zmieniły. W porównaniu

do opinii wyrażanych w czasie naszego ostatniego spotkania jego opozycja wyraźnie złągodniała. Co może być tego przyczyną? Schmitt zachował w swym ręku kierownictwo całego niemieckiego systemu ubezpieczeń na życie. Wydaje mi się, że nadal cieszy się specjalnymi względami Hitlera, z którym, jak mi mówił, widział się przed świętami. Stanowisko Ameryki nie ma jego zdaniem obecnie wielkiego znaczenia, nie przestał jednak być zwolennikiem współdziałania Niemiec, Anglii i Stanów Zjednoczonych. Dyktatura we Włoszech odpowiada mu dzisiaj bardziej niż przedtem, bo we Włoszech może zapanować komunizm, a gigantyczne niemieckie zbrojenia nie wydają mu się zbyt groźne, bo Niemcy mają naturalną skłonność do posiadania wielkiej armii. Gdy wspomniałem o ciężkiej sytuacji Żydów, reakcje Schmitta stały się żywsze, a jego uwagi dotyczące sytuacji na uniwersytetach wyrażały ten sam pogląd co zawsze: to wielki błąd ze strony niemieckiego rządu.

Gdy odchodził, powiedziałem: „Posłałem list do pana przez gońca, żeby oszczędzić panu ewentualnych kłopotów”. „A ja — odrzekł — zatelefonowałem do pana bez najmniejszego wahania, nie wyobrażam sobie bowiem, żeby policja mogła mnie posądzić o udzielenie panu jakichś poufnych informacji. Takich rzeczy nigdy oczywiście nie robię. O sprawach poruszonych przez pana pomówię z Hitlerem, gdy się z nim zobaczę.”

9 stycznia 1936. Czwartek.

Większość Niemców, z którymi się spotykam, podkreśla pokojowe intencje Trzeciej Rzeszy, a są wśród nich ludzie w pełni zasługujący na miano poważnych. Tymczasem dziś wieczorem poszliśmy z żoną do wielkiego kina „Ufa Palast” na szeroko reklamowany film *Unsere Wehrmacht* (Nasze siły zbrojne). Tłum widzów przez godzinę śledził i oklaskiwał pokazywane na ekranie sceny: wielkie manewry polowe, czołgi i karabiny maszynowe w akcji, piechota strzela, żołnierze padają, są zabici; defilada zmotoryzowanej piechoty i ciężkiej artylerii; ataki lotnicze, setki samolotów zrzucają bomby na jakieś miasto. W kluczowych momentach na ekranie pojawiały się postacie Hitlera i Göringa, a także Goebbelsa: wyrażali oni zadowolenie z toczącej się na ekranie akcji. Film był gorąco oklaskiwany przez publiczność. Ja ledwo mogłem na to patrzeć, szczególnie na sceny, które w moim pojęciu były pokazami brutalności.

Jeżeli to jest niemieckie umiłowanie pokoju, to ja takiej mentalności nie rozumiem. W każdym swoim przemówieniu Hitler podkreśla pokojowość swych intencji, a przecież i on, i Göring przy lada okazji paradują w swych osobliwych mundurach, a żołnierze im krzyczą „Heil Hitler”. Entuzjizm generałów Reichswehry wydaje się być nieco mniejszy, ale wojny jako środka służącego interesom Niemiec bynajmniej się nie wyrzekają.

10 stycznia 1936. Piątek.

O 11.30 pojechałem we fraku na przyjęcie wydawane corocznie przez Hitlera dla korpusu dyplomatycznego. Obecni byli bez mała wszyscy ambasadorowie i posłowie; wszyscy byli w uroczystych strojach, a niektórzy w staroświeckich kapeluszach i pięknych szamerowanych złotem uniformach. Przy-

pominało to osiemnasty wiek. Na Kanclerza czekaliśmy prawie pół godziny. Jediną osobą, robiącą wrażenie zażenowanej, był ambasador Włoch, bolszewik zaś po prostu nic nie mówił, chyba że go ktoś zagadał.

O 12-ej do sali recepcyjnej weszli Hitler, Neurath, Bülow, Lammers i Meissner. Dyplomaci ustawieni byli według starszeństwa. Na początku długiego, ciągnącego się półkołem szeregu, stał w purpurowej szacie Nuncjusz papieski. Obok niego w dobrym humorze ambasador francuski; ja byłem trzeci, a tuż za mną przedstawiciel Anglii.

Nuncjusz odczytał jakieś szablonowe powinszowanie w języku francuskim, z którego Hitler chyba niewiele więcej zrozumiał ode mnie. Odpowiedział na nie w krótkich słowach, chwając się z lekka, że uwolnił naród niemiecki od klęski bezrobocia*. Nie zaznaczył jednak, że stało się to niemal wyłącznie dzięki koniunkturze zbrojeniowej.

Następnie Hitler ruszył wzdłuż szeregu dyplomatów. Z Nuncjuszem rozmawiał dłuższy czas o jakimś znanym mu bliżej katolickim klasztorze i jakimś zdarzeniu z historii Kościoła. Witając się z Francuzem zapytał go o wylew Sekwany w Paryżu. Gdy podszedł do mnie, powiedziałem, że jego rozmowa z Nuncjuszem skłania mnie do przypuszczenia, iż historia musi go bardzo interesować. „Tak — odrzekł — historia jest mi znacznie miłsza niż polityka, która mnie bardzo męczy.” Zanim zwrócił się do mego angielskiego kolegi, zapytał mnie jeszcze: „Kiedy pan się przeprowadza do pałacu Blüchera?” Musiałem powiedzieć, że nie wiem. Sprawa ta bardzo go interesowała; wspomniał o szkodliwym wpływie metra na stabilność ścian pałacu. Potem przeszedł dalej i ku memu zdziwieniu z Rosjaninem rozmawiał dużo swobodniej niż z wieloma innymi dyplomatami.

O 12.30 mogliśmy wszyscy opuścić salę recepcyjną. Choć powszechnie uważa się, że bez tego rodzaju ceremonii nie można się obejść, mnie wydają się one całkowicie bezużyteczne. Dyplomatyczne samochody odjeżdżały w przepisowej kolejności, każdy dyplomata wsuwał do rąk służby odpowiedni napiwek.

11 stycznia 1936. Sobota.

Trzy dni temu otrzymałem z Uniwersytetu Chicago zaproszenie dla profesora Otto Hoetzsch do wygłoszenia za odpowiednim wynagrodzeniem cyklu wykładów z historii Europy z lat 1920—1930. Wykłady miałyby odbyć się na wiosnę, w kwietniu i maju. Hoetzsch był dotychczas jednym z najbardziej znanych i popularnych profesorów w Berlinie. Tak się przejął swoją dymisją, że przez miesiąc był ciężko chory. Ponieważ dobrze go znam i pamiętam go jeszcze z czasów, gdy studiowaliśmy razem w Lipsku w 1889 r., zrobiłem, co mogłem, żeby skłonić Uniwersytet Chicago do wysłania tego zaproszenia.

Natychmiast po otrzymaniu tej propozycji napisałem do Hoetzsch, żeby przyszedł do mnie do biura. Gdy zgłosił się 7 stycznia, zapytałem go, czy zaproszenie przyjmuje, dodając, że odpowiedź zgodnie z życzeniem Chicago prześlę im telegraficznie. Powiedziałem mu również, że zostanie prawdopodobnie zaproszony do powtórzenia niektórych wykładów na uniwersytetach Michigan, Illinois i Wisconsin. Hoetzsch nie mógł się zdecydować od razu.

* W styczniu 1936 r. było jeszcze w Niemczech 2,5 miliona bezrobotnych.

Wiedząc, ile warta jest dla niego ta propozycja, byłem jego wahaniem trochę zaskoczony. Wszedł obiecawszy dać mi odpowiedź w ciągu trzech dni.

Dzisiaj, 11 stycznia rano, zjawił się i z miejsca oświadczył, że zaproszenia przyjąć nie może. Rozmawiał z dr. Dieckhoffem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i dowiedział się od niego, że rząd niemiecki nie życzy sobie, aby ktokolwiek wykladał za granicą, a choćby i w kraju, na temat stosunków w Europie po wojnie światowej. Rząd nie życzy sobie również podejmowania tematu samej wojny. Dieckhoff dał wyraźnie Hoetzschowi do zrozumienia, że może zostać pozbawiony emerytury, gdyby wykladał o czymkolwiek, co się działo po roku 1914.

Hoetzsch starał się mnie nakłonić, żebym zwrócił się powtórnie do Chicago i poprosił o umożliwienie mu wygłoszenia na jesieni cyklu wykładów z historii Europy w latach 1856—1915. Zgodziłem się co prawda o tym napisać i zanotowałem sobie proponowane przez niego tematy, niczego mu jednak nie obiecywałem. Wymienione przez niego tematy są lepiej opracowane przez historyków w Chicago niż przez historyków niemieckich, a poza tym wiem już teraz na pewno, że nie ma w Niemczech takiego historyka, który by się odważył powiedzieć całą prawdę o swoim kraju. Trudno mi doprawdy wywierać w tej sprawie jakąś presję.

Ciekawe, że ci niemieccy uczeni, choćby najzdolniejsi, nie mają właściwie pojęcia, czym jest prawdziwa historia. Dobrze znają fakty, ale nie są w stanie dostrzec ani jednego błędu własnych rządów. Goryczą przejmuję mnie myśl, że ten wielki naród nie zna ważnych faktów historycznych z własnej przeszłości, a jego sławni profesorowie pozbawieni zostali prawa swobodnej interpretacji tych wydarzeń. Hoetzsch był posłem do Reichstagu od 1920 do 1930 r. i przewodniczącym komisji spraw zagranicznych, która opracowywała plany Dawesa i Younga. Zjeździł całą Europę i Stany Zjednoczone i dużo napisał. Ale obiektywnego sądu na tematy najlepiej mu znane wypowiadać mu nie wolno! Ze smutkiem ścisnąłem mu rękę na pożegnanie.

13 stycznia 1936. Poniedziałek.

Dzisiejsza prasa zamieściła obszernie sprawozdania z wielkiego przyjęcia u Göringa, na którym z wyjątkiem mnie byli wszyscy ambasadorowie, a także nieszczęsny następca tronu ze swoją małżonką. Ale Hitlera i Goebbelsa nie było.

O 11-ej przyszedł do mnie Max Sering w sprawie międzynarodowej konferencji rolnej, która ma się odbyć latem w Anglii. Pokazał mi list, jaki otrzymał od ministra Wallace'a. Ma 84 czy 85 lat, ale jest jeszcze pełen wigoru. Jego córka wyszła za syna sławnego admirała Tirpitz.

Sering jest protestantem i ma za złe narodowym socjalistom, że kontrolują i reorganizują instytucje kościelne. Poza tym jest monarchistą starej daty, tęskniącym za powrotem Hohenzollernów. Uważa jednak, że w przeciwieństwie do Göringa i Goebbelsa Hitler jest prawdziwym mężem stanu.

Gdy oświadczył, że „Niemcy nie chcą wojny”, nie mogłem się wstrzymać, żeby mu nie wspomnieć o filmie, na którym byłem w „Ufa Palast” 9 stycznia. Ale Sering, jak większość Niemców, nie dostrzega bynajmniej ducha militarystyki i agresji, przejawiającego się w tego rodzaju pokazach lub też w postaci tysięcy malutkich bomb i czołgów sprzedawanych w charakterze zabawek pod choinkę. Nie chciałem mu przysparzać nowych trosk, więc zacząłem z nim

dyskutować na temat jego poglądów w sprawie pewnych problemów rolnych. Jeżeli Sering pojedzie na tę konferencję, na której połowa delegatów będzie ze Stanów Zjednoczonych, to z pewnością będzie miał coś ciekawego do powiedzenia. Gdyby jeszcze tylko niemiecka inteligencja знаła dobrze historię własnego kraju!

16 stycznia 1936. Czwartek.

Byłem dziś na obiedzie wydanym na cześć pana R. L. Hague, przedstawiciela Standard Oil Company w New Jersey. Przedsiębiorstwo to wysyła duże ilości ropy do Hamburga, otrzymując za to od Niemców tankowce pojemności 15 tys. ton. Prezes hamburskiej stoczni budującej te tankowce oświadczył, że w ramach umowy ze Standard Oil stocznia zatrudnia 1000 pracowników. Powiedział także, że podobne okręty robi dla Anglii i że wszystkie one budowane są w ten sposób, iż można je bardzo łatwo przerobić na okręty wojenne. Hamburski businessman bynajmniej nie ukrywał swej niechęci do hitlerowskich rządów, choć nie specjalnie do samego Hitlera. Powiedział, że jego dzieci, które chodzą do szkoły w Hamburgu, muszą uczyć się wierutnych kłamstw, gdyż tak każą im ich nazistowscy nauczyciele, sami zmuszeni do wykładania tych nonsensów przez Rosenberga.

17 stycznia 1936. Piątek.

Dziś koło południa jeden z urzędników ambasady przysłał mi do gabinetu telegram przeznaczony do wysłania przez wydział szyfrów, z prośbą o jego akceptację. Telegram był przeładowany szczegółami i przeszło dwa razy dłuższy, niż potrzeba. Od czasu gdy ten urzędnik zaczął u mnie pracować, był to już piąty wypadek wysyłania przez niego długich, szczegółowych telegramów w sprawach często zupełnie nieważnych. Niektóre z nich kosztowały przeszło 100 dolarów. Kilkakrotnie pokazywałem mu, jak należy je skrócić i zmniejszyć dzięki temu ich koszt o połowę. Przyznawał mi zawsze rację i zapewniał, że postąpi zgodnie z moim zaleceniem, ale często słowa nie dotrzymywał. Napisałem więc ten jego dzisiejszy telegram na nowo. Opuściłem wszystkie niepotrzebne zdania, skróciłem tekst o połowę i odesłałem z powrotem, polecając wysłać go jako mój telegram z moim podpisem. Po czym, jak zwykle w południe, wyszedłem na spacer.

Gdy wróciłem po południu do biura, dowiedziałem się od mego sekretarza, że ów urzędnik był na mnie zły i rozszalony. Postanowiłem jednak, że będę mu pisał jego telegramy, skoro on sam tego nie potrafi.

Oto przykład mentalności ludzi zatrudnionych w służbie dyplomatycznej. Są wychowankami Harvardu, Princeton i jeszcze paru innych uniwersytetów. Są synami bogatych ludzi, więc może tylko jeden na dziesięciu z nich wie, co to jest jasny, zwięzły styl, a o historii mają jeszcze słabsze pojęcie. Uważają, że mają pełne prawo brać z kasy państwowej tysiąc dolarów miesięcznie za to, że przyjdą do biura o 10-ej czy 11-ej rano, posiedzą w nim przez dwie godziny (robotę robi za nich personel pomocniczy), a potem wyjdą sobie gdzieś na lunch i wrócą dopiero o 4-ej. Jeszcze godzina czy dwie w biurze i z czystym sumieniem idą sobie na przyjęcie z kartami, a potem na obiad, który

trwa do 12-ej czy 1-ej w nocy. Próbowałem to wszystko jakoś uporządkować, ustalić godziny pracy, domagałem się prowadzenia bardziej uregulowanego trybu życia. Większość członków ambasady poszła ze mną na współpracę, wydaje się jednak, że nikt z nich nie traktuje pracy w ambasadzie zbyt poważnie.

Chociaż personel ambasady w obecnym składzie, aczkolwiek z wielkim trudem, nauczył się już przychodzić punktualnie do pracy i stara się pisać telegramy jak należy, obcowanie z nim jest ciężarem nie do zniesienia dla człowieka dbającego o swoje zdrowie.

18 stycznia 1936. Sobota.

Dziś po południu przyszedł, żeby ze mną porozmawiać, pewien dziennikarz z amerykańskiego koncernu prasowego Hearsta. Gdy był u mnie poprzednio, prosiłem go, aby mnie informował o przeprowadzonych ewentualnie wywiadach z ważnymi osobami urzędowymi w Niemczech, oczywiście w tych granicach, w jakich będzie uważał to za możliwe. Nie jest to dziennikarz o wyraźnym nastawieniu pronazistowskim, jest jednak wzorowym dziennikarzem koncernu Hearsta. Opowiedział mi dzisiaj o rozmowie z Ribbentropem, który jest specjalnym doradcą dyplomatycznym Hitlera i w tym charakterze doprowadził do podpisania w czerwcu zeszłego roku paktu morskiego z Anglią. Ribbentrop jest sprytny, ale Neurath i Bülow bardzo go nie lubią.

W toku wywiadu oświadczył: „Istnieje porozumienie między Niemcami a Mussolinim; wojna abisyńska zakończy się dla niego pomyślnie; wówczas Niemcy zażądadzą zwrotu przedwojennych niemieckich kolonii”. Pokazując dziennikarzowi mapy tych kolonii, Ribbentrop starał się go przekonać, że obfitują one w bogactwa mineralne i inne surowce. W rozmowie ze mną dziennikarz dodał: „Jeżeli Liga Narodów nie zwróci Niemcom tych kolonii, wojna jest murowana”. Odpowiedziałem: „Nie tak prędko. Niemcy nie są jeszcze do wojny gotowe, choć za dwa lata będą”.

Informując go o rozwoju stosunków niemiecko-japońskich od czasu mojego przyjazdu do Berlina, powiedziałem mu, że moim zdaniem pomiędzy tymi państwami istnieje niepisana umowa w sprawie wspólnego zaatakowania Rosji w odpowiedniej chwili. „A teraz — dodałem — pan mi mówi, że jest pakt między Niemcami a Włochami. A więc spełniło się to, co przepowiadałem przeszło rok temu: dyktatorzy utworzyli wspólny front, który może sprawić światu wiele kłopotu.”

21 stycznia 1936. Wtorek.

Dziś rano miałem półgodzinną rozmowę z dr. Schachtem. W okresie świąt był przez dwa tygodnie we Włoszech. Potem pojechał do Bazylei na posiedzenie rady Banku Międzynarodowego, którego jest jednym z dyrektorów. Ledwo zdażyłem usiąść po drugiej stronie jego biurka w wyglądającym jak pałac Reichsbanku, gdy zaczął mówić o dochodzeniach senatora Nye w sprawie finansowania amerykańskich dostaw broni do Europy. Chciał się dowie-

dzieć, czy moim zdaniem Wilson przystąpił do wojny światowej dla spodziewanych korzyści finansowych i handlowych. Dałem mu na to odpowiedź negatywną. Przytoczyłem słowa Wilsona wypowiedziane do mnie 15 sierpnia 1916 r., z których wynikało, że będzie interweniował, jeżeli się okaże, iż berlińska dyktatura wojskowa ma zamiar podporządkować sobie całą Europę.

Schacht uchylił się od dalszej dyskusji na ten temat, powiedział tylko, że nie sądzi, aby do wojny wciągnęli Wilsona nowojorscy bankierzy.

Zapytałem go następnie o stosunki niemiecko-włoskie. „Jak panu wiadomo — odpowiedział — Hitler i Mussolini długo konferowali w Wenecji w 1934 r., ale do żadnego porozumienia nie doszli. Dzielili ich wówczas głęboka wzajemna niechęć. Teraz natomiast atmosfera jest lepsza. Obu krajom niezbędne są kolonie i choć nie wiąże nas sojusz, nastąpiło pewne zbliżenie.”

Odpowiedziałem: „Zwrot posiadłości kolonialnych Niemcom byłby krokiem słusznym i szlachetnym, ale jak panu wiadomo, kolonie przestały być dochodowym interesem. Wszystkie kolonie, które zabraliśmy Hiszpanii w 1898 r., przyniosły nam kolosalne straty”. „Bo Amerykanie — zareplikował — nie chcieli się w nich osiedlać.” Wyjaśniłem mu, że nowoczesne warunki życia w kraju nie zachęcają nigdzie bezrobotnych do emigracji, jedynym wyjątkiem jest tu Japonia. Więcej tematu tego nie poruszył, ale jestem przekonany, że Niemcy wkrótce uczynią ze zwrotu kolonii problem międzynarodowy. Hitler mówi: „Nie będziemy się bili o kolonie”, ale będzie prawdopodobnie wywierał w tej sprawie taki nacisk, że doprowadzi to w końcu do wojny.

Następnie Schacht nawiązał do gospodarczej i finansowej sytuacji Niemiec. Poinformował mnie, że wkrótce mają się do niego zgłosić amerykańscy wierzyciele w sprawie odsetek od obligacji niemieckich płatnych 1 kwietnia. „No cóż — powiedziałem — nasz ostatni telegram w tej sprawie wysłany 20 stycznia do Waszyngtonu podaje, że wasze dochody poważnie wzrosły w ciągu ostatnich paru miesięcy.” To go zainteresowało i zapytał, czy mógłby zobaczyć odpowiednie ustępy mego telegramu do amerykańskiego ministra finansów. Odpowiedziałem, że mógłbym mu ewentualnie opowiedzieć o niektórych szczegółach sytuacji finansowej Niemiec zrelacjonowanych w telegramie ambasady. Oświadczył wówczas, że płacąc odsetki od obligacji na jesieni ubiegłego roku miał nadzieję, że uzyska lepsze warunki wymiany handlowej ze Stanami Zjednoczonymi, tymczasem żadna poprawa nie nastąpiła.

Odpowiedziałem: „Jest tyle innych czynników oddziałujących na opinię publiczną w naszym kraju, że trudno sobie wyobrazić, aby w razie uzgodnienia naprawdę niskich stawek celnych porozumienie to mogło zostać zatwierdzone przez Senat. Trudności, o które chodzi, są panu znane. Gdyby wszyscy w Niemczech orientowali się w sytuacji i zajmowali publicznie stanowisko analogiczne do pańskiego, sprawy przyjęłyby znacznie lepszy obrót. Stany Zjednoczone nie lubią zawierać porozumień dwustronnych. Minister Hull pragnie, aby bariery celne zostały obniżone we wszystkich krajach, a to moim zdaniem przyczyniłoby się wszędzie do podniesienia standardu życiowego.” Do pewnego stopnia zgodził się ze mną, ale otwarcie przyznał, że nie może być w tej chwili mowy o zmianie obecnej polityki autarkii gospodarczej ani też o wolności religijnej i przyzwoitym traktowaniu Żydów. Rozstałem się z nim, życząc mu wszystkiego najlepszego i zdając sobie sprawę, że nasza półgodzinna rozmowa tylko w niewielkim stopniu rozjaśniła atmosferę i bynajmniej nie świadczyła o poprawie stosunków między obu naszymi krajami.

23 stycznia 1936. Czwartek.

Attaché handlowy przyprowadził dziś do mnie dr. Engelbrechta, prezesa Vacuum Oil Company w Hamburgu. Engelbrecht powtórzył to, co mówił mi już rok temu: „Centrala Vacuum, tzn. Standard Oil Company w Nowym Jorku, wydała w Niemczech 10 milionów marek na poszukiwania źródeł ropy i budowę wielkiej rafinerii w pobliżu portu hamburskiego”. Próbné wiercenia trwają nadal i w okolicach Hanoweru znaleziono dziś dużo ropy, ale na poważniejsze złoża Engelbrecht nie liczy. Liczy natomiast na to, że dr Schacht udzieli mu pomocy finansowej, podobnie jak to czyni w stosunku do przedsiębiorstw niemieckich, które żadnej ropy nie znalazły. Vacuum wszystko, co zarobi, wydaje w Niemczech, daje zatrudnienie tysiącom ludzi i ani centa nie przekazuje do Stanów Zjednoczonych. Nie mogłem mu robić żadnych nadziei, gdyż rząd niemiecki nie jest skory do pomagania firmom zagranicznym, choćby nawet wydawały w Niemczech miliony. Tego samego zdania był Miller.

24 stycznia 1936. Piątek.

Był u mnie John Foster Dulles. Pisuje w czasopiśmie „American” artykuły na tematy europejskie i jest dobrze ustosunkowany w sferach wielkiej finansjery Nowego Jorku. Opisał mi trudności, jakie napotyka w toku załatwiania pewnych spraw finansowych z Niemcami.

„Moja siostra — powiedział — mieszka w Niemczech. Entuzjazmuje się Hitlerem i stara mi się udowodnić, że Niemcy pragną pokoju. Poszliśmy więc dziś po południu na film *Unsere Wehrmacht*, który jej zdaniem jest najlepszym świadectwem tego niemieckiego pragnienia pokoju. Siedziałem do końca, ale te samoloty, ta ciężka artyleria, te zdjęcia huraganowych ataków na nieprzyjacielskie miasta, ten entuzjazm, z jakim tym niszczycielskim akcją przyglądali się pokazywani na ekranie Hitler, Göring i Goebbels — wszystko to w moim pojęciu nie miało nic wspólnego z propagandą pokoju.” Dulles odniósł więc to samo wrażenie, co ja, gdy dwa tygodnie temu oglądałem ten film, pokazujący, jak Niemcy potrafią prowadzić wojnę. Powiedział, że nie rozumie swojej siostry i dodał, że w Stanach Zjednoczonych tego rodzaju film zostałby przez publiczność wygwizdany.

Dulles oświadczył, że pracował w Departamencie Stanu za ministra Lansinga w okresie prezydentury Wilsona i jest oburzony na komisję Senatu, która zarzuciła Wilsonowi, że przystąpił do wojny światowej w celu przysporzenia Stanom Zjednoczonym korzyści finansowych. Dulles dobrze wie, jaką rolę odegrali i jakie stanowisko zajmowali bankierzy w latach 1915—1917, ale zaprzecza, żeby Wilson miał jakieś powiązania z Morganami. To się zgadza z tym, co ja wiem w tej sprawie, z drugiej jednak strony skłonny jestem uwierzyć, że sam Lansing w pewnym stopniu ulegał naciskowi amerykańskich bankierów.

25 stycznia 1936. Sobota.

Louis Lochner poinformował mnie, że dziś rano na zebraniu Stowarzyszenia Dziennikarzy Zagranicznych został ponownie wybrany na prezesa. Na ogólną ilość 65 członków 59 głosowało za Lochnerem; 6 nie wzięło udziału w głosowaniu. Umacnia to pozycję Lochnera na tyle, że może dr Goebbels nie będzie mógł sobie na jesieni pozwolić na wydalenie go z Niemiec za zbyt swobodne relacjonowanie sytuacji i trudności tego kraju. A groziło mu to poważnie w lecie ubiegłego roku. Po Olimpiadzie ataki na Lochnera mogą się wzmóc na nowo. Gratulując mu ponownego wyboru wyraziłem nadzieję, że nie będzie miał już więcej żadnych kłopotów.

30 stycznia 1936. Czwartek.

Dzień dzisiejszy jest dla hitlerowskiego reżymu tym, czym dla nas jest 4 lipca. Początkowo przyjąłem zaproszenie do wysłuchania o 11.30 przemówień Hitlera i Goebbelsa. Potem jednak dowiedziałem się, że uroczystość odbędzie się na otwartym powietrzu, gdyż przed Führerem ma przedefilować 30 tysięcy żołnierzy SA. Ponieważ była brzydka pogoda i nie chciałem narażać swego zdrowia — więc napisałem, że na uroczystość przyjechać nie mogę.

Teraz się dowiaduję, że cywile i żołnierze nie krzyczeli i nie wiwatowali jak dawniej. Czyżby popularność Hitlera zmalała? Często się o tym słyszy, ale wątpię, żeby Hitler stracił wielu zwolenników. Ustrój totalitarny nie daje nikomu żadnej możliwości wyrażania protestu lub krytyki; w Niemczech wszystkie ważniejsze organizacje mają charakter państwowy; jedynym wyjątkiem są organizacje kościelne, są one jednak zupełnie bezsilne. Wieczorem przez Wilhelmstrasse znowu przeszedł imponujący pochód z pochodniami na cześć Führera.

31 stycznia 1936. Piątek.

Krążą pogłoski, że Niemcy są zaniepokojone możliwością utworzenia przez Anglię, Francję, Włochy i państwa bałkańskie jednolitego frontu, który by stawił czoło dalszej rozbudowie niemieckich sił zbrojnych i ewentualnym pretensjom Hitlera do byłych niemieckich kolonii. W związku z tym odwiedziłem dziś w południe posła czechosłowackiego, który po tygodniowym pobycie w Pradze wrócił właśnie do Berlina.

„Austria — powiedział poseł — obawia się jakiejś akcji ze strony narodowych socjalistów, której celem byłoby obalenie obecnego ustroju politycznego w tym kraju. Czechosłowacja też żyje w napięciu i nasłuchuje głosów dochodzących z Austrii, gdzie przywódcy katolicycy wzywają do nawiązania ścisłej współpracy między obu państwami. Anglia wspólnie z Francją popiera Anglię, ale Węgry mają trudności, gdyż Anglicy przestali kupować od nich tłuszcz, wyrządzając tym poważną szkodę ich gospodarce. Wszystkie państwa na Bałkanach gotowe są współpracować z Ligą Narodów przeciwko Włochom, a także później przeciwko Niemcom, gdyby miały one zachować się agresywnie wobec swych małych sąsiadów.”

Poseł nie ma jednak dokładnych informacji, jak daleko ma się posunąć w tych sprawach Liga. Za parę dni spotka się z francuskim ambasadorem i dowie się, czy ustalona została jakaś zdecydowana linia polityczna, w szczególności, czy Anglia i Francja faktycznie zamierzają wyrazić publicznie zgodę na uczestniczenie w pakcie z Rosją, wymierzonym przeciwko każdemu agresorowi, a zwłaszcza przeciwko Niemcom i Japonii. Obiecał, że mi da znać, gdyby nastąpiły jakieś decydujące posunięcia. Zawarcie paktu z Rosją dla zachowania pokoju jest jedyną rzeczą, której Niemcy stanowczo się sprzeciwiają.

O 4.30 zjawił się major Archibald Church z Bristolu w Anglii. Church od dłuższego czasu odwiedza i obserwuje Niemcy. Zajmował wysokie stanowisko w labourzystowskim rządzie MacDonalda, był kiedyś prywatnym sekretarzem Brüninga. Opowiadał mi przez półtorej godziny o sytuacji w Anglii, o Lidze i o Włoszech, a przede wszystkim o Niemczech. Wymienił nazwisko człowieka, pełniącego w latach 1920—1933 odpowiedzialną funkcję w rządzie niemieckim, który ujawnił mu, ile pieniędzy, poza dozwoloną w traktacie pokojowym kwotą, Niemcy wydały potajemnie na uzbrojenie i wyszkolenie swojej armii. Sumy te, z olbrzymiego tajnego funduszu uchwalonego przez Reichstag, wydatkowane zostały na polecenie Stresemanna i Brüninga, chociaż obaj twierdzili, iż pragną współpracować z Anglią i Francją w duchu szczerości i wzajemnego zaufania. W rezultacie, oświadczył informator Churcha, w 1933 r. Niemcy miały znacznie więcej wyszkolonych żołnierzy, niż to podawała Reichswehra.

Doskonała znajomość stosunków wewnętrznych w Niemczech, jaką ujawnił Church w toku naszej rozmowy, zrobiła na mnie duże wrażenie. Jak mi mówiono, to on przeszmygłował za granicę byłego kanclerza Brüninga, któremu 30 czerwca 1934 r. groziła śmierć z ręki hitlerowców. W zręczny sposób dopomógł też kilku innym osobom wymknąć się z Niemiec.

1 lutego 1936. Sobota.

Pojechaliśmy z James H. Hydem na wielkie zawody hipiczne w hali krytej z udziałem jeźdźców niemieckich, włoskich, polskich i japońskich. Była to całkiem udana impreza. Po konkursie skoków nastąpiła imponująca demonstracja wojskowa: defilowała kawaleria (niezła), maszerowały „czarne koszule”, ciągnęła wokoło (żeby wszyscy mogli się jej dobrze przyjrzeć) artyleria, odbywały się pokazy akcji czołgów i broni maszynowej. Chodziło o wywołanie wrażenia prawdziwej bitwy. Żołnierze obsługujący karabiny maszynowe leżeli plackiem na ziemi.

Ogromny tłum widzów, może ze 20 tysięcy osób, oklaskiwał te pokazy, a Hitler i Göring pozdrawiali obecnych podniesieniem ręki do góry. Dla każdego było rzeczą oczywistą, że duch narodowosocjalistyczny to przede wszystkim duch wojny. Świadcami tej militarnej demonstracji byli akredytowani w Berlinie ambasadorowie i liczni attachés wojskowi i morscy państw obcych.

Co Europa ma zrobić z tym 68-milionowym narodem zdecydowanym na nową wojnę — trudno mi powiedzieć. Jeżeli wszystkie państwa się zjednoczą i uzbroją po zęby, można będzie początek walki odroczyć, choć umknąć jej

w ogóle się nie da. Jeżeli ten zjednoczony front nie powstanie, Rzesza Niemiecka dokona aneksji terytorialnych na wschodzie, zachodzie i północy i osiągnie liczbę 90 milionów mieszkańców. Ogromna większość Francuzów i Anglików jest nastawiona pacyfistycznie i Niemcy dobrze o tym wiedzą. Pacyfistyczne są również Stany Zjednoczone. Ale ten pacyfizm doprowadzi do wielkiej wojny i ujarznienia przez Niemcy całej Europy, jeżeli miłujące pokój narody nie zdobędą się na odważne posunięcia w tym decydującym momencie historycznym.

IX. OD 5 LUTEGO 1936 DO 29 LIPCA 1936 ROKU

5 lutego 1936. Środa.

Czy w razie powrotu do władzy Hohenzollernów nowa wielka wojna byłaby do uniknięcia? Naród niemiecki już od tak dawna wychowywany jest w duchu militarystyki, a sami Hohenzollernowie byli zawsze tak zawziętymi rzecznikami agresywnej ekspansji na wschód, północ i zachód, że i w tym wypadku Niemcy wybrałyby chyba ten przestarzały sposób reagowania, jakim jest wojna.

Dziś wieczorem na przyjęciu wydanym przez Martę jednym z gości był ks. Ludwik Ferdynand, który poprosił mnie o chwilę rozmowy. Wyjaśniłem mu, że porozumienie francusko-rosyjskie ma między innymi na celu utworzenie wspólnego frontu państw bałkańskich. Księcia porozumienie to martwi, gdyż widzi w nim próbę oskrzydlenia Niemiec i możliwość wybuchu nowej wojny. Zapytał mnie, jakie moim zdaniem istnieje wyjście w tej sytuacji dla Niemiec. Zastrzegając sobie całkowitą dyskrecję (choć czuję, że powtórzy on wszystko swemu ojcu) oświadczyłem, że liberalne Niemcy musiałyby mieć bardziej postępowy rząd i utworzony w drodze wolnych wyborów parlament, że musiałyby istnieć wolność religijna, tolerancyjna polityka w stosunku do Żydów i wolność prasy. Zgodził się z tym. Sądzę, że osobiście na pewno popierałby taką politykę.

12 lutego 1936. Środa.

Dziś rano odwiedził mnie powracający do Rosji ambasador Bullitt. Poinformował mnie o optymistycznym nastroju Prezydenta i przekazał mi pozdrowienia od ministra Hulla i sędziego Moore'a. „W listopadowych wyborach — oświadczył — kluczową rolę odegra stan Pensylwania, chociaż w samej Filadelfii stara gwardia republikańska już utraciła władzę. Irlandczycy i Żydzi zgodnie popierają Roosevelta i mają szansę na zwycięstwo w tym mieście”.

To się chyba zgadza. Dziwna to kombinacja polityczna w naszym kraju. Bullittowi się zdaje, że w końcu lata będzie musiał wrócić do Ameryki, aby wziąć udział w kampanii wyborczej Prezydenta, że ewentualnie stanie się jego zaufanym doradcą na miejsce biednego House'a, który jest umierający. Wątpię, czy jego nadzieje się spełnią.

Na podstawie słów Bullitta można by wnioskować, że jest pełen przyjaznych uczuć dla Prezydenta, na sądach jego polegać jednak nie można. Ma ambicje zajęcia wysokiego stanowiska, a nie wydaje się, żeby potrafił właści-

wie oceniać sytuację. Dziś rano na przykład ostro skrytykował koncepcję współpracy Anglii i Francji z państwami bałkańskimi, mającą na celu nakłonienie Rosji do prowadzenia rozsądnej polityki zagranicznej i utrzymanie pokoju w Europie. Jego zdaniem Niemcy są w stanie zająć Austrię i Czechosłowację w ciągu dwóch tygodni, a potem bardzo szybko podporządkować sobie całą Europę.

Zapytałem: "Czy pan uważa, że byłoby to korzystne dla Stanów Zjednoczonych i Anglii?" Odpowiedział, że los Anglii jest mu absolutnie obojętny. Dodał, że zarówno lord Lothian, jak Lloyd George są przeciwni współpracy Anglii, Francji i Rosji z ententą bałkańską*. Lothian woli pozostawić Niemcom wolną drogę do ujarznienia Europy, niż narzucać im jakiegokolwiek ograniczenia. Ja mówiłem niewiele, stwierdziłem jednak, że polityka proponowana przez Lothiana oznaczałaby upadek Anglii do poziomu takiego państwa jak Holandia. Moim zdaniem, gdyby Anglia utraciła swą dotychczasową pozycję międzynarodową i potęgę militarną, byłoby to dla narodu angielskiego, który od tak dawna przoduje w rozwoju kultury i demokracji, prawdziwą katastrofą.

Bullitt powiedział, że jeszcze przed wyjazdem w grudniu do Waszyngtonu wiadomo mu było, iż Anglia odmówiła udzielenia Rosji poważnej pożyczki. Ja zaś słyszałem, że gdy dowiedział się, iż Francja zamierza pożyczyć swemu sojusznikowi z 1914 r. miliard franków, to poszedł do człowieka zajmującego kluczowe stanowisko w rządzie francuskim i przekonywał go, że Rosja nigdy tej pożyczki nie spłaci. W ten sposób przyczynił się do zerwania rozmów z Rosjanami. Nie jestem co prawda pewien, czy Rosjanie by tę pożyczkę spłacili, ale storpedowanie rozmów rosyjsko-francuskich przez amerykańskiego ambasadora w Moskwie, to jednak rzecz niesłychana.

Nie będę o tym nikomu tutaj opowiadał, ale wydaje mi się, że postępowanie Bullitta było nierozsądne. Bez względu na to, czy ta wersja jest prawdziwa, faktem jest, że pożyczka nie została Rosji udzielona. Jeżeli chodzi o mnie, to chociaż nie uważam, żeby udzielenie przez jakieś państwo lub wielki bank dużej pożyczki Niemcom było rzeczą rozsądną, to jednak, gdyby np. Anglia lub Holandia chciały takiej pożyczki Niemcom udzielić, nigdy bym im w tym nie przeszkadzał. Zgodnie z moim wewnętrznym przekonaniem nie licowałoby to ze stanowiskiem ambasadora amerykańskiego w Berlinie.

Sir Eryk Phipps poinformował mnie, jak tylko mógł najdokładniej, o stanowisku zajęтым ostatnio przez Anglię. Tak otwarcie nie rozmawiał ze mną chyba już od roku. „Anglia — oświadczył — porzuciła prowadzoną przez ostatnie czternaście lat politykę rozbrojenia. Będzie teraz wydawała blisko trzysta milionów funtów sterlingów rocznie na powiększenie swej armii, marynarki i utworzenie silnej obrony powietrznej. Można nad tym ubolewać, ale przecież od lutego ubiegłego roku staramy się nakłonić Niemców do wyrażenia zgody na nasze propozycje w sprawie rozbrojenia. Führer odpowiadał mi zawsze »Nie«. Nie będziemy już więcej naprzykrzali się Niemcom. Po kwietniowych wyborach we Francji utworzymy wspólny front z Francją i innymi europejskimi państwami należącymi do Ligi Narodów i powiemy Niemcom: »Proszę się zgodzić na międzynarodowe ograniczenie zbrojeń, bo inaczej będziemy zmuszeni utworzyć wspólnie z Rosją siłę zdolną obronić każde państwo, które by padło ofiarą agresji«." „Rosja — dodał Phipps —

* Ententa bałkańska to sygnatariusze paktu bałkańskiego podpisanego w Atenach 9 lutego 1934 r. przez Grecję, Jugosławię, Rumunię i Turcję. Pakt ten zobowiązywał wymienione państwa do wspólnej obrony granic na Bałkanach i do uzgodnionej polityki zagranicznej.

zaczyna prowadzić ostatnio bardziej rozsądną politykę i możemy z całym spokojem współpracować z nią w zakresie walki o zachowanie pokoju. Jeżeli nie uda się nam Niemców nakłonić do zgody, to za parę lat wybuchnie wojna, która przyniesie zgubę całej Europy, łącznie z Niemcami."

Phipps powiedział mi również, że niedawno był na obiedzie u ambasadora francuskiego Göring. Gdy doszło do rozmowy na temat możliwości ustąpienia Hitlera z powodu złego stanu zdrowia, Göring przycisnął swe tłuste ręce do piersi i rzekł: „Następca Führera to ja”. Francuz tak się tym przejął, że pobiegł do Phippsa i podzielił się z nim swymi obawami.

Göring jest jedynym członkiem rządzącego triumwiratu, który pozwala sobie na dość częste wygłaszanie prowokujących przemówień na granicy z Francją i Polską. Dla mnie Göring to prawie to samo co Mussolini: człowiek, który każdej chwili gotów jest zaryzykować wojnę. To, co dzisiaj o nim usłyszałem, potwierdza tylko mój pogląd, że jedyna nadzieja na uratowanie pokoju w Europie to okrażenie Niemiec, w którym wezmą udział wszystkie kraje graniczące od wschodu i zachodu z Niemcami, jak również Anglia, Francja i Rosja.

Przyszedłem do domu na lunch bardziej strapiiony niż kiedykolwiek, gdyż obie rozmowy ponownie uprzytomniły mi całą powagę problemu niemieckiego. Biedny ten niemiecki naród!

19 lutego 1936. Środa.

Dzisiejsza prasa przyniosła wiadomość, że rząd szwajcarski zakazał działalności wszystkich organizacji narodowosocjalistycznych. To jeszcze jeden objaw poważnej sytuacji w tym popularnym na całym świecie kraju. Tydzień temu agitator nazistowski nazwiskiem Gustloff został zamordowany w Szwajcarii przez niemieckiego Żyda, posiadającego obywatelstwo jugosłowiańskie. Dywersyjna działalność Gustloffa trwała już kilka lat i poseł szwajcarski w Berlinie wielokrotnie i daremnie protestował w tej sprawie, podobnie jak ja w 1934 r., gdy chodziło o propagandę narodowosocjalistyczną w Stanach Zjednoczonych*. Gdy nadeszła wiadomość o morderstwie, wszystkie niemieckie flagi zostały opuszczone do połowy masztu. Śmierć Gustloffa została potraktowana jako równie ważne wydarzenie w życiu narodu, co śmierć Hindenburga. Zwłoki zabitego wieziono powoli przez Niemcy aż do Meklemburgii, gdzie zostały pochowane. Hitler niezwykle ostro zaatakował Żydów. Mowy żałobne wygłoszone zostały również w Hamburgu i innych miastach; słuchało ich dziesiątki tysięcy spędzonych w tym celu ludzi. Tam, gdzie przemawiał Hitler, Ministerstwo Spraw Zagranicznych reprezentował wiceminister Dieckhoff.

Dzisiejsza prasa pełna jest ataków na Szwajcarię; gazety twierdzą, że działalność organizacji narodowosocjalistycznych za granicą powinna być wszędzie dozwolona. Niemcy najwidoczniej zapomnieli, że w drugiej połowie grudnia Hitler wydał rozporządzenie, nakazujące niemieckim konsulatom w Stanach Zjednoczonych rozwiązać do końca tegoż miesiąca wszystkie organizacje narodowosocjalistyczne, i to mimo iż w naszym kraju mieszkają miliony Niemców. A teraz w całych Niemczech potępia się Szwajcarię za to, że zrobiła to, co Hitler, jak sam niedawno stwierdził, kazał zrobić w Ameryce.

* Gustloff był szefem partii narodowosocjalistycznej w Szwajcarii i został zabity 4 lutego 1936 r. Rada federalna zakazała organizowania partii narodowosocjalistycznej, tworzenia gospodarczych placówek tej partii oraz wydalila studentów utrzymujących kontakty z niemieckimi władzami policyjnymi.

W uzupełnieniu ataków codziennej prasy biuro Goebbelsa opublikowało złośliwe oświadczenie, w którym się pisze, że Szwajcarzy zbudują prawdopodobnie pomnik dla uczczenia człowieka, który zamordował Gustloff. Autorzy oświadczenia przeoczyli, że przywódcy hitlerowscy postawili pomnik ku czci morderców największego od czasów wojny niemieckiego męża stanu, Rathenaua, i że co rok na tym pomniku składa się kwiaty. Jakże będzie mogła prasa niemiecka teraz się uzalać, jeżeli gazety szwajcarskie przypomną jej o tym niemieckim pomniku dla morderców?

20 lutego 1936. Wtorek.

Przyszedł do mnie dziś rano pracownik agencji nowojorskiego „Timesa” i opowiedział mi o kłopotach, jakie miał Birchall w związku ze swoim reportażem z rozmowy sir Eryka Phippsa z Hitlerem w dniu 13 grudnia ubiegłego roku. Reportaż ten zgadza się z otrzymanymi przeze mnie na ten temat informacjami z różnych innych źródeł. Była w nim mowa o tym, że Hitler nerwowo wymachiwał rękami, potępił Rosjan, nazwał ich wrogami Niemiec i oświadczył, że musi być przygotowany do stoczenia z nimi walki. Powiedział także, że ani myśli o ograniczeniu zbrojeń w jakiegokolwiek dziedzinie i nie weźmie udziału w żadnej konferencji międzynarodowej w sprawie lotnictwa lub marynarki wojennej. Po przedrukowaniu tego reportażu „Timesa” przez londyński „Daily Telegraph” tutejsze przedstawicielstwo „Timesa” zostało poinformowane przez niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, że Birchall nie będzie mógł wrócić do Niemiec i że policja otrzymała polecenie, aby go więcej do Niemiec nie wpuszczać.

Tymczasem Birchall jakimś sposobem znalazł się znowu w Berlinie. Wczoraj przeprowadził dłuższą rozmowę z Dieckhoffem. Na razie nikt nie wie, co zrobić z tym fantem. W każdym razie w swych korespondencjach z ostatnich dwóch tygodni Birchall tak życzliwie pisał o niemieckiej uprzejmości i sposobie traktowania uczestników Olimpiady w Niemczech, że parę dni temu jego wypowiedzi zacytowała niemiecka prasa. Najwyraźniej Birchall jakoś załagodził sprawę, ja jednak w dalszym ciągu wierzę w to, co napisał o zachowaniu się Hitlera w dniu 13 grudnia. W każdym razie Birchall jest znowu w Niemczech. Przedstawiciel „Timesa” oświadczył: „Marzę o tym, żeby stąd wyjechać. Wszystko tu jest tak okropne, a nastroje wśród zagranicznych dziennikarzy tak ponure, że życie tu jest dla nas koszmarem.” Ale amerykańskim koncernom prasowym bardzo zależy na utrzymaniu w Niemczech swych najzdolniejszych korespondentów i sądzę, że oni stąd nie wyjadą. A w lecie odbędą się tu Igrzyska Olimpijskie, które staną się okazją do wydatkowania milionów dolarów przez gości zagranicznych, na co bardzo liczy Schacht.

Rzeczoznawca finansowy ambasady przyniósł mi później maszynową odbitkę niemieckiego biuletynu, w którym twierdzi się, iż miałem powiedzieć, że w związku z chorobą Hitlera zapadła decyzja, iż członkami nowego niemieckiego triumwiratu będą Göring, generał von Blomberg i Hess. Autorem tego biuletynu jest człowiek wprowadzony w tutejsze koła finansowe, który za tego rodzaju informacje otrzymuje odpowiednie wynagrodzenie.

Rzeczywiście telegrafowałem do Waszyngtonu o krążących tu od wielu miesięcy pogłoskach, że Hitler ma jakąś chorobę krtani i że przypuszczalnie jest to rak. Doniosłem również, iż około 1 stycznia 1936 r. na zebraniu generałów wojsk lądowych wyrażono zgodę na wspomniany wyżej skład triumwi-

ratu. Mówił mi o tym poseł czechosłowacki, ale miałem o tym informację również z innego źródła urzędowego. W telegramie nie podawałem tego jako sprawdzonego faktu, napisałem tylko, że tego rodzaju relacje do mnie dotarły.

No dobrze, ale jakim sposobem ta historia trafiła z powrotem do Niemiec? Może to ambasador brytyjski przekazał komuś taką informację i podał, że otrzymał ją ode mnie. Ale przecież on pierwszy powiedział mi parę dni temu, że Göring został desygnowany na przyszłego Führera, a ja mu wówczas dopowiedziałem resztę. A może ktoś się znowu wygadał w Departamencie Stanu i cała ta historia została przetelegrafowana z powrotem do Niemiec. Istnieje także możliwość, że treść mego telegramu została ujawniona w Paryżu, dokąd wysłano jego kopię. Nieprzyjemna sprawa.

25 lutego 1936. Wtorek.

Jadłem dziś lunch z Oechsnerem i Royem Howardem, prezesem United Press, który odbywa podróż dookoła świata. Jutro o 12.30 Howard ma zobaczyć się z Hitlerem. Bardzo się z tego powodu cieszy, chociaż go uprzedziłem, że wiele po tej rozmowie nie powinien się spodziewać. Nie powiedziałem mu, że z własnej woli do Hitlera lub Göringa nigdy bym nie poszedł. Dziennikarze uważają jednak za swój obowiązek zobaczyć się z Hitlerem i Mussolinim, gdy przyjeżdżają do Berlina lub Rzymu.

27 lutego 1936. Czwartek.

Oechsner przyszedł zdać mi relację z tego, co jemu i Howardowi powiedział wczoraj Hitler. Obaj odnieśli wrażenie, że Kanclerz ma jakieś poważne zmartwienie, ale nie zauważyli, żeby przed jego pałacem były zdwojone straże, jak o tym doniósł wczoraj nasz Joseph Flack, który przejeżdżał tamtędy w drodze powrotnej z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jego zdaniem powodem tego alarmu były ostatnie doniesienia o krwawym puczu w Tokio i zamordowaniu przez oficerów trzech japońskich dygnitarzy państwowych*. Jest się czego obawiać, skoro powszechnie wiadomo, że w Niemczech jest wielu ludzi niezadowolonych. Każdej chwili może nastąpić nowe wydanie 30 czerwca.

28 lutego 1936. Piątek.

Otrzymałem dziś z Kolonii sprawozdanie z dłuższej rozmowy z Fritzem Thyssenem, drugim z kolei po Kruppie największym producentem broni w Niemczech. Thyssen twierdził, że poważną część swego majątku wydał, aby pomóc Hitlerowi w jego wieloletniej walce o zdobycie dyktatorskiej władzy w kraju. Dodał, że go niepokoi obecna sytuacja i że dla uratowania pozycji

* Rewolta wojskowa w Tokio wybuchła 26 lutego 1936 r. Była skierowana przeciwko polityce rządu i wywołana zwycięstwem partii rządowej w wyborach 20 lutego t.r. Oddziały wojskowe pod wodzą oficerów obozu skrajnie nacjonalistycznego dokonały aktów terroru, m. in. zginęło wówczas kilku dostojników zbliżonych do umiarkowanego kierunku rządowego. Rewolta została stłumiona po kilku dniach.

Hitlera konieczna jest nowa czystka w stylu 30 czerwca. Nazwisk osób, które powinnyby paść ofiarą tej czystki, nie wymienił. Niepokoi go również fakt, że radykalne skrzydło partii hitlerowskiej przesiąka coraz bardziej komunizmem. Jednocześnie potępił stanowczo trwające już dwa lata prześladowanie katolików i protestantów.

Przypuszczam, że chodzi mu o usunięcie Goebbelsa, Rosenberga, Darrégo i przywódców Arbeitsfrontu. W Berlinie krążą uporczywe pogłoski, że może dojść do jakiejś krwawej rozprawy. Wtajemniczeni twierdzą, że Göring znowu uwolni kraj od ludzi, których nie lubi. Jedna z wersji brzmi, że Göring usunie Hitlera i sam obwoła się dyktatorem.

Ofiarą dotychczasowych aresztowań padli przede wszystkim katolicy; objęły one, jak słychać, 200 księży i wiernych. Może połowę z nich potem zwolniono, chociaż prawdy nigdy się nie dojdzie. Jednym z celów, do którego hitlerowcy z uporem dążą, jest przejęcie całkowitej kontroli nad religijnym i ogólnym wychowaniem młodzieży.

29 lutego 1936. Sobota.

Spotkałem się o 12.30 z ministrem Neurathem i przeprowadziłem z nim długą, nieoficjalną rozmowę. Był szerszy niż kiedykolwiek. Mam wrażenie, że w łonie rządu toczy się poważny spór pomiędzy grupą, do której należy Neurath, a grupą, której przewodzi Göring. Wprawdzie Neurath do tego się nie przyznał, ale gdy go zapytałem o pakt francusko-rosyjski, który prasa niemiecka tak często krytykuje, oświadczył, że zamiary Francuzów i Rosjan nie są w istocie agresywne, a reżym komunistyczny nie stać na prowadzenie wojny poza granicami kraju. Zdaniem Neuratha rosyjscy komuniści broniliby się zapewne dzielnie, gdyby zostali zaatakowani na własnym terytorium, ale wojny ofensywnej prowadzić nie są w stanie, choć armię mają faktycznie dużą.

Ja myślę to samo, nie mogę bowiem sobie wyobrazić, żeby partia licząca niewiele ponad 2 miliony członków mogła całkowicie podporządkować sobie naród 170-milionowy. Nie powiedziałem tego wprawdzie Neurathowi, ale wydaje mi się, że również 68 milionów Niemców nie okazałoby całkowitej jednomyślności, gdyby im np. kazano dokonać najazdu na Belgię (po raz drugi) lub Holandię.

Poinformowałem następnie ministra, że od połowy drugiego roku mego pobytu w Berlinie większość posłów państw bałkańskich wciąż mi mówi, iż niepodległość tych państw można by zabezpieczyć jedynie przez utworzenie swego rodzaju konfederacji, mającej na celu wspólną obronę pokoju na Bałkanach. Zapytałem go: „Czy pańskim zdaniem tego rodzaju związek państw bałkańskich stanowiłby zagrożenie interesów Niemiec?” Odpowiedział: „Nie, o ile tylko nie przewodziłaby mu Francja, Rosja lub Włochy.”

Dało mu to podstawę do poruszenia sprawy „okrażenia” Niemiec, o którym tak wiele mówi się od czasu wprowadzenia w Niemczech w marcu 1935 r. obowiązku powszechnej służby wojskowej. „Okrażenie”, powiedziałem, to system sojuszków, stanowiący naturalną konsekwencję stopniowego upadku znaczenia i wpływów Ligi Narodów po wycofaniu się z niej Niemiec. Jeżeli proces ten będzie się pogłębiał, znajdziemy się w końcu w sytuacji, jaka panowała w 1914 r. Ściśle biorąc, w podobnej sytuacji znajdujemy się już obecnie, gdyż wszystkie państwa zbroją się po zęby: z jednej strony Francja, Anglia

i Rosja, z drugiej — Włochy, Niemcy i Japonia; tej ostatniej uwagi jednak głośno nie wypowiedziałem. Neurath przyznał, że sytuacja jest groźna.

Powiedziałem, że państwa bałkańskie, gdyby się zjednoczyły, stanowiłyby poważną gwarancję pokoju. Zaaapelowalem: „Dlaczego nie mielibyście przywrócić autorytetu Lidze Narodów i rozwiązać problemu granic w drodze rokowań?” Jego odpowiedź była dla mnie niespodzianką: „Rozważamy możliwość powrotu do Ligi pod warunkiem, że państwa zachodnie zgodzą się zwrócić nam nasze kolonie, pozwolą nam wprowadzić z powrotem nasze wojska do zdemilitaryzowanej strefy nad Renem i zgodzą się na pewne ustępstwa w zakresie parytetu sił morskich.” Utrzymywał, że kolonie muszą być Niemcom zwrócone, że sprawa Nadrenii może ewentualnie poczekać na załatwienie jej w drodze rokowań dyplomatycznych, że pakt francusko-rosyjski to nic poważnego, i że Niemcy notyfikowały Anglii swoją zgodę na wzięcie udziału w przygotowywanej w Londynie konferencji morskiej.

Po paru uwagach na temat absurdalności militarystyki i wojny, zapytałem Neuratha, czy prawdą jest, jak o tym mówią kursujące ostatnio pogłoski, że Niemcy mają wkrótce zawrzeć jakiś specjalny sojusz z Japonią. Wykręcił się od odpowiedzi mówiąc: „Nowa wojna byłaby dla nas równoznaczna z samobójstwem.” Utrzymywał jednak, że nie ma żadnego absolutnie porozumienia pomiędzy Niemcami a Włochami, i że Niemcy nie dadzą się wciągnąć do wojny z Rosją, nawet gdyby zaatakowała ją od wschodu Japonia. W ten sposób bez pytania otrzymałem wyjaśnienie ważnej interesującej mnie kwestii.

Zgodziłem się z nim, że istnieje małe prawdopodobieństwo nawiązania współpracy pomiędzy Włochami a Niemcami, chyba że oba te państwa, znalazłszy się poza Ligą, będą zmuszone do defensywy. Ale nie mogę oprzeć się przekonaniu, że jeżeli dojdzie do wojny japońsko-rosyjskiej, Niemcy staną po stronie Japonii. Istnieje wiele dowodów wskazujących na to, że Niemcy i Japonia są w jakiś sposób ze sobą związane. Tego rodzaju wnioski można wyprowadzić z niektórych wypowiedzi Neuratha i Schachta.

Już miałem wyjść, gdy Neurath z naciskiem oświadczył, że na poruszone przez nas tematy prowadzi obecnie z Hitlerem długie dyskusje. Zaznaczył przy tym, że Führer przejawia skłonność do kompromisu, szczególnie w sprawie powrotu do Genewy. Trochę mnie to zdziwiło.

5 marca 1936. Czwartek.

Od paru dni panuje w Berlinie duże zaniepokojenie. Dziś po południu przyszedł do mnie poseł czechosłowacki i mówił o trudnej sytuacji swego kraju. Powiedziałem mu w zaufaniu, iż Neurath zgodził się ze mną, że utworzenie związku państw bałkańskich, którego celem byłaby wzajemna obrona i współpraca, nie byłoby dla Niemiec kamieniem obrazy pod warunkiem, że do związku tego nie będą należały państwa sytuowane w innych rejonach geograficznych. Okazało się, że przeczy to temu, co na temat stanowiska niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych słyszał poseł czechosłowacki. Nie mam oczywiście pewności, czy Neurath mówi mi zawsze prawdę. Sądzę jednak, że w tym, co mi powiedział w sobotę, był zupełnie szczerzy.

Oświadczyłem więc memu czeskiemu koledze co następuje: Biorąc pod uwagę niebezpieczną sytuację, w jakiej znajdują się wszystkie małe kraje sąsiadujące z Niemcami, gdybym był mężem stanu jakiegoś bałkańskiego państwa, uczyniłbym wszystko, co tylko leżałoby w mojej mocy, żeby doprowa-

dzić do utworzenia wspomnianego związku. Nie musiałby to być taki ścisły związek, jaki tworzą Stany Zjednoczone; wystarczyłaby konfederacja, mająca na celu udzielanie sobie wzajemnej pomocy gospodarczej i politycznej. Poseł zgodził się ze mną, ale wskazał na poważne trudności: Austria pragnie powrotu Habsburgów, podczas gdy Jugosławia jest stanowczo przeciwna tej koncepcji; Węgry patrzą nienawistnym okiem na Czechosłowację, zaś Bułgaria nie ma chwilowo ochoty na nic.

Odpowiedziałem: „Jeżeli mieszkańcy Bałkanów, których jest ponad 80 milionów, nie potrafią znaleźć sposobu osiągnięcia jedności, utracą niepodległość. Wie pan dobrze, jak silne są w Niemczech tendencje imperialistyczne”. Rozstaliśmy się w zgodzie, ale pełni wątpliwości, czy narody europejskie potrafią ze sobą współpracować. Powiedział mi, że na zaproszenie prezydenta Benesa jedzie dziś wieczorem do Pragi.

6 marca 1936. Piątek.

Krążą wieści, że Hitler ma zamiar zwołać Reichstag na 13 marca, to znaczy na drugi dzień po zapowiedzianej przez Francję ratyfikacji układu z Rosją*. Sądzi się, że reakcja Hitlera będzie bardzo gwałtowna. Jakie by nie były jego zamiary, poważne zaniepokojenie budzą częste, jak się słyszy, spotkania dyktatora ze swymi współpracownikami.

O 5.30 przyszedł poseł południowoafrykański Gie i poinformował mnie o przebiegu posiedzenia Rady Ligi Narodów, które odbyło się w tym tygodniu. Angielski minister spraw zagranicznych Eden nalegał na zastosowanie wobec Włoch sankcji w postaci embarga na ropę naftową, ale francuski minister spraw zagranicznych Flandin sprzeciwił się tym sankcjom niemal równie stanowczo, jak w grudniu ubiegłego roku Laval. Eden był zaskoczony i zły. Francuzi uważali, że nadal wiąże ich układ ze stycznia 1935 r.**, który przyznaje Włochom prawo anektowania dowolnej części terytorium abisyńskiego. Powtórzyli błąd z grudnia 1935 r. i znowu ustąpili dyktatorowi Mussoliniemu, którego 6000 samolotów bojowych*** stoi w pogotowiu i może każdej chwili zaatakować flotę brytyjską na Morzu Śródziemnym.

Pan Gie był bardzo przygnębiony, gdy mi opowiadał o porażce Edena i grożącym Anglii niebezpieczeństwie utraty pozycji zajmowanej w Egipcie. Chociaż wszystkie zainteresowane mocarstwa mają na sumieniu podobne sprawy, jak podbój biednej Abisynii przez Włochy, wydaje się, że Liga mogłaby znaleźć jakiś sposób położenia kresu tego rodzaju wyczynom. Tymczasem Niemcy przyglądają się temu i zastanawiają, kiedy będą mogły napaść na słabsze od siebie narody.

Powiedziałem w zaufaniu panu Gie, że Niemcy rozważają możliwość powrotu do Ligi pod warunkiem, że zwróci się im ich kolonie z 1914 r. Na to

* Traktat francusko-radziecki o wzajemnej pomocy został podpisany w Paryżu 2 maja, w Moskwie 14 maja 1935 r. Parlament francuski ratyfikował go 27 lutego 1936 r., gdy ministrem spraw zagranicznych został Flandin.

** Dn. 7 stycznia 1935 r. Mussolini i francuski minister spraw zagranicznych Laval podpisali tzw. protokoły rzymskie, które zawierały nieznaczne ustępstwa Włoch na rzecz Francji. W grudniu t.r. po agresji włoskiej na Abisynię wybuchła dyskusja na temat obietnic danych przez Lavalą w Rzymie. Strona francuska twierdziła, że Francja zobowiązała się nie konkurować z Włochami o otrzymanie koncesji w Abisynii, i że nie było mowy o akcji zbrojnej. Prasa włoska utrzymywała, że désintéressement francuskie miało również charakter polityczny.

*** Jest to liczba nieprawdopodobna.

oświadczył: „Rozmawiałem z Edenem, który mi powiedział, że Anglia zgodziłaby się na przyznanie Niemcom kolonii tylko w charakterze mandatu; wówczas Niemcy nie mogliby uzbroić krajowców, jak to Francja uczyniła w Maroku”.

Przez chwilę mówił jeszcze o napięciu panującym w Berlinie, ale żaden z nas nie był w stanie przewidzieć, co przyniesie najbliższe posiedzenie Reichstagu.

7 marca 1936. Sobota.

Gdy przyszedłem dziś rano o 9.30 do biura, radca Mayer powiadomił mnie, że musi zaraz udać się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych celem odebrania informacji, które dr Dieckhoff na polecenie swych władz ma nam przekazać. Wiadomo już było, że dziś o 12-ej Hitler wygłosi mowę w Reichstagu! O 11-ej Mayer przywiózł nam z Ministerstwa streszczenie głównych punktów tego przemówienia. Wynika z nich co następuje: Hitler wprowadza dziś do zdemilitaryzowanej strefy Nadrenii około 30 tysięcy niemieckich żołnierzy; proponuje zawarcie układu z Francją i Belgią w sprawie demilitaryzacji obu brzegów Renu i granicy holenderskiej po stronie niemieckiej; zapowiada wypowiedzenie układu podpisanego w Locarno między Niemcami, Francją, Włochami i Anglią, uzasadniając to faktem podpisania przez Francję paktu z Rosją; oświadcza gotowość powrotu do Ligi Narodów i zawarcia z państwami zachodnimi układu w sprawie wzajemnego ograniczenia sił lotniczych; domaga się zwrotu Niemcom ich kolonii.

Dieckhoff wyraził nadzieję, że zechcemy przekazać te dane amerykańskim agencjom prasowym w Berlinie, które na ich podstawie będą mogły natychmiast telegraficznie poinformować Stany Zjednoczone, co Hitler zamierza uczynić i co będzie mówił na posiedzeniu Reichstagu. Zadzwoniliśmy więc do naszych agencji i podaliśmy im otrzymane przed chwilą informacje, które zostały z kolei niezwłocznie przekazane na drugą stronę Atlantyku.

Następnie razem z Mayerem pojechalśmy wysłuchać zapowiedzianego przemówienia do Opery Kroiła położonej niedaleko gmachu dawnego Reichstagu. Sala była szczelnie wypełniona. Na parterze zasiedli posłowie do nowego Reichstagu, wszyscy w hitlerowskich mundurach. Mianowani przez Hitlera, otrzymują od rządu pobory, jakby naprawdę pełnili funkcje ustawodawcze. Zwołano ich niemal w ostatniej chwili, żeby jednogłośnie akceptowali wszystko, co Hitler zechce powiedzieć. Było to bardzo śmieszne, ale miny zebranych nie wskazywały, żeby posiadali choćby w najmniejszym stopniu poczucie humoru.

Miejsca zarezerwowane dla dyplomatów były niemal wszystkie zajęte, chociaż nie zjawili się ambasadorowie Francji, Anglii, Rosji i Polski. Wiem na pewno, że Anglik i Francuz dowiedzieli się zawczasu, co się szykuje, i nie przybyli rozmyślnie. Siedziałem koło Turka, a tuż za nim siedział Włoch.

Gdy Hitler wstał, żeby wygłosić przemówienie, zerwała się burza oklasków; dyplomaci, zgodnie z przyjętym tu zwyczajem siedzieli w milczeniu. Madame von Neurath, która siedziała obok Włocha, również klaskała, ale wiem, że czyniła to nieszczerze. Z tyłu za Hitlerem z dumną miną siedział Göring. Po lewej stronie — Lammers, jeden z jego zaufanych sekretarzy, w mundurze. Po prawej — Frank, szef nazistowskiego związku prawników. Dalej na prawo siedzieli członkowie gabinetu; wśród nich Neurath, minister sprawiedliwości Gürtner i Goebbels, który mając w ręku drugi egzemplarz

przemówienia, przewracał jego kartki jednocześnie z Hitlerem. Za Neurathem siedział dr Schacht, a dalej na prawo reszta członków gabinetu. Setki dziennikarzy zajęło miejsca na galerii. Przemówienie Hitlera miało stać się wielkim wydarzeniem, było transmitowane przez radio na całe Niemcy i cały świat.

Trwało półtorej godziny i zawierało wszystkie punkty podane nam uprzednio do wiadomości. Dłuższą chwilę poświęcił Hitler przewrotnemu paktowi Francji z Rosją oraz niemieckiej kulturze, która jego zdaniem bardzo się podniosła i rozwinęła od 1933 r.

Nielogiczne było według mnie powoływanie się na Czternaście Punktów Wilsona i stawanie w obronie pokoju światowego po to, żeby następnie przez kwadrans atakować pokojowy pakt francusko-rosyjski, którego jedynym celem, jak wiadomo, jest obrona przed ewentualnym agresorem. Podobnie ostro napiętnowana została również Czechosłowacja. A przecież dla każdego jest jasne, że niewielkie państwo, liczące 14 milionów mieszkańców, nigdy pierwsze nie zaatakuje Niemiec. Wielkie pochwały pod adresem nazistowskiej kultury to również oczywisty absurd, możliwe jednak, że w swoim fanatyzmie Hitler uznał, iż narodowy socjalizm to właśnie kultura. Pozostałe punkty przemówienia w zręcznej formie zmierzały do osłabienia więzów łączących Anglię z Francją. Mam wrażenie, że Niemcy prowadzą już teraz wspólną politykę z Włochami. Gdyby miało się to sprawdzić, Francja znajdzie się w trudnej sytuacji.

Opuściłem salę o 1.40. Przedtem opuścił ją Hitler eskortowany przez setki uzbrojonych żołnierzy. Jest zawsze pod bardzo silną ochroną. Przy wyjściu spotkałem się z posłem holenderskim, który nie posiadał się z oburzenia. „Przedstawiciele dyplomatyczni Rosji i Czechosłowacji — powiedział — zastanawiają się chyba, czy nie powinni podać się do dymisji, a francuski ambasador moim zdaniem na pewno wyjedzie dziś wieczorem do Paryża.” Nie przypuszczałem, żeby tak się stało, ale przyznałem, iż krytyczne wypowiedzi Hitlera, do których poseł nawiązywał, miały charakter agresywny.

Mayer, który nie zna dobrze niemieckiego, był zachwycony. Nigdy jeszcze nie był świadkiem takiego entuzjazmu i uważa, że Hitler jest wspaniałym mówcą. Wyraziłem na ten temat pewne wątpliwości, ale przyznałem, że mowa była zręcznie opracowana i może się okazać strategicznym posunięciem przygotowującym rozpisanie nowych wyborów. Powrót garnizonów niemieckich do Nadrenii i upokorzenie Francji mogą sprawić, że mianowani przez Hitlera kandydaci na posłów do Reichstagu zdobędą w nowych wyborach przygniatą większość głosów. Ponieważ Hitler mianuje tylko jednego kandydata na okręg i nie pozwala na wystawianie żadnych innych kandydatur, głosujący nie mają wyboru. Mogą wrzucić do urny białe kartki lub wcale nie głosować, ale postępując w ten sposób narażają się na uwięzienie.

Była najwyższa pora, żeby zjeść lunch. Po lunchu resztę dnia spędziłem w biurze. Napływały wieści z Paryża i Londynu, świadczące o panującym tam zaniepokojeniu. Od chwili naszego przyjazdu do Berlina w lipcu 1933 r. przeżywamy regularnie jeden kryzys po drugim.

9 marca 1936. Poniedziałek.

Około południa odwiedził mnie mój przyjaciel Limburg-Stirum. Ten arystokrata o demokratycznych poglądach jest potomkiem starego holenderskiego rodu, który wziął swój początek 400 lat temu. Jest posłem w Berlinie już

dziesięć czy dwanaście lat. Jego rząd jest w rozterce, jak ma się zachować, jeżeli Francji uda się przeforsować sankcje w stosunku do Niemiec za to, że wprowadziły swoje wojska do Nadrenii i wypowiedziały układ lokarneński. Życie gospodarcze Holandii w dużym stopniu uzależnione jest od eksportu do Niemiec. Poza tym Niemcy winne są Holandii poważne kwoty pieniężne.

Ale osobiście poseł jest stanowczym przeciwnikiem polityki Hitlera, która jego zdaniem postawiła sobie za cel aneksje terytorialne na Bałkanach i w strefie Bałtyku. Gdyby — w myśl propozycji Hitlera — Nadrenia, a ściślej mówiąc terytorium szerokości trzydziestu mil po obu stronach historycznej rzeki od Bazylei w Szwajcarii do północnej Holandii, miała stać się strefą neutralną, to Francja nie mogłaby interweniować w wypadku próby anektowania przez Niemcy Czechosłowacji, Austrii, Litwy lub Estonii. Minister sądzi, że o to właśnie chodzi Hitlerowi, który Holandię traktuje zapewne również jako obiekt dojrzały do aneksji. Z tym poglądem skłonny jestem się zgodzić, tym bardziej że wskazują na to kolosalne przygotowania wojenne w Niemczech i nie mająca wprost precedensu propaganda, uzasadniająca aneksję terytoriów zamieszkałych przez Niemców.

10 marca 1936. Wtorek.

Odwiedził mnie baron Albert Dufour von Feronce, potomek francuskich hugonotów, którzy osiedlili się w Niemczech w końcu siedemnastego wieku. Chodziło mu najwyraźniej o przekonanie mnie, że Hitler nie myśli o agresji, że pakt francusko-radziecki jest sprzeczny z układem lokarneńskim i że wprowadzenie 36 tysięcy niemieckich żołnierzy do Nadrenii jest w pełni usprawiedliwione. Feronce długie lata spędził w służbie dyplomatycznej, był kiedyś posłem niemieckim w Jugosławii, a obecnie jest na emeryturze.

Mówił z takim entuzjazmem, jakby był jakimś wysokim partyjnym dygnitarzem, chociaż uchodzi za oponenta hitlerowskiego reżymu. Zapalał się niesłychanie, gdy mówił o czymś, co nazywał honorem Niemiec, a także gdy dowodził, że Niemcy miały pełne prawo złamać postanowienia międzynarodowego traktatu, gdyż chodziło tylko o remilitaryzację terytorium, które zostało zdemilitaryzowane w 1919 r. Sądzę, że podobnie jak on myśli 90 procent wszystkich Niemców, chociaż ocenia się na ogół, że najwyżej 40 procent ludności szczerze wyznaje narodowy socjalizm. To dowodzi, że Hitler bardzo sprytnie obmyślił swój cios z 7 marca.

12 marca 1936. Czwartek.

W związku z dającym się odczuć w Berlinie napięciem, pojechałem o 12-ej do polskiego ambasadora Lipskiego, żeby się od niego dowiedzieć, jak rząd polski zapatruje się na sytuację swego kraju w aktualnych warunkach. Ambasador nie ukrywał niepokoju: „Niemcy winne są nam 15 milionów dolarów za przewóz towarów i pasażerów do Prus Wschodnich i z powrotem; Schacht twierdzi, że Niemcy mogą płacić nam tylko w towarach; my domagamy się zapłaty w złocie lub dewizach; spór trwa już dwa miesiące, ostatnio przedłożono sprawę do rozstrzygnięcia Hitlerowi. Co robi, przewidzieć nie mogę.” „Ale Niemcy — powiedziałem — zamierzają podobno utrzymać łączność

z Prusami Wschodnimi za pomocą własnych okrętów pływających po Morzu Bałtyckim. Co zrobicie w tym wypadku?" Odpowiedział: „Temu nie możemy się sprzeciwić, będziemy jednak domagać się zapłacenia kwoty, która się nam święcie należy, a jeżeli to nie nastąpi, zamkniemy tranzyt kolejowy przez Korytarz”.

Gdy go zapytałem o zdanie w sprawie niemiecko-francuskiego sporu o wykładnię układu lokarneńskiego, odpowiedział: „Jeżeli dojdzie do wojny, staniemy po stronie Francji, ale jak długo panuje pokój, układ z Niemcami nas obowiązuje. Pakt z Francją będzie miał pierwszeństwo w wypadku gdy Niemcy zaatakują Francję”. Dodał: „Nie jesteśmy za sankcjami przeciwko Niemcom pomyślanymi jako kara za pogwałcenie układu lokarneńskiego. Dla Niemiec byłby to straszny cios; przestałyby płacić swoje długi; mogłyby to nawet wywołać wojnę”.

Gdy zapytałem ambasadora, co można będzie osiągnąć na konferencji w Londynie*, odrzekł, że tego nie wie, w każdym razie Polska będzie popierała Anglię a nie Francję. Wydaje mi się, że stanowiłoby to naruszenie układu polsko-francuskiego, którego moc obowiązującą ambasador przecież w pełni uznaje. Jego wypowiedzi potwierdzają moje codzienne spostrzeżenia, że stosunki polityczne, gospodarcze i narodowościowe w tej części Europy są bardzo skomplikowane. Polska zawdzięcza swoją niepodległość Stanom Zjednoczonym, Anglii i Francji. Zgodnie bowiem z traktatem brzeskim miała być de facto przyłączona do Niemiec i tylko przystąpienie do wojny Stanów Zjednoczonych przeszkodziło wprowadzeniu tego traktatu w życie. Obecnie jednak Polsce trudno zrobić choćby jeden krok w prawo, lewo czy do tyłu bez narażenia się na konflikt z Niemcami, które mogłyby wówczas zmusić Polskę do uległości.

13 marca 1936. Piątek.

Dziś wieczorem Hitler przemawiał do zgromadzonych tłumów w Karlsruhe nad Renem**. Powtórzył dużo rzeczy powiedzianych 7 marca i oświadczył, że Francja i Niemcy powinny rzucić się sobie w objęcia jak dwoje przyjaciół. Jak zwykle starał się przemówić do uczuć słuchaczy. Połowa z nich przyszła może dobrowolnie, ale wiele tysięcy przybyło na rozkaz, nawet z tak odległych miejscowości jako Freiburg. W Niemczech nigdy nie wiadomo, co słuchacze takich przemówień myślą naprawdę o Hitlerze, Göringu i Goebbelsie, bo nikt nie ośmiela się wyrazić sprzeciwu wobec jakiegokolwiek wypowiedzi członków triumwiratu.

14 marca 1936. Sobota.

Dowiaduję się, że Hitler konferował dziś przez cały dzień z członkami gabinetu i innymi dygnitarzami, że sir Eryk Phipps był u Neuratha i zakomunikował mu, co zdaniem Anglii Niemcy powinny zrobić, żeby uniknąć woj-

* Była to sesja specjalna Ligi Narodów, która zebrała się 9 marca 1936 r. w Londynie. W czasie obrad Ribbentrop złożył 19 marca 1936 r. oświadczenie w sprawie pogwałcenia paktu lokarneńskiego z 1925 r.

** Hitler przemawiał w Karlsruhe 12 marca 1936 r.

ny, i że Neurath długo dyskutował później z Führerem. Atmosfera jest bardzo niespokojna. Na razie Hitler leci dziś wieczorem o 8-ej do Monachium, żeby tam wygłosić nowe przemówienie. Powtórzy to, co powiedział już w Karlsruhe, i będzie miał znowu audytorium, składające się z setek tysięcy słuchaczy.

15 marca 1936. Niedziela.

Hitler wrócił dziś rano i odbył dalsze rozmowy na temat sporu niemiecko-francuskiego. Słyszałem, że ambasador brytyjski rozmawiał z nim dość ostrym tonem, co mnie zdziwiło, bo sir Eryk jest bardzo delikatnym i uprzejmym Anglikiem. Świadczy to tylko, że sytuacja jest groźna, choć nie sądzę, żeby mogło dojść do wojny.

16 marca 1936. Poniedziałek

Pojechaliśmy dziś wszyscy dość późno do ambasady radzieckiej na przyjęcie połączone z występami artystów. Muzyka była wspaniała. Było dużo gości, ale bardzo mało Niemców i żadnego przedstawiciela kół rządowych. Fakt godny pożałowania, gdyż Niemcom potrzebne jest bardzo złoto, którym Rosjanie mogliby zapłacić za niemieckie towary. Ale oficjalne potępienie Rosji przez Hitlera w mowie z 7 marca miało już swój skutek: rokowania handlowe z przebywającą od pewnego czasu w Berlinie delegacją radziecką zostały zerwane. Mądrość nie jest zaletą Hitlera, Göringa i Goebbelsa, choć trudno odmówić zręczności ich polityce wewnętrznej.

Były ambasador w Związku Radzieckim Nadolny, który był na przyjęciu, otwarcie krytykował obecny ustrój polityczny w Niemczech. Ambasador radziecki był nieskazitelnym dżentelmenem pod każdym względem; nawet ambasador francuski nie był w stanie go przewyższyć, jeżeli chodzi o maniery, strój i zachowanie. Mówią, że rosyjscy dygnitarze jedzą w kuchni razem ze służbą i w życiu prywatnym są bardzo skromnymi ludźmi, ale w tym ogromnym pałacu przez cały wieczór ściśle przestrzegano form protokolarnych, na wielkim zaś szerokim stole w sali jadalnej pełno było najprzeróżniejszego wyszukanego jedzenia na kosztownych półmiskach. Gdy mniej więcej o 11.30 opuszczaliśmy ambasadę, do sali jadalnej zaczęło się tłoczyć około 200 gości.

18 marca 1936. Środa.

O 11.30 pojechałem do Neuratha, żeby się zorientować, jak się ustosunkował do wydarzeń, które zainaugurował dzień 7 marca. Był uprzejmy i uśmiechnięty, jak gdyby wszystko, co się stało, było zgodne z poglądami, które mi wyłożył w rozmowie z 29 lutego. Wyparł się nawet tego, co mi wówczas powiedział, że uważa za wskazane, aby sprawę zdemilitaryzowanej Nadrenii rozwiązać w drodze rokowań dyplomatycznych. Nie można już chyba wierzyć nawet tym bardziej konserwatywnym członkom rządu. Stosunek Neuratha do decyzji w sprawie Nadrenii tym więcej mnie zadziwił, że według mego przekonania nie był on za tym, aby wprowadzić tam wojsko wbrew postano-

wieniom paktu lokarneńskiego. Ale teraz mówił tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Wyraził nadzieję, że rokowania w Londynie zostaną odroczone do maja, kiedy to zarówno w Niemczech jak we Francji mają odbyć się wybory. Tak jak gdyby Hitler przeprowadził kiedy w Niemczech prawdziwe wybory!

Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych pojechałem do Reichsbanku, żeby porozmawiać z dr. Schachtem, o którym wiem, że narodowym socjalistą nie jest. Był w podobnym nastroju i mówił do mnie niemal przez całą godzinę tym samym tonem, co Neurath. Wszystko idzie składnie. Niemcy odzyskały swoją Nadrenię, wkrótce odzyskają swoje kolonie, później wrócą do Ligi i w całej Europie zapanuje pokój. Jedyna rzecz, co go martwi, to niemiecki eksport, którego spadek należy, zdaniem Schachta, przypisać zbytnej nerwowości zagranicy. Ale to nie będzie trwało długo. Nigdy jeszcze nie widziałem tego wielkiego finansisty w tak optymistycznym nastroju. Widać po nim skutki ciosu Hitlera z 7 marca. To, co od niego usłyszałem, nie nadawało się do wypełnienia nawet połowy blankietu telegraficznego. Więc nie napisałem nic.

23 marca 1936. Poniedziałek.

W piątek wysłaliśmy do Waszyngtonu długi telegram, w którym podaliśmy szczegółowe dane dotyczące możliwości zamiany położonego przy Bramie Brandenburskiej pałacu Blüchera na dużą posesję przy Tiergartenstrasse. Pałac stoi tuż koło jakiegoś niemieckiego budynku rządowego i na tak ruchliwej ulicy, że zawsze miałem wątpliwości, czy nadaje się on na biura i mieszkania ambasady Stanów Zjednoczonych. W remont tego budynku, za który w 1931 r. zapłaciliśmy 1700 tysięcy dolarów, trzeba by było włożyć jeszcze milion a może i więcej. Tymczasem władze niemieckie gotowe są dać nam w zamian pałacu pomieszczenie na biura i mieszkania dla wszystkich naszych pracowników na innej posesji wraz z otaczającym ją zieleńcem o powierzchni 2 akrów. Gdy minister Phillips był ostatnio w Berlinie, bardzo się do tej zamiany zapalił. Były ambasador Schurman, który był tu w listopadzie, również był jej entuzjastą. Posłaliśmy więc do Waszyngtonu wszystkie potrzebne dane z prośbą o wydanie szybkiej decyzji. W ostatniej chwili przed wysłaniem telegramu konsul generalny Jenkins założył protest, twierdząc, że woli pałac Blüchera, mimo że tak dużo by nas jeszcze kosztował. Jego oświadczenie zostało włączone do treści naszego telegramu.

26 marca 1936. Czwartek.

Dziś rano złożył mi pożegnalną wizytę prof. Richter. Ma on w sobie 50 czy też 25 procent krwi żydowskiej i został usunięty w 1934 r. z uniwersytetu berlińskiego. Ten bardzo zdolny człowiek za główny przedmiot swych zainteresowań obrał historię niemieckiej literatury. Wyjeżdża na stałe do Badenii, gdzie będzie mieszkał w miejscowości oddalonej o mniej więcej dwie mile od szwajcarskiej Bazylei, dokąd chciałby posyłać do szkoły swoje dzieci. To bardzo sympatyczna i miła rodzina. W 1935 r. mój syn spędził w ich domu kilka miesięcy, żeby się nauczyć niemieckiego i przeprowadzić pewne

studia historyczne. To, co mi Richter opowiedział, wywarło na mnie przygnębiające wrażenie. Co prawda o tego rodzaju sytuacjach dowiaduję się niemal codziennie.

Pewne żydowskie małżeństwo, po prawie dwuletnim pobycie w Anglii, powróciło tu przed rokiem wyobrażając sobie, że będą mogli pracować w charakterze nauczycieli w jakiejś żydowskiej szkole. Szybko wtrącono ich do więzienia, w którym wciąż jeszcze siedzą. Matka męża mieszka w Chicago i mój przyjaciel prof. Ferdinand Schevill napisał do mnie parę dni temu błagalny list z prośbą o wydostanie ich z więzienia, jeżeli tylko to będzie możliwe. Wyjechaliby wówczas oboje natychmiast do Palestyny.

Poprosiłem Geista, żeby ściśle prywatnie i tylko w swoim imieniu porozmawiał o tym przy okazji załatwiania innych spraw z szefem tajnej policji niemieckiej Himmlerem. Geist widział się z Himmlerem i pokazał mu list Schevilla. Himmler obiecał wypuścić wkrótce tę parę na wolność, ale zwrócił się do Geista z prośbą o pomoc przy wykrywaniu komunistów, których będzie zapewne zamykał do więzień, a może nawet i zabijał. Mam wątpliwości, czy ci biedni Żydzi zostaną wypuszczeni. A przecież to zupełnie niewinni ludzie, o ile nam wiadomo.

27 marca 1936. Piątek.

Wyjechaliśmy z Mattie samochodem przez Lipsk do Wartburga w okolicach Weimaru. Chcieliśmy tam obejrzeć słynny średniowieczny zamek, w którym Luter prawie rok ukrywał się przed władzami cesarskimi. Od tygodnia panuje piękna pogoda i uznaliśmy, że mamy szansę na odbycie przyjemnej wycieczki.

28 marca 1936. Sobota.

Przez całą drogę od Berlina do Eisenach byliśmy świadkami wielkiego entuzjazmu, z jakim naród niemiecki wyrażał swoje uznanie Führerowi za wysłanie wojsk do zdemilitaryzowanej Nadrenii. Jak już wspomniałem, niemal codziennie Hitler, Göring i Goebbels, w ciągu dnia lub wieczorem, wygłaszają przemówienia w różnych niemieckich miastach i wzywają w nich ludność do głosowania za deklaracją rządu z 7 marca w sprawie polityki zagranicznej. Nawet w Lipsku, gdzie trudno sobie wyobrazić, żeby każdy był chętny do krzyku, wszyscy wiwatowali na cześć Hitlera. Prawie każdy dom, każde mieszkanie było udekorowane flagami; flagi były duże i małe, ale wszystkie ze swastyką; odrażający widok dla każdego, kto sobie zdawał sprawę, co się za tym znakiem kryje.

W tym czasie gdy byliśmy w Weimarze, przemówienie przez radio wygłosił Göring. Na ulicach było widać słuchających go ludzi skupionych przy głośnikach. Rozchodząc się podnosili prawą rękę do góry i wołali „Heil Hitler”. Przy wejściu do muzeów Goethego i Schillera w ten sam sposób powitali nas ich administratorzy. Odpowiedziałem im tylko „Dobry wieczór”. Nie wyczułem, żeby ich to uraziło.

Najwięcej zaskoczył mnie fakt, że w tym starym Weimarze, który był kiedyś centrum niemieckiej kultury, na każdym prawie domu wisiała hitle-

rowska flaga. Trudno mi jest ocenić, w jakim stopniu było to wynikiem przymusu. W Eisleben, gdzie w 1521 r. Luter wystąpił ze swoją słynną koncepcją wolności religijnej, ludność również wiwatowała na cześć reżymu, mimo że jest on antytezą wszelkiej wolności. W drodze powrotnej do Berlina zatrzymaliśmy się na godzinę w Halle, żeby zjeść lunch. To stare miasto uniwersyteckie, kultywujące ideały Lutera przez przeszło trzy stulecia, przeżywało ten sam dreszcz radosnego podniecenia, jak wszystkie inne miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy.

Wszystko to z powodu wyborów, w których nie ma kogo wybierać. Wkrótce po swej mowie z 7 marca Hitler kazał ogłosić we wszystkich okręgach wyborczych listy kandydatów na posłów do Reichstagu. Kandydatur alternatywnych nie ma. Na kartkach do głosowania wydrukowane jest kółko, do którego wyborca ma wpisać swoje „tak”. Teoretycznie może tam napisać „nie”, ale wówczas naraża się na aresztowanie i uwięzienie. Tylko ludzie gotowi ryzykować swoim życiem, mogą napisać „nie”. To się rozumie samo przez się. A jednak cała ta kampania spotyka się z entuzjastyczną aprobatą ze strony ludności Lipska, Weimaru, Eisleben, Eisenach i Halle.

Gdy przyjechaliśmy około 5-ej po południu do Berlina, nad miastem szybowały dwa wielkie sterowce. Wszędzie było widać tłumy ludzi, którzy je obserwowali i chwyтали lecące z nieba ulotki. Wzywały one ludność do jednomyślnego głosowania za „wolnością, równością i pokojem”. Organizacja tych lotów spoczywała zapewne w rękach Eckenera, dowódcy nowo zbudowanego sterowca „Hindenburg”.

29 marca 1936. Niedziela.

Dziś odbyły się wybory. Cała nasza służba domowa, mężczyźni i kobiety, poszła głosować w radosnym na pozór nastroju; w jej zachowaniu można było jednak dostrzec pewne objawy działania pod przymusem. Ale kamerdyner Fritz, który w czasie wojny światowej walczył jako prosty żołnierz na froncie rosyjskim, nie ukrywał swej radości z powodu wkroczenia wojsk niemieckich do strefy zdemilitaryzowanej, nienawidzi bowiem Francji, do czego otwarcie się przyznawał.

30 marca 1936. Poniedziałek.

We wczorajszym plebiscycie 95 procent Niemców wyraziło poparcie dla polityki Hitlera. Dzisiejsza prasa poranna o niczym poza tym właściwie nie pisze; nie ma w niej najmniejszej wzmianki o jakimkolwiek niezadowoleniu ludności z wymuszonego na niej głosowania na posłów do Reichstagu. Głosowania na ludzi, którzy zbierają się może raz na rok, żeby w czasie mowy Führera krzyknąć mu „Heil Hitler”. Byłem na dwóch takich niby posiedzeniach Reichstagu i za każdym razem z ust panów posłów nie padło ani jedno słowo poza okrzykiem „Heil Hitler” w przerwach w przemówieniu Führera.

Przebieg wczorajszych wyborów obserwowali nasi dziennikarze i jeden z nich powiedział mi, że w tradycyjnie komunistycznych dzielnicach Berlina 25 procent wyborców głosowało przeciwko rządowi. Ale o tych opozycyjnych głosach nikomu nie wolno pisać. W niemieckiej prasie Goebbels pieje z zachwytu nad wspaniałym wynikiem tych wolnych wyborów i niesłychanym entuzjazmem wielkiego i wolnego niemieckiego narodu!

4 kwietnia 1936. Sobota.

Niespodziewanie przyjechał dziś rano do mnie do biura radziecki ambasador. Był prawie godzinę. Mówił o niesłychanie kłopotliwej sytuacji, w jakiej znalazła się Francja, o spadku napięcia między Rosją a Japonią oraz o niebezpieczeństwie zagrażającym Bałkanom. Zgodził się ze mną, że przyjacielska współpraca małych państw bałkańskich miałaby duże znaczenie polityczne, ale wyraził wątpliwość, czy taka współpraca jest możliwa. Jak zawsze stanowczo twierdził, że Rosja nie ma żadnych agresywnych celów. Chce tylko pokoju.

Przez dwa czy trzy dni Führer naradzał się z członkami swego rządu, którzy nie ośmielają się mu sprzeciwić, chyba że w dyskusji poprzedzającej powzięcie jakiejś rozstrzygającej decyzji. Potem wyjechał na dwa czy trzy tygodnie do południowych Niemiec. Myślę, że jest w Berchtesgaden w górnej Bawarii, skąd tęsknym wzrokiem spogląda na swoją austriacką ojczyznę położoną po drugiej stronie granicy.

Dowiedzieliśmy się dzisiaj, że wśród posłów nowo wybranego Reichstagu jest kilku Niemców z Austrii i Czechosłowacji. Fakt powołania tych ludzi przez Hitlera na posłów ma symboliczne znaczenie, jeżeli chodzi o prowadzoną przez niego tak zwaną politykę pokoju. W delikatnej formie zapowiada to zgłoszenie roszczeń do aneksji części lub całości terytorium obu wspomnianych państw. Gdyby Stany Zjednoczone powołały na posłów do Kongresu Amerykanów zamieszkałych w Meksyku i posiadających meksykańskie obywatelstwo, wywołałoby to poruszenie na całym świecie. Tymczasem w sprawie tych nowych posłów do Reichstagu nikt w Niemczech czy gdziekolwiek indziej ani słowem się nie odezwał. Zabity przez Żyda dwa miesiące temu w Szwajcarii hitlerowski, agitator reprezentował właśnie podobne nastawienie partii hitlerowskiej wobec Szwajcarii.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w tych warunkach niepokój ogarnął wszystkie małe państwa sąsiadujące z Niemcami. Nie ustaje przecież rozpowszechnianie map, na których terytoria ich oznaczone są jako części składowe Trzeciej Rzeszy. Jeżeli Hitlerowi uda się zbudować wzdłuż granicy z Francją fortyfikacje nie ustępujące pod względem obronności fortyfikacjom francuskim, to w odpowiedniej chwili będzie mógł pchnąć swą wielką armię przeciwko Austrii, a może nawet i Polsce, i przyłączyć do Niemiec tak wielkie terytorium, jak mu się będzie tylko podobało. A potem znowu zwróci się do rozentuzjowanego narodu niemieckiego o udzielenie mu jednomyślnego absolutorium. Dziesięcioletni okres pokoju pozwoliłby mu spełnić wszystkie jego życzenia; stąd slogan „pokój i dobrobyt”, którym się posługuje.

Tymczasem prasa dzisiejsza obwieszcza, że 4 miliony chłopców w wieku od 10 do 14 lat będzie obowiązanych nosić u boku jako honorową oznakę fińskie noże, podobnie jak chłopcy w wieku od 14 do 18 lat noszą już sztylety. Podobnie również jak ci starsi chłopcy, ich młodszy koledzy będą teraz przechodzili we wszystkich szkołach szkolenie wojskowe. W zakresie niektórych służb szkolone będą także młode kobiety. W języku Hitlera wyraża się to słowem „pokój”. Jak to się dzieje, że taki von Schirach albo Rosenberg, zaufani doradcy Hitlera, na wielkich publicznych zgromadzeniach przedstawiają Niemcom Hitlera jako nowego Chrystusa i zbierają przy tej okazji grzmiące oklaski?

Dwa miesiące temu Roy Howard przeprowadził dłuższy wywiad z Führerem. Gdy Hitler wybuchnął skargą, że w Niemczech na jedną milę kwadratową wypada 340 mieszkańców i że nie ma ziemi, dokąd by mogli się udać, Ho-

ward zapytał: „Dlaczego wobec tego płaci pan pewną kwotę każdej kobiecie za urodzenie trzeciego dziecka i jeszcze wyższą za urodzenie czwartego i premiuje pan ludzi wstępujących w związki małżeńskie?” Gdyby Führer chciał mu na to odpowiedzieć, musiałby ujawnić prawdziwe motywy swego postępowania. Odmówił więc odpowiedzi i kazał wykreślić to pytanie z tekstu przeznaczonego dla prasy. We wczorajszym paryskim wydaniu „Heralda” można było przeczytać wiadomość z Berlina, że od 1933 r. rząd niemiecki wypłacił nowożeńcom kwotę 125 milionów dolarów. A przecież przyrost ludności Trzeciej Rzeszy musi oznaczać wojnę lub „pokojową” aneksję cudzych terytoriów.

6 kwietnia 1936. Poniedziałek.

Był dziś u nas na lunchu Messersmith. Do stołu zasiadło z nim razem około 25 osób. Żona nieszczęśliwego ambasadora francuskiego siedziała po mojej prawej stronie. Był nowy ambasador chiński [Czeng-Tien-fang] który, jak twierdzi, słuchał kiedyś moich wykładów historii w Chicago. Był poza tym jeszcze poseł austriacki [Stephan Tauschitz], słynny pilot i doradca lotniczy Göringa Udet, konsul generalny Jenkins i rzeczoznawca górniczy amerykańskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Wright, który jest w trakcie opracowywania wyczerpującego sprawozdania o stanie europejskich zasobów kopalnych. Ten lunch był normalnym lunchem „pokazowym”, jakie musimy wydawać ze względów ściśle dyplomatycznych. Nie jest to może taki bardzo zły zwyczaj, bo zapraszamy wówczas zwykle kilku Niemców, których poznaliśmy w innych domach, i dajemy im w ten sposób okazję do zorientowania się, jakimi ludźmi są Amerykanie.

Messersmith twierdzi, że Austriacy są bardzo zaniepokojeni. Kanclerz Schuschnigg miał spotkanie z Mussolinim w dniach 18 i 19 marca, w wyniku którego zgodnie z zaleceniem włoskiego dyktatora wprowadzony został w Austrii powszechny obowiązek służby wojskowej*. Messersmith jest przekonany, że w razie ataku ze strony Niemiec Włosi przyszliby Austrii z pomocą.

Powiedziałem mu, że w to wątpię, gdyż Włochy pragną zagarnąć Egipt, i jeżeli Niemcy się na to zgodzą, to Mussolini zgodzi się na aneksję Austrii przez Niemcy. Według Messersmitha Mussolini miał powiedzieć, że nienawidzi Hitlera, że nie może po prostu na niego patrzeć. Myślę, że chodziło mu raczej o wywarcie odpowiedniego wrażenia na Schuschniggu, a nie o ujawnianie swych prawdziwych uczuć. Nie sądzę jednak, żeby obaj dyktatorzy specjalnie się lubili. Niemcy zdecydowanie nie lubią Włochów, a Włosi żywią podobne uczucia do Niemców, chociaż niemieccy turyści wydają swoje oszczędności w Wenecji, Florencji, Rzymie i Neapolu.

Powiedziałem Messersmithowi, że moim zdaniem Włochy będą się starały utrzymać swą pozycję w Albanii** oraz kontynuować politykę ścisłej współpracy z Austrią, a także politykę gróźb pod adresem Jugosławii — aż do chwili gdy dojdzie do walki o Morze Śródziemne. Wówczas ustąpią Austrię

* Parlament austriacki uchwalił ustawę o obowiązku służby wojskowej 1 kwietnia 1936 r. łamiąc swe zobowiązania traktatowe.

** Dn. 19 marca 1936 r. Włochy podpisały z Albanią w Tiranie kilka umów, na podstawie których udzielały jej pożyczki i kredytów w zamian za koncesje naftowe, prawo budowy umocnień wojskowych i mianowanie włoskich instruktorów i doradców przy armii albańskiej. Umowa handlowa ograniczała eksport albański do Włoch, ale nie ograniczała importu włoskiego do Albanii.

Niemcom, zajmą Egipt i jeżeli uda się im podporządkować sobie Palestynę, Grecję i Syrię, to zgodzą się, żeby Niemcy zagarnęły upragnione przez siebie państwa bałkańskie. Mussolini ustanowi na nowo dyktaturę starożytnego Rzymu, a Niemcy staną się panem Austrii, Czechosłowacji i Węgier. Jeżeli zbudują planowane przez siebie fortyfikacje na granicy z Francją, nikt nie będzie w stanie ich zatrzymać. Poglądy Messersmitha nie różniły się w zasadzie od moich; zgodził się również ze mną co do tego, że wzajemna nienawiść nie-szczęśliwych narodów bałkańskich może tylko zachęcić Niemcy do inwazji.

7 kwietnia 1936. Wtorek.

Złożyłem dziś wizytę wiceministrowi Bülowowi. Nie należy do partii i podobno nigdy żadnych spraw urzędowych bezpośrednio z Hitlerem nie omawia. W wielu odpowiedziach na moje pytania Bülow był bardzo powściągliwy. Powiedział: „Gospodarczo Albania należy do Mussoliniego. Choć martwi to naszych dobrze orientujących się w sytuacji przyjaciół jugosłowiańskich, my przeciwko temu nie protestujemy. Jeżeli chodzi o Austrię, to niczego nie podejmujemy, nie będziemy również protestować, gdyby Mussolini zajął Egipt. Jeżeli chodzi o możliwość wybuchu wojny, to nic nam nie grozi. Francja się denerwuje, ale jej generałowie nie chcą teraz wojny, a naród francuski jest stanowczo przeciwny jakimkolwiek działaniom militarnym z powodu okupacji Nadrenii.”

Nie było w tym nic nowego i nie rozumiem, po co tym sprawom poświęcił tyle czasu. Właściwie wszyscy Niemcy chcieliby, jeżeli nie anektować, to przynajmniej kontrolować cały obszar położony pomiędzy ich obecną wschodnią granicą a Morzem Czarnym. Nawet wykształceni i demokratycznie myślący Niemcy gotowi są ponieść kolosalne ryzyko związane z takim kierunkiem niemieckiej ekspansji. Dałoby to im w rezultacie imperium zamieszkałe przez 150 milionów ludzi i panowanie nad całą Europą, a więc to samo, co Stany Zjednoczone chciały kiedyś osiągnąć w stosunku do całego kontynentu amerykańskiego.

Poszedłem następnie odwiedzić urzędującego na tej samej ulicy ambasadora brytyjskiego. Sir Eryk Phipps nie należy wprawdzie do ludzi najlepiej zorientowanych w historii Europy, ale Europę współczesną zna, jak mało kto poza nim. W styczniu był gotów udzielić swemu rządowi jak najdalej idącej pomocy dla pohamowania niemieckiej agresywności i popierał pakt francusko-rosyjski, o który w Europie już od roku toczyły się zażarte spory. Twierdził wówczas, że Francja i Anglia tworzą jednolity front, i liczył na to, że przyłączą się do nich Włochy.

Dzisiaj nie ma zdecydowanego poglądu, jak jego kraj powinien postępować. Kryzys polityczny objął całą Europę. Włochy mogą zająć Abisynię, a może i Egipt; oznaczałoby to wybuch wojny na Morzu Śródziemnym. Armia francuska może przekroczyć zachodnią granicę Niemiec, ale Anglia jej w tym nie pomoże. Niemcy całą parą przygotowują się do agresji na wschodzie i tu Anglia też zachowa się biernie. Odpowiedziałem mu na to, że powstanie wówczas nowa Europa; Francja upadnie, Anglia utraci swoje imperium i wszędzie rządzić będą Niemcy.

11 kwietnia 1936. Sobota.

Był u mnie William N. Enstrom, przedstawiciel Irving Trust Co. z Nowego Jorku. Przyszedł, żeby porozmawiać o sytuacji finansowej Niemiec. Musiałem go odesłać do naszego rzeczoznawcy finansowego Flacka i do dr. Schachta, Schacht jest teraz na urlopie w południowych Niemczech niedaleko Bazylei, dokąd co miesiąc jeździ na narady z przedstawicielami banków zagranicznych. To, co Enstrom mówił o Roosevelcie, było dla mnie zaskoczeniem. Z pewnością nie chodziło mu tylko o wybadanie moich poglądów. Powiedział, że przewiduje ponowny wybór Prezydenta dużą większością głosów i podkreślił, że porażka Roosevelta byłaby nieszczęściem. Rzadko się zdarza, żeby przedstawiciel dużego banku wypowiadał tego rodzaju poglądy.

Dziś kończy się tydzień, w ciągu którego Anglia i Francja w pocie czoła poszukiwały wyjścia z niemieckiego dylematu, który od 15 grudnia 1935 r. z każdym dniem staje się coraz groźniejszy. Brytyjski minister spraw zagranicznych Eden jest chyba jedynym czołowym politykiem europejskim, który zdaje sobie sprawę, do czego to wszystko zmierza.

Wojna w Abisynii przynosi Włochom coraz większe sukcesy. Celem Włoch jest opanowanie Morza Śródziemnego i odcięcie Anglii od jej wielkich posiadłości na Dalekim Wschodzie. Mussolini uważa się za nowego Cezara, który ma prawo odzyskać obszary kontrolowane przez Rzym 2000 lat temu. Jeżeli to mu się uda, Anglia utraci swoje mocarstwowe znaczenie, jak to się stało z Holandią po 1713 r. Smutna perspektywa dla Europy.

Anthony Eden dostrzegł to niebezpieczeństwo i chcąc powstrzymać brutalną agresję Mussoliniego domagał się nałożenia embarga na dostawę materiałów wojennych do Włoch. Ale ówczesny brytyjski minister spraw zagranicznych Hoare, ulegając wpływowi wielkich spółek naftowych i innych koncernów, postanowił wspólnie z francuskim ministrem spraw zagranicznych Lavałem udaremnić wysiłki Edena i dać Mussoliniemu całkowicie wolną rękę w jego agresywnych poczynaniach. Zresztą Francja już w styczniu 1935 r. podpisała z Mussolinim tajne porozumienie, pozostające w sprzeczności z obowiązkami Francji jako członka Ligi Narodów, w którym obiecała mu wszystko, czego od niej zażądał.

Z chwilą opublikowania w grudniu deklaracji Hoare-Laval szansę Mussoliniego na odegranie roli nowego Cezara znacznie się zwiększyły. W Anglii zapanowało takie wzburzenie, że Hoare był zmuszony podać się do dymisji i ministrem spraw zagranicznych został Eden; na przeforsowanie jednak stanowiska Anglii w Lidze było już za późno. Francja wciąż liczyła na to, że w razie gdyby groziła jej wojna z Niemcami, uda się jej przeciągnąć Włochów na swoją stronę. Ale Hitler szybko się zorientował w nadarzającej mu się okazji. 17 grudnia Goebbels wygłosił przemówienie, w którym pochwalił Mussoliniego i oświadczył, że jego sukces wróży Niemcom odzyskanie własnych kolonii. W czasie od 15 grudnia do 6 marca rząd niemiecki opracował wspólnie z przedstawicielami wojska plan zjednoczenia wysiłków, mających na celu zajęcie zdemilitaryzowanej części Nadrenii, potępienie francusko-rosyjskiego paktu pokoju i wysunięcie żądania zwrotu wszystkich niemieckich kolonii z 1914 r. Naród niemiecki, który nienawidzi Włochów tak samo, a może jeszcze bardziej niż Francuzów, po pewnym wahaniu przyłączył się do tej platformy politycznej i 7 marca nastąpił strategiczny manewr Hitlera w formie apelu do całej Europy. Wreszcie 29 marca przeprowadzony został plebiscyt, w którym za Hitlerem padło 95 procent głosów.

W tym tygodniu w wielkim genewskim pałacu odbyły się narady człon-

ków Rady Ligi Narodów i Paktu Lokarneńskiego. Eden nie mógł niczego zrobić, a francuski minister spraw zagranicznych Flandin nie chciał niczego zrobić. Obaj dyktatorzy nie posiadają się z radości. Małe państwa europejskie jak Holandia, Dania, Czechosłowacja, Rumunia i inne są w najwyższym stopniu zaniepokojone. Następnym celem Hitlera będzie zajęcie Austrii, a Mussoliniego — zajęcie Egiptu. Tak to przynajmniej wygląda w świetle posiadanych przez nas informacji. Anglia i Francja nie potrafiły spojrzeć rzeczywistości w oczy, doprowadziły się do sytuacji, która zagraża ich bezpieczeństwu i w gruncie rzeczy pogrzebały Ligę, jedyną ich nadzieję na uniknięcie wojny.

16 kwietnia 1936. Czwartek.

Pojechałem pożegnać się z Bülowem. To chyba najrozsądniejszy i najmiłszy człowiek w całym Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Mówił dziś o haniebnej i brzemiennej w skutki wojnie prowadzonej przez Mussoliniego i zgodził się ze mną, że jego polityka zagraża pokojowi w Europie. Nie sądzi jednak, aby Mussolini był tak bliski opanowania całej Abisynii, jak on to sam twierdzi. Wyobraźnia rysuje mu już obraz generalnej kapitulacji, bo się boi, że nadchodząca pora deszczowa może pokrzyżować jego plany. Gospodarcza sytuacja Włoch jest niezwykle groźna.

Bülow poinformował mnie, że „Rząd francuski przygotowuje listę pytań, które ma nam przesłać w przyszłym tygodniu. Dotyczą one układu lokarneńskiego i wysuniętych przez Hitlera propozycji pokojowych*. Możemy na te pytania z łatwością odpowiedzieć, dostaliśmy jednak od Francuzów telegram, żeby odpowiedzieć im dopiero po wyborach, które mają się u nich odbyć 3 maja. Wnioskujemy z tego, że sprawa nie jest bardzo pilna. Wydaje mi się, że przez najbliższe miesiące pokój jest zapewniony. Liga jest bezsilna, potrafi tylko obradować i odraczać swoje obrady. Gdyby Francja zdecydowała się rozstać ze swymi sojusznikami, sądzę, że moglibyśmy się wszyscy zjednoczyć w ramach Europejskiej Ligi Wzajemnego Bezpieczeństwa”.

Na lunchu było dzisiaj u nas kilka interesujących osób: słynny konstruktor sterowców dr Hugo Eckener, który właśnie wrócił z Brazylii, Karl von Wiegand, generalny przedstawiciel United Press William Philip Simms i radca Mayer. Ogólne zainteresowanie wzbudziła osoba dr. Eckenera. Gdy nowo zbudowany sterowiec „Hindenburg” otrzymał rozkaz dokonania w dniach 28 i 29 marca lotu propagandowego ponad całym Niemcami, dr Eckener odmówił pilotowania sterowca i uprawiania prohitlerowskiej propagandy. Wówczas Goebbels udał się do Hitlera i zapytał, co zrobić z niezastąpionym dowódcą sterowca. Podobno ogarnięty świętym oburzeniem Hitler wrzasnął, że należy go zdjąć ze stanowiska. Było to jednak praktycznie niemożliwe i Goebbels polecił tylko prasie, żeby nie wymieniała już nigdy więcej nazwiska dr. Eckenera. I faktycznie w sprawozdaniu z lotu powrotnego z Brazylii, w czasie którego groźna wichura uszkodziła silniki „Hindenburga”, nazwisko dowódcy sterowca zostało przez prasę pominięte.

Gdy dr Eckener opowiadał przy stole o planowanym locie do Stanów Zjednoczonych, powiedziałem: „Mógłby pan zabrać ze sobą Goebbelsa i pokazać mu Stany Zjednoczone”. Moja uwaga zaskoczyła chyba dr. Eckenera, ale

* Notę z propozycjami pokojowymi Hitlera wręczył A. Edenowi w Londynie J. von Ribbentrop 1 kwietnia 1936 r. Francja odpowiedziała na nią 7 kwietnia 1936 r. wysuwając kontrpropozycje.

po chwili wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Mój dowcip został należycie zrozumiany. Dr Eckener dodał, że w czasie swej podróży do Stanów Zjednoczonych zamierza złożyć wizytę prezydentowi Rooseveltowi. Podkreślił jednak, że przedtem Goebbels musi odwołać swoją instrukcję dla prasy, gdyż inaczej z podróży tej zrezygnuje i żadnego lotu przez niebezpieczny Atlantyk w tym roku nie będzie. Ciekawy jestem, co Hitler każe w tej sprawie zrobić.

18 kwietnia 1936. Sobota.

Dziś rozpoczęła się moja kolejna długa podróż do Stanów Zjednoczonych. Rano wyruszyłem z żoną i córką samochodem do Hamburga. Przyjechaliśmy tam o 4.15, ale straciliśmy prawie pół godziny na odszukanie „City of Baltimore”. Przez całą drogę z Berlina do Hamburga padał deszcz ze śniegiem. Jak na tę część Niemiec o tej porze roku wieś wyglądała pięknie ze swymi rozległymi polami zieleniejącej pszenicy, jęczmienia i żyta.

19 kwietnia 1936. Niedziela.

Cały dzień spędziłem w łóżku, ale morze było piękne; to odwieczne morze, na którego dnie spoczywają chyba tysiące okrętów, zarówno handlowych jak i wojennych, a wraz z nimi kości milionów ludzi. Smutna byłaby to opowieść, gdyby ktoś mógł nam powiedzieć całą prawdę o dziejach tych wód od czasów Juliusza Cezara. Ilekroć płynę tędy okrętem, myślę sobie, czego ta biedna ludzkość tu nie wyprawiała!

Zanim zapadł zmierzch, wyszedłem na chwilę na pokład, żeby się przyjrzeć południowym brzegom Anglii. Tu wylądowali kiedyś Rzymianie, którzy jako pierwsi zdobyli tę ponętą krainę; tu wtargnęli doń w piątym i szóstym wieku Sasowie, spychając na zachód Celtów i Rzymian, tu wreszcie w 1066 r. wylądowali Normanowie i podbili naród, który swoje powstanie i uformowanie własnego państwa zawdzięczał dziełu Alfreda Wielkiego. Będąc w październiku 1928 r. w pięknym angielskim mieście Winchester, stałem przez dłuższą chwilę zadumany przed pomnikiem tego wielkiego człowieka.

Żał mi tej bogatej i potężnej Anglii, która przez trzy stulecia przodowała w kulturze światowej, która w okresie od 1600 r. do 1914 r. zbudowała swoje wspaniałe imperium, teraz chylące się do upadku. Jeżeli Włochy, jak to planuje Mussolini, odbiorą Anglii jej strategiczne punkty oparcia w basenie Morza Śródziemnego, brytyjskie imperium zacznie się rozpadać. A jeżeli Niemcy pod wodzą Hitlera lub jego następcy podporządkują sobie zgodnie ze swymi planami państwa bałkańskie leżące na drodze do Konstantynopola, Anglia utraci swoją pozycję przywódcy zachodniej Europy. Taki rozwój sytuacji wydaje mi się konsekwentny, i chociaż tragiczny, jest nie do uniknięcia. Ideały, które ożywiały naród angielski, zostaną ostatecznie zaprzepaszczone przez jego przywódców, którzy w ciągu ostatnich sześciu czy ośmiu lat popełnili najgorsze błędy, jakie tylko można sobie wyobrazić.

22 kwietnia 1936. Środa.

Jestem z natury nerwowy. Nie trawię jak należy tego, co zjem, nerwy łączące żołądek, barki i mózg przewodzą silne bóle, które nie dają mi spać. Pogarsza to jeszcze bardziej dolegliwości podróży przez ocean. Chociaż nigdy nie zapadam na morską chorobę w dosłownym tego słowa znaczeniu, leżałem wczoraj cały dzień w łóżku i czytałem niemiecką książkę *Roosevelt i jego rewolucja*, starając się w ten sposób przeciwdziałać ujemnym skutkom kołysania mojej luksusowej kabiny przez wzburzone morze. Choć uspokoiło się dopiero o 1-ej w nocy, okręt cały czas posuwał się naprzód. Książka o Prezydencie i jego dziele jest dobrze napisana, chociaż autor nie zawsze ma rację.

Atlantyk to z pewnością dziki rejon świata, chociaż skupia się na nim rokrocznie większość obrotów handlu morskiego. Życie na okręcie jakoś mi nie odpowiada. Nie wyobrażam siebie w roli oficera lub marynarza na najbardziej nawet bezpiecznym statku. Nie mogę zrozumieć, jak można pędzić tego rodzaju życie. A przecież załoga tego okrętu wydaje się całkiem zadowolona ze swego życia.

22 czerwca 1936. Poniedziałek.

Od soboty rano jestem w Chicago, na uniwersytecie. Czuję się wspaniale. Sześć tygodni, które spędziłem na mojej farmie „Stoneleigh” w Round Hill, były jednym z najmielszych okresów mego życia. Departament Stanu obiecał mi, że postara się nie przerywać mi urlopu i obietnicy dotrzymał. Przy ciepłej słonecznej pogodzie spędzałem codziennie około dziesięciu godzin na otwartym powietrzu, pracując trochę tu, trochę tam; pomagałem przy stawianiu przybudówki przeznaczonej na bibliotekę i przy naprawie dróg, bardzo tej naprawy potrzebujących; zająłem się również zwózką gładów na plac budowy. Cała ta praca dla wykonujących ją prostych ludzi specjalnie ciężka nie była i dała im całkiem niezły zarobek.

Fakt, iż pracowałem razem ze zwykłymi robotnikami, wprowadził zdaje się niektóre osoby w zdumienie, ale przecież dla każdego musiało być oczywiste, że bez mojej pomocy zrobiliby najwyżej połowę faktycznie wykonanej pracy. Pogoda była cudowna i moje gospodarstwo mleczne od lat nie było w tak doskonałym stanie; pięknie rośnie kukurydza, mimo że w maju było trochę suszy. Trzydzieści krów daje miesięcznie 175 dolarów. Jeżeli mój dzierżawca nauczy się produkować potrzebną ilość paszy, na pewno dorobi się czystego zysku, mimo niskiej ceny mleka w Waszyngtonie. Jediną rzeczą, za którą musiałem go zganić, był fakt, że wcale nie dba o moje konie.

Dziś rano przysłała wiadomość z Berlina, że zmarł wiceminister von Bülow, mój przyjaciel z niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Dla mnie to bardzo smutna wiadomość. Na tle ponurego berlińskiego środowiska Bülow wyróżniał się swym szlachetnym charakterem. Parę dni temu przeziębił się i z tego przeziębienia wywiązało się zapalenie płuc, którego organizm Bülowa nie potrafił zwalczyć; obawiam się, że mnie to również kiedyś spotka. Obaj byliśmy bardzo wrażliwi na zimno i w naszych gabinetach stały zawsze przy biurkach elektryczne piecyki. Wysłałem do ministra Neuratha depezę z wyrazami głębokiego żalu. Bülow był szczerym niemieckim patriotą i nie ukrywał przede mną, co naprawdę myśli o systemie rządów, w jakim mu przyszło pracować.

28 czerwca 1936. Niedziela.

Ten Uniwersytet Chicago, w którego murach zjawiłem się po raz pierwszy na zaproszenie Andrew C. McLaughlina w lecie 1908 r., to dla mnie najmiłszy uniwersytet na świecie. Może nie jestem całkiem obiektywny, ale jest tu na pewno wielu profesorów z prawdziwego zdarzenia, rzetelnych poszukiwaczy prawdy, i co roku przychodzi tu wielu nowych, świetnie zapowiadających się młodych naukowców. Rektor Hutchins, który swój wybór w 1929 r. w dużym stopniu zawdzięczał opinii prof. Charles E. Merriama i mojej, jest bardzo zdolny i ambitny, ale czasem bardzo nierozsądny, jeżeli chodzi o metody doboru nowych naukowców na poszczególne fakultety. Teraz go w Chicago nie ma, może wyjechał celowo ze względu na mnie. Hutchins wie, że nie zgadzam się z jego poglądami w paru ważnych sprawach. W ostatnim numerze „Yale Review” jest artykuł Hutchinsa, w którym przedstawia wyznawaną przez siebie teorię.

Ja uważam, że uniwersytety powinny być ośrodkami badań naukowych opartych na zasadzie prawa swobodnego wypowiedzania myśli i poglądów. Hutchins jest tego samego zdania, ale przyjmuje jako zasadę, że nowych profesorów powinni powoływać rektorzy bez porozumiewania się z członkami wydziałów już pracującymi, którzy znają przyszłych naukowców dużo lepiej od rektora. Do tej sprawy, podobnie jak do problemów organizacyjnych, Hutchins podchodzi po dyktatorsku. Ja proponowałbym zgłaszanie wniosków przez wydział, dyskusję i wybór profesora większością głosów. Przyczyniłoby się to do zwiększenia zakresu zainteresowań i wydajności pracy ludzi nauki, którzy na ogół skłonni są do poświęcania całej uwagi wyłącznie własnej specjalności.

1 lipca 1936. Środa.

Wygłosiłem wczoraj odczyt o handlu światowym, o zasadzie wolnego handlu, o rewolucjach przemysłowo-handlowych towarzyszących niesłychanej zyskowności handlu w latach 1846—1912, o przesadnej rozbudowie wielkich miast, wreszcie o wojnie światowej i jej skutkach w zakresie stosunków gospodarczych i socjalnych w latach 1918—1936. Nigdy jeszcze nie słuchano mnie tak uważnie i nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek po moim wykładzie rozległy się tak silne oklaski. Wszystkie redakcje pism otrzymały ode mnie obszernie streszczenie mojego odczytu, ale byłem pewien, że tutejsze pisma go nie wydrukują. Dziś rano stwierdziłem, iż „Tribune” wykorzystwała moją marginesową uwagę o Woodrowie Wilsonie, aby rzucić cień na jego dobre imię. „Daily News” zamieściła krótką wzmiankę na dziesiątej stronie, a „Tribune” na czwartej. Gazety Hearsta zamieściły zaledwie kilkunastu wzmianki. Po odczycie reporterzy Hearsta przez pół godziny bez powodzenia usiłowali przeprowadzić ze mną wywiad na temat Europy i zrobili przy tej okazji z pół tuzina zdjęć.

21 lipca 1936. Wtorek.

Dziś wieczorem muszę wyjechać z Chicago do Cleveland, gdzie mam znowu mówić o „Dylemacie współczesnej cywilizacji”, o czym gazety w Chicago nie chciały prawie nic napisać. Wydawcy pism to ludzie wielkiego businessu, dla nich protekcjonizm celny to błogosławieństwo, im się wciąż zdaje, że można dużo eksportować, nawet jeżeli się niczego nie importuje. Nie podoba im się też, gdy mówię o tym, jak nasz kraj spłacał w przeszłości swoje wojenne długi. Poza tym każde pismo amerykańskie o dużym nakładzie jest zajadłym przeciwnikiem Roosevelta i nie chce pisać o stojących przed nim problemach nawet z historycznego punktu widzenia. Z tego rodzaju nastawieniem prasy Prezydent musiał walczyć od samego początku. Są jednak inne pisma, choć w całych Stanach Zjednoczonych jest ich tylko parę, które zwracają uwagę społeczeństwa na moje słowa, ostrzegające kraj przed grozącymi mu niebezpieczeństwami.

Pracy miałem tutaj bardzo dużo. Zgłaszało się do mnie na konsultacje wielu bardzo zdolnych studentów, którzy są nauczycielami historii w różnych dzielnicach kraju. Z ich słów przebija wyraźna dezaprobata włączenia historii jako drugorzędnego przedmiotu do wydziału nauk społecznych. Wyrażają żal, że uniwersytet nie daje im wyczerpującej wiedzy o historii Stanów Zjednoczonych; twierdzą, że braki w tym zakresie muszą uzupełniać na własną rękę przez dodatkową lekturę. To jest system Hutchinsa. Już od dawna obawiałem się, że ten system ograniczania liczby wydziałów i pomijanie rad wydziałowych przy powoływaniu nowych profesorów wyrządzi poważną szkodę tutejszemu uniwersytetowi. Jest oczywiście rzeczą niesłychanie ważną, żeby profesor miał prawo sam decydować o sposobie wykładania danego przedmiotu, ale trzeba mieć przede wszystkim pewność, że dany człowiek faktycznie zasłużył na swoją nominację na profesora. Sytuacja na Uniwersytecie Chicago niesłychanie mnie zmartwiła. Czasami chciałbym znowu kiedyś znaleźć się w sytuacji, w której mógłbym wywierać wpływ na tutejsze stosunki.

24 lipca 1938. Piątek.

Pojechałem dziś samochodem do Waszyngtonu. Upał taki, że trudno oddychać. Byłem u ministra Hulla. Rozmawialiśmy otwarcie przez parę minut o nieudanej misji niemieckiej delegacji rządowej, która niedawno była u ministra, a także o szansach wyborczych Roosevelta. Wyraziłem ubolewanie, że Niemcom nie udało się wprowadzić zmian w istniejących dwustronnych umowach handlowych. Skutek jest taki, że na import towarów niemieckich nałożone zostały w Stanach Zjednoczonych cła odwetowe, gdyż Niemcy hitlerowskie nie mogą sobie pozwolić na import towarów amerykańskich. Smutna sytuacja, w jakiej znalazły się państwa wysoko uprzemysłowione.

Jeżeli chodzi o ponowny wybór Roosevelta, to według Hulla jest to sprawa przesądzona. Hull dodał jednak, że Prezydent nie może głośno powiedzieć, „co, podobnie jak pan i ja, sądzi o niedorzeczności naszej polityki celnej. Społeczeństwo wypowiada się za protekcjonizmem”. Jeżeli tak jest istotnie, to po raz pierwszy w historii Ameryki większość głosów w nadchodzących wyborach padnie w obronie protekcjonistycznej polityki celnej.

Nie znam drugiego miasta, które by pod pewnymi względami było tak nieprzyjemne jak Waszyngton. Ruch uliczny jest tu do tego stopnia skoncen-

trowany na Pensylwania Avenue i Constitution Avenue, że zarówno kierowcy jak przechodnie znajdują się tam w bardzo trudnej i niebezpiecznej sytuacji. A skoncentrowanie w jednym miejscu wszystkich budynków rządowych przypomina podobną bzdurę z dzielnicy Loop w Chicago, w której miliony ludzi pracują lub poruszają się w warunkach zagrażających ich życiu. Dzisiaj ludzie uważają, że choćby w tłoku muszą koniecznie mieszkać w miastach i nawet gdy cierpią głód, nie chcą się z nich wynieść. Jakże odmienna była mentalność i charakter ludzi, którzy założyli północnoamerykańskie kolonie, a następnie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej!

29 lipca 1936. Środa.

Dziś o 12-ej odpłynąłem na „Washingtonie” do Europy. Będę musiał znowu żyć w nerwowej atmosferze mej berlińskiej rezydencji i wysłuchiwać nieustających wymysłów na demokrację.

X. OD 7 SIERPNI 1936 DO 25 GRUDNIA 1936 ROKU

7 sierpnia 1936. Piątek.

Przy niskim stanie wody wejście Łabą do Hamburga zajęło nam cały dzień. Z Hamburga pojechałem szybko do Berlina samochodem prowadzonym przez naszego kierowcę. W Berlinie byliśmy o 10.30. Choć na uniwersytecie miałem dużo pracy, długi urlop spędzony w Wirginii i Chicago był niezwykle udany. Przez całą drogę z Hamburga do Berlina — jakieś 200 mil — jechaliśmy przez okolice, które jak zwykle w okresie wiosenno-letnim wyglądały pięknie i bogato.

9 sierpnia 1936. Niedziela wieczór.

Byłem dziś na obiedzie w Herrenklubie, instytucji liczącej sobie już 100 lat istnienia*. Razem ze mną przy jednym stole siedzieli Papan, Neurath i ambasador francuski oraz kilku innych panów. Nic jednak ciekawego na jakikolwiek temat nie usłyszałem. Było to wielkie pokazowe przyjęcie na 150 osób, zorganizowane z okazji wzbudzających powszechnie zainteresowanie Igrzysk Olimpijskich. W ostatnich dniach czerwca 1934 r. członkowie tego klubu poważnie się obawiali, że mogą zostać zamordowani i jeden z nich nawet szukał pomocy u mnie. Na wielkiej ścianie w sali jadalnej klubu wiszą teraz obok siebie rzucające się w oczy ogromne portrety Wilhelma I, Hindenburga i Hitlera.

Poza obiadem nic godnego uwagi nie zaszło, tylko Neurath wspomniał o rozmowie telefonicznej, jaką przeprowadził dziś po południu z Madrytem. W Hiszpanii, twierdził, nie dzieje się nic, co miałoby jakieś decydujące znaczenie**. Nie zapowiada się nic takiego również na najbliższą przyszłość. „Nierozsądna polityka handlowa i finansowa — dodał — prowadzona przez wszystkie kraje świata jest równoznaczna z gospodarczym samobójstwem. Schacht miał rację, gdy mówił o tym w swym ostatnim przemówieniu.”

* Niewątpliwie błąd drukarski. Por. przypis na stronie 54.

** Dn. 18 lipca 1936 r. zaczęła się rewolta gen. Franco, a 1 sierpnia 1936 r. rząd francuski wystąpił z inicjatywą deklaracji państw o nieinterwencji w wewnętrzne sprawy Hiszpanii.

14 sierpnia 1936. Piątek.

Przyszedł dziś do mnie do biura przywódca narodowych socjalistów w Stanach Zjednoczonych Fritz Kühn i przyprowadził ze sobą grupę obywateli amerykańskich niemieckiej narodowości. Kühn to nazistowski agitator, który pracował kiedyś w fabryce Henry Forda w Detroit. Teraz obwozi tych swoich turystów po całych Niemczech, żeby ich przekonać, iż narodowy socjalizm jest zbawieniem całej cywilizowanej ludzkości. Tego mi wprawdzie sam nie powiedział, ale dowiedziałem się później, że jego mocodawcą jest jakiś Bohle z wydziału zagranicznego partii hitlerowskiej.

Wczoraj byliśmy na garden party wydanej przez Göringa na cześć organizatorów Olimpiady. Göring czuje się w dawnym pałacu królów pruskich jak u siebie w domu. Rezydencja jest dużo większa i piękniej umeblowana od Białego Domu, a ogród (położony w samym centrum miasta) jest mniej więcej tak duży jak gazon przed Białym Domem. Cały teren był oświetlony jak za dnia przez olbrzymie reflektory umieszczone na dachach sąsiednich domów, a poza tym wszędzie było pełno świateł rozwieszonych pomiędzy drzewami. Nie brakowało chyba niczego, co umysł ludzki mógłby dzisiaj wymyślić.

Wśród gości dostrzegłem Goebbelsa, Neuratha, Blomberga i innych członków niemieckiego rządu, którzy zabawiali rozmową ambasadorów i posłów z całego świata. Rozmawiałem przez chwilę z Schachtem i przespacerowałem się dokoła parku z sir Erykiem Phippem. Gdy około 8.30 wszyscy zasiedli do obiadu (stołów dużych i małych były całe setki), zerwał się nagle chłodny, wilgotny wiatr i zrobiło się zimno. Rozstawione wszędzie piecyki elektryczne okazały się bezużyteczne, gdyż wytwarzane przez nie ciepło ulatywało z podmuchem wiatru. Obawiając się przeziębienia, chciałem włożyć płaszcz i kapelusz, które po przyjeździe zostawiłem w pałacu, ale żona była temu przeciwna. W końcu jednak, gdy temperatura obniżyła się jeszcze bardziej, postawiłem na swoim. W pewnej chwili z ulgą stwierdziłem, że nie wyróżniam się specjalnie od otoczenia, gdyż Lewald, prezes niemieckiego Komitetu Olimpijskiego, również włożył kapelusz, a sir Eryk Phipps z powodu zimna udał się do domu.

Nastąpiły wspaniałe pokazy, jakich w życiu jeszcze nie widziałem. Na wielkim trawniku tańczyli artyści ubrani w stroje z XVIII wieku. Słynny lotnik Udet popisował się sztuką pilotażu, demonstrując nam swoje mistrzowskie sztuki akrobatyczne. Przyglądaliśmy się tym popisom, jak również innym pokazom, przez pewien czas, ale powietrze tak się oziębilo, iż o 10.15 postanowiłem pojechać do domu. Byłem przekonany, że znowu jak w zeszłym roku zaczną mnie trapić przeziębienia.

15 sierpnia 1936. Sobota.

Konsul amerykański ze Stuttgartu w południowych Niemczech podaje w swoim raporcie, że miejscowa prasa zupełnie szczerze pisze o sytuacji w Hiszpanii. Przewodnią myślą tych wypowiedzi jest sugestia, iż faszystowskie Włochy i hitlerowskie Niemcy powinny dopomóc rewolucyjnym czy raczej reakcyjnym bandom zbrojnym w tym kraju do odzyskania władzy. Potem Niemcy i Włochy będą mogły podzielić się hiszpańskimi koloniami i zawrzeć

z Hiszpanią takie porozumienie, które dałoby trzem państwom totalitarnym panowanie nad Europą, bez potrzeby uciekania się do wojny.

Przyznaję, że w moich poufnych pismach do Waszyngtonu nie przewidziałem obecnej sytuacji w Hiszpanii. Przepowiedziałem natomiast niemiecko-włoskie panowanie w Europie. Już wydarzenia ubiegłej jesieni wskazywały, jaki będzie ich końcowy rezultat. Po mistrzowsku rozegrał ten problem Hitler w swoim przemówieniu z 7 marca. Wydaje mi się, że ostatecznie o losach demokracji w Europie przesądził fakt, iż Anglia i Francja nie zdobyły się na wspólne wystąpienie przeciwko włoskiej agresji w Abisynii. Trwająca od kilku tygodni wojna domowa w Hiszpanii wydaje się otwierać przed Mussolinim i Hitlerem nowe możliwości. Trudno przypuścić, żeby nie udało im się ich wykorzystać, w sytuacji gdy Anglia jest całkowicie bezradna, a we Francji opinia publiczna jest tak podzielona, że dyktatura w tym kraju wydaje się nieunikniona. Stany Zjednoczone, które nie potrafiły w 1919—1920 r. nawiązać współpracy z Europą, znalazły się teraz w obliczu zwartego frontu państw totalitarnych, który prędzej czy później sprawi im wiele kłopotu. Jakże nierozsądna była i jest nadal mniejszość amerykańskiego Senatu!

Dowiedziałem się dzisiaj od jednego z moich pracowników, że radca ambasady Mayer, którego przysłano do nas w grudniu ubiegłego roku, postanowił jeszcze przed moim wyjazdem do Stanów w kwietniu tego roku nawiązać bliższe stosunki z Göringiem i przeprowadzić z nim rozmowy w sprawie zawarcia nowego układu pomiędzy Niemcami a Stanami Zjednoczonymi. W rozmowie z Göringiem Mayer wysunął szereg wstępnych propozycji, które mogły wywołać u jego rozmówcy wrażenie, że będę wkrótce przez Roosevelta odwołany lub też sam podam się do dymisji, jeżeli w listopadzie Roosevelt przegra wybory. Już w marcu zauważyłem, że Mayer przejawia w stosunku do niemieckich dyktatorów dużo więcej serdeczności niż jego poprzednicy White i Gordon.

Gdy Mayer napisał do Departamentu Stanu proponując rozpoczęcie rokowań z Niemcami, minister Hull dał mu odpowiedź negatywną. Gdy Mayer zaczął nalegać, aby dla omówienia sprawy przysłano do Niemiec dwóch przedstawicieli Departamentu, Göring zrobił się bardzo przyjacielski i kilkakrotnie zapraszał radcę do siebie na rozmowy. Raz zaprosił go nawet na obiad. Departament Stanu wysłał w końcu dwóch swych przedstawicieli do Niemiec, którzy odmówili jednak przyjazdu do Berlina i zatrzymali się w Monachium.

Göring za zgodą Hitlera wysłał tam swego przedstawiciela dla przeprowadzenia z nimi rozmów. Niemcy nie chcieli jednak pójść na żadne konkretne ustępstwa i amerykańscy delegaci wrócili do kraju. Göring, a może i Mayer, wyobrażali sobie, że to ja storpedowałem ich zamysły. Tymczasem nikt mi o tym w Waszyngtonie nie mówił i z całą tą sprawą nie miałem oczywiście nic wspólnego.

Potem przyjechało do Niemiec dwóch senatorów, Wheeler i Barkley. Mayer zorganizował na ich cześć wspaniałe przyjęcie, na które zaprosił również Göringa. Ten przyjął zaproszenie, ale w ostatniej chwili zdecydował się w przyjęciu nie brać udziału, prawdopodobnie z powodu urazy do Mayera. Wheeler to jeden z uczestników pewnego obiadu w Waszyngtonie, na którym uznano, że Niemcy mają pełne prawo zostać dyktatorem całej Europy. Mayerowi Wheeler miał powiedzieć, że nikt mnie w Stanach nie lubi. Bynajmniej tego nie odczułem, gdy w czerwcu i lipcu byłem w kraju. Senatorzy mieli również powiedzieć, że wkrótce zostaną odwołani. Postaram się sprawdzić, co w rzeczywistości powiedzieli lub mieli na myśli.

16 sierpnia 1936. Niedziela.

Dziś po południu o 1.30 pojechaliliśmy na stadion olimpijski, gdzie zobaczyliśmy ostatnie rozgrywki i wysłuchaliśmy końcowych komunikatów o wynikach i zamknięciu Igrzysk. Przy tej okazji wygłosiłem jednogminutowe przemówienie transmitowane przez radio do Stanów Zjednoczonych.

Gdy przy rondzie Grosse Stern skręciliśmy w siedmiomilową ulicę prowadzącą z Tiergartenu na stadion, ujrzeliliśmy setki wysokich masztów, na których powiewały flagi niemieckie i wielu innych państw. Ulica była udekorowana w ten sposób aż do samego stadionu, prócz tego z okien wszystkich domów powiewały flagi ze swastyką. Po obu stronach ulicy przez całą drogę jeden koło drugiego stali umundurowani członkowie SA i SS; było ich razem chyba ze 100 tysięcy.

Zajęliśmy miejsca razem z innymi ambasadorami w pierwszym rzędzie krzeseł. Dla Hitlera, Göringa i innych przywódców partyjnych oraz generałów zarezerwowane były miejsca nieco w tyle wysoko ponad nami. Hitler przybył o 3-ej. Zaczęły się wówczas biegi i skoki w konkurencjach hippicznych, w których brali udział przedstawiciele wielu państw. Trwało to do godziny 8. Następnie ogłoszono wyniki Igrzysk i zwycięzcy otrzymali medale i odznaczenia. Wielkie boisko stadionu oświetlone było umieszczonymi dokoła na szczytach trybun reflektorami, które rzucały również snopy światła krzyżujące się na wysokości 200—300 stóp ponad stadionem. Pierwszy raz w życiu byłem świadkiem tak oryginalnego widowiska.

Wczoraj wieczorem byliśmy na przyjęciu wydanym dla dyplomatów i uczestników Olimpiady przez dr. Goebbelsa. Przyjęcie odbyło się na terenie pięknej wyspy położonej koło Daniem, piętnaście mil od Berlina. Rezydencja ta stanowiła poprzednio własność żydowską. Witając się z gospodarzem, musieliśmy podać mu rękę, a przecież to z jego poduszczenia wymordowani zostali 30 czerwca 1934 r. Niemcy, którym nie można było nic zarzucić poza tym tylko, że byli oponentami nazistowskiego reżymu. Ten uścisk dłoni Goebbelsa przejął mnie wstrętem, podobnie jak uścisk dłoni zamieniony dwa dni temu na podobnej imprezie z Göringiem. Usiedliśmy przy stoliku, stojącym obok stołu, przy którym prezydował Goebbels. Wybrałem ten stolik, pomimo że w hierarchii korpusu dyplomatycznego w Berlinie zajmuję drugie miejsce po ambasadorze Francji. Goebbels nas do swego stołu nie zapraszał.

Po chwili podano obiad, w którym wzięło udział około dwóch tysięcy osób. Na całej wyspie, między innymi na drzewach, rozwieszono girlandy świateł. Przy stole Goebbelsa zasiadli: francuski ambasador z małżonką, włoski ambasador z małżonką, Neurath i kilku członków Komitetu Olimpijskiego. Siedzieliśmy tak blisko, że mogłem stwierdzić, iż prowadzona przez tych panów rozmowa daleka była od serdeczności, co rzadko się zdarza na dyplomatycznych przyjęciach.

Po obiedzie, na znajdującym się blisko nas podwyższeniu, rozpoczęły się tańce. Podobnie jak na przyjęciu u Göringa były to występy naśladujące lance greckie i tańce z epoki wiktoriańskiej. O 10-ej wybuchła strzelanina przypominająca wojnę. Trwało to pół godziny. Bardzo dużo osób protestowało przeciwko tej formie wojennej propagandy. Osoby siedzące przy naszym stoliku formalnie drżały, ilekroć rozlegał się straszny huk eksplodujących pocisków. Nie było to oczywiście ostre strzelanie, ale niektóre wybuchy były tak silne, że wywoływały wrażenie trzęsienia ziemi.

Ta pokazowa impreza, podobnie jak przyjęcia wydane przez Ribbentropa i Göringa, musiała kosztować co najmniej 40 tysięcy marek państwowych pie-

niędzy. Ile kosztowała Olimpiada, trudno sobie wprost wyobrazić, osobiście oceniam jej koszt na 75 milionów marek. Cała ta propaganda prawdopodobnie się Niemcom spodobała. Ale na cudzoziemcach, jak mi doniesiono, wywarła raczej niekorzystne wrażenie, mimo że starano się ich jak najlepiej zabawić.

18 sierpnia 1936. Wtorek.

Rozmawiałem dziś z dr. Schachtem, który dotychczas był ze mną jak najbardziej przyjacielski i szczery. Nigdy nie słyszałem, aby krytykował Stany Zjednoczone tak gwałtownie. W ostrych słowach potępił decyzję mego rządu, na mocy której towary niemieckie korzystające z premii eksportowej nie będą więcej dopuszczane na rynek amerykański. Gdy zapytałem go, czy Niemcy posądzają mnie, że przyczyniłem się do powzięcia tej decyzji, odpowiedział: „Ach! nie. Wiem, że pan jest zwolennikiem wolnego handlu”.

Winni są zdaniem Schachta Prezydent i minister Morgenthau. Wyśmiał on argument, że rząd amerykański był zmuszony do podjęcia tej decyzji z uwagi na obowiązujące prawo celne. Powiedział, że Niemcy już niczego więcej w Ameryce nie kupią. Przemilczał fakt, że przyczyną wszystkiego było premiowanie niemieckiego eksportu. Zaatakował handlową politykę ministra Hulla i ujawnił, że Niemcy są bardzo niezadowolone z rozwoju stosunków pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Brazylią. Oświadczył, że pokrzyżowało to niemieckie plany rozwoju handlu z tym krajem. Nie znam szczegółów tej sprawy i z tego powodu nie chciałem podejmować z nim na ten temat dyskusji.

W dalszym ciągu rozmowy Schacht oświadczył: „No cóż, odsetek od obligacji wydanych waszym bankom płacić nie będziemy. Chcecie, żebyśmy wam płacili 6 czy 7 procent, podczas gdy od pożyczek krajowych otrzymujecie tylko 2 lub 3 procent”. Nie przerywałem mu, chociaż wiadomo mi było, że większość posiadaczy niemieckich obligacji w Ameryce zgadza się na odsetki w wysokości 3¹/₂ i 4 procent. Zmieniając temat Schacht powiedział: „Naprzód obdarowaliśmy nas Ligą Narodów, a potem nie chcieliście z nią mieć nic wspólnego. Wobec tego Niemcy żądają teraz kolonii i przyznania im prawa do ekspansji.” Odrzekłem, że to jest przecież sprawa Anglii; że w Ameryce niejednokrotnie rozlegały się głosy wyrażające przekonanie, iż Niemcy powinny odzyskać swoje kolonie.

W dalszym ciągu Schacht domagał się, aby Roosevelt, gdy go wybiorą znowu na prezydenta, zwołał konferencję światową i zażądał na niej przyznania Niemcom należnych im praw. Schacht skrytykował przemówienie Prezydenta, wygłoszone w Chautauqua na temat pokoju światowego*. „Już trzy lata się zbroimy i ponosimy cały ciężar związanych z tym kosztów.”

Odrzekłem mu na to, że wojna może oznaczać koniec naszej cywilizacji. Tak jest, przyznał. „Wojna powszechna to komunizm na całym świecie i kompletne załamanie się światowej gospodarki.”

Nigdy jeszcze nie widziałem Schachta w tak wojowniczym nastroju. Zdaje on sobie chyba teraz sprawę, że jeżeli Niemcy będą w dalszym ciągu rozszerzały sferę swoich wpływów w Europie, to będą musiały usztywnić swoje stanowisko wobec zagranicy i zdecydować się może nawet na wojnę ze Stanami Zjednoczonymi. Gdy wspomniałem o pewnych błędach popełnionych

* Prezydent Roosevelt wygłosił przemówienie na rzecz pokoju w Chautauqua 14 sierpnia 1936 r.

przez Niemcy w dziedzinie religii, Schacht odpowiedział: „Pan ma rację, to był błąd. Czy nie chciałby pan porozmawiać w tej sprawie z Hitlerem?” Chociaż złośliwość tej propozycji była dla mnie oczywista, odpowiedziałem Schachtowi, że gdybym go posłuchał, Führer wpadłby w furję, a w takim stanie wolałbym go nie oglądać.

Jakkolwiek Schacht zapewniał mnie o swojej przyjaźni i zgodził się na utrzymanie treści naszej rozmowy w tajemnicy, czułem, że cała ta rozmowa została nagrana przez aparaturę podsłuchową podłączoną przez władze bezpieczeństwa do jego telefonu.

23 sierpnia 1936. Niedziela.

Od trzech dni nie jesteśmy w stanie się zorientować, jakie jest stanowisko, rządu niemieckiego. Wiemy tylko, że na konferencji z członkami gabinetu Hitler wyraził święte oburzenie z powodu zachowania się Hiszpanów, którzy zrewidowali niemiecki okręt wojenny znajdujący się poza granicą hiszpańskich wód terytorialnych*. Ale gdy Blomberg stanowczo sprzeciwił się podejmowaniu jakichkolwiek kroków militarnych, Hitler się uspokoił i poprzestał na wysłaniu do bezradnego rządu hiszpańskiego noty protestacyjnej.

Dowiedziałem się od Miss Schultz, korespondentki chicagowskiej „Tribüne”, że według posiadanych przez nią informacji w zeszłym tygodniu wysłano z Düsseldorfu 25 niemieckich samolotów dla hiszpańskich rebeliantów. Jednocześnie dowiedziałem się, że Blomberg zabronił dr. Schachtowi wysyłania samolotów i innych materiałów wojennych do Bułgarii, twierdząc, że „niebezpieczeństwo wybuchu wojny jest tak bliskie, iż wszelkie rozporządzalne materiały wojskowe powinny pozostać w kraju”. Schacht był zrozpaczony, bo potrzebne mu są dewizy na zakup żywności i surowców. W jaki sposób za niemiecki import zapłacą hiszpańscy rebelianci, tego nie wiem.

W piątek i sobotę prasa niemiecka gwałtownie zaatakowała Rosję, twierdząc, że trzyma ona w pogotowiu 12-milionową armię i 40 okrętów podwodnych na Morzu Bałtyckim. Tak gwałtownej napaści na Rosję nie zanotowałem jeszcze ani razu przez cały czas mojego trzyletniego pobytu w Berlinie. Równie gwałtowne były ataki prasy na rząd hiszpański. Wydaje się, że istnieje poważne niebezpieczeństwo rychłego rozpoczęcia działań wojennych.

Przebywający tu już pół roku amerykański rzeczoznawca Wright, który bada możliwości gospodarki niemieckiej w czasie wojny i pokoju, poinformował mnie, że wysoki urzędnik, którego Schacht wielokrotnie namawiał do objęcia kierowniczego stanowiska w swoim ministerstwie, powiedział mu z całą powagą, że jego kraj będzie wkrótce gotowy do wojny, ale jeżeli się na nią zdecyduje, spotka go klęska i Hitler zostanie obalony. Jego zdaniem naród niemiecki nie walczyłby już z takim zapalem jak w czasie wojny światowej. Pan Wright dodał od siebie, że Niemcom byłoby trudno prowadzić przez dłuższy czas wojnę na wielką skalę. Zabrakłoby im potrzebnych do tego materiałów i żywności. Jestem skłonny uznać słuszność przewidywań Wrighta, uważam jednak, że w praktyce prawdopodobieństwo wybuchu wojny jest zawsze dużo większe, niż to sobie mogą wyobrazić ekonomiści. Faktem jest,

* Dn. 20 sierpnia 1936 r. hiszpański okręt rządowy zatrzymał i zrewidował poza granicą wód terytorialnych parowiec niemiecki „Kamerun”. Rząd Rzeszy wystosował ostry protest, grożąc w przyszłości użyciem siły.

że w razie wojny ropa, benzyna i żywność byłyby dla Niemiec bardzo kosztownym artykułem pierwszej potrzeby.

W przeciwieństwie do podnieconego tonu prasy i ogólnego napięcia z ostatnich dni ubiegłego tygodnia, dzisiejsze gazety zachowują się spokojnie. Ustały ataki na Rosję, Francję i Hiszpanię. Ktoś musiał wydać rozkaz wstrzymania całej tej akcji. Hitler jest w Berchtesgaden, Neurath gdzieś niedaleko Stuttgartu, a Blomberg zażywa spokoju w swej podberlińskiej rezydencji. Myślę, że cała ta wrzawa miała na celu przyszykowanie narodu niemieckiego do wzmożonego tempa przygotowań wojennych oraz pogodzenia się z ewentualnymi brakami żywnościowymi, czym ludzie już dzisiaj bardzo się przejmują.

25 sierpnia 1936. Wtorek.

Dziś wydaliśmy oficjalny lunch, trzecie duże przyjęcie od czasu mego powrotu z Chicago. Do interesujących gości należeli dr Dieckhoff, dr Leitner z małżonką, który dziewięć lat był radcą niemieckiej ambasady w Waszyngtonie, dr Thomsen, sekretarz osobisty Hitlera, który wyjeżdża do Waszyngtonu na miejsce Leitnera, oraz państwo Piersonowie; Pierson pracuje w państwowym Banku Importowo-Eskportowym w Waszyngtonie, którego zadaniem jest popieranie rozwoju handlu międzynarodowego. Były jeszcze inne osoby, jak np. poseł Nikaragui, uchodzący za zdecydowanego zwolennika Francji. Rozmowa nie mogła być ani szczerą, ani interesującą, gdyż goście reprezentowali różne sprzeczne poglądy. Dużo się więc rozmawiało, niczego konkretnie nie powiedziało, ale za to z dużym apetytem jadło. Po lunchu próbowałem wysondować Dieckhoffa, niczego jednak o stanowisku Niemiec się nie dowiedziałem, poza tym, że jest ono wrogie wobec hiszpańskich komunistów.

Francuski premier Leon Blum powiedział parę dni temu, że zasadniczym problemem, przed którym stoi Francja, jest osiągnięcie rzeczywistej jedności narodu, jedności polegającej na zjednoczeniu wszystkich ugrupowań o tendencjach umiarkowanych i radykalnych w walce o prawdziwą demokrację, na którą Francja, pomimo wszystkich jej wysiłków w tym kierunku od 1789 r. nigdy się jeszcze nie zdobyła. Wątpię, czy Blumowi powiedzie się jego misja. Jeżeli włosko-niemiecka propaganda i udzielana potajemnie generałowi Franco pomoc wojskowa doprowadzi do utworzenia w Madrycie rządu narodowosocjalistycznego lub faszystowskiego, Francja znajdzie się w niezwykle trudnej sytuacji, jakiej nie zaznała być może jeszcze nigdy od czasu upadku Napoleona.

29 sierpnia 1936. Sobota.

Dla prawdziwego demokraty (bynajmniej nie członka partii demokratycznej w Stanach Zjednoczonych lub komunisty) nie ma nic bardziej deprymującego, niż patrzeć na to, co się dzieje w Europie. Hitler jest absolutnym panem 68 milionów Niemców, Mussolini jest panem 42 milionów Włochów, faszystowskie są również ugrupowania rządzące w Polsce, Austrii, Rumunii i na Węgrzech. Mamy informacje, że Mussolini zawiadomił Franco, iż wszyscy hiszpańscy generałowie, którzy 17 lipca wzięli czynny udział w ruchu zmierzającym do ustanowienia w kraju dyktatury, mogą liczyć na pomoc Włoch

w walce o obalenie demokratycznego (po części radykalnego) rządu hiszpańskiego. Cały świat wie, jakie straszne rzeczy dzieją się w Hiszpanii od sierpnia bieżącego roku. Hitler też z pewnością pomagał, a chyba i nadal pomaga generałowi Franco. Jeżeli chodzi o propagandę, to partia narodowosocjalistyczna uprawia ją w Hiszpanii już od kilku lat.

Od pewnego wiedeńskiego dziennikarza otrzymaliśmy dzisiaj wiadomość, że parę dni temu Schuschnigg, dyktator Austrii, był u Hitlera w Berchtesgaden. Zdaniem dziennikarza Austria jest w takim położeniu, iż utrzymywanie przez Stany Zjednoczone poselstwa w Wiedniu jest po prostu wyrzucaniem pieniędzy. Ja to twierdzę już przeszło rok. Inny znany dziennikarz donosi, że Mussolini powiedział mu: „Nie jedź pan do Wiednia. O sprawach austriackich decydują Rzym i Berlin”. Przede wszystkim jednak Berlin.

Parę dni temu dr Schacht jeździł do Paryża z jakąś specjalną misją. O celu tej podróży krąży różne pogłoski. Osobiście przypuszczam, w czym umacniają mnie dzisiejsze wypowiedzi ambasadora francuskiego, że Hitler kazał Schachtowi porozumieć się z francuskimi faszystami w związku ze spodziewanym upadkiem rządu obecnego premiera Bluma. Przed wyjazdem do Paryża Schacht rozmawiał z François-Poncetem, któremu niewiele brakuje, żeby sam został faszystą. Na podstawie głosów prasy można by sądzić, że chodziło tylko o zwykłą misję finansową. Drugim celem tej podróży była moim zdaniem chęć zakupu we Francji amerykańskiej bawełny i miedzi, gdyż warunki wymiany handlowej między Niemcami a Stanami Zjednoczonymi nie pozwalają na bezpośrednie dostawy tych materiałów do Niemiec, a są to niezwykle cenne surowce dla produkcji zbrojeniowej. Moje przypuszczenia potwierdził dzisiaj François-Poncet*.

Inna wiadomość z dnia dzisiejszego: Mussolini widział się w ubiegłą sobotę z Hitlerem. Nie bardzo w to wierzę; jednakże Goebbels, najchytrzejszy z dyktatorów, jest w Wenecji. Wszędzie działają siły zmierzające do wprowadzenia ustrojów totalitarnych; wyjątkiem jest Anglia, gdzie u władzy są głupi konserwatyści, Czechosłowacja, gdzie istnieje tendencja podporządkowania się Hitlerowi, i Rosja. (...) W Stanach Zjednoczonych popieram przez kapitalistów angielskich businessmeni amerykańscy również prą w kierunku faszyzmu. Podobne skłonności wykazuje prawie cały nasz personel dyplomatyczny w Berlinie. Zdecydowanie wrogi wobec nazistowskiego reżymu przez ostatnie trzy lata obecnie w pewnym sensie mu sprzyja.

30 sierpnia 1936. Niedziela.

Parę ostatnich dni upłynęło spokojnie, chociaż prasa nadal gwałtownie agituje przeciwko Rosji i komunizmowi. Był tu przez kilka dni młody Armand Bérard, pracujący obecnie w paryskiej centrali. Odmalował mi trudną sytuację Francji w niezwykle ciemnych kolorach. Premier Leon Blum ma w rządzie paru bardzo zdolnych Żydów. Gdy ich powoływał do rządu, cieszyli się popularnością. Teraz wzmaga się nieustannie we Francji propaganda anty-

* H. Schacht wyjechał do Paryża 25 sierpnia 1936 r. oficjalnie z rewizytą do gubernatora Banku Francji Emile Labeyrie, który był w Niemczech na początku sierpnia. Była to pierwsza wizyta prezesa Reichsbanku w Paryżu od dojścia Hitlera do władzy. W czasie swej wizyty Schacht odbył rozmowy z premierem Blumem i członkami rządu.

semicka, wzmacniająca siły faszystowskie w tym kraju. Nowym przywódcą tego ruchu jest obecnie renegat Jacques Doriot, który ma trochę zwolenników wśród paryskich robotników i jest finansowany przez francuskich przemysłowców. W listopadzie rząd Bluma zostanie prawie na pewno obalony, a wtedy wprowadzenie ustroju faszystowskiego we Francji będzie całkiem możliwe. Tego by właśnie życzył sobie Schacht. Bérard leci jutro z powrotem do Paryża.

1 września 1936. Wtorek.

Pojechaliśmy wszyscy na lotnisko o 4-ej po południu, żeby powitać mojego syna Williama, powracającego z Szanghaju, gdzie pracował na rzecz Międzynarodowej Akcji Pokojowej, ugrupowania zbliżonego do Frontu Ludowego i mającego swoich przedstawicieli w Stanach Zjednoczonych, Anglii, Francji, Szwajcarii i nawet Rosji. Pan Bérard przedłużył swój pobyt o jeden dzień i był razem z nami. Ale samolot Williama opóźnił się o dwie i pół godziny i Bérard musiał odlecieć do Paryża przed jego przybyciem.

Dopóki samolot Williama nie wylądował, bałem się bardzo, że mógł go strącić silny wiatr północny, wiejący od strony Morza Bałtyckiego. Ale o 6.30 wreszcie przyleciał i nastąpiło radosne spotkanie.

4 września 1936. Piątek.

Przed chwilą wyszedł ode mnie Thomas Wolfe, bardzo popularny powieściopisarz amerykański. Właściciel hotelu i pewien znajomy jego berlińskiego wydawcy powiedzieli mi dzisiaj, że „cała Europa staje się powoli faszystowska i to jest dla niej gwarancją pokoju”.

Dziś po południu złożyłem wizytę posłowi holenderskiemu, który właśnie powrócił ze swego kraju. Wkrótce po moim wejściu do jego gabinetu powiedział: „Nie dożyjemy chyba już nigdy szczęśliwych dni. Wszystkie narody ogarnął jakiś szal. Tak wielkich błędów, jakie popełnili Anglicy w ciągu ostatnich trzech lat, nie notowała jeszcze historia tego kraju”.

Mówił o nazistowskim święcie partyjnym, rozpoczynającym się w poniedziałek w Norymberdze. Nie pojedzie tam. Ja też nie pojedę. Zgodził się ze mną, że byłoby bardzo nieprzyjemnie siedzieć tak na otwartym powietrzu i na zimnie, na wysokiej trybunie niedaleko Führera i słyszeć, jak on sam, lub Göring, zgodnie z przyjętym zwyczajem wymyślają na demokrację. „Jeszcze kłopotliwsza — powiedziałem — byłaby sytuacja, gdyby, słysząc takie rzeczy, trzeba było wstać i opuścić zebranie.” Ale poseł holenderski zwrócił moją uwagę na fakt, że reprezentant Szwecji w Berlinie otrzymał od swego rządu polecenie wzięcia udziału w norymberskim zjeździe. „Wiem — dodał — że posłowie czeskosłowacki i rumuński również będą obecni.” Jest to najlepszym dowodem, że małe państwa coraz bardziej boją się hitlerowskiej Rzeszy. Holender jednak na te zjazdy nie jeździ, poseł belgijski [Jacques Davignon] również. Ja i ambasadorzy Francji i Anglii także nigdy nie przyjmujemy zaproszeń na te popisowe imprezy propagandowe. Trzeba wiedzieć, że Mussolini i Stalin nie zapraszają na swoje zjazdy partyjne zagranicznych dyplomatów.

Dziennik wieczorny „Abendblatt” drukuje wielkimi literami wiadomość,

że Mussolini wysłała do Barcelony okręt wojenny i kilka tysięcy żołnierzy. Chce zapewne w ten sposób wysondować Francuzów i Anglików. Myślę, że żadnej reakcji z ich strony nie będzie i Mussolini wyśle później do Hiszpanii jeszcze więcej wojska i podporządkuje sobie gen. Franco, a może nawet przejmie częściowo bezpośrednią władzę nad Hiszpanią. Będzie to z jego strony kolejny krok na drodze do osiągnięcia swych cezariańskich celów.

6 września 1936. Niedziela.

Ponieważ przez parę najbliższych dni nie będzie można w Berlinie załatwić ani omówić żadnej ważniejszej sprawy, gdyż wszyscy dygnitarze biorą udział w święcie partyjnym w Norymberdze, wyruszyliśmy dziś samochodem około 11-ej w podróż do Holandii. Dzień był prześliczny. Po drodze zatrzymaliśmy się w Magdeburgu, żeby zwiedzić słynną katedrę, w której jest pochowany Otton I. Obok wspaniałego grobowca stoi tam pomnik wiernego cesarskiego sługi-Murzyna. Magdeburg jest miastem, w którym Marcin Luter pierwszy raz w życiu poszedł do szkoły.

Z Magdeburga pojechaliśmy do Hanoweru świetną niemiecką Autobahn, czyli szosą przeznaczoną tylko dla samochodów, która w razie potrzeby może służyć również celom wojennym. Ziemia hanowerska jest jednym wielkim gospodarstwem rolnym o urodzajnych wzgórzach i dolinach. Wszędzie widać było już zebrane lub czekające na zbiór pola pszenicy, ziemniaków i buraków cukrowych. Nigdzie nie widziałem żadnych śladów erozji, chociaż te ziemie uprawia się już od tysiąca lat.

11 września 1936. Piątek.

Gdzieś w odludnym miejscu, w odległości około 60 mil od Renu, musieliśmy się zatrzymać na szosie przed barierą, przy której stał jakiś wojskowy. Oświadczył nam, że dalej na tej szosie odbywają się tajne zaczepno-obronne manewry wojskowe i nikomu nie wolno ich oglądać. Kazał nam zawrócić z powrotem do Renu. Powiedziałem mu, że jedziemy do Rothenberga i chcielibyśmy tam dojechać w południe. Powtórzył swoje „nie wolno”, ale gdy kierowca pokazał mu nasze dokumenty i szorstkim tonem oświadczył, że jesteśmy „dienstlich unterwegs” (w podróży służbowej), ustąpił, co prawda niechętnie. Zdaniem kierowcy, wziął mnie za generała, który miał przybyć z Berlina na inspekcję tych manewrów.

Przez godzinę mijaliśmy ciężarówki wojskowe, stanowiska karabinów maszynowych i liczne oddziały żołnierzy. W pewnej chwili wjechaliśmy w kolumnę czołgów i nie mogliśmy się w ogóle posuwać naprzód — baliśmy się bardzo, że lada chwila rozpoczną się właściwe manewry. W ostatnim osiedlu, przez które przejeżdżaliśmy, wojskowi musieli usunąć dla nas zaporę z drutu kolczastego ustawioną w poprzek drogi. Byłem tym wszystkim bardzo zdenerwowany i zdawałem sobie sprawę, że znaleźliśmy się w zupełnie nieodpowiednim dla nas miejscu. Byliśmy jeszcze dwukrotnie zatrzymywani i gniewnie interpelowani przez innych wojskowych, którzy jednak pozwolili nam jechać dalej, gdy się dowiedzieli, kim jesteśmy i dokąd jedziemy. Obawiam się, że oficer, który nas pierwszy przepuścił, będzie za to ukarany aresztem. Lękam się również, czy nie wyniknie z tego jakaś sensacja.

12 września 1936. Sobota.

Powracając z tygodniowej podróży po Holandii, Belgii i południowych Niemczech, zaopatrzyliśmy się w Lipsku w berlińskie gazety. Pełno w nich było artykułów poświęconych atakom Hitlera, Goebbelsa i Rosenberga na komunistów „posłusznych wszędzie nikczemnym Żydom, którzy chcą rządzić całym światem”. Zdumiewające, co ci ludzie wygadują, sądząc, jak się wydaje, że Niemcy i Włochy powinny zmusić inne narody do przyłączenia się do nich celem obalenia wspólnymi siłami ustroju komunistycznej Rosji. Jak gdyby jakiś kraj miał prawo dyktować drugiemu, jak ma się rządzić.

Podczas gdy Hitler gwałtownie atakuje demokrację, prezydent Roosevelt przemawia na międzynarodowej konferencji w Waszyngtonie i wskazuje na podstawowe przyczyny obecnych kłopotów na świecie. Jakże niewiele dobrego mogą zdziałać te amerykańskie wypowiedzi! Hitler wie, że wszystkie państwa panicznie boją się nowej wojny, więc prowokuje i znieważa narody, które nie chcą rządzić się po dyktatorsku. Sądzi, że, podobnie jak próbował tego kiedyś Napoleon, będzie mógł panować nad całą środkową Europą, bo wszyscy ze strachu przed wojną dobrowolnie mu się podporządkują.

16 września 1936. Środa.

Z uwagi na konieczność poinformowania mego rządu, w jakim stopniu wiadomości o sytuacji w Niemczech, od których roi się ostatnio w prasie zagranicznej, odpowiadają prawdzie, zamówiłem sobie wczoraj rozmowę z Dieckhoffem. Liczyłem na to, że Dieckhoff będzie ze mną rozmawiał szczerzej niż jego szef Neurath.

Gdy wszedłem dziś do poczekalni w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, był wielki portret Hitlera stojący na stole, przy którym dyplomaci i inne osoby oczekują zwykle przez chwile na przyjęcie. Portret Hitlera w Ministerstwie Spraw Zagranicznych to dla mnie novum. W gabinecie Dieckhoffa na biurku, przy którym mieliśmy przez pół godziny rozmawiać, zobaczyłem drugi wielki portret Hitlera. Ciekawy jestem, czy taki portret jest również w gabinecie Neuratha. Gdy przyjechałem do Berlina, urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych wyrażali się przyjaźnie o instytucjach demokratycznych i oburzali się, że hitlerowcy tak brutalnie obchodzą się z Bogu ducha winnymi Żydami. A ci, co nie należeli do partii, wyrażali obawę, że Hitler usunie ich z Ministerstwa. Teraz wszystko wygląda inaczej.

Dieckhoff bronił słuszności krytycznych wypowiedzi Hitlera pod adresem zagranicy, wyjaśnił jednak, że Kanclerzowi nie chodziło bynajmniej o zmuszenie ambasadora rosyjskiego do opuszczenia Niemiec (taką informację otrzymałem z wiarygodnego źródła). Na pytanie, jaki jest stosunek Niemiec do Hiszpanii, odpowiedział, że „Niemcy zachowują ścisłą neutralność”, dodał jednak natychmiast, że odmowa zachowania neutralności przez Portugalię jest w pełni uzasadniona, gdyż demokratyczny rząd Hiszpanii dąży do anektowania tego kraju. Oświadczyłem, że w to nie wierzę. Upierał się przy swoim, bronił zamachu stanu dokonanego w Hiszpanii przez generała Franco i chwalił Włochy za pomoc udzieloną zbuntowanym wojskom. Wszystko, co Dieckhoff mówił, wskazywało, że liczy na zdobycie władzy w Hiszpanii przez faszystów. Tego oczywiście życzy sobie Hitler i przez Portugalię przesyła im zapewne

broń. Któregoś dnia dowiemy się, że stanowisko zajęte przez Portugalię było wynikiem zaleceń udzielonych jej przez Hitlera i Mussoliniego.

Gdy zapytałem Dieckhoffa, co sądzi o projektowanej konferencji członków paktu lokarneńskiego i możliwości zawarcia jakiegoś porozumienia w sprawie utrzymania pokoju na świecie, miał gotową odpowiedź. „Zgodzimy się wziąć udział w takiej konferencji, ale pod warunkiem, że nie dopuszczona zostanie do niej Rosja.”* Zauważyłem, że w tym wypadku w konferencji nie wzięłaby udziału również Francja, zwłaszcza gdyby Niemcy zażądały od niej odstąpienia od pokojowego porozumienia podpisanego z Rosją w ubiegłym roku. Na to odrzekł: „Nie możemy wchodzić w żadne układy z rosyjskimi komunistami.”

„Przyznaję — powiedziałem — że komuniści postępują bardzo nierozsądnie uprawiając propagandę, gdzie tylko mogą, ale wasz rząd czyni to samo. Na co więc narzekacie?” Odparł: „Nasza propaganda adresowana jest wyłącznie do tych osób zamieszkałych za granicą, które posiadają obywatelstwo niemieckie. Mamy pełne prawo traktować te osoby jak członków naszego narodu”. Chciałem mu opowiedzieć (ale się wstrzymałem) o tym, co się naprawdę dzieje w Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii i innych krajach, i co wyraźnie przeczy jego słowom. Kiedyś przy jakimś obiedzie Dieckhoff oświadczył, że Niemcy muszą podporządkować sobie państwa położone w basenie Dunaju. „No dobrze — odparłem — ale na przykład w Kanadzie mieszkają miliony obywateli Stanów Zjednoczonych względnie ich synów i córek. Dlaczego nie mielibyśmy wobec tego żądać od Kanady, żeby się nam podporządkowała? A jednak od czasów Champ Clarka nie było w Ameryce polityka z prawdziwego zdarzenia, który by w publicznym przemówieniu domagał się przyłączenia Kanady do Stanów Zjednoczonych.” Przypomniała mi się ta rozmowa dzisiaj i Dieckhoff też chyba o niej nie zapomniał. Prawie wszyscy Niemcy, hitlerowcy czy antyhitlerowcy, uważają swych rodaków zamieszkałych za granicą, zwłaszcza w Holandii, Szwajcarii i krajach bałkańskich, za członków własnego narodu i mają niepłonną nadzieję, że się z nimi kiedyś połączą, nawet gdyby musieli o to walczyć z bronią w ręku.

Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych pojechałem na Unter den Linden. Zostawiłem swój samochód na ulicy i żeby nie zwracać uwagi Niemców poszedłem do ambasady rosyjskiej pieszo. Moja rozmowa z ambasadorem nie trwała długo. Powiedział mi, że nie spodziewa się, aby wściekłe ataki Hitlera spowodowały odwołanie go do Moskwy. „Prawdziwym celem tych ataków jest zmuszenie Francji do wypowiedzenia podpisanego z nami układu. Mój rząd nie kazał mi nawet składać protestu. Hitler chciałby zmusić Anglię i Francję do przyłączenia się do prowadzonej przez Niemcy i Włochy polityki izolowania Związku Radzieckiego.” Jestem absolutnie tego samego zdania. Hitler zmierza do aneksji państw bałtyckich, które dawniej należały do Rosji: Litwy, Łotwy i Estonii i dokona jej z chwilą, gdy tylko nastąpi jakiś wyłom w polityce okrażenia, na przykład jeżeli Francja i Anglia uznają, że układ rosyjsko-francuski powinien być anulowany.

Po wizycie w ambasadzie rosyjskiej poszedłem do chargé d'affaires Wielkiej Brytanii. Oświadczył, że Anglia nie ustąpi Hitlerowi w sprawie Rosji i będzie nalegała na zwołanie konferencji członków paktu lokarneńskiego, jak również w dalszym ciągu będzie się domagała ograniczenia i kontroli zbrojeń.

* Po remilitaryzacji Nadrenii zaczęto mówić w W. Brytanii i Francji o „nowym Locarno”. Projektowano udział pięciu państw: W. Brytanii, Francji, Włoch, Niemiec, Belgii. Rząd niemiecki odmówił udziału, gdyż nie chciał podjąć zobowiązań wobec państw zachodnioeuropejskich.

Moim zdaniem ta polityka nie ma żadnych szans powodzenia, dopóki władzę absolutną w Niemczech sprawuje Hitler, człowiek, który chce zostać dyktatorem całej Europy.

26 września 1936. Sobota.

Dziś mija dziesięć dni, jak wysłaliśmy do Waszyngtonu telegram streszczający panujące tu poglądy. Od tej pory trwają w Niemczech wielkie manewry wojskowe. Bierze w nich udział Hitler jako naczelny wódz, występując na zmianę po jednej i drugiej stronie. Biedny naród niemiecki nigdy jeszcze tyle czasu nie musiał poświęcać musztrze, marszom, ćwiczeniom w strzelaniu, lataniu i bombardowaniu. Cała Europa przygląda się temu z najwyższym niepokojem.

Dziś powiedział do mnie poseł holenderski: „Wszyscy jesteśmy przekonani, że Niemcy noszą się z zamiarem anektowania w odpowiedniej chwili naszego kraju. To samo grozi Szwajcarii i innym krajom, w których żyją potomkowie starogermańskich szczepów”. Powiedziałem mu, że otrzymaliśmy ostatnio wiadomość, iż Niemcy myślą o zdobyciu kolonii na Dalekim Wschodzie, i powtórzyłem mu, co powiedział na wiosnę dr Schacht na temat holenderskiej Nowej Gwinei. Poseł słyszał o tym również, ale dodał: „Zbroimy się w naszych dalekowschodnich posiadłościach jak nigdy przedtem. Jednakże moi rodacy podobnie jak Anglicy nie chcą się zgodzić na wprowadzenie powszechnego obowiązku służby wojskowej i nie zaczną się szykować do wojny, dopóki wojna naprawdę się nie zacznie. Tacy to są z nich zawzięci pacyfiści”.

Niepokój i pesymizm brzmiał w głosie posła, gdy żegnając się powiedział: „Nie ma innego sposobu uniknięcia nowej wojny światowej, jak tylko podjęcie wspólnej akcji w obronie pokoju przez pański kraj, Anglię, Francję i Rosję”. Dodał, że gdyby tego rodzaju jednolity front faktycznie powstał, przyłączyłyby się do niego wszystkie demokratyczne państwa w Europie, nawet Szwecja, której Neurath dwa lata temu przepowiadał, że za trzy lata będą w niej już rządzący narodowi socjaliści. Ale w Szwecji odbyły się parę dni temu wybory i mimo całej swej propagandy narodowi socjaliści nie zdobyli w nowym parlamencie ani jednego miejsca.

28 września 1936. Poniedziałek.

Dziś po południu przyszedł do mnie konsul generalny Jenkins i opowiedział mi historię procesu wytoczonego obywatelowi amerykańskiemu Lawrence Simpsonowi przed specjalnym hitlerowskim Trybunałem Ludowym, którego zadaniem jest rozpatrywanie tak licznych obecnie oskarżeń o działanie na szkodę interesów państwa. Był chyba kwiecień 1935 r., gdy Simpsona przyłapano na amerykańskim statku „Manhattan”, jak usiłował przemycić do Niemiec komunistyczne broszury propagandowe. Policja zawiozła go od razu do miejskiego sądu w Hamburgu, który nakazał umieszczenie go w areszcie. W lipcu przewieziono go do więzienia w Berlinie czy też gdzieś w pobliżu. Konsul Jenkins powiadomił o tej sprawie Departament Stanu i złożył protest u władz niemieckich przeciwko przetrzymywaniu Simpsona w więzieniu bez sądu. Władze oświadczyły, że w aferę Simpsona zamieszanych jest około

70 Niemców i stąd wynikła zwłoka w jego osądzeniu. Na to nie można było już nic poradzić.

Teraz 28 września, Simpson stanął wreszcie przed sądem razem z jednym niemieckim współnikiem. Przyznał się do wszystkiego, o co go oskarżono, i został skazany na dalsze szesnaście miesięcy więzienia, oprócz czternastu, które spędził w areszcie prewencyjnym. W niemiecko-amerykańskim układzie z 1924 r. brak jest klauzuli, która by pozwalała na interwencję w sprawie Simpsona, i nasz konsul nic już zdziałać nie mógł. Mimo to parokrotnie zabiegał u władz niemieckich o złagodzenie kary.

Konsul potwierdził wiadomość, że Simpson odmówił przyjęcia kwoty tysiąca dolarów przesłanej mu z Nowego Jorku na opłacenie adwokata. Prasa amerykańska poświęciła dużo miejsca sprawie aresztowania Simpsona i złego traktowania go przez Niemców.

2 października 1936. Piątek.

W październiku i listopadzie 1935 r. pozycja Mussoliniego w kraju była zachwiana, a w Abisynii zaczęła się rozpętała przez niego bardzo kosztowna wojna. Moim zdaniem ambasador włoski i jego małżonka wyobrażali sobie wówczas, że Mussoliniemu się nie powiedzie i że w nieszczęsnych Włoszech będzie mogła nastąpić zmiana na lepsze. Ale błędy popełnione przez Francję i Anglię dopomogły Mussoliniemu do zwycięstwa. W okresie od grudnia 1935 r. do marca 1936 r. Hitler szukał porozumienia ze zwycięskim dyktatorem Włoch i reakcja Mussoliniego była pozytywna. Teraz obaj pomagają generałowi Franco w walce o zdobycie władzy dyktatorskiej w Hiszpanii, obaj posyłają rebeliantom broń, samoloty i ludzi. Dzisiaj ambasador włoski maszeruje już w jednym szeregu z niemieckimi dygnitarzami, a gdy hitlerowskie wojsko oddaje mu honory, odpowiada na nie hitlerowskim pozdrowieniem.

W poniedziałek wieczór Rust i Ley przemawiali do ogromnego audytorium, które być może zostało zmuszone do przybycia przez władze. Mówcy zapowiedzieli, że w przyszłości młodzież będzie chodziła do szkoły przez siedem miesięcy w roku, a cała nauka szkolna będzie trwała dwanaście lat, zamiast dotychczasowych trzynastu. Potwierdza to przyjętą obecnie w Niemczech zasadę, że rodzice nie mają nic do powiedzenia w sprawie wychowania swych dzieci, gdyż jest to sprawa należąca do kompetencji władz. Po ukończeniu czternastego roku życia niemieckie dzieci muszą przez pięć miesięcy w roku, oczywiście nie codziennie, odbywać ćwiczenia wojskowe i przygotowywać się do wojny. A w wieku lat osiemnastu zarówno chłopcy, jak dziewczęta muszą w tej czy innej formie odbywać służbę wojskową lub też służbę w obozach pracy.

5 października 1936. Poniedziałek.

Zadłużenie wewnętrzne Niemiec osiągnęło takie rozmiary, iż wydaje mi się, że nawet tak wytrawny finansista jak dr Schacht nie będzie mógł dać sobie z nim rady. Oficjalne zadłużenie wynosi 18 miliardów marek, ale oprócz tego istnieje zadłużenie nie ujawnione w wysokości 25 miliardów marek.

Anglicy szacują, że wydatki na broń i wojsko wynoszą w Niemczech 800 milionów funtów rocznie, czyli równowartość 4 miliardów dolarów lub 12 miliardów marek. Nie bardzo mi się chce wierzyć w tę angielską ocenę, ale faktem jest, że przygotowania wojenne Niemiec przebrały wszelką miarę.

Rząd niemiecki wydaje się być skłonny pójść na każde ryzyko, żeby zmusić Anglię do zwrócenia Niemcom ich przedwojennych kolonii. Dużo się teraz tutaj mówi o projektowanej konferencji członków paktu lokarneńskiego, na której mogłaby być załatwiona sprawa zwrotu niemieckich kolonii. Ale w Południowej Afryce cała ludność, bez względu na przynależność rasową, domaga się wolności i demokracji, podczas gdy Niemcy nie ustają w napaściach na wszystkie obce rasy poza aryjską i zawzięcie atakują demokratyczne rządy. Wynikiem tego jest wroga postawa wobec Niemiec wszystkich narodów kolonialnych, zwłaszcza zaś afrykańskich Murzynów. Moim zdaniem naziści nie mają obecnie żadnych szans na zdobycie kolonii. Bardziej rozsądne potraktowanie sprawy przez Niemcy byłoby zapewne skłoniło Anglię i Francję do uczciwego jej załatwienia.

10 października 1936. Sobota.

Dziś po południu złożył mi wizytę rosyjski ambasador. Chociaż jest to człowiek wyjątkowo dobrze poinformowany, niczego nowego się od niego nie dowiedziałem. Mówił o pomocy rosyjskiej dla Hiszpanii i łamaniu przez Niemców i Włochów obietnicy zachowania ścisłej neutralności. Nie wątpię, że oskarżenia te są prawdziwe. Ambasador ostro skrytykował bierne stanowisko Anglii wobec faktów łamania porozumienia w sprawie nieinterwencji*, ale dodał, że jego zdaniem nie istnieje teraz poważniejsze niebezpieczeństwo wybuchu wojny światowej. W tym punkcie się z nim zgadzam, uważam jednak, że powszechne zbrojenia w połączeniu z olbrzymim zadłużeniem i grożącym za rok czy dwa bezrobociem muszą doprowadzić w końcu do wojny.

15 października 1936. Czwartek.

Pojechałem dziś wieczorem do hotelu „Adlon”, żeby posłuchać, co Rosenberg, ten tak zwany filozof hitleryzmu, będzie miał do powiedzenia na temat stosunków międzynarodowych. Po raz trzeci już brałem udział w organizowanym przez niego „Bierabend”. Na prawo ode mnie siedział Meissner, do sierpnia 1934 r. prywatny sekretarz Hindenburga, obecnie zaś sekretarz Hitlera. Po lewej stronie miałem Rosenberga, który kieruje teraz reformą całego systemu nauczania, zwłaszcza historii, w szkołach i na uniwersytetach. Na lewo od Rosenberga siedział sir Eryk Phipps, a naprzeciwko nas paru dyplomatów i oficerów marynarki wojennej.

Rozmowa przy stole nie dała mi nic nowego, prócz usłyszanej od Meissnera wiadomości, że nasz były ambasador w Berlinie, Schurman z Nowego Jorku, był obecny na wielkim zjeździe partyjnym w Norymberdze. Wprawdzie

* Deklarację o nieinterwencji podpisały w sierpniu 1936 r. wszystkie zainteresowane państwa, łącznie z Niemcami, które podpisały ją najpóźniej. Powołano komitet nieinterwencji; jego pierwsze posiedzenie odbyło się 9 września t.r. w Londynie.

Schurman zapowiedział publicznie w prasie berlińskiej swoją obecność na zjeździe, żaden jednak z amerykańskich korespondentów tam go nie zauważył, i myślałem, że z obawy przed ewentualną krytyką takiego kroku Schurman ostatecznie na zjazd nie pojechał. Meissner powiedział, że rozmawiał kilka razy z Schurmanem i jest dla niego pełen podziwu.

Rosenberg mówił przeszło pół godziny. Ponownie zaatakował ustrój komunistyczny, twierdząc, że stanowi on groźbę dla całej zachodniej cywilizacji. Na demokrację nie napadał. Słuchaczy miał bardzo dużo, wśród nich wielu przedstawicieli państw demokratycznych. Najwidoczniej uznał za wskazane zostawić pewne kraje tym razem w spokoju. Na zakończenie swego przemówienia wspominał o możliwości współpracy międzynarodowej, ale przecież wszystkim wiadomo, że narodowosocjalistyczne Niemcy zdolne są do współpracy co najwyżej ze znieawidzonymi przez siebie Włochami.

18 października 1936. Niedziela.

Marta wyjeżdża we wtorek do Stanów Zjednoczonych i w związku z tym zjawił się u nas ks. Ludwik Ferdynand, ten nie tracący wciąż nadziei pretendent do niemieckiego tronu. Przyszedł, żeby pożegnać się z Martą i prosić ją o przekazanie pozdrowień dla swoich amerykańskich przyjaciół. Skoro Hitler zapowiada, że hitleryzm przetrwa tysiąc lat, trudno sobie wyobrazić, żeby Hohenzollernowie mieli jakieś szansę powrotu do władzy.

19 października 1936. Poniedziałek.

Byliśmy dzisiaj na lunchu u sir Eryka Phippsa. Byłem trochę zdziwiony, że na honorowym miejscu zasiadł Rosenberg, ten sam Rosenberg, któremu w 1933 r. polecono opuścić Anglię, gdyż pozwalał sobie na uprawianie w tym kraju hitlerowskiej propagandy. Obecny był również Meissner. Było dużo gości, dyplomatów i dziennikarzy, niektórzy zupełnie inteligentni. Przeprowadziłem z sir Erykiem krótką poufną rozmowę na temat ewentualnej współpracy państw demokratycznych w dziedzinie finansowej i handlowej.

29 października 1936. Wtorek.

Parę dni temu przyszedł do mnie pewien nowojorski adwokat, reprezentujący grupę klientów domagających się od Niemiec odszkodowania za zniszczenie ich majątku, zanim jeszcze Stany Zjednoczone formalnie przystąpiły do wojny światowej. Adwokat zapytał mnie, czy mógłbym mu pomóc w załatwieniu tej sprawy z władzami niemieckimi. Faktem jest, że własność obywateli amerykańskich wartości setek milionów dolarów uległa w owym czasie zniszczeniu na terenie Stanów Zjednoczonych w wyniku niemieckiego sabotażu lub też została skonfiskowana przez rząd niemiecki na terenie Niemiec. Przez wiele lat działała komisja, składająca się z przedstawicieli obu państw, która rozpatrywała ten problem i orzekła, że tytułem odszkodowania Niemcy powinny zapłacić Amerykanom wiele milionów dolarów. Komisja przestała funkcjonować w 1930 r. Adwokat chciał prosić władze niemieckie o to, żeby

wypłata odszkodowań należnych jego klientom nastąpiła z kwoty 20 milionów dolarów ulokowanych przez Niemcy na specjalnym koncie w amerykańskim Ministerstwie Skarbu. Kwota ta stanowi mniej więcej jedną dziesiątą utraconego majątku.

Wysłałem do Waszyngtonu depezę z zapytaniem, czy mam zwrócić się z tą sprawą do władz niemieckich, i otrzymałem odpowiedź, żeby nic w tej sprawie nie robić i w ogóle o niej nie wspominać. Wówczas mecenas sam poszedł do Neuratha i innych wysokich niemieckich dygnitarzy. Niczego mu wprawdzie nie obiecano, ale odniósł wrażenie, że coś może się dać zrobić. Okazało się wreszcie, że gen. Göring skłonny jest zapłacić część żądanego odszkodowania pod warunkiem, że Stany Zjednoczone sprzedadzą Niemcom na kredyt bawełnę lub miedź. W związku z tym reprezentujący generała kapitan von Pfeffer złożył dzisiaj na moje ręce z zachowaniem wszelkich ceremonii oficjalną odpowiedź na roszczenia zgłoszone przez mecenasa. Kapitan miał na sobie hitlerowski mundur i dla dodania sobie większej powagi przyprowadził w charakterze asysty porucznika. Pozwoliłem kapitanowi odczytać na głos przyniesione przez niego pismo, po czym przyjąłem je, wyrażając oddawcy oficjalne podziękowanie.

Ledwo obaj panowie zdążyli opuścić gmach ambasady, gdy zjawił się znowu mecenas i zaczął mi opowiadać o napotkanych trudnościach. Nie mogłem mu nic na to poradzić, ale zadałem mu następujące pytania: „Dlaczego Standard Oil Company z Nowego Jorku przekazała do Niemiec w grudniu 1933 r. milion dolarów, by pomóc Niemcom w produkcji benzyny z węgla brunatnego w razie wojny? Dlaczego International Harvester w dalszym ciągu produkuje swoje wyroby w Niemczech, skoro nie ma prawa przekazywać zysku do kraju i skoro odmówiono jej odszkodowania za straty poniesione w czasie wojny światowej?” Mecenas pojął, o co mi chodzi, i przyznał, że nie wygląda to poważnie i może doprowadzić tylko do jeszcze większych strat w razie wybuchu nowej wojny.

25 października 1936. Niedziela.

Profesor M. wrócił właśnie z żoną z dwutygodniowej wizyty u swej córki, która mieszka z mężem za granicą. Byli przez ten czas na jej utrzymaniu, gdyż własnych pieniędzy nie pozwolono im ze sobą zabrać.

Państwo M. zaczęli mi opowiadać o „smutnej sytuacji”, w jakiej znalazły się niemieckie uniwersytety i szkoły. Zdaniem profesora naród niemiecki był przez dłuższy czas wychowywany w absolutnym posłuszeństwie dla swojej władzy i ma w związku z tym tego rodzaju konstytucję psychiczną, że obecny dyktator może zrobić z nim, co mu się podoba. Wszyscy Niemcy są mu posłuszni, mimo że są przeciwni temu, co im każe robić. Jeżeli chodzi o uniwersytety, to można powiedzieć, że wydziały historii, filozofii, ekonomii i nauk społecznych po prostu dogorywają. Tematy wykładów uniwersyteckich ustalane są przez niekompetentnych członków partii, a studentom każe się szpiegować własnych profesorów. Gdy student doniesie o swym profesorze coś, co nie podoba się Ministerstwu Propagandy, profesora zwalnia się ze stanowiska. Powodów tej decyzji się nie ujawnia. Nie ma żadnej możliwości zmiany tych stosunków.

Zwolnionego z pracy profesora przenosi się na emeryturę, pełną lub częściową. Cokolwiek by chciał znowu kiedyś wyklądać lub pisać, wszystko to

musi być zgodne z punktem widzenia partii narodowosocjalistycznej. Pisać prawdę o aktualnych stosunkach w Niemczech jest rzeczą zbyt niebezpieczną, aby się ktokolwiek mógł na to odważyć, nawet gdyby to pozostało w formie rękopisu. Profesor M. dodał, że metody zastosowane na uniwersytetach wprowadza się obecnie we wszystkich szkołach; nikt nie może być nauczycielem, kto nie jest członkiem partii.

„Nasza cywilizacja dogorywa. Jeżeli to, co się u nas dzieje od trzech lat, potrwa jeszcze dziesięć, nigdy się z tego upadku nie podniesiemy. Jesteśmy na prostej drodze do niewolnictwa i barbarzyństwa.” Przeszło godzinę słuchałem tych wywodów profesora na temat nieszczęsnego losu jego rodaków. Tymczasem pani M., żeby nie narazić męża, *zaraz* na początku naszej rozmowy nakryła aparat telefoniczny grubym kocem.

26 października 1936. Poniedziałek.

Przez cały ubiegły tydzień bawił tutaj zięć Mussoliniego, hr. Ciano. Wielkie manifestacje przyjaźni dzień w dzień! Mussoliniemu chodzi o to, żeby cały świat nabrał pewności, iż żądanie Włoch, aby Anglia uznała podbój Abisynii, spotka się z poparciem Niemiec. Wówczas Anglia zacznie stopniowo tracić swoją dominującą pozycję na Morzu Śródziemnym i będzie musiała dopuścić Włochy do eksploatacji Kanału Sueskiego. Neurath powiedział mi przed tygodniem, że Hitler nie weźmie udziału w żadnej konferencji mocarstw europejskich, dopóki Anglia nie zgodzi się na żądania Włoch. O ile w 1933 r., gdy przyjechałem do Berlina, i jeszcze w 1934 r. Neurath nie ukrywał swego niezadowolenia z rządów Hitlera, to teraz nie jest niczym innym jak posłusznym narzędziem w rękach dyktatora.

Manifestacje przyjaźni włosko-niemieckiej przeciągnęły się do 26-go, kiedy nastąpiło spotkanie Hitlera z Ciano w Monachium. O czym mówili, tego nikt chyba nie wie, ale jestem przekonany, iż Hitler zażądał od Mussoliniego, aby się trzymał z daleka od Austrii i nie próbował mu przeszkadzać, gdy w wyniku uprawianej przez niego propagandy nadejdzie chwila przyłączenia Austrii do Niemiec. Osiągnięcie porozumienia w sprawie podziału Europy nie jest dla obu Cezarów rzeczą łatwą.

31 października 1936. Sobota.

Dzisiaj jest rocznica wystąpienia Lutra, ale w prasie nie ma o tym ani słowa. Gdy byłem na studiach w Lipsku, Niemcy obchodzili ten dzień równie uroczyście jak Amerykanie dzień 4 lipca*. Teraz o Lutrze się w ogóle nie wspomina. Przez trzy dni odbywały się natomiast uroczystości dla uczczenia zwycięstwa, które Goebbels odniósł dziesięć lat temu w Berlinie**. Göring wygłosił prowokacyjne przemówienie pod adresem zagranicy, wzywając wszystkich Niemców do ograniczenia konsumpcji masła i mięsa, aby w ten sposób umożliwić zwiększenie produkcji armat. A wczoraj wieczorem do wielkiego pałacu Goebbelsa pośpieszył sam Hitler, żeby mu podziękować za „wspaniałą pracę”.

* Był to tzw. Reformationsfest obchodzony od 1668 r. w Saksonii i od 1817 r. w Prusach.

** W październiku 1926 r. Hitler mianował Goebbelsa gauleiterem organizacji NSDAP Wielkiego Berlina.

9 listopada 1936. Poniedziałek.

Nic ważnego przez cały tydzień. Göring wygłosił przemówienie, które miało najwidoczniej skłonić naród niemiecki do aktywniejszego udziału w realizacji Planu Czteroletniego. Ostrzegł Niemców, że mogą powstać pewne kłopoty z zaopatrzeniem w żywność. Niemcy muszą zacisnąć pasa, żeby zaoszczędzić pieniądze na zbrojenia. W beczelny sposób napadł na Anglię, mimo że na sali obecny był w charakterze gościa lord Londonderry. Oświadczył, że Anglia ukradła Niemcom kolonie i zrabowała ich złoto. Podobno lord Londonderry nie zrozumiał słów Göringa. W każdym razie wszyscy mogli go oglądać na wydanym następnego dnia przez Göringa przyjęciu.

Według posiadanych przeze mnie informacji z dniem 30 stycznia 1937 r. ma nastąpić ostateczna likwidacja państwowości Prus, Saksonii, Bawarii i innych niemieckich krajów. Mimo że posunięcie to zostało zapowiedziane przez Hitlera jeszcze w 1934 r., realizacja jego za życia Hindenburga była niemożliwa. Odebranie samodzielności politycznej takim krajom jak Bawaria lub Saksonia, których historia sięga czasów rzymskich imperatorów, jest niesłychanym wstrząsem. Chociaż Hitler nienawidzi Francji, idzie śladem Napoleona, który zniósł odrębność polityczną francuskich prowincji.

Ernst Hanfstaengl, o którym mówią, że uratował życie Hitlerowi w 1923 r., przebywa obecnie w Paryżu. Hanfstaengl jest absolwentem Harvardu. Jego matka pochodziła ze znanej rodziny Sedgwicków z bostońskiej dzielnicy Back Bay, ale młody Hanfstaengl wrócił do Bawarii, gdzie odziedziczył spory majątek ziemski. Przyłączył się do Hitlera jeszcze przed puczem z 1923 r. i hojnie finansował jego poczynania. W 1933 r. mianowany został szefem biura prasowego, które prowadziło akcję propagandową wśród zagranicznych korespondentów. Gdy przyjechaliśmy do Berlina, uważany był za człowieka należącego do najbliższego otoczenia Hitlera. W marcu 1934 r. zorganizował mi poufne spotkanie z Hitlerem, w czasie którego złożyłem w imieniu Prezydenta protest przeciwko szerzeniu hitlerowskiej propagandy w Stanach Zjednoczonych. Później pojechał do Stanów na zjazd byłych wychowanków Harvardu. Ale coś się stało i Hitler stracił do niego sympatię; przestał go przyjmować, pozbawił zajmowanego stanowiska i postawił go przez to w niewyraźnej sytuacji.

Parę dni temu Hanfstaengl pojechał do Paryża i udzielił tam wywiadu na temat ponownego wyboru Roosevelta. Z tego powodu może mieć nieprzyjemności. A przecież wyraził tylko swój podziw dla kraju, do którego chciałby na pewno wyjechać na stałe, gdyby tylko mógł zabrać ze sobą choćby część swego majątku. Ciekawy jestem, co mu powiedzą albo zrobią po powrocie. Podobno jest bardzo inteligentny. Trudno mi powiedzieć, jak jest naprawdę.

12 listopada 1936. Czwartek.

Byliśmy wczoraj na lunchu u posła szwajcarskiego. Był tam również gen. von Seeckt, naczelny dowódca Reichswehry w chwili dojścia Hitlera do władzy w 1933 r. Ponieważ nie solidaryzował się z narodowym socjalizmem, został zwolniony ze swego stanowiska. Wyjechał do Chin i uczył Chińczyków, jak się szkoli wojsko. Teraz wrócił, dostał jakąś inną pracę i nie krytykuje już tak bardzo nazizmu jak dawniej.

Jego żona powiedziała: „Niemcy zrobiły wielkie głupstwo, że zgodziły się na utworzenie polskiego Korytarza. Wprawdzie Wilson ofiarował Polsce dostęp do Bałtyku, ale my nie powinniśmy byli z tym się pogodzić. I choć mamy teraz dziesięcioletni pakt z Polską, ten dostęp do morza Polsce odbierzemy. Gdańsk to nie żadne wolne miasto. To jest nasze miasto". To pokrywa się ze stanowiskiem rządu niemieckiego, który ostatnio stale twierdzi, że Liga Narodów nie ma żadnego prawa bronić Gdańska przed czymkolwiek atakiem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby 30 stycznia przyszłego roku Hitler znowu rzucił wyzwanie światu i przyłączył Gdańsk do Niemiec.

Był u mnie dziś po południu Carl Albrecht, właściciel bremeńskiej firmy importującej bawełnę. Chciał się dowiedzieć, jakie są możliwości importu bawełny ze Stanów Zjednoczonych. Wyjaśniłem mu stanowisko ministra Hulla, który skłonny jest obniżyć cło wywozowe, jeżeli Niemcy przestaną premiować swój eksport do Stanów Zjednoczonych. Problem ten jest mu znany, gdyż omawiał go w sierpniu z panem Piersonem z Departamentu Stanu.

Wspomniał potem o naszym nowym konsulu w Bremie, od którego usłyszał, że utworzony na wiosnę nowy rząd hiszpański dokonał wielu zmian na lepsze w życiu swego zacofanego kraju*. Zdaniem Albrechta to skandal, że są państwa, które zaopatrują hiszpańskich rebeliantów w broń i przedłużają w ten sposób tę okropną wojnę. Powiedziałem mu na to, że wszyscy producenci broni na świecie mają zwyczaj sprzedawania jej każdemu państwu, które uwikła się w wojnę, i nieraz starają się nawet taką wojnę sprowokować.

„Tak jest — odpowiedział — ubiegłej zimy, gdy Włochy prowadziły wojnę w Abisynii, naczelny dyrektor znanych niemieckich zakładów zbrojeniowych zwrócił się do mnie z prośbą o pożyczkę, która by mu umożliwiła wykonanie dużego zamówienia na broń dla rządu włoskiego. Obiecywał wysoki procent. Jego propozycja przejęła mnie wstrętem i oczywiście ją odrzuciłem, ale przypuszczam, że broń została jednak wysłana." Powiedziałem mu, że to samo robią producenci broni w Anglii i Stanach Zjednoczonych, mimo że ich rządy są temu przeciwne. Albrecht sądzi, że podobnie postępują producenci we wszystkich wysoko uprzemysłowionych krajach i nie ma żadnych wątpliwości, że Niemcy i Włochy sprzedają broń hiszpańskim rebeliantom.

15 listopada 1936. Niedziela.

Ambasador Włoch, który po moim powrocie na początku sierpnia unikał dotąd ze mną wszelkich spotkań, zwrócił się do mnie w ciągu ostatnich paru dni trzykrotnie z zapytaniem, jakie są cele prezydenta Roosevelta w związku ze zwołaną na grudzień w Buenos Aires konferencją państw Ameryki Łacińskiej**. Ponieważ nie otrzymałem w tej sprawie żadnych dyrektyw, nie mogłem mu powiedzieć niczego, co by wykraczało poza przedstawienie mu ogólnych zasad pokojowej polityki rządu amerykańskiego.

Natomiast wczoraj zjawił się u mnie z oficjalną wizytą ambasador argentyński, który od razu zaczął mówić o konferencji w Buenos Aires. „W nie-

* Chodzi o rządy prezydenta Manuela Azany, wybranego 10 maja 1936 r.; poprzednio w latach 1931—1933 — premiera.

** Nadzwyczajna Konferencja Państw Amerykańskich zwołana na 1 grudnia 1936 r. trwała do 23 grudnia t.r. Przemówienie na otwarcie konferencji wygłosił prezydent Roosevelt.

mieckich sferach oficjalnych — powiedział — panuje wielkie zaniepokojenie z powodu tej inicjatywy Stanów Zjednoczonych." Ponieważ ambasador był przyjęty dwa dni temu przez Hitlera i był ostatnio gościem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, domyśliłem się, że przysłany został do mnie przez hitlerowskich dygnitarzy, którzy wolą mnie bezpośrednio o takie sprawy nie pytać. Wiedzą, że należę do partii demokratycznej i przytłaczająca większość głosów zdobytych w ostatnich wyborach przez Roosevelta, któremu wróżyli klęskę, musiała ich poważnie zaniepokoić.

W dalszym ciągu rozmowy dowiedziałem się od posła, że był u niego przez godzinę Paul Scheffer z „Berliner Tageblatt", który składa obecnie wizyty wszystkim dyplomatom reprezentującym państwa Ameryki Łacińskiej w Berlinie. Zdaniem posła Scheffer działa na polecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a może i Ministerstwa Propagandy. Scheffer skrytykował politykę amerykańską w stosunku do Ameryki Łacińskiej, określił ją jako nowe wydanie doktryny Monroego w jej dawnej agresywnej formie i powiedział, że Roosevelt nie ma prawa wywierać wpływu na politykę państw Południowej Ameryki. Ta przemowa zirytowała mego argentyńskiego kolegę, który oświadczył Schefferowi, że w pełni solidaryzuje się z poglądami Prezydenta na sprawę utrzymania pokoju i rozwoju stosunków handlowych. Przed tym Schefferem mam się już od dłuższego czasu na baczności. Kilka lat temu był socjaldemokratą, przebywał parę lat w Stanach Zjednoczonych jako korespondent niezależnej prasy niemieckiej, a teraz jest prawomyślnym narodowym socjalistą.

Właściwie w Berlinie i w Rzymie najwięcej boją się tego, że Prezydent może zmobilizować wszystkie narody amerykańskie do walki z faszystowską Europą i z ich pomocą zorganizować bojkot każdego mocarstwa, które rozpętałoby nową wojnę.

Jakie są metody postępowania Hitlera, świadczy wiadomość zamieszczona w dzisiejszej prasie. Oto wczoraj wieczorem Hitler podpisał dekret uchylający obowiązującą dotychczas jurysdykcję Ligi Narodów w stosunku do wszystkich rzek w Niemczech, a w szczególności Renu, Łaby i Odry. Hitler dobrze wie, że na mocy podpisanego przez Bismarcka w 1886 r. układu międzynarodowego statki holenderskie, belgijskie i szwajcarskie mają prawo swobodnego przewozu towarów w dół i w górę Renu. A podpisany później traktat wersalski przyznał Szwajcarii, Czechosłowacji i Polsce prawo swobodnego przewozu na Renie, Łabie i Odrze towarów eksportowanych za granicę. Państwa te potrzebują tego rodzaju dostępu do morza. Skoro teraz Hitler oświadcza, że żaden z wymienionych krajów nie zostanie pozbawiony tych przywilejów, przynoszących Niemcom zresztą niezły dochód, to dlaczego nie polecił swemu ministrowi spraw zagranicznych zwołać konferencji z udziałem zainteresowanych członków Ligi Narodów, na której można by załatwić całą tę sprawę w drodze wzajemnego porozumienia? Ale Führer uważa się za najwyższą instancję w tej materii i łamie układy międzynarodowe opierając się wyłącznie na własnym autorytecie. Może to się podobać Niemcom, ale nie jest to polityka zasługująca na miano rozsądnej. Przypuszczalnie jutro Anglia i Francja napiętnują te praktyki Hitlera, ale nic mu nie zrobią. Czuję, że 30 stycznia Hitler z kolei obwieści, iż „stanowiące jego prawowitą własność" miasto Gdańsk zostało już objęte przez niego w posiadanie.

18 listopada 1936. Środa.

Z relacji sprzed kilku dni wynika, że Hitler obawia się przegranej rebeliantów z legalnym rządem hiszpańskim. Nasz konsul generalny w Hamburgu doniósł mi w poniedziałek, że według posiadanych przez niego informacji ostatnio wypłynęły z Hamburga trzy okręty załadowane bronią. Hitler i Mussolini muszą być rozczarowani sytuacją w Madrycie i robią, co mogą, żeby u granic Francji powstało trzecie z kolei państwo o ustroju totalitarnym.

Parę dni temu około dwudziestu Niemców zamieszkałych w Moskwie zostało aresztowanych pod zarzutem spisku przeciwko rządowi radzieckiemu. Można się było tego spodziewać jako odpowiedzi na ustawiczne napaści Hitlera, Göringa i Goebbelsa na Rosję. Niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaprotestowało, ale ambasador rosyjski również zaprotestował, oskarżając Niemców, że aresztują komunistów bez jakichkolwiek dowodów ich rzekomej działalności konspiracyjnej. Ale co komuniści i naziści mogą sobie zrobić złego bez naruszenia terytorium państwa polskiego? Gdyby do tego doszło, w walce z Niemcami wzięliby udział również Polacy, Czesi i Francuzi, a może nawet i Rumuni.

Niemcy i Włochy uznały dziś Franco za przywódcę hiszpańskiego narodu, którym z pewnością nie jest. Ten fakt przesądza chyba możliwość uznania go przez Francję, Anglię, Stany Zjednoczone i inne państwa demokratyczne. Tymczasem Roosevelt jest w drodze do Ameryki Południowej, będzie tam próbował utworzyć zjednoczony front obu części kontynentu amerykańskiego dla odparcia europejskiej agresji gospodarczej. Czy mu się to uda? Ameryka Łacińska nie kocha zbytnio demokracji. Poseł argentyński wyznaje poglądy faszystowskie.

22 listopada 1936. Niedziela.

Rząd niemiecki oznajmił wczoraj, że wysyła do przywódcy rebeliantów, generała Franco, jakiegoś generała w charakterze chargé d'affaires. Franco, który od trzech tygodni bez powodzenia próbuje zdobyć Madryt, ogłosił ostatnio blokadę Barcelony. Krok ten spotkał się z protestem Anglii i Francji, ze względu na obecność statków tych państw w portach hiszpańskich. Protest ten nie został jednak opublikowany. Był dziś u mnie konsul amerykański z Bremy, który spędził kilka lat w Madrycie. Otrzymał od swoich znajomych w Hiszpanii wiadomość, że Franco stał się tak niepopularny, iż zbuntowało się przeciwko niemu kilka miast zdobytych w sierpniu i Franco jest za słaby, żeby je utrzymać w swym ręku. Zgadza się to z otrzymanymi przeze mnie informacjami, iż Hiszpanie są oburzeni, że na pomoc rebeliantom Franco sprowadza do kraju Marokańczyków. To osłabienie pozycji Franco jest zapewne główną przyczyną uznania go przed paroma dniami przez Niemcy i Włochy, i wysłania mu przez Niemców na pomoc wspomnianego generała, którego nazwisko brzmi Faupel.

Wczoraj wieczorem nadszedł do ambasady telegram z Madrytu, podpisany przez naszego chargé d'affaires Wendelina. Znany niemiecki businessman poinformował go, że Niemcy w Madrycie nie mogą się komunikować z krajem ani telegraficznie, ani telefonicznie, i że grozi im każdej chwili śmierć z ręki zwolenników rządu. Wendelin prosił o przekazanie treści jego telegramu niemieckiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych, co uczyniłem około godziny

8-ej. Zatelegrafowaliśmy następnie do Wendelina, że życzenie jego zostało spełnione, ale żadnej obietnicy przyjscia z pomocą Niemcom w Hiszpanii od Ministerstwa nie otrzymaliśmy. Niemcy nie mogą oczywiście nic w tej sprawie zrobić, skoro za szefa rządu hiszpańskiego uznali Franco.

Te wieści z Madrytu są bardzo niepokojące. Wygląda na to, że Niemcy i Włosi zrobili dalszy krok na drodze do rozpętania wojny. Nieco później radio podało, że Anglia wysłała samolotem do Hiszpanii specjalną komisję, która ma się zorientować na miejscu w sytuacji. Wczoraj doniesiono, że za zgodą władz francuskich granicę hiszpańską miał przekroczyć pułk żołnierzy śpieszący z pomocą siłom rządowym. A Mussolini oddał podobno do dyspozycji Franco okręty wojenne pod flagą hiszpańskich rebeliantów, które mają pomóc mu w ustanowieniu ścisłej blokady. Czego jeszcze brakuje, żeby wybuchła prawdziwa wojna? Czy ta nowa wojna w Europie nie zastanie mnie czasem w Berlinie? W obliczu nieprzytomnej polityki rządów europejskich trzeba mieć wiele odwagi, żeby reprezentować tutaj rząd amerykański.

Byliśmy dziś na lunchu w domu pewnej zamożnej rodziny amerykańsko-niemieckiej. Pan domu oświadczył: „Straciłem zagraniczne rynki zbytu, ale za to mam ogromne zamówienia dla niemieckiej armii. Gdy skończy się koniunktura zbrojeniowa, będę musiał zamknąć swoją fabrykę i zwolnić robotników”. „To nie będzie dla pana przyjemne” — powiedziałem. „Tak jest — rzekł — ale innej ewentualności w tym systemie gospodarczym nie ma.” Nie rozwinął tej myśli, jestem jednak przekonany, że nacjonalizm gospodarczy prowadzący do wojny specjalnie go nie oburza.

25 listopada 1936. Środa.

Dziś rano wezwano mnie do niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wziąłem ze sobą na świadka Mayera. Gdy o 1-ej weszliśmy obaj do gabinetu Neuratha, powiedziałem ironicznym tonem do ministra: „Cieszę się, że pan znalazł dla mnie trochę czasu (był to przytyk do sytuacji sprzed dwóch miesięcy, gdy Neurath do spółki z Schurmanem odwlekał rozmowę, o którą prosiłem)”. Minister dobrze zrozumiał moją aluzję.

Zanim usiedliśmy, Neurath wręczył mi tekst układu podpisanego dzisiaj przez Niemcy i Japonię. Spodziewałem się tego paktu i już dwa lata temu twierdziłem, że się na niego zanosi. Przeczytałem kilka zdań i powiedziałem: „Mam nadzieję, że ma to na celu zapobiec wojnie”. „Tak jest — odrzekł — o to nam właśnie chodzi i pakt jest wymierzony przeciwko rosyjskiemu Kominternowi.” Zapytałem: „Chcecie położyć kres propagandzie?” „Tak jest” — odpowiedział. Neurath i dr Schacht nieraz mi mówili, że bardzo nie lubią propagandy. Z wyjątkiem własnej oczywiście.

Wychodząc po pięciu minutach z gabinetu ministra, spotkaliśmy innych ambasadorów oczekujących na przyjęcie. Dziś po południu cały świat dowie się z prasy, że Niemcy, Włochy* i Japonia podpisały tzw. pakt antykominternowski, którego celem jest pohamowanie aktywności komunistów poza granicami Rosji, a także — raz jeszcze — zastraszenie Anglii i Francji. Układ ten z pewnością zawiera tajne klauzule; przypuszczam, że zawierają one postanowienia dotyczące sojuszu wojskowego wymierzonego przeciwko państwom, które by odmówiły członkom układu prawa anektowania obcych tery-

* Do paktu tzw. antykominternowskiego zawartego między Niemcami i Japonią 25 listopada 1936 r. Włochy przystąpiły 6 listopada 1937 r.

toriów lub nawet całych państw, w szczególności zaś obietnicę Niemiec i Włoch, że zaatakują Rosję w razie wybuchu wojny japońsko-rosyjskiej na Dalekim Wschodzie.

27 listopada 1936. Piątek.

Prasa niemiecka wezwała ludność do zmanifestowania swej radości z powodu podpisania paktu. Ciekawe, że nie podpisał go Hitler ani minister spraw zagranicznych Neurath, lecz Ribbentrop, niezbyt mile widziany w Londynie niemiecki ambasador, który przyleciał specjalnie w tym celu samolotem do Berlina. Czuję, że minister Neurath nie chciał podpisać tego paktu, nad którym Ribbentrop zaczął przypuszczalnie pracować na długo przed wysłaniem go do Londynu. Takimi metodami Hitler stara się zwiększyć jego popularność, gdyż w Berlinie nikt go specjalnie nie lubi ani nie szanuje.

Dzisiejsza prasa włoska donosi, że Włochy przystąpią do wymierzonego przeciwko komunizmowi paktu niemiecko-japońskiego. Natomiast angielskie i francuskie gazety ostro krytykują ten układ, nazwany w Berlinie „porozumieniem wielkich rozumnych narodów w obronie kultury”. Po latach wojny krzyżowej przeciwko wszystkim niearyjskim rasom Niemcy uznali nagle żółtych mieszkańców Dalekiego Wschodu za równych sobie braci. Co by na to powiedział stary Kaiser, przebywający na wygnaniu w Doom, gdyby mu pozwolono przemówić? Przez tyle lat ostrzegał Zachód przed ludźmi żółtej i czarnej rasy, chociaż sam, gdy wybuchła wojna światowa, zawarł sojusz z Turkami.

29 listopada 1936. Niedziela.

Miss Sigrid Schultz z chicagowskiej „Tribune” opowiedziała mi o swojej wczorajszej rozmowie z niemieckimi dziennikarzami. Wściekali się na Roosevelta za jego przemówienie w Rio de Janeiro, w którym tak otwarcie przedstawił stanowisko państw demokratycznych w sprawie pokoju. Czytałem to przemówienie w naszym biuletynie radiowym. Prezydent nie zaatakował bezpośrednio państw totalitarnych, ale niedwuznacznie wypowiedział się przeciwko metodom, którymi się posługują. Dał do zrozumienia, że państwa demokratyczne powinny utworzyć wspólny front przeciwko agresorom zajmującym cudze terytorium.

To właśnie tak zirytowało niemieckich dziennikarzy. We wczorajszej i dzisiejszej prasie niemieckiej nie było najmniejszej wzmianki o mowie Roosevelta.

4 grudnia 1936. Piątek.

Otrzymałem dziś sprawozdanie z odbytego w okolicach Frankfurtu zjazdu niemieckich nauczycieli. Sprawozdanie cytuje następującą wypowiedź przedstawiciela władz: „Jedyną religią odpowiednią dla Niemców jest religia głoszona przez organizację »Deutsche Christen«. Czas, żebyśmy się postarali o to, aby narodowi niemieckiemu nie narzucano już więcej jako Boga jakiegoś

żydowskiego bękarta z rodu Dawida. Nauczyciele, którzy wciąż jeszcze opowiadają swoim uczniom o jakimś życiu w niebie, nie nadają się na wychowawców niemieckiej młodzieży".

Powyższa wypowiedź wskazuje, do czego zmierzają wodzireje narodowosocjalistycznego ciemnogrodu. Powtarza ona w zasadzie dotychczasowe wypowiedzi von Schiracha i pokrywa się z tym, co na ten temat napisał Rosenberg w swej głośnej książce *Mit XX wieku*. Książka ta rozeszła się w Niemczech w ilości pół miliona egzemplarzy. Mimo że Rosenberg posiada dziwaczną mentalność, nigdy jeszcze nie stał tak blisko Hitlera, jak obecnie.

5 grudnia 1936. Sobota.

Byłem dziś w Ministerstwie Spraw Zagranicznych u dr. Dieckhoffa. Powiedziałem mu, że korespondenci zagraniczni, a także liczni Niemcy obawiają się wybuchu wojny. Początkowo upierał się, że Niemcy tego rodzaju obaw nie żywią. Z tym zgodzić się nie mogłem. Nawiązując zręcznie do pewnej jego wypowiedzi, zapytałem, ile jest prawdy w informacjach prasy angielskiej, że w Kadyksie wylądowało 5 tysięcy niemieckich żołnierzy, aby dopomóc faszystowskiemu wojsku generała Franco w zdobyciu Madrytu. Przyznał, że to prawda, ale wyjaśnił, że chodzi o ochotników, których zadaniem jest pobić wspólnie z Franco rosyjskich komunistów, walczących po stronie hiszpańskiego rządu. Zgodził się, że pomoc Włoch jest jeszcze większa i że gdyby walki w Hiszpanii miały potrwać dłużej, wybuch powszechnej wojny w Europie jest bardzo prawdopodobny. Moim zdaniem krytycznym okresem będzie przyszła wiosna.

Gdy zapytałem Dieckhoffa, czy Niemcy patrzyłyby chętnym okiem na sukcesy Mussoliniego, kroczącego śladami Juliusza Cezara w Hiszpanii i Francji, nie ukrywając niechęci do Mussoliniego, powiedział, że kilka tygodni temu Ciano nalegał na Niemców, żeby uznali Franco i Hitler się, na to zgodził. Zapytałem, czy Niemcom to rzeczywiście odpowiada. Nie powiedział, że nie, ale przypomniał mi zaraz o tym, że w sierpniu Niemcy zaproponowały zawarcie porozumienia, które by zabroniło wysyłania do Hiszpanii jakichkolwiek ochotników. Twierdził, że gdyby państwa reprezentowane w londyńskim Komitecie Nieinterwencji na to się zgodziły, w Hiszpanii nie byłoby zapewne żadnych obcych żołnierzy ani samolotów. Odpowiedziałem, że w moim przekonaniu ani Włochy, ani Niemcy nie dotrzymałyby takiego zobowiązania. Dieckhoff odparł, że jego zdaniem to Rosja nie dotrzymałaby tego porozumienia. Powiedziałem mu na to, że Rosja powstrzymałaby się od interwencji, gdyby zobowiązały się do tego wyraźnie również inne państwa. A przecież faszystowska propaganda w Hiszpanii działa już od dłuższego czasu. Temu już Dieckhoff nie zaprzeczył.

Poinformował mnie następnie o wizycie, którą złożyli dziś rano Neurathowi ambasadorowie Francji i Anglii. Oświadczyli, że państwa te ponawiają żądanie wysunięte pod adresem Niemiec i Włoch po piątkowej konferencji w Londynie i domagają się wyrażenia zgody na wstrzymanie wysyłki wojsk do Hiszpanii, jeżeli Rosja i Francja podejmą analogiczne zobowiązanie*. Zapy-

* W listopadzie 1936 r. rząd hiszpański zwrócił się do Ligi Narodów z apelem o zwołanie Rady Ligi, która rozpatrzyłaby sprawę konfliktu w Hiszpanii. Posiedzenie Rady Ligi zostało zwołane na 10 grudnia. W związku z tym rządy angielski i francuski zwróciły się 4 t.m. do rządów Niemiec, Włoch, Portugalii i ZSRR z propozycją przyłączenia się do wspólnej akcji w celu powstrzymania trwającej, niejawnej, obcej interwencji w Hiszpanii.

tałem Dieckhoffa, czy Niemcy się na to zgodzą. Powiedział, że jego Ministerstwo zgadza się na takie rozwiązanie, trudno mu jednak przewidzieć, co zrobi Hitler. „Dobrze wiecie — odparłem — że Mussolini usadowił się już na hiszpańskich wyspach na Morzu Śródziemnym i zamierza podporządkować sobie całą Hiszpanię. W tych warunkach propozycji angielsko-francuskiej nie przyjmie. Czy Niemcy poprą stanowisko Włoch w tej sprawie?” Na to pytanie nie odpowiedział, ale trudno mi było oprzeć się wrażeniu, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest z lekka zaniepokojone interwencją Hitlera w Hiszpanii.

Zapytałem następnie Dieckhoffa, co powiedzą Niemcy, jeżeli obradująca obecnie w Buenos Aires Konferencja Panamerykańska wypowie się za zwołaniem światowej konferencji pokojowej. Dał do zrozumienia, że byłby również za tym, a nawet dodał, że gdyby prezydent Roosevelt zwołał taką konferencję, zgodziłby się na nią chyba także Hitler. Jednak prasa tutejsza zajęła wobec konferencji w Buenos Aires stanowisko negatywne i skrytykowała przemówienia Roosevelta w Buenos Aires i Rio de Janeiro, w których Prezydent wskazał na groźne skutki, jakie może mieć nierozważna polityka dyktatorów, uzurpujących sobie prawo ujarzmiania innych narodów. Ponieważ Dieckhoff niejednokrotnie wyrażał w mojej obecności zdanie, że cały basen naddunajski powinien znaleźć się pod kontrolą Niemiec, przypuszczam, że te pokojowe przemówienia Roosevelta musiały go trochę zirytować. Ale Dieckhoff oświadczył, że gdyby pokojowe apele Roosevelta miały skonkretyzować się w formie propozycji zwołania światowej konferencji, to sprawą tą Niemcy byłyby zainteresowane i Hitler mógłby się okazać skłonny do współpracy. Moim zdaniem Hitler da posłuch tym pokojowym apelom tylko w tym wypadku, jeżeli będzie miał przeciwko sobie zjednoczony front wszystkich państw demokratycznych łącznie z Rosją i jeżeli na propozycję Roosevelta wyrazi zgodę także Japonia. Obawiam się jednak, że jest to niemożliwe i wobec tego jedyną nadzieję na uratowanie świata przed wojną widzę w stanowczej akcji Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji. I to jednak nic nie pomoże, jeżeli Niemcy i Włochy nie załamią się gospodarczo i nie zaczną odczuwać dotkliwego braku żywności.

9 grudnia 1936. Środa.

Pewien urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych wyraził wczoraj w rozmowie z radcą Mayerem dużo większe zaniepokojenie możliwością wybuchu wojny niż Dieckhoff, gdy rozmawiałem z nim 5-go. Powiedział jednak Mayerowi w zaufaniu, że Niemcy zgodziły się na żądania brytyjsko-francuskie (moim zdaniem tylko pozornie, żeby zwieść swych przeciwników) i obiecały nie utrzymywać żadnych wojsk ani samolotów w Hiszpanii, jeżeli Rosja i Francja zrobią to samo. O włoskiej pomocy dla Franco nie wspomniał. Nie wierzę, żeby Mussolini zgodził się kiedykolwiek na żądania komitetu nieinterwencji w Londynie. Niemiecki funkcjonariusz dodał, że „Niemcy nie mają zamiaru pozwolić narodowi hiszpańskiemu, aby sam decydował o własnym losie”. Na tym właśnie polega koncepcja polityczna obu dyktatorów, Hitlera i Mussoliniego. Chcą z Hiszpanii zrobić swojego wasala.

Jestem w posiadaniu szeregu urzędowych raportów pochodzących z różnych części Niemiec na temat zasad wychowania młodzieży. Wszyscy nauczyciele, z pewnymi wyjątkami w krajach katolickich, muszą przez kilka tygodni w roku przebywać w obozach szkoleniowych, żeby się dowiedzieć od akty-

wistów partyjnych, czego mają uczyć w szkołach. Młodzież szkolna musi przez cały rok spotykać się raz lub dwa razy na tydzień z czołowymi działaczami partyjnymi i dowiadywać się od nich, na czym polega święta misja narodu niemieckiego i jak należy naśladować Führera i być mu posłusznym. Na każdym kroku musi młodzież oddawać cześć Hitlerowi i z najwyższym entuzjazmem wyrażać się o niemieckiej Rzeszy i swej gotowości poświęcenia dla niej własnego życia.

Wszyscy chłopcy w wieku od 10 do 14 lat należą do organizacji „Jungvolk”. U boku noszą fińskie noże. Dziewczęta w tym wieku należą do organizacji „Jungmädel” i również maszerują w szyku wojskowym. Noszą przepisowe mundury. Organizacja chłopców w wieku lat 14—18 nazywa się „Hitlerjugend”. Chłopcy noszą sztylety, którymi każdej chwili gotowi są uśmiercić wroga. Ćwiczą się we władaniu bronią, maszerują ulicami i idą do wojska, gdy skończą 17 lub 18 lat. Dziewczęta w tym samym wieku należą do „Bund Deutscher Mädel”. Każe im się wychodzić wcześniej za mąż, rodzić dużo dzieci i o nic nie pytać.

Całej tej młodzieży aplikuje się w szkołach, tak zwaną „autentyczną wykładnię bohaterskich dziejów niemieckiego narodu”. Żadnemu nauczycielowi nie wolno wspominać o szczegółach krytycznych okresów, w których przywódcy narodu popełniali poważne błędy. Wszyscy profesorowie szkół średnich i uniwersytetów do 50-go roku życia muszą corocznie spędzać cztery tygodnie w specjalnych obozach pracy, w których zapoznają się z politycznymi, rasowymi i religijnymi teoriami hitleryzmu w interpretacji takich jego prawdziwych proroków jak na przykład dr Alfred Rosenberg. Czasami zwalnia się od tego obowiązku ludzi obarczonych rodzinami, ale zdarza się również, że jakiś profesor po prostu odmawia udziału w tych zajęciach. Przez jakiś czas pozostawia się go w spokoju, żeby dobrze przemyślał swoje niewłaściwe zachowanie. Ale jeżeli w końcu się nie podporządkuje, przesuwa się go na jakieś gorsze stanowisko lub po prostu zwalnia z pracy. Na wszystkich opisanych w raportach uniwersytetach dokonane zostały wielkie zmiany w programach nauczania historii, filozofii, socjologii i nauk politycznych. Najgruntowniejszej reorganizacji uległ uniwersytet w Lipsku, który jest teraz chyba najlepiej dostosowany do celów nazistowskiej propagandy.

W raportach opisane są wypadki stawiania oporu w różnych częściach kraju. Opór ten jest chyba daremny. Pewien oporny profesor z Berlina otrzymał niedawno polecenie objęcia wykładów w Jenie. Dziwne to, ale faktem jest, że jego słuchacze domagają się również przeniesienia na uniwersytet w Jenie. Tak wygląda dzisiaj życie intelektualne w Niemczech.

13 grudnia 1936. Niedziela.

W całych Niemczech buduje się obecnie wielką sieć autostrad. Chodzi o to, żeby można było w jak najkrótszym czasie przerzucić wojsko na linię granic. Całością tych kosztownych robót drogowych kieruje dr Todt, człowiek, którego dobrze znam i którego przekonania nie są, moim zdaniem, w gruncie rzeczy hitlerowskie. Te wielkie autostrady, zwane tutaj Autobahnen, nie mają w ogóle skrzyżowań. Dr Todt twierdzi, że samochody osobowe lub ciężarowe mogą jechać po tych szosach tak szybko, jak tylko pozwalają na to opony, mniej więcej 100 mil na godzinę. Wszystkie te drogi biorą początek w Berlinie i prowadzą prosto do granic państwa. Jedną taką autostradę wi-

działem w Prusach Wschodnich, a drugą, wiodącą do granicy holenderskiej, w Hanowerze. Żadna z nich nie przechodzi przez duże miasta lub większe miejscowości, do wszystkich jednak wojsko może dotrzeć w ciągu paru minut.

Wczoraj pokazano mi wycinek z artykułem zamieszczonym na pierwszej stronie pewnego waszyngtońskiego pisma. Artykuł gwałtownie atakuje moją osobę. Twierdzi, że całkowicie zawiodłem na moim stanowisku w Berlinie i że taka jest również opinia Prezydenta. To jest dla mnie coś nowego. Autor tego artykułu, poświęconego sytuacji w amerykańskiej służbie zagranicznej, utrzymuje, że takie informacje otrzymał z Departamentu Stanu. Nazywa się Drew Pearson. Nigdy się z nim w Waszyngtonie nie spotkałem.

W swoim artykule Pearson twierdzi, że Prezydent i Departament Stanu zamierzają wysłać na ambasadora do Berlina Bullitta, który popiera politykę Hitlera i z tego względu łatwiej się z nim dogada. Bullitt ma ciekawą przeszłość. W 1919 roku Wilson wysłał go do Rosji. Po powrocie z Rosji Bullitt przedłożył pewne propozycje Wilsonowi, który w związku z konferencją pokojową przebywał wówczas w Paryżu. Tych zaleceń Bullitta w sprawie polityki w stosunku do Rosji nie mógł jednak Wilson wprowadzić w życie głównie dlatego, że Anglicy nie pozwolili zgodzić się na nie swemu premierowi Lloyd George'owi. Clemenceau nie chciał nawet słyszeć o zaproszeniu rosyjskiej delegacji do Paryża. Bullitt wyciągnął z tego wniosek, że Wilson jest przeciwny jego zaleceniom i w sierpniu czy wrześniu 1919 r. zeznając przed senacką komisją spraw zagranicznych zaatakował Wilsona w sposób nie notowany jeszcze w historii Stanów Zjednoczonych.

Na początku 1934 r. wysłano go do Rosji w charakterze ambasadora; rząd wychodził przy tym z założenia, że komuniści zgodzili się zapłacić część swych powojennych długów i powstrzymają się od uprawiania propagandy w Stanach Zjednoczonych. Bullitt zabrał ze sobą liczny personel dyplomatyczny i konsularny, chociaż było wiadomo, że dopóki nie zostaną podpisane porozumienia handlowe, konkretnej roboty w Rosji będzie niewiele. Wydał również kolosalne sumy na budowę rezydencji i biur ambasady, podobno około miliona dolarów; nie za wiele, gdyby je właściwie wydatkował. Po roku, gdy nie udało mu się wiele zdziałać, zdenerwował się. Bawiąc przejazdem w Berlinie na wiosnę czy też w lecie 1935 r. oświadczył w rozmowie ze mną, że jest przekonany, iż w ciągu najbliższych sześciu miesięcy Japonia uderzy na Rosję od wschodu i przypuszczalnie zajmie wszystkie jej dalekowschodnie posiadłości.

W czasie lunchu u francuskiego ambasadora Bullitt ponownie ujawnił swoje wrogie stanowisko wobec Rosji i długo perswadował Francuzom, żeby się wycofali z rozmów w sprawie zawarcia pokojowego paktu z Rosjanami, o którym ambasador angielski powiedział mi kiedyś, że będzie najlepszą gwarancją pokoju w Europie. Te wypowiedzi pana Bullitta wykraczały moim zdaniem poza jego ambasadorskie kompetencje i mogły we Francji i Anglii wywołać wrażenie, że ustami Bullitta przemawia Prezydent. Uważałem więc za swój obowiązek przekazać do Waszyngtonu informacje uzyskane w tej sprawie od ambasadora francuskiego. Później, a może w tym samym czasie, kiedy przyjechał tu wprost z Moskwy nowo mianowany włoski ambasador w Berlinie, dowiedzieliśmy się, że jeszcze przed wyjazdem z Moskwy Bullitt nabrał sympatii do faszyzmu. Rozumiałem jego wielkie rozczarowanie z powodu niedotrzymania przez Rosjan obietnic złożonych w 1934 r. w Waszyngtonie, ale trudno mi było zrozumieć, jak inteligentny Amerykanin może stać się faszystą. Może Bullitt nim wcale nie jest.

We wrześniu ubiegłego roku Bullitt został mianowany ambasadorem w Paryżu. Zaczął swą misję dobrze. Ale krążą wieści, że jest po stronie fran-

cuskiej reakcji. Artykuł w waszyngtońskiej gazecie twierdzi, że Bullitt w pełni solidaryzuje się z faszystowską ideologią. Trudno mi w to uwierzyć. Jednakże wczoraj przyszedł do mnie wydawca i właściciel paryskiego „Le Matin”, Marcel Knecht, i powiedział, że Bullitt działa na rzecz sojuszu między Francją a Niemcami i w związku z tym wyraził życzenie, aby Knecht zwrócił się do mnie z prośbą o zalecenie Prezydentowi, żeby w tej sprawie udzielił swego poparcia. Rozmowa z Knechtem przekonała mnie, że jest to człowiek zdolny, ale o bardzo konserwatywnych poglądach, to chyba francuski faszysta.

Wkrótce, po wyjściu Knechta otrzymałem telegram od Bullitta z usilną prośbą o przyjęcie i wysłuchanie Francuza. Co to ma wszystko znaczyć? Czy chodzi o interwencję rządu amerykańskiego, czy też o prywatną inicjatywę Bullitta, podobnie jak to było w 1935 r.? Wreszcie powstaje pytanie, czy ta cała gazetowa historia jest choć w połowie prawdziwa. Jestem w trudnej sytuacji, ale skoro prasa rzuca na mnie tak ciężkie oskarżenia, nie mogę podać się do dymisji na wiosnę, jak to sobie dotychczas planowałem. Rezygnacja w tych warunkach ze stanowiska ambasadora zepchnęłaby mnie po powrocie do kraju do defensywy i przedstawiła moją działalność w zupełnie fałszywym świetle.

16 grudnia 1936. Środa.

Informacje, zarówno ze źródeł prywatnych jak oficjalnych, że Niemcy gotowe są zaprzestać wysyłania wojsk do Hiszpanii, okazały się oczywiście nieprawdziwe. Ilekroć widzę jakiegoś niemieckiego dygnitarza w towarzystwie ambasadora włoskiego, stwierdzam, że pogrążeni są w poważnej i poufnej rozmowie. Dziś w poselstwie argentyńskim rzuciło mi się to szczególnie w oczy. Gdy się teraz spotykam z Włochem, wypowiedzi jego są bardzo lakoniczne i zdradzają wrogie nastawienie do Stanów Zjednoczonych. Przed konferencją w Buenos Aires parokrotnie próbował mnie wybadać i udawał przyjaciela. Ale teraz, gdy Argentyna, ulegając presji Wielkiej Brytanii, podejmuje kroki zmierzające do storpedowania ogólnoamerykańskiego planu pokoju wysuniętego przez Roosevelta, włoski ambasador stał się znowu obojętny. Wprawdzie przedstawiciele rządu niemieckiego okazują mi trochę więcej życzliwości, ale jest dla mnie rzeczą jasną, iż Niemcy i Włochy zgodnie zmierzają do storpedowania angielskich propozycji w sprawie wycofania wszystkich obcych wojsk z Hiszpanii.

18 grudnia 1936. Piątek.

Byliśmy na lunchu u dr. Schachta. Był również ambasador Luther z Waszyngtonu. Schacht wziął mnie na stronę i powiedział, że nie słabnące tempo niemieckich zbrojeń to czyste szaleństwo. Ale na forum publicznym Schacht nadal twierdzi, że Niemcy absolutnie muszą mieć kolonie, choćby nawet za cenę wojny. Poza tym niczego nie usłyszałem, zwłaszcza od Luthera, a przecież mówią, że potępił on de facto Roosevelta za jego przemówienia w Brazylii i Argentynie. Miał również ostro skrytykować ograniczenie amerykańskich kredytów dla Niemiec. Trudno mi zrozumieć, jak on się może na to skarżyć,

jeżeli Niemcy już od lat nie płacą swych długów amerykańskim bankom i posiadaczom niemieckich obligacji. Pod moim adresem jednak Luther nie przykrego nie powiedział. Ma wrócić do Waszyngtonu jeszcze przed 20 stycznia, kiedy rozpoczyna się druga kadencja prezydentury Roosevelta.

25 grudnia 1936. Piątek.

Niemcy nadal znajdują się w bardzo krytycznej sytuacji. Żywność jest racjonowana jak w czasie wojny światowej. Biednym niemieckim obywatelom tłumaczy się codziennie, że armaty są teraz ważniejsze od masła. Straszy się ludność, zakładając, że powinna się bać, jeżeli ma się od niej żądać maksymalnych wyrzeczeń na rzecz przygotowań do wojny. Nawet ja, dyplomata, muszę podpisywać jakieś papierki, żeby dostać w sklepie mięso. Kto nie jest zarejestrowany w jakimś sklepie, nie może niczego kupić, a jeżeli się już rejestruje, to otrzymuje wszystko w ściśle ograniczonych, dziennych czy tygodniowych, dawkach. Wprawdzie większość naszego zaopatrzenia pochodzi z importu via Hamburg, nie możemy być jednak nigdy w stu procentach pewni, że potrzebne nam artykuły nadejdą w porę, i z tego względu musimy się rejestrować w sklepach na równi z ludnością niemiecką.

Trudno powiedzieć, co naród niemiecki w istocie o tym wszystkim sądzi, często jednak spotykamy się z objawami zniecierpliwienia, a nawet gniewu. Główne zmartwienie Hitlera polega na tym, że nie doprowadził on jeszcze swej ogromnej armii do takiego stanu, który by gwarantował mu zwycięstwo, gdyby chciał dokonać tego, co oczarowany przez swych generałów Kaiser próbował uczynić w latach 1914—1918.

W październiku Hitler uzgodnił z Mussolinim, że obaj uznają frankistowskich faszystów za legalny rząd hiszpański. Ale już od początku sierpnia posyłali mu obaj na pomoc żołnierzy, broń i samoloty. Postępowali tak pomimo przystąpienia mniej więcej w tym samym czasie do londyńskiego porozumienia w sprawie nieinterwencji, na mocy którego zobowiązywali się do niewysyłania wojska i broni do Hiszpanii. Ale, jak już wspomniałem poprzednio, uznali generała Franco w tym momencie, gdy im się zdawało, że zdobędzie Madryt w pierwszych dniach października. Jako swego przedstawiciela Hitler wysłał do Hiszpanii generała Faupela, który spędził w Ameryce Południowej kilka lat, zajmując się tam propagandą niemieckiego militarysty. Miał teraz w Hiszpanii pokierować militarną akcją faszystów i nazistów. Ale o tym, że do Hiszpanii wysłanych zostało 20 tysięcy niemieckich żołnierzy i fachowców różnych specjalności, naród niemiecki nie został poinformowany.

Tymczasem Faupel wrócił w tym tygodniu do Berlina i poinformował Führera, iż Franco mu oświadczył, że do obalenia rządu madryckiego potrzebne mu jest 60 tysięcy niemieckich żołnierzy. Natomiast prasa brytyjska donosi, że zgodnie z udzieloną obietnicą rząd włoski nie wysyła już swych żołnierzy do Hiszpanii i szuka porozumienia z rządem brytyjskim. Czy oznacza to, że Hiszpanię zdobędą sami Niemcy? Gdyby tak się stało, Francja znalazłaby się w groźnej sytuacji. Wobec tego Francja uprzedziła Anglię, że ma zamiar wysłać do Hiszpanii 100 tysięcy żołnierzy do walki z Niemcami.

Tak groźnie wygląda sytuacja już teraz, w 1936 roku. Co zrobi Hitler? Jego prestiż niesłychanie by ucierpiał, gdyby miał przegrać w Hiszpanii. Mamy informacje, że gdy wojska niemieckie otrzymały rozkaz uderzenia na Madryt, część żołnierzy przeszła na stronę rządu republikańskiego. Wydaje

się, że możliwości finansowe Hitlera są zbyt szczupłe w stosunku do jego planów. Ludność jest zaniepokojona brakiem żywności. Każda najmniejsza choćby, utrata prestiżu byłaby, zgodnie z jego przechwałkami, przeciwna woli Bożej. Musi więc teraz się zdecydować. Jeżeli wycofa się z Hiszpanii, to świat się wprawdzie o tym dowie, ale jego własny naród będzie wiedział tylko o uznaniu przez niego generała Franco. Dałoby mu to rok czasu na przygotowanie nowego uderzenia. Jakiego? Dopóki nie nadejdzie pora, żebym stąd odszedł, będę nadal zajmował pozycję cierpliwego obserwatora.

XI. OD 29 GRUDNIA 1936 DO 4 CZERWCA 1937 ROKU

29 grudnia 1936. Wtorek.

Rozmawiałem dziś wieczorem z dr. Schachtem. Żartował na temat informacji prasowej, że Stany Zjednoczone wysłały transport wielkich bombowców typu Douglas dla rządu hiszpańskiego. Wiedziałem już przedtem, że samoloty wartości 2770 tysięcy dolarów są w drodze i że Departament Stanu oświadczył, iż ustawa o neutralności nie została przez to naruszona. Odpowiedziałem więc Schachtowi: „Tak jest, ale na jesieni 1935 r. te same amerykańskie zakłady lotnicze wbrew zakazowi Prezydenta sprzedały Niemcom sto bombowców przeznaczonych dla Włoch”. Usłyszawszy to Schacht od razu się uspokoił. Niedbały ton jego wypowiedzi wskazywał, że o tej transakcji z Włochami musiał wiedzieć. Wreszcie przyznał: „No cóż, chodziło o to, żeby pomóc Włochom w rozszerzeniu ich kolonialnych posiadłości”.

Zapytałem następnie Schachta, jaka będzie odpowiedź Niemiec na francusko-angielską propozycję wycofania z Hiszpanii wszystkich obcych wojsk i obcej broni. Odpowiedział: „Niemcy nie wysyłają do Hiszpanii swoich żołnierzy i Führer udzieli w tej sprawie wkrótce pozytywnej odpowiedzi. Jest, jak wszyscy, za pokojem. Jediną przeszkodą na drodze do konkretnego uregulowania spornych problemów jest negatywne stanowisko Anglii w sprawie zwrotu naszych kolonii”. Po czym dodał: „Francja jest gotowa zwrócić nam nasze kolonie każdej chwili. Zapewniono mnie o tym w Paryżu, gdy przybyłem jako przedstawiciel Führera w sierpniu tego roku. Dlaczego Anglia nie chce się zgodzić? Dopóki nie dostaniemy z powrotem naszych kolonii, nie może być mowy o zawarciu układu w sprawie rozbrojenia”.

Następnie powiedział, że przedwojenne kolonie Niemcom nie wystarczą i po raz trzeci oświadczył: „Musimy dostać Nową Gwineę”. Zwróciłem jego uwagę na fakt, że część tej wielkiej wyspy należy do Holandii. „Holendrzy — odparł — na pewno zgodzą się odstąpić nam swoją część. Dlaczego nie miałyby się zgodzić Anglia?” Powiedziałem mu, że wiem od posła Południowej Afryki, pana Gie, że cesja kolonii przez Anglię napotkałaby duże trudności, gdyż miejscowa ludność jest stanowczo przeciwna zmianie ich właścicieli. Schacht przyznał, że również rozmawiał o tym z Gie, ale jego zdaniem Gie nie ma racji. Ciekawy jestem, co się kryje za powiedzeniem Schachta, iż Holandia nie będzie się sprzeciwiała przejściu Nowej Gwinei przez Niemcy. Poseł holenderski, który jest teraz w drodze na Daleki Wschód, mówił mi kilka razy, że jest temu przeciwny stanowczo.

Zapytałem następnie Schachta, co sądzi o apelu ministra Hulla w obronie pokoju światowego, sformułowanym w jego ostatnim przemówieniu w Buenos Aires, i czy zdaniem Schachta Niemcy wzięłyby udział w nowej światowej konferencji pokojowej. Schacht odpowiedział: „Nie ulega najmniejszej wątpli-

wości, że pokój jest zasadniczym warunkiem uzdrowienia stosunków gospodarczych na świecie i jestem przekonany, że Hitler przyłączy się do tej inicjatywy, jednakże przedtem Niemcy muszą otrzymać potrzebne im kolonie".

Przypomniało mi się w tym miejscu, że Hitler nie zgodził się, by radio niemieckie transmitowało pokojowe orędzie Papieża w dzień Bożego Narodzenia. Mimo to poprosiłem Schachta, by dał mi znać, czy Führer wyraził zgodę na propozycję Hulla, wyjaśniając, że chciałbym wysłać w tej sprawie telegram zaraz po powrocie ministra do Waszyngtonu. Schacht odparł, że zapyta o to Führera, gdy tylko się z nim zobaczy. Wątpię, czy otrzymam jakąś odpowiedź, bo Hitler na pewno potępi wystąpienie Hulla, gdy tylko się z nim bliżej zapozna. O tym, że o wysondowanie opinii rządu niemieckiego prosił mnie sam Prezydent, Schachtowi nie mówiłem, gdyż zlecenie to miało charakter ściśle poufny.

5 stycznia 1937. Wtorek.

Tylko ci Niemcy, a jest ich niewielu, którzy mają dostęp do wiadomości z za granicy, orientują się, jak bardzo zaniepokojona jest światowa opinia publiczna. Hitler wrócił do Berlina, żeby wziąć udział w pogrzebie generała von Seeckta, nie udzieliwszy odpowiedzi na brytyjsko-francuskie żądanie, aby Niemcy, Włochy i Rosja wstrzymały wysyłkę broni i „ochotników" do Hiszpanii. W pogrzebie obok Führera wzięli udział gen. Blomberg i inni wyżsi oficerowie. Podobno generałowie wysunęli poważne zastrzeżenia przeciwko wysłaniu dodatkowych kontyngentów wojskowych do Hiszpanii. Hitler miał ich za to ostro skarcić.

W ostatnich dniach grudnia Niemcy wysłały do Hiszpanii, drogą przez Włochy, 150 oficerów lotnictwa i 2 tysiące żołnierzy SA i SS. Wiadomość o tym otrzymałem drogą poufną z Monachium. Wczoraj dowiedzieliśmy się z radia londyńskiego, że Włochy wysłały 4 tysiące żołnierzy do Lizbony, skąd skierowani zostaną na front pod Madrytem. Wszystko przemawia za tym, że z rejonu Szczecina zostało wysłanych ponadto 2 tysiące żołnierzy niemieckich. O tym oczywiście ani słowa w prasie niemieckiej.

Jeżeli chodzi o samoloty amerykańskie sprzedane do Hiszpanii za cenę 2 milionów 700 tysięcy dolarów, to ustawa o neutralności z 1935 r. nie dawała Departamentowi Stanu podstawy do zakazania tej transakcji. W tej sprawie nie można było nic zrobić, gdyż samoloty miały być sprzedane jednej ze stron w wojnie domowej przez amerykańską firmę prywatną. Ale Niemcy zaczęły głośno protestować, póki się w Berlinie nie dowiedziano, że zbierający się właśnie w Waszyngtonie Kongres niemal na pewno każe cały ten transport wstrzymać. Ta wiadomość uradowała prasę tutejszą, gdyż dla Niemców neutralność amerykańska oznacza dominację niemiecko-włoską w Hiszpanii. Może do tego oczywiście dojść, chyba że Francja wyśle na pomoc Madrytowi dziesiątki tysięcy żołnierzy i setki samolotów. A jeżeli Francja to zrobi, to czy Niemcy zaczną z nią wojnę? Jeżeli tak, to co zrobią Włochy? 11 stycznia Hitler spotka się z korpusem dyplomatycznym i można się spodziewać z jego strony prowokujących wypowiedzi pod adresem państw demokratycznych.

11 stycznia 1937. Poniedziałek.

O 11.45 zjawiłem się w pałacu dawnej Rzeszy, w którym kiedyś mieszkał Hindenburg. Obecni byli wszyscy zagraniczni dyplomaci. Poważnie zaniepokojony sytuacją swego kraju Francuz dużo mówił i był bardzo zmartwiony. W oczekiwaniu na Hitlera przez kwadrans toczyła się ogólna towarzyska rozmowa. Najmniej poszukiwanym rozmówcą był chyba Włoch. Podobnie jak w sierpniu po moim powrocie na placówkę, trzymał się ode mnie z daleka, a ja starałem się czynić to samo. Sir Eryk Phipps był jak zwykle pełen rezerwy, zdradzał jednak więcej sympatii do bandy hiszpańskich faszystów, niż mogłem to stwierdzić dotychczas. Moim zdaniem mało mu już teraz brakuje, żeby stał się stuprocentowym faszystą, to samo zresztą dotyczy Baldwina i Edena. Ambasador rosyjski był tak spokojny i opanowany, jak gdyby jego kraj nie był od września przedmiotem nieustannych napaści ze strony hitlerowców. Niczego ważnego od żadnego ambasadora czy posła się nie dowiedziałem. Wytknąłem co prawda Anglikowi w ironicznej formie zawarcie przez jego kraj układu z największym w naszych czasach politykiem w stylu Machiavellego, ale sir Eryk tylko się uśmiechnął i nic mi nie odpowiedział.

O 12-ej do wielkiej sali, w której byliśmy zgromadzeni, wszedł Führer. Stało nas rzędem dokoła sali chyba ponad czterdziestu. Wobec choroby Nuncjusza pierwsze miejsce zajmował ambasador francuski. Ja byłem drugi, Brytyjczyk trzeci, Turek czwarty, a Rosjanin piąty — zgodnie z okresem naszego urzędowania w Berlinie. Gdy Hitler, zarumieniony, wszedł na salę, odniosłem wrażenie, że jest trochę zakłopotany. Francuz wystąpił z szeregu i zaczął odczytywać napisane przez Nuncjusza powitalne przemówienie. Hitler stał naprzeciwko niego. Przemówienie nie zawierało żadnej poważniejszej myśli, nawet w formie zawołanej. Gdy Francuz skończył, Führer przeczytał z kolei swoją wypowiedź, ale również niczego konkretnego nie powiedział. Byłem tym trochę zaskoczony z uwagi na obecny kryzys w stosunkach międzynarodowych. Spodziewałem się jakichś przykrych aluzji pod adresem Brytyjczyków i Francuzów, a tu ani słowa. Pierwsze przemówienie było po francusku, Hitler odpowiedział po niemiecku. Z francuskiego przemówienia niewiele rozumiałem, ale z niemieckiego prawie wszystko, mimo że język niemiecki Hitlera jest bardzo trudny do zrozumienia.

Po zakończeniu tych powitalnych ceremonii Hitler uściśnął rękę Francuza i obaj przez chwilę rozmawiali po niemiecku, ale ściszym głosem, żeby inne osoby nie mogły słyszeć, o czym mówią. Hitler mówił trochę głośniejszym głosem od Francuza i domyśliłem się, że Francuz musiał mu się skarżyć na antyfrancuskie wypadki całej dzisiejszej prasy niemieckiej, gdyż dosłyszałem, jak Hitler dość krytycznym tonem wspominał coś o prasie francuskiej.

Następnie Hitler zwrócił się do mnie i udawał bardzo serdecznego. Wspomniałem o niefortunnie układających się stosunkach handlowych pomiędzy naszymi krajami. W odpowiedzi zaczął mówić komplementy pod adresem prezydenta Roosevelta w związku z jego wspaniałym zwycięstwem wyborczym i konstruktywnymi posunięciami w dziedzinie gospodarczej. Zgodziłem się z nim i dodałem: Cieszę się, że pan czytuje przemówienia Prezydenta". Potwierdził, że to robi, choć ja w to wątpię. Następnie powiedziałem: „Czytałem niedawno artykuł dr. Schachta w «Foreign Affairs» i uważam, że jest bardzo dobrze napisany, w zasadzie zgadzam się z nim całkowicie". Po paru jeszcze słowach nasza rozmowa się zakończyła i Hitler zwrócił się z kolei do przedstawiciela Wielkiej Brytanii. Z ich rozmowy niczego nie rozumiałem.

Hitler obszedł dokoła wszystkich dyplomatów i nawet z Rosjaninem rozmawiał serdecznie. Po Führerze przyszła kolej na Neuratha, który również z każdym witał się i przez chwilę rozmawiał.

27 stycznia 1937. Środa.

Ambasador amerykański w Moskwie Davies* poinformował mnie dzisiaj o swoim raporcie do Prezydenta, w którym napisał, że entuzjazm, z jakim dr Schacht występuje obecnie w obronie pokoju światowego, jest jeszcze większy, niż wyrażony w czasie grudniowej rozmowy ze mną. Opisując to spotkanie Prezydentowi oceniłem stanowisko Schachta z dużą dozą sceptycyzmu, gdyż dobrze pamiętam, jak w sierpniu napadł na Prezydenta i Hulla.

Tuż przed wyjazdem z Berlina w dniu 16 stycznia ambasador Davies przeprowadził ważną rozmowę z Schachtem, który go przy tej okazji po prostu oczarował. Kwintesencją tej rozmowy była w gorących słowach przez Schachta wobec Daviesa wyrażona nadzieja, że prezydent Roosevelt zwoła w Waszyngtonie międzynarodową konferencję w sprawie pokoju światowego. Zdaniem Schachta przed otwarciem takiej międzynarodowej konferencji należałoby ustalić jej porządek dzienny i sposoby rozwiązania najważniejszych problemów. Davies wyraził wątpliwość, czy Roosevelt zechce objąć kierownictwo tej konferencji.

Schacht oświadczył Daviesowi, że jest upoważniony przez swój rząd do zaproponowania Francji i Anglii konkretnych warunków ugody na następujących zasadach: zapewnienie status quo obecnych granic państw europejskich, ustanowienie trwałego pokoju w Europie, przerwanie wyścigu zbrojeń, zniesienie sankcji i zastąpienie ich przez jakiś aparat wykonawczy, za pomocą którego członkowie proponowanego sojuszu mogliby egzekwować podejmowane przez siebie decyzje, wreszcie zastąpienie Ligi Narodów przez operatywną współpracę głównych mocarstw.

Jednakże zanim tego rodzaju ugoda będzie mogła być dyskutowana i podpisana, musi być spełniony warunek wstępny: Niemcy muszą otrzymać kolonie oraz dostęp do surowców i obszarów, nadających się do osadnictwa i emigracji. Schacht powiedział Daviesowi, że na podstawie rozmów przeprowadzonych z premierem Leonem Blumem nabrał pewności, iż Francja poprze jego inicjatywę. Dodał jednakże, że gdy premier francuski zwrócił się w tej sprawie do angielskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, spotkał się tam z kategoryczną odmową.

Poza rozmową z Schachtem Davies odbył szereg rozmów ze swymi starymi znajomymi w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Duże wrażenie zrobiła na nim jednomyślna opinia tych panów, że wojna domowa w Hiszpanii przestała już być problemem, który by mógł zagrozić pokojowi światowemu. Davies odniósł również wrażenie, że Hitler zamierza odwołać z Hiszpanii swych „ochotników” i doradców technicznych. Wreszcie stwierdził, że jego rozmówcy podobnie jak on uważają, iż stosunki wewnętrzne w Hiszpanii są problemem, który powinien być rozwiązany przez samych Hiszpanów, bez jakiegokolwiek nacisku z zewnątrz. Jeżeli chodzi o mnie, to tak często słyszałem tego rodzaju zapewnienia z ust urzędników niemieckiego Ministerstwa

* Ambasador J. E. Davies w drodze z Waszyngtonu na placówkę w Moskwie zatrzymał się w Berlinie w dniach 14—17 stycznia 1937 r. i w czasie tego pobytu odbył rozmowę z dr. Schachtem.

Spraw Zagranicznych, że muszę potraktować to ostatnie oświadczenie z odrobiną sceptycyzmu.

Około 25 stycznia otrzymałem od Hulla telegram, zwracający moją uwagę na fakt, że Ilgner z IG Farben Industrie, będący jednocześnie prezesem Fundacji Carla Schurza (organizacji propagandowej działającej na terenie Stanów Zjednoczonych), prowadził w Ameryce Łacińskiej akcję zmierzającą do storpedowania konferencji w Buenos Aires, w szczególności zaś proponowanego przez Hulla systemu umów handlowych. Ilgner oświadczył, było to chyba w Chile, że działa z ramienia Schachta. Wszystko to skłania mnie do przypuszczenia, że Davies dał się po prostu nabrać na hitlerowskie propozycje w sprawie wymiany handlowej i amerykańskich pożyczek. W każdym razie postanowiłem poinformować telegraficznie Waszyngton, jakie jest moje osobiste zdanie o stanowisku i możliwościach Schachta. Do pewnego stopnia jest on faktycznie liberałem, ale w sprawach międzynarodowych ma dużo mniej do powiedzenia, niż to sobie wyobraża Davies.

Doszły mnie ostatnio wieści, że banki amerykańskie rozważają projekt udzielenia Włochom i Niemcom nowych okazałych kredytów i pożyczek. A przecież już dzisiaj potencjał wojenny tych państw stanowi zagrożenie pokoju na świecie. Słyszałem nawet, choć trudno mi jest w to uwierzyć, że plany te popiera pan Bullitt.

29 stycznia 1937. Piątek.

Otrzymałem telegram od Chemical National Bank and Trust Company w Nowym Jorku, że w Hamburgu aresztowany został Żyd Arnold Bernstein, naczelny dyrektor Red Star Steamship Line i czterech jego zastępców. Linia ta otrzymała od podpisanego pod telegramem banku pożyczkę w wysokości 1 miliona dolarów, a od towarzystwa kolejowego Erie Railroad w wysokości 4 milionów dolarów. Jeżeli Bernstein i jego koledzy pozostaną dłużej w więzieniu, ich nowojorscy wierzyciele zasekwestrują okręty Red Star, na których pożyczki te zostały zabezpieczone. Sprawy finansowe muszą iść swoim trybem.

Przekazałem sprawę konsulowi generalnemu Jenkinsowi prosząc go, żeby zatelefonował do konsulatu w Hamburgu i postarał się o jak najdokładniejsze informacje. O interwencji naszego rządu nie może być mowy, ponieważ wszystkie aresztowane osoby są obywatelami niemieckimi, a linia żegluga Red Star jest przedsiębiorstwem niemieckim i na jej okrętach powiewa bandera ze swastyką. Jednakże aresztowanie tych osób naraziło na poważny szwank amerykańskie interesy i pozbawiło wielu Amerykanów pracy.

30 stycznia 1937. Sobota.

Führer wygłosił dziś dwu i półgodzinną mowę przed audytorium nazywanym przez siebie Reichstagiem. Ponieważ od miesiąca dokucza mi bardzo lumbago, postanowiłem zostać w domu i poprosiłem dwóch moich urzędników, żeby pojechali tam i złożyli mi później sprawozdanie. Sam pojechałem natomiast na przyjęcie popołudniowe do Kronprinza, który już dawno nie gościł w swym domu zagranicznych dyplomatów, a w każdym razie bardzo rzadko

od 1934 r. Towarzystwo było dość interesujące. Dużo dyplomatów i Niemców, przedstawicieli świata gospodarczego i wolnych zawodów. Rozmawiałem przez chwilę z biednym Kronprinzem i jego inteligentnym synem Ludwikiem Ferdynandem. Widać było, że wielką satysfakcją sprawiała im świadomość, iż Amerykanie są przyjaźnie nastawieni do zdetronizowanych Hohenzollernów. W Berlinie wciąż się mówi o tym, że za rok lub dwa wybuchnie powstanie i przebywający na wygnaniu sędziwy Kaiser zostanie z powrotem powołany na tron. Parę dni temu słyszałem, że ten ruch rewolucyjny narasta zbyt gwałtownie i może się obrócić na niekorzyść Hohenzollernów. W każdym razie na wielkim popołudniowym przyjęciu w Poczdamie panowała wyraźnie serdeczna atmosfera.

W dniu dzisiejszym oczy mieszkańców całej Europy zwrócone były na Berlin. Obawiano się, że nastąpi coś, co będzie oznaczało wojnę. Tymczasem Führer, zgodnie z tym, co mi powiedzieli moi urzędnicy, którzy wysłuchali jego mowy, zajął stanowisko bardziej pojednawcze niż kiedykolwiek od 1933 roku. Oświadczył, że z chwilą gdy Niemcy stały się na nowo członkiem wspólnoty narodów, pretensje ich można uznać za zaspokojone z wyjątkiem tylko jeszcze konieczności zwrotu ich przedwojennych kolonii. Hitler dobrze wie, że obce mocarstwa gotowe są zwrócić mu kolonie, ale pod warunkiem, że Niemcy zgodzą się na ograniczenie zbrojeń i powrót do Ligi Narodów. I dlatego właśnie oświadczył, że nikt nie ma prawa dyktować Niemcom, ilu żołnierzy lub bombowców powinny posiadać. W tej sytuacji wydaje mi się, że nie ma szans na osiągnięcie porozumienia w sprawie kolonii.

2 lutego 1937. Wtorek.

Byliśmy na obiedzie wydanym przez Kronprinza w hotelu „Esplanade”. Przed obiadem odbył się koncert. Koncertu słuchało chyba z 1500 osób, a 200 zasiadło do stołu. Ja miałem miejsce przy stole Kronprinza, żona zaś przy stole jego małżonki. Księżę opowiedział mi o swoim pięcioletnim wygnaniu na jednej z wysp Morza Północnego. Nie wiedziałem, że trwało to tak długo. Z tego, co mówił na temat historii Niemiec, wynikało, że zna ją dużo lepiej, niż można się było tego po nim spodziewać jako członku rodziny panującej niegdyś w tym kraju. Zgodził się ze mną, że poziom niemieckich dzieł historycznych w przyszłości z pewnością się obniży. Nie powiedział, że doprowadzi do tego wszechwładza partii, ale dał to wyraźnie do zrozumienia.

Trochę dziwne wrażenie zrobił na mnie widok Madame Schacht, skłaniającej się nisko przed witającym ją Kronprinzem, tym bardziej że każdemu rzucała się w oczy zawieszona na jej szyi miniaturowa swastyka. Podobnie dworskie maniery zaobserwowałem u kilku innych przedstawicieli rządu i ich małżonek. Schachta nie było. O wyjściu przed dwunastą nie było mowy. Wśród gości zauważyłem ambasadora francuskiego i przedstawicieli innych państw z całego świata. Ale Rosjanina, Polaka i Turka nie było.

3 lutego 1937. Środa.

Byliśmy na pierwszym obiedzie, jaki Führer wydał kiedykolwiek dla korpusu dyplomatycznego. Obecnych było wielu wysokich dygnitarzy rządowych

z Göringiem, Schachtem i Goebbelsem na czele. Przyjęcie odbyło się w nowym pałacu Führera, zbudowanym z przepychem, jakiego jeszcze w życiu nie widziałem, zaledwie parę tygodni temu. Do sali wkroczyło blisko 75 lokajów i ustawiło się w postawie na baczność dokoła stołów. Grosza publicznego Hitler z pewnością nie szczędzi, chociaż sam nie je mięsa i nie pije wina. Toastów przy szampanie, normalnie tu praktykowanych na wielkich przyjęciach, tym razem nie było. Siedziałem w takim miejscu, że nie mogłem rozmawiać z Führerem, co zresztą byłoby dla mnie dość krepujące. Rozmawiałem natomiast trochę z siedzącym po drugiej stronie stołu Göringiem, który swą sławę, czy raczej niesławę w świecie zawdzięcza przede wszystkim podpaleniu Reichstagu w 1933 r. i rzezi czerwcowej z 1934 r. Nie mogłem jednak rozmawiać z nim swobodnie, mając to wszystko w pamięci. Daleki jestem oczywiście od tego, żeby Hitlera uważać za mniej winnego.

Po obiedzie całe towarzystwo przeszło do wielkiej sali recepcyjnej, żeby przywitać się ze stojącymi w głębi Hitlerem i Göringiem i podziękować im za udane przyjęcie. Stwierdziłem, że ambasadorowie francuski i brytyjski swoje ukontentowanie wyrażali w wyjątkowo ostentacyjnej formie. Ale Schachta i Goebbelsa nie było w ogóle widać w najbliższym otoczeniu Hitlera, Neuratha zaś tylko przez chwilę. O 11-ej ambasador francuski i jego małżonka opuścili przyjęcie udając się do domu i reszta gości szybko poszła za ich przykładem. Sądziłem, że przyjęcie przeciągnie się do 2-ej, nie miałem jednak zamiaru w żadnym razie zostać do końca.

Mniej więcej od tygodnia co wieczór jestem gdzieś zapraszany i będę musiał kontynuować ten tryb życia jeszcze przez następny tydzień. Te przyjęcia trwające do późnego wieczoru i powroty do domu o północy bardzo mnie męczą, gdyż muszę nazajutrz stosunkowo wcześniej zjawić się w biurze i pracować, z przerwą na lunch, do 7-ej. Moja żona też musi prawie codziennie bywać w świecie, chyba że sama urządza w domu lunch lub herbatę. W ten sposób w dużym stopniu mnie odciąża.

12 lutego 1937. Piątek.

Nasz konsul we Frankfurcie nad Menem donosi, że władze zabroniły Żydom, którzy walczyli w czasie wojny światowej, odbywać jakichkolwiek zebrań, chociaż takie zebrania żydowskich weteranów odbywały się dotychczas bez przeszkód.

W tym samym okręgu władze kazały obniżyć o 10 procent płace robotników zatrudnionych w fabrykach ersatzów, to znaczy surowców zastępczych. Może chodzi o obniżenie cen na tego rodzaju artykuły. Trzech frankfurckich robotników siedzi od roku w więzieniu, gdyż mieli jakoby coś wspólnego z komunistami. Właśnie odbył się ich proces, zostali skazani na cztery, sześć i osiem lat.

Parę tygodni temu dr Schacht wygłosił dłuższe przemówienie na wielkiej uroczystości w Reichsbanku z okazji sześćdziesiątej rocznicy swoich urodzin. Dowiedziałem się dzisiaj, że dr Goebbels poddał je surowej cenzurze. Schacht powiedział, że zadłużenie publiczne wynoszące 11 miliardów marek musi zostać spłacone. Tego Goebbels wydrukować nie pozwolił. A przecież zadłużenie to wynosi co najmniej cztery razy tyle, łącznie z kwotą 3 miliardów, które Niemcy winne są amerykańskim bankom i posiadaczom niemieckich obligacji. Schacht dodał, że obieg pieniężny w Niemczech zwiększył się w po-

równaniu z 1933 r. o 50 procent i oświadczył, że dalszy wzrost produkcji surowców zastępczych musi zostać zahamowany, gdyż koszt jej jest mniej więcej cztery razy większy niż cena, którą by się zapłaciło za surowce importowane.

20 lutego 1937. Sobota.

Po raz pierwszy od tygodnia nie byłem dziś wieczorem na żadnym przyjęciu. We wtorek 16-go wydaliśmy lunch dla amerykańskich bankierów usiłujących rozwiązać problem niemieckich długów w Stanach Zjednoczonych. Przy stole obok żony siedział dr Sering. W pewnej chwili zaczął ostro krytykować hitlerowską politykę w stosunku do uniwersytetów. „Nie myślałam — powiedziała moja żona — że pan będzie tak otwarcie się wypowiadał.” „Mówię to, co myślę — odparł. — Mogą mnie zastrzelić, kiedy tylko zechcą. Ten system prowadzi do kompletnej ruiny życia intelektualnego w Niemczech.” Starszy pan jest szeroko ustosunkowany w Stanach Zjednoczonych. Powiedział żonie to samo, co mnie dwa lata temu, i nic mu się jak dotąd nie stało.

Wczoraj wieczorem byliśmy na przyjęciu z koncertem, wydanym przez pewnego hitlerowskiego dygnitarza w hotelu „Bristol”. Było na nim może 150 osób. Koncert był niezły. Przy obiedzie żona siedziała obok ks. koburskiego. Ja siedziałem koło dr. Schachta, który w pewnej chwili powiedział tak głośno, że inni niemieccy dygnitarze mogli go słyszeć: „Mussolini podbija teraz Hiszpanię, następnym jego krokiem będzie podbój Egiptu”. Rzekłem: „Słyszę, że Mussolini zbudował wspaniałą szosę od Morza Czerwonego do granicy egipskiej. Skąd wziął na to pieniądze?” „Pieniądzy — odparł Schacht — teraz się znikąd nie bierze, po prostu drukuje się banknoty, pilnuje, żeby szybko obiegały i wówczas ludzie mają zapewnioną pracę. To wszystko.” Ta wypowiedź najzdolniejszego finansisty na świecie zaskoczyła niektóre osoby, ale żadnych komentarzy nie było. Hitlerowscy dygnitarze wzięli ją mu chyba za złe, bali się jednak powiedzieć cokolwiek na ten temat w jego obecności.

21 lutego 1937. Niedziela.

Pojechałem dziś o 12-ej do starej cesarskiej Opery. Hitler z całym swoim sztabem siedział w tej samej łoży, w której siedziała rodzina cesarska, gdy byłem w tej operze w 1899 r. Miała to być akademія ku czci dwóch milionów Niemców poległych podczas pierwszej wojny światowej. Żadnych modłów i religijnych obrzędów nie było. Na podium stali żołnierze ze sztandarami różnych państw, było ich około pięćdziesięciu. Po odegraniu pięknego utworu muzyki klasycznej na podium wszedł szef nowej nazistowskiej armii generał von Blomberg* i wygłosił przemówienie. Takiego przemówienia nie można by wygłosić w żadnym demokratycznym państwie.

Blomberg nie powiedział, że wojna światowa była nieszczęściem, które Niemcy zawdzięczały błędom swoim przywódców. Twierdził natomiast, że w chwili zakończenia wojny sytuacja Niemiec była gorsza niż kiedykolwiek w historii tego kraju, co jest nieprawdą, mimo że sytuacja była faktycznie zła. Głównym celem przemówienia Blomberga było podkreślenie, że Niemcy

* Gen. von Blomberg był ministrem wojny. Naczelnym wodzem był Hitler.

nie miały jeszcze takiego wodza, który by jak Hitler potrafił wyratować swój kraj z tak ciężkiej opresji, następnie wyrażenie mu podziękowania za uzbrojenie całego narodu niemieckiego i wreszcie złożenie hołdu jego niezmiernie mądrości i patriotyzmowi. Po przemówieniu Blomberga nastąpiła ceremonia „Heil Hitler”. Wszyscy, z wyjątkiem mnie i paru innych dyplomatów, stali z wyciągniętą prawą ręką i słuchali, jak orkiestra gra *Horst Wessel Lied*. Takie są dzisiejsze Niemcy!

23 lutego 1937. Wtorek.

Rozmawiałem dziś mniej więcej przez godzinę z dr. Dieckhoffem. Chciałem go uprzedzić, że brak niemieckiej odpowiedzi na zaproszenie Departamentu Stanu do wzięcia udziału w konferencji gospodarczej w Waszyngtonie może pociągnąć za sobą opłakane konsekwencje. Zaproszenie zostało złożone w styczniu, od tego czasu minęły całe trzy tygodnie, a odpowiedzi wciąż nie ma. Chciałem również zwrócić jego uwagę na skutki pewnego zarządzenia władz, które zabroniły niemieckim przedsiębiorstwom udzielania jakichkolwiek danych o amerykańskich inwestycjach w Niemczech, jeżeli o takie informacje zwrócą się do nich przedstawiciele amerykańskiego Ministerstwa Handlu lub Finansów. Poza tym pragnąłem w miarę możliwości dowiedzieć się, co władze niemieckie myślą sobie właściwie o międzynarodowym porozumieniu w sprawie całkowitego wycofania z Hiszpanii oddziałów wojskowych i materiałów wojennych. Wreszcie chciałem się dowiedzieć, co w Austrii robi Neurath.

Moim zdaniem Dieckhoff jest najbardziej demokratycznie myślącym człowiekiem w całym Ministerstwie Spraw Zagranicznych i pod tym względem przewyższa nawet mego nieodżałowanego przyjaciela von Bülowa, który zmarł w czerwcu ubiegłego roku. Podobno Dieckhoff nie cieszy się sympatią swego szefa Neuratha, ale mam wątpliwości, czy pogłoski o tym odpowiadają prawdzie. Zawsze miałem wrażenie, że Dieckhoff zdaje sobie sprawę z przerażających błędów hitlerowskiego reżymu. Miałem więc nadzieję, że nasza rozmowa przyniesie konkretne rezultaty.

Bez wahania zgodził się ze mną, że błędem było nieudzielenie dotychczas odpowiedzi na amerykańskie zaproszenie do wzięcia udziału w konferencji wyznaczonej na pierwszy tydzień kwietnia. Przyczyną zwłoki, powiedział, nie jest bynajmniej jakaś animozja Neuratha. Przyczyną jej jest być może stanowisko dr. Schachta, które nie zawsze pokrywa się z jego deklaracjami. Jednakże główną przeszkodą w tej sprawie jest zdaniem Dieckhoffa obojętność lub wręcz wrogość Ministerstwa Pracy i Ministerstwa Gospodarki (którymi kierują ludzie oddani Hitlerowi). Jeżeli chodzi o zakaz udzielania informacji o amerykańskich inwestycjach w Niemczech, to Dieckhoff z całą szczerością przyznał, że to był również błąd ze strony niemieckich władz. Podałem mu daty listów wysłanych w tej sprawie do mnie i do naszego konsula w Hamburgu. Oba były utrzymane w niemal obraźliwym tonie.

O stosunkach niemiecko-włoskich nic konkretnego nie powiedział, choć mówił na ten temat bardzo dużo. Nie chciał przyznać, że celem Mussoliniego jest podbój Hiszpanii, mimo że kiedyś w przystępie szczerości oświadczył, iż Niemcy nie będą protestowały, jeżeli Mussolini zajmie Egipt. Z tego, co mówił, można było jednak pośrednio wywnioskować, że sojusz niemiecko-włoski nie jest w jego oczach aktem wielkiej mądrości politycznej.

Wizyta Neuratha w Austrii ma według Dieckhoffa charakter wyłącznie

formalny i jest odpowiedzią na wizytę w Niemczech austriackiego ministra spraw zagranicznych*. Jestem przekonany, że Neurathowi chodzi o coś znacznie więcej. Zapytałem Dieckhoffa, co znaczą zamieszki, które według doniesień miały miejsce po przyjeździe Neuratha do Wiednia. Upierał się, że były to tylko niezorganizowane manifestacje nazistów i że kilku niesfornych chłopców trzeba było aresztować, żeby się nie posunęli za daleko. Moim zdaniem ta manifestacja została zorganizowana przez Berlin dla celów propagandowych, Austriacy zaś ze swej strony dali wyraz swej wrogości do nazistów. Stąd aresztowania. Prawo austriackie zabrania obywatelom tego kraju wznosić okrzyki na cześć Hitlera.

Dieckhoff przyznał, że celem niemieckiej polityki jest doprowadzenie do porozumienia czterech mocarstw, jak również do opanowania Austrii i Węgier, co jednak może się nie udać, gdyby na tronie dawnej Austrii zasiedli znowu Habsburgowie. Faktem jest, że Neurath stara się nadać mocniejszy kurs agresywnej polityce Niemiec, zmierzającej do podboju państw bałkańskich. Chce w ten sposób zmusić również Mussoliniego, żeby ujawnił swoje prawdziwe zamiary, jeżeli chodzi o ewentualne przywrócenie monarchii w Austrii. Nikomu jednak nie przychodzi do głowy, że biedny naród austriacki mógłby mieć prawo decydowania o tym, jaki ma być jego rząd. Dieckhoff, mimo swego pozornego liberalizmu, ponownie wyraził pogląd, że terytoria położone w basenie Dunaju powinny należeć do Niemiec. Jest to stara kajzerowska teza, z tą tylko różnicą, że Hitler jest bardziej natarczywy w swych żądaniach od przedwojennych rządów Niemiec. W Europie nie uznaje się naturalnego prawa każdego narodu do niepodległości. Liczy się tylko siła.

28 lutego 1937. Niedziela.

Znowu upłynął tydzień pełen obiadów i lunchów. Niemal co wieczór byliśmy na jakimś przyjęciu. Jedno z nich odbyło się u ambasadora rosyjskiego. Przy stole zasiadło czterdziestu gości, w tym ambasadorowie i posłowie państw obcych oraz przedstawiciele niemieckich sfer urzędniczych, nie było jednak wśród nich żadnego wysokiego dygnitarza. Staromodne niemieckie piece w sali jadalnej dawały za mało ciepła i było mi bardzo zimno. Zimno było nawet ambasadorowi brytyjskiemu, a przecież w Anglii w zimie nigdy w mieszkaniach nie jest ciepło. Takie jest przynajmniej moje osobiste doświadczenie. Wyjątek stanowią hotele, w których zatrzymują się Amerykanie.

4 marca 1937. Czwartek.

Rozmawiałem dziś znowu z dr. Schachtem. W dość ostrej formie zgłosił pretensję z powodu podania przez prasę amerykańską wiadomości, że Niemcy sprzedały w Ameryce partię swoich obligacji za sumę 69 milionów dolarów. Miały to rzekomo uczynić w tym celu, żeby zdobyć pokrycie na zapłacenie odsetek od swoich długów, zwiększyły jednak w ten sposób jeszcze bardziej swoje zadłużenie, które i tak jest o dwa miliardy wyższe, niż to podają ofi-

* Chodzi tu o wizytę austriackiego podsekretarza stanu w MSZ pełniącego obowiązki ministra, Guido Schmidta, który był w Berlinie 5 listopada 1936 r. Minister von Neurath przyjechał do Wiednia 22 lutego 1937 r.

cialne niemieckie źródła. Schacht oświadczył, że ta kłamliwa wiadomość musi podkopać zaufanie do niemieckiej wypłacalności.

W odpowiedzi na to kategoryczne oświadczenie poinformowałem go, że jestem w posiadaniu raportów amerykańskich konsulów w Ameryce Łacińskiej, z których wynika, że Niemcy przedstawiciele w Chile, Brazylii i Argentynie robili, co mogli, żeby storpedować inicjatywy ministra Hulla w obronie pokoju na konferencji w Buenos Aires, przy czym jeden z tych panów utrzymywał, że występuje w imieniu dr. Schachta. Schacht zapytał, jak się ten człowiek nazywa. Odmówiłem podania jego nazwiska, gdyż wiadomość z Waszyngtonu w tej sprawie miała charakter poufny. Ale z dalszych wypowiedzi Schachta na ten temat jasno wynikało, że domyślił się, iż chodzi o Ilgnera, mimo że wyraźnie do tego się nie przyznał.

Zapytałem go następnie, jak ocenia szansę zwołania światowej konferencji pokojowej. Schacht wyraził poparcie dla takiej inicjatywy i z wielkim przejęciem, jak mi się wydawało, mówił o niebezpieczeństwie wojny; twierdził przy tym, że był jej zawsze przeciwny, tak samo jak jest przeciwny przeznaczaniu kolosalnych sum na zbrojenia. Dodał, że Hitler jest też przeciwko wojnie i stale wzywa do pokoju i ograniczenia zbrojeń. Wołałem mu nie przypominać, że Hitler już nieraz coś takiego mówił, a potem robił coś wręcz przeciwnego. Zdaniem Schachta wszystkiemu winni są producenci broni, którzy systematycznie torpedują wszelkie inicjatywy pokojowe od czasów zabiegów Wilsona o pokój w 1918 r. Ludzie ci pokrzyżowali również wszystkie wysiłki Ligi Narodów w tym zakresie.

Schacht ponownie wyraził nadzieję, że Waszyngton zechce zorganizować wstępną konferencję w sprawie pokoju światowego, i pośrednio zapytał, czy Hull chciałby przedyskutować z nim te problemy w Waszyngtonie. Gdyby go zaproszono, postarałby się nakłonić Hitlera do wyrażenia zgody na zwołanie tej pokojowej konferencji i przyjęcia koncepcji Schachta, że zamiast przygotowywać się do wojny, trzeba stworzyć warunki do swobodniejszej wymiany handlowej na świecie i doprowadzić do trwałego układu pokojowego między czterema głównymi mocarstwami: Niemcami, Francją, Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Na jego prośbę zgodziłem się wysłać w tej sprawie telegram do Waszyngtonu. Zdziwiło mnie jednak trochę, co Schacht powiedział o niedawnej mowie Hitlera, w której Führer zagroził niemieckiemu businessmenom konfiskatą majątku, a także o przemówieniu Ribbentropa w Lipsku w sprawie niemieckich żądań kolonialnych. Zdaniem Schachta wszystko to są bajeczki obliczone na efekt w kraju, które muszą jednak zaszkodzić Niemcom za granicą.

Pojechałem następnie do ministra Neuratha. Oświadczył: „Na wojnę bynajmniej się nie zanosz.” Powiedziałem mu na to, że sytuacja jest wyjątkowo groźna, gdyż wszystkie państwa zbroją się po zęby. Z tym się zgodził, ale winę przypisał Anglii. Przypomniałem mu, że Anglia była ostatnim z państw, które zaczęły się zbroić. Temu nie mógł zaprzeczyć, więc winę za niebezpieczny wyścig zbrojeń w Europie zrzucił na producentów broni.

Gdy zapytałem Neuratha o sytuację w Hiszpanii, otwarcie przyznał: „W żadnym wypadku nie dopuścimy do tego, żeby wojnę domową w tym kraju wygrał obecny rząd hiszpański. Byłoby to zwycięstwo komunizmu, a na komunizm w żadnym państwie europejskim zgodzić się nie możemy”. Słowa te były sprzeczne z pokojowym oświadczeniem na początku rozmowy. Zapytałem: „Czy pan nie sądzi, że inne kraje mają prawo rządzić się po swojemu, nawet gdyby miały rządzić się głupio?” — „Nie mają prawa — od-

parł — gdy w grę wchodzi komunizm. Gdyby w Hiszpanii zwyciężył komunizm, Francja również stałaby się komunistyczna i po pewnym czasie napadłaby na Niemcy." Przypomniało mi się to, co mówił Dieckhoff o wizycie Neuratha w Wiedniu. Neurath protestował tam przeciwko występującym w Austrii tendencjom do przywrócenia na tron Habsburgów. Tam nie chodziło o komunizm, a mimo to naziści również twierdzili, że się na to stanowczo nie zgadzają. Niemcom, nawet tym, którzy uchodzą za liberałów, nie przychodzi w ogóle do głowy, że małe narody mają prawo do samodzielnego bytu.

Gdy poruszyłem sprawę ewentualnej światowej konferencji pokojowej, Neurath z miejsca oświadczył: „Nie, taka konferencja nie ma żadnych szans powodzenia". Ta wypowiedź przeczyła koncepcji Schachta, który uważał, że można będzie poprawić międzynarodową sytuację gospodarczą, jeżeli będzie się stopniowo redukowało wydatki na zbrojenia i przeznaczało wolne fundusze na inne cele. Ale gdy powtórnie wspomniałem o niebezpieczeństwie, jakim dla wszystkich narodów świata są nieustające zbrojenia, Neurath znowu przyznał mi rację. Wyszedłem od niego przeświadczony, że jego dawne na wpół liberalne poglądy przeszły już w gruncie rzeczy do historii.

Oba te spotkania, zwłaszcza zaś rozmowa z Neurathem, uświadomiły mi bardziej niż kiedykolwiek, że Niemcy zdecydowane są podporządkować sobie sąsiadujące z nimi kraje, a nawet może wprost je anektować. Państwa bałkańskie to ich domena, a państwa śródziemnomorskie — Mussoliniego. Oficjalne wypowiedzi radia rzymskiego stanowią niezbity dowód, że porozumienie w tej sprawie jest faktem, mimo że Niemcy i Włosi prawie tak samo się nie lubią, jak Niemcy i Francuzi.

6 marca 1937. Sobota.

Wczoraj prasa niemiecka gwałtownie zaatakowała burmistrza Nowego Jorku La Guardię za jego zapowiedź, iż w przyszłym roku na Wystawie Światowej jednym z eksponatów będzie popiersie Hitlera w brązowej koszuli, ustawione w tak zwanym — gabinecie okropności. Dwa organy rządowe, „Völkischer Beobachter" i „Angriff", przebrały w tych napaściach wszelką miarę, oświadczając, że La Guardia to niebezpieczny komunista, gangster, rozpustnik i na dodatek Żyd. Oba pisma zaatakowały również rząd Stanów Zjednoczonych za to, że pozwolił na wygłoszenie tego rodzaju przemówienia, zapominając przy tym chyba, że wolność słowa jest w Ameryce strzeżona przez prawo.

Wysłałem do Waszyngtonu telegram ze streszczeniem tych artykułów, ale ewentualny protest złożę dopiero po otrzymaniu od mego rządu odpowiedniego zalecenia. Na nieszczęście dla dr. Schachta stało się to w chwili, gdy minister Hull upoważnił ambasadora Luthera do wysłania telegramu informującego Berlin, że amerykański sekretarz stanu spodziewa się doprowadzić wkrótce do podpisania z Niemcami nowej umowy handlowej, na korzystniejszych niż dotychczas warunkach. Już po raz trzeci zdarza się tego rodzaju historia, właśnie w chwili gdy Waszyngton gotów jest rokować z Niemcami. W 1934 r. Hitler wydał oświadczenie, że nikogo — a w szczególności Żydów — nie wolno będzie w Niemczech aresztować lub uwięzić bez zachowania procedury przepisanej prawem. W dniu 6 marca tegoż roku oświadczył mi podniesionym głosem, że każdego Niemca, który by chciał uprawiać propagandę w Stanach

Zjednoczonych, każe natychmiast wrzucić do Morza Północnego. Zanim wróciłem 16 maja do Niemiec, oba te przyrzeczenia zostały złamane. W chwili gdy płynąłem przez Atlantyk, Goebbels w straszliwy sposób zaatakował Żydów w swym przemówieniu z 12 maja. A 30 czerwca 1934 r., bez sądu, bez udowodnienia komukolwiek winy, zamordowanych zostało na rozkaz Hitlera setki jego politycznych przeciwników, a także wielu jego najwierniejszych zwolenników. Jakże mógł minister Hull uzyskać w tym 1934 roku zgodę Senatu na podpisanie nowej umowy handlowej z Niemcami?

W czerwcu 1935 r., w chwili gdy w Nowym Jorku toczyły się rozmowy w sprawie udzielenia Niemcom kredytu bankowego na zakup bawełny na sumę 35 milionów dolarów, Göring gwałtownie zaatakował katolików. Banki natychmiast odmówiły kredytu i bawełny nie można było kupić. Parę dni później Goebbels ponownie napadł na Żydów. W rezultacie interesy gospodarcze Niemiec znowu poważnie ucierpiały z winy hitlerowców.

4 marca Schacht poprosił mnie o poinformowanie telegraficznie mego rządu, iż byłby rad, gdyby mógł pojechać do Waszyngtonu celem przeprowadzenia rozmów w sprawie zawarcia nowej niemiecko-amerykańskiej umowy handlowej. Dodał, iż spodziewa się, że będzie mógł przywieźć ze sobą zgodę Hitlera na zwołanie światowej konferencji pokojowej. Ale na drugi dzień wybucha ten niesłychany skandal prasowy, znieważony zostaje cieszący się dużą popularnością w Ameryce La Guardia. Nowa hitlerowska gafa.

2 marca 1937. Wtorek.

Odwiedziło mnie dziś rano dwóch księży z pewnego klasztoru zbudowanego w Bawarii przez amerykańskich katolików. Hitlerowski gauleiter zabronił im głosić Słowo Boże i czytać Biblię razem z wiernymi w pomieszczeniach klasztornych lub kościelnych. Nie mogli tego pojąć, gdyż wynagrodzenie otrzymują ze Stanów Zjednoczonych, ale obawiają się, że jeżeli nie posłuchają tego zakazu, władze mogą wydalić ich z kraju. W tym wypadku klasztor, który kosztował amerykańskich ofiarodawców 300 tysięcy marek, zostałby przejęty przez partię narodowosocjalistyczną.

Nic nie mogłem dla nich uczynić, ale doradziłem im, aby zachowali ostrożność a także poszli do naszego konsula generalnego, który ewentualnie będzie mógł udzielić im jakiejś pomocy. To już drugi wypadek tego rodzaju, z którym się osobiście stykam. Konsul Jenkins powiadomił mnie, że nic w tej sprawie nie będzie mógł zrobić poza tym, że zapozna z nią szefa tajnej policji i będzie starał się go przekonać, że wydalenie księży i konfiskata klasztoru przyniosłyby szkodę niemieckim interesom. Faktem jednak jest, że majątek nieruchomy obcokrajowców w Niemczech poddany jest ścisłej kontroli partii narodowosocjalistycznej.

12 marca 1937. Piątek.

Był u mnie Max Jordan, delegat National Broadcasting Corporation na Europę. Powiedział, że prasa i radio amerykańskie popierają dyskutowany gorąco w kraju projekt reformy sądownictwa zaproponowany przez Roose-

velta*. Mimo nacisku ze strony wydawców i wielkiego biznesu, dziennikarze i robotnicy wypowiadają się za przyjęciem projektu Roosevelta. Zdaniem Jordana w Senacie jest silna opozycja, jednakże większość będzie głosowała za projektem. Ja również na to liczę. Gdyby Roosevelt poniósł porażkę, druga kadencja jego prezydentury upodobniłaby się do drugiej kadencji Theodora Roosevelta — byłyby jednym pasmem daremnych perswazji i nacisków w walce o konieczne reformy. Tylko że porażka Franklina Roosevelta byłaby rzeczą dużo gorszą i groźniejszą, biorąc pod uwagę kolosalną większość głosów uzyskanych przez jego partię w trzech kolejnych wyborach do Kongresu. Takiej większości nie notowano w Ameryce od czasów Jeffersona, któremu też nie udało się zrealizować swych podstawowych celów, z wyjątkiem kupna Luizjany.

Następnie Jordan mówił o nastrojach ludności Niemiec. Poinformował go o nich pewien dziennikarz, którego nazwiska Jordan wołał mi nie zdradzać. Tej zimy wydarzyło się podobno w Niemczech dużo katastrof lotniczych i wiele wypadków było śmiertelnych, ale ani słowa o tym nie pozwolono wydrukować w prasie. Był tylko jeden wyjątek, gdy miesiąc temu wydarzyła się w Berlinie katastrofa, której nie można było ukryć, gdyż nastąpiła w gęsto zaludnionej dzielnicy i pociągnęła za sobą śmierć pięciu osób. Przyczyną utrzymywania tego rodzaju nieszczęśliwych wypadków w tajemnicy jest obawa przed defetyzmem, jaki mógłby ogarnąć wiele tysięcy młodych ludzi powoływanych do służby w lotnictwie. O tym, że takie rzeczy są praktykowane przez władze, wiadomo mi już od dwóch lat.

Jordan słyszał również, że grupa około 50 żołnierzy otrzymała rozkaz wypłynięcia z Hamburga w nieznanym im bliżej celu. Mimo iż zabroniono im mówić swoim rodzicom, że jadą za granicę, do Hiszpanii, niektórzy z nich to uczynili. Rodzice zorganizowali zebranie w mieście położonym niedaleko miejsca postoju tej grupy. Wówczas lokalne władze partyjne kazały aresztować wszystkich rodziców i zamknąć ich w więzieniu; na jak długo, tego Jordan nie wie. Kilku żołnierzy wołało popełnić samobójstwo, niż udać się w tajemniczą podróż. Jeżeli Jordan mówi prawdę, to sprawa jest na tyle poważna, że Hitler i Göring będą musieli ją sobie dobrze przemyśleć.

Dziś o 5-ej po południu pojechałem razem z panem Lee do niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby zgodnie z telegraficzną instrukcją ministra Hulla zaprotestować przeciwko oburzającym napaściom, których w dniach 4, 5 i 6-ym bieżącego miesiąca dopuściła się prasa niemiecka w stosunku do kobiet amerykańskich i całego narodu amerykańskiego, a także w stosunku do rządu Stanów Zjednoczonych. Znając dobrze motywy postępowania takich nazistowskich dygnitarzy jak Goebbels i Rosenberg, jak również samego Hitlera, nawet od ministra Neuratha nie mogłem spodziewać się prawdziwej skruchy.

Oświadczyłem Neurathowi, że Niemcy popełniły wielki błąd. Lekko zakłopotanym tonem przyznał mi rację, zaznaczając, że nie dopuścił do przedrukowania przez inne gazety tych wyjątkowo obelżywych artykułów, jakie ukazały się w „Angriff”. Poprosiłem wówczas Lee o odczytanie telegraficznego protestu ministra Hulla i pokazałem Neurathowi kilka niemieckich gazet, które właśnie przedrukowały artykuły z „Angriff”. Faktom przeczyć nie mógł i zgodził się ze mną, iż prasa postąpiła głupio, chociaż na jej usprawiedliwienie wysunął zarzut, że Niemcy były również gwałtownie atakowane przez

* Prezydent Roosevelt przedłożył Kongresowi 5 lutego 1937 r. „Plan for the Reorganisation of the Judicial Branch of the Government”, który doprowadził do konfliktu z Sądem Najwyższym.

pisma amerykańskie w ciągu ostatnich czterech lat. Usprawiedliwić niedorzecznej polityki obecnych Niemiec nie był oczywiście w stanie. Na tym nasza rozmowa się skończyła. Jestem przekonany, że Neurath, gdyby nawet chciał, nie ośmieliłby się przeprosić nas w ten sam sposób, jak Hull przeprosił Niemców za ośmieszenie Hitlera przez La Guardię. Jestem również pewien, że nic konkretnego w tej sprawie Hitlerowi czy Goebbelsowi nie powie. Ci ludzie są niepoprawni.

15 marca 1937. Poniedziałek.

Ernst Hanfstaengl, gorący zwolennik Hitlera od wielu lat, a ostatnio szef hitlerowskiego biura prasowego dla zagranicy, otrzymał podobno około 20 lutego rozkaz zamknięcia swego biura i udania się z jakąś misją do hiszpańskiej Walencji. 22 lutego miałem się z nim spotkać na lunchu, ale mnie zawiadomił, że musi wyjechać z Berlina. Dziś po południu dowiedziałem się od jego bliskiego przyjaciela, że nie pojechał do Hiszpanii, tylko do swego domu w Monachium i od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął. Podobno jest w obozie koncentracyjnym i życiu jego zagraża niebezpieczeństwo*. Co najmniej od dwóch lat Hitler go nie przyjmował; zauważyłem również, że w czasie południowych spotkań przy lunchu w siedzibie Towarzystwa Carla Schurza Hanfstaengl dość krytycznie wyrażał się o Goebbelsie i innych hitlerowskich dygnitarzach. Osobiście wolałem nie ryzykować po wydarzeniach z czerwca 1934 r. i od tego czasu nigdy otwarcie z nim nie rozmawiałem. Hanfstaengl wypuszczony za granicę mógłby hitlerowcom sprawić nie lada kłopot, finansował przecież działalność Hitlera w 1923 r., pomógł mu napisać *Mein Kampf* i doskonale orientował się w pobudkach jego postępowania. Jaką interesującą książkę mógłby o tym wszystkim napisać!

Otrzymaliśmy dzisiaj wiadomość, że po wyrażeniu przez Benesa zgody na całkowite równouprawnienie niemieckiej mniejszości z ludnością czechosłowacką, Niemcy i Czesi doszli do porozumienia w sprawie zawarcia układu o dobrych stosunkach sąsiedzkich pomiędzy oboma państwami, jednakże teraz Hitler na zawarcie takiego układu się nie zgadza. Jego zdaniem Niemcy nie mogą wchodzić w żadne układy z państwami mającymi jakieś powiązania z Rosją. W tych warunkach trudno uwierzyć w szczerą ostatnią niemiecką propozycję w sprawie zawarcia nowego paktu między czterema zachodnimi mocarstwami. Pierwszym warunkiem, jaki Hitler postawiłby Francji, byłoby zerwanie układu z Rosją. Istota tej całej polityki polega na tym, że Niemcy chcą mieć wolną rękę w stosunku do problemu granic i ustroju państw bałkańskich i zapewnić sobie prawo ich anektowania, z chwilą gdy uznają, że sytuacja do tego dojrzała. To program *Mein Kampf*!

Parę dni temu napisałem do naszego posła w Austrii Messersmitha, że najlepszą i jedyną chyba gwarancją światowego pokoju byłoby utworzenie konfederacji wszystkich państw bałkańskich na zasadzie obowiązku udzielania sobie wzajemnie natychmiastowej pomocy. Jednoczyłyby ona 80 milionów ludzi i Niemcy musiałyby się poważnie zastanowić, zanim by zdecydowały się ją zaatakować. Napisałem, że byłoby dobrze, gdyby Messersmith mógł porozmawiać na ten temat z Schuschniggem. Od upadku rzymskiego imperium

* E. Hanfstaengl w 1940 r. był w W. Brytanii, a następne lata wojny światowej spędził w St. Zjedn. jako „doradca” (!) w sprawach hitlerowskich Niemiec.

narody europejskie wciąż ze sobą wojują; jaki rozkwit osiągnęłyby dzisiaj nasza cywilizacja, gdyby wszyscy ludzie kierowali się podstawowymi chrześcijańskimi zasadami, wyznawanymi formalnie przez Zachód już od tysiąca lat!

17 marca 1937. Środa.

Dr Dieckhoff zaprosił mnie dziś do siebie na godzinę 6 po południu. Witając się ze mną minister miał strapioną minę. Zaczął od razu mówić o nowym przemówieniu La Guardii w Nowym Jorku. Zrozumiałem, że kazano mu wymóc na mnie, abym napisał do prezydenta Roosevelta lub ministra Hulla i poprosił ich o zakazanie burmistrzowi Nowego Jorku krytykowania osoby Hitlera. Dieckhoff był kiedyś (chyba w latach 1924—1929) radcą niemieckiej ambasady w Waszyngtonie i z tego względu nie mogłem po prostu zrozumieć, jak może mi coś takiego na serio proponować. Odpowiedziałem mu oczywiście tak: „Nie, proszę pana, to jest niemożliwe; jak panu wiadomo, w naszym kraju wolność słowa i prasy jest zagwarantowana przez konstytucję”. Odparł, że wie o tym, ale mimo to ma nadzieję, że można będzie coś w tej sprawie zrobić.

Gdy po chwili zaczął narzekać na amerykańską krytykę prasową, oświadczyłem: „Wie pan dobrze, że po zakończeniu wojny światowej naród amerykański był nastawiony dużo przyjaźniej do Niemców niż do Francuzów, ponieważ nie chcieli się oni rozbroić”. Odpowiedział, że gdy był w Waszyngtonie, zdawał sobie z tego doskonale sprawę, ale zapytał, dlaczego teraz nastawienie Amerykanów stało się takie wrogie? Rozmawialiśmy jeszcze przez pewien czas, po czym rozstaliśmy się w przeświadczeniu, że wszelkie próby poprawienia stosunków pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a nazistowskimi Niemcami są z góry skazane na niepowodzenie.

30 marca 1937. Wtorek.

Już od dawna nie robiłem zapisów w dzienniku. Byłem przez ten czas wiele razy gościem na obiedzie lub lunchu w różnych domach. Dwa przyjęcia były dość interesujące. 18 marca pojechaliśmy do byłego ministra spraw zagranicznych Kühlmanna. Był ministrem za Kajzera w 1918 r. i popierał jego stanowisko w sprawie rokowań w Brześciu Litewskim, musiał jednak ulec generałom, którzy domagali się przyłączenia do Niemiec wielkich obszarów na wschodzie. Od czasu, jak jesteśmy tutaj, widzieliśmy się z nim parę razy.

W obiedzie wzięło udział 13—14 osób. Brytyjski ambasador rozmawiał z Kühlmannem o Hiszpanii takim tonem, jakby był gorącym zwolennikiem okrutnego Franco, chociaż w rozmowach ze mną był dotychczas zawsze zajadłym jego przeciwnikiem.. Przypuszczam, że wtedy był to tylko dyplomatyczny ukłon pod moim adresem. Dr Dieckhoff, który też się zjawił, mówił jakby był przeciwnikiem Hitlera. Inne osoby również wypowiadały się bardzo szczerze. Pewien pan o głośnym nazwisku powiedział do mojej żony: „Nie ma sensu, żebyśmy wciąż mówili tylko o aneksji terytoriów na wschodzie; powinniśmy przede wszystkim przyłączyć do Niemiec wschodnią Francję, tym bardziej że ludność Francji stale się zmniejsza”. Przypomniało mi to wypowiedź ambasadora francuskiego, który w rozmowie ze mną w 1933 r. oświad-

czył: „Powinniśmy anektować terytorium niemieckie aż do Renu. Przeszkodził nam w tym Wilson”.

Od Kühlmanna pojechałem na urodzinowy obiad do dr. Seringa, który właśnie ukończył osiemdziesiąty rok życia. Było około stu gości, wśród nich dr Schacht i inni dostojnicy, z którymi się często spotykam. Ponieważ przyjechałem późno, nie usłyszałem przemówień wygłoszonych przez Seringa i Schachta, powiedziano mi jednak, że obaj zrobili bardzo ryzykowną rzecz: skrytykowali politykę partii narodowosocjalistycznej i rozbudowę niemieckiego potencjału wojennego. To ich stanowisko było mi znane, ale byłem zaskoczony wiadomością, że odważyli się przedstawić je na tak liczny zgromadzeniu. Do mnie Schacht powiedział: „Jestem w krytycznej sytuacji; co dalej będzie, nie wiem.”

19 marca było posiedzenie gabinetu i podobno Schacht zakwestionował niektóre pozycje hitlerowskiego Planu Czteroletniego. Ale to nie pomogło i gabinet uchwalił wszystko zgodnie z życzeniami Hitlera i Göringa.

21 marca we wszystkich niemieckich kościołach księża i biskupi katoliccy odczytali papieską encyklikę. Encyklika wzywa katolików do wytrwania w wierze, protestuje przeciwko hitlerowskim próbom zniszczenia Kościoła katolickiego i głosi postulat wolności religijnej w Niemczech. Wolność religijna głoszona przez ksiąząt Kościoła katolickiego na rozkaz papieża! Ani słowa o tym papieskim orędziu w prasie niemieckiej, ale w Anglii i innych krajach treść jego została opublikowana i dzięki temu dowiedziało się o nim również wielu ludzi w Niemczech*.

Dowiedziawszy się, że Nuncjusz papieski po długiej chorobie przyszedł już do zdrowia, pojechałem go odwiedzić. Złożyłem mu gratulacje z powodu proklamowania przez papieża wolności religijnej, której Europa jest przecież całkowicie pozbawiona. Postąpiłem tak głównie dlatego, że mimo podeszłego wieku i słabego zdrowia Papież pod samym nosem Mussoliniego zdobył się moim zdaniem na akt prawdziwej odwagi. Nuncjusz był zachwycony i utrzymywał, że wielki Kościół katolicki naprawdę walczy dziś wszędzie o wolność religijną, nawet w Meksyku. Byłem u niego pół godziny. Powiedział mi, że z ręki do ręki rozeszło się w Niemczech tysiące odbitek papieskiego orędzia; czy ktoś został w związku z tym aresztowany, o tym Nuncjusz nie słyszał.

3 kwietnia 1937. Sobota.

Posel czechosłowacki przyszedł dziś rano do mnie do biura i rozmawiał ze mną przeszło godzinę. Chciałem się z nim spotkać u niego w domu, ale uparł się, że przyjdzie do mnie. Zapytałem go, co sądzi o sytuacji państw bałkańskich — na ten temat napisałem miesiąc temu do naszego posła w Wiedniu. Posel czechosłowacki odpowiedział, że zawarty niedawno układ między Jugosławią i Włochami** jest ważnym krokiem w kierunku umocnienia pokoju na Bałkanach, a jednocześnie celem jego jest zapewnienie zaopatrzenia w żywność Włoch w razie wojny z Anglią. Posel dodał, że znacznie się poprawiły

* Encyklika papieska w języku niemieckim „Mit brennender Sorge” z 18 marca 1937 r. odczytana w kościołach niemieckich w Niedzielę Palmową 21 marca krytykowała rasizm, potępiała zasadę „Blut und Boden”; zawierała zarzuty przeciwko antykatolickiej polityce rządu oraz ustrojowi narodowosocjalistycznemu.

** Był to układ o przyjaźni, zobowiązujący do nieagresji, poszanowania wzajemnego granic, zawarty 25 marca 1937 r. bez porozumienia Jugosławii z innymi członkami Małej Ententy.

również stosunki Jugosławii z Austrią, chociaż Jugosławia nie ma zamiaru zgodzić się na powołanie na tron austriacki Ottona Habsburga.

Na zawarcie podobnego układu zgodziły się ostatnio również Rumunia i Rosja; przewiduje on wzajemne uznanie granic i współpracę obu państw w walce o pokój. O tym układzie oczywiście słyszałem, ale nie było dla mnie całkiem jasne, o co w nim chodzi. Zdaniem posła oba te układy — jugosłowiańsko-włoski i rumuńsko-rosyjski — stanowią poważny krok w kierunku zacieśnienia współpracy międzynarodowej i utrzymania pokoju na Bałkanach. Z kolei podobny układ w sprawie granic i mniejszości narodowych powinny zawrzeć ze sobą teraz Niemcy i Czechosłowacja. Wówczas państwa bałkańskie będą się mogły czuć stosunkowo bezpieczne i będą sobie wzajemnie pomagały, a Austria, Bułgaria i Węgry będą musiały zgodzić się na współpracę z tzw. Małą Ententą. Jednakże zawarcie porozumienia między Czechosłowacją a Niemcami nie jest dla posła rzeczą pewną. Przeciwno Czechosłowacji, która jest jedynym państwem demokratycznym w tej części Europy, prowadzona jest, mająca swe źródło w Niemczech, intensywna akcja propagandowa. Niepokoi posła również trochę możliwość restauracji Habsburgów, której jest stanowczo przeciwny, mimo że — jak się wydaje — Austria uważa, iż ma do tego pełne prawo.

7 kwietnia 1937. Środa.

Wczoraj wieczorem na przyjęciu w naszym domu powiedział mi poseł czechosłowacki, że według posiadanych przez niego informacji Ludendorff kieruje organizacją młodych Niemców będących przeciwnikami Hitlera i że z tą młodzieżową organizacją Ludendorffa współpracują po cichu liczne grupy wojskowych, którym wysyła się regularnie wydawany przez Ludendorffa dwutygodnik. Dowiedział się o tym wszystkim naczelny wódz i minister wojny gen. von Blomberg i nakłonił Hitlera i Ludendorffa, żeby się spotkali w Monachium, aby omówić tę sprawę, przy czym za pretekst posłużyły urodziny Ludendorffa, który 9 kwietnia kończy 72 lata. Poseł czechosłowacki zastanawiał się, co to wszystko może znaczyć. Myślę, że za parę dni dowiemy się czegoś więcej. Dzisiaj mi powiedziano, że dwutygodnik Ludendorffa został skonfiskowany.

Dowiedziałem się również dzisiaj od sekretarza naszej ambasady Lee, że odwołany ostatnio z Waszyngtonu ambasador Luther wysłał dwa lata temu do niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych szereg raportów dotyczących osoby niedoszłego amerykańskiego dyktatora Huey Longa. Raporty te, które Luther pisał na polecenie swych przełożonych, czytał pewien emerytowany obecnie urzędnik Ministerstwa, Herr K. W rozmowie z Lee nie ujawnił wprawdzie treści tych raportów, ale powiedział, że Luther kilka razy jeździł do Luizjany i widział się z Longiem. Ciekaw jestem, czy nasz rząd w Waszyngtonie w ogóle o tym wiedział. Mam nadzieję, że się dowiem, co Luther konkretnie pisał o Huey Longu, a także o przyczynie jego śmierci.

Nasi wczorajsi goście, których było chyba ponad dwudziestu, wypowiadali się, jak na zagranicznych dyplomatów i przedstawicieli władz niemieckich, wyjątkowo szczerze. Parę wybitnych niemieckich osobistości ostro skrytykowało hitlerowskie rządy — zaczyna to ostatnio znowu wchodzić w modę. Co to znaczy? A może oni sobie wyobrażają, że demokrata chętnie słucha takich opinii?

10 kwietnia 1937. Sobota.

W czwartek rozmawiałem przez pół godziny z rosyjskim ambasadorem. Mówił mi, że 20 marca był na obiedzie u bratanka gen. Göringa. Bratanek jest urzędnikiem Reichsbanku. Jak mi powiedział ks. Ludwik Ferdynand, który był na tym obiedzie, byli na nim również ambasador francuski i dr Schacht. Ambasador rosyjski nie przyznawał się, żeby między Niemcami a Rosją toczyły się jakieś tajne rokowania. Informację tego rodzaju otrzymałem w tym tygodniu od naszego posła w Norwegii. Ambasador powiedział, że był ostatnio w Moskwie, a 20 kwietnia wyjeżdża do Francji, żeby objąć stanowisko ambasadora Związku Radzieckiego w Paryżu.

Wczoraj wieczorem nowa pogłoska na temat tajnych rokowań między Niemcami a Rosją, tym razem od Waltera Duranty, korespondenta „New York Times” w Moskwie od 1921 r. Myślę, że coś się dzieje, ale sądzę, że chodzi tylko o umowę handlową. Jakże Hitler mógłby zawrzeć układ polityczny z komunistami?

Dziś o 12-ej przyszedł z pożegnalną wizytą ambasador brytyjski. 16 kwietnia wyjeżdża do Paryża, gdzie przez parę lat ma sprawować funkcje ambasadora. Bardzo się zaniepokoił, gdy mu opowiedziałem wszystkie trzy wersje pogłosek na temat rokowań niemiecko-rosyjskich. Dodałem, że nie bardzo w nie wierzę, ale że coś się chyba szykuje. Wyczułem, że Phipps będzie chciał zaraz wysłać depezę na Downing Street o tym, co mu powiedziałem.

11 kwietnia 1937. Niedziela.

Poufny raport z Frankfurtu ujawnił mi nowe aspekty życia w Niemczech, o których gazety niemieckie nie piszą ani słowa. W dniach od 11 marca do 4 kwietnia w kościołach gromadziły się wielkie rzesze wiernych. Tymczasem w Darmstadt hitlerowcy w czarnych i brunatnych koszulach wystąpili przeciwko odprawianiu nabożeństw w innych kościołach niż kontrolowane przez partię (to znaczy te, w których odbywają się na wpół barbarzyńskie obrzędy religijne ustanowione przez Rosenberga). Tłumy ich zbierały się przed katedrą i ostatecznie pięciu pastorów aresztowano w związku z wygłoszonymi przez nich kazaniem. W okręgu frankfurckim aresztowano trzydzieści siedem osób za uczestniczenie w zebraniach poświęconych wspólnemu czytaniu i komentowaniu Biblii i trzydzieści z nich przebywa jeszcze w więzieniu. Nie wniesiono przeciwko nim żadnego formalnego aktu oskarżenia. Zostali aresztowani i uwięzieni bez sądu na rozkaz miejscowych gauleiterów. Byli to po prostu Niemcy wyznania protestanckiego, którzy wyrazili być może otwarcie niechęć do proponowanej im zmiany swych religijnych przekonań.

W jednej ze szkół wyznaniowych w katolickim Okręgu Saary władze kazały w okresie świąt wielkanocnych zdjąć ze ściany krucyfiks i zawiesić na jego miejsce wizerunek Hitlera. Spotkało się to z gwałtownym protestem rodziców i część z nich nie pozwoliła dzieciom chodzić do szkoły. Zostali za to ukarani grzywną, a niektórzy ojcowie zwolnieni z pracy. Wezwano następnie ludność, żeby się wypowiedziała, czy szkoły wyznaniowe powinny być zamknięte i 97 procent głosujących wypowiedziało się za ich likwidacją. Ale tak już jest w całych Niemczech, że gdy odbywa się jakieś głosowanie, wszyscy czują, że muszą głosować jednakowo, bo jeżeli będą się kierowali tylko własnym przekonaniem, to mogą łatwo znaleźć się w więzieniu.

Pod Stuttgartern, który był niegdyś ośrodkiem myśli liberalnej, pewien amerykański turysta fotografował 30 marca jakąś zabytkową wioskę. Został aresztowany, bo nikomu nie wolno robić zdjęć bez zezwolenia. Po dwóch godzinach został zwolniony, bo miejscowe władze zorientowały się, że aresztowany jest Amerykaninem wydającym w Niemczech swoje dolary i absolutnie nieświadomym surowych przepisów obowiązujących w tym kraju.

W piątek nadeszła wiadomość z Panamy, że przez Kanał przepłynęło 500 Niemców chrześcijan, udając się do Kolumbii, gdzie otrzymają od rządu przydział ziemi. Czyżby ci ludzie wyemigrowali z kraju w poszukiwaniu wolności religijnej? Wielu Niemców twierdzi, że wyjechałoby i 10 milionów, gdyby tylko mogło.

Wczoraj, 10 kwietnia, po południu słońce świeciło tak pięknie i zachęcająco, że pojechaliśmy z żoną i córką samochodem na spacer do słynnego Spreewald położonego na południe od Berlina*. W połowie drogi zobaczyliśmy, że na lewo od szosy przez całą niemal milę ciągnie się ogromny teren wojskowy, na którym widać było solidnie wykończone budynki koszarowe. Las był wszędzie mocno przerzedzony; te wyręby dokonywane są w ramach Planu Czteroletniego, o którym Göring tak często mówi. Ale zasiewy pszenicy i jęczmienia prezentowały się dużo lepiej, niż można się było tego spodziewać po tak długim okresie niepogody; od 1 października prawie bez przerwy padały deszcze. Stare miasteczko Spreewald przypomina miasta z okresu późnego średniowiecza, ale jego mieszkańcy wyglądają zdrowo i są lepiej ubrani niż ludzie, których nieraz widywałem na ulicach Chicago, gdzie płace są z reguły dwa razy wyższe niż w Niemczech.

13 kwietnia 1937. Wtorek.

Była u mnie wczoraj pani Peters, autorka książki *Roosevelt i Kaiser*. Powiedziała, że w Berlinie mieszka pewien Amerykanin ze stanu Iowa, który udaje, że jest studentem wyższych semestrów w jednej z tutejszych uczelni. Jest to w istocie agent organizacji amerykańskich narodowych socjalistów. Na czele jej stoi niejaki Fritz Kuhn z Detroit, który ze składowych pieniędzy utrzymuje swego berlińskiego agenta i ułatwia mu kontakty z Ministerstwem Propagandy i Hitlerem. W rozmowie z panią Peters agent otwarcie zganił mnie za to, że nie chcę współpracować z nazistami. Poprosiłem ją, żeby się z nim jeszcze raz zobaczyła i dowiedziała, co on właściwie tu robi.

15 kwietnia 1937. Czwartek.

W amerykańskich kościołach zaczęto wyświetlać filmy, pokazujące, jak postępuje się w Niemczech z katolikami i protestantami, którzy walczą o prawo swobodnego wykonywania praktyk religijnych. W odpowiedzi prasa niemiecka zaczęła publikować artykuły krytykujące swobodę, z jakiej korzystają wierni w Stanach Zjednoczonych. Nie są one jednak już tak jadowite jak na początku marca, gdy *La Guardia* napadł na Hitlera. Gazety udają, że nie mogą zrozumieć tego rodzaju swobody i zapytują, jak naród, w którego

* Region w Dolnych Łużycach ciągnący się od Cottbus przez Lübben do jeziora Nauendorf.

szeregach o zwycięstwo rewolucji walczył von Steuben, może tak krytycznie odnosić się do jego ojczyzny. Hitlerowcy prawdopodobnie nie wiedzą o tym, że do Ameryki Steubena wysłała rewolucyjna Francja.

Podobnie pisze prasa niemiecka o Carlu Schurzu, ale nigdy nie wspomina o tym, że Carl Schurz za umiłowanie wolności został w Niemczech wtrącony do więzienia i że uciekł przez Francję do Stanów Zjednoczonych po to, żeby tam przez resztę swego życia walczyć w obronie demokracji, którą w dzisiejszych Niemczech tak się potępia. Prześladowuje się ją tutaj z tą samą zaciekłością, co w szesnastym wieku, tylko że teraz mniej się ludzi zabija. Za nauczanie prawd chrześcijańskich siedzą w więzieniu setki księży.

17 kwietnia 1937. Sobota.

Zwrócił moją uwagę niemiecki dziennik urzędowy z 14 kwietnia. Podane są w nim nazwiska 91 osób pozbawionych obywatelstwa niemieckiego. Najwybitniejszą postacią na tej liście jest Ludwig Renn, autor słynnej książki antywojennej. Jest na tej liście wiele dzieci politycznych przeciwników narodowego socjalizmu. Jedno z nich ma zaledwie dwa lata.

Jednocześnie nadchodzą informacje o aresztowaniach członków starych niemieckich rodów arystokratycznych; oskarża się ich o poglądy monarchistyczne i działalność na rzecz przywrócenia cesarstwa. Coraz surowsza staje się kontrola życia osobistego Żydów i coraz surowsze stosuje się wobec nich kary. Nie wolno im się zbierać w żadnym celu, chyba że w synagodze na nabożeństwie. Nie wolno im grać w tenisa i piłkę nożną, uprawiać sportów wodnych, jeździć na kajakach i pływać. Niemcy, dawne królestwo wolności religijnej, stały się dziś ostoją straszliwego despotyzmu. A prawie jedna trzecia ludności udziela swego entuzjastycznego poparcia reżymowi, który przekreślił prawo jednostki do wolności osobistej.

20 kwietnia 1937. Wtorek.

Angielski przywódca robotniczy i znany orędownik pokoju George Lansbury rozmawiał wczoraj po południu przez dwie godziny z Hitlerem. Przypuszczam, że wizytę tę zaaranżował Ribbentrop, żeby podsycić pacyfistyczne nastroje w Anglii i osłabić przez to presję zwolenników zbrojeń, a może nawet i poróżnić Anglię z Francją.

Wczoraj wydaliśmy lunch na cześć ambasadora rosyjskiego, który wkrótce wyjeżdża do Paryża; w związku z tym spóźniłem się trochę po południu do biura. Miałem właśnie wyjechać do Poczdamu, żeby obejrzeć dawny pałac Fryderyka II, gdy zatelefonował do mnie przedstawiciel agencji INS (International News Service), niezwykle zdolny William Shirer, i poinformował mnie, że dowiedział się od Lansbury'ego, iż Hitler wyrażał się z wielkim uznaniem o prezydencie Rooseveltcie i twierdził, że gdyby Prezydent zwołał światową konferencję pokojową, to on, Hitler, gotów byłby z nim współpracować. Do tej wiadomości odniosłem się sceptycznie, bo zarówno Schacht jak Neurath oświadczyli mi 4 marca, że żadnej konferencji nie należy zwoływać, dopóki wielkie mocarstwa nie dojdą ze sobą do porozumienia w sprawach gospodarczych. Zatelefonowałem do ambasady i kazałem wysłać w sprawie

informacji Shirera telegram do Waszyngtonu. Poprzednio tegoż dnia wysłałem do Roosevelta starannie opracowany raport, w którym poddałem analizie sytuację w Niemczech, podkreślając specjalnie zaniepokojenie społeczeństwa możliwością wybuchu wojny. Zazaczyłem, że do pohamowania na pewien czas wojowniczych zapędów Hitlera w dużym stopniu przyczyniły się porażki poniesione przez Franco w Hiszpanii.

Dzisiaj spotkał mnie przykry obowiązek zajęcia w chłodny dzień miejsca na otwartej trybunie ustawionej na wprost słynnej politechniki na Berlinerstrasse i przyglądania się razem z pozostałymi zagranicznymi dyplomatami wielkiej paradzie wojskowej zorganizowanej dla uczczenia czterdziestej ósmej rocznicy urodzin Hitlera.

Wbrew swoim wczorajszym pokojowym deklaracjom i wszystkim naukom płynącym z historii strasznej wojny hiszpańskiej, Hitler przez dwie godziny stał i patrzył z trybuny, jak defilowało przed nim 15 tysięcy wojska wraz z wszelkiego rodzaju bronią wartości wielu milionów dolarów. Nigdy jeszcze nie widziałem w moim życiu tak potężnej militarnej demonstracji.

Całe Niemcy miały dziś święto. Dla uczczenia Hitlera setki tysięcy ludzi przemaszerowało ulicami Berlina. Powszechną uwagę zwracała duża ilość dzieci. Mimo że wielu wybitnych ludzi w Niemczech jest chyba nastawionych negatywnie do nazistowskich rządów, dzisiaj panował powszechny entuzjazm.

Nie wszystkim zagranicznym dyplomatom przypadł ten pokaz do gustu. Ambasador francuski wyglądał przygnębiony, chociaż to przede wszystkim jego kraj przyczynił się do tego, że Niemcy wkroczyły na drogę militaryzacji, a on sam swoją fortunę zawdzięcza częściowo wielkim dostawom broni dla Niemiec w początkowym okresie rządów Hitlera. Ambasador turecki, chociaż w jego kraju jest także dyktatura, był zdeprymowany widokiem wielkiej ilości różnorodnej broni, którą Hitler wybrał na dzisiejszy pokaz. Paru dyplomatów południowoamerykańskich ta impreza przejęła wyraźnie niesmakiem. Dla mnie oczywiście najbardziej deprymujący był kontrast między tym, co oglądałem przez te dwie godziny, a tym, co tak gorąco zalecał Wilson w 1918—1919 r. wszystkim państwom europejskim, które te zalecenia całkowicie zlekceważyły. Liga Narodów, w której tak wielkie pokładano nadzieje, leży w gruzach. Spojrzałem na siedzącego obok mnie Neuratha i wydało mi się, że na jego obliczu maluje się rozterka. Po zakończeniu uroczystości, gdy żegnaliśmy się z dr. Schachtem, i on wydał mi się jakiś zbolący. Musiał odczuwać mniej więcej to samo co ja. W przyszłym roku, jeżeli będę jeszcze w Berlinie, na obchód urodzin Hitlera już nie pojedę.

22 kwietnia 1937. Czwartek.

Gen. Göring, o którym mówiono, że jest chory, wyjechał nagle we wtorek wieczorem do Rzymu, gdzie ma się spotkać z Mussolinim, po czym pojedzie zapewne dalej na kurację w południowych Włoszech. Hitler natomiast poleciał samolotem do Monachium, gdzie na jego cześć tego samego dnia odbyła się druga parada wojskowa. Wreszcie Hess w imieniu partii wygłosił patetyczne przemówienie, w którym nazwał Führera współczesnym Chrystusem.

W toku rozmowy z posłem czechosłowackim dowiedziałem się, że Göring powiedział mi parę dni temu, iż w tym roku udaremnionych zostało kilka zamachów na Hitlera. A dzisiaj rano otrzymałem telegram z Waszyngtonu zawi-

damiający mnie, że młody Żyd, Helmut Hirsch, którego oskarżono o usiłowanie zamordowania sławnego, czy raczej osławionego Streichera z Norymbergi i na tej podstawie skazano na śmierć, jest obywatelem amerykańskim. Z tego względu będę musiał udać się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i domagać się, aby stało się zadość sprawiedliwości, to znaczy, że muszą być w tej sprawie przedstawione konkretne dowody winy i kara musi być wymierzona zgodnie z przepisami prawa.

25 kwietnia 1937. Niedziela.

Niemieckie gazety poświęcają wiele uwagi spotkaniu Mussoliniego z Schuschniggiem, które odbyło się w piątek 23 kwietnia w Wenecji. Mała Ententa nie będzie się już mogła więcej rozwijać na Bałkanach bez aprobaty Mussoliniego i Hitlera. Stwarza to nową sytuację, jeżeli chodzi o poważny problem, o którym z taką nadzieją mówili mi ostatnio posłowie austriacki i czechosłowacki. Mussolini bowiem z pewnością nie pozwoli tym dwóm państwom na zawarcie sojuszu obronnego. Nie zgodzi się również na restaurację Habsburgów, chociaż przez trzy lata zaręczał, że wkroczy do południowych Niemiec, gdyby Hitler próbował wtargnąć do Austrii, aby pokrzyżować plany zwolenników restauracji. Teraz Niemcy i Włochy tworzą zjednoczony front zarówno przeciwko Wschodowi, jak i Zachodowi. Pretensje Habsburgów są Mussoliniemu bardzo na rękę, gdyż na ten temat opinia państw bałkańskich jest wyjątkowo podzielona.

Jutro z Mussolinim spotka się Göring, który 20-go udał się do Włoch na kurację. Myślę, że będzie się starał zneutralizować wpływ, jaki na Mussoliniego mógł wyrzucić Schuschnigg. 3 maja do Rzymu jedzie Neurath. Targi idą również o Hiszpanię. Włochy chciałyby ją anektować, co najmniej zaś rozciągnąć nad nią polityczną kontrolę. Ale wydarzenia nie rozwijały się w ubiegłym miesiącu pomyślnie dla Włochów. Co może im powiedzieć w imieniu Hitlera Neurath? Przypuszczam, że powie: Jeżeli dacie nam wolną rękę w Austrii, zagwarantujemy wam wpływy w Hiszpanii, jeśli Anglia będzie nadal prowadziła swą dwulicową politykę. Celem Włoch i Niemiec jest maksymalne zwiększenie własnej potęgi militarnej i gospodarczej przez grożenie innym narodom wojną; muszą się z tym pośpieszyć, zanim Anglia nie będzie do niej gotowa, a także zanim Polska dziś bardziej zaniepokojona niż kiedykolwiek nie nawiąże ścisłej współpracy z Rumunią i Małą Ententą. Polski minister spraw zagranicznych jest teraz w Belgradzie*, gdzie prowadzi podobno rozmowy z Rumunami. Gdyby Hitler i Mussolini zaczęli teraz wojnę, zbuntowałyby się przeciwko nim ich własne narody. Jeżeli państwa bałkańskie utworzą związek, którego celem będzie samoobrona i udzielanie sobie wzajemnej pomocy, obaj dyktatorzy będą musieli wyrzec się swych agresywnych planów. A jeżeli w Hiszpanii wygrają republikanie, dyktatorskie zapędy w Europie zostaną ukrócone i nastąpi upadek Hitlera i Mussoliniego.

* Omyłka wydawcy. Minister Beck był w dniach 22—25 kwietnia 1937 r. z wizytą w Bukareszcie.

27 kwietnia 1937. Wtorek.

Pewien urzędnik niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który był dziś u nas na lunchu, powiedział do mojej córki: „Helmut Hirsch, ten amerykański Żyd, który postawił sobie za cel zabicie Hitlera*, nie może ujsć cało i otrzymać tylko karę dożywotniego więzienia. Będzie stracony, mimo że swej zbrodniczej decyzji nie usiłował wprowadzić w życie”.

Żadnego dowodu w tej sprawie nam nie przedstawiono, nie było też ani słowa na ten temat w prasie. Komentarze prasy amerykańskiej są jak dotąd bardzo powściągliwe. Ale Niemcy nie zdają sobie chyba sprawy z możliwości gwałtownej reakcji w Stanach Zjednoczonych, w razie gdyby ten dwudziestoletni chłopak został stracony bez udowodnienia mu jego winy. Przypuszczam, że mógł być narzędziem w rękach grupy Niemców mieszkających w Pradze, którzy chcieli pomścić śmierć swych braci i bliskich przyjaciół zabitych na rozkaz Hitlera w dniu 30 czerwca 1934 r. Uważam jednak, że chłopak nie może być stracony, gdyż nie znaleziono i nie podano do wiadomości publicznej żadnych dowodów jego winy. Mówiłem o tym wielokrotnie przedstawicielom Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ale Niemcy odpowiadają: „Obywatel amerykański Simpson, którego ułaskawiliśmy w grudniu [1936 r.], wygłasza teraz w Stanach Zjednoczonych przemówienia wymierzone przeciwko ustrojowi narodowosocjalistycznemu i głosi idee komunistyczne, które chciał propagować w Niemczech za pomocą ulotek”. Wobec tego, twierdzą Niemcy, „Hirscha musimy stracić”. Moja replika: Wywoła to gwałtowne ataki prasy amerykańskiej, gdyż dowodów jego winy nie przedstawiono ani nam, na nasze oficjalne zapytanie, ani w ogóle nikomu.

30 kwietnia 1937. Piątek.

Wiedząc, że podobnie jak na swoje urodziny 20 kwietnia, Hitler zwołał wielką masówkę propagandową w dniu 1 maja, postanowiłem w tym czasie przez parę dni odpocząć. Oficjalne zaproszenie przysłało mi Ministerstwo Propagandy już tydzień temu. Ale byłem przecież niedawno na imprezie urodzinowej, która moim zdaniem przyniosła Hitlerowi raczej ujmę niż zaszczyt, i uważam, że to powinno było wystarczyć, nawet jak na wymagania stawiane zagranicznym dyplomatom. Odpisałem więc, że mnie nie będzie w tym czasie w Berlinie i że na uroczystości zastąpi mnie radca ambasady i pozostali jej członkowie.

Dziś o 11 rano wyjechaliśmy w drogę z żoną i córką samochodem prowadzonym przez naszego doskonałego szofera. Tak pięknej pogody jak tego ranka nie mieliśmy od września ubiegłego roku. Pojechaliśmy wspaniałą Autobahn do Hanoweru, a stamtąd przez Getyngę do średniowiecznego Marburga. Przepiękny krajobraz, a na polach pilnie pracujący chłopci — mężczyźni i kobiety. Noc spędziliśmy w mieście, w którym nie cieszący się skądinąd dobrą sławą Papen wygłosił kiedyś jedyne nie ocenzurowane przemówienie, jakie zostało wygłoszone w Niemczech od czasu naszego przyjazdu do Berlina.

* Omyłka wydawcy: chodziło o Streichera.

1 maja 1937. Sobota.

Wyruszyliśmy już w dalszą podróż w kierunku Verdun, gdy zafascynował nas nagle widok wspaniałego zabytkowego zamku na szczycie wysokiego wzgórza i razem z Martą wysiedliśmy z samochodu, żeby się wspiać schodkami do góry i obejrzeć ten cud średniowiecznej architektury. Na jednym ze zboczy wzgórza zgromadziło się około tysiąca nazistów, którzy wznosili okrzyki i śpiewali pieśni na cześć Hitlera. Powiewało tam wiele flag ze swastyką, choć domy mieszkalne udekorowane były nimi raczej skąpo. Ren przejechaliśmy pod Koblencją i przez południową część Luksemburga dotarliśmy po południu do stolicy księstwa, skąd pojechaliśmy do Verdun. Obejrzeliśmy tam cmentarze wojskowe i domy zburzone przez Niemców w czasie wojny światowej. Smutny to był widok, na polach i w lasach widać wszędzie skutki potężnych wybuchów. W bitwie, która się tu toczyła pomiędzy Francuzami a Niemcami, miało zginąć ogółem pół miliona żołnierzy. Nigdzie nie spotkałem się z bardziej przekonującym dowodem, że wojna nie jest żadnym środkiem rozwiązywania spornych problemów, jak właśnie tu, pod Verdun, i w promieniu wielu mil dokoła tego miasta.

3 maja 1937. Poniedziałek.

Zwiedziliśmy dziś rano w Genewie słynny gmach Ligi Narodów. Delegat amerykański Arthur Sweetser, którego krewnego w Chicago dobrze znamy, był bardzo miły, ale pełen obaw co do przyszłości Wilsonowskich koncepcji, których byliśmy obaj orędownikami w latach 1918—1920 w Chicago i na Środkowym Zachodzie. Opowiedział mi dużo na temat nieudanych prób ratowania pokoju światowego przez Ligę i oświadczył, że zgadza się całkowicie z tym, co w swych urzędowych raportach pisałem o błędach polityki brytyjskiej i francuskiej oraz o zbrodniczym układzie Hoare'a i Laval'a, którzy w listopadzie—grudniu 1935 r. postanowili zdradzić Abisynię. Sweetser był w owym czasie przekonany, że gdyby zastosowano wobec Włoch sankcje zaraz na jesieni 1935 r., Mussolini musiałby się podporządkować uchwałom Ligi.

4 maja 1937. Wtorek.

O 10-ej rano wyruszyliśmy z powrotem do Berlina, drogą przez Bazyleję, Heidelberg i Frankfurt. Piękny to zakątek Europy. Między Bazyleją a Heidelbergiem, w Badenii, przez 10 minut jazdy naliczyłem 45 kobiet pracujących w polu, i to tylko po prawej stronie szosy. Było z nimi może jeszcze paru mężczyzn, ale przeważnie niemłodych. Młodych ludzi Niemcy trzymają pod bronią. W Niemczech kobiety zawsze dużo pracowały w gospodarstwach, uprawiały ziemię, wykopywały chwasty z pól pszenicznych i sadyli ziemniaki. I taką właśnie pracę wykonują teraz te silnie zbudowane kobiety niemieckie o wielkich dłoniach, energią i zręcznością dorównujące mężczyznom. Amerykanie byliby zdumieni, gdyby je zobaczyli przy pracy, a ich własne kobiety w polu wyglądałyby dużo słabsze i mniej zaradne.

Okolo godziny 8 dotarliśmy do Heidelbergu i wjechaliśmy na Autobahn prowadzącą do Frankfurtu, gdzie chcieliśmy przenocować. Szosa była wspa-

niała, taka sama jak między Poczdamem i Hanowerem. Było późno, więc pozwoliliśmy kierowcy na szybką jazdę i robiliśmy około 90 mil na godzinę. Nie było to bezpieczne, bo rozgrzane zbyt szybko opony mogły pęknąć; nic się jednak nie stało i po zakończeniu jazdy ulokowaliśmy się wygodnie w dobrym hotelu.

6 maja 1937. Czwartek.

Na zaproszenie Hitlera przyjechał w poniedziałek do Berlina lord Lothian (Philip Kerr), który w czasie wojny był sekretarzem Lloyd George'a. Jak słychać, spędził w towarzystwie Hitlera dwie godziny. Dzisiaj ma być u nas na lunchu. Neurath był 3 maja w Rzymie i rozmawiał z Mussolinim. Tego samego dnia Göring był w Jugosławii i rozmawiał z szefem rządu jugosłowiańskiego. O co w tym wszystkim chodzi, dowiem się zapewne, przynajmniej częściowo, w ciągu najbliższych paru dni. Przypuszczam, że Hitler i jego najbliższe otoczenie są zaniepokojeni tym, co się dzieje w Hiszpanii, i w równym stopniu zatroskani możliwością zawarcia jakiegoś generalnego układu o współpracy pomiędzy państwami położonymi w strefie Dunaju i Bałkanów. Niemcy uważają, że powinni te państwa anektować, a co najmniej rozciągnąć nad nimi polityczną kontrolę. Włochy zaś chciałyby uczynić to samo, zwłaszcza gdyby miała się od nich uniezależnić Hiszpania.

Gościem honorowym na dzisiejszym lunchu był ambasador Dieckhoff, który dziś wieczorem wyjeżdża do Waszyngtonu. Wygłosiłem na jego powitanie krótkie przemówienie, w którym w żartobliwej formie wspominałem o prowadzonej przez rząd Roosevelta polityce niskich taryf celnych oraz o przyznaniu niepodległości Filipinom*. Goście się śmiali, z wyjątkiem lorda Lothiana, który później twierdził, że o prowadzonych przez nas rokowaniach w sprawie obniżenia taryf celnych nigdy w ogóle nie słyszał. W swojej odpowiedzi Dieckhoff pominął oba te drażliwe tematy, być może z obawy, że słowa jego zostaną powtórzone przez obecnych na lunchu niemieckich gości.

Po lunchu mogłem trochę porozmawiać z Lothianem. Poznałem go w Londynie w 1928 r. Nie brał już wówczas czynnego udziału w życiu politycznym, ale jak zawsze wyrażał się z najwyższym uznaniem o swym byłym szefie Lloyd George'u. Teraz wyśmiewał się z niego, a zwłaszcza z jego ostatnich przemówień wymierzonych przeciwko polityce rządzących Anglią konserwatystów. Wychwalał Hitlera za uratowanie Niemiec w 1933 r. i wspominał o swojej długiej rozmowie z Führerem w dniu 3 maja, twierdząc, że dotyczyła przede wszystkim osoby Mussoliniego i zaognionych obecnie stosunków brytyjsko-niemieckich. Więcej nie chciał mi o tej rozmowie powiedzieć, ale za to kilka razy nawiązał do mego listu z 1935 r., w którym przedstawiłem mu niebezpieczną sytuację, w jakiej znalazła się Europa. Dwukrotnie zdradził się przy tym ze swą nienawiścią do Francji, a także z niechęcią do polityki Wilsona z lat 1918—1919. Trudno mi było doprawdy się zorientować, po której stronie barykady w Europie ten człowiek stoi. Nie spotkałem jeszcze Anglika,

* Dnia 24 marca 1934 r. prezydent Roosevelt podpisał Tydings-McDuffie Act, który zapewniał Filipinom niepodległość za 10 lat, a na razie wprowadzał autonomię. Dn. 9 lutego 1935 r. konstytuanta filipińska uchwaliła projekt konstytucji. Pierwszym prezydentem został Manuel Quezon.

który by miał tak faszystowskie poglądy jak on. Bardzo go boli krytyczne stanowisko Anglii wobec Włoch, a szczególnie wobec Niemiec, w związku z ich barbarzyńską wojną w Hiszpanii.

12 maja 1937. Środa.

Miałem tydzień spokoju, ale dziś dowiaduję się od znajomych dziennikarzy, że mój ostrożnie zredagowany list z 1 marca do senatora Bulkleya stał się przedmiotem gwałtownych dyskusji w amerykańskim Senacie.

Chodziło mi w nim o dwie rzeczy: po pierwsze, żeby wyjaśnić, jak to się stało, że Sąd Najwyższy pod przewodnictwem Marshalla wydał postanowienia, mocą których przypisał sobie prawo zakładania veta przeciwko uchwałom Kongresu; po drugie, żeby raz jeszcze poinformować opinię publiczną o tym, jak zwycięskie partie sparaliżowały wysiłki prezydentów Clevelanda, Theodora Roosevelta i Woodrowa Wilsona — ich własnych szefów wybranych na stanowisko prezydenta przygniatającą większością głosów — gdy chcieli dokonać tego, czego oczekiwali od nich wyborcy. Kończącym wnioskiem było stwierdzenie, że od czasów Lincolna nigdy jeszcze demokracji w Stanach Zjednoczonych nie groziło tak wielkie niebezpieczeństwo jak obecnie.

Dziwne to, ale senatorzy całą swą uwagę skoncentrowali na jednym z końcowych zdań mego listu, w którym napisałem, że według posiadanych przeze mnie informacji pewien Amerykanin, którego majątek obliczany jest prawie na miliard dolarów, wypowiada się za wprowadzeniem w Stanach Zjednoczonych dyktatury na wzór Rosji, Niemiec i Włoch. Ani słowa nie poświęcono w tej dyskusji cytowanym przeze mnie znamienym faktom z historii naszego kraju. Obawiając się, że coś takiego właśnie może się zdarzyć, kopię mego listu do Bulkleya skierowałem do sędziego Moore'a, prosząc go o spowodowanie ogłoszenia jego treści na łamach „Times-Dispatch” w Richmond. I gdy rozpoczęła się dyskusja w Senacie, a może drugiego dnia, list został wydrukowany. Jak dotąd, nie wiadomo mi, jak się w tej sprawie zachowała na ogół prasa. Obawiam się, że po prostu przytoczyła napastliwe wypowiedzi senatorów.

15 maja 1937. Sobota.

Z otrzymanych wycinków prasowych widzę, jak bezwstydnie przekręcona została treść mego listu. Atakują mnie głównie senatorowie Borah i King. Chcą udowodnić, iż jest rzeczą absolutnie konieczną, abym zrezygnował ze swego stanowiska w Berlinie i złożył zeznania przed Senatem w sprawie milionerów, idących na pasku pewnych rządów europejskich. Departament Stanu odmówił Senatowi pomocy w tej sprawie i zdaje się ostrzegł senatorów przed skutkami ich nedorzecznej akcji. Wysłałem dziś telegram do Prezydenta podkreślając fakt, że Senat nie wziął w ogóle pod uwagę głównych argumentów mego listu. Wczoraj wysłałem telegram również do sędziego Moore'a, prosząc go, aby zwrócił uwagę senatora Kinga na fakt sztucznego wyolbrzymienia znaczenia jednego zdania mego listu i poinformował go, że nie będę mógł podać nazwisk ludzi, z którymi przeprowadziłem w kraju poufne rozmowy na temat możliwości ustanowienia w Stanach Zjednoczonych dyktatury. Dziennikarze amerykańscy w Berlinie, którym dałem dokładne

streszczenie tego, co napisałem, i którym wyjaśniłem, dlaczego posiadane przeze mnie informacje na temat planowanej dyktatury w kraju nie mogą być ujawnione, powiedzieli, że prasa amerykańska wydrukowała pełny tekst tego wyjaśnienia. Jeżeli to prawda, można się spodziewać sprostowania niektórych zarzutów.

Ani słowa w tej sprawie nie usłyszałem od niemieckiego Ministra Spraw Zagranicznych. Nie myślę, żeby cokolwiek mogły o niej napisać niemieckie gazety, ale jestem przekonany, że była o niej mowa w telegramach niemieckiej ambasady w Waszyngtonie. Moim zdaniem Niemcy się obawiają, że gdyby zaczęli na mnie napadać, mógłbym napisać książkę o tych czterech ponurych latach, jakie spędziłem w Berlinie. Jestem przeświadczony, że urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych mają dla mnie dużo zrozumienia i są na tyle rozsądni, że wiedzą, co w takich sytuacjach należy czynić i mówić. Jestem gotów w każdej chwili podać się do dymisji i o tym Waszyngton wie. Siedzieć tu i nic nie robić nie jest dla mnie żadną atrakcją.

19 maja 1937. Środa.

Otrzymałem dziś serdeczny list od Prezydenta. Pisze, że zgadza się ze mną w sprawie Sądu Najwyższego, uważa, że bieżący rok jest najodpowiedniejszym okresem dla przeprowadzenia w kraju szczerzej i otwartej ogólnonarodowej dyskusji. List został napisany tuż przed wyjazdem Prezydenta na odpoczynek nad Zatokę Meksykańską. Roosevelta nie było więc w kraju, gdy senatorowie zaatakowali mnie za list skierowany do Bulkleya. W swym liście Prezydent prosi mnie o wydanie opinii o Dieckhoffie, nowym ambasadorem niemieckim, który ma wkrótce przybyć do Waszyngtonu.

Otrzymałem również list od sędziego Moore'a. Pisze, że Prezydent obiecał placówkę berlińską Daviesowi, który jest teraz w Moskwie, a ściśle mówiąc w drodze do Moskwy via Londyn, gdzie wydał zapewne dużo pieniędzy, aby być świadkiem uroczystości koronacyjnych z 12 maja. Moore do tego stopnia uważał sprawę za przesadzoną, że nie doręczył Prezydentowi mojego ostatniego listu. Z mego punktu widzenia ta nominacja wydaje się tak niewłaściwa i nie licująca z demokratycznym charakterem naszego kraju, iż poważnie zastanawiam się, czy nie powinienem wycofać mojej rezygnacji. Co za pomysł, żeby chcieć postawić tu człowieka, który nie umie mówić po niemiecku, nie zna dobrze historii Europy i przyczyn obecnej sytuacji i zamierza wydawać w Berlinie sto tysięcy dolarów rocznie! W każdym razie opóźnię mój powrót do Stanów Zjednoczonych i napiszę Prezydentowi, co myślę o projekcie powierzenia temu człowiekowi tak odpowiedzialnego stanowiska.

20 maja 1937. Czwartek.

Przyszedł dziś do mnie pewien ubogi 70-letni Niemiec. W czasie inflacji stracił cały majątek i obecnie żyje z emerytury. Ale ostatnio wynalazł sposób na uodpornienie drzewa na działanie ognia i przyszło mu do głowy, że mógłby pożyczyć trochę pieniędzy i uruchomić przedsiębiorstwo, które pozwoliłoby mu ponownie dorobić się majątku. Poszedł więc opatentować swój wynalazek, ale, jak twierdzi, władze odmówiły mu rejestracji. Wydało mi się to dziwne;

pokazał mi wówczas jakiś okólnik, w którym było napisane, że wszystkie wynalazki i odkrycia stanowią własność państwa. W każdym razie bał się, że go aresztują, jeżeli jego wizyta u mnie wyjdzie na jaw, tym bardziej że przyszedł mnie prosić o wizę do Stanów Zjednoczonych. Chciałby tam sprzedać swój wynalazek i jakoś się za te pieniądze urządzić. Nie mogłem poprzeć jego planów, gdyż nie miał pieniędzy na pokrycie wstępnych kosztów.

To jeden z wielu znanych mi wypadków tego rodzaju. Parę dni temu otrzymałem sprawozdanie Fundacji Rockefellera za rok 1936. Czytam w nim, że od 1933 r. zwolnionych zostało z pracy w Niemczech 1639 profesorów i nauczycieli i że Fundacja udzieliła tym biedakom pomocy finansowej w wysokości 532 181 dolarów. W ustroju panującym obecnie w Niemczech wszelka opozycja i krytyka jest zabroniona; nauczanie na wszystkich szczeblach, od szkoły podstawowej do uniwersytetu włącznie, podlega ścisłej kontroli władz; Kościół ma być tylko jeden — oparty na pogańskich przesądach z prehistorycznego okresu dziejów niemieckiego narodu. Ten ustrój funkcjonuje zaledwie trzy lata i jestem zdumiony, że tak wielu Niemców już mu się podporządkowało. A w Ministerstwie Spraw Zagranicznych rząd ma swego pełnomocnika od propagandy, który wydaje rocznie miliony dolarów, żeby ten ustrój narzucić całemu światu.

Dziś rano prasa niemiecka gwałtownie zaatakowała kardynała Mundeleina z Chicago za to, że na wielkim zgromadzeniu księży katolickich potępił okrucieństwo ustroju politycznego w Niemczech*. Amerykańscy katolicy najwyraźniej przyłączają się do kampanii przeciwko prześladowaniom religijnym w Niemczech prowadzonej przez Żydów i wyznawców innych wyznań religijnych.

Spotkałem się dziś o 12-ej w południe z dr. Schachtem. Zapytałem go, czy nowy ambasador w Waszyngtonie Dieckhoff posiada formalne pełnomocnictwo do zawarcia nowego układu handlowego ze Stanami Zjednoczonymi. Schacht nie powiedział tak ani nie, podkreślił jednak, że zgadza się z ministrem Hullem co do konieczności obniżenia taryf celnych, jako kroku zmierzającego do utrwalenia pokoju. Ale zaraz dodał, że Hull uniemożliwił Brazylii zawarcie z Niemcami dwustronnej umowy handlowej i związanego z nią porozumienia kredytowego. Powiedziałem, że w to nie wierzę, ale Schacht upierał się przy swoim, twierdząc, iż mu wiadomo, że Hull zagroził Brazylii wstrzymaniem zakupów kawy, gdyby poczyniła Niemcom jakieś koncesje.

Następnie Schacht posunął się jeszcze dalej i oświadczył, że na przyszłość Niemcy będą zawierały umowy wyłącznie dwustronne, takie, jakie już zawarły z Włochami, Belgią i innymi państwami. Wynikało z tego, że bynajmniej nie podziela poglądów ministra Hulla. Gdy zaczął się skarżyć na krytyczne stanowisko Ameryki wobec Niemiec, zapytałem go, czy czytał, co prasa niemiecka napisała o kardynale Mundeleinie z Chicago. Powiedział, że tak. Wówczas wręczyłem mu sprawozdanie Fundacji Rockefellera, w którym mowa jest o zwolnieniu z pracy 1639 profesorów i nauczycieli, podkreślając fakt wypłacenia im przez tę instytucję zapomóg w kwocie 532 181 dolarów. Nie kwestionował tych danych, ale oświadczył: „Tak jest, katolicy, Żydzi i nauczyciele ucierpieli w Niemczech. Ale to są skutki rewolucji, to samo działo się we Francji po 1789 r.” Z tym się nie mogłem zgodzić. Schacht dodał, że procesu tego nie da się zatrzymać jeszcze przez wiele lat. Odniosłem wrażenie, że Schacht pogodził się z despotycznym ustrojem obecnych Niemiec,

* Kardynał George W. Mundelein, od 1915 r. arcybiskup Chicago, wygłosił 19 maja na zjeździe duchowieństwa swojej diecezji mowę, w której w ostrych i dosadnych słowach skrytykował politykę Rzeszy wobec Kościoła i neopoganizm.

który dawniej w rozmowach ze mną potępiał. Byłem tym trochę zaskoczony. Po dzisiejszej rozmowie doszedłem do przekonania, że kwintesencję wypowiedzi Schachta powinienem przetelegrafować do Waszyngtonu. Na polepszenie stosunków niemiecko-amerykańskich nie ma żadnych widoków, nie ma absolutnie żadnej szansy. Schacht tak ze mną rozmawiał, jakby hitlerowski ustrój miał trwać wiecznie.

29 maja 1937. Sobota

Gdy wróciłem dziś po południu do domu z Magdeburga, znalazłem na biurku list z napisem „poufne”. List był od prywatnego sekretarza* Hitlera, Meissnera, i zawierał odpowiedź Hitlera na mój list z 30 kwietnia. Prosiłem w nim o złagodzenie wyroku na biednego Hirscha, którego skazano jakoby za „usiłowanie zabicia Streichera.” Argumentowałem, że Hirsch nie tylko nie popełnił zabójstwa, ale nawet nie usiłował go popełnić; że jest obywatelem amerykańskim i według prawa amerykańskiego nigdy by nie został stracony za to tylko, że miał jakieś złe zamiary, których nigdy nie zrealizował. Odpowiedź Hitlera brzmiała, że złagodzenie wyroku jest niemożliwe.

Po przeczytaniu tego listu postanowiłem po pewnym czasie rozmówić się z Meissnerem osobiście. Zatelefonowałem do niego do domu, ale jego gospodyni powiedziała, że wyszedł i że go dziś wieczorem w domu nie będzie. Liczyłem na to, że uda mi się odroczyć wykonanie wyroku. Jestem głęboko przekonany, że chłopak dał się po prostu nabrać i w żadnym razie nie powinno się go za to zabijać.

Dziś rano miałem znowu ciekawy wypadek. Przyszła Niemka, która szuka sposobu, jak wyemigrować z Niemiec razem z mężczyzną, z którym jest zaręczona od 1933 r. Jest on w 50 procentach Żydem. Jako inżynier zajmował wysokie stanowisko, zanim Hitler przyszedł do władzy. Ona pracowała we francuskiej ambasadzie jako kancelistka. W 1933 r. zwolniono go z pracy. Na próżno usiłował znaleźć inną. Nie pozwolono nikomu go zatrudnić. Ślub musieli odłożyć, bo w Niemczech zawrzeć go nie mieli prawa.

Ona również straciła pracę i nie mogła znaleźć innej. Zaatakował ich „Stürmer”, który nie mógł im wybaczyć, że są tak do siebie przywiązani. Udało się jej uzyskać audiencję u samego Hitlera. Prosiła o wyrozumiałość, o prawo poślubienia swego narzeczonego. Spotkała się z odmową. Tajna policja odebrała mu paszport zagraniczny. Korespondencja do nich jest konfiskowana, szczególnie z zagranicy. Fräulein miała nadzieję, że amerykański konsul w Berlinie pomoże im wyjechać do Stanów Zjednoczonych; mają tam krewnych, ale nie mają od nich wiadomości, bo wszystkie listy są zatrzymywane.

Sytuacja tych dwojga ludzi wydała mi się godna współczucia, ale doprawdy nie widziałem, w czym można by im pomóc. Oświadczyła, że jeżeli nic ode mnie nie uzyska, to będą usiłowali przekraść się przez granicę do Francji; dodała, że ambasador francuski obiecał im swoją pomoc, gdyby ich tam aresztowano z powodu nieposiadania paszportów.

Innym wymownym wydarzeniem z okresu ostatnich paru dni był pogrzeb ofiar katastrofy „Hindenburga”**. Pogrzeb odbył się 22 maja we Frankfurcie;

* O. Meissner był szefem kancelarii prezydenta Rzeszy w randze ministra stanu.

** Sterowiec „Hindenburg” spłonął w czasie lądowania w Lakehurst (St. Zjedn.) 6 maja 1937 r. Zginęło 36 osób.

organizował go miejscowy gauleiter. Śmiertelne szczątki odprowadzone zostały na cmentarz przez dziesiątki tysięcy członków SA, SS i „Hitlerjugend”. Osoby cywilne musiały usunąć się na bok, a podczas odprawiania obrzędów stały w tyle. Mimo obecności katolickich i protestanckich księży i wiernych, gauleiter Sprenger nie wspomniał ani słowem o Bogu i zbawieniu dusz zmarłych, powiedział tylko zgodnie ze staropogańskim wierzeniem, że zmarli „poszli do Walhalli”. Wskazywałoby to, że religia Rosenberga zaczyna się przyjmować. Na ten nowy, a zarazem stary obrządek nikt się podobno we Frankfurcie nie użalał. Na zakończenie pogrzebu rozległy się salwy armatnie i ponad zgromadzonymi tłumami przeleciały klucze wojskowych samolotów.

31 maja 1937. Poniedziałek.

Jak zwykle po paru miesiącach pobytu w Berlinie prześladowają mnie znowu uporczywe bóle głowy. Wczoraj, mimo że to była niedziela, byłem bardzo zajęty. Z okazji Dnia Poległych wygłosiłem przemówienie w kościele amerykańskim na temat: „Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie” (Ewangelia Św. Mateusza, VII, 12). Chciałem wykazać, że wojnę prawie zawsze się przegrywa, nawet jeżeli wygrywa się ostatnią bitwą. Chcąc się zabezpieczyć przed przekręceniem moich słów przez gazety w Stanach Zjednoczonych, doręczyłem krótkie streszczenie mego referatu amerykańskim agencjom prasowym w Berlinie. Mówiłem przez pół godziny; na sali panowała kompletna cisza. Obawiam się, że w prasie niemieckiej nie ukaże się na ten temat ani słowa, mówiłem przecież o pokoju.

Wobec otrzymania w sobotę po południu pisma zawiadamiającego mnie, że Hirsch będzie jednak stracony, pojechałem dziś do Neuratha i zapytałem, czy nie mógłby wpłynąć na Hitlera, aby prawo amerykańskie zostało jednak uszanowane. Neurath wyraził zrozumienie dla mojego stanowiska i powiedział, że porozmawia jutro w tej sprawie z Hitlerem i poprosi go co najmniej o odroczenie egzekucji.

W związku z ogólnym podnieceniem wywołanym zbombardowaniem u wschodniego wybrzeża Hiszpanii niemieckiego okrętu wojennego, na którym zginęło przeszło dwudziestu marynarzy, zapytałem Neuratha, jak do tego doszło. Odpowiedział, że nie wie, ale dodał, iż wypowiedział się przeciwko zbombardowaniu w odwet jakiegoś hiszpańskiego miasta. Podkreślił, że ponownie domagał się, aby Niemcy wyraziły zgodę na wycofanie wszystkich wojsk walczących w Hiszpanii, wątpi jednak, czy londyński komitet nieinterwencji będzie w stanie coś w tej sprawie osiągnąć wobec wycofania się z komitetu przedstawicieli Niemiec i Włoch*. Sytuację określił jako bardzo niebezpieczną.

2 czerwca 1937. Środa.

Pojechałem dziś po południu do Meissnera, sekretarza Hitlera, i raz jeszcze z naciskiem oświadczyłem, że byłoby wielką niesprawiedliwością, gdyby Hirsch został stracony bez przedstawienia mnie lub memu rządowi dowodów

* Dn. 29 maja 1937 r. hiszpańskie samoloty rządowe zbombardowały znajdujący się w porcie Ibiza niemiecki pancernik „Deutschland”. W odwet niemieckie okręty

jego winy. Dodałem, że minister Hull znowu przysłał telegram, w którym każe mi prosić o odroczenie egzekucji, a w razie przedstawienia przekonywających dowodów winy o zmianę wyroku na karę dożywotniego więzienia. Meissner oświadczył, iż zostało udowodnione, że Hirsch miał rzucić bombę i zniszczyć dom partii w Norymberdze, a także zabić Streichera, znanego antysemitę i wydawcę „Sturmera”. Przyznał jednak, że ze względu na amerykańskie obywatelstwo Hirscha należałoby wziąć pod uwagę normy prawa amerykańskiego. Obiecał mi, że pójdzie do Hitlera w środę rano i przedstawi mu mój apel. Zaznaczył, że egzekucje w Niemczech dokonywane są w ścisłej tajemnicy i wyraził obawę, że Führer nie zgodzi się nawet na odroczenie egzekucji Hirscha.

W Hiszpanii wyczuwa się lekkie odprężenie, chociaż nadchodzą informacje, że w drodze do tego kraju są samoloty, łodzie podwodne i okręty z niemieckimi żołnierzami. Podobno nowy ambasador brytyjski w Berlinie wykazuje całkowite zrozumienie dla niemiecko-włoskiej agresji w Hiszpanii. Nazywa się Henderson. Zanim tu przyjechał, był przez kilka lat w Argentynie. Wcale nie ukrywa, że jest po stronie Franco, nie zdając sobie najwyraźniej sprawy z niebezpieczeństwa grożącego Anglii w razie jego wygranej. Miał również poinformować rząd niemiecki, że Anglia nie będzie protestowała, gdyby Hitler zajął Austrię lub Czechosłowację.

Miss Schultz, korespondentka chicagowskiej „Tribune”, powiadomiła mnie dziś po południu, że Neurath wyjeżdża 7 czerwca z oficjalną wizytą do Jugosławii, Węgier i Bułgarii. Domyślam się, że otrzymał polecenie storpedowania wysiłków Austrii, Czechosłowacji i Rumunii, które chcą rozszerzyć system wzajemnej pomocy w ramach Małej Ententy. Ta wizyta jest chyba logiczną konsekwencją decyzji udzielania pomocy Włochom w zdobyciu Hiszpanii. Gdy to nastąpi, Niemcy przystąpią do realizacji swych tysiącletnich marzeń i zaanektują wszystkie państwa bałkańskie, a co najmniej je sobie podporządkują. Włochy mają panować nad strefą Morza Śródziemnego, z wyjątkiem Francji, Niemcy zaś nad 80 milionami ludności Bałkanów aż po granice Grecji. Smutne są te dzisiejsze informacje.

3 czerwca 1937. Czwartek.

Odbyłem dziś po południu dwie interesujące, choć daremne wizyty. O 5-ej pojechałem do ambasadora francuskiego. Przyznał, że istnieje groźne niebezpieczeństwo zagarnięcia Hiszpanii przez Włochy, a później państw bałkańskich przez Niemcy. Neurath powiedział mi we wtorek, że udało mu się zapobiec dalszemu bombardowaniu Hiszpanii przez Niemcy. W każdym razie argumenty wysunięte przez niego w tej sprawie na poniedziałkowym posiedzeniu gabinetu uznane zostały za przekonywające. To dużo więcej, niż dowiedziałem się od niego w poniedziałek.

Gdy powiedziałem ambasadorowi, jakie mamy zmartwienie z powodu Hirscha, oświadczył, że zna tę sprawę, ale stanowiskiem Hitlera nie jest bynajmniej zaskoczony. W dalszym ciągu rozmowy powiedział: „Dowiedziałem się, że to Mussolini kazał zabić dwa lata temu przybyłego do Marsylii króla jugosłowiańskiego. Takie są metody, którymi ten dyktator się posługuje”.

Z ambasady francuskiej udałem się bezpośrednio do niemieckiego Minister-

wojenne zbombardowały 31 maja t.r. miasto Almerię. Jednocześnie rząd niemiecki i włoski oświadczyły, że nie będą brały udziału w obradach komitetu nieinterwencji, dopóki nie otrzymają gwarancji, że tego rodzaju wypadki więcej się nie powtórzą.

stwa Spraw Zagranicznych, gdzie zięć Neuratha, von Mackensen, poinformował mnie, iż jego teść, zgodnie z udzielonym mi przyrzeczeniem, rozmawiał we wtorek rano z Hitlerem, starając się mu wyperswadować egzekucję Hirscha. Dodał, że w tej samej sprawie rozmawiał z Hitlerem dziś rano i po raz drugi o godzinie 2-ej Meissner, który ostrzegł Hitlera przed jej międzynarodowymi reperkusjami. „Ale Hitler — dodał Mackensen — nie zgodził się nawet na odroczenie egzekucji i Hirsch ma być stracony jutro o świcie.” Nie ma sposobu, żeby temu zapobiec. Przypomniałem Mackensenowi o błędach, które Niemcy popełnili już poprzednio w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Nie oponował, ale prawdziwego zrozumienia sytuacji nie wykazał.

4 czerwca 1937. Piątek.

Dziś o świcie biednemu Hirschowi ucięto głowę. Gdy zjawili się u mnie przedstawiciele prasy, uznałem, że muszę im podać fakty związane z tą egzekucją i poinformować o tym, jak zabiegaliśmy o uratowanie mu życia, mimo że bynajmniej nie twierdziliśmy, że był całkowicie niewinny. Jest rzeczą możliwą, że ten młody Żyd, działając za podszeptem Niemców przebywających za granicą (którzy w kraju byli prześladowani przez hitlerowców), chciał faktycznie — czemu trudno się dziwić — zabić Streichera. Przecież jedynym od pięciu lat zajęciem tego hitlerowca było znęcanie się nad Żydami i wypędzanie ich z kraju.

Mieszkańcy Europy mają się z pewnością czym martwić, ale i w Stanach Zjednoczonych występują smutne objawy szerzącego się bezprawia, które po pewnym czasie może stworzyć poważne kłopoty naszej demokracji; tej upragnionej przez nas demokracji, do której mamy pełne zaufanie, chociaż nie wszyscy ją w kraju praktykują.

Rządy, które roszczą sobie prawo do miana demokratycznych, gdyż — jak twierdzą — zawsze postępują zgodnie z interesem rządzonych przez siebie narodów, często robią niewłaściwy użytek z posiadanej władzy. Ta krytyczna uwaga brzmi oczywiście bardzo łagodnie w porównaniu z tym, co się dzieje we wszystkich wielkich krajach od czasu zakończenia wojny światowej. Wciąż mam przed oczami opublikowane w swoim czasie relacje o tym, jak amerykańscy i brytyjscy producenci broni ustawicznie torpedowali wysiłki Ligi Narodów na rzecz utrzymania pokoju na świecie. Wkrótce po moim przyjeździe do Berlina dowiedziałem się, że w dojściu do władzy pomogli Hitlerowi francuscy producenci broni. Czy ludzkość jest w stanie być uczciwa i sprawiedliwa? Czy administracja państwowa i potężne koncerny przemysłowe są w stanie pracować dla dobra szerokich mas?

XII. OD 5 CZERWCA 1937 DO 28 WRZEŚNIA 1938 ROKU

5 czerwca 1937. Sobota.

Ten tydzień był bardzo ciężki. W poniedziałek o świcie samoloty niemieckie zbombardowały bezbronną ludność hiszpańskiego miasta Almeria. Niemcy nie zgodzili się na zrewidowanie swego stanowiska w sprawie Hirscha, mimo że nasz rząd kilkakrotnie domagał się przedstawienia mu przekonywających dowodów jego winy i uwzględnienia norm prawa amerykańskiego w związku z tym, że Hirsch de facto nie usiłował zabić Streichera. Ale samowola władzy jest dziś jeszcze większa niż w średniowieczu. Trudno powiedzieć, co z tego wszystkiego wyniknie: opanowanie przez Niemców całej Europy czy nowa wojna?

14 czerwca 1937. Poniedziałek.

Wydaliśmy wczoraj lunch na cześć pułkownika Knoxa, który w zeszłym roku kandydował na stanowisko wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Wśród gości byli dr Kühlmann, były niemiecki minister spraw zagranicznych, i kapitan Wiedemann, osobisty doradca Hitlera, często przebywający w jego towarzystwie. Obok mnie po prawej stronie siedział ambasador argentyński; wysiłał się, żeby mówić po angielsku. Obecnych było również kilku czołowych dziennikarzy: Lochner, Ebbut z londyńskiego „Timesa”, Shirer z koncernu prasowego Hearsta, oraz Deuel z chicagowskiej „Daily News”, od sześciu lat należącej do Knoxa.

Zdziwiło mnie, że Knox, który całe życie był ortodoksyjnym republikaninem, mówił przyjaznym tonem o Johnie L. Lewisie, wpływowym działaczu CIO i organizatorze licznych włoskich strajków w Stanach Zjednoczonych. Powiedział, że zna Lewisa już wiele lat (był sam republikańskim działaczem robotniczym do 1932 r.) i widział się z nim tuż przed wyjazdem ze Stanów Zjednoczonych. Jego zdaniem Lewis będzie zabiegał o nominację na kandydata partii demokratycznej w 1940 r. i jeżeli nominacji nie uzyska, wycofa się z demokratycznej konwencji i mając zapewnione poparcie niemal wszystkich związków zawodowych, stanie do wyborów jako niezależny kandydat. To zdaniem Knoxa dałoby szansę republikanom na odzyskanie władzy w kraju. Dodał jednak, że jeżeli jego partia chce wygrać, musi stać się partią liberalną. Z tego, co mówił, wywnioskowałem, że już teraz Knox i inni przywódcy republikańscy zachęcają Lewisa do wysunięcia swojej kandydatury. O Rooseveltie Knox mówił tak, jakby się zgadzał ze wszystkim, co Prezydent zrobił lub usiłuje zrobić. Z późniejszych słów Knoxa wywnioskowałem, że sam ma zamiar ubiegać się o nominację z ramienia partii republikańskiej i poczynił

już w tym kierunku pierwsze kroki. Ostatnio spędził miesiąc w Europie. Rozmawiał z Mussolinim i innymi włoskimi osobistościami, jednakże z Hitlerem i Göringiem się nie zobaczy.

W sobotę z rozkazu Stalina straconych zostało ośmiu generałów Czerwonej Armii. W porozumieniu z Niemcami, a nawet z francuskimi faszystami mieli knuć spisek, mający na celu obalenie rządu radzieckiego. Oskarżono ich o to, że obiecali odstąpić Niemcom Ukrainę i zerwać pakt obronny z Francją i Czechosłowacją. Trudno mi ocenić, co się naprawdę za tym wszystkim kryje, ale Wiedemann, który siedział wczoraj obok mnie przy stole, powiedział, że musiał poświęcić sobotę i niedzielę na zdobycie w tej sprawie maksimum informacji; przekazał je następnie telefonicznie Hitlerowi przebywającemu w Berchtesgaden niedaleko granicy austriackiej. Nasuwa się w związku z tym pytanie, czy ludzie Hitlera nie prowadzą faktycznie jakiejś akcji w Rosji.

Tymczasem prasa niemiecka rozpisuje się o nowej barbarzyńskiej zbrodni w dziejach współczesnego świata, nie wspominając jednak ani słowem, że w czerwcu i początkach lipca 1934 r. Hitler i Göring zabili setki swych politycznych przeciwników. Na tajnym spotkaniu z wyższymi oficerami niemieckiej armii Hitler musiał się przyznać do niektórych z tych zbrodni. Żadnych jednak dowodów winy uśmierconych przez niego oponentów nigdy nie ogłoszono. Zdumieniem napawa fakt, że Goebbels, który odegrał dużą rolę w mordowaniu Niemców w 1934 r., teraz każe podległej sobie prasie potępiać egzekucję rosyjskich generałów.

17 czerwca 1937. Czwartek.

Gdy prasa niemiecka trąbi, że Neurath jedzie do Londynu rokować z Anglią w sprawie utrzymania pokoju, Hitler w tym samym czasie przemawia do młodych Włochów i oświadcza, że jest przygotowany do wojny. W Stanach Zjednoczonych społeczeństwo jest chyba zdecydowane zachować neutralność, nawet gdyby cała Europa miała się znaleźć pod władzą jednego dyktatora.

Ostatnie dwa tygodnie walk w Hiszpanii i wydarzenia w Rosji tak dalece zaabsorbowały uwagę mocarstw europejskich, iż wydaje się, że Hitler, Göring i towarzysze po raz pierwszy od chwili dojścia do władzy mają szansę anektowania pewnych części, a może nawet i całej Czechosłowacji. Austrię też by chcieli mieć, ale nie są pewni reakcji Mussoliniego. Władcy Niemiec marzą o aneksjach bez wojny, bo finansowo już zbankrutowali, a żywności mają bardzo mało. Trwająca od trzech tygodni susza zredukuje chyba o 30 procent zbiory pszenicy i innych upraw na obszarze obejmującym połowę terytorium Niemiec.

W poniedziałek, w dzień rozpoczęcia rokowań z Anglią, aresztowanych zostało w Niemczech pięciu duchownych protestanckich. Najwybitniejszym z nich jest Jacobi z kościoła wzniesionego dla uczczenia pamięci Wilhelma I; rozmawiałem z nim kiedyś na temat wolności religijnej. Jednocześnie nastąpiły aresztowania w Monachium, a w Kolonii dokonano rewizji w domu katolickiego biskupa. Berliński korespondent londyńskiego „Timesa” twierdzi, że redakcja dziennika nie chce drukować więcej niż połowę jego reportaży. Natomiast w „Manchester Guardian” ukazują się relacje, które docierają do redakcji chyba jakimiś tajnymi kanałami za pośrednictwem brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

20 czerwca 1937. Niedziela.

Wczoraj wieczorem byliśmy z żoną na obiedzie u posła łotewskiego. Prawie wszyscy goście wypowiadali się w rozmowie z niezwykłą, jak na stosunki berlińskie, otwartością. Poseł nie jest człowiekiem bogatym; jego dom i jadalnia są urządzone skromnie, ale wygodnie. Zaraz na samym początku dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jest nastawiony negatywnie do narodowosocjalistycznej dyktatury i bardzo się niepokoi, czym się zakończy londyńska konferencja Niemiec, Anglii, Francji i Włoch. Francuski ambasador François-Poncet, który siedział przy stole naprzeciwko mnie, otwarcie mówił w obecności innych gości o grożących nam niebezpieczeństwach. Sam jednak nigdy nie przyznaje, że Francja popełniła w styczniu 1935 r. wielki błąd, oferując Włochom Abisynię i doprowadzając przez to Ligę Narodów do ostatecznej klęski.

Łotewski attache wojskowy, który siedział obok mnie po prawej stronie, otwarcie mówił o groźnych konsekwencjach, jakie mogą wyniknąć z osłabienia międzynarodowej pozycji Rosji. Posła czechosłowackiego niepokoiła groźna sytuacja jego małego kraju. Zgodził się z prognozą „Manchester Guardian”, dotyczącą dalszego rozwoju wydarzeń, i powiedział, że zadaje sobie pytanie, czy w obliczu nieustających ataków prasy niemieckiej na rząd czeski Benesz może sobie pozwolić na jakiś przyjazny gest pod adresem Hitlera. Powiedział mi, że złożył w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych oficjalny protest przeciwko fałszywym doniesieniom, jakoby jego rząd prowadził politykę popierającą prześladowanie Niemców zamieszkałych w Czechosłowacji. Małżonka posła powiedziała do mojej żony: „Gdyby Niemcy na nas napadli, Rosja przyjdzie nam natychmiast z pomocą”. Wątpię w to, chyba że Francja zaatakowałaby Niemcy w Nadrenii.

Po obiedzie usiadłem razem z posłem łotewskim i ambasadorem francuskim i w toku naszej rozmowy poruszyłem problem hiszpański. Francuz był pesymistą i przepowiadał upadek Bluma w ciągu dwóch dni. Wątpię w to, choć wiem, że sytuacja w Paryżu jest groźna. Potem François-Poncet powiedział, że Anglia ma zamiar zgodzić się na niemieckie żądania dotyczące Bliskiego Wschodu. Zapytałem, czy oznacza to, że wybuchnie wojna? „Nie, może nie zaraz — odpowiedział — bo Francja jest nastawiona bardzo pacyfistycznie.” Dodał jednak, że wynajmując na lato domek pod Poczdamem, zastrzegł sobie prawo rozwiązania umowy po upływie miesiąca. Na serio się boi, że wojna wybuchnie pod koniec lipca.

Ja w to nie wierzę, bo z żywnością w Niemczech jest krucho i Hitler chce zająć Austrię i Czechosłowację bez wojny. Jedyłą naprawdą nie rozszyfrowaną potęgą jest Rosja. Francuski ambasador oświadczył, że wiedział o tym, iż jacyś Niemcy są w kontakcie z rosyjskimi generałami w sprawie obalenia Stalina; chodziło im prawdopodobnie o zdobycie upragnionej przez Hitlera Ukrainy.

23 czerwca 1937. Środa.

Jak dotąd bieżący tydzień jest pełen napięcia. W poniedziałek gazety doniosły o upadku rządu Bluma we Francji. Sądząc, że Rosja jest osłabiona i widząc upadek Frontu Ludowego we Francji (składającego się w 30 procentach z komunistów) Hitler najwyraźniej doszedł do wniosku, że zbliża się chwila, gdy będzie mógł dyktować swoją wolę Europie. Poleciał więc Neuratho-

wi, żeby do Londynu nie wyjeżdżał. Anglicy złożyli podobno Niemcom bardzo korzystną ofertę, ale Hitler, jak się wydaje, zażądał jeszcze większych ustępstw w Hiszpanii czy też w Austrii i Czechosłowacji, a może i tu i tam. Gdy Anglia oświadczyła, że dalej się w swych ustępstwach posunąć nie może, Hitler uparł się przy swoich niesłychanych żądaniach i zabronił Neurathowi wzięcia udziału w londyńskiej konferencji.

We wtorek minister propagandy Goebbels wygłosił przemówienie, w którym gwałtownie zaatakował Rosję, Czechosłowację, Francję i Anglię. Jednocześnie prasa niemiecka napadła na ministra spraw zagranicznych Edena za jego oświadczenie, iż na żadne dalsze ustępstwa Anglia pójść nie może. Mamy relacje, pochodzące z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i brytyjskiej ambasady w Berlinie, że ambasador Henderson udzielił Neurathowi de facto nagany, w gruncie rzeczy przeznaczony dla Hitlera. Przez dwa miesiące robił, co mógł, żeby ułatwić Niemcom i Anglii rozwiązanie spornych problemów dotyczących Hiszpanii, a może nawet i niemieckich pretensji na wschodzie. I właśnie w chwili, gdy zdawało się, że wysiłki jego odniosą sukces, Hitler zerwał rokowania. Henderson nazwał to czystym szaleństwem i nie ukrywał swej złości.

Gdy zobaczyłem się z Neurathem na jego dorocznym przyjęciu na cele dobroczynne, okazał chęć do rozmowy ze mną. „Przykro mi — powiedziałem — że nie jedzie pan do Londynu, aby położyć kres tej ciągnącej się już tak długo wojnie w Hiszpanii.” Z miejsca odpowiedział, że jemu też jest przykro i dał mi do zrozumienia, iż zdaje sobie sprawę, jak wielkim błędem była arbitralna decyzja Hitlera. W ogrodzie rezydencji Neuratha zgromadziło się około tysiąca gości. Kilku zagranicznych dyplomatów wyraziło Neurathowi swoją sympatię, nawet Francuz a także przedstawiciele państw południowoamerykańskich, głównie zaś państw położonych w strefie Dunaju i Bałkanów.

Dzisiejsze relacje mówią, że Mussolini jest niezadowolony z decyzji Hitlera, że niezadowolona jest również niemiecka generalicja, która spodziewała się, że będzie mogła wycofać wojsko z Hiszpanii, i że raz wreszcie sam Hitler jest zakłopotany. W ścisłość tej ostatniej informacji wątpię. W każdym razie wysłaliśmy telegram do Waszyngtonu w sprawie gwałtownych ataków prasy na Anglię i sygnalizowanego zaniepokojenia ludności kontrastującego z postawą prasy. Moim zdaniem Hitler spodziewał się, że uzyska, czego żądał, bo Francja i Rosja były kompletnie zdezorientowane, ponadto zaś chciał wbić klin pomiędzy Anglię i Francję.

Chcąc się dowiedzieć, jakie jest w tej sprawie stanowisko Anglii, pojechałem do ambasadora Hendersona. Z początku rozmawialiśmy o popieranej przeze mnie od dwóch lat koncepcji zacieśnienia stosunków handlowych między Anglią i Stanami Zjednoczonymi na bazie obniżenia taryf celnych. Ambasador powiedział, że całkowicie podziela moje poglądy. Ale gdy zapytałem go o stanowisko jego rządu wobec Niemiec, oświadczył: „Polityka mego rządu w stosunku do Niemiec jest nierozsądna. Powiedziałem to Neurathowi. Powiedziałem mu także, że równie nierozsądna była decyzja Hitlera w sprawie zatrzymania go w kraju”.

Przechodząc do naświetlenia tego problemu w szerszej skali, Henderson rzekł: „Niemcy pod władzą Hitlera podejmują na nowo politykę Bismarcka, który dążył do aneksji wszystkich zamieszkałych przez ludność pochodzenia niemieckiego krajów europejskich, jak Austria, Czechosłowacja i inne kraje”. Chociaż podejrzewałem Hendersona o sprzyjanie niemieckiej polityce aneksji terytorialnych, nie spodziewałem się, że w swych wypowiedziach posunie się tak daleko. Po chwili dodał: „Niemcy muszą objąć zwierzchnictwo nad strefą

Dunaju i Bałkanów, a to oznacza dominację Niemiec w Europie. Anglia wraz ze swym imperium i wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi będzie panowała na morzu. Anglia i Niemcy powinny nawiązać ściśle stosunki w dziedzinie gospodarczej i politycznej i decydować o losach świata". „Francja — powiedział — już się przeżyła i nie warto jej podtrzymywać. W Hiszpanii powinien rządzić Franco." O istnieniu brytyjsko-amerykańskiego frontu oporu przeciwko nazistowskiej polityce prześladowania katolików, protestantów i Żydów wydawał się w ogóle nie wiedzieć. Zastanawiam się, czy ambasador Henderson faktycznie reprezentuje stanowisko swego rządu. Co by się stało z Anglią, gdyby Niemcy anektowały wszystkie kraje aż po Morze Czarne?¹

¹ Wydawca i sir Neville Henderson wymienili w powyższej sprawie listy treści następującej:

16 stycznia 1941 r.

Szanowny Panie,

Mam zamiar wydać drukiem dziennik prowadzony przez Williama E. Dodda w okresie pełnienia przez niego obowiązków ambasadora Stanów Zjednoczonych w Niemieckiej Rzeszy.

W załączeniu przesyłam Panu odpis pewnego ustępu pod datą 23 czerwca 1937 r.

Przyszło mi na myśl, że p. Dodd mógł mylnie zrozumieć Pańskie słowa. Gdyby tak było istotnie, byłoby mi bardzo miło, gdybym mógł zamieścić w przypisie Pańskie sprostowanie wypowiedzi p. Dodda.

Z poważaniem Victor Gollancz

W. P. Sir Neville Henderson, P. C., K. C. M. G.,
St. James's Club,
106 Piccadilly,
London W. 1.

22 stycznia 1941 r.

Szanowny Panie,

Wysoko cenię sobie Pańską uprzejmość, że zechciał Pan zwrócić się do mnie o skomentowanie relacji p. Dodda z rozmowy przeprowadzonej ze mną w Berlinie. Rozmowy tej sobie nie przypominam i z tego względu mogę Panu tylko napisać, co z przypisywanych mi słów mogłem powiedzieć, a czego absolutnie powiedzieć nie mogłem. Ale i to nawet jest rzeczą trudną, gdyż relacja p. Dodda jest w każdym razie niezwykle bałamutna.

Weźmy na przykład pierwszą z przypisywanych mi wypowiedzi, dotyczącą Neuratha. W żadnym razie nie mogłem powiedzieć do Hitlera, że „nierozsądne było zatrzymanie Neuratha w kraju". Chodzi tu niewątpliwie o to, że Hitler nie zgodził się na wyjazd Neuratha ze specjalną wizytą do Londynu dla przedyskutowania stosunków angielsko-niemieckich (na początku czerwca 1937 r. — patrz początek V rozdziału mojej książki). Tymczasem ze słów cytowanych przez Dodda wynikałoby, że moim pragnieniem było pozbyć się Neuratha z Berlina (co jest oczywistym absurdem!).

To samo dotyczy moich wypowiedzi o charakterze ogólnym. Jest wprost nie do pomyślenia, żebym mógł powiedzieć, jak to zapisał Dodd w swym dzienniku, że Bismarck chciał anektować „Czechosłowację i inne kraje". W tym miejscu mogłem najwyżej powiedzieć, że Hitler kontynuuje politykę Bismarcka, zmierzającą do zjednoczenia wszystkich Niemców w jednym państwie. Było jasne, że takie są właśnie zamiary Hitlera i każdy mój raport do rządu Jego Królewskiej Mości to potwierdzał. (Patrz strona 77: *Fiasko pewnej misji o moim wyjeździe na zjazd partyjny w Norymberdze**). Ale stwierdzenie faktu istnienia pewnej polityki i jej popieranie to dwie zupełnie różne rzeczy. Polityki tej — mogę to śmiało powiedzieć — nigdy nie pochwalałem, mimo że uważałem zjednoczenie Niemiec za rzecz na dalszą metę nieuniknioną, a w każdym razie zdawałem sobie sprawę, że przeszkodzić w tym można im tylko siłą. Wykluczone jest również, żebym mógł powiedzieć, że „Niemcy

* Wydanie polskie: *Nieudana misja*, Warszawa 1970 s. 57 i nast.

30 czerwca 1937. Środa.

Otrzymałem dziś od jednego z moich przyjaciół niepokojące wiadomości na temat nowego wiceministra spraw zagranicznych Sumnera Wellesa. Zgodnie z tą informacją, Welles zawdzięcza swoją nominację sześciu senatorom, którzy zagrozili po cichu Rooseveltowi, że jeżeli nie powoła Wellesa na to stanowisko, to będą głosowali przeciwko projektowanej przez Roosevelta reformie Sądu Najwyższego. Welles był ambasadorem na Kubie w początkowym okresie prezydentury Roosevelta. Jak słyszałem, zachowaniem swoim sprawił mu wówczas wiele kłopotu.

Dom, który prowadzi w Waszyngtonie, jest jednym z największych w tym mieście, pracuje w nim piętnaścioro służby; drugi dom na lato ma w Marylandzie. Szczyci się tym, że wydaje dwa razy więcej pieniędzy od ministra Hulla i urzędująca przyjęcia, z którymi trudno jest konkurować nawet zagranicznym ambasadorom. Byłem trochę zdziwiony, gdy parę dni temu przeczytałem w gazecie, że Roosevelt spędził którąś niedzielę z Wellesem w jego wiejskiej rezydencji w Marylandzie. Polityka to osobliwa gra, nawet jeżeli ją prowadzi taki prawdziwy mąż stanu jak Roosevelt.

muszą objąć zwierzchnictwo nad strefą Dunaju i Bałkanów". Przez pięć lat mego pobytu w Belgradzie broniłem Bałkany przed jakąkolwiek dominacją, czy to niemiecką, czy włoską, czy rosyjską! Mogłem natomiast powiedzieć, że przeznaczeniem Niemiec jest odegrać dominującą rolę w Europie centralnej i basenie Dunaju. To również byłoby tylko stwierdzeniem sytuacji faktycznej, wynikającej z wielkości i sprawności organizacyjnej państwa niemieckiego.

Przypisywana mi wypowiedź, że Anglia i Niemcy „powinny rozciągnąć kontrolę polityczną nad całym światem”, jest czystą brednią i trudno ją pogodzić z poprzednim zdaniem, w którym mowa jest o Stanach Zjednoczonych. Mogłem natomiast powiedzieć, że dla zapewnienia trwałego pokoju w Europie konieczne byłoby znalezienie jakiegoś modus vivendi pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami.

Prawdą jest, że miałem bardzo niewielkie zaufanie do skuteczności polityki francuskiej, ale wykluczone jest, żebym mógł powiedzieć, iż Francji „nie warto podtrzymywać”. Wolałbym raczej tysiąc razy Francję podtrzymać, tylko że nie bardzo wierzyłem w celowość jej podtrzymywania.

Mogłem natomiast powiedzieć, iż moim zdaniem w Hiszpanii wygra Franco. Wydawało mi się to wówczas rzeczą nieuniknioną z uwagi na prowadzoną przez Zachód politykę nieinterwencji, podczas gdy inne państwa w Hiszpanii interweniowały.

Jeżeli chodzi o zarzut ignorowania faktu, że naziści prześladowali wszystkie wyznania religijne, mogę tylko powiedzieć, iż zrobiłem coś, czego chyba żaden zagraniczny dyplomata poza mną nie zrobił — poszedłem z protestem w tej sprawie bezpośrednio do samego Hitlera — i to przed dniem 23 czerwca 1937 r. Przyznaję, że jedyna odpowiedź, jaką mi się udało uzyskać od Hitlera, brzmiała: „W żadnym kraju religia nie cieszy się tak wielką swobodą jak w Niemczech"! Na to nie mogłem już nic powiedzieć, zdumienie dech mi zaparło.

Cały ten ustęp został napisany przez p. Dodda w sposób niezwykle bałamutny i wyjątkowo niedokładny. Co prawda wszystkie rozmowy ze mną, o ile pamiętam, były prowadzone przez p. Dodda w sposób niezwykle chaotyczny. Jest w tym ustępie mowa o rzeczach prawdziwych, jak na przykład o tym, że Hitler chciał zjednoczyć wszystkich Niemców w ramach własnego państwa i zdobyć dzięki temu panowanie nad centralną Europą. Ale Dodd utrzymuje, że to ja sobie tego życzyłem, podczas gdy w rzeczywistości chodziło mi tylko o stwierdzenie, że takie były nie ukrywane bynajmniej zamiary Niemiec. Osobiście lubiłem Dodda i uważałem go za dobrego historyka, ale ilekroć z nim rozmawiałem, zawsze mu tłumaczyłem, że istnieje tylko jeden sposób pohamowania Hitlera: użycie siły.

Z poważaniem Nevile Henderson

6 lipca 1937. Wtorek.

Złożył mi dziś wizytę prezydent Filipin Quezon. Jak mi powiedział, celem jego przyjazdu do Niemiec jest poznać ten kraj, porozmawiać z Hitlerem i omówić możliwość zawarcia z Niemcami układu handlowego. Znam Quezona mniej więcej od 1912 r., gdy był w Chicago i apelował o przyznanie Filipinom niepodległości. Wydaje się, że jest to człowiek zdolny i rozważny. Myślą przewodnią jego życia było zdobycie dla swego kraju pełnej niezależności i cel ten wydaje się bliski urzeczywistnienia. Ale niepokoi go trochę Japonia i w związku z tym wyraził nadzieję, że Niemcy będą mogły odzyskać swoje kolonialne posiadłości na Dalekim Wschodzie. Sądzę, że godzi się na to w przeświadczeniu, iż może to przeszkodzić Japonii w dokonaniu aneksji tego kraju. Quezona niepokoi również bardzo perspektywa zastosowania do Filipin amerykańskiej taryfy celnej.

12 lipca 1937. Poniedziałek.

Odwiedził mnie poseł amerykański w Austrii, George S. Messersmith. Ma wkrótce zastąpić w Departamencie Stanu wiceministra Carra, który pracował na tym stanowisku przez 40 lat.

Poinformowałem Messersmitha, że poseł austriacki w Berlinie wyraził mi w czasie wspólnego spaceru w Tiergartenie poważne zaniepokojenie o los swego kraju. Zdaniem Messersmitha to zaniepokojenie jest wynikiem rozmów przeprowadzonych przez pewnego wysokiego urzędnika austriackiego z brytyjskim ambasadorem w Berlinie Hendersonem. Ambasador oświadczył, że Austria jest nazistowska i wobec tego musi być przyłączona do Niemiec. Poinformowany o tej wypowiedzi austriacki kanclerz Schuschnigg zapytał natychmiast telegraficznie Londyn, co to ma znaczyć.

Dementi Edena uspokoiło Schuschnigga, ale Messersmith dodał, że wyjeżdżając z Wiednia w dalszym ciągu liczył się z możliwością jakiegoś kryzysu. Szczególnie niepokojące są narady Hitlera w Berchtesgaden, gdyż Papen postawił takie żądania, których Austria nie mogła przyjąć. Zdaniem Messersmitha Austria będzie walczyła, jeżeli na rozkaz Hitlera wojsko niemieckie wkroczy na jej terytorium. To normalna kolej rzeczy.

Dziś po południu odwiedził mnie Karl von Wiegand; był ostatnio w Austrii, kurując się tam z choroby, której nabawił się w Hiszpanii. Powiedział, że w Austrii nadal panuje wielkie zaniepokojenie. W Monachium rozmawiał przez godzinę z generałem Reichenau, jednym z czołowym przedstawicieli niemieckiej armii. Generał jest mocno zirytowany postępowaniem Führera, który zaangażował się w otwartą interwencję w Hiszpanii. Powiedział, że wojsko jako całość bynajmniej nie solidaryzuje się z partią hitlerowską, ale Hitler poważnie zwiększył siłę formacji SS, przenosząc do nich najlepszych młodych oficerów z wojska i utworzył z SS swoją prywatną armię. Pięć tysięcy żołnierzy SS stacjonuje w Monachium, a inne jednostki rozrzucone są po całym kraju. Wydaje się, że Hitler chce się w ten sposób zabezpieczyć przed ewentualnym powstaniem lub buntem wojskowym. Policja rekrutowana jest z szeregów SS i jest wspaniale wyszkolona.

13 lipca 1937. Wtorek.

Dziś rano był u mnie ambasador chiński, żeby wyrazić swoje uznanie dla Stanów Zjednoczonych za zajęcie przyjaznego stanowiska wobec jego kraju w związku z podjęciem przez Japonię nowych agresywnych kroków w północnych Chinach.* „Japonia — powiedział — wybrała obecną chwilą do zaatakowania Chin dlatego, że Rosja z powodu trudności wewnętrznych nie jest w stanie udzielić nam teraz żadnej pomocy. Japońscy militaryści również dlatego prą teraz do wojny, bo myślą, że zwycięstwo w Chinach przywróci rządowi sympatię narodu, który ostatnio już dwa razy przygniatającą większością głosów wypowiadał się przeciwko obecnemu systemowi rządów.” Chociaż nie orientuję się na tyle w sytuacji na Dalekim Wschodzie, żeby mieć absolutną pewność, iż słowa ambasadora odpowiadają prawdzie, uważam, że jego analiza jest logicznie uzasadniona i wydaje się być poprawna. Ambasador był bardzo zmartwiony, ale powiedział, że jego rząd będzie walczył z Japonią do upadłego.

14 lipca 1937. Środa.

W związku z trudną i niebezpieczną sytuacją międzynarodową złożyłem dziś o 12-ej wizytę ministrowi spraw zagranicznych Neurathowi. Gdy wchodziłem do gmachu Ministerstwa, opuszczał go właśnie ambasador japoński. Neurath oświadczył mi, że Rosja podżega Chińczyków do walki z Japończykami. Gdy powtórzyłem mu wczorajsze wypowiedzi ambasadora chińskiego, upierał się, że jest to rosyjska prowokacja, dodał jednak, że Niemcy gotowe są poprzeć Stany Zjednoczone i Anglię, gdyby doszło do rokowań w sprawie pokoju na Dalekim Wschodzie.

Gdy zapytałem go o sytuację w Hiszpanii, odpowiedział, że Mussolini już nie domaga się od Niemiec wysłania do tego kraju więcej żołnierzy i amunicji. Jakże można by z tego wyciągnąć konkretne wnioski, trudno powiedzieć, ale wszystkie wypowiedzi na temat wojny w Hiszpanii wydają się wskazywać, że jesteśmy w przededniu jej zakończenia z wynikiem pomyślnym dla Niemiec i Włoch.

Jestem gotów prędzej uwierzyć w to, co mi powiedział Chińczyk, niż w jakiegokolwiek oświadczenia niemieckich dygnitarzy. W wielu rzeczach Neurath nie zgadza się z Hitlerem, ale w końcu zawsze mu ustępuje.

20 lipca 1937. Wtorek.

Na życzenie ministra Hulla odwiedziłem dziś po południu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych wiceministra Mackensena. Przez pół godziny próbowałem się od niego dowiedzieć, co Niemcy naprawdę myślą o protestach Stanów Zjednoczonych przeciwko wojnie na Dalekim Wschodzie. Ale dowiedziałem się od niego jedynie, że „Rosja po cichu pomaga zarówno Japonii, jak Chinom, gdyż zależy jej na osłabieniu obu tych państw”.

* Dn. 7 lipca 1937 r. Japończycy bez wypowiedzenia wojny napadli na Chiny w Luguqiao pod Pekinem i na nowo rozpętali wojnę chińsko-japońską.

Niemcy, powiedział, są w równym stopniu przyjacielem Japonii co Chin, ale nie mają zamiaru pomagać żadnej ze stron. Gdy zapytałem go, jakie jest jego stanowisko wobec złożonego mu na polecenie Hulla memorandum, odrzekł, że nie może mi udzielić odpowiedzi na piśmie, gdyż Neuratha nie będzie w Berlinie do 1 września, a on sam też jutro wyjeżdża; zaznaczył jednak z naciskiem, że Niemcy solidaryzują się z protestami Anglii i Stanów Zjednoczonych przeciwko wojnie na Dalekim Wschodzie, chociaż oficjalnego poparcia w tej sprawie udzielić im nie mogą. Mam co do tej solidarności pewne wątpliwości.

Następnie Mackensen wszczął dyskusję na temat amerykańsko-brazylijskich stosunków handlowych. Twierdził, że rozwój ich zmierza do storpedowania wymiany handlowej pomiędzy Brazylią a Niemcami. Gdy wyjaśniłem, że stanowisko Stanów Zjednoczonych w tej sprawie podyktowane jest wyłącznie tym, że nie mogą się one zgodzić na premiowanie niemieckiego eksportu do Brazylii, przyznał, że premie te są wypłacane. Miesiąc temu protestując przeciwko naszej umowie z Brazylią twierdził, że Niemcy żadnych premii eksportowych nie wypłacają. Gdy zwróciłem mu uwagę, że poprzednio powiedział, iż żadnych premii nie ma, odparł: „Nie, tego nie powiedziałem”. Ja jednak pamiętam, że to wówczas powiedział i o dzisiejszym wyparciu się przez niego własnych słów powiadomiłem Waszyngton.

Ponieważ nie zadowolili mnie informacje, jakie uzyskałem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w sprawie Dalekiego Wschodu, pojechałem na rozmowę do ambasadora francuskiego. Oświadczył, że Rosja nie ma nic wspólnego z konfliktem na Dalekim Wschodzie. Dodał jednak, że gdyby Rosja przystąpiła do wojny po stronie Chin, będzie to oznaczało wybuch wojny w Europie. Gdy zapytałem go o stosunek Niemiec do Hiszpanii, powiedział, że gdy w ubiegłą niedzielę widział się z Hitlerem, ten rozmawiał z nim tak, jakby miał pewność, że wojna w Hiszpanii wkrótce się skończy. Następnie dodał: „Kłopoty wewnętrzne Włoch i opozycja przeciwko rządowi są tak wielkie, że Mussolini już więcej wojska do Hiszpanii nie wyśle”. Nie bardzo w to wierzę, choć sądzę, że naród włoski jest przeciwny dalszemu udziałowi Włoch w wojnie hiszpańskiej.

Ambasador francuski opowiedział mi o wielkiej propagandowej imprezie poświęconej sztuce pięknym, która odbyła się w końcu ubiegłego tygodnia w Monachium. Przemówienie, które wygłosił Hitler, było wręcz infantylne. Gdy zapytałem go, czy pojedzie we wrześniu na zjazd partyjny do Norymbergi, odpowiedział: „Wszyscy dyplomaci dali mi do zrozumienia, że na zjeździe będą. Zwróciłem się do mego rządu z zapytaniem, czy mam tam pojechać. Ponieważ nie dostałem odpowiedzi, zawiadomiłem szefa protokołu dyplomatycznego Bülowa-Schwante, że będę na zjeździe tylko jeden dzień i nie będę mógł być obecny w czasie wygłaszania mów propagandowych”. A więc po raz pierwszy na zjeździe obecni będą ambasadorowie państw demokratycznych. Powiedziałem ambasadorowi francuskiemu, że nie mogę brać udziału w tego rodzaju propagandowych zebraniach partyjnych. Nigdy tego nie robiłem i robić nie będę, chyba że każe mi to zrobić mój rząd, ale taka sytuacja musiałaby się skończyć moją dymisją. Nie mam ochoty siedzieć cicho i słuchać, jak Hitler i Goebbels rzucają gromy potępienia na państwa demokratyczne. Zgodził się ze mną, ale dodał: „Może jednak powinniśmy wszyscy pojechać, żeby uniknąć ewentualnych przykrości”.

24 lipca 1937. Sobota.

Wyjechałem z żoną o 10.45 rano i na 5.30 dojechaliśmy do Hamburga, z tym że po drodze zatrzymaliśmy się na pół godziny, aby zjeść lunch. Otrzymałem natychmiast moją kabinę na „City of Baltimore” i o 7-ej wieczorem okręt wyruszył w drogę, płynąc powoli w dół Łaby.

26 lipca 1937. Poniedziałek.

Wczoraj morze było, jak to się tu nazywa, „lekko wzburzone” i prawie wszyscy pasażerowie zapadli na morską chorobę. Wyszedłem na pokład wyczerpany bólem głowy, który prześladowa mnie od dwóch miesięcy, jak również niedyspozycją żołądka na tle nerwowym, która tak mi dokuczyła, że przez trzydzieści godzin nic nie jadłem.

Z Berlina nadeszły wiadomości, że znowu aresztowano wielu protestanckich pastorów; 57 osadzono w więzieniu, wśród nich brata Niemöllera. W piątek stracono dwóch Niemców zamieszkałych w pobliżu polskiej granicy, gdyż mieli przekazać Polakom jakieś informacje na temat niemieckich planów militarnych. Wciąż to despotyczne traktowanie wszelkich oponentów, katolików, protestantów, Żydów, no i oczywiście nieostrożnych gadułów. Ustrój totalitarny nie zna w niczym umiaru. Od dwóch lat marzę o wyjeździe z Niemiec na zawsze. Nie wiem, co mi Prezydent powie tym razem, ale w tej atmosferze nie będę już mógł długo wytrzymać.

4 sierpnia 1937. Środa.

Dopłynęliśmy dziś wczesnym rankiem do Norfolk. Do Round Hill zajechaliśmy przed 5 po południu. Farmy po drodze prezentowały się wszędzie bardzo korzystnie, a na terenie starej Wirginii dużo lepiej, niż można się było tego spodziewać. Od Leesburga do Round Hill pola wyglądały jeszcze piękniej.

11 sierpnia 1937. Środa.

Po tygodniu lekkiej pracy na farmie (reperowałem drogi i przenieśliśmy starą wędzarnię na dogodniejsze miejsce) pojechałem na spotkanie z prezydentem Rooseveltem i zjadłem z nim lunch. Gdy wychodziłem, ze dwadzieścia osób czekało na audiencję. Prezydent jest bardzo zaniepokojony możliwością wybuchu wojny, a także przeciągającą się depresją gospodarczą w kraju. Rozmawiał ze mną niezwykle szczerze przez całą godzinę.

Powiedział: „Chciałbym, żeby pan wrócił do Berlina na dwa lub trzy miesiące. Obiecałem ambasadorowi Daviesowi, który jest obecnie na placówce w Rosji, że gdy pan ustąpi ze swego stanowiska, mianuję go na pana miejsce”.

Prezydent był poinformowany, że mam być jednym z mówców na sesji Instytutu Stosunków Międzynarodowych w Williamstown, zapowiedzianej na pierwszą połowę września. Namawiał mnie, żebym koniecznie tam pojechał

i „nazwał rzeczy po imieniu”. Powiedziałem mu, że zostałem również zaproszony do wygłoszenia prelekcji na kilku uniwersytetach w Wirginii i Północnej Karolinie, czuję się jednak nie bardzo dobrze i potrzebny mi jest rzetelny wypoczynek. Nakłaniał mnie do przyjęcia w miarę możliwości wszystkich zaproszeń. Najwyraźniej chciał, żebym dał z siebie wszystko i na tych zebraniach wyjaśnił i przedyskutował różne problemy krajowe i międzynarodowe.

Po tej rozmowie w Białym Domu odwiedziłem ministra Hulla. Zaskoczył mnie wiadomością, że 6 sierpnia był u niego ambasador Dieckhoff i zaprotestował przeciwko ogłoszonej poprzedniego dnia treści wywiadu, którego udzieliłem po przybyciu do kraju. Wspomniałem co prawda w tym wywiadzie o Lutrze, ale nie powiedziałem niczego na temat Niemiec i wydarzeń w tym kraju, więc nie rozumiem, co się w tym wywiadzie mogło Dieckhoffowi nie podobać. Minister Hull z miejsca dał mi taką odpowiedź: „Zgadzam się w zupełności z tym, co nasz ambasador powiedział, i nie rozumiem, jak może pan z powodu tego wywiadu składać mi jakiś protest”. Rozmawialiśmy z ministrem prawie godzinę i okazało się, że w dalszym ciągu — jak to zresztą było od samego początku — zgadzamy się w naszych poglądach na problemy europejskie. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie widzieć Daviesa na stanowisku ambasadora w Berlinie i robił wrażenie zadowolonego, gdy się dowiedział, że chociaż na trzy miesiące wrócę jeszcze do Berlina.

Mój wielki przyjaciel, sędzia R. Walton Moore, obecnie radca Departamentu Stanu, doradził mi, żebym złożył wizytę nowemu wiceministrowi Sumner Wellesowi. Od dawna już się orientuję, że Welles jest negatywnie nastawiony do mojej osoby i do wszelkich moich sugestii. Przesłałem mimo to swój bilet wizytowy do sekretariatu ministra Wellea z propozycją rozmowy, okazało się jednak, że jest akurat zajęty; ponieważ nie miałem ochoty czekać, wsiałem do samochodu i wróciłem na swoją farmę.

Nigdy jeszcze nie widziałem takiego zagęszczenia ruchu kołowego na ulicach Waszyngtonu jak dzisiaj. W śródmieściu trudno było nie tylko jechać, ale nawet poruszać się na własnych nogach. Straciłem prawie godzinę, żeby dojechać do sklepu, w którym kupiłem segregator do korespondencji, a przecież ten sklep był oddalony zaledwie o trzy ulice od Departamentu Stanu. W drodze do domu mijały mnie na szosie całe sznury samochodów. Pracownik stacji benzynowej na Pensylwania Avenue, od którego kupowałem benzynę, powiedział: „W Waszyngtonie jest 700 tysięcy samochodów, a ludności niecałe 600 tysięcy”. Byłem szczęśliwy, gdy wydostałem się z miasta.

4 września 1937. Sobota.

Dziś rano przeczytałem w nowojorskiej „Herald Tribune” ustęp mego poufnego listu do ministra Hulla, w którym wypowiedziałem się przeciwko obecności na norymberskiej imprezie partyjnej Prentissa Gilberta, naszego obecnego chargé d'affaires w Berlinie. Była również w gazecie wzmianka o moim telegramie wysłanym do Hulla z Williamstown; protestowałem w nim stanowczo przeciwko złamaniu obowiązującego od 150 lat w naszej dyplomacji zwyczaju nieuczestniczenia w zagranicznych imprezach partyjnych.

List do Hulla wysłałem na dziesięć dni przed wyjazdem do Williamstown na ręce sędziego Moore'a z prośbą o niepokazywanie go nikomu i osobiste doręczenie ministrowi. Teraz treść tego listu ukazuje się w prasie i to w takiej formie, jak gdybym tego rodzaju oświadczenie złożył publicznie w Williams-

town; dzieje się to w parę dni zaledwie po tym, jak Gilbert obalił stworzony przeze mnie w ciągu tych czterech lat precedens i pojechał na wielką propagandową imprezę narodowosocjalistyczną w Norymberdze.

30 września 1937. Czwartek.

Pojechałem do Waszyngtonu na pogrzeb mego przyjaciela od najmłodszych lat, dr. J. F. Jamesona. Ten nieprzeciętny człowiek był przez wiele lat naczelnym redaktorem „American Historical Review”, a w chwili swej nagłej śmierci zajmował stanowisko zastępcy głównego bibliotekarza Stanów Zjednoczonych. W smutnej uroczystości wzięło udział wielu historyków, dawnych moich kolegów i współpracowników. Nie znałem bardziej uczonego historyka od Jamesona. Teraz już odszedł od nas na zawsze, miał 78 lat.

18 października 1937. Poniedziałek.

Umówiwszy się w sprawie wykonania pewnych robót z Tomem Reedern, solidnym lokatorem jednego z moich domów, wyruszyłem w drogę do Nowego Jorku, żeby stamtąd raz jeszcze rozpocząć podróż do Berlina. Departament Stanu ustalił datę mego wyjazdu na 20-go, a minister Hull powiedział mi (było to chyba w piątek), że Prezydent, który przebywa obecnie w swej nowojorskiej rezydencji w Hyde Park, chciałby ze mną jeszcze raz porozmawiać. W połowie września rozmawiałem z nim po raz drugi. Poprosiłem więc mego syna Williama, żeby znowu wyjechał na moje spotkanie do New Brunswick w stanie New Jersey. Jazda zabrała mi dużo czasu. Gdy przyjechałem na miejsce o 5-ej po południu, u wejścia do hotelu „Wilson” czekał na mnie William. Zastąpił mnie przy kierownicy i pod wieczór znaleźliśmy się obaj w jego mieszkaniu położonym w centrum Nowego Jorku, ale tak cichym, że można było w nim naprawdę wypocząć. Miałem już zasnąć, gdy zadzwonił sekretarz Prezydenta i powiedział, że jestem oczekiwany jutro o 11-ej rano. A więc znowu będę musiał wyjść wcześniej z domu.

19 października 1937. Wtorek.

Jadąc cudownymi parkowymi alejami zajechaliśmy na 11.30 do wspaniałej rezydencji Prezydenta.

Prezydent wyraził zaniepokojenie sytuacją międzynarodową; mówił o konflikcie chińsko-japońskim* i szansach brukselskiej konferencji pokojowej**,

* Dn. 5 października 1937 r. F. D. Roosevelt wygłosił przemówienie w Chicago, w którym zapowiadał porzucenie neutralności i proponował narzucenie Japonii „kwarantanny”.

** Dn. 30 sierpnia 1937 r. rząd chiński poinformował państwa członków Ligi Narodów o fakcie agresji japońskiej, a 12 września t.r. złożył w Lidze Narodów skargę przeciw Japonii. Sprawę Liga postanowiła przekazać państwom-członkom Ligi, które podpisały traktat 9 państw gwarantujący niepodległość Chin (w Waszyngtonie 26 lutego 1922 r.). Delegaci państw — sygnatariusze traktatu — zebrałi się na konferencji w Brukseli 3 listopada. Stwierdzono, że Japonia pogwałciła traktat waszyngtoński, nie uchwalono jednak żadnych praktycznych kroków przeciw Japonii.

na której reprezentować go będzie Norman Davis. Prezydenta dręczy pytanie: czy możliwa jest realna współpraca pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, Anglią, Francją i Rosją? Jeżeli tak, to można będzie pohamować Japończyków i zmusić europejskich dyktatorów do zajęcia bardziej pokojowego stanowiska. Odpowiedziałem, że szansę tej współpracy są moim zdaniem niewielkie, skoro Anglia tak uporczywie odmawia zawarcia jakiegokolwiek układu ze Stanami Zjednoczonymi, nawet w sprawach handlowych.

Na zakończenie naszej rozmowy raz jeszcze zaapelowałem do Prezydenta, żeby na moje miejsce mianował ambasadorem w Berlinie profesora Uniwersytetu Columbia Shotwella. Odpowiedział, że mianuje albo Shotwella, albo zawodowego dyplomata Hugh Wilsona, przydzielonego obecnie do Departamentu Stanu. Wówczas po raz drugi oświadczyłem, że powinien w miarę możliwości mianować jednak Shotwella, gdyż jest on szeroko ustosunkowany w sferach uniwersyteckich i cieszy się opinią wybitnego uczonego-humanisty. Prezydent zgodził się ze mną co do tego, ale nie chciał się konkretnie do niczego zobowiązać.

Na zakończenie rozmowy zaprosił mnie i Williama na lunch; do stołu zasiadła również matka Prezydenta oraz jego rodzina z Waszyngtonu. Było to przemile spotkanie. Żegnając się ze mną, Prezydent raz jeszcze powiedział: „Niech pan pisze do mnie prywatnie o tym, co się dzieje w Europie. Pańskie pismo czytam bez trudu”. Obiecałem, że będę pisał tego rodzaju poufne listy, ale co robić, żeby docierały do niego nie czytane przez szpiegów?

Wczoraj wieczorem byłem na zebraniu zaprzyjaźnionych z Williamem członków pewnej organizacji pokojowej; William współpracuje z nią i wygłasza na jej zlecenie odczyty. Ze dwudziestu mówców występujących w obronie pokoju wyraziło aprobatę dla przemówienia Roosevelta wygłoszonego niedawno w Chicago, w którym Prezydent niemalże otwarcie wypowiedział się za wojną celem położenia kresu japońskiej agresji w Chinach i włoskiej w Hiszpanii. Byłem tym trochę zaskoczony. Przedstawiciel poważnej amerykańskiej organizacji pokojowej oświadczył, że neutralność Stanów Zjednoczonych pokoju nie zapewni. W stosunku do Japonii powinien być zastosowany bojkot. Mówca wezwał mego syna do wygłoszenia szeregu odczytów, które by wyjaśniły społeczeństwu sens tego bojkotu. Na sali byli profesorowie Uniwersytetu Columbia, przedstawiciele sfer gospodarczych i dziennikarze. Była też jakaś bardzo energiczna kobieta. Działo się to wczoraj wieczorem; na ten sam temat dyskutowano gorąco również dzisiaj wieczorem.

20 października 1937. Środa.

Prezes wydawnictwa Macmillana George P. Brett junior doręczył mi egzemplarz autorski mojej książki *Dawne Południe: Boje o Demokrację*, która ma ukazać się w sprzedaży 26 października. Przy tej okazji prosił o możliwie szybkie wykończenie drugiego tomu pt. *Dawne Południe: Nasz pierwszy amerykański ustrój społeczny*, nic nie wspominając o mojej rezygnacji, którą zamierzałem pierwotnie złożyć 1 września. Jeżeli chodzi o termin zakończenia pracy nad drugim tomem, nie mogłem mu niczego obiecać. Nie napisałem jeszcze ani jednego wiersza. Brett powiedział, że tom, który teraz wychodzi, uznany został przez jego recenzentów i weryfikatorów za bardzo interesujący. Ze swej strony podziękowałem mu za ilustracje, których wcale nie było mu łatwo zdobyć.

Po nim zjawiły się jeszcze inne osoby, tak że prawie do samego odjazdu byłem zajęty. Tym razem spędziłem w Stanach Zjednoczonych dwa i pół miesiąca, ale w dalszym ciągu mam te same bóle głowy, które dokuczały mi w chwili, gdy 24 lipca wyjeżdżałem z Hamburga.

29 października 1937. Piątek.

Znowu w Berlinie. Co ja tu jeszcze mogę zrobić?

3 listopada 1937. Środa.

Żeby się zorientować w bieżącej sytuacji, przez trzy dni czytałem różne papiery i dokumenty i przeglądałem ostatnie gazety. Zgodnie z podjętą w Waszyngtonie decyzją, opuszczam moje stanowisko w Berlinie około 1 marca 1938 r. Prezydent ustalił taki termin, chociaż poprzednio prosiłem go o zwolnienie mnie już z dniem 1 września 1937 r. Wydaje mi się, że pragnie zatrzymać mnie w Berlinie jeszcze przez parę miesięcy w związku z kłopotliwą sytuacją, w jakiej stawiają go naciski takich ludzi jak Davies, obecnie urzędujący w Moskwie, lub Thomas Watson, który także chciałby być tutaj. Czuję, że muszę stąd odejść, bo dłużej w atmosferze narodowosocjalistycznych Niemiec nie wytrzymam. Poza tym przybywa mi lat i jeżeli będę dalej zwlekał, trudno mi będzie napisać następne tomy mego *Dawnego Południa*.

Wizyty, które muszę przyjmować w ambasadzie, są równie częste jak poprzednio. W poniedziałek senator James Lewis z Chicago przez godzinę mówił mi w zaufaniu, co myśli o Prezydencie, położeniu gospodarczym Stanów Zjednoczonych i groźnej sytuacji międzynarodowej. Chociaż wiele podróżował po Europie, wydaje się nie rozumieć, jaka powinna być naprawdę polityka amerykańska.

We wtorek chiński ambasador dr Czeng przez pół godziny wyjaśniał mi stanowisko swego rządu. Wyraził przy tym nadzieję, że Stany Zjednoczone wspólnie z Anglią udzielą Chinom poparcia w walce z okrutnym japońskim imperializmem. Oświadczył, iż jedzie do Brukseli, żeby się zorientować, co myślą o tym uczestnicy konferencji dziewięciu państw. Dr Czeng swego czasu studiował w Chicago i kiedyś mi powiedział, że znał mnie jako profesora uniwersytetu.

Dzisiaj był u mnie przez godzinę poseł szwajcarski. Mówił o sytuacji w Europie i zjeździe partii hitlerowskiej w Norymberdze, na którym był przez trzy dni. Chociaż na niektórych większych przyjęciach zauważyłem rzeczy, które mogłyby wskazywać na coś innego, myślę, że jest wciąż przeciwnikiem nazizmu i obawia się aneksji swego kraju przez hitlerowskie Niemcy. Nic jednak nie wspomniał o tym, że rząd szwajcarski przyznał partii narodowosocjalistycznej w tym kraju różne przywileje. Zdecydował o tym strach przed Hitlerem; rząd czuje, że gdyby postępował inaczej, mogłoby to skłonić Niemcy do agresji. Dziś wieczorem byłem na przyjęciu w Instytucie im. Cesarza Wilhelma*,

* Kaiser Wilhelm Institut w Berlinie był placówką "Kaiser Wilhelm Gesellschaft zur Förderung der Wissenschaften" założonego w 1911 r. w Berlinie. Środki na utrzymanie Towarzystwa dostarczył przemysł, banki i wielcy właściciele ziemscy. Prezesem Towarzystwa był w latach 1930—1937 Max Planck.

wydanym w związku z objęciem stanowiska przez nowego dyrektora Instytutu. Dotychczasowy dyrektor, mój przyjaciel Planck, przechodzi na emeryturę. Instytut nie jest nazistowski i szereg wybitnych przedstawicieli świata gospodarczego obecnych na przyjęciu bynajmniej nie ukrywało swych poglądów. Nie mieli w klapach żadnych hitlerowskich odznaczeń i nie mówili „Heil Hitler”, gdy ktoś podchodził do nich, żeby się z nimi przywitać.

13 listopada 1937. Sobota.

Dziś wieczorem byliśmy na balu wydawanym corocznie przez dr. Franka, prezesa związku prawników i członka gabinetu Hitlera. Przyszły tłumy, byli też prawie wszyscy zagraniczni dyplomaci. Od każdego gościa oczekiwano, że ofiaruje coś na „Winterhilfe” (doroczną nazistowską zbiórkę charytatywną) w formie zakupu biletu loteryjnego. Nie słyszałem, żeby ktoś cokolwiek wygrał, mimo że każdy płacił za los od 10 do 20 marek. Przy stole Franka siedział ambasador francuski z żoną oraz ambasadorowie włoski i polski, a także inne osoby. Na prawo ode mnie siedział całkiem interesujący sędzia Sądu Ludowego. Rozmawialiśmy o historii Niemiec, bo mówić o obecnych stosunkach byłoby dość trudno.

16 listopada 1937. Wtorek.

Douglas Miller wysłał raport do Centrali, w którym pisze, że dyrektor Deutsche Bank, Herr Weigelt, powiedział mu, iż Niemcy wysyłają samoloty do Chin. Drugą osobą, którą przyjąłem dziś przed południem, był ambasador chiński; powiedział mi, że Niemcy wysyłają koleją przez Rosję materiały wojenne wszelkiego rodzaju zarówno do Chin, jak do Japonii. Inna wiadomość mówi, że Japonia wysłała co tydzień do Nowego Jorku złoto wartości wielu milionów dolarów tytułem zapłaty za kupione materiały wojenne.

Od roku dochodzą mnie różne wieści o niemiecko-włoskiej propagandzie w Brazylii; teraz dowiaduję się, że powstało tam nowe państwo faszystowskie*. Dyktator Vargas oświadczył, że nie będzie spłacał amerykańskich pożyczek ani też płacił od nich odsetek. Każdy zawarty przez Brazylię układ międzynarodowy będzie mógł być obecnie uznany za nieważny, jeżeli tylko takie będzie życzenie dyktatora. Departament Stanu, który rok temu doprowadził do podpisania układu handlowego z Brazylią, nie wie, co ma w tej sytuacji robić, i minister Hull wyraził publicznie swoje niezadowolenie.

18 listopada 1937. Czwartek.

Po dniu wypełnionym pracą pojechaliśmy do ambasady francuskiej na obiad wydany na cześć amerykańskiego ambasadora w Paryżu Bullitta. Obecnych było czterdzieści osób. Po obiedzie grupa gości, składająca się z Bullitta,

* Dn. 10 listopada 1937 r. prezydent Brazylii Getulio Vargas dokonał zamachu stanu. Rozwiązał obie izby ustawodawcze, zlikwidował partie polityczne i ogłosił nową konstytucję zbliżoną w wielu postanowieniach do portugalskiej Salazara.

ambasadora francuskiego, dr. Franka, dr. Rosenberga i mnie oraz paru innych osób, usiadła razem i słuchała, jak Rosenberg wyjaśniał Bullittowi, na czym polega nazistowska filozofia społeczna. Trudno mi się było zorientować, czy Bullittowi odpowiada ta filozofia, w każdym razie Rosenberg i Frank starali się mu dowieść słuszności swych narodowosocjalistycznych koncepcji. Francuza ta dyskusja najwyraźniej bawiła. Ja się nie odzywałem.

Bullitt, który był trzy dni w Warszawie, powiedział mi dziś rano, że polski minister spraw zagranicznych Beck wielokrotnie go zapewniał, iż Polacy zrobią wszystko, co mogą, dla utrzymania pokoju, że nie będą się wiązać z żadnym obcym państwem, chyba że w płaszczyźnie gospodarczej, i że nie będą interweniować, gdyby Niemcy anektowały Czechosłowację lub Rosja zajęła Finlandię.

Nie ma chyba takiego Niemca, który by uważał zagarnięcie terytorium należącego do innego państwa za coś złego. Od wieków wychowywano Niemców w tym duchu i taki jest dzisiaj tego wychowania rezultat. Niedawno Papen w Paryżu zadawał natarczywe pytanie: „Co robi Francja, jeżeli zajmiemy Austrię?” Teraz słyszę, że Polacy, którzy są równie przyciśnięci do muru, jak inne narody w Europie, mają podobno przystąpić do niemiecko-włosko-japońskiego układu wymierzonego przeciwko Rosji. Myślę, że faktycznie będą zmuszeni przystąpić do tak zwanego paktu antykominternowskiego. Powiedział mi dzisiaj dziennikarz, który przebywał dłuższy czas w Rosji, że przez dwa lata działało w tym kraju wielu tajnych agentów niemieckich i włoskich, którzy mieli dopomóc do obalenia Stalina i ustanowienia w Rosji rządów faszystowskich. Nie ulega wątpliwości, że również w Ameryce Łacińskiej działają niemieccy i włoscy agitatorzy, którzy robią, co mogą, żeby doprowadzić do zerwania układów ze Stanami Zjednoczonymi i ustanowienia w Ameryce rządów dyktatorskich powiązanych sojuszami z rządami dyktatorskimi w Europie. Już prawie od roku mamy wiadomości o ich działalności w Brazylii, a niedawno dowiedzieliśmy się od pewnego Chilijczyka, że w jego kraju istnieje partia narodowosocjalistyczna, licząca 35 tysięcy członków, i że jego rząd przewiduje, iż za parę lat Chile stanie się niemiecką kolonią. Poseł kolumbijski, który był u mnie dwa dni temu, powiedział, że aktywność nazistów w całej Ameryce Łacińskiej jest tak wielka, iż chciałby, abym powiadomił o tym rząd amerykański.

W obliczu całej tej akcji zmierzającej do utworzenia zwartego frontu faszystowskiego od Rzymu po Tokio i uczynienia z Ameryki Łacińskiej sojusznika berlińskiej i rzymskiej dyktatury, w szczególności zaś do uniemożliwienia liberalizacji światowego handlu, wydaje mi się, że jedynym sposobem utrzymania pokoju na świecie jest nawiązanie ścisłej współpracy między Stanami Zjednoczonymi, Anglią, Francją i Rosją. Jedno jest moim zdaniem pewne: jeżeli państwa demokratyczne będą nadal prowadziły modną dziś politykę izolacjonizmu, to cała Europa i Azja znajdą się pod panowaniem państw totalitarnych. Wszystkie narody bardzo się boją nowej wojny i Hitler wraz z Mussolinim uważają, że strasząc nią każdego, będą mogli zagarnąć wszystko, co im się tylko spodoba. Obawiam się, że ich rachuby są uzasadnione. Jeżeli wypadki tak się dalej potoczą, sytuacja gospodarcza Anglii i Stanów Zjednoczonych pogorszy się jeszcze bardziej. Nie można wprawdzie powiedzieć, żeby komunizm był czymś lepszym od faszyzmu, ale byłoby wielkim osiągnięciem, gdyby Stany Zjednoczone, Anglia i Francja utworzyły wspólny front z Rosją i bez ogródek oświadczyły, że pewne praktyki muszą ustać.

19 listopada 1937. Piątek.

Podejmowaliśmy dziś lunchem Bullitta; przyszły 24 osoby. Już w drzwiach dr Schacht oświadczył mi: „Od piątego września nie byłem na żadnym zebraniu gabinetu”. Zrobiło to na mnie wrażenie, że został ostatecznie odsunięty od władzy. Prosząc go o dyskrecję, zapytałem, czy zgodziłby się objąć stanowisko prezesa jakiegoś amerykańskiego banku. „Tak jest — odpowiedział — i cieszyłbym się niezmiernie, gdybym mógł często spotykać się z Prezydentem.” Ciekawy jestem, co robi z popiersiem Hitlera stojącym w jego salonie lub portretem Göringa, który widziałem w jego domu, gdy byłem u niego ostatnim razem. Biedny człowiek — najzdolniejszy finansista w Europie, ale teraz całkowicie bezradny i narażony na poważne niebezpieczeństwo, gdyby władze dowiedziały się o jego zamiarze wyemigrowania do Stanów Zjednoczonych. Jeżeliby mu się udało w jakiś sposób wymknąć, straciłby oczywiście cały majątek pozostawiony w kraju.

23 listopada 1937. Wtorek.

Otrzymałem dziś od ministra Hulla depezę, która mnie bardzo zaskoczyła. Rozmawiając w sierpniu tego roku z Prezydentem, zgodziłem się powrócić po urlopie w kraju na trzy miesiące do Berlina. Ale gdy widziałem się z nim po raz ostatni 19 października, otwarcie powiedział, że zmienił swoje plany i postanowił mianować na moje miejsce Shotwella lub Hugh Wilsona. Dodał, że się cieszy, iż wracam do Berlina na parę miesięcy. W związku z tym poinformowałem Prezydenta, że najodpowiedniejszym terminem mego ustąpienia byłby 1 marca, po pierwsze ze względu na warunki klimatyczne, po drugie zaś dlatego, iż nie chciałbym, aby Niemiec ekstremiści mieli zbyt wielkie wyobrażenie o skuteczności swoich skarg: protestów Dieckhoffa z 6 sierpnia z powodu mego oświadczenia po przyjeździe do Ameryki i z 5 września w związku z moim zaleceniem, żeby Departament Stanu nie wysyłał przedstawiciela Stanów Zjednoczonych do Norymbergi. Nie mają doprawdy żadnego powodu, żeby się uskarżać na jakiegokolwiek moje słowa lub czyny.

A teraz przychodzi telegram, w którym czytam, że mam ustąpić ze swego stanowiska między 15 a 31 grudnia. Na moje miejsce będzie mianowany obecny ambasador w Belgii, Hugh Gibson. Mam natychmiast podać jego nazwisko do wiadomości niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Telegram podaje, że decyzję we wszystkich tych sprawach podjął sam Prezydent.

Przyczyny złamania porozumienia zawartego przeze mnie z Prezydentem dopatruję się w negatywnym stosunku do mojej osoby wiceministra Wellesa. Stwierdziłem, że sprzeciwiał się on ostatnio wszelkim moim sugestiom i wnioskom; wyjątek stanowiła sprawa odmowy wyjazdu do Norymbergi. Od wiosny Welles wywiera decydujący wpływ na wewnętrzne stosunki w Departamencie Stanu. Wiadomo mi, że jest stanowczo przeciwny moim poglądom na pragmatykę służbową.

29 listopada 1937. Poniedziałek

Po tym jak w ubiegły wtorek musiałem poprosić Neuratha o zwolnienie mnie z uczestnictwa w wydanym przez niego obiedzie, przez cały prawie czas leżałem w łóżku i dopiero dzisiaj zebrawszy siły poszedłem do biura. Na wtorek wieczorem wszyscy zagraniczni dyplomaci byli zaproszeni przez Neuratha na operę wystawioną na cześć węgierskiego premiera, który wraz z towarzyszącymi mu osobami, przez tydzień przebywał w Berlinie*. Uważałem, że zaproszenie trzeba przyjąć, ale po zakończeniu opery nie czułem się na siłach pozostać dłużej i wymówiłem się od udziału w obiedzie. Całe to przyjęcie i cała ta gościnność miały na celu skłonić Węgry do zawarcia sojuszu z hitlerowskimi Niemcami**. Zauważyłem jednak, że Węgrzy nie wołali „Heil Hitler” i nie podnosili prawej ręki do góry, kiedy robili to Niemcy.

Po przyjsciu do biura dowiedziałem się z raportu konsulatu w Hamburgu, że aresztowano tam wielu importerów kawy, którzy część swoich zysków pozostawiali w krajach eksportujących kawę, nie zgłaszając ich podległym Göringowi władzom gospodarczym. Jeden z aresztowanych o znanym nazwisku popełnił samobójstwo. Z Monachium przyszła wiadomość, że Julius Streicher wygłosił przemówienie, w którym oświadczył, iż Stanami Zjednoczonymi rządzą Żydzi, a szefem ich jest La Guardia. Inne wiadomości z Monachium i Stuttgartu przynoszą nowe dowody usilnych zabiegów rządu hitlerowskiego, aby nakłonić państwa południowoamerykańskie do zawarcia sojuszów z Niemcami i Włochami. Zabiegi te trwają już co najmniej od trzech lat i pochłaniają ogromne sumy.

30 listopada 1937. Wtorek.

Przyszła wiadomość z Waszyngtonu, że Gibson nie przyjął nominacji do Berlina. W związku z tym otrzymałem polecenie zawiadomienia niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że nowym kandydatem na ambasadora jest Hugh Wilson z Departamentu Stanu. Choć nie mam na to dowodu, przypuszczam, że na Gibsona nie zgodzili się Niemcy. W czasie wojny światowej pełnił on jakieś funkcje oficjalne w Belgii; poza tym napisał ciekawą książkę o Niemcach i niemieckich mężach stanu. Myślę, że to, co ja napisałem w mojej książce poświęconej Wilsonowi, stanowiło maksimum tego, co mógł jeszcze ścierpieć obecny rząd w Niemczech. Zawiadomiłem niezwłocznie Ministerstwo Spraw Zagranicznych o kandydaturze Wilsona i zostałem poinformowany, że odpowiedź zostanie udzielona w ciągu trzech do czterech dni.

David Lloyd George, były premier brytyjski z czasów wojny światowej, przestrzegł dzisiaj rząd angielski przed wdawaniem się w jakieś „złodziejskie targi z dyktatorami” i wyraził zdanie, że dla Wielkiej Brytanii byłoby lepiej zdecydować się teraz na wojnę, niż dopuścić do sromotnej kapitulacji wobec faszystów. To przemówienie Lloyd George'a bardzo się różni od jego wypowiedzi z 1934 r. Wydaje mi się, że teraz ma rację. Ale co Anglia może zrobić po tym, jak pozwoliła Mussoliniemu stać się panem Morza Śródziemnego, Abisynii i połowy Hiszpanii?

* Był to premier Kalman Daranyi, któremu towarzyszył min. spr. zagr. Kalman de Kanya.

** Węgry przyłączyły się 24 lutego 1939 r. do paktu antykominternowskiego.

3 grudnia 1937. Piątek.

Ani słowa od Ministerstwa Spraw Zagranicznych w sprawie kandydata na moje miejsce. Trudno mi wytłumaczyć sobie tę zwłokę. Wilson był przez dziesięć lat w Szwajcarii, ale z tego powodu Niemcy nie powinni mieć chyba żadnych zastrzeżeń. Wcale by mnie jednak nie zdziwiło, gdyby przez pewien czas Hitler nie pozwolił Stanom Zjednoczonym na posiadanie swego ambasadora w Berlinie. Tak zarozumiałych ludzi jak Hitler i Göring nigdy nie widziałem, teraz zaś obaj są zirytowani, a nawet zaniepokojeni powolną zmianą stanowiska Stanów Zjednoczonych.

W dzisiejszym numerze „Völkischer Beobachter”, oficjalnego organu partii narodowosocjalistycznej, wielki nagłówek głosi, że Stany Zjednoczone aprobują wysłanie przez Rosję 300 samolotów wojskowych do Chin. Wczoraj natomiast zaatakowany został nasz minister spraw zagranicznych, ponieważ solidaryzował się z treścią artykułu wstępnego w „New York Times”, postulującego współpracę amerykańsko-angielską w polityce zagranicznej, zwłaszcza jeżeli chodzi o bojkot Japonii. Hitler sprzedaje materiały wojenne zarówno Chinom jak Japonii, do Chin wysyła nawet niemieckich oficerów. W istocie jednak Hitler chce, żeby Japonia podporządkowała sobie Chiny i żeby w razie wybuchu wojny w Europie oba te państwa były przygotowane do walki z Rosją.

Nadeszła dziś z Warszawy wiadomość, że przedstawiciel Ligi Narodów w Gdańsku Burckhardt w drodze powrotnej z Genewy spotkał się w Berlinie z Hitlerem, który mu oświadczył: „Każdej chwili, gdy tylko tego zapragnę, mogę anektować dowolne terytorium w Europie, na którym zamieszkują większe niemieckie grupy etniczne”. Hitler uważa, że Europa tak się go boi, iż będzie mógł zająć Gdańsk, Austrię i Czechosłowację bez większego oporu. Wątpię, czy tak by było, chyba że będzie dokonywał tych aneksji pojedynczo i powoli jedna po drugiej. Czy ta Europa nie jest dziwna, gdy sobie przypomnieć, co przeżyła w czasie wojny światowej?

9 grudnia 1937. Czwartek.

W poniedziałek 6 grudnia miałem dłuższą rozmowę z dr. Schachtem. Wypowiadał się z całkowitą swobodą i twierdził stanowczo, że nie jesteśmy podsłuchiwani przez tajną policję. Nie byłem tego taki pewien. Powiedziałem mu, że wyjeżdżamy około 1 stycznia. Wyraził nadzieję, że przed wyjazdem zechcemy go odwiedzić.

Pokazałem mu kopię wywiadu, którego udzieliłem 4 sierpnia w Norfolk przedstawicielowi Associated Press, zaznaczając, że ambasador Dieckhoff złożył z tego powodu protest ministrowi Hullowi. Po przeczytaniu całego wywiadu Schacht oświadczył: „Nie było żadnego, absolutnie żadnego powodu do składania tego protestu”. Powiedziałem Schachtowi, że moim zdaniem była to robota wiceministra Mackensena, a nie samego Neuratha. Na to nic nie odpowiedział. Jak dotąd, zawsze mi się wydawało, że podzielał raczej poglądy Neuratha, a nie jego zięcia Mackensena.

Opowiedziałem następnie Schachtowi o moim poufnym liście do Hulla, który został opublikowany w prasie nowojorskiej 4 września w takiej formie, jakby zawarte w nim wypowiedzi przeciwko zjazdowi w Norymberdze zaczerpnięte zostały z mego przemówienia w Williamstown. Schachta to wcale nie zdziwiło, chociaż z drugiej strony nie znane mu było chyba stanowisko

Ministerstwa Spraw Zagranicznych wyrażone w protestach złożonych przez Dieckhoffa w Waszyngtonie w sierpniu i wrześniu. Zmieniając temat powiedział mi, że jestem przez Niemców bardzo lubiany, zwłaszcza przez ludzi wykształconych i należących do wolnych zawodów. Miałem tego liczne dowody, szczególnie w postaci zaproszeń do wygłaszania wykładów na niemieckich uniwersytetach, jednakże Schacht nigdy mi o takich rzeczach dotąd nie mówił, mimo że na ogół zgadzaliśmy się we wszystkich prawie sprawach dotyczących stosunków międzynarodowych.

Później Schacht zaczął mówić o sobie samym, określając swoje położenie jako niepewne. Gdyby musiał ustąpić ze stanowiska prezesa Reichsbanku, wyjechałby chyba do Stanów Zjednoczonych. Sprawa ta jednak, jak dotąd, nie została wyraźnie postawiona i dlatego trudno mu powiedzieć, co będzie robił dalej. „Jak panu wiadomo — dodał — nie jestem już ministrem gospodarki. Stanowisko to przejął po mnie generał Göring, który jednak niewiele zna się na problemach, które przed nim stoją.”* Z tego, co Schacht mówił o nastrojach opozycyjnych w narodzie, a zwłaszcza w sferach gospodarczych, wywnioskowałem, że jego zdaniem ustrój hitlerowski zostanie obalony.

11 grudnia 1937. Sobota.

Miałem dziś rano rozmowę z baronem von Neurathem. Nie wniosła nic nowego, dokonaliśmy tylko przeglądu aktualnej sytuacji. Zapytałem go, co sądzi o problemie kolonialnym, który w ubiegłym miesiącu był tak żywo dyskutowany. Odpowiedział, że Niemcy są w stanie produkować najwyżej 80 procent potrzebnych im środków żywnościowych i że przyrost ludności w Niemczech wynosi pół miliona ludzi rocznie. Podkreśliwszy w związku z tym dający się odczuwać w Niemczech głód ziemi oświadczył: „Może nie odzyskamy naszych kolonii w ciągu paru najbliższych lat, ale w końcu musimy je dostać”.

Na to odpowiedziałem: „Jak panu wiadomo, członkowie społeczeństw cywilizowanych niechętnie emigrują. Niemal każdy chce mieszkać w dużym mieście, mimo że grozi mu tam bezrobocie. Mieszkańcy dużych miast nie chcą po prostu ich opuszczać, a jak panu wiadomo, ludność miejska stanowi niemal trzy czwarte całej ludności w Anglii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Czy w tych warunkach posiadanie kolonii rozwiąże wasze gospodarcze problemy?” Upierał się przy swoim: „Kolonie dadzą nam surowce”. Odpowiedziałem: „Tak jest, ale koszt surowców produkowanych we własnych koloniach jest zawsze wyższy od ceny nabycia ich w handlu międzynarodowym”. Dałem mu szereg przykładów.

Z pretensji do kolonii nie rezygnował. Powiedziałem, że rozumiem, iż Niemcom należą się kolonie, i przyznaję im prawo do ich odzyskania w drodze rokowań. Gdy wspomniałem o stosunkach handlowych z Niemcami, Neurath ponownie oświadczył, że popiera stanowisko ministra Hulla w sprawie handlu międzynarodowego. Dodał jednak, że „Niemcy nie zmieniają swej polityki”, a ta polityka to przecież niesłychanie wysokie bariery antyimportowe.

Gdy zapytałem go, co sądzi o możliwości zawarcia paktu czterech mocarstw (Anglii, Niemiec, Francji i Włoch), z miejsca oświadczył, że jest to niemożliwe.

* Schacht został zwolniony ze stanowiska ministra gospodarki 27 listopada 1937 r. Göring po reorganizacji Ministerstwa Gospodarki na początku 1938 r. wprowadził jako ministra Waltera Funka.

Przyczyny nie podał, ale wywnioskowałem, że miał na myśli fakt, iż Niemcy nie zgodziłyby się na żadne ograniczenie zbrojeń.

Gdy go zapytałem, czy mu wiadomo, że w żadnym publicznym przemówieniu wygłoszonym w Stanach Zjednoczonych nie wspomniałem w ogóle o Niemczech, odpowiedział: „Tak jest, nasz ambasador w Waszyngtonie Dieckhoff powiadomił mnie, że treść informacji podanych przez prasę w dniu 4 września została zaczerpnięta z pańskiego poufnego listu do ministra Hulla”. Powtórzyłem mu to, co już nieraz mu mówiłem na temat mojej nieobecności na partyjnych zjazdach w Norymberdze. Powiedział, że rozumie moje stanowisko. Zabrzmiało to dość dziwnie zważywszy, że przecież Niemcy protestowały przeciwko niemu w Waszyngtonie.

Gdy wychodziłem, prosił mnie, żebyśmy oboje, o ile tylko będziemy mogli, przyszli do niego na obiad. Odpowiedziałem, że obawiam się, iż nie będziemy mogli, gdyż nadchodzą święta, a data naszego wyjazdu nie jest jeszcze ustalona.

14 grudnia 1937. Wtorek.

Jak ta nasza współczesna cywilizacja zaczyna się upodabniać do średniowiecza! Dziś był u mnie poseł czechosłowacki, który jest w najwyższym stopniu zaniepokojony losem swego kraju. Powiedział, że bezczynność państw demokratycznych pozwala Mussoliniemu, Hitlerowi i Japonii zwiększać zasięg swoich wpływów na świecie. Dodał, że Rosja, chociaż jest sojusznikiem Czechosłowacji i Francji, jest bezsilna.

Rosyjski chargé d'affaires był u mnie wczoraj. Utrzymywał, że państwa demokratyczne — Anglia, Francja i Stany Zjednoczone chciałyby, żeby Rosja ratowała Chiny bez ich pomocy. Oświadczył, że jego kraj się na to nie zgadza, ale jeżeli państwa demokratyczne same udzielą Chinom pomocy, to Rosja będzie z nimi współpracowała.

Dziś przed południem po pośle czechosłowackim przyszedł do mnie znowu ambasador chiński i mówił o groźnej sytuacji swego kraju. Powtórzył informacje, które podało radio z Waszyngtonu: Japończycy zniszczyli znajdujące się na chińskich rzekach amerykańskie i angielskie statki i zabili przy tym amerykańskich obywateli, że w związku z tym nasz Prezydent domaga się, aby cesarz japoński przeprosił Stany Zjednoczone i wypłacił im pełne odszkodowanie. Ambasador chciał się ode mnie dowiedzieć, czy Stany Zjednoczone poczynią w tej sprawie jakieś konkretne kroki. Nie mogłem mu dać pod tym względem żadnych zapewnień, ale zgodziłem się z nim, że państwa demokratyczne muszą ratować Chiny, gdyż inaczej same znajdą się wkrótce w groźnej sytuacji. Rozstaliśmy się w ponurym nastroju, ambasador przewidywał, że jego kraj prawdopodobnie ulegnie Japonii, ja zaś otwarcie przyznawałem, że nasza cywilizacja znalazła się na skraju przepaści.

W południe wysłałem telegram do Roosevelta ze streszczeniem przeprowadzonych przeze mnie rozmów, wyrażając opinię, że o ile Stany Zjednoczone wraz z Anglią nie powstrzymają Japonii, to za parę lat wydarzenia otworzą naszemu narodowi oczy na powagę sytuacji. Zaleciłem bojkot. Dodałem, że jeżeli bojkot nie poskutkuje, nasza flota i część floty brytyjskiej powinny razem wyruszyć na wody chińskie. Narody włoski i niemiecki nie mają obecnie ochoty prowadzić wojny nie tylko z Chinami, ale nawet z Anglią. Mam nadzieję, że tego telegramu nie spotka los niektórych moich poprzednich

poufnych raportów i że Hitler nie zapozna się tym razem z moimi poglądami. W każdym razie uważam, że wysłanie tego ostrzeżenia było moim obowiązkiem.

19 grudnia 1937. Niedziela.

Przyjęcia południowe i wieczorowe, na które musieliśmy chodzić przez ostatnich parę dni, były nad wyraz męczące, tym bardziej że w biurze miałem mnóstwo roboty. A przecież zaproszeń przez nas nie przyjętych było więcej niż przyjętych. Wysocy dygnitarze jak na przykład Neurath wyrażali wprawdzie nadzieje, że będą mogli nas podejmować pożegnalnym obiadem, ale zaproszeń nam w końcu nie przysłali. Natomiast stopy zaproszeń napływały od niemieckiego świata naukowego i gospodarczego. Dzisiaj byliśmy u Giebelsów, przedwczoraj u Albertsów, a parę dni temu u pewnego znanego prezesa banku. Za każdym razem obecnych było 15—20 gości; nikt z nich nie ukrywał swego niezadowolenia z rządów hitlerowskich, nikt witając się nie wołał „Heil Hitler” i nikt nie nosił odznaczeń partyjnych, nawet jeżeli był w mundurze.

W czwartek 16 grudnia pojechałem do Lipska, żeby na uniwersytecie, na którym kiedyś studiowałem, wygłosić wykład o Jerzym Waszyngtonie. Tyle razy mnie o to proszono, odkąd jestem w Berlinie, że w końcu przyjąłem to zaproszenie, ale zwróciłem się do jednego z moich bliskich przyjaciół w Lipsku z prośbą o dopilnowanie, żeby to spotkanie nie miało charakteru partyjnego. Asysta w mundurach hitlerowskich, swastyka za moimi plecami, audytorium krzyczące „Heil Hitler” — wszystko to zostałoby sfotografowane i opisane w reportażach korespondentów prasy amerykańskiej z wynikiem kompromitującym zarówno mnie jak i uniwersytet, na którym w 1900 r. uzyskałem mój doktorat. I dlatego na tydzień przed tym w taktownej formie poprosiłem o uwzględnienie moich zastrzeżeń.

W związku z moim przyjazdem prof. Wartburg wydał wielkie przyjęcie, na którym obecnych było około dwudziestu profesorów. Podobnie jak w Berlinie moi rozmówcy krytykowali ustrój hitlerowski. Gdy zjawiłem się w słynnej auli wykładowej starego uniwersytetu, w której wykładał niegdyś filozof Wundt, ujrzałem tłum słuchaczy; byli to studenci, profesorowie i różne osoby, które znałem przed laty. Na wprost mnie siedziała p. Arnold Liebisch, żona zmarłego księgarza, z którym znaliśmy się bardzo dobrze w okresie moich studiów w Lipsku. Obok niej siedziała Miss Gray, Angielka, która nieraz przyjmowała w swoim domu studentów. Wyglądała niewiele starszej niż w 1899 r. Zwiedzała właśnie stary Lipsk i została parę dni dłużej, żeby wysłuchać mego wykładu.

W sali recepcyjnej zauważyłem szereg ludzi w mundurach; niektórzy witali się ze sobą po hitlerowsku, nikt jednak nie witał się w ten sposób ze mną. Towarzystwo było typowo uniwersyteckie i prowadzone rozmowy miały charakter niezwykle serdeczny i postępowy. Wygłoszenie wykładu o Waszyngtonie zajęło mi godzinę czasu, gdyż uniwersytet chciał koniecznie, żebym mówił po angielsku; w związku z tym musiałem każde zdanie wymawiać bardzo wyraźnie. Ku memu zdziwieniu audytorium tak dobrze mnie rozumiało, że oklaskiwało niektóre wypowiedzi i śmiało się z moich żartów. Nie znam drugiego takiego kraju, gdzie angielski nie jest językiem ojczystym, w którym by tylu ludzi mówiło i rozumiało po angielsku, co w Niemczech.

Po wykładzie odbył się obiad i znowu wszyscy rozmawiali otwarcie nie tylko ze mną, ale również między sobą. Profesorowie uniwersytetu lipskiego nie są zadowoleni ze swego położenia, i to chyba jeszcze bardziej niż profesorowie berlińscy. Było mi bardzo przyjemnie, że mogłem znowu zobaczyć ten stary uniwersytet, na którym po raz pierwszy uczyłem się historii wykładanej metodą krytyczną. Stara dzielnica miasta nic się prawie przez ten czas nie zmieniła.

20 grudnia 1937. Poniedziałek.

Pojechaliśmy dziś o 5-ej po południu z wizytą do państwa ambasadorostwa François-Poncet. Madame François-Poncet oświadczyła, że jej zdaniem Hohenzollernowie i konserwatyści są dziś na ogół bardziej zniecierpliwieni i rozgoryczeni niż kiedykolwiek. Słyszała dużo wypowiedzi w tym duchu. Dodała jednak, że przywódcy opozycji są bardzo niedyskretni i wszystkie ich poglądy i plany mogą łatwo dojść do wiadomości nazistów, którzy gotowi są powtórzyć rzeź z 30 czerwca 1934 r.

Słyszałem i zanotowałem już wiele krytycznych wypowiedzi, ale nie sądzę, żeby w najbliższej przyszłości doszło do jakiejś rewolucji czy próby obalenia rządów Hitlera. Każdy Niemiec dobrze wie, jak okrutnie obszedłby się Hitler, Göring i Goebbels z ludźmi, którzy by spróbowali znowu zorganizować jakąś opozycję. Nikt więc niczego nie robi, chyba że za zmianą rządu wypowiedziałaby się jednomyślnie armia. Wszystko jednak wskazuje na to, że Hitler trzyma ją tak mocno w garści, iż przywódcy opozycji w jej łonie są całkowicie bezsilni.

Nieco później ambasador francuski powiedział: „Wyjeżdża pan w dobrym momencie. Moim zdaniem na wiosnę będziemy mieli wojnę. Przyczyni się do jej wybuchu przede wszystkim osłabienie pozycji Mussoliniego we własnym kraju; żeby się ratować, dyktator ucieknie się do wojny. Celem jego jest opanowanie Morza Śródziemnego i przejęcie władzy nad francuskimi i hiszpańskimi posiadłościami w Afryce północnej. Żeby ten cel osiągnąć, wezwie na pomoc Niemców, ofiarowując im za to Austrię i Czechosłowację. Ale narody żyjące w dorzeczu Dunaju nigdy jeszcze nie były tak zaniepokojone i nie trzymały się tak blisko Francji jak obecnie. Jeżeli Włochy i Niemcy zaczną z nimi wojnę, będziemy musieli uderzyć na agresorów i w tej walce wesprze nas Anglia. To jest przyczyna, dlaczego nie tylko Anglia, ale również i Francja, nie mogą udzielić Chinom pomocy na morzu”.

Na to odpowiedziałem: „Ale gdyby Francja i Anglia dopomogły Stanom Zjednoczonym w zorganizowaniu bojkotu Japonii, wojna w Chinach skończyłaby się po dwóch miesiącach. Czy nie możecie jakoś przyczynić się do zorganizowania takiej współpracy, zanim nie będzie na nią za późno?” Przyznał, że prawdziwy bojkot dałby faktycznie przewidywany przeze mnie wynik, ale twierdził, że sfery gospodarcze w krajach demokratycznych będą grały na zwłokę i stawiały tak silny opór, że niczego się w końcu nie osiągnie; w związku z tym na wiosnę Mussolini z Hitlerem będą mogli zacząć swoją wojnę.

Zapytałem go, czy jego zdaniem szerokie masy w Niemczech poprą tę wojnę. Odpowiedział: „Oczywiście, gdy się im każe wyruszyć na wojnę, nie pozostanie im nic innego, jak posłuchać, ale po paru bitwach mogą ewentualnie uchylić się od dalszej walki”. Jestem prawie tego samego zdania, tylko nie sądzę, aby Hitler był już zupełnie gotów i myślę, że będzie powstrzymywał Mussoliniego jeszcze przez rok.

21 grudnia 1937. Wtorek.

Dziś na pożegnalnym lunchu u dr. Schachta wypowiedzi gości były, jak na stosunki w Niemczech, wyjątkowo szczere i krytyczne. Jedną z przyczyn tego mogło być zdjęcie dr. Schachta ze stanowiska ministra gospodarki. Szczególnie szczere były wypowiedzi naczelnego dyrektora International General Electric Company w Berlinie i innych przedstawicieli sfer przemysłowych i bankowych. Postępowanie władz hitlerowskich budzi w nich jak najgorsze obawy. Szef przedsiębiorstwa elektrycznego martwił się m. in. z tego powodu, że Hitler kazał mu przekazać władzom wielki budynek administracyjny, który kosztował jego firmę 10 milionów marek; tytułem odszkodowania firma ma Otrzymać tylko 6 milionów. Dyrektor twierdzi, że do urzędnika reprezentującego Hitlera w tej sprawie odezwał się w ten sposób: „W takim razie przenoszę się z Niemiec do wschodniej Francji”. Co na to powiedział Hitler, tego nie usłyszeliśmy, ale jest rzeczą jasną, że gdyby nasz elektryk próbował wyjechać z Niemiec, wylądowałby w więzieniu.

Mówiąc o klęsce Niemiec w 1918 r., Schacht przypisał całą winę z tego powodu Woodrowowi Wilsonowi, który wciągnął Amerykę do wojny światowej. Na to oświadczyłem: „Czternaście Punktów Wilsona stanowiły jedyną drogę do pokoju i współpracy międzynarodowej, a mimo to wszystkie państwa po obu stronach frontu przyczyniły się do pokrzyżowania jego planów. Czy nie sądzi pan, że za pięćdziesiąt lat Wilson zostanie uznany za jednego z największych prezydentów w historii Stanów Zjednoczonych?” Uchylając się od odpowiedzi na to pytanie, zaczął mówić o wojnie japońsko-chińskiej i wypowiedział się przeciwko sojuszowi Niemiec z Japonią. Ale zaraz potem ujawnił prawdziwe stanowisko Niemiec: „Gdyby Stany Zjednoczone chciały położyć kres agresji japońskiej, pozostawiając Niemcom wolną rękę w Europie, pokój światowy byłby zapewniony”.

Nic na to nie powiedziałem, a inne osoby również wstrzymały się od komentarzy. Schacht miał na myśli to samo, co wodzowie armii niemieckiej z 1914 r.: dokonali inwazji Belgii licząc na podbój Francji w ciągu sześciu tygodni, gdyż chcieli uzależnić lub wprost anektować małe państwa sąsiadujące z Niemcami, zwłaszcza na północy i wschodzie. Mimo że jest bardzo niezadowolony z dyktatorskich rządów Hitlera, Schacht podobnie jak większość wybitnych Niemców, marzy o aneksjach — w miarę możliwości bez uciekania się do wojny, ale ewentualnie również przy jej pomocy, gdyby Stany Zjednoczone miały pozostać neutralne. Mimo całego podziwu, jaki czuję dla niektórych odważnych posunięć Schachta, zaczynam się obawiać, że nie byłby z niego dobry Amerykanin, gdyby wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

23 grudnia 1937. Czwartek.

Wczoraj był u mnie człowiek, zajmujący wysoce odpowiedzialne stanowisko w aparacie państwowym; stanowisko to zajmował jeszcze za czasów dawnego reżymu: Ma dzięki temu dostęp do wielu informacji na temat rozwoju wydarzeń w autokratycznym państwie Hitlera. Powiedział mi, że został poinformowany przez swoich bliskich przyjaciół, iż może bardzo łatwo dojść do zamordowania dr. Schachta, szczególnie wiosną roku przyszłego. Taką pogłoskę słyszałem już wczoraj. Teraz powtarza mi ją ktoś inny. Zasta-

nawiam się, czy nie powinienem przed wyjazdem ostrzec poufnie Schachta przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

Dziś przyszedł pożegnać się ze mną poseł szwajcarski. Mówił o niebezpiecznej sytuacji swego kraju: „Propaganda za przyłączeniem Szwajcarii do nazistowskich Niemiec nie ustaje, a mój rząd nie ośmiela się jej ukrócić. Austrię planują Niemcy anektować zasadniczo drogą pokojową, ale w ostateczności, gdyby to się okazało konieczne, gotowi są użyć siły. Moim zdaniem nie ma innego sposobu uniknięcia nowej wielkiej wojny, jak bezzwłoczne utworzenie wspólnego frontu Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji”.

Otrzymałem dziś list od Prezydenta, w którym Prezydent pisze, że rozumie moją sytuację w Berlinie i pragnienie pozostania na stanowisku do 1 marca zgodnie z wyjaśnieniem złożonym mu w jego rezydencji w Hyde Parku, ale niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zmusiło go do odwołania mnie z dniem 1 stycznia. Nie byłoby to wcale dziwne, gdyby nie fakt, że w czasie rozmowy, jaką miałem dwa tygodnie temu z Neurathem, uprzejmy minister w gruncie rzeczy zaprzeczył, aby w tej sprawie interweniował. Może się mylę, ale przypuszczam, że w tym wypadku na Prezydenta mógł wpłynąć wiceminister Sumner Welles. Tak też napisałem w mojej dzisiejszej odpowiedzi na list Prezydenta. Chociaż orientuję się, że Hitler, Göring i Goebbels mogą sobie życzyć mego odwołania, to jednak jestem przekonany, że kierownictwo Ministerstwa Spraw Zagranicznych zdaje sobie sprawę, iż w razie odwołania mnie na niemieckie żądanie, miałbym po powrocie do Stanów Zjednoczonych rozwiązane ręce, jeżeli chodzi o naświetlenie stosunków panujących w hitlerowskich Niemczech. W każdym razie po przyjeździe do Waszyngtonu postaram się dowiedzieć prawdy. Słyszałem, że Welles od samego początku, tzn. od maja, działa na nerwy całego Departamentu Stanu.

Dziś po południu przyszedł ambasador chiński z małżonką. Nie ustaje w swych zakłękaniach, żeby Stany Zjednoczone i Anglia położyły kres mordowaniu jego narodu przez Japończyków i chce wierzyć, że to uczynią. Dziś wieczorem wyjeżdża do Paryża. Chociaż mi tego nie powiedział, domyślam się, że jedzie zaprotestować przeciwko ustępstwom Francji na rzecz Japończyków w strefach jej wpływów w Chinach. Powiedziałem mu, żeby powtórzył w Paryżu to wszystko, co mówił dzisiaj do mnie.

26 grudnia 1937. Niedziela.

Pojechałem dziś do willi dr. Schachta w Dahlem. Zależało mi bardzo, żeby się z nim zobaczyć, gdyż grozi mu podobno śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale go nie zastałem; wyjechał z żoną do swojej wiejskiej rezydencji położonej w odległości około 50 mil od Berlina. Zostawiłem mu bilet wizytowy, pisząc na nim kilka ostrożnie zredagowanych słów, sugerujących osobiste spotkanie. Bałem się dużo pisać, żeby mu jeszcze więcej nie zaszkodzić. Gdy odjeżdżaliśmy, nasz samochód zauważony został przez przejeżdżającego właśnie Herberta Göringa. Herbert jest bratankiem generała Göringa, który przejął po Schachcie stanowisko ekonomicznego dyktatora Niemiec. Obawiam się, że Herbert mógł donieść niemieckim władzom o mojej wizycie.

Po południu wydaliśmy przyjęcie dla wszystkich pracowników ambasady i służby konsularnej, attachés wojskowych i morskich oraz dziennikarzy. Obecnych było około 70 gości. Było to przemile spotkanie.

Zapomniałem napisać, że wracając od Schachta pojechaliśmy z żoną do gmachu dawnego Reichstagu, żeby obejrzeć tzw. antykomunistyczną wystawę obrazów, o której wiele już przedtem słyszeliśmy. Czegoś tak bezwstydnego w życiu jeszcze nie widziałem. Żaden naprawdę inteligentny człowiek nie wywiesiłby tego rodzaju obrazów na widok publiczny i to jeszcze w słynnej sali dawnej legislatury. A jest ich tysiące. Pokazują komunistyczne kruczki i kombinacje we wszystkich krajach świata, przy czym komunistami są zawsze Żydzi. Pokazują gwałty, morderstwa, złodziejstwa, rewolucje i zamachy stanu. Pokazują, że nie ma takiej zbrodni na świecie, której by nie popełnili Żydzi i komuniści. Wystawę zwiedzało ze dwa do trzech tysięcy osób. Trudno sobie wyobrazić urzędnika państwowego, który by miał dobrze w głowie i pozwolił na otwarcie takiej wystawy. Zamykają ją eksponaty przedstawiające Mussoliniego i Hitlera jako zbawców ludzkości.

20 września 1938. Wtorek.

Ponieważ od wyjazdu z Berlina nie prowadziłem bieżących notatek, muszę teraz pokrótce opisać ubiegłe wydarzenia.

Wyjechaliśmy z Berlina samochodem 29 grudnia i w Hamburgu wsiedliśmy na amerykański statek „Manhattan”. Spacerując po okręcie stwierdziliśmy, że więcej niż połowę pasażerów drugiej klasy stanowili Niemcy, mający nadzieję, iż będą mogli osiedlić się w Stanach Zjednoczonych. Było wśród nich przeszło 50 procent Żydów. Ale w jadalni siedziało przy naszym stoliku kilku nazistów lub ich sympatyków, wśród nich pewna kobieta ze stanu Zachodnia Wirginia, będąca żoną posła jugosłowiańskiego w Londynie. Opowiadała nam o stosunkach panujących w Londynie i twierdziła, że wśród arystokratów jest teraz wielu faszystów i nazistów.

Było na statku paru interesujących dziennikarzy, którzy wracali z Hiszpanii do Stanów Zjednoczonych. Mieli nadzieję, że będą mogli napisać całą prawdę o wyczynach Mussoliniego i Hitlera w tym kraju o tak bogatej przeszłości. Są absolutnie przeciwni mieszanii się Włoch i Niemiec do spraw wewnętrznych Hiszpanii. Wyraziłem wątpliwość, czy prasa amerykańska zgodzi się opublikować w całości ich relacje z wydarzeń w tym kraju.

Ostatniej nocy 1937 roku okręt nasz wypłynął z Southampton w drogę do Ameryki. Tym razem nie było dużych sztormów i 8 stycznia przybyliśmy do Nowego Jorku. Zanim jeszcze dobiliśmy do nadbrzeża, na okręcie zjawili się ze dwudziestu dziennikarzy, którzy starali się wyciągnąć ode mnie odpowiedzi na najprzeróżniejsze pytania. Nie mogłem im nic powiedzieć o faktach związanych z moim ustąpieniem czy też odwołaniem, ani nawet o tym, jakie są moim zdaniem plany Hitlera, gdyż uważałem, że przedtem muszę pojechać do Waszyngtonu i odbyć rozmowy z Prezydentem i ministrem Hullem.

Gdy będąc u Prezydenta powiedziałem pokrótce, co myślę o wiceministrze Wellesie i jego metodach, żadnej odpowiedzi nie usłyszałem. Natomiast w rozmowie z ministrem Hullem uzyskałem częściowe potwierdzenie moich przypuszczeń co do przyczyny mego odwołania, które nastąpiło wbrew porozumieniu, że ustąpię z mego stanowiska w marcu 1938 r. Otrzymałem 23 listopada polecenie powrotu do kraju w styczniu, po tym jak zaledwie 1 listopada powróciliśmy do Berlina i moja żona wydała ponad tysiąc dolarów na meble, stanowiło w stosunku do nas obojga wyraźny akt niełaski. W Departamencie Stanu byli i są nadal ludzie, którzy mnie nie lubią lub też nie pochwalają rzeczy, w obronie których występowałem.

Tymczasem na moim biurku gromadziły się stosy zaproszeń do wygłaszania odczytów we wszystkich częściach kraju. Przemawiałem w Baltimore dwa razy, w Nowym Jorku kilka razy; poza tym w wielu innych miejscowościach; wszędzie otrzymywałem za mój trud hojne wynagrodzenie. Po wywiązaniu się z przyjętych zobowiązań powróciłem z żoną na wiosnę do naszej farmy koło Round Hill w stanie Wirginia.

28 maja moja żona nie przyszła jak zwykle do jadalni, żeby zjeść ze mną śniadanie. Okazało się, że zmarła w nocy w swym pokoju na atak serca. Przeżyłem wówczas największy wstrząs w moim życiu. Nikomu się nawet nie śniło, że jest poważnie chora, chociaż w Berlinie lekarz uprzedzał ją, żeby wchodziła po schodach powoli. Miała tylko lekką niedomogę serca i prowadziła życie towarzyskie bardziej wyczerpujące ode mnie. W chwili śmierci miała zaledwie 62 lata, ja miałem wówczas lat 68. I oto leżała teraz przede mną uśpiona na zawsze i nic na to nie można było już poradzić. Byłem tak zaskoczony i zasmucony, że nie wiedziałem po prostu, co dalej robić...

Byłem przez cztery i pół lata w Europie i wierzyłem, że będę się mógł moją pracą przysłużyć krajowi. Co można było w tym celu naprawdę zrobić, pozostaje kwestią otwartą. Wojna światowa ludzi niczego nie nauczyła. Zamiast dochować traktatów podpisanych w latach 1919—1923, niemal wszystkie państwa złamały zawarte w nich zobowiązania. Na przygotowania do nowej wojny wydaje się teraz rocznie dwa razy więcej pieniędzy niż w 1913 r., a przecież nie ma teraz prawie takiego narodu, który by nie dźwigał ciężaru długów przekraczającego wszelkie znane dotychczas miary. Czy czeka nas nowa wojna światowa? Czy jakikolwiek wielki uprzemysłowiony kraj będzie mógł w razie jej wybuchu zachować neutralność?

Równoległe do przygotowań wojennych i wprowadzenia restrykcji importowych nie spotykanych dotychczas w historii współczesnego świata, we Włoszech, Niemczech i Japonii przyjęły się nowe formy ustrojowe. Na rozległych terytoriach tych państw zlikwidowano wolność religijną i autonomię uniwersytetów. W jednym tylko z tych krajów zwolnionych zostało z pracy 1600 profesorów uniwersyteckich i nauczycieli szkół średnich. Przywódcy szeregu państw podjęli akcję prześladowania Żydów: zwalnia się ich z pracy, wypędza z kraju, wsadza do więzienia, zabija. Nie ulega wątpliwości, że wśród Żydów zdarzają się spekulanci, ale jaki inny naród czy klasa społeczna są od nich wolne? Kto zna historię lat 1914—1920, ten dobrze wie, że w tej strasznej wojnie Żydzi dzielnie walczyli po obu stronach frontu i że niektórzy wybitni przedstawiciele żydowskiej rasy ofiarowali w 1918—1920 r. miliony dolarów na ratunek dla porzuconego na łaskę losu i przymierającego głodem narodu niemieckiego.

Co może zdziałać reprezentant Stanów Zjednoczonych w wielkim państwie, w którym nie ma wolności religijnej, w którym samodzielność i odkrywczność umysłu ludzkiego jest zakazana, w którym nieustannie propaguje się nienawiść rasową? Państwa demokratyczne powinny kultywować swoje szlachetne ideały, a reprezentanci tych państw za granicą powinni się starać o zacieśnienie międzynarodowej współpracy; w odpowiednich chwilach powinni przypominać ludzkości wagę takich problemów, jak utrzymanie pokoju światowego i ułatwianie międzynarodowej wymiany handlowej, a także rozwijanie demokracji, o której zwycięstwo narody walczą od XVI wieku. Mając te szlachetne cele na uwadze, sądziłem, że powinienem dać z siebie wszystko, aby jak najlepiej reprezentować mój kraj wobec Niemców, wśród których się zna-

lażem, tym bardziej że naród niemiecki jest z natury bardziej demokratyczny niż jakikolwiek inny wielki naród w Europie.

Czy można było osiągnąć jakiś pozytywny wynik? Korzystając z odpowiednich okazji wygłaszałem przemówienia, w których przedstawiałem trudności, jakie napotykamy w naszych stosunkach międzynarodowych, ale nigdy nie krytykowałem rządu, przy którym byłem akredytowany. Gdy przysyłano mi zaproszenia na imprezy partyjne, zachowywałem postawę, którą mój kraj zachowuje od czasów prezydentury Jerzego Waszyngtona. Czy reprezentanci państw demokratycznych istotnie powinni byli brać udział w spotkaniach, na których demokracja była przedmiotem drwin i ordynarnych napaści? Nie mogę sobie wyobrazić, żeby odpowiedź na to pytanie mogła wypaść twierdząco.

Logiczną konsekwencją kolosalnych przygotowań wojennych będzie nowa wojna, ale co po tej nowej wojnie pozostanie jeszcze z naszej cywilizacji? Ciekawe jest to pomieszanie pojęć. Wielkie koncerny handlowe i przemysłowe nie potrafiły zrozumieć, że po wojnie potrzebna jest światu ścisła współpraca między narodami. Wybitni przedstawiciele pewnych grup przemysłowych niejednokrotnie torpedowali inicjatywy pokojowe Genewy, ponieważ sądzili, że ważniejszy od pokoju na świecie jest handel bronią i materiałami wojennymi. Inne grupy gospodarcze forsowały w latach 1923—1930 koncepcję restrykcji importowych; doprowadziło to do sytuacji, w której niemożliwa stała się spłata międzynarodowa zobowiązań finansowych. Jakże wiele wpływowych osobistości na świecie nie potrafiło i nadal nie potrafi zrozumieć, że wynalazki, rewolucja przemysłowa i powiązania finansowe doprowadziły ludzkość do takiego punktu, w którym podstawowym warunkiem zapewnienia dobrobytu szerokim masom na całym świecie stała się pokojowa współpraca wszystkich narodów.